

Mnemoch diabel

Rice Anne



calibre 0.9.27

Anne Rice

Memnoch diabeł

Memnoch the Devil

Przekład Robert Lipski

Dla

Stana Rice'a, Christophera Rice'a i Michele Rice

Dla

Johna Prestona

Dla

Howarda i Katherine Allen O'Brien

Dla brata Katherine, Johna Allena,

dla stryja Mickeya

i

syna stryja Mickeya, Jacka Allena,

oraz wszystkich potomków Jacka

oraz dla

wujka Mariana Leslie,

który był tego wieczoru w barze Corona

Z wyrazami miłości

dla wszystkich naszych krewnych,

im właśnie dedykuje tę książkę

CZEGO NIE ZAPLANOWAŁ BÓG

Sny ze stu dni

łzy do studni

Idź zaczerpnąć

wody ze studni

Przynieś ją czystą

Przejrzystą

Bóg nie tworzył

świata ze studni

kiedy będziesz więc

przy studni

krzyknij w głąb

i powiedz mu

że wody jest po wrąb

i może iść do diabła.

Stan Rice

24 czerwca 1993

OFIAROWANIE

Czemuś

Co zapobiega nicości

Niczym dzik u Homera

Szalejący

Z białymi szablami

Przedzierający się przez ludzkie szeregi

Jak przez łan zboża

I tylko temu

Ofiarowuję to cierpienie memu ojcu.

Stan Rice

16 października 1993

DUET PRZY IBERVILLE STREET

Mężczyzna w czarnej skórze

kupuje szczura, by nakarmić swego pytona.

Nie szuka niczego konkretnego,

każdy szczur się nada.

Wracając ze sklepu zoologicznego,

Widzę, jak przy hotelowym garażu

Mężczyzna wycina z bloku lodu łabędzia

Piłą łańcuchową.

Stan Rice

30 stycznia 1994

PROLOG

Tu Lestat. Wiesz, kim jestem? Wobec tego możesz pominąć parę następnych akapitów. Jeśli jednak się jeszcze nie znamy, chciałbym, aby to teraz była miłość od pierwszego wejrzenia.

Spójrz: oto twój bohater, doskonała kopia jasnowłosego, niebieskookiego, mającego metr osiemdziesiąt wzrostu Anglosasa. W dodatku wampir, i jakby tego było mało, najpotężniejszy, jakiego kiedykolwiek spotkasz. Moje kły są za małe, aby zwracały uwagę, chyba że chcę inaczej, ale są bardzo ostre. Nie potrafię wytrzymać dłużej niż kilka godzin, aby nie poczuć ponownie nienasyconego pragnienia ludzkiej krwi.

Naturalnie wcale nie muszę pożywiać się tak często. I szczerze mówiąc, nie wiem, jak często muszę się pożywiać, bo nigdy nie poddałem mojej wytrzymałości takiej próbie.

Jestem potwornie silny. Potrafię unosić się w powietrzu. Słyszę ludzi rozmawiających po drugiej stronie miasta, a nawet kuli ziemskiej. Umiem czytać w myślach, potrafię rzucać uroki.

Jestem nieśmiertelny. Od 1789 roku nie postarzałem się nawet o dzień.

Czy jestem unikatowy? Bynajmniej. Na świecie istnieje jeszcze co najmniej dwadzieścia innych wampirów, o których wiem. Połowę z nich znam dość blisko, a spośród tych połowę darzę głęboką

miłością.

Dodaj do tego ze dwustu włóczęgów i nieznajomych, o których nie wiem nic, prócz tego, że od czasu do czasu ktoś rzuci słówko na ich temat, no i jeszcze z tysiąc innych, głęboko zakamuflowanych nieśmiertelnych, krążących po świecie i udających śmiertelników.

Mężczyźni, kobiety, dzieci — każda istota ludzka może się stać wampirem. Wystarczy, aby wampir zechciał cię przemienić, wyssał z ciebie niemal całą krew, a potem przeistoczył, z pomocą własnej krwi zmieszanej z twoją. To nie takie proste, ale jeśli przeżyjesz, będziesz żyć wiecznie. Kiedy jesteś młody, czujesz dojmujące pragnienie, musisz zabijać co noc. Gdy masz tysiąc lat, wyglądasz i mówisz jak mędrzec, nawet jeśli przeistoczono cię jako młodzieńca, a pijesz krew i zabijasz tylko dlatego, że nie możesz się temu oprzeć, niezależnie, czy tego potrzebujesz czy nie.

Jeżeli pożyjesz dłużej — a niektórym to się udaje, kto wie? — twardniejesz, twoja skóra bieleje, nabierasz iście potwornych cech. Wiesz o cierpieniu tyle, że przechodzisz przez gwałtowne, krótkotrwałe cykle okrucieństwa i łagodności, wewnętrznego spokoju i szaleńczego zaślepienia. Możesz popaść w obłąd. A potem znów odzyskać rozum. Później możesz w ogóle zapomnieć, kim jesteś.

Jeżeli chodzi o mnie, łączą w sobie to, co najlepsze u młodych i starych wampirów. Choć mam zaledwie dwieście lat, posiadam siłę i potęgę pradawnych. Odznaczam się współczesną wrażliwością i zarazem nienagannym gustem i smakiem dawnego arystokraty. Wiem dokładnie, kim jestem. Jestem bogaty. Jestem urodziwy. Widzę własne odbicie w lustrach. I w szybach wystawowych. Uwielbiam śpiewać i tańczyć.

Co robię? Co tylko zechcę.

Zastanów się nad tym. Czy to wystarczy, by zachęcić cię do przeczytania mojej historii? A może znasz już moje wcześniejsze opowieści?

Oto haczyk: w tej historii to, że jestem wampirem, wcale nie jest najważniejsze. To po prostu jeden z atrybutów, jak mój niewinny uśmiech, miękki głos, mowa przesycona francuskim akcentem, pełen gracji chód, jakim przemierzam ulice. To element większej całości.

Ale to, co się tu wydarzyło, mogło spotkać zwykłego człowieka, ba, z pewnością niejednemu się to przydarzyło i powtórzy się jeszcze w przyszłości.

Ty i ja mamy duszę. Pragniemy wiedzy, dzielimy tę samą ziemię, żyzną, bogatą i pełną rozlicznych niebezpieczeństw. Nikt — ani ty, ani ja — nie wie, co znaczy śmierć, mimo że niekiedy mówimy coś całkiem przeciwnego. Sęk w tym, że gdybyśmy to wiedzieli, ja nie napisałbym, a ty nie przeczytałbyś tej książki.

Istotne jest to, że skoro już mamy zgłębić tę historię, powinieneś wiedzieć, iż postawiłem sobie szczytny cel — zostać w tym świecie bohaterem. Postrzegam siebie jako osobę złożoną pod względem moralnym, twardą duchowo i wyzwoloną estetycznie, istotą pełną ciekawych przemyśleń i spostrzeżeń, rzutką i wnikliwą, jako kogoś, kto ma ci coś do powiedzenia.

Jeśli zatem zechcesz przeczytać tę książkę — zrób to właśnie z tego powodu: ponieważ Lestat znów pragnie coś powiedzieć, a chce ci wyznać, że jest przerażony, że rozpaczliwie poszukuje wiedzy, pieśni i *raison d'être*; chciałby, abyś to zrozumiał i uświadomił sobie, że to najlepsza historia, jaką ma w obecnej chwili do przekazania.

Jeżeli to nie wystarczy, sięgnij po inną książkę.

Jeżeli jednak zaciekawił cię ten wstęp, czytaj dalej. Spętany łańcuchami, mozolnie dyktowałem te słowa memu przyjacielowi i skrybie. Chodź ze mną. Wysłuchaj tego, co chcę powiedzieć. Nie zostawiaj mnie samego.

1

Ujrzałem go, kiedy wszedł przez frontowe drzwi. Wysoki, mocno zbudowany, ciemnobrązowe włosy i oczy, skóra wciąż dość śniada, ponieważ była ciemna, kiedy uczyniłem go wampirem. Poruszał się trochę za szybko, ale z grubsza mógł uchodzić za istotę ludzką.

Stałem na schodach. Na naprawdę wielkich schodach, w dobrym, starym stylu. Był to jeden z tych nader wytwornych, starych hoteli, urządzonej z cudowną przesadą, pełen złota i szkarłatu, w sumie całkiem przyjemny. To moja ofiara go wybrała. Nie ja. Moja ofiara spożywała kolację ze swoją córką. A ja z umysłu mojej ofiary wyczytałem, że zawsze spotyka się z córką w Nowym Jorku właśnie w tym miejscu z prostego powodu: ponieważ hotel znajduje się dokładnie naprzeciwko katedry Świętego Patryka.

David dostrzegł mnie od razu — stojącego w leniwej pozie, długowłosego blondyna o spalonych na brąz twarzy i dłoniach, z oczyma jak zawsze ukrytymi za fioletowymi szklami okularów i ciele przyobleczonym w granatowy, dwurzędowy garnitur od braci Brooks.

Zauważyłem, że się uśmiechnął, zanim zdążył się powstrzymać. Wiedział, że jestem próżny, i zdawał sobie sprawę, że na początku lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku rynek mody męskiej zalany został przez morze włoskiej tandety, bezkształtne, workowate, nieforemne garnitury, a te naprawdę zmysłowe, doskonale skrojone, gustowne i podkreślające wszelkie walory męskiej urody pochodzić mogą z jednego tylko miejsca: od braci Brooks.

Poza tym gęste, falujące włosy i elegancki strój zawsze stanowią urzekające połączenie. Kto wie o tym lepiej niż ja?

Nie zamierzałem rozwódzić się długo nad kwestią ubioru. Do diabła z ciuchami! Byłem dumny z własnej urody i całego mnóstwa przeuroczych sprzeczności — długich włosów, nieskazitelnie skrojonego garnituru i królewskich manier, odzwierciedlających się w luźnej, nonszalanckiej pozie, kiedy tak stałem oparty o balustradę, częściowo blokując schody.

Podszedł do mnie natychmiast. Pachniał mroźną zimą, która królowała za drzwiami, gdzie ludzie potykali się i upadali na skutych lodem ulicach i gdzie śnieg zmienił się w brudną breję.

Jego oblicze, stworzone, by je podziwiać i całować, emanowało nadnaturalnym blaskiem, który tylko

ja potrafiłem dostrzec, i miłością.

Weszliśmy razem na wyłożoną dywanem antresolę. Przez chwilę irytowało mnie, że jest ode mnie wyższy o dwa cale. Cieszyłem się jednak, że go widzę i jestem blisko niego. Poza tym było tu ciepło, dość ciemno i przestronnie, ot, jedno z miejsc, w którym ludzie nie przyglądają się sobie nawzajem.

— Przybyłeś — powiedziałem. — Nie spodziewałem się, że się zjawisz.

— Oczywiście — rzucił z przekąsem. Gładki brytyjski akcent nie całkiem współgrał z jego młodą, śniadą twarzą, co jak zwykle trochę mną wstrząsnęło. W tym młodym ciele tkwił stary mężczyzna, przeistoczony nie tak dawno w wampira, zresztą przeze mnie: jednego z najpotężniejszych wśród tych, którzy jeszcze pozostali.

— A czego się spodziewałeś? — zapytał, patrząc mi w oczy. — Armand powiedział, że chcesz mnie widzieć. Maharet również.

— To odpowiedź na moje pierwsze pytanie. — Zapragnąłem go pocałować i ni stąd, ni zowąd wyciągnąłem rękę, dość nieśmiało, powoli, aby mógł się odsunąć, gdyby tylko zechciał. Kiedy jednak pozwolił, abym go objął, kiedy odwzajemnił ciepły uścisk, poczułem radość, jakiej nie doświadczyłem od wielu miesięcy.

Nie doświadczyłem jej chyba od chwili, kiedy go opuściłem z Louisem. Znajdowaliśmy się w jakiejś nienazwanej dżungli, we trzech, i w którymś momencie postanowiliśmy się rozstać, to było mniej więcej rok wcześniej.

— Pierwsze pytanie? — rzucił, przyglądając mi się z uwagą; może taksował mnie, czyniąc wszystko, co w mocy wampira, aby odgadnąć nastrój i myśli swego stwórcy, piskłę nie jest bowiem w stanie wejrzeć do umysłu tego, kto je przeistoczył, i na odwrót.

Tak sobie staliśmy rozdzieleni, dźwigając brzemień nadnaturalnych darów, obaj pełni siłą i najróżniejszych emocji, ale nie potrafiliśmy ich wyrazić w inny sposób niż ten najprostszy i może najlepszy, czyli — słowami.

— Moje pierwsze pytanie — zacząłem — brzmi następująco: Gdzie byłeś, czy odnalazłeś innych i czy próbowali cię skrzywdzić? Cały ten ambaras, no wiesz, o to, że stwarzając cię, złamałem reguły i w ogóle...

— Cały ten ambaras — rzucił drwiąco, naśladowując swój francuski akcent połączony z amerykańskim.
— Co za ambaras.

— Chodź — rzekłem. — Pójdziemy do baru i porozmawiamy. Najwyraźniej nikt ci nic nie zrobił. Skądinąd nie spodziewałem się, by któryś z nich chciał spróbować, nie starczyłoby im odwagi. Nie pozwoliłbym ci wyruszyć w świat, gdybym się obawiał, że coś ci grozi.

Uśmiechnął się, jego brązowe oczy natychmiast wypełniły się złocistym blaskiem.

— Czy nie powtarzałeś mi tego ze dwadzieścia pięć razy, zanim się rozstaliśmy?

Znaleźliśmy dla siebie mały stolik, przy samej ścianie. W barze było niewielu ludzi, dokładnie w sam raz. Jak wyglądaliśmy w ich oczach? Jak dwaj młodzi mężczyźni polujący na młodych mężczyzn albo kobiety? Nie dbałem o to.

— Nikt mnie nie skrzywdził — odparł — nikt nawet nie próbował.

Ktoś zaczął grać na pianinie, bardzo cicho i łagodnie jak na hotelowy bar, skonstatowałem.

Był to któryś z utworów Erika Satiego. Ja to mam farta.

— Ten krawat... — powiedział, wychylając się do przodu i błyskając białymi zębami; kły miał rzecz jasna zupełnie schowane. — Ten wielki zwój jedwabiu wokół twojej szyi! On nie jest od braci Brooks! Zaśmiał się cicho, ironicznie. — Spójrz na siebie. Na te buty z czubami. Jejku!

Jejku! Co ci się kołacze w głowie? I o co właściwie w tym wszystkim chodzi?

Barman rzucił spory cień na niewielki stolik i powiedział coś, co mi umknęło wśród hałasu i podniecenia.

— Coś gorącego — rzucił David. To mnie nie zdziwiło. — No wie pan, rumowy poncz lub coś w tym rodzaju, co da się podgrzać.

Pokiwałem głową i dałem beznamietnemu kelnerowi znak, żeby dla mnie przyniósł to samo.

Wampiry zawsze zamawiają gorące drinki. Nie wypijają ich, ale chcą poczuć ciepło i zapach; to w zupełności wystarczy.

David znów na mnie spojrzał. A raczej to znajome ciało z Davidem w środku spojrzało na mnie. Za sprawą mnie David na zawsze pozostanie starszym mężczyzną, którego znałem i ceniłem, zamkniętym w tej wspaniałej powłoce spalonego na brąz, skradzionego ciała, kształtowanego powoli przez jego maniery, nastroje i emocje.

Drogi czytelniku, nie martw się, zamiana ciał nastąpiła, zanim uczyniłem go wampirem. To nie ma nic wspólnego z historią, którą teraz opowiadam.

— Znów coś cię ściga? — zapytał. — Tak przynajmniej mówił Armand. I Jesse.

— Gdzie ich widziałeś?

— Armanda? W Paryżu. Przypadkiem. Przechodził akurat ulicą. Był pierwszym, którego spotkałem.

— Nie próbował cię skrzywdzić?

— Niby dlaczego? Po co mnie wezwał? Kto cię śledzi? O co tu chodzi?

— Byłeś też z Maharet.

Usiadł wygodniej. Pokręcił głową.

— Lestacie, słęczałem nad pismami, jakich żadna istota ludzka nie widziała od stuleci. Tymi rękami dotykałem glinianych tabliczek, które...

— David uczony — powiedziałem. — Wyuczony przez Talamaskę, by być doskonałym wampirem, choć tamci nie zdawali sobie sprawy, że faktycznie się nim stajesz.

— Och, musisz zrozumieć. Maharet zabrała mnie do miejsc, gdzie przechowuje swoje skarby.

Musisz wiedzieć, co znaczy trzymać w dłoniach tabliczkę pokrytą symbolami poprzedzającymi pismo klinowe. I sama Maharet... mogłem przeżyć wiele stuleci i nigdy jej nie ujrzeć.

Maharet była jedyną, której faktycznie powinien się obawiać. Chyba obaj o tym wiedzieliśmy.

Moje wspomnienia o Maharet nie kryły w sobie uczucia zagrożenia, a jedynie zagadkę dziecka mileniów, żyjącej istoty tak starej, że każdy jej ruch przywodził na myśl płynny marmur, a jej łagodny, cichy głos przepełniała typowo ludzka elokwencja.

— Jeżeli dała ci swe błogosławieństwo, to nic więcej się nie liczy — powiedziałem z westchnieniem. Zastanawiałem się, czy sam jeszcze kiedyś ją zobaczę. Nie liczyłem na to i wcale tego nie pragnąłem.

— Widziałem także moją ukochaną Jesse — rzekł David.

— Ach, powinienem był się tego domyślić, to oczywiste.

— Zacząłem jej szukać. Wędrowałem przez świat, zalewając się łzami i wydając z siebie bezgłośny zew. Próbowałem ją przywołać, tak jak ty uczyniłeś to ze mną.

Jesse. Błada, drobnokoścista, rudowłosa. Urodzona w dwudziestym wieku, wykształcona i w dodatku mentalistka. Jesse, którą znał jako człowieka; Jesse, którą znał teraz jako nieśmiertelną.

Jesse była jego pupilką w Talamasce. A teraz dorównywał jej pod względem urody i wampirzych mocy, a w każdym razie niewiele mu do niej brakowało. Szczerze mówiąc, sam nie wiem.

Jesse została przeistoczona przez Maharet z Pierwszego Miotu, która przyszła na świat jako istota ludzka, zanim jeszcze ludzie zaczęli spisywać ich historię albo nawet nie wiedzieli, że takową mają. Teraz starszą, jeżeli można tak powiedzieć, Królową Potępionych, były Maharet i jej niema siostra, Mekare, o której nikt prawie nic nie mówił.

Nigdy przedtem nie spotkałem pisklęcia przemienionego przez istotę tak starą jak Maharet.

Jesse, gdy widziałem ją po raz ostatni, wydała mi się niemal przezroczystym naczyniem niepojętej mocy. Teraz musi już mieć własne historie do opowiedzenia, własne kroniki i przygody.

Przekazałem Davidowi moją drogocenną krew zmieszaną z krwią istot starszych jeszcze niż Maharet.

Tak, z krwią Akaszy i pradawnego Mariusa, no i nie należy zapominać, że moja krew też ma swoją siłę i moc, która, pozwolę sobie przypomnieć, jest niezmiernie.

On i Jesse musieli stanowić doborową parę. Jak przyjęła to, że jej dawny mentor przyoblekł się w nowe, młode ciało? Ogarnęła mnie zazdrość i głęboka rozpacz. Odciągnę Davida od tych bladych, wiotkich istot, które zwały go do swego sanktuarium, hen za morzem, w krainie, gdzie ich skarby przez stulecia mogły być ukryte przed skutkami wszelkiego rodzaju kryzysów i wojen.

Przychodziły mi do głowy różne egzotyczne nazwy, ale ani przez moment nie zastanawiałem się nad tym, dokąd odeszły, te dwie rudowłose, jedna pradawna, druga młoda. I przyjęły Davida do swej siedziby.

Zaskoczył mnie cichy dźwięk i obejrzałem się przez ramię. Zmitygowałem się natychmiast, zażenowany tak wyraźnie okazanymi emocjami, i przez chwilę skupiałem się w milczeniu na ofierze.

Moja ofiara wciąż siedziała w restauracji, niedaleko nas, w tym samym hotelu; mężczyźnie towarzyszyła jego piękna córka. Nie zgubię go tej nocy. Byłem tego pewien.

Westchnąłem. Dość o nim. Ścigałem go od miesięcy. Był ciekawą osobą, ale nie miał z tym nic wspólnego. Czy na pewno? Może zabiję go tej nocy, choć szczerze w to wątpiłem. Siedząc jego córkę i mając świadomość, jak bardzo ją kocha, postanowiłem poczekać, aż dziewczyna wróci do domu. Bo niby czemu miałbym podle potraktować tak piękną młodą dziewczynę? W

dotatku wiedziałem o jego miłości do niej. Teraz błagał ją usilnie, aby przyjęła prezent, który miał dla niej, coś, co odkrył niedawno i co w jego oczach było niezwykle cenne. Ja wszelako nie potrafiłem wychwycić w umyśle żadnego z nich obrazu tego podarunku.

Był doskonałą ofiarą do tropienia — barwną, chciwą, chwilami dobrą i zawsze zabawną.

A teraz wróćmy do Davida. Jakże ten olśniewający nieśmiertelny siedzący naprzeciw mnie musiał kochać wampirycę Jesse i jak stał się ulubieńcem Maharet. Czemu nie miałem w sobie za grosz szacunku wobec starszych? Czego właściwie chciałem, na miły Bóg? Nie, to nie było pytanie. Pytanie powinno brzmieć... czy coś chce mnie dopaść? Właśnie teraz? Czy uciekłem przed tym?

Kurtuazyjnie poczekał, aż znów na niego spojrzę. Zrobiłem to. Nie odezwałem się jednak. Nie powiedziałem ani słowa. Tak więc, jak na uprzejmą osobę przystało, to on zaczął mówić, wolno, niezbyt głośno, jakbym nie patrzył na niego przez szkła moich fioletowych okularów niczym na istotę skrywającą złowrogi sekret.

— Nikt nie próbował mnie skrzywdzić — powtórzył z nienagannym brytyjskim akcentem —

nikt nie zakwestionował tego, że mnie stworzyłeś, wszyscy traktowali mnie życzliwie, z szacunkiem, choć naturalnie wszyscy chcieli się dowiedzieć ze szczegółami, jak zdołałeś przeżyć spotkanie ze Złodziejem Ciał. Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo ich zaniepokoiłeś ani jak bardzo oni cię kochają.

Było to krótkie odniesienie do ostatniej przygody, która nas połączyła i pchnęła mnie do tego, bym uczynił go jednym z nas. Wtedy jednak wcale nie wychwalał mnie pod niebiosa.

— Naprawdę mnie kochają? — rzuciłem, mając na myśli innych, niedobitki naszego długowiecznego gatunku, rozsiane po całym świecie. — Wiem tylko, że nie próbowali mi pomóc.

Pomyślałem o tym, w jaki sposób pokonałem Złodzieja Ciał. Bez pomocy Davida nie wygrałbym tej walki. Nie przeżyłem niczego równie groźnego i przerażającego. Na pewno nie miałem ochoty zawracać sobie głowy moimi błyskotliwymi, utalentowanymi wampirzymi kompanami, którzy woleli stanąć z boku i nie mieszać się do tej konfrontacji.

Złodziej Ciał trafił do piekła. A ciało, które ukradł, znajdowało się teraz naprzeciw mnie, zajęte przez Davida.

— W porządku, miło mi słyszeć, że choć trochę się o mnie martwili — powiedziałem. — Sęk w tym, że znów jestem śledzony, ale teraz nie przez podstępного śmiertelnika znającego techniki projekcji astralnej i potrafiącego przejąć czyjeś ciało. Ktoś mnie tropi.

Patrzył na mnie, nie tyle z niedowierzaniem, ile raczej z przejęciem, próbując pojąć, o co mi właściwie chodzi.

— Tropi — powtórzył z zamyśleniem.

— Jak najbardziej. — Skinąłem głową. — Boję się, Davidzie. Jestem naprawdę przerażony.

Gdybym powiedział ci, co to za istota, czym jest, moim zdaniem, to coś, co mnie tropi, wybuchnąłbyś śmiechem.

— Doprawdy?

Kelner postawił przed nami gorące drinki, unosząca się z nich para była wręcz cudowna. W

powietrzu rozchodziły się dźwięki muzyki Satiego. Nieomal czuło się, że warto żyć, nawet taki wredny potwór jak ja miewa chwile niezwyklej zadumy.

Coś przyszło mi na myśl. W tym właśnie barze dwie noce wcześniej moja ofiara rzekła do córki: „Wiesz, za takie miejsca jak to mógłbym oddać duszę”. Znajdowałem się o dobrych parę jardów od nich, w miejscu, skąd zwykły śmiertelnik nie mógłby go usłyszeć, ale ja chłonałem każde słowo wypływające z jego ust i byłem urzeczony córką. Dora, tak miała na imię. Dora. To właśnie ją w osobliwy i urzekający sposób kochał mężczyzna, którego upatrzyłem sobie na ofiarę, kochał ją całym sercem, była jego córką, jedynaczką.

Zorientowałem się, że David na mnie patrzy.

— Rozmyślałem o ofierze, która mnie tu przywiodła — powiedziałem. — I jego córce. Tej nocy nie wyjdą na dwór. Śnieg sypie za gęsto, wiatr jest zbyt silny. Zabierze ją na górę, do ich apartamentu, a ona będzie stamtąd patrzeć na wieżę katedry Świętego Patryka. Rozumiesz, nie chcę stracić mojej

ofiary z oczu.

— Wielkie nieba, czyżbyś zakochał się w parze śmiertelników?

— Nie. Bynajmniej. To po prostu nowy sposób polowania. Mężczyzna to prawdziwy unikat, indywidualista, rarytas. Uwielbiam go. Chciałem pożywić się nim już w chwili, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy, ale on wciąż mnie zaskakuje. Podążam jego śladem od ponad pół roku.

Skontrolowałem ich. Tak, zgodnie z moimi przypuszczeniami wybierali się na górę. Właśnie odeszli od swojego stolika w restauracji.

Noc była zbyt paskudna, nawet jak dla Dory, która chciała pójść do kościoła i pomodlić się za ojca; nawiasem mówiąc, błagała go, aby został w hotelu i też się pomodlił. W ich myślach i słowach zawierały się dawne wspomnienia. Dora była jeszcze mała, kiedy moja ofiara przyprowadziła ją do tej katedry.

Ten mężczyzna nie wierzył w nic. A ona była kimś w rodzaju przywódczyni religijnej.

Theodora. Za pośrednictwem telewizji głosiła kazania na temat istoty cnót i strawy duchowej. A jej ojciec? Cóż, albo zabiję go, zanim dowiem się o nim zbyt wiele, albo go utracę za sprawą Dory i moje trofeum przepadnie bezpowrotnie.

Przeniosłem wzrok na Davida, który patrzył na mnie z przejęciem, opierając się barkiem o obitą satyną ścianę. W tym świetle nikt by się nie zorientował, że nie jest człowiekiem. Nawet jeden z nas mógłby się nabrać. Ja z kolei wyglądałem raczej jak gwiazdor rocka, który pragnie, by zgmiotła go uwaga całego świata.

— Ofiara nie ma z tym nic wspólnego — rzuciłem. — Opowiem ci wszystko następnym razem. Spotkaliśmy się w tym hotelu, ponieważ on się tu zatrzymał. Znasz moje gierki, moje polowania. Nie potrzebuję krwi, podobnie jak Maharet, ale nie mogą znieść myśli, że miałbym jej sobie odmówić!

— A co to za nowa gra? — spytał uprzejmie.

— Nie szukam już zwyczajnych, pospolitych złych ludzi, prostych morderców, lecz raczej wyrafinowanych przestępców o mentalności Jagona. Ten tutaj to handlarz narkotyków. Skrajny ekscentryk. Bardzo błyskotliwy. Kolekcjoner dzieł sztuki. Uwielbia mordować ludzi i zarabiać co tydzień miliardy na sprzedaży kokainy i heroiny. Ma siatki przerzutowe na całym świecie.

Bardzo kocha swoją córkę. A ona jest telewizyjnym kaznodzieją.

— Naprawdę masz słabość do śmiertelników.

— Spójrz teraz szybko ponad moim ramieniem. Widzisz dwoje ludzi w holu, zmierzających w stronę wind? — spytałem.

— Tak. — Zatrzymał na nich wzrok.

Może przystanąli we właściwym miejscu. Czulem i słyszałem ich oboje, docierał do mnie ich zapach, ale jeśli się nie obejrzę, nie będę miał pojęcia, gdzie się akurat znajdują. A jednak byli tam, ciemnowłosa uśmiechnięty mężczyzna z bladolicą, pełną zapału, niewinną córką, która w wieku dwudziestu pięciu lat była kobietą i dzieckiem zarazem.

— Znam jego twarz — rzekł David. — To gruba ryba o międzynarodowej sławie. W

niejednym kraju próbowano postawić go przed sądem, przedstawiano mu liczne zarzuty. Udało mu się uniknąć spektakularnego zamachu. Gdzie to było?

— Na Bahamach.

— Mój Boże, jak na niego trafiłeś? Spotkałeś go przypadkiem, no wiesz, tak jak na plaży znajduje się czasem cenna muszlę, czy może zobaczyłeś jego zdjęcia w gazetach?

— Poznajesz tę dziewczynę? Nikt nie wie, że łączą ich więzy rodzinne.

— Nie, nie poznaję. Ale czy powinienem? Jest taka piękna i słodka. Chyba nie zamierzasz się nią pożywić, prawda?

Zaśmiałem się na tę istic dżentelmeńską wzmiankę. Zastanawiałem się, czy David pyta swoje ofiary o pozwolenie, zanim wyssie ich krew, albo czy nalega, by uprzednio dopełniono wzajemnej prezentacji. Nie wiedziałem, w jaki sposób zabija ani jak często się pożywia.

Uczyniłem go całkiem silnym. Oznaczało to, że musiał pić krew każdej nocy. To prawdziwe błogosławieństwo.

— Ta dziewczyna śpiewa dla Jezusa w jednej ze stacji telewizyjnych — oznajmiłem. — Jej kościół będzie się kiedyś mieścił w murach starego, bardzo starego klasztoru w Nowym Orleanie.

Teraz mieszka tam sama, a swoje programy nagrywa w studiu w dzielnicy francuskiej. Jeśli się nie mylę, jej program jest nadawany przez jeden z kanałów religijnych z Alabamy.

— Zakochałeś się w niej.

— Ależ skąd. Bardzo chcę natomiast zabić jej ojca. Jej telewizyjne wystąpienia są, delikatnie mówiąc, dość niezwykle. Mówi o kwestiach natury teologicznej w ujmujący, choć racjonalny sposób, jak żaden inny teleewangelista w tym kraju. Czyż nie obawialiśmy się, że kiedyś pojawi się ktoś taki? Tańczy jak nimfa albo raczej jak kapłanka, śpiewa jak sam anioł i zaprasza widzów w studiu, by się do niej przyłączyli. Teologia i ekstaza, idealne wręcz połączenie. Czego więcej potrzeba dla czynienia dobra?

— Rozumiem — mruknął. — I to właśnie czyni te łowy bardziej ekscytującymi? Tym bardziej chcesz pożywić się jej ojcem? Nawiasem mówiąc, ojciec nie za bardzo rzuca się w oczy.

Raczej też się nie ukrywa. Jesteś pewien, że nikt nie wie o tym, że są spokrewnieni?

Drzwi windy otwarły się. Moja ofiara i jego córka weszli do kabiny, która zaczęła się unosić.

— Przychodzi i wychodzi stąd, kiedy tylko zechce. Ma mnóstwo ochroniarzy. Córka spotyka się z nim sam na sam. Chyba umawiają się przez komórkę. Ten człowiek to prawdziwy baron narkotykowy, a ona jest jego najlepiej chronioną tajną operacją. Wszyscy jego ludzie są rozstawieni w holu. Gdyby ktoś zaczął węszyć, ona pierwsza samotnie opuściłaby restaurację.

Ale on jest specem od tego typu gier. W pięciu stanach wystawiono za nim listy gończe, a on jak gdyby nigdy nic pojawia się w Atlancie na meczu bokserskim o mistrzostwo wagi ciężkiej, zajmuje jedno z najlepszych miejsc i nie lęka się aparatów fotograficznych ani kamer. Nigdy go nie złapią. Ale ja go dopadnę, ja, wampir, który tylko czeka, aby go zabić. Poza tym czyż nie jest piękny?

— Wyjaśnijmy coś sobie — rzekł David. — Mówiłeś, że ktoś czy coś cię tropi, i to nie ma nic wspólnego z tą ofiarą, eee, baronem narkotykowym, ani jego córką, teleewangelistką. Ale coś cię śledzi i choć to cię przeraża, mimo wszystko nie zamierzasz odpuścić i chcesz dopaść tego ciemnoskórego mężczyznę, który wszedł przed chwilą do windy?

Pokiwałem głową, ale nagle ogarnęły mnie wątpliwości. Nie, to nie mogło być w żaden sposób ze sobą powiązane. Poza tym to, co wstrząsnęło mną do głębi, zaczęło się, zanim jeszcze ujrzałem tę ofiarę. Po raz pierwszy zdarzyło się to w Rio, tam właśnie poczułem, że ktoś mnie tropi, po tym jak opuściłem Louisa i Davida i udałem się do Rio, by zapolować.

Nie wpadłem na trop tej ofiary do momentu, gdy nasze drogi się przecięły w moim mieście —

Nowym Orleanie. Przybył tu wiedziony jakimś kaprysem na dwudziestominutowe spotkanie z Dorą. Siedzieli w barze w dzielnicy francuskiej, a ja akurat przechodziłem obok i kiedy ujrzałem go rozpromienionego jak łuna ognia i ją, z bladym obliczem i oczyma wyrażającymi współczucie, zrozumiałem, że to właśnie to. Ogarnęło mnie nienasycone pragnienie.

— Nie, to nie ma z nim nic wspólnego — powiedziałem. — To, co mnie tropi, pojawiło się kilka miesięcy wcześniej. On nie wie, że go ścigam. Sam zresztą też nie od razu się zorientowałem, że jestem tropiony przez tę istotę, przez tego...

— Przez co?

— Obserwowanie ofiary i jego córki, jak wiesz, pochłaniało mnie bez reszty. On jest tak doskonale zły.

— Już mówiłeś, ale wyjaśnij mi wreszcie, co cię tropi. Czy to człowiek, czy jakiś stwór... co konkretnie?

— Zaraz do tego dojdę. Ten człowiek, moja ofiara, zabił tylu ludzi. Tacy jak on pławią się w liczbach. Kilogramy, liczba zabójstw, zaszyfrowane rachunki. A dziewczyna, rzecz jasna, wcale nie jest jakąś przygłupią, naiwną cudotwórczynią wmawiającą diabetykom, że może ich uleczyć z cukrzycy przez nałożenie rąk.

— Lestacie, odchodzisz od tematu. Co się z tobą dzieje? Czemu się boisz? Dlaczego nie zabijesz tego

lotra i nie zakończysz tej sprawy raz na zawsze?

— Chciałbyś już wrócić do Jesse i Maharet, zgadza się? — spytałem nagle, czując, że ogarnia mnie czarna rozpacz. — Chcesz prowadzić przez następne sto lat prace naukowe wśród tych niezliczonych tabliczek i zwojów, wpatrując się w niebieskie aż do bólu oczy Maharet i słuchając jej głosu. Wiem, że tak. Czy ona wciąż wybiera tylko niebieskie oczy?

Maharet była ślepa, wyłupiono jej oczy, kiedy uczyniono ją królową wampirów. Od tej pory zabierała oczy swoim ofiarom i korzystała z nich, dopóki nie przestawały funkcjonować, choć wampirza krew sprawiała, że dłużej nadawały się do użytku.

To było w jej wyglądzie najbardziej przerażające — biała jak marmur twarz z krwawiącymi oczami. Czemu nie skręciła karku jakiemuś wampirzemu pisklęciu i nie wyłupiła mu oczu?

Nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Czyżby w grę wchodziła lojalność wobec własnego gatunku? A może to po prostu nie miało szans powodzenia. Mimo to miała skrupuły i zasady niewzruszone jak ona sama. Kobieta pamiętająca czasy sprzed Mojżesza i kodeksu Hammurabiego, kiedy tylko faraon przemierzał ciemną Dolinę Śmierci...

— Lestacie — rzekł David — skup się. Musisz mi powiedzieć, o co chodzi. Nigdy jeszcze tak otwarcie nie mówiłeś, że coś cię przeraża. A powiedziałeś, że jesteś przerażony. Zapomnij o mnie na moment. Zapomnij o ofierze i dziewczynie. Co się dzieje, przyjacielu? Kto cię ściga?

— Najpierw chciałbym ci zadać kilka pytań.

— Nie. Powiedz mi lepiej, co się stało. Coś ci grozi, prawda? Jesteś w niebezpieczeństwie. A przynajmniej tak ci się wydaje. Właśnie dlatego mnie wezwałeś. To było żalosne błaganie.

— Czy takich słów użył Armand: „żałosne błaganie”? Nienawidzę Armanda.

David tylko się uśmiechnął i wykonał krótki, pełen zniecierpliwienia gest obiema dłońmi.

— Nie żywisz nienawiści wobec Armanda i dobrze o tym wiesz.

— Chcesz się założyć?

Spojrzał na mnie srogim, karzącym wzrokiem. To zapewne specjalność angielskich wykładowców.

— W porządku — mruknąłem. — Powiem ci. Ale najpierw chciałbym ci o czymś przypomnieć. O naszej rozmowie. Było to w czasach, kiedy miałeś swoje dawne ciało, rozmawialiśmy w twoim domu w Cotswoldach, no wiesz, kiedy byłeś jeszcze czarującym starym dżentelmenem, usychającym z rozpacz...

— Pamiętam — odparł ze spokojem. — Zanim udałeś się na pustynię.

— Nie, zaraz po tym, kiedy się okazało, że nie mogę umrzeć tak łatwo, jak sądziłem... kiedy wróciłem stamtąd cały poparzony. Zająłeś się mną. A potem zacząłeś mi opowiadać o sobie, o

swoim życiu. Wspomniałeś o pewnym zdarzeniu, którego doświadczyłeś przed wojną, w paryskiej kafejce. Pamiętasz? Wiesz, o czym mówię?

— O tak, wiem. Powiedziałem, że kiedy byłem młody, wydawało mi się, że doświadczyłem wizji.

— Tak, jakby w materii życia pojawiła się na moment szczelina, abys mógł ujrzeć rzeczy, których nie powinienes być zobaczyć.

Uśmiechnął się.

— To ty zasugerowałeś, że mogła się pojawić ta szczelina, a ja po prostu przez nią zajrzałem.

Tak jak wtedy, tak i teraz mam wrażenie, że doświadczyłem tej wizji nieprzypadkowo. Ale od tamtej pory minęło ponad pięćdziesiąt lat. A moja pamięć... cóż... nie pamiętam już za dobrze całego tego zdarzenia.

— Można się było tego spodziewać. Jako wampir będziesz pamiętał doskonale wszystko, czego doświadczyłeś od chwili przemiany, ale szczegóły ze śmiertelnego życia zaczną ci bardzo szybko umykać, zwłaszcza szczegóły związane z odczuciami zmysłowymi, będziesz ich poszukiwał za wszelką cenę — jaki smak ma wino?

Uciszył mnie ruchem ręki. To, co powiedziałem, go zabolalo. Nie chciałem, by tak się stało.

Sięgnąłem po drinka i chłonałem jego aromat. To było coś w rodzaju gorącego, świątecznego ponczu. Chyba w Anglii nazywają to wassail. Odstawiłem szklankę. Moja twarz i dłonie wciąż były ciemne po doświadczeniach na pustyni i podjętej przeze mnie próbie wzniesienia się ku słońcu. Dzięki temu jednak bardziej przypominałem śmiertelnika. Co za ironia. W dodatku moje dłonie były teraz bardziej wyczulone na ciepło.

Przeszył mnie łagodny, rozkoszny dreszczyk. Ciepło! Czasami wydaje mi się, że wszystko potrafię obrócić na swoją korzyść. Takiego sensualisty jak ja — który godzinami potrafiłby się zaśmiewać do rozpuku, kontemplując wzór na dywanie w hotelowym holu — nie sposób oszukać.

Znów poczułem na sobie jego wzrok. Najwyraźniej doszedł już trochę do siebie albo wybaczył mi po raz tysięczny, że bez pytania i wbrew jego woli umieściłem jego duszę w tym wampirzym ciele. Spojrzał na mnie niemal z czułością, jakbym potrzebował tego zapewnienia z jego strony.

Potrzebowałem. I przyjąłem je.

— W tej paryskiej kafejce usłyszałeś, jak dwie istoty rozmawiają z sobą — rzekłem, powracając do wizji z przeszłości. — Byłeś młody. Wszystko to narastało stopniowo. I nagle uświadomiłeś sobie, że ich wcale tam nie ma, tych dwóch, przynajmniej w sensie fizycznym, a język, jakim się porozumiewali, był dla ciebie zrozumiały, choć nie potrafiłeś go zidentyfikować.

— Zgadza się. — Skinął głową. — I brzmiało to dokładnie tak, jakby Bóg i szatan rozmawiali ze sobą.

Pokiwałem głową.

— A kiedy zostawiłem cię w dżungli w ubiegłym roku, powiedziałaś, żebym się nie przejmował, że nie wybierasz się na religijną wędrowkę, by odnaleźć Boga i szatana z paryskiej kafejki. Mówiłaś, że będąc w Talamasce, poświęcałaś swoje śmiertelne życie na poszukiwanie tego typu przypadków. A teraz zamierzasz zająć się zupełnie czymś innym.

— Tak właśnie powiedziałem — przyznał. — Wizja wydaje mi się teraz bardziej mglista niż wtedy, gdy ci o niej opowiadałem. Ale pamiętam ją. Wciąż ją pamiętam i wciąż wierzę, że coś zobaczyłem i usłyszałem, choć tak dziś, jak i wtedy, nie mam pojęcia, co to właściwie było.

— A zatem pozostawiasz Boga i szatana Talamasce, tak jak zapowiedziałaś.

— Pozostawiam szatana Talamasce — odparł. — Nie sądzę, by Talamaska jako zakon telepatów i jasnowidzów kiedykolwiek na dobre interesowała się Bogiem.

Było to jak najbardziej znajome werbalne terytorium. Musiałem to przyznać. Obaj mieliśmy oko na Talamaskę. Tylko jeden wszakże członek tego elitarnego kręgu uczonych poznał prawdę o losie Davida Talbota — były generał zakonu, człowiek, który dziś już nie żył. Nazywał się Aaron Lightner.

David bardzo ciężko przeżył stratę tej jedynej osoby, która wiedziała, kim jest obecnie; człowieka, który był dla niego tak wiernym i wypróbowanym przyjacielem, jak on sam był dla mnie.

Najwyraźniej chciał pójść dalej tym tropem.

— Miałaś wizję? — zapytał. — To tak cię przeraziło?

Pokręciłem głową.

— Nic równie wyrazistego. Ale śledzi mnie pewna istota i od czasu do czasu na mgnienie oka pozwala mi coś dostrzec. Przede wszystkim ją słyszę. Niekiedy słyszę ją, jak rozmawia z kimś normalnym głosem, albo na ulicy dochodzi mnie odgłos jej kroków i natychmiast się odwracam.

To prawda. Boję się jej. A kiedy mi się pokazuje, cóż, zazwyczaj jestem tak zdezorientowany, że ląduję w rynsztoku jak zwykły ochlapus. Mija tydzień. I nic. A potem znów słyszę fragmenty tej rozmowy...

— Jak brzmią słowa?

— Nie potrafię powtórzyć całych fragmentów. Wychwytyuję je na pewien czas przed tym, jak zdaję sobie sprawę, co właściwie słyszę.

Na pewnym poziomie wiem, że słyszę głos dochodzący z jakiegoś innego miejsca, bo mam świadomość, że w pomieszczeniu obok nikogo nie ma. Ale kto wie, może to zjawisko da się wytłumaczyć w sposób racjonalny, może istnieje jakieś naukowe wyjaśnienie.

— Rozumiem.

— Wydaje się, że są to fragmenty rozmowy dwóch osób i jedna z nich, właśnie ta, mówi. „O

nie, on jest idealny, to nie ma nic wspólnego z zemstą, jak mógłbyś przypuszczać, że chodzi mi o zwykłą zemstę?” — Przerwałem, wzruszyłem ramionami. — Rozumiesz, to urywek trwającej już od jakiegoś czasu rozmowy.

— Tak — mruknął — a ty masz wrażenie, że ta istota pozwala ci usłyszeć ten fragment... tak jak ja uznałem, że wizja w kafejce była przeznaczona właśnie dla mnie.

— Otóż to. Doskonale to ująłeś. To mnie dręczy. Zaledwie dwa dni temu byłem w Nowym Orleanie. Szpiegowałem Dorę, córkę mojej ofiary. Mieszka w klasztorze, o którym już wspomniałem. To stary gmach z lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku, od dawna niezamieszany i rozbebeszony tak, że wygląda jak ceglany zamek, a ten miły wróbelek, ta cudna dziewczuszka mieszka tam bez cienia lęku, zupełnie sama, samiuteńka. I błąka się po całej tej budowli, jakby była nietykalna. Zjawiłem się tam i osiadłem na dziedzińcu. Widzisz, sam klasztor ma typowy jak na tamte czasy układ: gmach główny, dwa długie skrzydła i wewnętrzny dziedziniec.

— Tak, to typowe dla ceglanych budowli z końca dziewiętnastego wieku.

— Zgadza się. Patrzyłem przez okno na tę dziewczynę, wędrującą samotnie ciemnymi korytarzami. Miała w ręku latarkę.

I śpiewała pod nosem jeden z tych swoich hymnów. Wszystkie one wydają się stare i współczesne zarazem.

— Chyba odpowiednim terminem będzie tu new age — podpowiedział David.

— Tak, coś w tym rodzaju, ale ta dziewczyna pokazuje się w programie jednej z ekumenicznych sieci telewizyjnych. Już ci o tym mówiłem. Jej program jest nader konwencjonalny. Uwierz w Chrystusa, a będziesz zbawiony. Tańcem i śpiewem kieruje ludzi do Nieba, zwłaszcza kobiety, a w każdym razie wskazuje im tam drogę.

— No, mów dalej, obserwowałeś ją...

— Tak myślałem sobie, jaka jest odważna. W końcu dotarła do swojego pokoju — mieszka w jednej z czterech wież gmachu głównego; przysłuchiwałem się, jak przekręca zasuwki przy drzwiach.

I pomyślałem, że nie ma drugiego śmiertelnika, który chciałby się błąkać po tym ciemnym budynku, zwłaszcza że to miejsce nie jest w pełni czyste pod względem duchowym.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Drobne duchy, elementale, tak je chyba nazywacie w Talamasce, zgadza się?

— Tak, elementale — przyznał.

— Cóż, było ich parę w tym budynku i wokół niego, ale nie czyniły tej dziewczynie krzywdy.

Jest po prostu zbyt odważna i silna. Ale nie wampir Lestat, który ją szpiegował, on nie jest zbyt odważny. Był na dziedzińcu i nagle usłyszał bardzo wyraźny głos, jakby dwie osoby rozmawiały tuż przy jego uchu. Ten drugi, nie ten, który mnie śledzi, powiedział bardzo wyraźnie: „Nie, nie dostrzegam go w tym słabym świetle”. Odwróciłem się raz i drugi, próbując odnaleźć tę istotę, zbliżyć się do niej mentalnie i duchowo, stawić jej czoło, przywabić, i nagle zdałem sobie sprawę, że dygocę cały, a te małe duszki, no wiesz, Davidzie, te elementale... które wyczuwałem dookoła... szeptały mi wprost do ucha.

— Wiesz, Lestacie, sprawiasz wrażenie, jakbyś postradał swój nieśmiertelny rozum —

powiedział. — Nie, nie wściekaj się. Wierzę ci. Ale wróćmy do tematu. Dlaczego śledziłeś tę dziewczynę?

— Chciałem ją po prostu zobaczyć. Ten mężczyzna, moja ofiara, zaczął się martwić tym, kim jest... co robi i co wiedzą na jego temat władze. Boi się, że ją pogrąży, kiedy w końcu wpadnie i w gazetach zaczną się pojawiać artykuły na jego temat. Sęk w tym, że on nie doczeka procesu.

Bo wcześniej ja go zabiję.

— Nie wątpię. I kto wie, może zdołasz ocalić jej kościół, nieprawdaż? Zabijesz go szybko i sprawnie, rach — ciach i już. Może się mylę?

— Nie skrzywdziłbym jej za żadne skarby świata. Nic nie mogłoby mnie do tego nakłonić. —

Siedziałem przez chwilę w milczeniu.

— Czy aby na pewno nie jesteś zakochany? Wydajesz się nią urzeczony.

Pogrążyłem się we wspomnieniach. Nie tak dawno zakochałem się w śmiertelniczce imieniem Gretchen, która była zakonnica. I doprowadziłem ją do obłędu. David znał całą tę historię.

Spisałem ją, podobnie jak historię Davida, i zarówno on, jak Gretchen przeszli do historii jako bohaterowie mojej powieści. Wiedział o tym.

— Nigdy nie ujawniłbym się przed Dorą, tak jak to uczyniłem z Gretchen — odparłem. —

Nie. Nie skrzywdziłbym Dory. Dostałem nauczkę i wyciągnąłem z tej lekcji odpowiednie wnioski. Zależy mi tylko na tym, aby zabić jej ojca w taki sposób, by jak najmniej cierpiał, a mnie dał jak najwięcej przyjemności. Ona wie, kim jest jej ojciec, ale chyba nie zdaje sobie sprawy, ile może mieć przez niego kłopotów.

— Ach, Lestacie, te twoje gierki.

— Cóż, muszę się czymś zająć, by nie myśleć o tropiącej mnie istocie, w przeciwnym razie postradałbym zmysły.

— Ciii... co się z tobą dzieje? Na Boga, ależ jesteś roztrzęsiony...

— Jasne, że tak — przyznałem.

— Powiedz mi coś więcej o tej istocie. Przekaż mi więcej fragmentów.

— Nie są warte powtarzania. To kłótnia. I powiadam ci, że chodzi w niej o mnie. Davidzie, odniosłem wrażenie, jakby Bóg i szatan kłócili się o mnie.

Wstrzymałem oddech. Bolało mnie serce, biło tak szybko, zbyt szybko jak na wampira.

Oparłem się plecami o ścianę, zlustrowałem bar — głównie śmiertelnicy w średnim wieku, kobiety w staroświeckich futrach, łysiejący mężczyźni, podpici na tyle, by zachowywać się głośno i beztrosko jak banda młodzików.

Pianista zagrał znany kawałek, chyba z którejś z broadwayowskich sztuk. Melodia była smutna i ckliwa. Jedna ze starszych kobiet przy barze zaczęła się kołysać w rytm muzyki, szepcząc słowa uszminkowanymi ustami i paląc przy tym papierosa. Wywodziła się z pokolenia, które paliło tyle, że teraz o rzuceniu w ogóle nie było mowy. Miała skórę jak jaszczurka. Mimo to była niegroźną i piękną istotą. Wszyscy oni byli niegroźnymi i pięknymi istotami.

A moja ofiara? Słyszałem go. Wciąż rozmawiał z córką w swoim apartamencie na górze.

Może zechciałaby przyjąć jeszcze jeden podarunek? To był rysunek, a może obraz. Ten człowiek był gotów dla córki przynieść góry, ale ona nie chciała od niego prezentów i nie zamierzała ocalić jego duszy.

Zacząłem się zastanawiać, do której otwarta jest katedra Świętego Patryka. Ona bardzo chciała tam pójść. Jak zwykle nie przyjęła od ojca pieniędzy. „Są nieczyste”, rzuciła bez ogródek. „Rogę, pragnę twojej duszy. Nie mogę przyjąć tych pieniędzy dla kościoła! One pochodzą z przestępstwa! Są brudne”.

Na zewnątrz znów zaczął sypać śnieg. Pianista zagrał kolejną melodię, tym razem głośniej i z większą werwą. Andrew Lloyd Weber w swoim najlepszym okresie, pomyślałem. Fragment *Upiora w operze*. W holu zrobiło się jakieś zamieszanie, a ja odwróciłem się na krześle, obejrzałem przez ramię, po czym przeniosłem wzrok na Davida. Nasłuchiwałem. Wydawało mi się, że znów to usłyszałem, jakby kroki, echo kroków, celowo przerażających kroków.

Usłyszałem to. Wiedziałem, że dygoczę. I nagle było po wszystkim. Dźwięki ucichły.

Spojrzałem na Davida.

— Zmartwiałeś z przerażenia, Lestacie, czyż nie? — zapytał ze współczuciem.

— Zrozum, Davidzie, wydaje mi się, że idzie po mnie diabeł. Chyba chce mnie porwać do piekła.

Zaniemówił. Bo w sumie cóż mógłbym dodać? Co wampir mógł powiedzieć wampirowi na ten temat? Co mógłbym powiedzieć, gdyby Armand, starszy ode mnie o trzysta lat i o wiele bardziej niegodziwy, poinformował mnie, że idzie po niego diabeł? Wyśmiałbym go. Rzuciłbym jakiś okrutny

żart, że w pełni na to zasłużył i że tam, na dole, spotka wielu z naszych, cierpiących katusze obmyślane specjalnie dla krwiopicjów, okrutne i tak wyrafinowane, że nie doświadczył

ich nigdy żaden potępiony śmiertelnik. Wzdrygnąłem się.

— Dobry Boże — szepnąłem pod nosem.

— Chcesz powiedzieć, że to widziałeś?

— Niezupełnie. Byłem... gdzieś, nieważne. Chyba w Nowym Jorku, tak właśnie tam, wraz z nim...

— Z ofiarą.

— Tak. Śledziłem go. Przeprowadzał jakąś transakcję w galerii sztuki. W centrum. Niezły z niego przemytnik. To jeden z przymiotów jego niezwyklej osobowości: uwielbia piękne, stare przedmioty, podobnie jak ty, Davidzie. Może kiedy się nim wreszcie posilę, wezmę dla ciebie coś z jego precjozów.

David milczał, ale zauważyłem, że ta perspektywa go mierzyła, oburzała.

— Średniowieczne księgi, krucyfiksy, biżuteria, relikwie, oto czym się zajmuje. To właśnie dlatego zaczął handlować narkotykami, aby zdobywać dzieła sztuki sakralnej zaginione podczas drugiej wojny światowej w Europie, no wiesz, rabować bezcenne posągi i rzeźby aniołów i świętych. Najcenniejsze ze swych zdobyczy przechowuje w mieszkaniu na Upper East Side. To jego wielka tajemnica. Sądzę, że początkowo forsa z handlu narkotykami miała być dla niego środkiem do osiągnięcia określonego celu. Ktoś miał coś, na czym mu zależało. Sam nie wiem.

Zaglądałem do jego umysłu, ale w końcu mnie to znudziło. To zły człowiek, zgromadzone przez niego relikwie nie mają w sobie żadnej magii, a mnie czeka piekło.

— Nie tak szybko — uciął. — Tropiciel. Mówisz, że coś widziałeś. Ale co konkretnie?

Zamilkłem. Obawiałem się tej chwili. Nawet sam z sobą nie próbowałem rozpamiętywać tych doznań. Mimo to musiałem jakoś przez to przebrnąć. Wezwałem Davida na pomoc. Musiałem to wyjaśnić.

— Znajdowaliśmy się na ulicy, konkretnie na Piątej Alei. Ofiara jechała samochodem do północnej części miasta. Wiem, że ma tam sekretne mieszkanie, w którym przechowuje swoje skarby. Ja po prostu szedłem, zwyczajnie, jak człowiek. Przystanąłem u wejścia do hotelu.

Chciałem zajrzeć do środka, aby popatrzeć na kwiaty. Bo wiesz, w hotelach takich jak ten zawsze jest mnóstwo kwiatów. Kiedy masz już dość zimy, do tego stopnia, że nieomal popadasz w obłęd, zawsze możesz wejść do któregoś z hoteli i zobaczysz tam świeże, pachnące bukiety najcudowniejszych lilii.

— Tak — przyznał z cichym westchnieniem. — Wiem.

— Byłem w holu. Patrzyłem na ten wielki bukiet. Chciałem... eee... zostawić tam jakiś datek, no wiesz, jak w kościele... dla tych, którzy ułożyli ten bukiet, coś w tym rodzaju, i pomyślałem sobie, że może powinienem zabić moją ofiarę, i nagle... przysięgam, Davidzie, że tak właśnie było... ziemia zniknęła. Hotel również. Nie znajdowałem się w żadnym konkretnym miejscu, nie stałem na niczym, a mimo to otaczali mnie ludzie, wyjący, szczebioczący, krzyczący, płaczący i śmiejący się, tak, właśnie tak, śmiejący się, to wszystko działo się równocześnie, a światło, Davidzie, światło było oślepiające. To nie była ciemność, nie było zakrawających na banał ogni piekielnych, i sięgnąłem przed siebie. Nie zrobiłem tego fizycznie. Nie mogłem odnaleźć moich rąk. Sięgałem do przodu wszystkim, czym tylko mogłem, każdą kończyną, każdym włóknem mego ciała, usiłując czegoś dotknąć, odzyskać równowagę, i nagle zorientowałem się, że stoję na twardej ziemi, przede mną zaś stoi ta istota, i pada na mnie jej cień. Nie potrafię opisać tego słowami! To było potworne. Najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem. Za tą istotą pojawiło się silne światło, a ona stała pomiędzy mną a jego źródłem i miała oblicze, ta twarz była ciemna, prawie czarna, a kiedy na nią spojrzałem, całkiem straciłem nad sobą kontrolę. Chyba ryknąłem.

Nie wiem jednak, czy w rzeczywistym świecie wydałem z siebie jakiś dźwięk. Kiedy odzyskałem zmysły, wciąż tam stałem, w hotelowym holu. Wszystko wyglądało zwyczajnie, miałem wrażenie, jakbym spędził w tym innym miejscu całe lata, fragmenty wspomnień ulatywały z mej pamięci, traciłem je w błyskawicznym tempie, tak szybko, że nie potrafiłem zebrać w sobie jednej zwartej myśli, konkretnej sugestii czy choćby propozycji. Pamiętałem jedynie to, co ci właśnie opowiedziałem. Stałem tam. Patrzyłem na kwiaty. Nikt w holu nie zwrócił na mnie uwagi. Udawałem, że wszystko gra. Wciąż jednak próbowałem sobie przypomnieć, ścigałem te oderwane fragmenty, nękany przez urywki rozmów, pojedyncze słowa i obrazy i przez cały czas, bardzo wyraźnie widziałem przed sobą tę prawdziwie szpetną, mroczną istotę, uosobienie doskonałego demona, którego mógłbyś stworzyć, gdybyś chciał kogoś pozbawić zmysłów.

Wciąż widziałem tę twarz i...

— Tak?

— ...od tamtej pory ujrzałem ją jeszcze dwukrotnie. Zdałem sobie sprawę, że ocieram czoło niewielką serwetką, którą przyniósł mi kelner. Znow się pojawił. David złożył zamówienie. A potem nachylił się do mnie.

— Sądzisz, że widziałeś diabła.

— Niewiele jest rzeczy, które mogłyby mnie przerazić, Davidzie — powiedziałem. — Obaj o tym wiemy. Nie ma takiego wampira, którego bym się bał. Ani wśród tych najstarszych, ani najbystrzejszych, ani najbardziej okrutnych. Nie boję się nawet Maharet. Cóż wiem o zjawiskach i istotach nadprzyrodzonych, jeśli nie liczyć wampirów? Elementale, poltergeisty, małe, zbłąkane duchy, o których wiemy i które widywaliśmy... te, które przywoływałeś dzięki magii Candomble.

— Tak — przyznał.

— To był Rogaty, we własnej osobie, Davidzie. Uśmiechnął się, ale bez zbędnej protekcjonalności.

— Nic dziwnego, Lestacie — rzekł, kusząco przeciągając zgłoski. — Po ciebie mógłby przyjść tylko sam Rogaty, szatan we własnej osobie.

Obaj się zaśmialiśmy. Wydaje mi się, że pisarze określają to czasem jako posępny śmiech.

— Po raz drugi to było w Nowym Orleanie — mówiłem dalej. — Znajdowałem się blisko domu, naszego mieszkania przy rue Royale. Tak tylko spacerowałem. I nagle usłyszałem za sobą kroki, jakby coś celowo szło moim śladem i chciało, abym o tym wiedział. Do kroćset, sam robiłem podobne sztuczki ze śmiertelnikami, to okrutne i niesamowite. Boże! Po co zostałem stworzony! I wreszcie po raz trzeci to coś pojawiło się bliżej mnie niż dotychczas. Ten sam scenariusz. Wielka, górująca nade mną istota. Skrzydła, Davidzie. Albo miała skrzydła, albo ja, w przypływie przerażenia, sam jej te skrzydła przydałem. To skrzydlata istota, upiorna i odrażająca. Za trzecim razem widziałem ją nieco dłużej, na tyle długo, że zaraz rzuciłem się do ucieczki. Uciekłem przed nią, Davidzie, jak tchórz. A potem się ocknąłem, jak zawsze, w znanym mi miejscu, gdzie się to zaczęło, i wszystko było tak jak dawniej, jakby nic się nie wydarzyło.

— Ta istota, kiedy ci się pokazuje, nie próbuje do ciebie przemówić?

— Nie. Raczej stara się doprowadzić mnie do obłądu. Pragnie raczej... zmusić mnie do czegoś. Pamiętasz, co powiedziałaś, Davidzie, że nie wiesz, dlaczego Bóg i szatan pozwolili, byś ich zobaczył?

— Czy nie przyszło ci na myśl, że ma to jakiś związek z ofiarą, którą ścigasz? Ze może ktoś, kto coś wie, chce, abyś zabił tego człowieka?

— To absurd, Davidzie. Pomyśl o wszystkich cierpieniach na tym świecie. O tym, co dzieje się w różnych jego zakątkach choćby tej nocy. Pomyśl o umierających w Europie Wschodniej, o wojnie w Ziemi Świętej i o tym, co dzieje się tu, w tym mieście, sądzisz, że Bogu lub szatanowi mogłoby zależeć na jednym człowieku? A nasz gatunek od stuleci karmi się słabymi, atrakcyjnymi i tymi, którym nie sprzyja szczęście. Czy kiedykolwiek szatan interweniował w przypadku Louisa, Armanda, Mariusa, kogokolwiek z nas? Och, gdyby można było go przywołać i raz na zawsze poznać prawdę!

— Naprawdę chcesz to wiedzieć? — zapytał z naciskiem. Zastanawiałem się nad tym przez chwilę. Pokręciłem głową.

— Może dałoby się to jakoś wyjaśnić. Nie mogę znieść tej sytuacji! Nie chcę się dłużej bać.

Może popadam w obłąd. Wiesz, jak to jest: pojawiają się twoje demony i dopadają cię tak szybko, jak tylko potrafisz je tworzyć.

— Lestacie, ta istota to diabeł, czy to chcesz właśnie powiedzieć? Już miałem odpowiedzieć, ale się zmytygowałem. Diabeł.

— Mówiłeś, że wygląda paskudnie, wspominałeś o nieznośnym hałasie i świetle. Czy to było złe? Wyczułeś zło?

— Właściwie to nie. Wcale nie. Poczułem to samo, co wówczas, kiedy usłyszałem strzępy tamtej

rozmowy, niezwykłą, ujmującą szczerłość, i celowość — chyba tak mógłbym to określić, szczerłość i celowość. I coś ci powiem, Davidzie, na temat tej istoty, tej istoty, która mnie tropi: ona ma w swoim sercu bezsenny umysł i nienasyconą osobowość.

— Co takiego?

— Bezsenny umysł w sercu — powtórzyłem z naciskiem — i nienasyconą osobowość. —

Zdawałem sobie sprawę, że to jest cytat, ale nie wiedziałem, z czego, może z jakiegoś wiersza?

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał cierpliwie.

— Nie wiem. Nawet nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Nie mam pojęcia, skąd przyszły mi do głowy akurat te słowa. Ale są prawdziwe. Ta istota ma w sercu bezsenny umysł i nienasyconą osobowość. Nie jest śmiertelnikiem. Nie jest istotą ludzką!

— Bezsenny umysł w sercu — powtórzył David. — I nienasycona osobowość.

— Tak. On jest mężczyzną. Ta istota znaczy się. To istota rodzaju męskiego. Nie, zaczekaj, wróć. Nie wiem, czy jest rodzaju męskiego... nie mam pojęcia, jakiego jest rodzaju... nic nie wskazuje na rodzaj żeński, może tak to ujmemy... a skoro nie ma wyraźnych cech żeńskich, musi być mężczyzną.

— Rozumiem.

— Sądzisz, że oszalałem, prawda? Masz taką nadzieję, zgadza się?

— Oczywiście, że nie.

— Powinieneś — rzekłem. — Bo jeśli on istnieje nie tylko w mojej głowie, jeśli istnieje naprawdę, to może dopaść także ciebie.

To wprowadziło go w konsternację i zamyślenie; po chwili odezwał się jednak, a słowa, które wypowiedział, kompletnie mnie zaskoczyły.

— Ale jemu nie zależy na mnie, prawda? Ani na nikim innym. On chce ciebie.

Byłem zdruzgotany. Jestem pyszałkiem. Egoistą. Uwielbiam poklask i lubię znajdować się w centrum uwagi. Pragnę chwały. Chcę, aby właśnie na mnie zależało Bogu i szatanowi. Chcę tego, chcę, chcę, chcę, chcę.

— Nie myśl, że zamierzam coś ci wyrzucić — powiedział. — Sugeruję jedynie, że ta istota nie zagraża innym. Weź pod uwagę, że przez te setki lat nikt z pozostałych... nikt, kogo znamy, nie wspomniął o podobnych przypadkach. Nawiasem mówiąc, w swoich zapiskach, w swoich książkach niejednokrotnie stwierdzałeś otwarcie, że żaden wampir nigdy nie widział szatana, zgadza się?

Potwierdziłem to wzruszeniem ramion. Louis, mój ukochany, moje piskłę, przemierzał kiedyś świat w poszukiwaniu „najstarszego” wampira, a Armand powitał go z otwartymi ramionami, stwierdzając,

że nie ma Boga ni szatana. Ja sam pół wieku wcześniej też poszukiwałem

„najstarszego” — był nim dla mnie Marius, stworzony w czasach cesarstwa rzymskiego.

Usłyszałem od niego te same słowa. Nie ma Boga. Ani szatana.

Siedziałem nieruchomo, świadom drobnych, lecz nieprzyjemnych niedogodności: w barze było tłoczno, perfumy nie były bynajmniej perfumami, brakowało tu lilii, na zewnątrz panował

siarczasty mróz, ja zaś nie miałem co myśleć o wypoczynku, dopóki świt nie zmusi mnie do tego, noc była długa, a mnie nie udało się przekonać Davida i kto wie... może go utracę... w dodatku to coś... ta istota mogła znowu się pojawić.

— Zostaniesz przy mnie? — Nienawidziłem tych słów.

— Będę ci towarzyszył i spróbuję pomóc, gdyby to coś zechciało cię zabrać z sobą.

— Naprawdę?

— Tak — odrzekł.

— Dlaczego?

— Nie wygłupiaj się — powiedział. — Nie wiem, co widziałem w tamtej paryskiej kafejce.

Nigdy więcej nie zobaczyłem ani nie usłyszałem niczego podobnego. Wiesz o tym, opowiedziałem ci kiedyś całą moją historię. Udałem się do Brazylii, poznałem sekrety Candomble. Tej nocy... kiedy po mnie przybyłeś... próbowałem przywołać duchy.

— Stawiły się na wezwanie. Były jednak zbyt słabe, aby mogły pomóc.

— To fakt. Ale... o czym to świadczy? Tylko o tym, że cię kocham i że jesteśmy ze sobą złączeni w sposób, który nie jest dany nikomu innemu. Louis traktuje cię niemal z nabożną czcią.

Jesteś dla niego niczym mroczne bóstwo, choć udaje, że cię nienawidzi za to, że go stworzyłeś.

Armand ci zazdrości i szpieguje cię w większym zakresie, niż mógłbyś się spodziewać.

— Słyszę Armanda, widzę go, ale ignoruję — odparłem.

— Marius nie może ci wybaczyć, że nie zostałeś jego uczniem, chyba o tym wiesz, chciał

uczynić z ciebie swego akolitę. Ma do ciebie żal, że nie wierzysz w historię jako swego rodzaju logiczne odkupienie.

— Dobrze powiedziane. To jest to, w co on wierzy. Ale żywi do mnie złość za poważniejsze sprawy, nie byłeś jeszcze jednym z nas, kiedy obudziłem Matkę i Ojca. Nie było cię tam. Ale to

zupełnie inna historia.

— Wiem o niej wszystko. Zapomniałeś o swoich książkach. Czytam je, kiedy tylko się ukazaą, gdy wypuszczasz je w świat śmiertelników.

Zaśmiałem się gorzko.

— Może szatan też czyta moje książki — powiedziałem. Mierziło mnie to, że tak się bałem. I byłem coraz bardziej wkurzony.

— Najważniejsze, że pozostanę przy tobie — powiedział. Wlepił wzrok w blat stolika, co czynił często, gdy był jeszcze śmiertelnikiem, kiedy mogłem wejrzeć w jego umysł, lecz on bardzo szybko mnie z niego wypierał. Teraz dzieliła nas po prostu nieprzenikniona bariera. Już nigdy nie będzie mi dane wejść w jego myśli.

— Jestem głodny — wyszeptałem.

— Zapoluj. Pokręciłem głową.

— Gdy będę gotowy, nasycę się tą ofiarą. Kiedy tylko Dora opuści Nowy Jork, by wrócić do swego klasztoru. Ona wie, że dni tego starego łotra są policzone.

Tak właśnie pomyśli, kiedy z nim skończę: że dopadł go jeden z jego licznych wrogów, że otrzymał zapłatę za swoje złe uczynki. To bardzo biblijne, gdy zło upomina się o swoje; idealny zabójca krąży po Dzikim Ogrodzie od zarania dziejów, poszukując soczystego kąska, natrafia na kogoś takiego jak jej ojciec i ani się obejrzy, jak jest po wszystkim.

— Zamierzasz go torturować?

— Davidzie, zadziwiasz mnie. Cóż za impertynenckie pytanie.

— Chcesz to zrobić? — zapytał nieco bardziej trwożliwie, niemal błagalnym tonem.

— Nie sędzę. Chciałem tylko... — Uśmiechnąłem się. Wiedział już dostatecznie dużo. Nikt nie musiał mu już opowiadać o picciu krwi, o duszy, pamięci, duchu i sercu. Nie rozpoznałbym tej plugawej kreatury, tego paskudnego śmiertelnika, dopóki nie spróbowałem go przemienić, przytuliłem go do piersi i wbiłem kły w jego tętnicę szyjną. Ach, zbyt wiele myśli, za dużo wspomnień i gniewu.

— Zamierzam zostać z tobą — powiedział. — Masz tu gdzieś pokój?

— Nic odpowiedniego. Znajdziemy coś sobie. Najlepiej w pobliżu... katedry.

— Dlaczego?

— Ależ, Davidzie, powinieneś wiedzieć dlaczego. Jeżeli diabeł zacznie ścigać mnie wzdłuż Piątej Alei, wbiegnę do katedry Świętego Patryka, podbiegnę do głównego ołtarza, padnę na kolana przed

Najświęszym Sakramentem i będę błagał Boga o wybaczenie, będę prosił Go, by nie ciskał mnie do rzeki ognia i siarki.

— Naprawdę jesteś bliski obłądu.

— Bynajmniej. Spójrz na mnie. Potrafię zawiązać sznurowadła. Widzisz? Krawat również.

Trzeba się trochę natrudzić, aby wyglądać przyzwoicie, a nie jak szaleniec z chustą niedbale owiniętą wokół szyi. Jakoś się trzymam, daję radę, jak mawiają śmiertelnicy. Znajdziesz dla nas jakieś lokum?

Pokiwał głową.

— Gdzieś tu, niedaleko katedry, jest szklana wieża. Gigantyczny budynek.

— Olympic Tower.

— Tak, czy mógłbyś wynająć tam dla nas pokoje? W zasadzie tego rodzaju sprawy załatwiają dla mnie agenci — śmiertelnicy. Nie mam pojęcia, czemu właściwie jęczę jak niedojda i proszę cię, byś uczestniczył w tak upokarzającym dla mnie doświadczeniu.

— Zajmę się tym. Dziś jest już raczej za późno, ale załatwię to jutro wieczorem. Użyję nazwiska David Talbot.

— Moje rzeczy. Są tu przechowywane, w pokoju wynajętym na Isaaca Rummela. Jedna, dwie walizki, kilka płaszczy. Jest przecież zima, prawda? — Dałem mu klucz do pokoju. To było upokarzające. Zupełnie jakbym robił zeń służącego. Może zmieni zdanie i wynajmie dla nas pokój na nazwisko Renfield.

— Zajmę się wszystkim. Jutro o tej porze będziemy mieć do swojej dyspozycji prawdziwie królewski apartament. Zostawię dla ciebie klucze w recepcji. A co ty będziesz robił przez ten czas?

Czekałem. Nasłuchiwałem ofiary. Wciąż rozmawiał z Dorą. Wyjeżdża z samego rana.

Wskazałem palcem w górę.

— Zabiję tę kanalię. Chyba zrobię to jutro, tuż po zmierzchu, jeśli tylko zdołam go dostatecznie szybko namierzyć. Dora do tego czasu wyjedzie. Och, ależ jestem głodny. Szkoda, że nie wylatuje już dziś, nocnym samolotem. Doro, Doro.

— Naprawdę lubisz tę małą, czyż nie?

— Tak. Zobacz ją kiedyś w telewizji, przekonasz się. Ma dość niezwykle talenty, a w dodatku jej nauki zawierają niebezpieczny ładunek emocjonalny.

— Czy naprawdę ma dar?

— Pod każdym względem. Bardzo blada skóra, krótko przycięte, czarne włosy, długie, szczupłe, ale kształtne nogi. Kiedy tańczy, wpada w takie zapamiętanie i tak wymachuje przy tym rękoma, że wygląda jak wirujący derwisz albo sufi, kiedy zaś mówi, w jej głosie brzmi nie tyle pokora, ile raczej zadziwienie i niepojęta, niesamowita łagodność.

— Tak też myślałem.

— Cóż, z religią nie zawsze tak jest, sam wiesz. Ona wcale nie grzmi o nadciągającej Apokalipsie ani nie grozi, że szatan porwie cię do piekła, jeśli nie przyślesz jej czeku.

Zamyślił się na chwilę, po czym mruknął:

— Wiem, jak to jest.

— Nie, wcale nie wiesz. Kocham ją, to fakt, ale niedługo całkiem o niej zapomnę. Tyle że...

no cóż, to całkiem przekonujące wyjaśnienie tego, co jest dalej, w dodatku ładnie podane, a ona w to wierzy, naprawdę uważa, że Jezus stąpił po tej ziemi. Ona myśli, że faktycznie tak było.

— A ta istota, która cię tropi, nie jest w żaden sposób powiązana z ofiarą, z ojcem tej dziewczyny?

— Cóż, chyba jest sposób, aby się o tym przekonać — odparłem.

— Jaki?

— Zabiję skurwiela jeszcze tej nocy. Może zrobię to zaraz po tym, jak się rozstaną. Moja ofiara nie zostanie tu razem z nią. On za bardzo się boi, że mógłby sprowadzić na nią niebezpieczeństwo. Nigdy nie zatrzymuje się w tym samym hotelu co ona. Ma tu trzy różne apartamenty. Dziwię się, że zabawił tu tak długo.

— Zostanę z tobą.

— Nie, idź, muszę skończyć, co zacząłem. Potrzebuję cię, naprawdę cię potrzebuję. Musiałem ci o tym opowiedzieć i pragnąłem twego towarzystwa, ot stare, dobre, ludzkie nawyki, ale nie możesz nie odstępować mnie na krok. Wiem, że dręczy cię głód. Nie muszę zaglądać do twojego umysłu, aby wyczuć pragnienie. Byłeś wygłodzony, gdy się tu zjawiłeś, więc nie rozczaruj mnie.

Idź, zapoluj w mieście. — Uśmiechnąłem się. — Nigdy jeszcze nie polowałeś w Nowym Jorku, prawda?

Pokręcił przecząco głową. Jego oczy się zmieniły. To przez głód. To za jego sprawą stały się takie mętne i matowe; wyglądał jak pies, który zwęszył goniącą się sukę. Wszyscy czasem tak wyglądamy, jak żądne krwi zwierzęta, ale nie jesteśmy zwierzętami, prawda? Żaden z nas.

Wstałem.

— Pokoje w Olympic Tower — powiedziałem. — Z widokiem na katedrę Świętego Patryka,

dobrze? Nie za wysoko, na którymś z niższych pięter, żeby było stamtąd blisko do dachu i wież katedry.

— Chyba naprawdę postradałeś swój nadnaturalny rozum.

— Nie. Ale zaraz muszę stąd wyjść. Słyszę, co mówi. Zamierza odejść, całuje ją, to ojcowski, czysty pocałunek, pełen miłości i oddania. Jego wóz krąży pod budynkiem. Zawiezie go do sekretnego mieszkania, gdzie przechowywane są jego dzieła sztuki i relikwie. Jest przekonany, że jego wrogowie z przestępczego półświatka i stróże prawa nie wiedzą o jego istnieniu albo sądzą, że to tylko sklepik ze starzyzną prowadzony przez przyjaciela. Ale ja znam prawdę. I wiem, ile znaczą dla niego te wszystkie skarby. Jeżeli tam pojedzie... podążę za nim... Nie mam już czasu, Davidzie.

— Nigdy jeszcze nie byłem równie dezorientowany i oszołomiony — powiedział. —

Chciałem powiedzieć: Bóg z tobą.

Zaśmiałem się. Pochyliłem się i pospiesznie cmoknąłem go w czoło, tak szybko, że inni nawet tego nie zauważyli, po czym tłumiąc w sobie lęk, tę dojmującą, nagłą trwogę, zostawiłem go samego.

W pokoju na jednym z wyższych pięter Dora płakała. Siedziała przy oknie, patrzyła na sypiący śnieg i płakała. Żałowała, że nie przyjęła nowego prezentu, który dla niej przyniósł.

Gdyby tylko... Oparła się ciałem o zimną szybę i modliła się za ojca.

Przeszedłem przez ulicę. Śnieg wydawał mi się całkiem przyjemny, ale co ja mogę o tym wiedzieć, przecież jestem potworem.

Stałem na tyłach katedry Świętego Patryka i obserwowałem, jak moja przystojna ofiara wychodzi na ulicę, brnie przez śnieg, wtulając głowę w ramiona, i zasiada na tylnej kanapie eleganckiego, drogiego, czarnego auta. Usłyszałem, jak podaje kierowcy adres — to miejsce znajdowało się niedaleko sklepiku ze starzyzną, gdzie przechowywał swoje skarby. W porządku, będzie tam przez pewien czas. Czemu nie miałbyś tego zrobić, Lestacie?

Czemu nie miałbyś pozwolić, aby porwał cię szatan? No dalej, do dzieła! Nie daj się zastraszyć. Jeżeli już masz trafić do piekła, to nie wchodź tam roztrzęsiony ze strachu, lecz wkrocz z dumnie podniesioną głową.

2

Dotarłem do jego domu przy Upper East Side przed nim. Śledziłem go do tego miejsca wielokrotnie. Znałem jego sposób działania.

Na dolnym i górnym piętrze mieszkali najemcy, choć nie sądzę, aby wiedzieli, kim jest naprawdę. Podobnie zachowują się wampiry. Pomiędzy tymi dwoma piętrami znajdował się długi ciąg pokoi, zajmujących cały poziom, okratowanych jak więzienie i pilnie strzeżonych, do których można się było dostać jedynie wejściem z tyłu budynku.

Nigdy nie wysiadał z samochodu od frontu. Opuszczał wóz na Madison i boczną uliczką docierał na tyły domu. Czasami wysiadał na Piątej Alei. Niektóre z okolicznych budynków również należały do niego. Nikt jednak — żaden z jego prześladowców — nie wiedział o tym mieszkaniu.

Chyba nawet Dora nie знаła jego dokładnej lokalizacji. Przez te wszystkie miesiące, kiedy go śledziłem, smakując z lubością jego życie, ani razu jej tu nie przywiózł. I nigdy w umyśle Dory nie znalazłem wyraźnego obrazu tego miejsca.

Dora wiedziała jednak o jego kolekcji. W przeszłości przyjmowała od niego obrazy. Miała ich kilka, rozwieszonych w pustym gmaszysku w Nowym Orleanie. Dwa lub trzy z nich ujrzałem w jej myślach tamtej nocy, kiedy ją obserwowałem. A teraz moja ofiara wciąż nie mogła przeboleć, że odmówiła przyjęcia ostatniego podarku. Czegoś naprawdę niezwykłego, uświęconego, a przynajmniej tak mu się zdawało.

Dostałem się do jego mieszkania bez najmniejszego trudu. Trudno zresztą nazwać je mieszkaniem, choć składały się na nie maleńka łazienka — brudna jak chlew, nieużywane mieszkania bardzo szybko stają się strasznie zaniedbane — oraz ciąg pokoi pełnych skrzyń, posągów, spiżowych figur oraz stert czegoś, co wyglądało jak śmieci, bez wątpienia jednak kryło bezcenne skarby.

Dziwnie się poczułem, znalazłszy się wewnątrz, zaczajony w pokoiku na tyłach, ponieważ wcześniej zaglądałem do środka tylko przez okna.

W mieszkaniu było zimno. Kiedy on się zjawi, zaraz robi się tu ciepło i jasno.

Wyczułem, że jest w połowie długości Madison, utknął w korku, i zacząłem się rozglądać po mieszkaniu. Mój wzrok przykuł wielki, wykuty w marmurze posąg anioła. Wyszedłem z pokoju i prawie na niego wpadłem. To był jeden z tych aniołów, które stawiano niegdyś w wejściu do kościołów, stały w sieni, trzymając w dłoniach stylizowane muszle z wodą święconą. Widziałem je w Europie i w Nowym Orleanie.

Był olbrzymi, a jego surowy profil z białym, wypukłym okiem wpatrywał się niewidząco w odległy spłachetek cieni. W głębi korytarza widać było światło płynące od strony małej, ruchliwej uliczki dochodzącej aż do Piątej Alei. Do wnętrza mieszkania dochodziła typowa dla Nowego Jorku melodia ruchu ulicznego.

Anioł znajdował się w takiej pozycji, jakby właśnie przyfrunął prosto z nieba, by zaproponować komuś odrobinę wody święconej. Delikatnie klepnałem go w kolano i obszedłem szerokim łukiem. Nie podobał mi się. Poczulem woń pergaminu, papirusu, rozmaitych metali. W

pokoju naprzeciwko było mnóstwo ikon. Zajmowały niemal wszystkie ściany, a światło odbijało się od aureoli otaczających głowy smutnookiej Maryi z posępnym Dzieciątkiem. Przeszedłem do kolejnego pokoju. Krucyfiksy. Rozpoznałem styl hiszpański, włoski barok oraz bardzo wczesne i zapewne bardzo rzadkie dzieła, w których Chrystus był przedstawiony jako groteskowa postać, o kiepskich proporcjach, lecz z twarzą przepelnioną upiornym wręcz cierpieniem.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę z rzeczy oczywistej. Wszystko to były dzieła sztuki sakralnej.

Wyłącznie. Choć jeśli się dobrze zastanowić, większość dzieł sztuki z dawnych czasów ma związek właśnie z religią.

To miejsce było całkiem pozbawione życia. Cuchnęło środkami owadobójczymi. To oczywiste, że używa ich, aby chronić swe bezcenne drewniane posągi, musi to robić. Nie usłyszałem ani nie wyczułem szmerów, w ogóle nie wychwyciłem tu obecności żywych istot. Na piętrze poniżej nikogo nie było, choć z małego radia w łazience płynął głos spikera czytającego wiadomości.

Łatwo było zagłuszyć ten dźwięk. Na piętrze powyżej mieszkali śmiertelnicy, ale już dość starzy; odebrałem obraz mocno posuniętego w latach mężczyzny ze słuchawkami na uszach, kołyszącego się w rytm jakiejś osobliwej, germańskiej muzyki, chyba Wagnera, zgubieni kochankowie oplakiwali „znenawidzony świt”, a może w grę wchodziła jakaś inna pogańska bzdura. Kretyński motyw przewodni.

Był tam ktoś jeszcze, kobieta, ale zbyt słaba i wątła, bym miał się nią przejmować; udało mi się wychwycić jej obraz — najwyraźniej robiła na drutach albo może szydełkowała. Nie przejąłem się nimi na tyle, aby przyjrzeć im się uważniej. Byłem bezpieczny, tu, w tym mieszkaniu, a on już wkrótce się zjawi, by wypełnić te pokoje aromatem swojej krwi, ja zaś uczynię, co w mojej mocy, by nie skrócić mu karku, zanim odsączę go do ostatniej kropli. Tak, to była ta noc.

Dora nie dowie się o tym aż do jutra, kiedy wróci do swego klasztoru. A zresztą kto by się dowiedział, co się z nim stało, gdybym pozostawił jego zwłoki w tym mieszkaniu?

Wróciłem do salonu. Było tu względnie czysto — w tym pokoju relaksował się, czytał, prowadził swoje badania i kontemplował zdobyte dzieła. Stały tu wygodne, miękkie kanapy z mnóstwem poduszek i halogenowe lampy z czarnego żelaza, tak delikatne, lekkie i nowoczesne, że wyglądały niczym owady czające się do skoku, przycupnięte na stołach i podłodze, a także na kartonowych pudłach.

W kryształowej popielniczce zebrał się stos niedopałków, co potwierdzało, że nad czystość moja ofiara przedkładała raczej bezpieczeństwo; dostrzegłem kilka szklanek z zaschniętymi na dnie i ściankach pozostałościami alkoholu. W oknach wisiały cienkie, niezbyt czyste zasłony, sprawiające, że światło wydawało się brudne i wymęczone. Nawet w tym pokoju stały posągi —

pełen emocji, bardzo przekonująco wykonany święty Antoni trzymający na ręku pulchnego Jezusa, bardzo duża, beznamiętna Matka Boska, rzeźba pochodząca zapewne z Ameryki Łacińskiej, a także monstualna, przypominająca anioła istota z czarnego granitu, której w półmroku nawet ja nie mogłem dostrzec w pełni, mimo iż dysponowałem przecież wyjątkowym, wampirzym wzrokiem — ta istota wyglądała raczej jak demon z Mezopotamii niż anioł.

W ułamku sekundy na widok tego granitowego monstrum przeszył mnie lodowaty dreszcz.

Ten posąg przypominał... nie, powinienem raczej powiedzieć, że skrzydła tej istoty przywodziły mi na myśl stwora, którego ujrzałem wtedy przez mgnienie oka, to coś, co od pewnego czasu bezlitośnie mnie tropiło. Tu jednak nie usłyszałem odgłosu kroków. W materii świata nie pojawiła się szczelina. To był granitowy posąg, ot i wszystko, odrażająca ozdoba, zapewne z jakiegoś mrocznego kościoła

pełnego wizerunków piekła i nieba.

Na stolikach leżało mnóstwo książek. On kochał książki. Były wśród nich prawdziwe białe kruki, dzieła bardzo stare, ale także współczesne; traktaty filozoficzne i religijne, komentarze do aktualnych wydarzeń, wspomnienia korespondentów wojennych, a nawet kilka tomów poezji.

Kilkutomowa historia wierzeń i religii Mircei Eliadego — to mógł być prezent od Dory; obok znajdowała się nowiuteńka *Historia Boga* autorstwa Karen Armstrong. I jeszcze coś na temat sensu życia — *Zrozumieć terażniejszość* — Bryana Appleyarda. Ciężkie tomiszczą. Ale ciekawe, w moim stylu, słowo daję. W dodatku były czytane. Tak, czułem na tych stronicach jego zapach, tylko jego, nie Dory. Spędzał tu więcej czasu, niż sądziłem.

Zacząłem przepatrywać cienie, oglądać poszczególne przedmioty. Pozwoliłem, by powietrze wypełniło moje nozdrza. Tak, często tu przebywał i w dodatku nie sam... co więcej, ta druga osoba... umarła w tym miejscu! Wcześniej tego nie wyczułem, a teraz ten fakt jeszcze bardziej zaostrzył mi apetyt. A więc moja ofiara, handlarz narkotyków, spotykał się tu kiedyś z młodym mężczyzną, którego kochał i który tu później umarł. Odbierałem krótkie wizje związane z tym zdarzeniem, paskudne sceny, bardziej emocje niż obrazy, i ta nawałnica wrażeń trochę mnie przytłoczyła. Śmierć tego młodego człowieka nastąpiła całkiem niedawno.

Gdybym zetknął się z moją ofiarą właśnie wtedy, kiedy umierał jego przyjaciel, nie zawzięłbym się na niego, lecz zwyczajnie bym mu odpuścił. Ale on był taki zarozumiały!

Wchodził właśnie po schodach, po sekretnych, wewnętrznych schodach, ostrożnie pokonując kolejne stopnie, z dłonią na kolbie pistoletu, który miał w kaburze pod pachą, w iście hollywoodzkim stylu, choć w ogóle był dość mało przewidywalny. Jak wiadomo jednakże, wśród handlarzy kokainą jest wielu ekscentryków.

Dotarł do tylnych drzwi i zauważył, że zostały przeze mnie otwarte. Wściekłość. Wślizgnąłem się w kąt naprzeciwko olbrzymiego, granitowego posągu i stanąłem pomiędzy dwoma zakurzonymi świętymi. Światło było za słabe, aby mógł od razu mnie dostrzec. Musiałby włączyć którąś z halogenowych lamp, a to były przecież reflektory punktowe.

Teraz nasłuchiwał z uwagą. Był wściekły, że ktoś sforsował drzwi do jego mieszkania, pałał

żądzą mordy i zamierzał sam rozpocząć tę sprawę. W jego umyśle trwała zażarta debata na ten temat. Nikt nie może dowiedzieć się o tym miejscu, zdecydował autorytatywny głos pod jego czaszką. To z pewnością jakiś prymitywny złodziejaszek, cholerny włamywacz; na samą myśl o tym wzbierała w nim złość.

Wyciągnął broń i ruszył w głąb kolejnych pokoi, tych, które ominąłem. Usłyszałem, jak zapala światło. W korytarzu pojaśniało. Przechodził od jednego pomieszczenia do drugiego. Skąd mógł wiedzieć, że w mieszkaniu nie ma nikogo? Przecież potencjalny złodziej mógł się ukrywać gdziekolwiek. Ja wiedziałem, że mieszkanie jest puste. Ale skąd u niego ta pewność? Może właśnie dzięki temu udało mu się tak długo pozostać przy życiu, dzięki osobliwej mieszaninie beztroski i kreatywności.

W końcu nadeszła ta upragniona, cudowna chwila. Z zadowoleniem stwierdził, że jest w mieszkaniu sam. Stał w drzwiach do salonu, plecami do długiego korytarza, i powoli lustrował

wnętrze pomieszczenia. Rzecz jasna, nie zauważył mnie, wsunął pistolet kaliber 9 mm do kabury i wolno, bardzo wolno zdjął rękawiczki.

W tym świetle bez trudu dostrzegałem wszystko, co w nim uwielbiałem. Miękkie, czarne włosy, orientalne rysy, które przywodziły na myśl Hindusa, Japończyka albo Cygana, choć równie dobrze mógł być Włochem lub Grekiem; bystre czarne oczy i zdumiewającą symetrię układu kostnego — tę szczególną cechę, którą przekazał swojej jedynaczce, Dorze. Ona jednak miała bardzo bladą cerę. Jego skóra miała karmelowy odcień — ten kolor lubiłem najbardziej.

Nagle coś sprawiło, że stał się bardzo niespokojny. Odwrócił się do mnie tyłem, wpatrzony w coś, co go zatrzymało. To nie miało nic wspólnego ze mną. Niczego nie dotknąłem. Jednak nagle zaniepokojenie sprawiło, że pomiędzy moim a jego umysłem powstał mur. Mężczyzna był czujny, co oznaczało, że miał kłopoty z zachowaniem ciągłości myśli.

Był wysoki, sztywno wyprostowany, w długim płaszczu i eleganckich, sztywnych na miarę trzewikach z Savile Row. Cofnął się ode mnie o krok, a ja zorientowałem się, że źródłem jego zaniepokojenia jest czarny, granitowy posąg.

To nie ulegało wątpliwości. Nie wiedział, co to jest ani w jaki sposób się tu dostało. Podeszedł bardzo ostrożnie bliżej, jakby się obawiał, że ktoś mógł się ukryć za posągiem, po czym obrócił

się na pięcie, przepatrując pokój, i znowu wolno wyciągnął broń z Kabury. Potencjalne możliwości przepływały przez jego umysł w dość uporządkowany sposób. Znał pewnego handlarza dzieł sztuki, który był na tyle głupi, aby móc przywieźć tu tę rzeźbę i zostawić drzwi otwarte, ale ten handlarz wcześniej powiadomiłby go telefonicznie o swoim przyjeździe.

A ta rzecz? Skąd mogła pochodzić? Z Mezopotamii? Asyrii? Nagle, odruchowo zapomniał o wszystkich kwestiach natury praktycznej i dotknął całą dłońią granitowej powierzchni. Boże, ta rzecz naprawdę mu się spodobała. Wręcz pokochał ją od pierwszej chwili i zaczął się zachowywać irracjonalnie. Przecież mógł się tu znajdować któryś z jego wrogów. Tylko po co jakiś gangster czy agent federalny miałby zadawać sobie tyle trudu, by przywieźć tu ten posąg?

Tak czy owak, rzeźba bardzo mu się spodobała. Wciąż nie widziałem jej wyraźnie. Zdjąłbym fioletowe okulary, co w znacznej mierze by mi pomogło, ale nie odważyłem się poruszyć.

Chciałem to ujrzeć, tę jego adorację, wyraz uwielbienia dla nowego dzieła sztuki. Czułem jego niespożyte pragnienie posiadania tego przedmiotu, chciał go mieć, właśnie tu... ten rodzaj pożądania zwabił mnie do niego.

Myślał tylko o tej rzeźbie, o misternym wykonaniu. Posąg musiał powstać niedawno, nie był antykiem, wskazywały na to pewne szczegóły stylistyczne; stawiałem na siedemnasty wiek, właśnie

wtedy posągi upadłych aniołów były szczególnie popularne. Upadły anioł. Mężczyzna wspiał się nagle na palce i pocałował rzeźbę. Uniósł lewą dłoń i jął wodzić nią po granitowym obliczu i włosach. Do kroćset, nie mogłem tego dostrzec. Jak on radził sobie tak całkiem po ciemku? Ale on stał tuż przy posągu, a ja o dwadzieścia stóp dalej, między dwoma świętymi, i miałem ograniczone pole widzenia. W końcu odwrócił się i zapalił jedną z halogenowych lamp.

Posąg wyglądał jak wielka modliszka. Mężczyzna uniósł cienkie, czarne, metalowe ramię, by promień światła padł na twarz rzeźby. Teraz mogłem wreszcie ujrzeć oba przepiękne profile.

Zaczął wydawać z siebie ciche westchnienia. To był prawdziwy unikat! Do diabła z handlarzem, nieważne, że zostawił drzwi otwarte, rzekome zagrożenie przysło. Wsunął broń z powrotem do kabury — zrobił to bez namysłu — i raz jeszcze wspiał się na palce, by stanąć oko w oko z mrocznym granitowym posągiem. Ta twarz wyglądała naprawdę groźnie. Pierzaste skrzydła. Dopiero teraz je ujrzałem. Nie były błoniaste, jak u gadów, ale upierzone. A ta twarz, klasyczne mocne rysy, długi nos, podbródek... to oblicze znamionowało brutalność i drapieżność. Dlaczego jednak posąg był czarny? Może miał przedstawiać świętego Michała wtrącającego diabły w otchłań piekielną, gniewnego anioła, uosobienie prawości. Nie, miał za bardzo zmierzwiłone włosy i wyglądał zbyt niechlujnie. Zbroja, napierśnik... nagle spostrzegłem najbardziej wymowne szczegóły. Ta istota miała nogi i kopyta jak u kozła. Szatan.

Znów poczułem ten dreszcz. Wygląda jak stwór, którego widziałem. Teraz jednak nie miałem wrażenia, że jestem śledzony. Nie byłem zdezorientowany. I właściwie prawie się nie bałem. To tylko dreszcz emocji, nic więcej.

Znieruchomiałem. Powoli, nie spiesz się, rzekłem do siebie w myślach. Dobrze się nad tym zastanów. Masz swoją ofiarę, a ten posąg znalazł się tu przypadkiem, ot, jeszcze jeden detal wzbogacający całą tę scenografię. Mężczyzna oświetlił posąg kolejną halogenową lampą.

Przyglądał się rzeźbie z niemal erotyczną fascynacją. Uśmiechnąłem się. Ja też obserwowałem go z podobnym uczuciem — owego czterdziestosiedmioletniego mężczyznę o kondycji nastolatka i umyśle genialnego przestępcy. Stał bez lęku, zapominając o wszelkich zagrożeniach, i patrzył na swój nowy nabytek. Skąd on się wziął? Od kogo? Gdyby tylko Dora... Nie, Dorze by się nie spodobał. Dorze, która dziś tak kategorycznie odmówiła przyjęcia prezentu, jaki dla niej zdobył.

Cała jego postawa uległa diametralnej zmianie, nie chciał znów myśleć o Dorze i tym, co od niej usłyszał — że powinien porzucić ścieżkę, którą kroczy, że nie przyjmie od niego na kościół

już ani centa, że mimo wszystko go kocha i serce jej pęknie, jeśli on trafi za bratki, i że nie chce żadnej chusty.

Jakiej chusty? To tylko podróbka, powiedział, ale najlepsza, na jaką udało mu się trafić.

Chusta? Nagle udało mi się połączyć jego wspomnienie z czymś, co wisiało na przeciwległej ścianie, oprawnym w ramki kawałkiem materiału z namalowanym wizerunkiem twarzy Chrystusa. Chusta. Chusta świętej Weroniki.

Zaledwie godzinę temu rzekł do córki: „Pochodzi z trzynastego wieku i jest doprawdy przepiękna, Doro. Na miły Bóg. Przyjmij ją. Jeżeli nie mogę przekazać ci tych rzeczy, Doro...”

A więc jego cennym darem był kawałek płótna z wizerunkiem Chrystusa?

Zaczął wyjaśniać jej złożony plan, zgodnie z którym ten nowy dar można by wystawić na widok publiczny. Podobnie jak wszystkie zgromadzone przez niego relikwie. To mogłoby zapewnić jej kościołowi napływ świeżej gotówki.

— Nic już od ciebie nie przyjmę, tato. Mówiłam ci. Nic od ciebie nie chcę. — Zaczęła płakać.

To wszystko rozgrywało się w hotelu, podczas gdy ja i David znajdowaliśmy się w barze, zaledwie o parę jardów od nich.

— Chcesz powiedzieć, że gdyby tym łajzom udało się mnie jakoś przyskrzynić, gdyby znaleźli na mnie jakiś paragraf, coś, co przeoczyłem, nie przyjąłabyś żadnej z tych rzeczy?

Pozwoliłabyś, żeby dostały się w ręce obcych?

— Pochodzą z kradzieży, tato — zawołała, szlochając — są nieczyste. Skalane.

On naprawdę nie rozumiał córki. Wyglądało na to, że kradł od dziecka. Nowy Orlean.

Pensjonat, osobliwa mieszanina biedy i elegancji, jego matka nie trzeźwiała ani na chwilę. Stary kapitan, który prowadził sklepik z antykami. To wszystko wypełniało jego myśli. Stary kapitan zajmował frontowe pokoje domu, a on, moja ofiara, każdego ranka przed pójściem do szkoły zanosił kapitanowi tacę ze śniadaniem. Pensjonat, obsługa pokoi, elegancy staruszkowie, St.

Charles Avenue. Czasy, kiedy wieczorami mężczyźni przesiadywali na balkonach w towarzystwie kobiet w wytwornych kapeluszach. Dni, które przynajmniej dla mnie odeszły na zawsze.

Ależ się zadumał. Dorze by się nie spodobało. On też nagle zaczął mieć co do tego wątpliwości. Wyznawał standardy, które czasem trudno jest ludziom wytłumaczyć. Zaczął

spokojnie, jakby rozmawiał z handlarzem, który przyniósł mu tę rzecz.

— Jest piękna, o tak, ale również nazbyt barokowa! Brak tu pewnych skaz, które zwykle tak sobie cenię.

Uśmiechnąłem się. Uwielbiałem jego sposób rozumowania. Wspaniale było grzebać w jego umyśle. I jeszcze ten cudowny aromat jego krwi. Zacząłem chłonać go powoli, co zmieniło mnie w wygłodniałego drapieżcę. Powoli, Lestacie! Czekaleś tyle miesięcy. Nie próbuj tego przyspieszyć. Zresztą on także jest potworem. Strzelał ludziom w głowę, zabijał nożem. Raz w sklepie spożywczym bez wahania zastrzelił zarówno swego wroga, jak i żonę sklepikarza.

Kobieta znalazła się na linii strzału. A on po wszystkim po prostu spokojnie stamtąd wyszedł.

Tak było kiedyś w Nowym Jorku, przed Miami, przed Amerykę Południową. To było dawno temu, ale doskonale pamiętał tamtą zbrodnię i dzięki temu o niej wiedziałem.

Sporo rozmyślał o śmierci różnych ludzi. I dlatego ja też o nich myślałem.

Przyglądał się kopytom zdobiącym nogi tej istoty, tego anioła, diabła, demona. Zdałem sobie sprawę, że jego skrzydła sięgają aż do sufitu. Gdybym tylko na to pozwolił, znów poczułbym ten dreszcz. Ale raz jeszcze dodam, że stałem teraz na twardym gruncie i w tym miejscu nie było nic, co mogłoby się wywodzić z innego świata.

Zdjął płaszcz i stanął przed posągiem w eleganckiej białej koszuli. Tego już było za wiele.

Dostrzegłem rzecz jasna jego szyję, gdy rozpiął guzik przy kołnierzyku. Zauważyłem owo szczególnie cudne miejsce, tuż za prawym uchem, fragment gołej skóry pomiędzy karkiem a płatkami małżowiny, ową proporcję tak bardzo przydającą mężczyźnie atrakcyjności.

Do licha, nie ja wymyśliłem tezę o znaczeniu szyi dla męskiej urody. Wszyscy wiedzą, co oznaczają owe proporcje. Dla mnie był atrakcyjny pod każdym względem, ale to jego umysł ujął

mnie najbardziej. Do diabła z jego orientalną urodą i całą resztą, nawet z jego próżnością, która sprawiała, że roztaczał blask na dobre pięćdziesiąt stóp dokoła. Urzekł mnie jego umysł, ten umysł, który skoncentrowany był bez reszty na posągu, dzięki czemu mężczyzna choć na chwilę przestał myśleć o Dorze.

Sięgnął po kolejny z halogenowych punktowców, zacisnął dłoń na gorącym metalu i nakierował go na skrzydło demona, to, które znajdowało się bliżej mnie; ja również zwróciłem uwagę na tę perfekcję, o której wspominał, barokowe umiłowanie szczegółów. Nie, nie takie rzeczy kolekcjonował. Lubował się w tym, co dziwaczne i groteskowe, ale ta rzecz była groteskowa tylko przypadkiem. Boże, była odrażająca. Miała wielką strzechę zmierzwionych włosów i twarz naznaczoną drapieżnym grymasem, który mógł być dziełem Williama Blake'a, a w wielkich, okrągłych oczach zdawały się skrywać niezmierzone pokłady nienawiści.

— Tak, Blake! — rzucił nagle. Odwrócił się. — Blake. To draństwo wygląda, jakby żywcem wyjęte z jednej z rycin Blake'a.

Zdałem sobie sprawę, że patrzy na mnie. Dokonałem projekcji myśli. Nieostrożność z mojej strony, choć bez wątplenia celowa. Połączenie było dla mnie prawdziwym wstrząsem. Spostrzegł

mnie. Może zauważył okulary, blask albo moje włosy.

Wolno, bardzo wolno wyszedłem ze swej kryjówki, z rękoma opuszczonymi wzdłuż boków.

Nie chciałem, by zrobił coś tak prymitywnego jak sięgnięcie po broń. Ale on po nią nie sięgnął.

Tylko na mnie patrzył, może trochę oślepiały go małe halogenowe lampy. Ich blask rzucał na sufit cień skrzydła anioła. Podszedłem bliżej.

Nie powiedział ani słowa. Był przerażony. Albo, powinienem raczej powiedzieć, zaniepokojony. Czuł, że to starcie może być jego ostatnim. Ktoś wreszcie okazał się od niego lepszy! Już za późno, aby sięgnąć po broń lub podjąć jakieś inne drastyczne kroki, mimo to on ani trochę się mnie nie bał.

Niech mnie diabli, jeśli nie wiedział, że nie jestem człowiekiem.

Podszedłem do niego błyskawicznie i ująłem jego twarz w dłonie. Chociaż zaczął się pocić i dygotać, sięgnął ręką i stracił mi okulary; spadły na podłogę.

— Och, nareszcie, to cudowne — wyszeptałem — móc w końcu znaleźć się tak blisko ciebie.

Nie potrafił wydobyć z siebie słów. Trudno oczekiwać, by jakikolwiek śmiertelnik znajdujący się w uścisku mych ramion szeptał coś innego niż słowa modlitwy, ale on nie próbował się modlić! Patrzył mi prosto w oczy, po czym bardzo wolno otaksował mnie wzrokiem. Moje zimne, wręcz lodowate dłonie nadal trzymały go za głowę. On wiedział. Musiał wiedzieć, że nie ma do czynienia z istotą ludzką.

To była doprawdy najdziwniejsza reakcja! To jasne, że bywałem już wcześniej rozpoznawany, w wielu krajach, na całym świecie, lecz reakcje były diametralnie różne — modlitwy, szaleństwo, czysto atawistyczne odruchy, nigdy nic takiego. Nawet w dawnej Europie, gdzie ludzie wierzyli w wampiry, moje ofiary wykrzykiwały na całe gardło słowa modlitwy, zanim zatopiłem kły w ich szyjach.

A co to miało znaczyć, ten przejaw komicznej wręcz odwagi, to, w jaki sposób na mnie patrzył?

— Zamierzasz umrzeć tak, jak żyłeś? — szepnąłem. Jedna myśl go zelektryzowała. Dora.

Zaczął stawiać gwałtowny opór, chwycił mnie za ręce i zdał sobie sprawę, że są niewzruszone, jak z kamienia. W chwilę potem jego ciałem targnęły konwulsyjne spazmy, gdy próbował mi się wyrwać, ja jednak uparcie trzymałem go za głowę. Zasyczał na mnie.

Nagle postanowiłem potraktować go łagodniej. Nie będę go dłużej męczył. On za dużo wie.

Zbyt wiele rozumie. Obserwowałem go od miesięcy, nie muszę tego przeciągać bez potrzeby.

Choć z drugiej strony, kiedy znajdę drugą taką ofiarę jak on?

Głód wziął nade mną górę. Najpierw przywarłem czołem do jego szyi, ująłem go jedną ręką za potylicę, pozwoliłem, by poczuł dotyk moich włosów, usłyszałem, jak gwałtownie zaczerpnął powietrza, i zacząłem się pożywiać.

Był mój. Jego krew gorącą strugą wypełniła moje usta i wraz z nią w moim umyśle pojawiła się wizja. Był tam on i kapitan, we frontowym pokoju pensjonatu, na ulicy z metalicznym warkotem przejeżdżał tramwaj, a on powiedział do kapitana: „Jeśli jeszcze raz mi go pokażesz albo każesz mi go dotknąć, więcej się do ciebie nie zbliżę”. Stary kapitan zapewnił, że już tego nie robi. Stary kapitan zabierał go do kina, restauracji w Monteleone i samolotem do Atlanty, przysięgając, że

więcej tego nie zrobi. „Tylko pozwól mi być blisko ciebie, synu, chcę być blisko ciebie i nic więcej, naprawdę”. Jego matka stała pijana w drzwiach, rozczesując włosy. „Wiem, co razem kręcicie, ty i ten staruch, wiem, co robicie, kupił ci te ciuchy? Myślisz, że o niczym nie wiem?” A potem Terry, z dziurą od kuli pośrodku czoła, jasnowłosa dziewczyna, przewracająca się na bok i osuwająca na podłogę, piąte zabójstwo, to musisz być ty, Terry, właśnie ty. On i Dora byli w furgonetce. Dora wiedziała. Dora miała zaledwie sześć lat, ale wiedziała. Wiedziała, że on zastrzelił jej matkę, Terry. I nigdy, ani razu nie zamienili słowa na ten temat. Ciało Terry zawinięte w plastikowy worek. Ach, Boże, plastik. On mówiący: „Mamusia odeszła”. Terry krzycząca: „Sądzisz, że możesz odebrać mi córkę, sukinsynu, myślisz, że możesz zabrać mi dziecko, jeszcze dziś odchodzę z Jakiem i zabieram ją ze sobą”. Pif — paf, nie żyjesz, kotku.

Zresztą i tak cię nie znosiłem. Leżąca na podłodze jak zwinięta niedbale szmata, bardzo atrakcyjna, choć ciut pospolita dziewczyna z owalnymi, różowymi paznokciami, ustami, które zawsze wydawały się świeżo uszminowane, i czystymi, puszystymi włosami. Różowe szorty, krótkie uda. On i Dora jadący pośród nocy, w milczeniu.

Co ty mi robisz? Zabijasz mnie! Wysysasz mi krew, ale nie odbierzesz mi duszy, ty złodzieju...

cos ty za jeden, na Boga?

— Mówisz do mnie? — Cofnąłem się, z moich ust kapłała krew. Dobry Boże, on do mnie mówił! Znów wgryzłem się w jego szyję i tym razem skręciłem mu kark, ale on mimo to nie przestał.

Tak, ty, kim, do diabła, jesteś? Co to ma znaczyć? Dlaczego pijesz moją krew? Odpowiedz mi! Bądź przeklęty! Niech cię piekło pochłonie!

Zmiażdżyłem kości jego ramion, wyrwałem mu bark ze stawu i wypełniłem usta resztą krwi, jaką zdołałem wysssać. Wcisnąłem język w głąb rany, chciałem więcej. Jeszcze więcej, znacznie więcej...

Coś ty za jeden, na Boga?

Był martwy. Puściłem go i cofnąłem się. Jak to możliwe, aby mówił do mnie, kiedy go zabijałem? Pytał mnie, kim jestem? Udało mu się przełamać urok?

— Och, doprawdy, jesteś pełen niespodzianek — szepnąłem. Próbowałem odzyskać jasność umysłu. Było mi ciepło dzięki wypitej krwi. Miałem jej pełne usta, ale jeszcze nie przełknąłem.

Chciałem go podnieść z podłogi, rozszarpać mu przegub, wypić tyle, ile się da, całą resztę jego krwi, lecz to, co się stało, tak mną wstrząsnęło, że nie byłem w stanie znowu go dotknąć.

Przełknąłem krew i przesunąłem językiem po zębach, radując się tym smakiem i ostatnimi obrazami: on i Dora w furgonetce, sześciolatka, mama nie żyje, dostała kulę w głowę, a teraz tatuś był tylko jej na zawsze.

— To było piąte zabójstwo! — nieomal słyszałem jego głos, jakby się do mnie zwracał. —

Kim jesteś?

— Mówisz do mnie, ty kanalio! — Spojrzałem na niego, och, jego krew dotarła wreszcie do koniuszków moich palców i nóg. Zamknąłem oczy i pomyślałem: Życ po to, tylko po to, wyłącznie dla tego smaku, tego uczucia, i w tej samej chwili powróciły do mnie jego słowa, wypowiedziane do Dory: „Zaprzedałbym duszę dla takich miejsc jak to”.

— Och, na miłość boską, umrzyj wreszcie, cholera! — powiedziałem. Pragnąłem, by krew buzowała we mnie bez końca, jak żywy ogień, ale miałem go już dość, sześć miesięcy to wystarczy w zupełności, jak na romans pomiędzy wampirem a człowiekiem! Uniosłem wzrok.

Ta czarna istota wcale nie była posągiem. Ona żyła. I patrzyła na mnie. Była żywa, oddychała i łypała na mnie błyszczącymi wściekłością, groźnymi oczami, gapiła się na mnie.

— Nie, nieprawda — powiedziałem głośno. Próbowałem osiągnąć spokój, który często budzi we mnie sytuacja zagrożenia. To nieprawda. Szturchnąłem jego zwłoki, leżące na podłodze.

Zrobiłem to celowo, aby się upewnić, że wciąż tam jestem i nie popadałem w obłąd, ogarnięty zgrozą i zdezorientowany, ale spokój nie nadszedł i zacząłem krzyczeć.

Wrzeszczałem jak dzieciak. A potem stamtąd wybiegłem.

Wypadłem z mieszkania, pokonałem korytarz i tylnymi drzwiami opuściłem budynek, by znaleźć się pośród ciemnej nocy. Uniosłem się ponad dachy, po czym w przypiływie nagłego wyczerpania opadłem w wąską uliczkę i oparłem się plecami o ceglany mur. Nie, to nie mogła być prawda. To była projekcja jego ostatniego obrazu, dzieło mojej ofiary; przekazał mi go w momencie śmierci jako słodką zemstę. To on sprawił, że posąg wyglądał jak żywy, jak wielka, czarna, skrzydlata istota z kopytami zamiast stóp...

— Tak — powiedziałem. Otarłem usta. Leżałem pośród brudnego śniegu. W alejce byli też inni śmiertelnicy. Nie zakłócaj nam spokoju. Nie zamierzam tego robić. Znów otarłem usta. —

Tak, zemsta, zrobił to z premedytacją — wyszeptałem. — Całą swoją miłość do wszystkich rzeczy zgromadzonych w tym mieszkaniu skierował przeciwko mnie. On wiedział. Dobrze wiedział, kim jestem. Wiedział, jak...

A poza tym istota, która mnie tropiła, nigdy nie była tak spokojna, tak nieruchawa, tak wyrazista. Do tej pory pojawiała się, górując nade mną jak słup gęstniejącego dymu, a te głosy...

Tam, w tym pokoju, stał po prostu zwykły posąg.

Podniosłem się, wściekły na samego siebie, byłem zły, że stamtąd uciekłem, że dałem się nabrać na najstarszą i ostatnią sztuczkę mogącą towarzyszyć zabijaniu. Byłem na tyle rozgniewany, że zapragnąłem powrócić tam i skopać jego martwe, zimne ciało, a także posąg, który bez wątpienia znów powrócił do poprzedniej, granitowej postaci, z chwilą gdy z gasnącego umysłu umierającego mężczyzny zupełnie uszło życie.

Połamane ramiona, barki. Jakby okrwawiony ochłap, jaki z niego zrobiłem, mógł przywołać tę istotę.

A Dora dowie się o tym. Pogruchotane ramiona, barki, skręcony kark.

Wyszedłem na Piątą Aleję. Ruszyłem pod wiatr.

Wcisnąłem ręce w kieszenie marynarki, która jak na tę śnieżycę musiała wydawać się zbyt cienka i lekka, i szedłem, szedłem bez końca.

— W porządku, do cholery, wiedziałeś, kim jestem, i sprawiłeś, że ta istota przez chwilę wyglądała jak żywa.

Znieruchomiałem, wpatrując się w ruch uliczny przy ciemnym, ośnieżonym zagajniku Central Parku.

— Jeżeli faktycznie to wszystko jest połączone, to przyjdź po mnie — nie mówiłem teraz do niego ani do posągu, lecz do tego, który mnie tropił. Nie chciałem odczuwać ani odrobiny lęku.

Kompletnie mi odbiło.

A gdzie był David? Czy gdzieś polował? Polował... tak jak uwielbiał to robić, gdy był jeszcze śmiertelnikiem, w indyjskiej dżungli, a ja uczyniłem go na zawsze łowcą jego braci.

Podjąłem decyzję. Zamierzałem wrócić teraz do mieszkania. Przyjrzę się tej cholernej rzeźbie i na własne oczy przekonam się, że jest tylko bryłą nieożywionego granitu, a potem zrobię to, co powinienem uczynić dla Dory — pozbędę się zwłok jej ojca.

Powrót zajął mi tylko parę chwil, przesunąłem się w górę po ciemnych schodach i wpadłem do mieszkania. Strach odarł mnie z resztek cierpliwości, byłem wściekły, upokorzony, wstrząśnięty i osobiwie podekscytowany zarazem — jak zawsze, gdy stykam się z nieznanym.

Woń świeżych zwłok. Odór zmarnowanej krwi.

Nie usłyszałem ani nie wyczułem nic więcej. Wszedłem do niewielkiego pokoju, który pełnił

kiedyś rolę kuchni; wciąż znajdowały się tam naczynia pochodzące z czasów nieżyjącego już śmiertelnika, którego kochał. To, czego szukałem, było tam, gdzie się spodziewałem, pod zlewem — pudełko zielonych, plastikowych worków na śmieci, idealnie nadających się na jego szczątki.

I nagle uświadomiłem sobie, że on swoją żonę Terry też wpakował do takiego worka.

Zobaczyłem to i poczułem, kiedy piłem jego krew. Do licha, a więc to on podsunął mi ten pomysł.

W kuchni znalazłem kilka noży, żaden jednak nie nadawał się do przeprowadzenia tego, co sobie zamierzyłem, z chirurgiczną lub artystyczną precyzją. Wziąłem największy z noży, o ostrzu ze stali węglowej, i bez wahania, zdecydowanie wszedłem do salonu, po czym odwróciłem się i spojrzałem na olbrzymi posąg. Lamy wciąż się paliły — jasne, białe promienie światła pośród ciemności.

Posąg: anioł z kozłimi nogami i kopytami zamiast stóp.

Lestat, ty durniu.

Podszedłem i stanąłem przed nim, chłodnym okiem wychwytyjąc szczegóły. Zapewne jednak nie pochodził z siedemnastego wieku. Prawdopodobnie był współczesny, wykuty ręcznie, z niezwykłą dbałością o szczegóły, oblicze zaś miało w sobie coś z dzieł Williama Blake'a; innymi słowy, była to zła, łypiąca ponuro koźlonoga istota z oczyma jak u świętych i grzeszników Blake'a, pełna nienawiści i gniewu pospołu.

Nagle zapragnąłem ją mieć, stać się jej właścicielem, zatrzymać ją dla siebie, zabrać do mego mieszkania w Nowym Orleanie na pamiątkę tego, jak ze strachu przed tą rzeźbą nieomal padłem trupem u jej stóp. Stała przede mną, chłodna i posepna. I nagle zdałem sobie sprawę, że wszystkie znajdujące się tu dzieła mogą przepaść na zawsze, jeżeli nic z nimi nie zrobię. Gdy tylko rozejdzie się wiadomość o jego śmierci, rzeczy te zostaną skonfiskowane — próbowałem dać to do zrozumienia Dorze, uświadomić jej, że cały jego dorobek, całe to bogactwo, trafi w obce, obojętne ręce. Wtedy Dora odwróciła głowę i zapłakała; smutek mieszał się w niej ze zgrozą i nieukojoną frustracją, że nie jest w stanie dać pocieszenia temu, kogo kocha najbardziej.

Spuściłem wzrok. Stałem nad jego zmasakrowanymi zwłokami — Wciąż wyglądał świeżo, skatowany, jakby zabił go jakiś psychopata. Czarne włosy miał nadal delikatne i miękkie, oczy otwarte. Rękawy białej koszuli pokrywały różowe plamki krwi, która wysączyła się z ran, jakie zadałem mu przypadkiem, miażdżąc go. Jego tors był przekrzywiony pod upiornym kątem względem nóg. Skręciłem mu kark i złamałem kręgosłup.

Dobra, zabiorę go stąd. Pozbędę się go, a potem przez długi czas nikt się nie dowie. Nikt nie będzie wiedział, że on nie żyje, a śledczy nie będą nękać Dory ani uprzykrzać jej życia. Później zaś pomyślę o dziełach sztuki; kto wie, może je sobie przywłaszczę. Wyjąłem z jego kieszeni dokumenty. Same fałszywki, na żadnym nie widniało jego prawdziwe nazwisko.

Naprawdę miał na imię Roger. Wiedziałem to od początku, ale tylko Dora nazywała go Rogerem. W swoich kontaktach z innymi używał fałszywych, obco brzmiących nazwisk. Ten paszport wystawiono na nazwisko Fredericka Wynkena. To mnie rozbawiło. Frederick Wynken.

Pozbierałem wszystkie dokumenty i rzeczy osobiste i włożyłem do kieszeni. Zniszczyje później.

Z nożem w ręku zabrałem się do dzieła. Odciąłem mu obie dłonie, zdumiony ich delikatnością i starannością wypielęgnowanych paznokci. Tak bardzo kochał samego siebie, skądinąd nie bez racji. Odciąłem też głowę, to wymagało raczej siły i brutalności niż zręczności i wprawy, ale ostrze kierowane moją ręką rozplatało ścięgna i kości. Nie zadałem sobie trudu, aby zamknąć mu oczy. Spojrzenia umarłych nie budziły we mnie głębszej fascynacji. Nie naśladowały niczego żywego. Jego łagodne usta pozbawione były emocji, policzki po śmierci wydawały się gładkie.

To typowe zjawisko. Głowę i dłonie wrzuciłem do dwóch oddzielnych, zielonych worków, po czym dość nieudolnie złożyłem resztę zwłok w pół i wepchnąłem do trzeciego worka.

Cały dywan był zachlapany krwią, ale jak stwierdziłem, był to tylko jeden z wielu dywanów zaścieniających podłogę całymi warstwami. Grunt, że zwłoki były już na wylocie. Nie rozłożą się tu, a

smród gryzącego ciała nie zaalarmuje sąsiadów z góry i z dołu. I nie znajdą ciała, może nikt się nie dowie, co się z nim stało — tak byłoby najlepiej dla Dory; po cóż miałyby oglądać zdjęcia z tej krwawej jatki, jaką tu urządziłem.

Raz jeszcze zerknąłem na gniewne, zasępione oblicze anioła/diabła czy cokolwiek miał

przedstawić ten posąg; zlustrowałem wzrokiem jego czuprynę, przepiękne usta i wielkie, polerowane oczy. Później, objuczony trzema workami jak Święty Mikołaj, wyruszyłem, by pozbyć się Rogera kawałek po kawałku. To nie stanowiło większego problemu.

Potrzebowałem zaledwie godziny, gdy błąkałem się po pustych, ośnieżonych, czarnych ulicach w północnej części miasta, przepatrując opuszczone place budów, sterty śmieci, miejsca, gdzie nabierało się mnóstwo rozmaitych odpadków i które raczej nieprędko, jeżeli w ogóle, zostaną usunięte.

Pod jednym z wiaduktów porzuciłem odcięte dłonie, zagrzebując je w stercie śmieci. Wielu przebywających w pobliżu śmiertelników z kocami i niewielkim ogieńkiem rozpalonym w blaszanej beczce w ogóle nie zwróciło uwagi na to, co robią. Wcisnąłem owinięte w plastik ręce tak głęboko, że wątpię, by ktokolwiek zadał sobie trudu, aby je stamtąd wydostać. Potem podszedłem do śmiertelników, którzy nawet na mnie nie spojrzeli, i rzuciłem na ziemię obok beczki kilka banknotów. A potem dłoń, żywa, bo należała do jednego z bezdomnych, wyskoczyła do przodu i pochwyciwszy banknoty, zwinnie zabrała je w mrok.

— Dziękuję, bracie.

— Amen — powiedziałem.

Głowę porzuciłem w podobny sposób, nieco dalej. W śmietniku na tyłach jednej z restauracji.

Było tam mnóstwo odpadków. Ten smród. Nie spojrzałem po raz ostatni na głowę. Byłem zażenowany. To nie było trofeum. Nigdy nie zatrzymałbym ludzkiej głowy w charakterze trofeum. Mierzyła mnie nawet myśl o tym. Przez plastik czułem jej nieprzyjemną twardość.

Gdyby znaleźli ją jacyś wygłodniali bezdomni, raczej nikomu by tego nie zgłosili. Poza tym głodni już tu dzisiaj byli po swoją porcję pomidorów, sałaty, spaghetti i okruchów francuskiego pieczywa. Restaurację zamknięto wiele godzin temu. Śmieci zamarzły; grzechotały i skrzypiały, gdy wciskałem pomiędzy nie odciętą głowę. Wróciłem do centrum, wciąż szedłem pieszko, nadal miałem przerzucony przez ramię ostatni worek, zawierający zmasakrowany korpus, nogi i ramiona mężczyzny. Szedłem Piątą Aleją, minąłem hotel, gdzie spała Dora, katedrę Świętego Patryka i maszerowałem dalej, zostawiając za sobą eleganckie i drogie sklepy. Tu i ówdzie dostrzegałem śmiertelników przemyskających pod arkadami, taksówkarze wściekle trąbili na snujące się limuzyny.

Wciąż szedłem naprzód. Kopniakami rozrzucałem na boki warstwy rozmokłego śniegu i nienawidziłem sam siebie. Czułem jego woń i tego też nienawidziłem, ale w pewnym sensie ta ucztą była tak boska, że wymagała takiego a nie innego zakończenia, musiałem po sobie posprzątać.

Inni — Armand, Marius, wszyscy moi nieumarli towarzysze, kochankowie, przyjaciele, wrogowie — zawsze ganili mnie, że nie „pozbywam się resztek”. W porządku, tym razem Lestat zachowa się jak należy. I posprząta po sobie.

Dotarłem prawie do Greenwich Village, gdy znalazłem jeszcze jedno idealne miejsce, olbrzymi magazyn, najwyraźniej opuszczony, na górnych piętrach wszystkie szyby były powybijane. Wewnątrz zaś panował potworny bałagan. Poczulem woń gnijącego ciała. Ktoś musiał tu umrzeć kilka tygodni temu. Jedynie mróz sprawił, że żaden śmiertelnik w okolicy nie poczuł odoru rozkładających się zwłok. A może nikt się tym nie przejmował.

Wszedłem nieco dalej w głąb rozległej hali — woń benzyny, metalu, czerwonej cegły.

Pośrodku hali jak piramida grobowa wznosiła się góra śmieci. Tuż obok niej stała ciężarówka, silnik był jeszcze ciepły, ale w pobliżu nie zauważyłem żadnej żywej istoty. Smród gnijącego ciała bił przede wszystkim z największej sterty odpadków. Po zapachu rozpoznałem, że ciało

musiało być co najmniej trzy z rozrzuconych wśród tego bałaganu. Może nawet więcej, feetor był jak dla mnie skrajnie odrażający, więc nie poświęciłem rozmyślaniom na ten temat zbyt wiele czasu.

— No dobra, przyjacielu, pora, bym cię pogrzebał — powiedziałem. Weisnąłem worek głęboko między potłuczone butelki, pogięte puszki, kawałki cuchnących, zgniłych owoców, sterty kartonów, drewna i śmieci. Nieomal wywołałem przy tym lawinę. Część odpadków faktycznie się przy tym usypała, ale piramida nie zatraciła swego pierwotnego kształtu.

Słyszałem szczury. Jakaś butelka po piwie przeturlała się po podłodze kilka stóp dalej, błyszcząca, cicha, samotna.

Przez dłuższą chwilę przyglądałem się ciężarówce; rozklekotana, anonimowa, ciepły silnik, zapach ludzi wciąż był wyczuwalny. Czy obchodziło mnie, co tu robili? Najważniejsze, że przyjechali i poszli, ignorując lub od czasu do czasu dorzucając coś do tej sterty doczesnych szczątków. Raczej ją ignorowali, bo kto by chciał parkować wóz obok ofiar popełnionych przez siebie zbrodni?

W tych gęsto zaludnionych, współczesnych miastach — mam na myśli te naprawdę olbrzymie, jak Nowy Jork, Tokio czy Hongkong — śmiertelnicy zachowują się w najdziwniejszy sposób. Przestępczość w jej licznych odmianach zaczynała mnie fascynować. Właśnie to przyciągało mnie do niego. Do Rogera.

Zegnaj, Rogerze.

Znów wyszedłem na zewnątrz. Śnieg przestał padać. To miejsce wydawało się ponure i opuszczone. Na rogu ulicy leżał goły materac, przyprószone teraz śniegiem. Latarnie uliczne były potłuczone. Nie bardzo wiedziałem, gdzie się właściwie znajduję.

Ruszyłem w kierunku wody, na sam koniec wyspy, i nagle spostrzegłem jeden ze starych kościołów, wywodzący się jeszcze z czasów, gdy Manhattan zamieszkiwali Holendrzy, z małymi otoczonym siatką cmentarzem i nagrobkami, na których można było odczytać daty sięgające roku 1704, a nawet

To był prawdziwy zabytek, kryjący w sobie zaledwie cząstki chwały katedry Świętego Patryka, ale może tym bardziej intrygujący i tajemniczy. Natychmiast zapragnąłem przyjrzeć mu się w najdrobniejszych szczegółach, gdyż stanowił miły dla oka widok pośród tej wielkemiejskiej bezbarwnej pustyni.

Usiadłem na schodach kościoła. Muszę stwierdzić, że spodobały mi się tamtejsze cyzelowane powierzchnie łamanych łuków, z przyjemnością wtopiłem się w mrok przy tych uświęconych murach.

Zdałem sobie sprawę, że mego prześladowcy nie ma w pobliżu a czyn, jaki dziś popełniłem, nie zaowocował wizytą istoty z innego świata ani przeraźliwym odgłosem kroków, że wielki, granitowy posąg był nieożywioną bryłą kamienia, a ja wciąż mam w kieszeniach dokumenty Rogera, dzięki czemu miną tygodnie, a może nawet miesiące, zanim jej spokój ducha zostanie zmacony wieścią o zaginięciu ojca, a szczegółów z tym związanych nie pozna nigdy.

I to by było na tyle. Koniec przygody. Poczuję się lepiej, znacznie lepiej, niż kiedy rozmawiałem z Davidem. Powrót i przyjrzenie się tej monstrualnej, granitowej rzeźbie to był

jednak doskonały pomysł.

Jedyny problem polegał na tym, że wciąż czułem na sobie zapach Rogera. Właśnie Rogera.

Do kiedy był dla mnie ofiarą? Teraz nazywałem go Roger. Czy to oznaka miłości? Dora mówiła do niego Roger, Roge, tata i tatuś. „Kochanie, mówi Roge — powiedział, dzwoniąc do niej ze Stambułu. — Czy moglibyśmy się spotkać na Florydzie? Tak na kilka dni. Muszę z tobą pomówić...”

Wyjąłem jego fałszywe dokumenty. Wiał lodowaty, silny wiatr, ale śnieg już nie padał, a ten, który leżał na ziemi, zaczął zamarzać. Żaden śmiertelnik nie mógłby tak siedzieć, w cieniu łamanego łukowatego wejścia do starego kościoła, ale mnie to się akurat podobało.

Spojrzałem na jego lipny paszport. Właściwie był to komplet fałszywych dokumentów, nie wszystkie zdołałem rozpoznać. Była tu egipska wiza. Zapewne właśnie stamtąd przemycił

niektóre dzieła! Nazwisko Wynken sprawiło, że znów się uśmiechnąłem, bo to jedno z tych nazwisk, które nawet u dzieci mimowolnie wywołują radosny uśmiech. Wynken, Blinken i Nod.

Czy to nie one wymienione są w tym dziecięcym wierszyku?

Podarcie tych dokumentów na kawałki i rozrzucenie ich na cztery strony świata, by poniósł je nocny wiatr, to była błahostka. Wiało naprawdę mocno. Strzępy zostały uniesione w dal, jak popioły, jakby jego tożsamość skremowano, a teraz oddawano ziemi, jak sobie tego zażyczył.

Ostatni hołd dla nieżyjącego człowieka.

Czułem się zmęczony, pełen krwi, zadowolony i było mi głupio, że tak się bałem, kiedy rozmawiałem z Davidem. Na pewno musiał pomyśleć, że mi odbiło. Co właściwie ustaliłem? Ze tropiąca mnie

istota nie chroniła bynajmniej Rogera i najwyraźniej nie miała z nim nic wspólnego. Tylko czy sam już wcześniej tego nie wiedziałem?

To nie oznaczało, że mój prześladowca zniknął. To znaczyło jedynie, że prześladowca sam decyduje o tym, kiedy mi się pokazać, i może nie ma to nic wspólnego z tym, co robię.

Podziwiałem ten mały kościółek. Jakiż był piękny, prawdziwa perła wśród topornych, zimnych budowli dolnego Manhattanu, choć muszę przyznać, że rzucał się w oczy, bo trudno nie zwrócić uwagi na mieszankę gotyku, przeszłości i teraźniejszości. Na tablicy opodał przeczytałem nazwę: Wall Street. Czy naprawdę znajdowałem się u wylotu Wall Street? Oparłem się plecami o mur, zamknąłem oczy. Jutro znów pomówię z Davidem. A co z Dorą? Czy spała jak anioł w hotelowym pokoju, naprzeciw katedry? Czy wybaczyłbym sobie, gdybym jeszcze raz, już ostatni, rzucił okiem na Dorę, leżącą w łóżku, zanim uznam całą tę przygodę za zakończoną? Zanim stanie się dla mnie przeszłością?

Powiniennem wyrzucić tę małą z pamięci. Zapomnieć o postaci przemierzającej rozległe, mroczne korytarze pustego klasztoru w Nowym Orleanie z latarką w dłoni. Dzielną Dora. Nie przypominała w niczym ostatniej śmiertelniczki, w której się zakochałem. Nie, zapomnij o tym.

Zapomnij o tym, Lestacie, słyszysz?

Świat jest pełen potencjalnych ofiar, gdy zaczynasz myśleć w kategoriach wzorca całego życia, atmosfery istnienia, pełni osobowości. Może wrócę do Miami, jeśli zdołam przekonać do tego Davida. Jutrzejszej nocy ja i David utniemy sobie długą pogawędkę.

Naturalnie mógł się rozzłościć, że wysłałem go, by wynajął dla nas pokoje w Olympic Tower, a teraz szykowałem się do przenosin na Południe. Choć, kto wie, może wcale nie wyruszymy na Południe.

Zdałem sobie sprawę, że gdybym teraz usłyszał te kroki, gdybym wyczuł prześladowcę, jutrzejszej nocy drżałbym w ramionach Davida jak liść, prześladowca nie dbał, dokąd się udam. I był prawdziwy. Czarne skrzydło, wrażenie czegoś mrocznego, wibrującego, gęsty dym i światło.

Nie zastanawiaj się nad tym. Chyba dość już posępnych, budzących grozę rozmyślań, jak na jedną noc, prawda?

Kiedy wypatrzę kolejnego śmiertelnika w typie Rogera? Kiedy ujrzę inne światło, bijące równie mocno? W dodatku ten sukinsyn mówił do mnie przez cały czas, kiedy go zabijałem.

Mówił do mnie! I zdołał sprawić, że tamten posąg wydał mi się żywy. Jak on to zrobił? Zapewne wykorzystał coś w rodzaju impulsu telepatycznego. Pokręciłem głową. Czyja to spowodowałem?

Czy zrobiłem coś inaczej?

Czy śledząc Rogera całymi miesiącami, pokochałem go tak bardzo, że zabijając go, przemawiałem do niego, tworząc tym samym bezgłośny sonet bezgranicznego oddania? Nie.

Tylko się nasyciłem, kochałem go i przyjąłem do siebie. Roger był teraz we mnie.

Przez mrok sunął wolno samochód; podjechał i zatrzymał się obok mnie. Śmiertelnicy, którzy chcieli wiedzieć, czy potrzebuję schronienia. Pokręciłem głową, odwróciłem się, przeszedłem przez nieduży cmentarz, przestępując z jednego grobu na drugi, po czym pomknąłem w kierunku Greenwich Village tak szybko, że najprawdopodobniej tamci nie zauważyli nawet, kiedy odszedłem. Wyobraźcie sobie. Widzą jasnowłosego mężczyznę w granatowej marynarce z ognistym szalikiem owiniętym wokół szyi, siedzącego na zimnych stopniach małego starego kościółka. I nagle ta postać znika. Zaśmiałem się w głos, rozkoszując się tym dźwiękiem, rozbrzmiewającym echem wśród ceglanych murów. Teraz znajdowałem się blisko miejsca, gdzie rozbrzmiewała muzyka, gdzie ludzie spacerowali pod rękę, gdzie słyhać było gwar głosów, a w powietrzu unosił się aromat potraw. Wokoło było mnóstwo ludzi, na tyle zdrowych, by uważać, że ostra zima może być naprawdę przyjemna.

Chłód zaczął mnie drażnić. Sprawiał mi ból, poczułem się prawie jak istota ludzka. I szczerze zapragnąłem znaleźć się w przytulnym, ciepłym pomieszczeniu.

3

Przeszedłem tylko kilka kroków, zobaczyłem obrotowe drzwi i wszedłem do holu jakiegoś lokalu, chyba restauracji. Ani się obejrzałem, jak zasiadłem przy barze. Było tak, jak lubię: mało ludzi, półmrok, gorąco, bardzo gorąco, butelki lśniące pośrodku okrągłego kontuaru. Zza otwartych drzwi sali restauracyjnej dochodził przyjemny hałas.

Oparłem łokcie o kontuar, obcas butów zaś o mosiężny krąg u dołu stołka. Siedziałem rozdygotany, przysłuchując się rozmowom śmiertelników, ale nie rozumiałem słów, wychwytywałem bełkot podpitych bywalców baru, opuściłem głowę, nie miałem okularów —

niech to szlag! Zgubiłem moje okulary z fioletowymi szklami, tak, tu było naprawdę miło i ciemno, bardzo ciemno, wszystko wydawało się pogrążone w przyjemnym, wieczornym rozleniwieniu — czyżby to jakiś klub? Nie wiedziałem, nie dbałem o to.

— Może drinka? — Nalana, arogancka twarz. Zamówiłem wodę mineralną. Kiedy tylko postawił przede mną szklanę, zanurzyłem w niej palce i obmyłem je. On tymczasem zniknął.

Było mu obojętne, mogłem nawet zacząć używać tej wody jako wody święconej. Inni klienci siedzieli przy stolikach, w półmroku w kącie płakała jakaś kobieta, a mężczyzna w ostrych słowach karmił ją, że zwraca na siebie uwagę. Mylił się. Nikogo to nie obchodziło.

Obmyłem usta wodą i otarłem serwetką.

— Jeszcze raz wodę — powiedziałem. Następnie odsunąłem od siebie szklanę z brudną zawartością.

Leniwie zrealizował moje zamówienie — młoda krew, zero osobowości, życie bez cienia ambicji — po czym oddalił się.

Usłyszałem rozlegający się gdzieś nieopodal cichy śmiech... mężczyzna na prawo ode mnie, dwa stołki dalej, może był już tu, zanim przyszedłem, młody, bez zapachu. Całkiem bez zapachu i to

wydało mi się szczególnie dziwne. Odwróciłem się z rozdrażnieniem i spojrziałem na niego.

— Znow chcesz uciekać? — wyszeptał. To był on. Moja ofiara. Na stołku dwa miejsca dalej siedział Roger.

Nie był zmasakrowany, niekompletny ani martwy. Miał głowę i dłonie. Nie było go tam.

Tylko mi się wydawało, że go widzę, cielesnego, bardzo cichego, uśmiechającego się i drwiącego z mojego skonsternowania.

— Co jest, Lestacie? — zapytał głosem, który tak ukochałem przez sześć miesięcy skrupulatnej inwigilacji. — Przez te wszystkie lata nikt nie powrócił, aby cię nawiedzić?

Nie odpowiedziałem. Przecież go tam nie było. Nie było go. Wydawał się materialny, ale nie utkany z takiej samej materii jak wszystko inne. Słowa Davida. Inna materia. Zesztywniałem. To było skrajne niedopowiedzenie. Osłupiałem z wściekłości i niedowierzania.

On podniósł się i przeszedł na stołek obok mnie. Z każdą chwilą stawał się coraz wyraźniejszy, dostrzegałem coraz więcej szczegółów. Teraz wychwytywałem też coś, jakby dźwięki, które z siebie wydawał, odgłosy żywej istoty albo zorganizowanej, choć z pewnością nie oddychającej istoty ludzkiej.

— Za parę minut będę na tyle silny, by poprosić o papierosa albo kieliszek wina — powiedział.

Sięgnął za pazuchę płaszcza, ulubionego płaszcza, nie tego, który zdjął, zanim go zabiłem, innego, uszytego specjalnie w Paryżu, wyłuskał z kieszeni błyszczącą, złotą zapalniczkę i pstryknął kółkiem — płomyk strzelił w górę, niebieski, butanowy, groźny.

Spojrzał na mnie. Zauważyłem, że jego czarne, kręcone włosy są uczesane, a oczy bystre i żywe. Roger. Przystojniak. Jego głos brzmiał dokładnie tak jak za życia: zero akcentu, nie sposób było określić kraju, z którego pochodził — jego właściciel, urodzony w Nowym Orleanie obieżyświat. Obywatel świata. Żadnej angielskiej flegmy ani typowo południowej cierpliwości.

Głos miał precyzyjny, konkretny.

— Pytam poważnie — rzucił. — Chcesz powiedzieć, że przez te wszystkie lata żadna z twoich ofiar nie wróciła, by cię nawiedzać?

— Nie — odparłem.

— Zdumiewasz mnie. Naprawdę nie możesz zdobyć się na to, by choć przez chwilę okazać, że się boisz?

— Nie.

Teraz wydawał się całkiem materialny. Nie wiedziałem, czy inni też go widzą. Nie wiedziałem, ale podejrzewałem, że tak. Wyglądał przeciętnie. Nie rzucał się w oczy.

Dostrzegłem guziki na mankietach białej koszuli i błysk kołnierzyka przy karku, zanim zasłoniły go włosy. Widziałem jego rzęsy, wyjątkowo długie.

Wrócił barman i nie patrząc na niego, postawił przede mną szklankę z wodą. Wciąż nie byłem pewien. Ten dzieciak był zbyt namacalny, jedyne, co mógł udowodnić, to, że znajduję się w Nowym Jorku.

— Jak to robisz? — spytałem.

— Tak samo jak wszystkie duchy — odparł. — Jestem martwy. Nie żyję od półtorej godziny i musiałem z tobą porozmawiać. Nie wiem, jak długo będę mógł tu zostać, nie wiem nawet, kiedy zacznę... Bóg wie co, ale musisz mnie wysłuchać.

— Dlaczego? — spytałem ostro.

— Nie zachowuj się obcesowo — wyszeptał wyraźnie urażony. — Przecież mnie zamordowałeś.

— A ty? Ludzie, których zabiłeś, matka Dory? Czy ona kiedykolwiek wróciła, domagając się, byś jej wysłuchał?

— Och, wiedziałem! Wiedziałem! — rzucił. Był wyraźnie wstrząśnięty. — Wiesz o Dorze!

Boże drogi, wtrąć moją duszę do piekła, ale nie pozwól mu skrzywdzić Dory.

— Nie wygłupiaj się. Nie zamierzam jej skrzywdzić. To o ciebie mi chodziło. Ścigałem cię po całym świecie. Gdyby nie szacunek dla Dory, zabiłbym cię już dawno temu.

Barman wrócił. Na ustach mego towarzysza pojawił się niemal ekstatyczny uśmiech. Patrzył prosto na tego dzieciaka.

— Tak, mój drogi chłopcze, niech no pomyślę, ostatni drink na odchodne, niech to będzie burbon. Dorastałem na Południu. Co tu macie? Albo nie, wiem czego chcę, niech będzie Southern Comfort. — Zaśmiał się cicho, łagodnie, dyskretnie. Barman odszedł, a Roger spojrział

na mnie gniewnym wzrokiem. — Musisz mnie wysłuchać, kimkolwiek jesteś, u licha, wampirem, demonem, diabłem, nieważne kim, nie możesz skrzywdzić mojej córki.

— Nie zamierzam jej krzywdzić. Nie zrobiłbym tego. Idź do diabła, poczujesz się lepiej, w miłym towarzystwie. Zegnam. Dobranoc.

— Ty wyszczekany sukinsynu. Jak sądzisz, ile miałem lat? Na jego czole pojawiły się kropelki potu. Podmuch powietrza w pomieszczeniu zmierzwił lekko jego włosy.

— Co mnie to obchodzi? — spytałem. — Byłeś dla mnie posiłkiem, na który warto poczekać.

— Pyszałek z ciebie, nieprawdaż? — mruknął z przekąsem. — Ale nie tak próżny i głupi, na jakiego wyglądasz.

— Co ty nie powiesz. Dobrze się zastanów. Może stwierdzisz, że jestem jako miedź brzęcząca albo cymbał brzęiący.

To go na chwilę uciszyło. Mnie również. Skąd się wzięły te słowa? Czemu wypłynęły z moich ust? Nie miewam takich skojarzeń!

On chłonał to wszystko, moją konsternację, głębokie powątpiewanie. Jak to się objawiało, zastanawiałem się. Czy osunąłem się nieznacznie na stołku, miałem nietęgą minę, a może po prostu wydawałem się zakłopotany?

Barman przyniósł mu drinka. Bardzo niepewnie spróbował objąć szklankę palcami i podnieść.

Udało mu się to. Uniósł ją do ust i wypił łyk. Był zdumiony, wdzięczny i tak wystraszony, że przez chwilę omal nie zniknął. Iluzja uległa niemal całkowitemu proszeniu. Mimo to przetrwał

chwilowy kryzys. Był to bez wątpienia mężczyzna, którego niedawno zabiłem, poćwiartowałem i pogrzebałem w różnych miejscach Manhattanu; wrażenie było tak silne, że patrząc na niego, poczułem mdłości. Uświadomiłem sobie że tylko jedno uchroniło mnie przed atakiem paniki. On do mnie mówił. Co powiedział kiedyś na ten temat David, kiedy jeszcze żył? Że nie mógłby zabić wampira, ponieważ wampir mógł z nim porozmawiać? A ten cholerny duch wciąż do mnie mówił. — Muszę porozmawiać z tobą o Dorze — powtórzył.

— Przecież powiedziałem, że jej nie skrzywdzę. Ani nikogo takiego jak ona — dodałem. —

Posłuchaj, co ty tu właściwie robisz? Kiedy się pojawiłeś, nie miałeś nawet pojęcia, że wiem o Dorze. Chciałeś mi o niej powiedzieć?

— Cóż za bystrość, zostałem zamordowany przez naprawdę bystrą istotę, która umie docenić fakt mojej śmierci, szczęściarz ze mnie, czyż nie? — Wypił kolejny łyk roztaczającego słodkawego zapachu Southern Comfort. — To był ulubiony drink Janis Joplin, wiedziałaś o tym? — spytał. —

Wysłuchaj mnie z czystej ciekawości, to dla mnie ważne. Po prostu mnie wysłuchaj. Chcę opowiedzieć ci o mnie i o Dorze. Chcę, żebyś wiedział. Żebyś naprawdę wiedział, kim byłem, żebyś nie miał na mój temat tylko własnych mylnych wyobrażeń. Chcę, żebyś czuwał nad Dorą.

W mieszkaniu jest coś, co chciałbym, abys...

— Chusta świętej Weroniki oprawiona w ramkę?

— Nie. To tandeta. Ma co prawda kilkaset lat, ale to jedna z kopii oryginalnej chusty —

możesz ją kupić, jeśli masz dostatecznie dużo forsy. Nie rozglądałeś się zbyt dokładnie po

mieszkananiu, prawda?

— Czemu chciałeś dać tę chustę Dorze? — spytałem. To z miejsca go otrzeźwiło.

— Słyszałeś naszą rozmowę?

— Słyszałem wiele waszych rozmów.

Zastanawiał się głęboko, rozważał pewne sprawy. Wyglądał na rozsądnego, rzeczowego faceta, jego orientalne oblicze emanowało szczerością i wielką troską.

— Czy powiedziałeś: „Czuwaj nad Dorą”? — spytałem. — Czy o to mnie prosiłeś? Abym nad nią czuwał? A więc to kolejna propozycja. Wyjaśnij mi, czemu, u licha, miałbym wysłuchiwać historii twego życia? Zwróciłeś się ze sprawą osądu do niewłaściwej osoby. Nie obchodzi mnie, jak doszło do tego, że stałeś się tym, kim się stałeś. A te dzieła sztuki w mieszkaniu, czemu duch miałby się przejmować rzeczami materialnymi?

To nie było do końca uczciwe z mojej strony. Byłem zbyt nonszalancki i obaj o tym wiedzieliśmy. To jasne, że zależało mu na jego skarbach. Ale to Dora sprawiła, że powrócił z zaświatów.

Jego włosy wydawały się teraz ciemniejsze, a płaszcz miał wyraźniejszą fakturę. Dostrzegłem w niej mieszankę jedwabiu i kaszmiru. Zwróciłem uwagę na jego paznokcie, idealnie wymanikiurowane i wypielęgnowane. Te same dłonie, które wyrzuciłem do śmieci. Jeszcze przed chwilą wszystkie te szczegóły nie były chyba tak bardzo widoczne.

— Jezu Chryste — wyszeptałem. Zaśmiał się.

— Boisz się bardziej niż ja.

— Gdzie jesteś?

— O czym ty mówisz? — zapytał. — Siedzę obok ciebie. Jesteśmy w barze w Village. Co miało znaczyć to pytanie — gdzie jesteś? Jeżeli chodzi o moje ciało, równie dobrze jak ja wiesz, gdzie porzuciłeś różne jego fragmenty.

— I dlatego mnie nawiedziłeś.

— Wcale nie. Co mnie obchodzi moje dawne ciało. Czuję tę obojętność od chwili, gdy je opuściłem. Ale ty to wszystko już wiesz!

— Nie, nie, chodziło mi o to, w jakim miejscu się teraz znajdujesz, dokąd trafiłeś, co widziałeś, kiedy odszedłeś... co...

Pokręcił głową i uśmiechnął się smutno.

— Znasz odpowiedź na każde z tych pytań. Nie wiem, gdzie jestem. Ale coś na mnie czeka.

Jestem o tym przekonany. Coś czeka. Może zwyczajnie się rozproszę. Odejdę w mrok. Wydaje się, że to coś osobistego. I nie będzie czekało wiecznie. Nie mam pojęcia, skąd to wiem. Nie wiem też, dlaczego pozwolono mi do ciebie dotrzeć, czy w grę wchodzi siła mojej woli i tylko ona a tej mi skądinąd nie brakuje, czy może jakieś zrządzenie losu — sam nie wiem. Ale przez cały czas cię śledziłem. Od mego mieszkania i z powrotem, a potem kiedy wyruszyłeś, aby pozbyć się ciała, i stamtąd aż tutaj. Muszę z tobą pomówić. Nie odejdę w spokoju, dopóki z tobą nie porozmawiam.

— Coś na ciebie czeka — szepnąłem z trwogą. Nie potrafiłem tego w sobie stłumić. — A potem, już po naszej rozmowie, jeżeli nie rozpląniesz się w nicość, dokąd się udasz?

Pokręcił głową i łypnął na butelkę stojącą na środkowej półce, powódź światła, barw, etykiety.

— Jesteś męczący — mruknął. — Zamknij się. — Powiedział to kategorycznie. Spiorunował mnie wzrokiem, wypił kolejny łyk drinka, po czym gestem zamówił u barmana jeszcze jednego.

— Chcesz się upić? — spytałem.

— Nie sądzę, aby to było możliwe. Musisz roztoczyć nad nią opiekę. Nie rozumiesz, wszystko wyjdzie na jaw. Cała sprawa trafi do prasy. Mam wrogów, którzy zabijają bez wahania tylko dlatego, że jest moją córką. Nie masz pojęcia, jakie podejmowałem środki ostrożności i jaka ona jest narwana, jak bardzo wierzy w Bożą Opatrzność. No i jeszcze nie należy zapomnieć o rządzie, o rządowych psach tropiących, o moich rzeczach, moich dziełach sztuki, moich księgach!

Byłem zafascynowany. Na prawie trzy sekundy zapomniałem, że jest duchem. Teraz moje oczy nijak tego nie potwierdzały. Nic na to nie wskazywało. Ale nie wydzielał żadnego zapachu, a ciche odgłosy, jakie wydawał, nie miały nic wspólnego z prawdziwymi Płucami ani sercem.

— Dobra, powiem prosto z mostu — rzucił. — Boję się o nią. Będzie musiała jakoś sobie poradzić. Potrzeba czasu, aby moi wrogowie o niej zapomnieli. Większość z nich nie wie o jej istnieniu. Ale ktoś może wiedzieć. I ktoś się dowie, skoro ty o niej wiesz.

— Niezupełnie. Ja nie jestem człowiekiem.

— Musisz ją ochraniać.

— Nie muszę. I nie chcę.

— Lestacie, zechcesz mnie wreszcie wysłuchać?

— Nie chcę słuchać. Chcę, żebyś odszedł.

— Wiem.

— Posłuchaj, wcale nie chciałem cię zabić, przykro mi, to była tragiczna pomyłka, powinienem był wybrać kogoś... — Trzęsły mi się ręce. Och, jakie fascynujące wyda mi się to później, teraz jednak błagałem Boga, aby położył temu kres, aby zakończył tę kretyńską szaradę.

— Wiesz, gdzie się urodziłem, prawda? — zapytał. — Znasz ten budynek na rogu St. Charles i Jackson?

Pokiwałem głową.

— Pensjonat — rzekłem. — Nie opowiadaj mi historii swego życia. Nie ma potrzeby. Poza tym ono już się skończyło. Miałeś szansę napisać autobiografię, póki żyłeś, jak wszyscy inni. Po co mi to wiedzieć?

— Chcę opowiedzieć ci o tym, co jest ważne. Spójrz na mnie! Spójrz na mnie, proszę, spróbuj mnie zrozumieć, pokochać mnie i pokochać dla mnie Dorę! Błagam cię!

Nie musiałem widzieć wyrazu jego twarzy, aby pojąć tę czystą mękę, ten krzyk rozpacz. Czy na tym świecie może nas spotkać coś gorszego niż cierpienie naszych dzieci? Naszych bliskich?

Osób, które kochamy? Dora, mała Dora spacerująca korytarzami pustego klasztoru. Dora na ekranie telewizyjnym, śpiewająca z szeroko rozłożonymi rękami.

Musiałem chyba wstrzymać oddech. Sam nie wiem. Zadygotałem. Bo ja wiem. Przez chwilę nie mogłem pozbierać myśli, ale to nie było nic nadnaturalnego, tylko samo cierpienie i świadomość, że on tam jest, wyraźnie widoczny, namacalny, oczekuje czegoś ode mnie, przebył

długą drogę, przetrwał w tej efemerycznej postaci dostatecznie długo, by wymóc na mnie ważną dla niego obietnicę.

— Kochasz mnie — wyszeptał. Wydawał się skupiony i zaintrygowany. To nie było tylko pochlebstwo. Chodziło o coś więcej niż tylko o mnie.

— Pasja — odparłem szeptem. — To ta twoja pasja.

— Tak, wiem. Pochlebiam ci to. Nie zostałem przejechany przez ciężarówkę ani zastrzelony przez wynajętego cyngla. Ty mnie zabiłeś! Właśnie ty, a zatem musisz być z nich najlepszy.

— Najlepszy spośród kogo?

— Nie wiem, jak siebie nazywacie. Nie jesteś człowiekiem, ale wyglądasz jak człowiek.

Wypiłeś moją krew. Masz ją w sobie. Sycisz się nią. Przypuszczam, że nie jesteś jedyny w swoim rodzaju. Na pewno są jeszcze inni. — Odwrócił wzrok. — Wampiry — powiedział. —

Kiedy byłem chłopcem, widziałem duchy w naszym domu w Nowym Orleanie.

— W Nowym Orleanie wszyscy widzą duchy. Zaśmiał się wbrew sobie, krótko, cicho, dyskretnie.

— Wiem — odparł — ale naprawdę je widziałem, wtedy, dawno temu i w innych miejscach też. Nigdy jednak nie wierzyłem w Boga, szatana, anioły, wampiry, wilkołaki ani inne tego typu istoty, które mogą wpływać na los lub zmieniać dość chaotyczny z pozoru rytm rządzący wszechświatem.

— Teraz wierzysz w Boga?

— Nie. Mam wrażenie, że będę trwał w tej postaci najdłużej, jak zdołam, podobnie do wszystkich duchów, które kiedykolwiek widziałem, a potem zaczną znikać. Odejdę. Zgasnę jak świeca. Oto, co mnie czeka. Zapomnienie. To nie jest tylko moje odczucie. Uważam, że tak będzie, ponieważ mój umysł, to, co z niego pozostało, to, co wciąż trzyma mnie na ziemi, nie potrafi ogarnąć niczego innego. I co ty na to?

— Jak czy owak, przeraża mnie to, co mówisz. — Nie zamierzałem wspominać mu o prześladowcy. Teraz wiedziałem już, że nie miał nic wspólnego z pozornym ożywieniem czarnego posągu. On był już wtedy martwy i zagubiony.

— Przeraża cię? — zapytał z szacunkiem. — Cóż, ciebie to nie spotka. Ty robisz to innym. A teraz chcę opowiedzieć ci o Dorze.

— Jest piękna. Ja... ee... postaram się mieć na nią oko.

— Nie. Ona potrzebuje z twojej strony czegoś więcej. Potrzebuje cudu.

— Cudu?

— Posłuchaj, kimkolwiek jesteś, żyjesz, choć nie jesteś człowiekiem. Potrafisz czynić cuda, prawda? Mógłbyś to zrobić dla Dory, istota o twoich zdolnościach na pewno nie będzie miała z tym najmniejszych problemów!

— Masz na myśli jakiś lipny cud?

— A cóż by innego? Bez cudu ona nie zdoła ocalić świata, doskonale o tym wie. Mógłbyś tego dokonać.

— Pozostajesz na ziemi i nawiedzasz mnie w tym miejscu, aby złożyć mi tak szemraną propozycję? — rzuciłem. — Ciebie nic już nie może uratować. Nie żyjesz. Wciąż jednak pozostajesz gangsterem i szantażystą. Posłuchaj siebie. Chcesz, abym spreparował jakieś widowisko dla Dory? Sądzisz, że Dora chciałaby tego?

Był wyraźnie oszołomiony. Do tego stopnia, że nie udało mi się go obrazić. Odstawił

szklaneczkę i siedział tam, spokojny, skupiony, przepatrując wnętrze baru. Wydawał się pełen godności, młodszy o dziesięć lat niż w chwili śmierci. Chyba nikt nie chciałby wrócić jako duch w szpetnej postaci. Wszyscy optują za możliwie jak najatrakcyjniejszą formą. To całkiem oczywiste.

Poczułem narastającą, nieuchronną i fatalną fascynację tą zjawą, moją ofiarą. Monsieur, ma pan w sobie moją krew!

Odwrócił się.

— Masz rację — rzekł urywanym szeptem. — Masz absolutnie rację. Nie mogę cię namawiać, abyś

przyjął moją propozycję spreparowania cudu dla Dory. To potworne. Nie przystałaby na to.

— Teraz mówisz jak Grateful Dead — powiedziałem.

Znów zaśmiał się pogardliwie. A potem ciszej i spokojniej dodał:

— Lestacie, musisz się nią zaopiekować... na pewien czas.

Gdy nie odpowiedziałem, podjął swój wywód.

— Tylko na pewien czas, dopóki reporterzy nie przestaną się nią interesować i cały ten koszmar pójdzie w zapomnienie; dopóki nie odzyska wiary, nie odnajdzie siebie i nie będzie znów tą samą Dorą co dawniej. Aż powróci do dawnego życia. Bo ona ma swoje życie. Nie może cierpieć przeze mnie, Lestacie, nie przeze mnie, to nie fair.

— Nie fair?

— Odezwij się do mnie po imieniu — powiedział. — Spójrz na mnie.

Przeniosłem na niego wzrok. To było dla mnie bardzo trudne i bolesne. Wyglądał żałośnie.

Musiał strasznie cierpieć. Nie wiem, czy ludzie są w stanie wyrazić tak wielki ból. Naprawdę nie wiem.

— Mam na imię Roger — powiedział. Wydawał się teraz jeszcze młodszy, jakby mentalnie cofał się w czasie albo odzyskiwał niewinność, jakby umarli, jeżeli mieli tu pozostać, zyskiwali prawo do utraconej i zapomnianej niewinności.

— Wiem, jak masz na imię — odparłem. — Wiem o tobie wszystko, Rogerze. Roger Duch.

Nigdy nie pozwoliłeś, aby stary kapitan cię dotknął; pozwalałeś jedynie, aby cię adorował, uczył, zabierał w różne miejsca i kupował piękne rzeczy, ale nigdy nie poszedłeś z nim do łóżka. —

Powiedziałem mu wszystko, czego dowiedziałem się z wizji, pijąc jego krew, lecz zrobiłem to bez cienia złości. Po prostu z zadziwieniem mówiłem o tym, jacy wszyscy jesteśmy źli, 0

kłamstwach, jakimi się posługujemy.

Milczał przez chwilę.

Byłem zdruzgotany. Smutek i żal dosłownie mnie oślepiły, pospołu z rozgoryczeniem i niepojętą zgrozą tego, co mu zrobiłem, jemu i innym, tego, że krzywdziłem istoty ludzkie. To był

najprawdziwszy koszmar.

Jak brzmiało przesłanie Dory? Jak mieliśmy zostać zbawieni? Czy to jeden i ten sam kandydat adoracji i uwielbienia?

Przyglądał mi się. Był młody, pełen werwy, cudownie pozorował życie. Roger.

— W porządku — powiedział łagodnym, zrównoważonym tonem. — Nie spałem z kapitanem, to fakt, ale on nigdy tak naprawdę tego ode mnie nie żądał, widzisz, on wcale nie był

taki, a poza tym był za stary. Nie wiesz, jak to było między nami. Może potrafisz wychwycić głębię poczucia winy, jakie noszę w sobie. Ale nie masz pojęcia, jak bardzo żałowałem później, że tego nie zrobiłem. Że nie zrobiłem tego ze starym kapitanem. Nie to jednak sprawiło, że zszedłem na złą drogę. Bynajmniej. Wbrew temu, co możesz sądzić, nie chodzi też o grube oszustwo ani przekręt. Uwielbiałem rzeczy, które mi pokazywał. Kochał mnie. Zapewne dzięki mnie pożył dwa, trzy lata dłużej. Wynken de Wilde, obaj kochaliśmy Wynkena de Wilde. Nie tak to powinno się skończyć. Miało być inaczej. Wiesz, byłem przy starym kapitanie, gdy umierał.

Ani na chwilę nie opuściłem pokoju. Gdy potrzebują mnie ci, których kocham, jestem wobec nich wierny aż do końca.

— Tak, wobec swojej żony Terry również, jeśli się nie mylę? — Te słowa były okrutne, ale rzuciłem je bez namysłu, ponownie odtwarzając scenę jej śmierci. — Zapomnij o tym, co powiedziałem, jeśli chcesz — rzekłem. — Wybacz. Kim, na Boga, jest Wynken de Wilde? —

Poczułem się fatalnie. — Boże drogi, nie dajesz mi spokoju — mruknąłem. — A ja jestem w głębi duszy okropnym tchórzem, Czemu wymówiłeś to dziwne nazwisko? Nie chcę wiedzieć.

Nid nie mów mi. To mi wystarczy. Wychodzę. Jeśli chcesz, możesz nawiedzać ten bar aż do końca świata. Znajdź sobie odpowiedniego partnera do rozmowy.

— Posłuchaj mnie — rzucił. — Przecież mnie kochasz. Wybrali mnie. Chcę tylko uzupełnić niezbędne szczegóły.

— Zaopiekuję się Dorą, tak czy inaczej, wymyślę jakiś sposób, aby jej pomóc, jakoś to załatwię. I zatroszczę się o twoje zbiory, przeniosę je w bezpieczne miejsce i będę trzymał dla niej do czasu, aż zechce je przyjąć.

— Tak!

— A teraz chciałbym się już pożegnać.

— Ja cię nie zatrzymuję — powiedział.

Tak, kochałem go. Chciałem na niego patrzeć. Chciałem, by opowiedział mi wszystko, z najdrobniejszymi detalami. Dotknąłem jego ręki. Nie wydawał się żywy. To nie było ludzkie ciało! Wciąż jednak zachowywało wigor. Wyczuwałem jego podniecenie i zapach.

Tylko się uśmiechnął.

Wyciągnął prawą rękę; schwycił mnie za prawy przegub i przyciągnął do siebie. Jego włosy dotknęły mojego czoła, muskając lekko skórę, to było miłe uczucie. Wielkie, ciemne oczy spojrzały na mnie.

— Wysłuchaj mnie — powtórzył. Miał bezwonnny oddech.

— Tak...

Zaczął mówić do mnie cichym, pełnym przejęcia głosem. I opowiedział mi swoją historię.

4

— Chodzi o to, że stary kapitan był przemytnikiem i kolekcjonerem. Spędziłem z nim wiele lat. Matka wysłała mnie do Andover, po czym sprowadziła z powrotem do domu, nie mogła beze mnie żyć. Poszedłem do gimnazjum jezuitów; nie mogłem znaleźć sobie miejsca; może kapitan był dla mnie najbardziej odpowiednią osobą. I wtedy zetknąłem się z Wynkenem de Wilde, to się zaczęło od starego kapitana i antyków, które sprzedawał w całej dzielnicy, zwykle były to niewielkie, łatwe do przeniesienia rzeczy.

Powiem ci jeszcze, że Wynkena de Wilde nie sposób z niczym porównać, no, może tylko z marzeniem, które kiedyś miałem, to był naprawdę skrajnie perwersyjny plan. Moją największą pasją w życiu — oprócz Dory — był właśnie Wynken de Wilde, ale jeśli po tej rozmowie nie będziesz jego wielbicielem, to zostanie całkiem zapomniany. Bo Dorze na nim nie zależy.

— O co chodzi z tym Wynkenem de Wilde?

— O sztukę, rzecz jasna. O piękno. Kiedy miałem siedemnaście lat, to wszystko pomieszało mi się do tego stopnia, że myślałem o stworzeniu nowej religii, kultu wolnej miłości, o dawaniu ubogim, nieużywaniu przemocy, o czymś w rodzaju społeczności amiszów, ale pieprzającej się jak króliki. Był rok 1964, czas dzieci kwiatów, trawki, Bob Dylan śpiewał bez przerwy o etyce i dobroczynności, a ja pragnąłem utworzyć nowe Bractwo Wspólnego Życia, w którym panowałyby zasady swobody seksualnej. Wiesz, co to było za bractwo?

— Tak, popularny ruch mistyczny z końca średniowiecza, który nauczał, że każdy może poznać Boga.

— Tak, a więc ruch ten nie jest ci obcy.

— By poznać Boga, nie trzeba być księdzem ani mnichem.

— No właśnie. Dlatego mnisi byli zazdrośni, ale moja młodzięcza koncepcja oscylowała wokół Wynkena, który — jak wiedziałem — był pod wpływem germańskiego mistycyzmu i innych popularnych ruchów, no wiesz, Mistrz Eckhart i jemu podobni... choć pracował w skryptorium i spod jego ręki wyszedł egzemplarz przepięknie iluminowanego modlitewnika.

Księgi Wynkena różniły się od innych tego typu dzieł. Zastanawiałem się, czy zdołam odnaleźć wszystkie, które wyszły spod jego ręki.

— Czemu właśnie on, co w nim było takiego szczególnego?

— Pozwól, że opowiem ci to na swój sposób. Pensjonat wciąż był wytworny, ale powoli zaczął podupadać, wiesz, o co mi chodzi. Moja matka nie lubiła brudzić sobie rąk, miała trzy służące i

kolorowego, który zajmował się wszystkim. Starsi ludzie, nasi pensjonariusze, wywodzili się z zamożnych rodzin, mieli sporo pieniędzy, ich limuzyny parkowały w garażach wokół Garden District, trzy posiłki dziennie, czerwone dywany. Znasz ten dom. Zaprojektował

go Henry Howard. Późny okres wiktoriański. Matka odziedziczyła go po swojej matce.

— Wiem, widziałem go, widziałem, jak się przed nim zatrzymujesz. Kto jest teraz jego właścicielem?

— Nie wiem. Straciłem go. Utraciłem tak wiele rzeczy. Ale wyobraź to sobie: senne, letnie popołudnie w tym miejscu, mam piętnaście lat, a stary kapitan zaprasza mnie do siebie, w drugim saloniku znajduje się stolik — kapitan wynajmuje dwa pokoje od frontu — na blacie leżą precudowne rzeczy, prawdziwe cacka, z mosiądzu i nie tylko...

— Właśnie to sobie wyobraziłem.

— ...poza tym na stole leżą księgi, średniowieczne księgi! Małe, średniowieczne modlitewniki. Rozpoznałem je bez trudu, gorzej było z kodeksami. W dzieciństwie byłem ministrantem, służyłem do mszy, znałem całą liturgię po łacinie. Z miejsca zorientowałem się, że te modlitewniki to bardzo rzadkie i wyjątkowe okazy. Domyśliłem się, że kapitan zamierza je sprzedać. „Możesz ich dotknąć, Rogerze, ale bardzo ostrożnie”, powiedział do mnie. Przez dwa lata odwiedzałem go w jego mieszkaniu i słuchałem płyt z muzyką klasyczną. Chodziliśmy też na spacer. We mnie dopiero rodziła się zmysłowa fascynacja jego osobą, choć wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem i nie ma to nic wspólnego z tym o czym powiem później.

Rozmawiał z kimś przez telefon o statku czekającym w zatoce. W parę minut później wyruszyliśmy na ten statek. Ciągłe odwiedzaliśmy jakieś statki. Nigdy nie wiedziałem, co właściwie robimy. Chyba chodziło o przemyt. Pamiętam tylko, że stary kapitan siedział przy wielkim, okrągłym stole, z całą załogą — byli to, jak sądzę, Holendrzy, a jakiś miły oficer mówiący z wyraźnym obcym akcentem oprowadził mnie po maszynowni, pokoju map i pomieszczeniu łączności. Nigdy mnie to nie nudziło. Kochałem statki. Nabrzeża Nowego Orleanu tętniły wtedy życiem, pełno na nich było szczurów i konopnych lin.

— Wiem.

— Pamiętasz te długie liny biegnące od statku do nabrzeża? Miały okrągłe, stalowe osłony, takie duże dyski, aby szczury nie mogły się po nich wspinać?

— Pamiętam.

— Tamtej nocy wróciliśmy do domu, ale zamiast pójść spać, poprosiłem go, aby pozwolił mi jeszcze raz obejrzeć te księgi. Musiałem je zobaczyć, póki ich nie sprzeda. Matki nie było w holu, pewnie już spała.

Pozwól teraz, że w kilku słowach opiszę moją matkę i ten pensjonat. Mówiłem już, że był

elegancki, prawda? Możesz sobie wyobrazić wystrój w pseudorenesansowym stylu, masywne,

wykonane maszynowo meble, które zaśmiecały rezydencje od lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku.

— Tak.

— Dom miał przepiękną klatkę schodową z witrażowym oknem, a u podnóża kręconych schodów, z których Henry Howard musiał być szczególnie dumny, w niewielkiej niszy znajdowała się toaletka mamy, przy której siadywała, właśnie tam, w głównym holu aby uczesać włosy! Wystarczy, że o tym pomyślę, i natychmiast zaczyna mi pękać głowa. A raczej pękała mi, kiedy jeszcze żyłem. Tb był naprawdę tragiczny obrazek, wiedziałem o tym, mimo iż dorastając, oglądałem go każdego dnia; tę toaletkę z marmuru i luster, z mnóstwem ozdóbek i uchwytów, i tę kobietą, starą kobietę o ciemnych włosach, która nie pasowała do tego miejsca...

— A pensjonariusze nie mieli nic przeciw temu? — spytałem.

— Nie, w tym domu działały się nie takie rzeczy. Przede wszystkim stale brakowało w nim pokoi. Stary pan Bridey mieszkał w dawnym pomieszczeniu dla służby, a niewidoma pani Santon na poddaszu! Cztery pokoje przerobiono z pomieszczeń dla służby, na tyłach domu. Nie cierpię bałaganu, ale chyba o tym już wiesz. Wokół mnie zawsze był idealny porządek, nawet w mieszkaniu, gdzie mnie zabiłeś, panował tylko artystyczny nieład.

— Zauważyłem.

— Gdybym jednak miał znów tam zamieszkać... ech, nieważne. Chcę tylko powiedzieć, że wierzę w ład i porządek, a kiedy byłem młody, wręcz o tym śniłem i marzyłem. Chciałem zostać świętym, no, powiedzmy świeckim świętym. Pozwól mi jednak wrócić do tematu ksiąg.

— Mów dalej.

— Zająłem się leżącymi na stole modlitewnikami. Jeden z nich wyjąłem nawet ze specjalnej sakwy. Urzekły mnie te maleńkie ilustracje. Tej nocy przejrzałem kolejno każdą z ksiąg, zrobiłem to powoli, niespiesznie, z lubością. Oczywiście łacina w tej postaci była dla mnie kompletnie niezrozumiała.

— Za duże zagęszczenie. Zbyt wiele pociągnięć pióra.

— Ty naprawdę się na tym znasz, prawda?

— Może potrafimy zadziwić siebie nawzajem. Mów dalej.

— Pędziłem cały tydzień, skrupulatnie badając te księgi.

Urywałem się w tym celu ze szkoły. Zajęcia były takie nudne... Wyprzedzałem wszystkich w nauce i chciałem robić coś ekscytującego, dajmy na to, popełnić naprawdę poważne przestępstwo.

— Święty albo przestępca.

— Tak, chyba zachodzi tu gwałtowna sprzeczność, ale doskonale to ująłeś.

— Tak jakoś przyszło mi to do głowy.

— Stary kapitan opowiedział mi o tych księgach. Ta książeczka schowana w sakwie była używana w czasie podróży. Nosili je mężczyźni. Ta konkretna była modlitewnikiem. Druga —

iluminowana, największa i najgrubsza — to były godzinki. Miał też Biblię, po łacinie, ma się rozumieć, i księgę z psalmami. Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale coś w tych księgach mnie fascynowało. Zawsze ciągnęło mnie do błyszczących, lśniących, z wyglądu cennych rzeczy, a te, które miałem przed sobą, wydawały się absolutnie niepowtarzalne. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

— Wiem, o co ci chodzi. — Uśmiechnąłem się.

— Stronice pełne złota, czerwieni i maleńkich, przepięknych postaci. Wyjąłem szkło powiększające i zacząłem pieczołowicie studiować te rysunki. Udałem się do starej biblioteki na Lee Circle — pamiętasz ją? — i zająłem się tym tematem na serio. Średniowiecznymi księgami.

Pracą benedyktynów nad ich przepisywaniem i iluminowaniem. Czy wiesz, że Dora jest właścicielką klasztoru? Nie jest niestety średniowieczny, pochodzi z dziewiętnastego wieku.

— Tak, widziałem go, widziałem ją tam. Jest dzielna, nie boi się mroku ani samotności.

— Wierzy aż do przesady w Bożą Opatrzność i aby osiągnąć zamierzony cel, jest gotowa nawet zaryzykować głowę. Mam ochotę na jeszcze jednego drinka. Wiem, że szybko mówię.

Muszę.

Gestem zamówiłem drinka u barmana.

— Mów dalej, co się stało, kim jest Wynken de Wilde?

— Wynken de Wilde był autorem dwóch ksiąg, które miał w swoim posiadaniu stary kapitan.

Dowiedziałem się tego wiele miesięcy później. Ślęczałem nad tymi małymi ilustracjami — i stopniowo zacząłem dochodzić do wniosku, że te dwie książki były dziełem jednego artysty.

Później zaś, mimo iż stary kapitan upierał się, że nie były sygnowane, w kilku miejscach znalazłem imię owego mnicha. Teraz już wiesz, że kapitan parał się sprzedażą tego typu rzeczy.

Robił to za pośrednictwem sklepiku na Rogal Street.

Pokiwałem głową.

— Cóż, lękałem się, że nadejdzie dzień, kiedy sprzeda także te dwie księgi! A one nie były takie jak wszystkie inne. Po pierwsze, ilustracje wykonano z niezwykłym pietyzmem, dając mnóstwo detali. Jedna strona zawierała na przykład motyw kwitnącej winorośli — z kielichów kwiatów piły maleńkie ptaki, w kwiaty zaś wplecione były niewielkie, połączone ze sobą postacie ludzkie. No i jeszcze te psalmy. Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że były to psalmy z Wulgaty, to znaczy

łacińskiego przekładu Biblii, który przyjmuje się jako obowiązujący w Kościele rzymskokatolickim.

— Tak...

— Te psalmy nigdy jednak nie pojawiały się w żadnej z Biblii. Potwierdziłem to, porównując je z innymi łacińskimi egzemplarzami Pisma Świętego z tego samego okresu, wypożyczonymi z biblioteki. To było dzieło jedyne w swoim rodzaju. No i te ilustracje. Iluminacje przedstawiały nie tylko małe zwierzęta, drzewa i kwiaty, lecz również nagich ludzi, i ci nadzy ludzie robili z sobą niesamowite rzeczy.

— Bosch.

— Właśnie! Tak jak w *Ogrodzie rozkoszy ziemskich* Boscha. Było to przedstawienie prawdziwie zmysłowego, lubieżnego raj! Oczywiście wtedy nie widziałem jeszcze znajdującego się w Prado dzieła Boscha. Ale ono tu było, na tych stronicach, tyle że w miniaturze. Małe postacie uprawiające seks wśród ociekających zielenią drzew — Stary kapitan rzekł: „Ogród rajskich wyobrażeń” — był to rzekomo bardzo popularny temat. Ale żeby poświęcać temu aż dwie księgi? Nie. To było coś innego. Musiałem rozwiązać zagadkę tych ksiąg, poznać jak najdokładniej ich treść, postarać się o możliwie najwierniejszy ich przekład. I wtedy stary kapitan zrobił mi największą frajdę, coś, dzięki czemu mógłbym zostać wielkim przywódcą religijnym, i kto wie, może jeszcze uczyni przywódczynię z Dory, choć jej credo jest całkowicie odmienne.

— Dał ci te książki.

— Tak. Podarował mi je. Powiem nawet więcej. Tego lata zabrał mnie w podróż, abym mógł

zobaczyć jeszcze inne średniowieczne manuskrypty! Udaliśmy się do Biblioteki Huntingtona w Pasadenie i do Biblioteki Newbury w Chicago. Udaliśmy się do Nowego Jorku. Chciał też zabrać mnie do Anglii, ale moja matka się nie zgodziła. Zobaczyłem całe mnóstwo średniowiecznych ksiąg. I zrozumiałem, że Wynken był jedyne w swoim rodzaju. Był bluźniercą i profanem. I choć w żadnej z tych bibliotek nie było dzieł rąk Wynkena de Wilde, bibliotekarze znali jego nazwisko!

Kapitan pozwolił mi zatrzymać księgi. A ja natychmiast zabrałem się do ich przekładu. Stary kapitan wyzionął ducha w swoim pokoju, kiedy byłem w ostatniej klasie szkoły średniej. To się stało w pierwszym tygodniu roku szkolnego. Na zajęcia poszedłem dopiero po jego pogrzebie.

Nie chciałem się z nim rozstać. Nie mogłem go opuścić. Siedziałem przy nim. Zapadł w śpiączkę. Trzeciego dnia jego twarz tak bardzo się zmieniła, że nie można było go rozpoznać.

Oczy miał otwarte, usta zwiotczałe, wargi były rozchylone i wypływał z nich krótki, urywany oddech. Siedziałem przy nim. Mówiłem ci.

— Wierzę ci.

— Tak, no cóż, miałem siedemnaście lat, moja matka ciężko chorowała, nie miałem pieniędzy na college, jak co drugi uczeń liceum jezuitów, i marzyłem o dzieciach kwiatów z Haight Ash —

bury w Kalifornii, słuchając piosenek Joan Baez i planując wyjazd do San Francisco z przesłaniem Wynkena de Wilde, aby założyć tam sektę.

Takie miałem plany, pracując nad przekładem. Przez jakiś czas korzystałem z pomocy starego jezuity, jednego z tych naprawdę genialnych uczonych, znawców łaciny, którzy spędzali ół dnia, czuwając nad tym, aby chłopcy, ich podopieczni, dobrze się zachowywali. Z przyjemnością pomagał mi przy przekładzie.

Oczywiście łączyła się z tym niewypowiedziana obietnica intymnej bliskości, bądź co bądź

dzięki temu on i ja mogliśmy przebywać ze sobą, tylko my dwaj, całymi godzinami.

— A więc znów się sprzedawałeś i to zanim jeszcze stary kapitan wyzionął ducha?

— Nie. Niezupełnie. Nie tak jak myślisz. No, może trochę. Bo widzisz, ten ksiądz, Irlandczyk, był kapłanem starej daty, zwolennikiem ścisłego celibatu, takich jak on trudno dziś zrozumieć.

Nigdy nic z nikim nie robili. Wątpię nawet, aby się masturbowali. Zależało im jedynie na bliskości chłopców, ale unikali wszelkiego kontaktu fizycznego. Dziś do stanu duchownego osobnicy tacy jak on, skrajnie zamknięci w sobie, nieśmiali, stroniący od silniejszych doznań, raczej się już nie garną. Mężczyzna taki jak on nie posunąłby się do molestowania dzieci, tak jak nie zacząłby nagle krzyczeć przy głównym ołtarzu na całe gardło.

— Nie zdawał sobie sprawy, że go pociągasz ani że traktuje cię w szczególny sposób.

— Otóż to, dlatego spędzał ze mną całe godziny, pracując nad przekładem Wynkena. Tylko dzięki niemu zachowałem zdrowe zmysły. Często wpadał w odwiedziny do starego kapitana.

Gdyby kapitan był katolikiem, ojciec Kevin udzieliłby mu ostatniego namaszczenia. Postaraj się to zrozumieć, dobrze? Nie możesz sądzić ludzi pokroju ojca Kevina i starego kapitana.

— Nie, ani chłopców takich jak ty.

— Moja matka rok wcześniej znalazła sobie nowego, beznadziejnego faceta, gościa słodkiego jak wata cukrowa i miękkiego jak wosk, jednego z tych, którzy umieją pięknie mówić, zgrywają dżentelmena, mają duże, bystre oczy, serce czarne jak smoła i niejasne zamiary. Miał młodą twarz, ale widniało na niej zbyt e Zmarszczek, które wyglądały jak pęknięcia. Palił papierosy du Maurier. Chyba chciał się ożenić z matką, aby mieć gdzie mieszkać. Nadążasz za mną?

— O, tak. A więc po śmierci kapitana został ci już tylko ksiądz.

— Otóż to. Widzę, że zaczynasz rozumieć. Ojciec Kevin i ja sporo pracowaliśmy w pensjonacie, on bardzo to lubił. Podjeżdżał parkował przy Philip Street, przychodził, a potem szliśmy do mojego pokoju na pierwszym piętrze, sypialnia od frontu. W Mardi Gras był stamtąd wyśmienity widok na paradę. Dorastałem w przekonaniu, że to zupełnie normalne, że całe miasto na dwa tygodnie kompletnie wariuje. Tak czy owak, byliśmy tam którejs nocy, podczas jednej z parad, ignorując ją, jak to tubylcy, bo kiedy raz zobaczysz te maski i figury z papier mâché, te błyskotki i ognie...

— Okropne. Zwłaszcza to ostatnie.

— W zupełności się z tobą zgadzam. — Przerwał. Przyniesiono drinki. On wpatrywał się w swoją szklanę.

— O co chodzi? — spytałem. Zaniepokoiłem się, bo zauważyłem, że on jest zaniepokojony.

— Spójrz na mnie, Rogerze. Nie zaczynaj znikać, mów dalej. Co ujawnił przekład ksiąg? Czy były bluźniercze? Mów do mnie, Rogerze!

Przerwał uporczywe milczenie. Sięgnął po szklaneczkę i wypił połowę zawartości.

— Okropne, ale uwielbiam to. Southern Comfort to pierwszy alkohol, jaki wypilem, będąc jeszcze dzieckiem. — Spojrzał wprost na mnie. — Nie rozplnę się — zapewnił. — Po prostu przed chwilą znów ujrzałem i poczułem mój dom. Wiesz, o czym mówię! O zapachu pokoi starych ludzi, pokoi, w których ktoś umarł. Ale to było takie cudowne. Na czym to ja skończyłem? Ach, już wiem, to podczas Proteusza — jednej z tych nocnych parad — ojciec Kevin dokonał niezwykłego odkrycia, że obie te księgi Wynken de Wilde zadedykował Blanche de Wilde, swojej mecenasce i, jak się okazało, żonie jego brata, Damiena. Dedykacje wplecione były w iluminacje na kilku pierwszych stronach. To rzuciło całkiem nowe światło na psalmy.

Owe psalmy przepelnione były zmysłowymi wyznaniem i sugestiami, a może nawet zawierały ukryte kody dla ich potajemnych schadzek. Wciąż pojawiają się tam obrazy przedstawiające ten sam niewielki ogród, musisz zrozumieć, że mówimy tu o miniaturach... — Widziałem ich wiele.

— Na tych maleńkich ilustracjach przedstawiających ogród widnieje zawsze tylko jeden nagi mężczyzna i pięć kobiet, tańczących wokół fontanny za murami średniowiecznego zamku —

przynajmniej tak to wygląda. Powiększyłem to pięć razy i wszystko się wydało. Ojciec Kevin zaczął śmiać się w głos. „Nic dziwnego, że w żadnej w tych ksiąg nie ma ani jednego świętego, ani jednej sceny biblijnej — powiedział. — Twój Wynken de Wilde był obłąkanym heretykiem.

A w dodatku czarownikiem i satanistą. I kochał tę kobietę, tę Blanche”. Był nie tyle wstrząśnięty, ile raczej rozbawiony. „Wiesz, Rogerze — dodał — gdybyś skontaktował się z którymś z domów aukcyjnych, ze sprzedaży tych ksiąg mógłbyś zapewne opłacić studia na uniwersytetach Loyola albo Tulane. Nie próbuj sprzedawać ich tutaj. Pomyśl raczej o Nowym Jorku, o domach Butterfield i Butterfield albo Sotheby’s”.

W ciągu dwóch lat skopiował dla mnie odręcznie trzydzieści pięć różnych wierszy po angielsku, przekład z łaciny był doprawdy znakomity. Gdy się zabraliśmy do ich analizy, wielokrotna lektura w połączeniu z puszczeniem wodzy fantazji, odsłoniła przed nami kulisy tej historii. Przede wszystkim zdaliśmy sobie sprawę, że początkowo ksiąg było więcej, a w naszym posiadaniu znajdują się tylko pierwsza i trzecia. Psalmy zawarte w tej trzeciej były nie tyle wyrazem uwielbienia dla Blanche, porównywanej tu pod Względem czystości i światłości do Matki Bożej, ile relacją z cierpień i udręki, jakich ze strony swego małżonka doświadczała owa urocza dama. — To było sprytne. Musisz to przeczytać. Musisz wrócić do mieszkania, gdzie mnie zabiłeś, i zapoznać się z tymi księgami.

— Chcesz powiedzieć, że nie sprzedałeś ich, aby pójść na studia na Loyoli albo Tulane?

— Oczywiście, że nie. Wynken, urządzający orgie z Blanche i jej czterema przyjaciółkami!

Byłem tym zafascynowany. On sam stał się dla mnie świętym, z uwagi na swój boski talent, a zmysłowość — moją religią, ponieważ wyznawał ją Wynken, który w każdej filozoficznej sentencji, jaką zawarł w tych księgach wyrażał umiłowanie uciech cielesnych. Musisz zdać sobie sprawę, że nie byłem religijny w ścisłym tego słowa znaczeniu. Byłem przekonany, że Kościół

katolicki chyli się ku upadkowi, a religia protestancka to jawna kpina. Minęły lata, zanim zrozumiałem, że protestantyzm oparty jest na fundamencie mistycyzmu, że dąży do zjednoczenia z Bogiem, którego tak pragnął Mistrz Eckhart i o którym pisał Wynken.

— Zauważyłem, że jesteś wyjątkowo tolerancyjny wobec protestantyzmu. Czy Wynken faktycznie pisał o jedności z Bogiem?

— Tak, o jedności dzięki związkom z kobietami! Wyraził to jasno, lecz subtelnie: „W twych ramionach poznałem Świętą Trójcę prawdziwiej, niż prawią nauki świętych mężów”, i takie tam.

Nie wątpię, iż było to zgoła nowatorskie podejście. Wtedy wszelako protestantyzm kojarzył mi się tylko z materializmem, jałowością i turystami, którzy chlali na umór przy Bourbon Street, ponieważ nie ośmielili się tego robić w swoich rodzinnych miastach.

— Kiedy zmieniłeś zdanie? — spytałem.

— Mówię ogólnie. Nie sądziłem, aby w tych czasach religia na Zachodzie miała jeszcze sens, na pewno, moim zdaniem, nie miała żadnej przyszłości. Dora jest tego samego zdania, ale o niej potem.

— Czy dokończyłeś przekład?

— Tak, tuż przed przeniesieniem ojca Kevina. Nigdy więcej go nie widziałem. Napisał do mnie później, ale wtedy już nie było mnie w domu. Uciekłem. Wylądowałem w San Francisco.

Odszedłem, nie czekając na błogosławieństwo matki, i wsiadłem do autobusu dalekobieżnego linii Trailways, bo był tańszy niż Greyhound. Miałem w kieszeni niecałe siedemdziesiąt pięć dolców. Wszystko, co zdołałem uciuć, co otrzymałem od kapitana. Kiedy umarł, jego krewni z Jackson w Missouri wyczyścili mieszkanie dosłownie ze wszystkiego! Zabrali absolutnie wszystko. Wiesz, zawsze sądziłem, że kapitan coś mi zostawi. Ale nie dbałem o to. Książki były najwspanialszym prezentem, jaki mi podarował, że nie wspomnę o wszystkich lunchach w hotelu Monteleone, kiedy wspólnie pałaszowaliśmy gumbo, a on pozwalał mi dodać do tego krakersy, dzięki czemu gumbo zmieniało się w coś w rodzaju owsianki. Uwielbiałem to.

O czym to ja mówiłem? Kupiłem bilet do Kalifornii i miałem trochę drobnych na ciastko i kawę na każdym postoju. I nagle wydarzyło się coś dziwnego. Dotarliśmy do granicy, zza której nie było już powrotu. Moim celem było San Francisco i Haight Ashbury. Zamierzałem założyć tam sektę opartą na naukach Wynkena: umiłowaniu miłości, więzi cielesnych i przekonaniu, że związki seksualne mają boski charakter. Byłem gotów pokazać księgi tym, którzy by się do mnie przyłączyli. To było moje

marzenie, choć prawdę mówiąc, względem Boga nie miałem żadnych osobistych odczuć.

W ciągu trzech miesięcy odkryłem, że moje credo nie jest bynajmniej niczym wyjątkowym.

W całym mieście roiło się od hipisów wierzących w wolną miłość i życie na kreskę. Choć regularnie wykladałem tym wyzwolonym młodym ludziom na temat Wynkena, polecając im książki i czytając niektóre z psalmów — te mniej bluźniercze, ma się rozumieć — przede wszystkim byłem menedżerem trzech muzyków rockowych, którzy pragnęli sławy, ale wciąż byli zbyt naćpani, aby dbać o swoje sprawy. Jeden z nich, którego nazywaliśmy Blue, naprawdę umiał śpiewać. Był tenorem o dość dużej skali głosu. Kapela miała niezłe brzmienie... a przynajmniej tak się nam wydawało.

List od ojca Kevina dotarł do mnie, do San Francisco, gdzie mieszkałem na poddaszu Spreckles Mansion na Buena Vista Park. Znasz to miejsce?

— Tak. To hotel.

— Właśnie. W tamtych czasach jednak był to dom prywatny, na najwyższym piętrze mieścił się pokój gościnny z kuchnią i łazienką.

To było na długo przed remontem i przebudową. Nie znano jeszcze hasła „nocleg ze śniadaniem”. Po prostu wynajmowałem ten pokój, a muzycy grali tam, wszyscy korzystaliśmy z obskurnej łazienki i kuchni. Za dnia, kiedy spaliśmy na podłodze, gdzie się dało śniłem o Wynkenie, rozmyślałem o nim i zastanawiałem się, jak mógłbym się dowiedzieć czegoś więcej o tym mężczyźnie i o jego poematach miłosnych. Wciąż fantazjowałem na jego temat.

To poddasze, teraz też o nim myślę. Były tam okna, skierowane na trzy z czterech stron świata i szerokie parapety z miękkimi siedziskami. Widać było stamtąd niemal całe San Francisco, prócz jego wschodniej części, ale z kierunkami zawsze byłem trochę na bakier. Uwielbialiśmy siadywać w tych niszach przy oknach i rozmawiać o Wynkenie. Zamierzaliśmy pisać piosenki oparte na poezji Wynkena. Cóż, nigdy do tego nie doszło.

— Obsesja.

— I to jaka! Lestacie, musisz wrócić po te książki, niezależnie od tego, co będziesz o mnie myślał, kiedy tu skończymy. Wszystkie są w moim mieszkaniu. Wszystkie, co do jednej, są dziełem Wynkena. Zdobycie tych ksiąg było moim życiowym celem. To dla nich zacząłem handlować narkotykami. I to już wtedy, w Haight.

Mówiłem ci o ojcu Kevinie. Napisał do mnie list, w którym stwierdził, że odnalazł nazwisko Wynkena de Wilde w kilku manuskryptach. Okazało się, że Wynkena stracono jako przywódcę sekty heretyków — stworzył kult gromadzący wyłącznie kobiety. Jego dzieła zostały oficjalnie potępione przez Kościół. Ojciec Kevin napisał, że to wszystko jest już „historią” i powinienem sprzedać te książki. Obiecywał napisać później coś więcej, ale nie zrobił tego. Dwa miesiące po otrzymaniu tego listu pod wpływem nagłego impulsu popełniłem podwójne morderstwo i to na zawsze odmieniło

moje życie. Odtąd nic już nie było tak jak dawniej.

— Chodzi o prochy, którymi handlowałeś?

— Mniej więcej, ale to nie ja skrewiłem. Blue handlował dużo ostrzej ode mnie. Ja miałem trawkę tylko w małych woreczkach i jakoś ciułałem z tego trochę grosza. Ale Blue kupował

towar całymi walizkami i raz posiał gdzieś dwa kilogramy. Nikt nie wiedział co się z nimi stało.

Zgubił je chyba w taksówce, ale prawdy nigdy nie zdołamy dociec. Kręciło się wokół nas sporo kopniętych, tępych dzieciaków. Zabierali się do dilerki, nie wiedząc, że towar należy do sadysty i brutala, dla którego wpakowanie komuś kulki w głowę było równie łatwe jak splunięcie. Blue uważał, że da radę jakoś się z tego wymigać, że wyjaśni, co się stało i dlaczego, że został

orznięty przez kumpli, no wiesz, takie tam. Twierdził, że łącznicy mu ufają, dali mu nawet spluwę.

Spluwa leżała w szufladzie w kuchni, powiedzieli mu, że może kiedyś będzie musiał zrobić z niej użytek, ale oczywiście nigdy by się do tego nie posunął. Kiedy jesteś nawalony, to sądzisz, że wszyscy inni też są nawaleni. Twierdził, że ci goście to papierowe tygrysy jak my, nie ma się czym przejmować, wszystko da się załatwić zwykłą rozmową. Niedługo będziemy sławni jak Wielki Brat, Holding Company i Janis Joplin.

Przyszli po niego w dzień. W mieszkaniu prócz niego byłem tylko ja. Blue siedział z tymi dwoma typami w pokoju gościnnym, przy drzwiach frontowych. Ja byłem w kuchni i prawie nie słyszałem, o czym mówią. Może byłem skupiony nad Wynkenem, nie pamiętam. W końcu jednak stopniowo zaczęło do mnie docierać, o czym rozmawiają. Ci dwaj zamierzali zabić Blue.

Beznamiętnymi głosami zapewniali go, że wszystko gra, ale musi pójść z nimi, i to już teraz, zaraz, nie, to nie może czekać, musi pójść z nimi właśnie teraz i to szybko, żadnego ociągania.

Wreszcie jeden z nich cichym, zjadliwym głosem wycodził: „No chodź już, stary!” W tej samej chwili Blue przestał jazgotać po hipisowsku, w stylu: wszystko zostanie zwrócone, człowieku, nie zrobiłem nic złego, a potem zapadła cisza i zrozumiałem, że tamci zaraz zabiorą Blue, rozwalą go i porzucą na jakimś zadupiu. Takie rzeczy zdarzały się dzieciakom każdego dnia.

Pisano o tym w gazetach! Poczułem, że jeżą mi się włoski na karku. Wiedziałem, że Blue nie ma szans.

Nie zastanawiałem się nad tym, co robię. Całkiem zapomniałem o spluwie w kuchennej szufladzie. Dostałem nagłego przyływu o energii. Wszedłem do pokoju. Tamci dwaj byli starsi, mieli zacięte twarze, na pewno nie byli hipisami. Nie byli nawet Aniołami Piekieł. Byli zwykłymi zabójcami. I chyba się trochę zawiedli, stwierdziwszy, że napotkali przeszkodę w realizacji planu, polegającego na wyprowadzeniu mojego przyjaciela z mieszkania.

Znasz mnie, prawdopodobnie jestem równie próżny jak ty, a wtedy byłem jeszcze przekonany o własnej niezwykłości i niezwykłości mojego celu, mojego przeznaczenia. Cały promieniejąc, strzelając iskrami, tanecznym krokiem ruszyłem w stronę tych dwóch. Jeżeli coś świtało mi wtedy w

głowie, to właśnie to: skoro Blue może umrzeć, to i ja również. A przecież nie mogłem do czegoś takiego dopuścić, prawda?

— Rozumiem.

— Zacząłem trajkotać w pełen napięcia, pretensjonalny sposób, jak psychodeliczny filozof, cedząc przekleństwa. Szedłem prosto na nich, prowadząc wykład, własny wykład na temat przemocy. Dorzuciłem jeszcze, że zakłócili spokój mój i „innych” siedzących w kuchni.

Mieliśmy właśnie zajęcia, ja i ci „inni”. Wtedy jeden z nich sięgnął pod marynarkę i wyciągnął rewolwer. Chyba sądził, że to będzie szybka i czysta robota. Pamiętam to bardzo wyraźnie. Po prostu wyciągnął kopyto i wycelował we mnie. Zanim zdążył wymierzyć, ja dwiema rękami schwyciłem ze tę spluwę, wyrwałem mu ją, kopnąłem go najmocniej jak umiałem, po czym bez wahania rozwalilem ich obu, jednego po drugim. — Przerwał.

Nic nie powiedziałem. Kusilo mnie, aby się uśmiechnąć. To mi się spodobało. Pokiwałem głową. To oczywiste, że dla niego tak się to zaczęło; dlaczego wcześniej się nie domyśliłem? Nie miał instynktu zabójcy, w przeciwnym razie nie byłby dla mnie tak interesujący.

— W jednej chwili stałem się zabójcą — powiedział. — Ot, tak po prostu. I w dodatku z powodzeniem. Spisałem się na medal’

Zamówił kolejnego drinka i zamyślił się, odwróciwszy wzrok. Wydawał się na dobre zakotwiczony w postaci ducha; powoli si? rozkręcał.

— Co potem zrobiłeś? — spytałem.

— Cóż, od tej pory całe moje życie było inne. Najpierw zamierzałem pójść na policję, skontaktować się z księdzem, pójść j diabła, zadzwonić do matki: moje życie się skończyło, muszę zadzwonić do ojca Kevina, spuścić cały towar w kiblu, moje życie się skończyło i w ogóle. W końcu jednak tylko zamknąłem drzwi na zasuwkę. Blue i ja usiedliśmy, później zaś mówiłem przez bitą godzinę. Blue nie odezwał się słowem. Ja mówiłem. Modliłem się, żeby w aucie na zewnątrz nie było trzeciego oprycha czekającego na tamtych dwóch. Gdyby jednak ktoś zapukał do nas, byłem gotowy, bo teraz miałem ich spluwy i spory zapas naboju, a w dodatku siedziałem naprzeciw drzwi.

Gdy tak mówiłem, czekałem i patrzyłem, podczas gdy te dwa ciała tam leżały, Blue tylko tępo gapił się w przestrzeń, jakby miał zły odlot po LSD. W końcu przekonałem w duchu samego siebie, że najwyższy czas zwinąć żagle. Czemu miałbym za tych dwóch trafić na resztę życia za kratki? Potrzebowałem do tego godziny wyrażonej w słowach logiki.

— Otóż to.

— Błyskawicznie wyczyściliśmy całe mieszkanie, zabraliśmy wszystko, co do nas należało, zadzwoniliśmy do dwóch pozostałych muzyków i umówiliśmy się, że przyjdę na dworzec autobusowy, aby odebrać swój sprzęt. Powiedzieliśmy, że chodzi o nalot w sprawie prochów.

Nigdy się nie dowiedzieli, co zaszło. W mieszkaniu było całe mnóstwo odcisków palców ze wszystkich naszych imprez, orgii, nocnych sesji muzycznych i jamów, nie było więc mowy, aby zdołano nas odnaleźć. Żaden z nas nigdy nie był notowany. Poza tym zatrzymałem broń, z której rozwaliłem tych oprychów. Zrobiłem coś jeszcze, zabrałem tamtym forszę, którą mieli przy sobie.

Blue jej nie chciał, a ja potrzebowałem szmalu, aby stamtąd zniknąć.

Rozdzieliliśmy się. Nigdy więcej nie spotkałem Blue, Olliego ani Teda. Chyba wyjechali do L.A., aby tam spróbować szczęścia, najprawdopodobniej zaćpał się na śmierć. Nie wiem tego na pewno. Zająłem się sobą. Stałem się zupełnie innym człowiekiem i nic już nie było tak jak dawniej.

— Co cię odmieniło? — spytałem. — Co konkretnie stało się źródłem tej twojej przemiany?

To, że spodobało ci się, co zrobiłeś?

— Nie, bynajmniej. To wcale mi się nie spodobało. Po prostu mi się udało. Ale nigdy w tym nie zagustowałem. Zabijanie ludzi to fach, brudna robota. I ciężka. Może ciebie bawi zabijanie, ale ty nie jesteś człowiekiem. Nie, nie o to chodzi. Raczej o to, że mogłem to zrobić, że podszedłem do tego oprycha: całkiem go zaskoczyłem tym, że wyrwałem mu broń, bo skurwiel ani trochę się tego nie spodziewał, a potem bez wahania rozwaliłem ich obu. Zginęli z wyrazem zdumienia na twarzach.

— Myśleli, że mają do czynienia z dziećmiakami.

— Myśleli, że mają do czynienia z marzycielami. A ja byłem marzycielem i przez całą drogę do Nowego Jorku rozmyślałem o swoim przeznaczeniu, o tym, że będę kiedyś wielki, i o poczuciu władzy, które sprawiało, że byłem w stanie podejść i zastrzelić tych dwóch bandziorów.

To był jawny dowód mocy!

— Dar od Boga.

— Nie, od losu, od przeznaczenia. Mówiłem ci, że nigdy nie żywiłem żadnych głębszych uczuć względem Boga. Wiesz, co mówią w Kościele katolickim — jeśli nie wielbisz całym sercem Maryi Dziewicy, to twoja nieśmiertelna dusza jest poważnie zagrożona. Ja nigdy Jej nie wielbiłem. Podobnie jak żadnego anioła ani świętego. Nigdy tego nie czułem. Właśnie dlatego to, czym zajmuje się Dora, kompletnie mnie zaskoczyło, Dora jest pod tym względem stuprocentowo szczerą. O tym jednak później. Zanim dotarłem do Nowego Jorku, wiedziałem, że moja sekta powstanie, że będzie miała rzesze wyznawców, olbrzymią władzę i przywództwo nad nią da mi mnóstwo fizycznej rozkoszy.

— Rozumiem.

— Na tym polegała wizja Wynkena. Wynken przekazywał swoje idee kobietom, które do niego Ignęły, tłumaczył im, że nie ma sensu czekać na nagrodę na drugim świecie. Należy robić wszystko tu i teraz, popępiać wszelkie możliwe grzechy... to łączyło wszystkie heretyckie grupy wyznaniowe, prawda?

— Tak. Niektóre z nich. W każdym razie tak twierdzili ich przeciwnicy

— Następnego zabójstwa dokonałem dla pieniędzy. To był trakt. Byłem najambitniejszym chłopakiem w mieście. Znów wałem jako menedżer zespołu — ale tym razem bandy niedaczników, zupełnie nam nie szło, choć inne kapele robiły karierę dnia na dzień. Znów wszedłem w prochy, ale tym razem byłem o wiele cwańszy i osobiście znieawidziłem wszelkie narkotyki. To były dawne czasy, kiedy ludzie przemycali trawkę przez granice małymi samolotami, czasy jak z westernu, dni prawdziwej przygody.

Któregoś dnia doszły mnie słuchy, że pewien facet ma prze — chlapano u miejscowego gangstera, który jest gotów zapłacić za jego sprzątnięcie trzydzieści patoli. Wiedział, że wyznaczono cenę za jego głowę. Mimo to nadal chodził po mieście, w blasku dnia, a wszyscy bali się cokolwiek zrobić. Chyba każdy czekał, żeby wyręczył go przy tym zleceniu ktoś inny.

Nie miałem pojęcia, jak ci ludzie byli ze sobą powiązani. Wiedziałem tylko, że za tego faceta można zgarnąć sporo szmalu. Upewniłem się w tej kwestii. Obmyśliłem sposób, jak to zrobić.

Miałem wtedy dziewiętnaście lat. Ubrałem się jak student, w blezer, kamizelkę, flanelowe spodnie, obciąłem włosy w stylu, jaki popularny był wówczas w Princeton, i zabrałem z sobą kilka książek. Odnalazłem go na Long Island, gdzie mieszkał. Pewnego wieczoru podszedłem do niego na podjeździe za domem, gdy wyszedł z samochodu, i go rozwaliłem, Pięć stóp dalej, w domu, jego żona i dzieci jedli kolację. — Znów przerwał, po czym z niezmaconą powagą dodał:

— Aby dokonać bezwzględnego czynu, trzeba być wyjątkowym zwierzęciem. Takim, które nie odczuwa wyrzutów sumienia.

— Nie znęcałeś się nad nim jak ja nad tobą — powiedziałem łagodnie. — Wiesz wszystko, co zrobiłeś, prawda? Naprawdę to rozumiesz. Kiedy cię śledziłem, nie miałem pełnego obrazu.

Sądziłem, że jesteś bardziej zakochany w sobie, spaczony. Ze oszukujesz sam siebie w nadzwyczajny sposób.

— Czy to, co mi zrobiłeś, było znęcaniem się? — zapytał. — Nie pamiętam, aby łączył się z tym ból, a tylko wściekłość, że umie — ram. Tak czy owak, zabiłem tego faceta na Long Island dla forsy. To nic dla mnie nie znaczyło. Gdy było po wszystkim, nawet nie poczułem ulgi, tylko osobliwą siłę, wynikającą z faktu, że dałem radę, że zrobiłem, co sobie zamierzyłem, i postanowiłem sprawdzić się znów, raz jeszcze — i tak się stało.

— I tak wkroczyłeś na swoją ścieżkę życia.

— Właśnie tak. I to jak najbardziej w moim stylu. Zyskałem w pewnych kręgach sporą sławę.

Jeżeli masz do zrealizowania z pozoru niewykonalny kontrakt, wynajmij Rogera. Mogłem dostać się do szpitala w przebraniu lekarza, z plakietką na kitlu i z notesem na podkładce w rękę, po czym wejść do izolatki; wpakować ofierze parę kul i zniknąć, zanim ktokolwiek zorientował się, co zaszło. Nawiasem mówiąc, mam na koncie taki właśnie kontrakt. Musisz jednak zrozumieć, że nie dorobiłem

się fortuny jako płatny zabójca. Najpierw wszedłem w heroinę, potem w kokę, a wraz z kokainą wrócili tamci kowboje, których znałem na początku, którzy przemycali towar przez granicę, w ten sam sposób, tymi samymi trasami, tymi samymi awionetkami. Znasz tę historię. Teraz wszyscy ją znają. Dawni handlarze prochami byli dość prymitywni, jeżeli chodzi o metody działania. Bawili się z agentami rządowymi w „policjantów i złodziei”. Awionetki były szybsze od maszyn rządowych, a były załadowane kokainą tak, że pilot czasem nie był w stanie wypełznąć z kokpitu, my tymczasem zjawialiśmy się, wyładowywaliśmy towar, przenosiliśmy do ciężarówek i zwijaliśmy się stamtąd przed przybyciem glin.

— Tak, słyszałem.

— Teraz w tym biznesie są prawdziwi geniusze, ludzie używający na co dzień komórek i komputerów, opracowujący takie sposoby prania pieniędzy, że nikt nie zdołałby dotrzeć do ich źródła. Ale wtedy? Byłem geniuszem wśród handlarzy! Czasami operacje były proste jak budowa cepa, naprawdę. Zabrałem się do dzieła wyjątkowo ostro, organizując siatkę, wybierając zaufane osoby i mrówki, no wiesz, ludzi do przekraczania granic towarem, i zanim jeszcze kokaina trafiła na ulicę, ja już świetnie się urządziłem w Nowym Jorku i L.A., wśród bogaczy, zapewniając obie stałe grono elitarnych klientów, którym dostarczałem prochy osobiście. Nigdy nawet nie musieli opuszczać swych wytwornych rezydencji. Zamówienie na telefon. Dostawa do domu. Czysty towar. Klienci są zadowoleni. Ale musiałem się stamtąd wyprowadzić. Nie zamierzałem się od nich uzależnić. Byłem zbyt cwany. Dzięki kilku błyskotliwym operacjom na rynku nieruchomości zarobiłem krocie, i to gotówką, ale jak wiesz, były to czasy potwornej inflacji.

Naprawdę nieźle posprzątałem ten cały bajzel.

— Jak wmieszały się w to Terry i Dora?

— Czysty przypadek. A może przeznaczenie. Kto to wie? Wróciłem do domu, do Nowego Orleanu, aby spotkać się z matką, i natknąłem się na Terry. Zrobiłem jej dziecko. Głupiec ze mnie. Miałem dwadzieścia dwa lata, moja matka była umierająca. Poprosiła, żebym wrócił do domu. Jej głupi przyjaciel z pooraną twarzą już nie żył. Została sama. Wysyłałem jej pieniądze.

Pensjonat był teraz jej domem prywatnym, moja matka zatrudniała dwie służące i kierowcę, aby woził ją po mieście cadillakiem, kiedy tylko przyszła jej na to ochota. Bardzo ją to cieszyło, nigdy nie pytała, skąd mam szmal. Przez cały ten czas zbierałem oczywiście dzieła Wynkena.

Zdążyłem już kupić dwie kolejne jego książki i mieszkanie w Nowym Jorku, gdzie gromadziłem swoje skarby, ale o tym potem. Tylko nie zapominaj o Wynkenie.

Matka tak naprawdę nigdy mnie o nic nie prosiła. Miała teraz wielką sypialnię na piętrze wyłącznie dla siebie. Powiedziała, że rozmawia ze wszystkimi, którzy już odeszli, ze swoim cudownym starszym bratem Mickeyem, swoją siostrą Alice i z własną matką, irlandzką służącą

— można by rzec założycielką naszego rodu. To właśnie ona otrzymała ten dom od starej wariatki, która niegdyś nim mieszkała. Moja matka rozmawiała też często z małym Richardem, swoim bratem, który zmarł, mając cztery lata. Tęzec. Mały Richard. Twierdziła, że mały Richard stale jej się

pokazuje i mówi, że jej czas się zbliża. Chciała, żebym wrócił do domu. Chciała, żebym znów zajął ten pokój. Wiedziałem o tym. Rozumiałem ją. Spędzała czas z lokatorami, którzy umierali jeden po drugim. Ja przebywałem wśród innych ludzi niż stary kapitan. Dlatego wróciłem do domu.

Nikt nie wiedział, dokąd się wybieram, jak się naprawdę nazywam ani skąd pochodzę. Toteż bez trudu wyjechałem z Nowego Jorku. Wróciłem do domu przy St. Charles Avenue i siedziałem przy jej łożu boleści. Przytrzymałem jej nerkę, gdy wymiotowała, ocierałem jej ślinę z ust i podawałem podsuwacz, gdy nie było pielęgniarki, która by się tym zajęła. Mielismy pomoc, o tak, ale ona nie chciała pomocy. Nie chciała tej kolorowej, jak nazwała tę kobietę. Ani tej cholerniej pielęgniarki. Odkryłem wtedy ze zdumieniem, że opieka nad nią wcale mnie nie mierzi.

Prałem prześcieradła. Oczywiście korzystałem z pralki, ale raz po raz zmieniałem jej pościel. Nie miałem nic przeciwko ciężkiej pracy. Może nigdy nie byłem całkiem normalny. Tak czy owak, robiłem to, co musiało być zrobione. Myłem podsuwacz tysiąc razy, wycierałem, odkażałem i stawiałem przy jej łóżku. Nie ma takiego nieprzyjemnego zapachu, którego nie można się pozbyć.

— A przynajmniej nie na tym świecie — mruknąłem. On, na szczęście mnie nie usłyszał.

— To trwało przez dwa tygodnie. Nie chciała pójść do szpitala. Wynajmowałem pielęgniarki, ot, tak, dla świętego spokoju, aby badały jej ciśnienie i tętno, gdy za bardzo się przejmowałem jej stanem. Grałem dla niej najbardziej znane utwory, odmawiałem z nią na głos różaniec. Typowe sceny przy łożu śmierci. Od drugiej do czwartej po południu przyjmowała gości. Zjawiali się jej kuzyni’ „Gdzie Roger?”, pytali. Trzymałem się na uboczu.

— Nie byłś zanadto rozdarty jej cierpieniem.

— Nie przejmowałem się zbyt, to fakt. Miała raka, była nim przeżarta na wskroś, za żadne pieniądze nie można jej było ocalić. Chciałem, by to się jak najszybciej skończyło, nie mogłem tego znieść, miałem dość patrzenia na to wszystko, a jakiś zimny głos w moim wnętrzu mówił: Zrób to, co musisz zrobić. Tak więc siedziałem przy niej, dzień i noc, aż umarła. Sporo rozmawiała z duchami, ale ja ich nie widziałem ani nie słyszałem. Powtarzałem ciągle: „Mały Richardzie, przyjdź i ją zabierz. Wujku Mickeyu, skoro ona nie może wyzdrowieć, to weź ją do siebie”.

Tuż przed samym końcem pojawiła się Terry, praktykująca pielęgniarka, jak je wówczas nazywano, którą zatrudniłem, gdy nie było możliwości pozyskania pielęgniarki dyplomowanej.

Terry, pięć stóp siedem cali wzrostu, blondynka, najtańsza i najbardziej kusząca sztuka, jaką kiedykolwiek widziałem. Zrozum. Właśnie wtedy wszystkie kawałki układanki trafiły na swoje miejsce. Ta dziewczyna była śmieciem, ale za to ponętnym śmieciem. Uśmiechnąłem się.

— Różowe paznokcie i różowe szminki w płynie. — Dostrzegłem jej obraz w jego umyśle.

— Ta mała wszystko miała dopracowane. Każdy szczegół. To, jak żuła gumę, jak w pokoju chorej zdejmowała pantofelki, aby pokazać mi pomalowane paznokcie u nóg i bransoletkę na kostce, jak się pochylała, ukazując mi rowek między piersiami, ukrytymi pod nylonowym białym fartuchem. I do tego te kretyńskie oczy podkreślone cieniem do powiek, czarną kredką i tuszem do rzęs. W mojej

obecności piłowała sobie paznokcie! Ale mówię ci, nigdy nie widziałem kogoś równie wyrachowanego, kto byłby tak całkowicie, od stóp do głów, „zrobiony”. Była prawdziwym dziełem sztuki.

Zaśmiałem się, on również, po czym podjął swój monolog.

— Nie mogłem się jej oprzeć. Była jak bezbronne, małe zwierzątko. Zacząłem robić to z nią przy każdej nadarzającej się okazji. Kiedy matka spała, robiliśmy to w łazience, na stojąco. Raz czy dwa zeszliśmy do jednej z pustych sypialni na dole, nigdy nie zajęło nam to więcej niż dwadzieścia minut! Mierzyłem czas. Robiła to z różowymi majtkami opuszczonymi do kostek.

Pachniała perfumami Blue Waltz.

Zaśmiałem się półgłosem.

— Wiem, o czym mówisz, aczkolwiek pośrednio — powiedziałem z zadumą. — I pomyśleć, że o tym wiedziałeś, zadurzyłeś się w niej całkiem świadomie.

— Cóż, byłem dwa tysiące mil od moich nowojorskich kobiet moich chłopaków i całej tej śmieciowej władzy, która wiąże się z handlowaniem prochami, od kretyńskich ochroniarzy, którzy usłużnie otwierają przed tobą drzwi, od dziewczyn, które chcą oddać ci się na tylnym siedzeniu limuzyny tylko dlatego, że usłyszały, iż poprzedniego dnia kogoś sprzątnąłeś. Seksu jest tyle, że zdarza się, iż podczas najlepszej lekcji francuskiego w życiu myślisz zupełnie o czymś innym.

— Jesteśmy bardziej do siebie podobni, niż początkowo sądziłem. Żyłem w kłamstwie, z darami, jakie otrzymałem.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał.

— Nie ma czasu na wyjaśnienia. Nie musisz nic o mnie wiedzieć. Co z Terry? Jak przyszła na świat Dora?

— Zrobiłem Terry dziecko. Rzekomo miała brać pigułki. Sądziła, że jestem bogaty! Było jej obojętne, czy to ja ją kocham czy ona mnie. Była jedną z najgłupszych, najbardziej ograniczonych umysłowo istot, z jakimi się zetknąłem. Terry. Zastanawiam się, czy miałeś okazję się karmić kimś równie tępym i ograniczonym.

— Dora była waszym dzieckiem.

— Tak. Terry chciała usunąć ciążę, jeśli się z nią nie ożenię. Zaproponowałem jej układ. Sto patoli, kiedy się pobierzemy — użyłem fałszywego nazwiska, małżeństwo nigdy nie było legalne, istniało tylko na papierze, i chwala Bogu, ponieważ nikt nie zdoła dojść teraz do więzi łączącej moją osobę z Dorą — i sto tysięcy po urodzeniu dziecka. Potem wyrażę zgodę na rozwód i jedyne, czego chcę, to mojej córki.

— Naszej córki — powiedziała.

— Oczywiście, naszej córki — rzekłem. — Ależ byłem głupi. Nie przeszło mi przez myśl, choć to było tak proste i oczywiste, że ta kobieta, mała, piłująca paznokcie, żująca gumę, jaskrawo umalowana pielęgniarzka w butach na gumowej podeszwie i z obrączką brylantami, nie zamierza pozwolić, by ktokolwiek odebrał jej dziecko. Nie ma mowy. Była głupia, ale instynkt macierzyński miała silny jak wszystkie ssaki. Skończyło się na ustalonej liczbie wizyt w miesiącu. Przez sześć lat odwiedziłem Nowy Orlean przy każdej nadarzającej się okazji, tylko po to, by wziąć Dorę w ramiona, porozmawiać z nią lub pójść na wieczorny spacer. Zrozum, to było moje dziecko! Krew z mojej krwi! Biegła do mnie, gdy tylko spostrzegła moją postać przy końcu ulicy. I rzucała mi się w ramiona. Jechaliśmy taksówką do dzielnicy francuskiej i odwiedzaliśmy Cabildo. Uwielbiała ją, katedrę, rzecz jasna. Potem szliśmy na *muffaletas* do Central Grocery.

Może je znasz, a może nie, te wielkie kanapki, pełne oliwek...

— Znam.

— ...opowiadała mi o wszystkim, co się wydarzyło przez cały tydzień. Tańczyłem z nią na ulicy. Śpiewałem jej. Od małego miała przepiękny głos. Moja matka również miała piękny głos, podobnie jak Terry. A jaka była bystra! Pływaliśmy promem po rzece i śpiewaliśmy, stojąc przy relingu. Zabierałem ją na zakupy do D. H. Holmesa i kupowałem najpiękniejsze ciuchy. Jej matka nigdy nie miała nic przeciw temu, przeciw ciuchom, ma się rozumieć, a ja naturalnie byłem na tyle bystry, by dorzucić jakiś fajny drobiazg dla Terry, na przykład koronkowy biustonosz, zestaw kosmetyków z Paryża czy perfumy po sto dolarów za flakonik. Wszystko, tylko nie Blue Waltz! A jednak Dora i ja świetnie się bawiliśmy! Czasami byłem przekonany, że jestem w stanie znieść wszystko, jeśli tylko w ciągu paru dni zdołam zobaczyć się z Dorą!

— Jest inteligentna i odcytana, tak jak ty.

— Jak najbardziej. Głowę miała pełną wizji i marzeń. Dora nie jest naiwna. Zapamiętaj to.

Jest teologiem. To naprawdę zdumiewające. Pragnienie czegoś spektakularnego? Ma to po mnie, ale wiara w Boga, teologia? Nie wiem, skąd się to u niej wzięło. Teologia. To dało mi do myślenia. — tymczasem ja i Terry żywiliśmy wobec siebie nawzajem coraz większą nienawiść.

Kiedy rozpoczęła się szkoła, zaczęły się naprawdę ostre kłótnie. To było istne piekło. Chciałem, żeby Dora poszła do Akademii Najświętszego Serca, uczęszczała na lekcje tańca, na lekcje muzyki. Spędziła ze mną dwa tygodnie w Europie. Terry mnie nie znosiła. Nie zamierzałem dopuścić, aby przekazała te nienawiść Dorze. Terry wyprowadziła się już z domu na St. Charles Avenue, który nazywała starym i upiornym, i wybrała parterowy dom na jednej z odległych ulic, na zapyziałym przedmieściu! Tym sposobem moje dziecko zostało zabrane z barwnego Garden District i trafiło do miejsca, gdzie oznaką wszelkiej cywilizacji był pobliski sklep wielobranżowy. Byłem coraz bardziej zdesperowany. Dora dorastała i była już w takim wieku, że mógłbym chyba wykraść ją matce, którą kochała na swój ciepły, dziewczęcy sposób. Łączyła je jakaś milcząca więź, rozmowa nie miała z tym nic wspólnego. A Terry była dumna z Dory.

— I nagle pojawił się ten jej przyjaciel.

— Otóż to. Gdybym przybył do miasta dzień później, moja żona i córka by zniknęły!

Próbowała ode mnie uciec! Do diabła z moimi czekami i sporymi sumkami. Zamierzała wyjechać z tyra splukany do cna elektrykiem na Florydę! Dora o niczym nie wiedziała i była trzymana w błogiej nieświadomości! A oni byli już spakowani! Zastrzeliłem Terry i jej gacha w tej nędznej chałupie na Metairie, gdzie Terry się wprowadziła, opuściwszy dom na St. Charles Avenue. Rozwaliłem ich oboje. Krew zalała cały dywan i zachlapała też nowiutki kontuar z forniki.

— Wyobrażam sobie.

— Wyniosłem ich ciała i porzuciłem na bagnach. Sporo czasu minęło, odkąd zrobiłem coś tak bezlitosnego własnoręcznie, ale do licha, to było łatwe. Furgonetka elektryka stała w garażu, zapakowałem do niej zwłoki i wywiozłem je na pace. Jechałem chyba Jefferson Highway, nie pamiętam już, gdzie je porzuciłeś A może to była Chef Menteur. Tak, chyba Chef Menteur.

Gdzieś w okolicy starych fortów nad rzeką Rigules. Po prostu zniknęły w mule.

— Wiem, sam często korzystałem z bagien, by pozbyć się ofiar.

Był zbyt podekscytowany, aby to usłyszeć.

— Potem wróciłem po Dorę — mówił dalej — która siedziała na chodach, opierając łokcie o kolana i zastanawiając się, dlaczego nikogo nie ma w domu, czemu drzwi są zamknięte na klucz, ona nie może dostać się do środka. „Tatusiu! Wiedziała, że przyjedziesz. Wiedziała, że się zjawisz”, zaczęła krzyczeć, kiedy mnie zobaczyła. Nie zaryzykowałem wejścia do środka po jej rzeczy. Nie chciałem, żeby zobaczyła krew. Wsadziłem ją do furgonetki tamtego gościa i wyjechaliśmy z Nowego Orleanu. Wóz porzuciłem w Seattle w stanie Waszyngton. I tak się zaczęła moja odyseja przez Stany z Dorą. Taki szmat drogi, istne szaleństwo, tylko nas dwoje, rozmawiających bez końca. Chyba próbowałem powiedzieć Dorze wszystko, czego się dowiedziałem. Nic złego i autodestrukcyjnego, nic, co mogłoby przyciągnąć do niej mrok, same dobre rzeczy, których się dowiedziałem, o uczciwości, cnotach, o tym, co niszczy ludzi i po co warto żyć.

Nie możesz nic nie robić w życiu, Doro — powtarzałem — nie możesz odejść z tego świata, pozostawiając go takim, jakim go zastałaś. Opowiedziałem jej nawet, jak w młodości marzyłem o roli przywódcy religijnego i że teraz zajmuję się zbieraniem, dzieł sztuki sakralnej z Europy i Azji. Handlowałem nimi, by zatrzymać kilka szczególnych rzeczy, na których mi zależało.

Wmówiłem jej, że to dzięki nim się wzbogaciłem, i poniekąd było to prawdą.

— Ona wiedziała, że zabiłeś Terry.

— Nie. Mylisz się. Miałem w głowie mętlik. Czuję to, kiedy piłeś moją krew. To nie tak.

Wiedziała, że pozbyłem się Terry albo że ją od niej uwolniłem, dzięki czemu mogła już na zawsze zostać z ojcem. To co innego niż świadomość, że tato zamordował Terry. Nie wie o tym.

Gdy miała dwanaście lat, zadzwoniła i z płaczem pytała: „Tato, proszę, powiedz mi, gdzie jest

mama, dokąd się udała z tym panem, kiedy wyjechali na Florydę”. Zwlekałem, grana czas, nie chciałem jej powiedzieć, że Terry nie żyje. Dzięki ci, Boże, za telefon. Przez telefon potrafię być przekonujący. Lubię rozmawiać przez telefon. To tak jak mówić przez radio.

Wróćmy jednak do czasów, kiedy Dora miała sześć lat. Tato zabrał Dorę do Nowego Jorku i wynajął apartament w hotelu Plaża. Od tej pory Dora miała wszystko, co tato był w stanie jej kupić

— Czy wtedy też opłakiwała Terry?

— Tak. I chyba tylko ona jedna. Przed ślubem matka Terry powiedziała mi, że jej córka to zdzira. Nienawidziły się z całego serca. Ojciec Terry był policjantem. Porządnym facetem. Mimo

to on również nie znosił córki. Terry nie była dobrą osobą. Miała paskudną naturę; takie ziółko jak ona najlepiej omijać szerokim łukiem. Jej rodzina sądziła, że uciekła na Florydę, pozostawiając Dorę mnie. Rodzice Terry umarli. Żyje jeszcze kilku jej kuzynów. I oni nadal w to wierzą. Sęk w tym, że nie wiedzą, kim jestem, dość trudno to wyjaśnić. Naturalnie do tej pory mogli już napotkać artykuły w gazetach. Nie wiem, to nieważne. Dora opłakiwała matkę, o tak.

Ale po grubym kłamstwie, jakim uraczyłem ją, gdy miała dwanaście lat, już nigdy o nic nie zapytała.

Jak mówiłem, Terry miała bardzo silny instynkt macierzyński! Była bardzo oddana Dorze, troskliwa jak typowa pielęgniarka. Zdrowo ją odżywiała. Ubierała ją w najpiękniejsze sukienki, zabierała na lekcje tańca i plotkowała tam z innymi matkami, czekając na nią. Była dumna z Dory. Rzadko niestety z nią rozmawiała. Tylko instynkt. Terry chyba wszystko tak traktowała.

— To zabawne, że związałeś się z kimś takim.

— Wcale nie zabawne. To los. Przeznaczenie. Spłodziliśmy Dorę. To po niej Dora odziedziczyła głos. I urodę. Poza tym Dora ma w sobie część jej twardości, choć wolałbym raczej użyć innego, mniej pejoratywnego słowa. Dora jest mieszaniną nas dwojga, najbardziej optymalną mieszaniną.

— Urodę ma też po tobie.

— Owszem, ale z tego połączenia genów zrodziło się coś o wiele bardziej ciekawego i zyskowego. Widziałeś moją córkę. Jest fotogeniczna, a pod atrakcyjną powłoką kryje się twardość Terry — Nawraca ludzi za pośrednictwem telewizji. „A jak brzmi prawdziwe przesłanie Chrystusa! — mówi, patrząc w obiektyw kamery. — Mówi ono, że Chrystus jest w każdym człowieku, którego napotkasz na swojej drodze, głodnym, spragnionym, chorym, nieznanym i nawet w sąsiedzie z naprzeciwka!”

— Wiem. Widziałem ją. Jest w drodze na sam szczyt. Westchnął.

— Wysłałem Dorę do szkoły. Do tej pory powodziło mi się wspaniale, byłem bajecznie bogaty. Musiałem jednak odesłać moją córkę jak najdalej od siebie. Zanim skończyła edukację, trzykrotnie zmieniała szkoły, co było dla niej trudne, ale nie kwestionowała moich decyzji ani aury tajemniczości otaczającej nasze spotkania. Zawsze udawało mi się przekonać ją, że muszę niezwłocznie i nagle wyjechać do Florencji, by ocalić jakiś fresk przed zniszczeniem przez tego czy innego krety, albo do Rzymu, by zbadać odkryte właśnie katakumby. Kiedy Dora na dobre zainteresowała się religią,

uznałem, że to oznaka jej rozwoju duchowego, że zainspirowała ją moja rosnąca kolekcja rzeźb i ksiąg. Kiedy zaś w wieku lat osiemnastu powiedziała mi, że została przyjęta na Harvard, gdzie zamierza studiować religioznawstwo, szczerze mnie to ubawiło.

Próbowałem ją przekonywać w całej swej naiwności — studiuj, co chcesz, a potem wyjdź za jakiegoś bogatego faceta. I pozwól, że pokażę ci nową ikonę, nowy posąg.

Zapamiętanie i żarliwość Dory wykraczały jednak poza wszystko, z czym miałem okazję się zetknąć. Jako dziewiętnastolatka, Dora wyjechała do Ziemi Świętej. Wracała tam jeszcze dwukrotnie przed ukończeniem studiów. Następne dwa lata poświęciła na badanie religii na całym świecie. Następnie wyłożyła mi ideę swego programu telewizyjnego: chciała przemawiać do ludzi. Dzięki kablówce mogą zaistnieć wszystkie te kanały o tematyce religijnej. Możesz wysłuchać kazania pastora albo księdza katolickiego. — Mówisz serio? — spytałem. Nie spodziewałem się, że naprawdę wierzy w to wszystko.

Ale ona jest wierna ideałom, których ja sam nigdy nie pojmowałem a które w jakiś sposób się w niej zakorzeniły.

„Tato, załatw mi godzinny program w telewizji, trzy razy w tygodniu, i fundusze, abym mogła je wykorzystać jak zechcę — rzekła — a przekonasz się, co się stanie”. Zaczęła mówić o niezliczonych dylematach natury etycznej i o tym, jak we współczesnym świecie można ratować ludzkie dusze. Wyobraziła sobie krótkie wykłady i kazania, przedzielane ekstatyczną muzyką i tańcem. Temat aborcji, w swym żarliwym wystąpieniu przekonująco i logicznie udowodniła, że obie strony mają rację! Wyjaśniła, że każde ludzkie życie to świętość, ale kobieta musi mieć pełną władzę nad swoim ciałem,

— Widziałem ten program.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że emituje go siedemdziesiąt pięć różnych sieci kablowych?

Wiesz, co wiadomość o mojej śmierci może zrobić z kościołem Dory? — Przerwał, zamyślił się, po czym równie gwałtownie jak poprzednio rzucił: — Wiesz, chyba nigdy nie przejawiałem aspiracji religijnych, nigdy nie miałem duchowego celu, który nie byłby powiązany z czymś materialnym i urzekającym. Wiesz, o czym mówię?

— Oczywiście.

— W przypadku Dory jest inaczej. Jej nie zależy na rzeczach materialnych. Obrazy, ikony, rzeźby — czym one są dla Dory? Don wbrew psychologicznym i intelektualnym tezom wierzy, że Bóg istnieje. — Znów przerwał i ze smutkiem pokręcił głową. — Miałeś rację, gdy wcześniej wspomniałeś, że jestem szantażystą. Dla mego ukochanego Wynkena byłem gotów na wszystko, miałem plan. Dora taka nie jest.

Przypomniałem sobie, co powiedział w hotelowym barze: „Za takie miejsca jak to mógłbym oddać duszę”. Wiedziałem, co miał na myśli, kiedy to powiedział. I teraz też.

— Wróćmy do mojej opowieści. Wcześniej, jak już wspomniałem, porzuciłem swój plan stworzenia świeckiej religii. Zanim Dora na dobre się rozkręciła, na wiele lat zapomniałem o własnych, dawnych marzeniach. Miałem Dorę. I moją obsesję na punkcie Wynkena. Zdobyłem kolejne jego książki, a dzięki różnym kontaktom nabyłem też pięć różnych listów z tego okresu, w których są wyraźne wzmianki o Wynkenie de Wilde, Blanche de Wilde i jej mężu Damienie. Moi ludzie przeczesywali Europę i Amerykę. Zainteresowałem się też mistycyzmem nadreńskim. Moi ludzie okryli zakamuflowaną wersję historii Wynkena w kilku niemieckich tekstach. Było tam coś o kobietach praktykujących czary i odprawiających rytuały ku czci Diany.

Zapisy na temat samego procesu jednak się nie zachowały. Nie przetrwały drugiej wojny światowej. Ale w różnych miejscach pojawiły się inne dokumenty, pudła listów. Gdy znało się już hasło Wynken, gdy wiedziałeś, gdzie szukać, reszta była jedynie kwestią czasu.

W każdej wolnej chwili siadałem i przyglądając się nagim sylwetkom Wynkena, uczyłem się na pamięć jego miłosnej poezji. Znałem jego wiersze tak, że mógłbym wyrecytować je nawet obudzony w środku nocy. Gdy spotykałem się z Dorą w weekendy — jeśli to było możliwe —

deklamowałem jej te wiersze i prezentowałem moje najnowsze zdobycze. Tolerowała moją wypaloną hipisowską odmianę mistycyzmu i wolnej miłości — jak to nazywała. „Kocham cię, Roge — mawiała — ale jesteś zbyt romantyczny w postrzeganiu tego złego duchownego jako swego rodzaju świętego. Przecież on tylko sypiał z tymi kobietami, zgadza się? A książki zawierały szyfry, dzięki którym mogli komunikować się z sobą w kwestii terminów schadzek”.

„Ależ Doro — odpowiedziałem jej — w dziełach Wynkena de Wilde nie ma nic gwałtownego ani plugawego. Sama to widziałaś”.

Do tamtej pory udało mi się zgromadzić sześć ksiąg. Wszystkie traktowały o miłości. Mój ówczesny tłumacz, profesor z Columbia University, nie mógł się nadziwić mistycyzmowi tej poezji, temu, w jak niezwykle sposób łączy ona umiłowanie Boga i ludzkiego ciała. Do Dory to nie przemawiało. Ona miała własną obsesję na Punkcie religii. Czytała Paula Tillicha, Williama Jamesa, Erazma z Rotterdamu i mnóstwo innych lektur dotyczących współczesnego świata. Oto obsesja Dory — stan współczesnego świata.

— I nie zależy jej na książkach Wynkena...

— Ona nie chce mieć nic wspólnego z moimi zbiorami, nie teraz! — wybuchnęła.

— Mimo to chcesz, abym chronił te rzeczy — dodałem.

— Dwa lata temu... — westchnął. — Dwa artykuły prasowe! Żadnego związku z Dorą, ma się rozumieć, ale mój kamuflaż przepadł na zawsze. Zaczęła coś podejrzewać. To było nieuniknione powiedziała, że domyśliła się, iż te pieniądze nie są czyste. — Pokręcił głową. —

Nie są czyste — powtórzył. — Ostatnią rzeczą, na którą mi pozwoliła, był zakup klasztoru dla niej. Milion za tę budowlę. Milion za usunięcie wszelkich współczesnych dodatków i pozostawienie gmachu takim, jaki był w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku, z kaplicą, refektarzem,

dormitorium i szerokimi korytarzami... Ale nawet to przyjęła z wielkim wahaniem. Co się tyczy dzieł sztuki, zapomnij. Zapewne nigdy nie przyjmie moich pieniędzy, chociaż ich potrzebuje, aby nauczać swoich wyznawców, swój zakon czy jak to nazywają teleewangeliści. Kabłówka to nic w porównaniu z tym, co ja mógłbym z tym zrobić, z klasztorem jako bazą. A te zbiory, rzeźby, ikony, wyobraź sobie tylko. „Mógłbym uczynić cię bogatą jak Billy Graham i Jerry Falwell, kochanie — powiedziałem jej. — Na miłość boską, przecież nie możesz odwracać się od moich pieniędzy”. — Pokręcił głową zrozpaczony. — Teraz spotyka się ze mną z litości, a tej moja piękna córka ma aż w nadmiarze. Czasem przyjmie ode mnie jakiś drobiazg. Ale dziś nie chciała.

Raz, kiedy program omal nie został zdjęty z anteny, przyjęła pewną kwotę, aby go ratować.

Moich świętych i aniołów nie chce jednak przyjąć. Nie chce nawet spojrzeć na moje księgi, moje skarby. Oczywiście oboje zdawaliśmy sobie sprawę z zagrożeń dla jej reputacji. Eliminując mnie, pomogłeś jej. Już wkrótce pojawią się jednak pierwsze informacje o moim zniknięciu. Muszą się pojawić „Teleewangelistka finansowana przez barona narkotykowego” — Jak długo przetrwa ten sekret? Musi przetrwać moją śmierć. Dora również. Za wszelką cenę! Słyszysz, co mówię, Lestacie?

Słucham cię, Rogerze, każdego twojego słowa. I zapewniam, że jeszcze do niej nie dotarli.

— Moi wrogowie są bezwzględni. A rząd... któż wie, kto w nim siedzi i co wyprawia?

— Dora boi się tego skandalu?

— Nie. Ma złamane serce, ale skandalu się nie obawia. Przyjęłaby każde takie wyzwanie z podniesionym czołem. Chciała, żebym z tym wszystkim skończył! To stało się podstawą jej ataków. Nie obchodziło jej, że świat dowie się, iż jestem jej ojcem. Chciała, abym wyparł się wszystkiego. Bała się o mnie jak córka albo może żona gangstera. „Pozwól mi tylko zbudować dla ciebie kościół — błagałem. — Nie zmuszam cię, żebyś brała ode mnie jakiegokolwiek pieniądze”. Program telewizyjny pokazał, że ma charakter. Ale to już przeszłość. Wokół niej wszystko się sypie. Ma tylko jeden godzinny program, trzy razy w tygodniu. Samotnie wspina się po drabinie do nieba. Ja się wypisałem. Liczy, że to widzowie dadzą jej miliony, których tak potrzebuje. I te kobiety — mistyczki, które cytuję, słyszałeś sam, Hildegarda z Bingen, Juliana z Norwich, Teresa z Avila. Słyszałeś o tych kobietach? Czytałeś o nich?

— O każdej z nich — przyznałem.

— Cwane kobietki, które chciały wiedzieć, że inne cwane kobietki ich słuchają. Ale ona zaczyna zwracać uwagę wszystkich. W tym świecie nie masz szans na sukces, jeżeli kierujesz swoje przesłanie tylko do jednej płci. To niemożliwe. Nawet ja o tym wiem, ten szczywany lis we mnie o tym wie, podobnie jak szantażysta i geniusz z Wall Street, a nie ulega wątpliwości, że jestem każdym z nich. Ona przyciąga wszystkich. Och, gdybym tylko przez ostatnie dwa lata mógł być wziąć sprawy w swoje ręce, gdybym tylko mógł zrealizować jej marzenie o kościele, zanim odkryła...

— Źle na to wszystko patrzysz. Przestań się zadreczać. Gdybyś przyczynił się do powstania wielkiego kościoła, przyspieszyłoby to jedynie twoje ostateczne zdemaskowanie. Wybuchłby wielki skandal.

— Nie, gdyby kościół odpowiednio się rozrósł, żaden skandal nie mógłby mu zagrozić. W

tym sęk. Ona nic z tym nic zrobiła, nie zadbała o rozwój kościoła, a więc skandal mógłby ją zniszczyć. — Znów pokręcił głową, energicznie, gniewnie. Był za bardzo podekscytowany, ale jego obraz tylko się umocnił. — Nie mogę dopuścić, aby plan Dory legł w gruzach... — Znów umilaj na chwilę. Wzdrygnął się. Spojrzał na mnie. — Jak będzie, Lestacie? — zapytał.

— Dora sama musi o siebie zadbać. Musi sama przetrwać — odpowiedziałem. — Kiedy już się okaże, że nie żyjesz, będzie musiała się oprzeć na wierze.

— Tak, żywy czy martwy, jestem jej największym wrogiem. A jej kościół, sam wiesz, cienko przędzie. Moja córka nie jest purytanką. Uważa, że Wynken to heretyk, ale nie ma pojęcia, jak bardzo jej nowoczesne współczucie dla ciała odpowiada temu, o czym mówił Wynken.

— Rozumiem. Ale co z Wynkenem, czyjego też mam ocalić? Co mam z nim zrobić?

— Ona jest na swój sposób genialna — ciągnął, nie zważając na moje pytania. — To właśnie miałem na myśli, gdy nazwałem ją teologiem. Dokonała prawie niemożliwego, ucząc się i po mistrzowsku opanowując grekę, łacinę i hebrajski, mimo iż jako dziecko nie miała talentu do języków. Wiesz, jakie to trudne.

— Tak, to nie dla nas, ale... — przerwałem. Nagle przyszło mi do głowy coś strasznego.

Było za późno, aby uczynić Rogera nieśmiertelnym. Przecież już był martwy!

Nie zdawałem sobie sprawy, że przez cały ten czas, kiedy rozmawialiśmy, zastanawiałem się, czy mógłbym, gdybym zechciał, zatrzymać go dla siebie i przemieniwszy, powstrzymać przed odejściem. I nagle z konsternacją uświadomiłem sobie, że Roger jest duchem! Rozmawiałem z człowiekiem, który nie żył.

Sytuacja stała się nie do zniesienia, bolesna i frustrująca, tak niezwykła, że wstrząsnęło to mną do głębi, może nawet jęknąłbym na głos, ale musiałem wziąć się w garść, aby on mógł mówić dalej.

— Co się z tobą dzieje? — zapytał.

— Nic — Opowiadaj mi o Dorze. Opowiedz mi o jej naukach.

— Ostatnio Dora mówi sporo o braku porozumienia, o tym, że ludzie pragną tego, co niewysłowione. Zwraca uwagę na brutalne brodnie i młodzież nie mającą celu w życiu. Pragnie stworzyć religię, dzięki której nikt nikomu nie będzie chciał wyrządzić krzywdy. To amerykańskie marzenie. Zna Pismo Święte w całości i na wrywki, poznała wszystkie pseudoepigrafy, apokryfy, dzieła świętego Augustyna, Marcjana, Mojżesza, Majmonidesa. Jest przekonana, że do upadku chrześcijaństwa znacząco przyczyni się zakaz uprawiania seksu, co rzecz jasna nie jest jej własną teorią, ale przemawia do słuchających jej kobiet, jak się zapewne domyślasz...

— Tak, rozumiem to wszystko, ale przecież ona musi odczuwać choćby współczucie dla Wynkena.

— Księgi Wynkena nie były dla niej takim objawieniem jak dla mnie.

— Rozumiem.

— Nawiasem mówiąc, księgi Wynkena są nie tylko doskonałe, lecz pod wieloma względami także unikatowe. Wynken stworzył swoje dzieła na co najmniej dwadzieścia pięć lat przed wynalezieniem przez Gutenberga prasy drukarskiej. Robił przy księgach wszystko. Był skrybą, rubikATOREM, czyli twórcą fantazyjnych liter, jak również miniaturzystą — sam dodał wszystkie te szczegóły kopulujących nagich postaci w rajskim ogrodzie oraz bluszczu i winorośli zdających się oplatać każdą ze stron. Musiał to zrobić sam, w czasach, gdy w skryptoriach rozdzielano te wszystkie zadania. Pozwól mi dokończyć o nim. Ty myślisz teraz o Dorze. Ja chcę pomówić o nim. Tak, musisz zaopiekować się tymi księgami.

— Świetnie — mruknąłem z przekąsem.

— Pozwól, że skończę. Moje księgi na pewno ci się spodobają, nawet jeśli Dorze nie przypadły do gustu. Chyba już wspomniałem, mam wszystkie jego książki, cały tuzin. Wynken był katolikiem z Nadrenii, którego jeszcze w dzieciństwie posłano do zakonu benedyktynów i który zakochał się w Blanche, żonie swego brata. To ona zamówiła te księgi w skryptorium i tak się to wszystko zaczęło, jej sekretny miłosny związek z mnichem. Mam listy Blanche do jej przyjaciółki Eleanor. I udało mi się rozszyfrować niektóre ze zdarzeń ukrytych w wierszach. Co najsmutniejsze mam listy, które Blanche napisała do Eleanor już po tym, jak Wynkena skazano na śmierć. Przemyciła te listy do Eleanor, a ta z kolei przesłała je Dianie, jeszcze jednej kobiecie, która była w to zamieszana, ale na jej temat ocalało bardzo mało zapisów.

A oto, co się wydarzyło. Spotkali się w ogrodzie zamku Damiena de Wilde, by odprawiać tam swoje ceremonie. To nie był ogród klasztorny, jak niegdyś przypuszczałem. Nie mam pojęcia, jak dostawał się tam Wynken, ale ze wzmianek w kilku listach wynika, że po prostu wymykał się z klasztoru i tajemnym przejściem wślizgiwał się do domu brata. To całkiem sensowne. Oczekali, aż Damien de Wilde skończy robić to, czym zajmowali się księżęta i diukowie, po czym spotykali się, tańczyli przy fontannie i kochali się. Wynken brał kolejno każdą z kobiet, choć niekiedy decydowali się na bardziej fantazyjne układy. Wszystko to jest w bardziej lub mniej zawoalowany sposób opisane w księgach. I w końcu ich złapano.

Damien wykastrował i zasztyletował Wynkena na oczach kobiet, po czym rozpędził całe towarzystwo. A szczątki zatrzymał! Później, po całym dniu przesłuchań, przerażone kobiety zostały zmuszone wyznać swoją miłość do Wynkena i wyjaśniły, w jaki sposób komunikował się z nimi za pośrednictwem ksiąg. Jego brat zabrał wszystkie księgi, cały tuzin, wszystkie, jakie stworzył Wynken de Wilde...

— Całą jego nieśmiertelność — szepnąłem.

— Otóż to. Jego dzieła. Jego dzieci! Jego księgi! Damien pogrzebał je wraz z ciałem Wynkena w zamkowym ogrodzie, przy fontannie, która pojawia się na tych małych obrazkach, w każdej z ksiąg! Blanche mogła każdego dnia spoglądać przez okno na miejsce, gdzie w ziemi złożono ciało Wynkena. Bez procesu, bez oskarżeń o herezję, bez egzekucji, nic z tych rzeczy. Brat zabił

tak po prostu. I to wszystko. Przypuszczalnie zapłacił klasztorowi sporą sumkę. A zresztą kto wie, czy to w ogóle było konieczne? Czy w klasztorze Wynken był lubianą postacią? Co się zamku, został zniszczony wskutek bombardowania w czasie pierwszej wojny światowej.

— Ach. Ale co było potem, kiedy te książki wydobyto z trumny? Czy to, co masz, to kopie?

Czy mówisz o...?

— Nie. Wszystkie księgi, co do jednej, to oryginały. Natknąłem się na kopie, skądinąd prymitywne, wykonane na zlecenie Eleanor — kuzynki i powierniczki Blanche, ale, o ile wiem, zaprzestano kopiowania tych ksiąg. Było ich tylko dwanaście. I nie wiem, w jaki sposób wyciągnięto je z grobu. Mogę się tylko domyślać.

— To znaczy?

— Sądzę, że Blanche poszła tam którejs nocy z innymi kobietami, wykopała ciało i wyjęła książki z trumny, czy czegoś innego, w czym złożono szczątki Wynkena, po czym na powrót je pochowała.

— Sądysz, że to zrobiły?

— Tak właśnie myślę. Widzę je, jak to robią, przy blasku świec, w ogrodzie, widzę, jak kopią, pięć kobiet. Ty ich nie widzisz?

— Nie.

— Sądzę, że zrobiły to, bo czuły to samo co ja! Kochały piękno i perfekcję tych ksiąg.

Lestacie, one wiedziały, że mają do czynienia ze skarbami, na tym polega potęga obsesji i miłości. Zresztą, kto wie, może chciały też zdobyć dla siebie kości Wynkena. To całkiem zrozumiałe. Może jedna z kobiet wzięła jego kość udową, a inne kości palców, sam nie wiem.

Ten obraz wydał mi się nagle upiorny i ni stąd, ni zowąd pomyślałem o dłoniach Rogera, które odciąłem topornie, rzeźnickim nożem i porzuciłem, owinięte w plastik. Patrzyłem teraz na wizję tych rąk, stale zajętych, stukających w krawędź szklaneczki i w kontuar baru.

— Jak daleko udało ci się prześledzić wędrówkę tych ksiąg? — spytałem.

— Niezbyt daleko. Ale w mojej profesji, czyli jeśli chodzi o antyki, to dość powszechne zjawisko. Książki pojawiały się po jednej, czasem po dwie. Niektóre pochodziły z prywatnej kolekcji, dwie z muzeum zniszczonego podczas bombardowania. Raz czy dwa zdobyłem je niemal za darmo. Wiedziałem, jaką mają wartość gdy tylko je ujrzałem, ale inni nie potrafili tego pojąć. Wszędzie gdziekolwiek się udałem, poszukiwałem tego typu średniowiecznych kodeksów.

Zrozum, jestem ekspertem, jeżeli chodzi o średniowiecze. Znam język tego średniowiecznego artysty! Musisz ocalić moje skarby, Lestacie. Wynken nie może przepaść po raz wtóry.

Powierzam ci opiekę nad moim dziedzictwem.

— Na to wygląda. Ale co ja mam zrobić z tymi księgami i z innymi dziełami również, jeśli Dora nie zechce ich przyjąć?

— Dora jest młoda. Zmieni się. Widzisz, wciąż mam wizję, że może gdzieś wśród moich zbiorów — zapomnij o Wynkenie — wśród tych rzeźb i innych dzieł kryje się takie, które pomoże mojej córce rozwinąć jej własny kościół. Czy potrafisz ocenić wartość tego, co ujrzałeś w moim mieszkaniu? Musisz nakłonić Dorę, aby obejrzała raz jeszcze te rzeczy, oszacowała je, poczuła ich zapach! Musisz uświadomić jej znaczenie i wartość tych posągów i ikon, wytłumaczyć, że są wyrazem ludzkiego dążenia i poszukiwania prawdy, tej samej obsesji, która dręczy i ją. Tyle że ona jeszcze o tym nie wie.

— Powiedziałeś przecież, że Dora nie dba o rzeźby ani wizerunki malowane na drewnie.

— Spraw, by je polubiła.

— Ja? Ale jak? Mogę zatroszczyć się o twoje zbiory, oczywiście, ale jak mam sprawić, aby Dora pokochała dzieła sztuki? Czemu w ogóle mi to proponujesz? Niby jak twoim zdaniem miałbym nawiązać kontakt z twoją ukochaną córką?

— Pokochasz ją — zapewnił półgłosem.

— Że co proszę?

Znajdź dla niej w moich zbiorach jakieś cudowne dzieło.

— Całun Turyński?

— Och, uwielbiam cię. Naprawdę. Tak, znajdź coś cennego, znaczącego, co ją odmieni, coś, co kupiłem i ukochałem ja, jej ojciec, i co będzie mogło jej pomóc.

— Zdajesz sobie sprawę, że po śmierci jesteś równie szurnięty jak za życia? Nadal bawisz się w szantażystę, chcesz się wykupić, dostąpić zbawienia dzięki bryle marmuru albo zwojowi pergaminu? A może naprawdę wierzysz, że wśród twoich zbiorów są święte relikwie?

— Oczywiście, że tak. Wierzę w to! W tym właśnie rzecz, nie rozumiesz? Ty również w to wierzysz... w to, co błyszczy i co jest złote.

— Twoje słowa zapierają mi dech.

— Właśnie dlatego zamordowałeś mnie tam, pośród skarbów. Posłuchaj, musimy się pospieszyć. Nie wiadomo, ile mamy czasu. Wróćmy do rzeczy. Jeżeli chodzi o moją córkę, twoją atutową kartą jest jej ambicja. Chciała mieć klasztor, by zamieszkać w nim ze swoimi misjonarkami, z własnym zakonem, który miał głosić ewangelię miłości, rzecz jasna, z taką samą żarliwością, z jaką wykładają ją inni misjonarze. Zamierzała wysłać te kobiety do siedlisk nędzy, do gett i robotniczych dzielnic, gdzie ich zadaniem miało być krzewienie filozofii miłości wśród ludzi, którzy prędzej czy później osiągną szczyty władzy i dzięki nim nastanie kres wszelkiej niesprawiedliwości.

— Co miało odróżniać te kobiety od innych zakonnice czy misjonarek?

— Po pierwsze, te kobiety miały nauczać inne kobiety! Zakonnice miały zajmować się jako opiekunki do dzieci, nauczycielki, służące lub pozostawać w klasztorze, by klepać zdrowaśki. Jej kobiety miały być doktorami kościoła, głosicielkami Słowa. I przemawiać do tłumów z żarliwością i oddaniem. Później zaś miały zająć się kobietami, tymi biednymi, niedocenianymi kobietami, i pomóc im odmienić świat.

— Feministyczna wizja połączona z religią.

— Miała szansę powodzenia. Jak każdy ruch tego rodzaju. Kto wie dlaczego w czternastym wieku jakimś mnichowi odbiło? A inny został świętym? Dora umie skłaniać ludzi do myślenia. Wiem coś na ten temat. Musisz to jakoś rozgryźć, po prostu musisz!

— A tymczasem mam się opiekować kościelnymi ozdobami — powiedziałem.

— Tak, dopóki nie zechce ich przyjąć albo wykorzystać na swoją korzyść. Spróbuj tak do niej podejść. Przekonaj ją, że mogłaby wykorzystać te rzeczy, aby czynić dobro.

— Tak udało ci się przekonać mnie — powiedziałem ze smutkiem.

— Zrobisz to, prawda? Dora uważa, że zblądziłem. Powiedziała mi: „Niech ci się nie wydaje, że po tym, co zrobiłeś, możesz ocalić duszę, przekazując mi te dzieła”.

— Ona cię kocha — potwierdziłem. — To było widać przy każdym waszym spotkaniu.

— Wiem. Nie potrzebuję, by ktoś mnie o tym upewniał. Nie ma już czasu na kłótnie i spory.

Ale wizja Dory jest ogromna, nie zapominaj o tym. Na razie prowadzi działalność na niewielką skalę, ale pragnie odmienić cały świat. Nie myśli o stworzeniu sekty, o jakiej ja niegdyś marzyłem, ze mną w roli guru i całą rzeszą potulnych wyznawców. Ona naprawdę chce odmienić świat. Uważa, że ktoś musi to zrobić.

— Czyż wszyscy wierzący nie myślą podobnie?

— Nie. Oni nie marzą, by zostać następnym Mahometem albo Zaratustrą.

— A Dora marzy o tym.

— Dora wierzy, że to konieczne.

Pokręcił głową, napił się jeszcze i powiódł wzrokiem po pustawym lokalu. Następnie zmarszczył brwi, jakby wciąż się nad tym zastanawiał.

— Powiedziała mi: „Tato, religia nie bierze się z relikwii i pism. Trzeba ją wyrazić samym sobą”. Powtarzała to bez końca. Po wieloletnim studiowaniu Pisma Świętego stwierdziła, że liczą się wet najmniejsze cuda. Kompletnie mnie tym dobiła. Tylko bez głupich żarcików na ten temat!

— Gdzieżbym śmiał.

— Co będzie z moją córką?! — wyszeptał zrozpaczony. Nie patrzył na mnie. — Spójrz na jej dziedzictwo. Dostrzeż to w jej ojcu. Testem żarliwym, gotyckim, oszalałym ekstremistą. Nie potrafię zliczyć, w ilu kościołach byłem z Dorą, ile bezcennych krucyfiksów jej pokazałem, zanim puściłem je w obieg dla zysku. Te godziny, które spędziłem z nią, wpatrując się w sklepienia barokowych świątyń, w samych tylko Niemczech! Dałem Dorze nadzwyczajne relikwie Krzyża Świętego wykładane srebrem i rubinami. Kupiłem wiele chust świętej Weroniki, dzieła tak niezwykle, że zapierają dech. Boże drogi.

— Czy u Dory to wszystko łączyło się jakoś z ideą odkupienia, z poczuciem winy?

— Ze pozwoliła Terry zniknąć bez słowa wyjaśnienia, że nie zapytała o nią przez tyle lat?

Zastanawiałem się nad tym. Jeżeli nawet początkowo tak było, Dora szybko się z tym uporała.

Uważa, że światu potrzeba nowego objawienia. Nowego proroka. Ale prorokiem nie można się stać ot, tak sobie. Twierdzi, że jej przemiana musi się łączyć z darem odczuwania i postrzegania

— numery rodem ze spotkań w duchu odnowy nie wchodzą w rachubę.

— Mistycy nigdy tak o tym nie myślą.

— Jasne, że nie.

— Czy Dora jest mistyczką? Mógłbyś ją tak nazwać?

— Ty tego nie wiesz? Przecież ją śledziłeś, obserwowałeś. Nie, Dora nie miała daru objawienia, nie słyszała głosu Bożego. Nigdy by na ten temat nie skłamała, jeżeli o to pytasz. Ale czeka na to. I pragnie tego. Czeką na właściwą chwilę, na cud, na objawienie!

— Na przybycie anioła.

— Otóż to.

Obaj nagle zamilkliśmy. Zapewne myślał o swojej pierwotnej propozycji, ja również; o tym, że miałbym sfabrykować cud, ja anioł ciemności, który doprowadził kiedyś katolicką zakonnice do

obłądzenia, tak że zaczęła krwawić z dłoni i stóp, na których pojawić się stygmaty.

Nagle on podjął swój wywód, a ja odetchnąłem z ulgą.

— Moje życie stało się pełne przepychu, do tego stopnia, że przestałem myśleć o odmienianiu świata, nawet jeżeli początkowo tego pragnąłem. Uczyniłem moje życie światem samym w sobie. Ona natomiast w osobliwy sposób otworzyła swą duszę na... coś więcej. Moja dusza umarła.

— Najwyraźniej nie całkiem — zaproponowałem. Nie mogłem pogodzić się z myślą, że on prędzej czy

później zniknie, i to przerażało mnie bardziej niż jego nagłe pojawienie się.

— Do rzeczy. Zaczynam się niepokoić... — powiedział.

— Czym?

— Nieważne. Po prostu słuchaj. Mam odłożone pieniądze dla Dory, fundusze, które nie są ze mną powiązane. Rząd nie może ich tknąć, a w dodatku, jak sam wiesz, federalni nigdy nie zdobyli przeciwko mnie żadnych dowodów i nie mogli postawić mnie w stan oskarżenia. Więcej informacji na ten temat znajdziesz w moim mieszkaniu. W czarnych, skórzanych teczkach, w archiwum. Znajdziesz tam też rachunki i dowody zakupu wszystkich obrazów, ikon i rzeźb.

Musisz zachować to wszystko dla Dory. To dzieło mojego życia, moje dziedzictwo. Oddaję je w twoje ręce, abyś przechował je dla niej. Możesz to zrobić, prawda? Posłuchaj, nie ma pośpiechu, uporałeś się ze mną w dość przemyślany sposób.

— Wiem. A teraz prosisz mnie, abym został aniołem stróżem i dopilnował, by Dora dostała całe swoje dziedzictwo nieskalane...

— Tak, przyjacielu, właśnie o to cię proszę. I wiem, że możesz to zrobić! Nie zapomnij też o moim Wynkenie! Jeżeli nie zechce tych książek, możesz je zatrzymać!

Dotknął dłonią mojego torsu. Odebrałem to jako lekkie stuknięcie do drzwi mego serca.

— Kiedy moje nazwisko zniknie z łamów gazet — mówił dalej — jeśli w ogóle na nie trafi z akt FBI, dopilnuj, aby Dora dostała pieniądze. Dzięki nim będzie mogła rozwinąć swój kościół.

Dora jest jak magnes. Ma charyzmę. Jeśli będzie miała pieniądze, sama sobie poradzi.

Rozumiesz, o czym mówię? Może to zrobić tak jak kiedyś święci Franciszek i Paweł albo Jezus.

Gdyby nie jej teologia, już dawno temu stałaby się charyzmatyczną gwiazdą. Ma zadatki na to ale za dużo myśli. Za bardzo pochłania ją teologia.

Wziął głęboki oddech. Mówił bardzo szybko, a ja zacząłem dygotać. Jego strach był niczym bijące fale. Czego się obawiał? — Posłuchaj — rzekł — coś ci zacytuję. Powiedziała mi to wczorajszej nocy. Czytaliśmy książkę Bryana Appleyarda, angielskiego felietonisty, słyszałeś o nim? Napisał książkę zatytułowaną *Zrozumieć teraźniejszość*. Mam egzemplarz, który od niej dostałem. Dora wierzy w to, co tam napisano, na przykład w to, że jesteśmy „duchowo zubożali”.

— Racja.

— Ale było tam coś jeszcze, mianowicie, że człowiek może wymyślać nowe teologie, ale żeby zaczęły one pełnić swoją funkcję, muszą pochodzić z jakiegoś głębszego miejsca w naszym wnętrzu... ona określała to mianem „ogółu ludzkich doznań” — podobnie pisał na ten temat Appleyard. — Przerwał. Zamyślił się.

Próbowałem upewnić go, że rozumiałem, o co mu chodzi.

— Tak, ona tego poszukuje, pragnie, otwiera się na to. Nagle uświadomiłem sobie, że trzyma się mnie tak mocno jak ja jego. Patrzył gdzieś w dal.

Przepelnił mnie smutek, tak wielki, że nie potrafiłem wykrztusić ani słowa. Przecież zabiłem tego człowieka! Czemu to zrobiłem? To znaczy wiedziałem, że był interesujący i zły, ale jak mogłem... choć przecież może jeszcze zostać moim przyjacielem, ale inaczej.

Nie, to było zbyt dziecinne, samolubne i odrażające. Rozmawiajmy o Dorze, o teologii. To jasne, że rozumiałem tezę Appleyarda. *Zrozumieć terażniejszość*. Wyobraziłem sobie tę książkę.

Wrócę po nią. Zapisałem to w swojej nadnaturalnej pamięci. Przeczytać natychmiast.

Nie poruszył się ani nie odezwał.

— Czego tak się boisz? — spytałem. — Nie znikaj! — rzuciłem błagalnie, prawie z płaczem, świadomy, że przecież go zabiłem odebrałem mu życie, a teraz pragnąłem zatrzymać jego ducha.

Nie odpowiedział. Wyglądał na przerażonego.

Nie byłem skostniałym monstrem, za jakie się uważałem. Nie groziła mi obojętność na ludzkie cierpienie. Byłem jedną cholerną rozdygotaną empatią.

— Rogerze? Spójrz na mnie. Mów dalej.

Mruknął tylko, że być może Dora odnajdzie to, co jemu się nie udało.

— Co takiego? — spytałem.

— Teofanię — wyszeptał.

Och, to cudowne słowo. David też go używał. Usłyszałem je zaledwie parę godzin temu. A teraz on je powtórzył.

— Posłuchaj, chyba już idą po mnie — rzekł nagle. Jego oczy rozszerzyły się. Nie wyglądał

już na przerażonego, raczej na zdziwionego. Słuchał czegoś. Ja też to usłyszałem. — Pamiętaj o mojej śmierci — rzekł nagle, jakby pomyślał teraz właśnie o tym. — Powiedz jej, jak umarłem.

Przekonaj, że moja śmierć oczyściła te pieniądze. Ty to rozumiesz. Tak do tego podejdz.

Zapłaciłem śmiercią. Pieniądze już nie są nieczyste. Podobnie jak księgi Wynkena. Powiedz jej to. Okupiłem je własną krwią. Ty to wiesz, Lestacie, umiesz gładko mówić, wyjaśnij jej to!

Te kroki.

Wyraźne, rytmiczne, powolne stąpanie kogoś, jakiejś istoty... i cichy szmer głosów, śpiewy, rozmowy... Zakręciło mi się w głowie. Pomyślałem, że zaraz upadnę. Przytrzymałem się jego kontuaru.

— Rogerze! — krzyknąłem. Wszyscy w barze musieli to usłyszeć. Patrzył na mnie z takim spokojem, że jego oblicze nie wydawało się już ożywione. Był zdziwiony, wręcz zaskoczony...

Ujrzałem wielkie skrzydła, nad sobą, nad nim. Zobaczyłem przepotęzną wszechogarniającą czerń wystrzelającą jak lawa z wulkanu, bijące z tyłu za nią światło. Oślepiające, przepiękne światło.

Wiem, że krzyknąłem: „Rogerze!”

Hałas był ogłuszający, głosy, śpiew, postać narastały coraz bardziej.

— Nie zabieraj go. To moja wina. — Stałem gniewnie naprzeciw tej istoty. Rozdarłbym ją na strzępy, gdybym musiał, aby tylko go uwolniła. Ale nie widziałem jej wyraźnie. Nie wiedziałem, gdzie jestem. A to coś znów zaczęło się przetaczać, falujące jak dym gęsty, potężny i absolutnie niepohamowany, pośrodku tego czegoś zaś ujrzałem przez mgnienie oka twarz, oblicze granitowego posągu i jego niesamowite ślepie...

— Zostaw go!

Nie było baru, Greenwich Village, miasta ani nawet świata. Tylko to wszystko naraz.

Ten śpiew brzmiał jak brzęk tłuczonego szkła.

A potem czerń. Cisza. Bezruch.

Przynajmniej tak mi się wydawało: że przez jakiś czas leżałem nieprzytomny, w jakimś zacisznym miejscu.

Obudziłem się na ulicy, przed barem.

Barman stał nade mną, rozdygotany i rozdrażniony, nosowym głosem pytał: „Wszystko w porządku, stary?” Miał śnieg na ramionach czarnej kamizelki i na białych rękawach koszuli.

Pokiwałem głową i wstałem, aby odejść. Krawat wciąż miałem zawiązany wokół szyi.

Marynarkę zapiętą na guziki, ośnieżoną. Dłonie czyste.

Śnieg wciąż jeszcze prószył. I wyglądał przepięknie. Wróciłem przez obrotowe drzwi do wyłożonego terakotą holu i stanąłem w drzwiach baru. Widziałem stąd miejsce, gdzie rozmawialiśmy, jego szklanka wciąż tam stała. Poza tym nic się nie zmieniło. Barman mówił do kogoś znużonym głosem. Niczego nie widział, zwił się tylko, gdy nagle, zupełnie bez powodu wypadłem jak oszalały na ulicę.

Każda komórka mego ciała mówiła mi: Więcej. Ale dokąd; W górę? Wzbić się w powietrze?

Nie ma szansy, to coś dopada cię w jednej chwili. Lepiej już stój twardo obiema nogami na zmarzniętej ziemi.

Zabrałeś Rogera! Czy dlatego mnie śledziłeś? Kim jesteś?

Barman powiódł wzrokiem dokoła. Chyba musiałem coś powiedzieć albo zrobić. Nie, mamrotałem tylko pod nosem. Mężczyzn stojący w progu i płaczący, Bóg wie dlaczego. W moim przypadku płacz oznacza krwawe łzy. Lepiej szybko się stamtąd zabieraj.

Odwróciłem się i znów wyszedłem na ośnieżoną ulicę. Niedługo świt, zgadza się? Nie musiałem się szwendać na tym parszywym mrozie aż do rana, prawda? Czemu nie znajdę sobie już teraz grobu i nie ułożę się na spoczynek?

— Rogerze! — szlochałem, wycierając łzy rękawem. — Kim ty jesteś, do cholery? —

zakrzyknąłem gniewnie na cały głos, a echo przetoczyło się między budynkami. — Niech to szlag! — Nagle coś sobie uświadomiłem. To był dla mnie prawdziwy wstrząs. Słyszałem te wszystkie zlewające się ze sobą głosy i tłumiliłem je w sobie.

Ta twarz. To coś miało twarz. *Bezsenny umysł w sercu i nienasycona osobowość*. Nie daj się oszołomić, nie próbuj sobie przypomnieć Ktoś w jednym z budynków otworzył okno i kazał mi się wynosić „Przestań się wydzierać!” — krzyknął.

Nie próbuj tego odtwarzać. Jeżeli to zrobisz, stracisz przytomność.

Nagle wyobraziłem sobie Dorę i odniosłem wrażenie, że lada chwila kompletnie się załamie, runę jak ciśnięta niedbale szmata, kompletnie bezradny, bełkocząc bzdury do każdego, kto zechciałby mi pomóc.

To było złe, gorzej niż złe, to było najgorsze, co można sobie wyobrazić!

Co, na Boga, miał oznaczać wyraz twarzy Rogera w tych ostatnich chwilach? Czy to w ogóle coś oznaczało? Czy ten wyraz twarzy, jeżeli można to tak nazwać, oznaczał spokój, wyciszenie, umienie, a może w ten sposób duch tracił po prostu swą witalność, przestawał być duchem?!

Ach! Krzyczałem na cały głos. Dopiero teraz zdałem sobie z tego sprawę. Wokół mnie zaroilo się od śmiertelników, wyglądających przez okna i próbujących mnie uciszyć.

Ruszyłem dalej. Szedłem długo, bardzo długo.

Byłem tam. Pochlipywałem cichutko. Na pustej ulicy nie było nikogo, kto mógłby mnie usłyszeć.

Brnąłem przed siebie, zgięty niemal wpół, szlochając w głos. Nie zauważyłem nikogo, kto mógłby mnie zobaczyć, usłyszeć, zainteresować się lub choćby przystanąć na mój widok.

Pragnąłem odtworzyć w myślach całe to zdarzenie, ale byłem przerażony, że jeśli spróbuję, słono za to zapłacę. A Roger, Roger... O Boże, w swej niezmierzonej pysze pragnąłem odwiedzić Dorę i

upaść przed nią na kolana. Zawołać: Zrobiłem to, zabiłem...

Centrum miasta. Chyba. Futra z nerek na wystawach. Śnieg pieszczotliwie muskał moje powieki. Zdjąłem szalik i starannie otarłem nim twarz z krwawych łez.

A potem wparowałem do małego, jasno oświetlonego hotelu. Zapłaciłem za pokój gotówką, dając przy tym hojny napiwek — proszę nie przeszkadzać mi przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny — wszedłem na górę, zamknąłem drzwi na zasuwkę, zaciągnąłem zasłony, odcinając się od nieprzyjemnego, parnego gorąca, wpełzłem pod łóżko i w chwilę potem zasnąłem. Ostatnią dziwną myślą, jaka przemknęła mi przez głowę, zanim odpłynąłem w sen — na parę godzin przed wschodem słońca, miałem sporo czasu na marzenia senne — było to, że David na pewno się wścieknie, to mu się nie spodoba, ale Dora, kto wie, może Dora uwierzy i zrozumie...

Musiałem przespać co najmniej kilka godzin. Słyszałem dowodzące z zewnątrz odgłosy nocy.

Kiedy się obudziłem, niebo zaczynało jaśnieć. Noc dobiegła końca. Teraz nadejdzie zapomnienie. To mnie ucieszyło. Już za późno na rozmyślanie. Pora zapaść w głęboki, wampirzy sen. Odejść tam, dokąd odchodzą wszyscy nieumarli, gdziekolwiek się znajdują, kryjąc się przed nadchodzącym brzaskiem.

Głos kompletnie mnie zaskoczył.

— To nie będzie takie proste — powiedział bardzo wyraźnie.

Podniosłem się płynnie, przewracając łóżko i stając miękko na nogach; spojrzałem w stronę, skąd dobiegł głos. Ten hotelik był jak tandetna pułapka.

W kącie stał mężczyzna. Całkiem pospolity. Ani wysoki, ani niski, na pewno nie tak urodziwy jak Roger ani tak piękny jak ja, ani młody, ani stary, po prostu przeciętny. Dość przystojny z rękoma założonymi na piersi.

Nad budynkami właśnie wzeszło słońce. Ogień dosięgnął okien. Oślepił mnie. Nic nie widziałem.

Rzuciłem się na podłogę, trochę tylko poparzony i obolały, opuszczając na siebie łóżko, by osłoniło mnie przed słońcem.

I to wszystko. Kimkolwiek lub czymkolwiek był mój niespodziewany gość, pozostawałem bezsilny od chwili, gdy słońce rozpoczęło swą codzienną wędrówkę po niebie, niezależnie od tego, jak biały i gęsty był woal spowijający ten zimowy poranek.

5

— Dobrze już — powiedział David. — Usiądź. Przestań tak krążyć. Chce żebyś raz jeszcze opowiedział mi wszystko ze szczegółami. Gdybyś wcześniej musiał się pożywić, możemy wyjść i...

— Już ci mówiłem. Jestem ponad to! Nie muszę się pożywiać. Nie potrzebuję krwi. Pragnę jej. Uwielbiam ją. Ale teraz jej nie chcę! Pożywiłem się Rogerem do syta. Przestań więc mówić o krwi.

— Czy zechciałbyś usiąść przy stole? To znaczy naprzeciw niego.

Stałem przy szklanej ścianie, wpatrując się w dach katedry Świętego Patryka.

Wynajął dla nas najlepszy apartament w Olympic Tower, znajdowaliśmy się tuż nad wieżyczkami świątyni. Co prawda nie potrzebowaliśmy tak olbrzymiego apartamentu, ale było tu przytulnie i miło. Podstawę stanowiła bliskość katedry. Widziałem stąd układ dachu i wysokie, strzeliste wieżyczki. Wyglądały, jakby mogły cię przebić, gdy tak mierzyły ostrymi szpicami w niebo. A z nieba, tak jak poprzedniej nocy, prószył lekki śnieżek.

Westchnąłem.

— Wybacz, ale nie chcę znowu do tego wracać. Nie mogę. Albo Przyjmiesz to, co ode mnie usłyszałeś, albo... oszaleję.

Wciąż siedział spokojnie przy stole. Cały apartament musiał zostać przebudowany albo przemeblowany. Urządzono go w nowoczesnym, korporacyjnym stylu, mnóstwo mahoni, skóry, odcienie brązu i złota, które najwyraźniej nikogo nie raziły. I kwiaty. Nie zapomniał o kwiatkach.

Czuliśmy ich zapach.

Stół i krzesła były dopasowane w orientalnym, harmonijnym stylu, przypuszczalnie na wzór chiński. Wydaje mi się, że zauważyłem także jedną lub dwie malowane wazy.

Poniżej mieliśmy ścianę katedry Świętego Patryka od strony Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy, ludzi idących Piątą Aleją i wchodzących do środka po ośnieżonych stopniach. Cicha wizja śniegu.

— Nie mamy tyle czasu — powiedziałem. — Musimy się dostać do północnej części miasta i zabezpieczyć to mieszkanie albo przenieść te wszystkie skarby. Nie mogę dopuścić, aby z dziedzictwem Dory coś się stało.

— Możemy to zrobić, ale wcześniej chcę cię prosić o jedno. Opisz mi raz jeszcze tego mężczyznę... nie ducha Rogera ani żywy posąg czy skrzydlatą istotę, lecz mężczyznę, który stał

w kącie hotelowego pokoju, kiedy weszło słońce.

— Zwyczajny, już ci mówiłem, całkiem przeciętny. Anglosas? Tak, chyba tak. Czy miał

jakieś wyraźne cechy irlandzkie albo nordyckie? Nie. Nie rzucał się w oczy. Niczym się nie wyróżniał. Nie wyglądał na Francuza, nie był też chyba Amerykaninem. Słusznego wzrostu, mojego wzrostu, ale nie tak wysoki jak ty. Widziałem go nie dłużej niż pięć sekund. Wschodziło słońce. Uwięził mnie tam. Nie mogłem uciec. Odpłynąłem. Osłoniłem się materacem, a kiedy się obudziłem, po facecie nie było śladu. Zniknął, jakby go w ogóle nie było. Ale przecież nie wyobraziłem go sobie!

— Dzięki. A włosy?

— Popielaty blond, prawie szare. Wiesz, że włosy w takim kolorze mogą wyblaknąć... stać się prawie bezbarwne...

Gestem dłoni dał mi znak, że zrozumiał.

Oparłem się ostrożnie o szybę. Przy mojej sile mógłbym roztrzaskać ją bez trudu, ale popełnienie głupiego błędu było ostatni? rzeczą, jakiej obecnie chciałem.

Najwyraźniej pragnął usłyszeć coś więcej i nie da się ukryć, że próbowałem mówić dalej.

Pamiętałem tego mężczyznę dość wyraźnie.

— Z twarzy miły, sympatyczny, nawet bardzo. To jeden z tych ludzi, którzy nie imponują walorami fizycznymi ani posturą, lecz raczej specyficzną czujnością, wrażliwością i inteligencją.

Sprawiał zrażenie ciekawego człowieka.

— Ubiór.

— Nic godnego uwagi. Czarny, może nawet trochę przykurzony... Chyba zapamiętałbym, gdyby był kruczoczarny, czarny i elegancki, albo czarny i fantazyjny.

— A co z oczami?

— Kryła się w nich jakaś mądrość. Nie były duże ani szczególnie ciekawe z uwagi na kolor.

Wyglądały zwyczajnie, przeciętnie. Czarne brwi, ale niezbyt grube, na pewno nie krzaczaste.

Czoło zwykłe, włosy gęste, starannie uczesane, choć nie tak wystylizowane jak moje czy twoje.

— I wierzysz, że on odezwał się do ciebie?

— Jestem o tym przekonany. Usłyszałem go. Aż drgnąłem. Nie spałem, byłem wtedy rozbudzony. Zobaczyłem słońce. Spójrz na moją rękę.

Nie byłem tak blady, jak wtedy, gdy udałem się na pustynię Gobi, aby rzucić wyzwanie słońcu. Obaj wszelako widzieliśmy oparzenie na mojej ręce. Czuję też, że mam poparzoną prawą stronę twarzy, choć nie było to widoczne, bo zapewne odruchowo odwróciłem głowę.

— Kiedy się obudziłeś, leżałeś pod łóżkiem, które stało przekrzywione, boje odrzuciłeś i ponownie na ciebie spadło...

— Dokładnie tak. Lampa była przewrócona. To mi się nie przyśniło, podobnie jak Roger i cała reszta. Chcę, żebyś udał się ze mną do tego mieszkania. Chcę, żebyś je zobaczył. To mieszkanie. I rzeczy Rogera.

— Och, bardzo bym chciał — powiedział. Wstał. — Za nic bym sobie tego nie odmówił.

Chciałem tylko, abyś się trochę wyciszył, odpoczął nieco dłużej, spróbował...

— Co takiego? Odpoczywać? Po rozmowie z duchem jednej z moich ofiar. Po tym, jak zobaczyłem tego mężczyznę stojącego w moim pokoju! Kiedy ujrzałem, jak ta istota porwywa Rogera i istota, która tropiła mnie po całym świecie, ten herold szaleństwa ten...

— Tak naprawdę wcale nie widziałeś, jak porwywa Rogera prawda?

Zamyśliłem się nad tym przez chwilę.

— Nie jestem pewien. Nie sądzę, aby Roger sprawiał wtedy wrażenie ożywionego. Wydawał

się całkowicie spokojny. Po prostu się rozpląnął. Znikł. A potem twarz tej istoty, tego czegoś czymkolwiek to było, stała się wyraźnie widoczna, na mgnienie oka. Do tej pory kompletnie się pogubiłem, straciłem poczucie równowagi, nie wiedziałem, gdzie się znajduję, nie wiedziałem nic. Nie wiem, czy Roger po prostu zniknął, gdy to coś go zabrało czy może przyjął swój los i odszedł z własnej woli.

— Lestacie, nie wiesz na pewno, co się wydarzyło. Wiesz tylko, że duch Rogera zniknął i pojawiło się to coś. To wszystko.

— Chyba tak.

— Pomyśl o tym inaczej. Twój prześladowca postanowił się ujawnić. I sprawił, że zniknął twój widmowy towarzysz.

— Nie. Oni byli ze sobą w jakiś sposób powiązani. Roger usłyszał, że to coś się zbliża!

Wiedział, że nadchodzi, zanim ja sam to usłyszałem. Dzięki Bogu za jedno.

— To znaczy?

— Ze nie potrafię przekazać ci, co wtedy czułem. Tego strachu. Konsternacji. Ciesz się, że nie czujesz tego, co ja wtedy. Wierzysz mi i tymczasem to w zupełności wystarczy. Gdybyś naprawdę to poczuł, nie byłbyś taki flegmatyczny i zasadniczy jak klasyczny brytyjski dżentelmen.

— Kto wie. Może i tak. Chodźmy. Chcę zobaczyć ten skarbiec. Chyba masz rację, nie możesz dopuścić, aby te cenne przedmioty trafiły w obce ręce, skoro powinny należeć do tej dziewczyny.

— Kobiety, młodej kobiety.

— Przydałoby się też niezwłocznie sprawdzić, co u niej słychać.

Tuż to zrobiłem w drodze tutaj.

— W jakim byłeś stanie?

— Na tyle dobrym, że zdążyłem zajrzeć do hotelu i upewnić się, że już stamtąd wyjechała.

Musiałem to zrobić. Dziś rano, dziewiątej, limuzyna odwiozła ją na lotnisko LaGuardia. Po południu powinna dotrzeć do Nowego Orleanu. Co się tyczy klasztoru, nie wiem, jak mam się do niej zbliżyć. Nie wiem nawet, ma tam założony telefon. Przynajmniej na razie jest bezpieczna, jak za życia Rogera.

— Zgadzasz się z tobą. A teraz już chodźmy. Obejrzyjmy to jego mieszkanie.

* * *

Czasami strach stanowi ostrzeżenie. To jakby ktoś położył ci dłoń na ramieniu, mówiąc: Nie idź dalej.

Gdy weszliśmy do mieszkania, przez parę sekund próbowałem wyczuć otoczenie. I poczułem to. Panikę. Nie idź dalej.

Byłem jednak zbyt dumny, aby to okazać, a David zbyt zaciekawiony. Wszedł przede mną do środka i zapewne tak jak ja wyczuł, że nie ma tam żadnych oznak życia. Niedawna śmierć?

Również to poczuł. Zastanawiałem się, czy ta woń wydała mu się równie silna jak mnie.

Roger! Połączona wizja zmasakrowanych zwłok i Rogera Ducha uderzyła mnie jak silne kopnięcie w pierś.

David wszedł do salonu, podczas gdy ja stałem jeszcze przez chwilę w przejściu, patrząc na wielkiego, białego, marmurowego anioła, z muszlą na wodę święconą, porównując go z tym granitowym posągiem w stylu Blake'a. William Blake wiedział. Widział anioły i demony i odpowiednio je opisał. Ja i Roger mogliśmy porozmawiać o Blake'u. Ale było już za późno.

Stałem tu, w korytarzu.

Nie mogłem się zdobyć, aby postąpić naprzód, wejść do salonu i spojrzeć na granitowy posąg.

— Nie ma go tu — rzekł David. Nie mógł czytać w moich myślach. Stwierdził po prostu to, co oczywiste. Stał w salonie, o jakieś pięćdziesiąt stóp dalej, patrząc na mnie, halogenowe lampki rzucały na niego światło. — W tym pokoju nie ma granitowego posągu — powtórzył.

Westchnąłem.

— Czeka mnie piekło — szepnąłem.

Widziałem Davida bardzo wyraźnie, ale nie udałoby się to żadnemu śmiertelnikowi. Jego sylwetka tonęła wśród cieni. Wydawał się bardzo wysoki i silny, kiedy tak stał, plecami do okien, a blask halogenów odbijał się w mosiężnych guzikach jego marynarki

— Krew?

— Tak, krew i twoje okulary. Twoje okulary o fioletowych szklach. Niezły dowód.

— Dowód na co?

To głupie z mojej strony, że tak stałem i rozmawiałem z nim na odległość. Przeszedłem w głąb korytarza, równie radośnie jak skazaniec idący na szafot.

Tam, gdzie stał posąg, było teraz puste miejsce, ale chyba trochę za małe. Ścisk. Gipsowe figury świętych. Ikony, niektóre tak stare i delikatne, że zamknięto je pod szkłem. Zeszłej nocy wielu z nich nie zauważyłem, bo wisiały na ścianach, tam gdzie nie docierał blask lamp punktowych.

— Niesamowite! — wyszeptał David.

— Wiedziałem, że ci się spodoba — mruknąłem z konsternacją. Mnie też by się podobało, gdybym nie był tak przerażony.

Przyglądał się uważnie poszczególnym obiektom, wodząc wzrokiem po ikonach i figurach świętych.

— Absolutnie niezwykle eksponaty. To doprawdy nadzwyczajna kolekcja. Nie znasz się na tym za bardzo, prawda?

— Troszeczkę się znam — odparłem. — Jeżeli chodzi o sztukę, nie jestem kompletnym ignorantem.

— Te wizerunki na ścianach — powiedział. Wskazał na stos ikon, tych najbardziej naruszonych przez czas.

— A te? O nich wiem raczej niewiele.

— Chusta Weroniki — powiedział. — To wczesne kopie słynnego mandylionu, oryginalnej chusty, która zaginęła, jak głosi legenda, przed wieloma wiekami. Podobno w czasie czwartej krucjaty. Ta rosyjska, doskonała. A ta? Włoska. A spójrz tu, na podłodze, ten stos, to stacje Drogi Krzyżowej.

— Miał obsesję na punkcie szukania relikwii dla Dory. Poza sam za nimi przepadał. Tę tutaj, rosyjską chustę świętej Weroniki przywiózł do Nowego Jorku w prezencie dla Dory. Ubiegłej nocy kłócili się o nią, ale nie chciała jej przyjąć.

Pamiętałem to dokładnie. Jak próbował opisać jej tę relikwię.

Stacje Drogi Krzyżowej. Oczywiście, że je znałem, wszystkie katolickie dzieci je znają.

Pokonywaliśmy kolejno czternaście stacji w mrocznym kościele i przystawaliśmy przy każdej z nich, by przyklęknąć i odmówić odpowiednią modlitwę. Albo ksiądz z ministrantami prowadził

procesję, a wierni wraz z nim odmawiali przy każdej stacji modlitwę mówiącą o cierpieniu Jezusa. Czy święta Weronika nie podeszła przy szóstej stacji, aby otrzeć swoją chustą twarz Chrystusa?

David przechodził od jednego obiektu do drugiego.

— Ten krucyfiks jest naprawdę stary, to prawdziwy antyk. Mógłby narobić niezłego zamętu.

— Co do innych nie masz całkowitej pewności?

— Ależ nie mówię tu o Dorze i jej sekcje ani o jej zamierzeniach, to, co tu zebrano, to po prostu bajeczne dzieła sztuki. Masz rację, nie możemy zostawić tu tego na pastwę losu, nie ma mowy. Ten posążek może pochodzić z dziewiątego wieku, jest celtycki, niewiarygodnie cenny. A to zapewne pochodzi z Kremla.

Przerwał, zauroczony ikoną Matki Bożej z Dzieciątkiem. Była mocno stylizowana, jak one wszystkie, ta wszelako wydawała się dziwnie znajoma: Jezus, tuląc się do Matki, gubił jeden z sandałów, a widoczne opodal anioły dręczyły go symbolami nadchodzącej pasji. Głowa Maryi nachylona była ku Jezusowi. Aureole zlewały się ze sobą. Mały Jezus uciekający przed przyszłością w opiekuńcze ramiona Matki.

— Rozumiesz fundamentalną zasadę tworzenia ikon? — zapyli David.

— Są inspirowane przez Boga.

— Nie tworzą ich ludzkie ręce — rzekł David. — Mówi się, że na dany materiał przenosi je sam Bóg Wszechmogący.

— Tak jak twarz Jezusa odbiła się na chuście świętej Weroniki?

— Właśnie tak. Z założenia wszystkie ikony są dziełem Boga Objawieniem w postaci fizycznej. Niekiedy nowa ikona powstaje po prostu przez przyłożenie czystego kawałka płótna do oryginału to coś w rodzaju magicznego przeniesienia.

— Rozumiem. Nikt nie powinien ich malować.

— Otóż to. Posłuchaj, to zdobiona klejnotami relikwia Krzyża Świętego, a ta księga tutaj...

Boże... to niemożliwe... Nie, to słynne Godzinki, zaginione w Berlinie podczas drugiej wojny światowej.

— Davidzie, odłóżmy szczegółową inwentaryzację na później, dobrze? Pytanie brzmi: Co mamy teraz zrobić?

Już się nie bałem, ale raz po raz zerkiałem w miejsce, gdzie stał granitowy posąg. To był

diabeł, wiem, że tak. Jeżeli wkrótce czegoś nie zrobimy, zaczną się trząść.

— Jak i gdzie mamy przechować to wszystko dla Dory? — spytał David. — Chodź, przejrzymy regały i gabloty, zajrzemy do notatników, uporządkujemy to trochę, znajdziemy księgi Wynkena de Wilde, a potem podejmiemy decyzję i opracujemy konkretny plan.

— Nie próbuj w to mieszać swoich starych śmiertelnych sprzymierzeńców — powiedział nagle z

podejrzliwością i zdumiewającą wrogością.

— Masz na myśli Talamaskę? — zapytał. Spojrzał na mnie. Trzymał w dłoni Godzinki.

Okładka książki była krucha i delikatna jak skórka na placku.

— To wszystko należy do Dory — uciałem. — Musimy przechować dla niej te rzeczy. A Wynken jest mój, bo na nim mg .’ jej nie zależało.

Oczywiście, rozumiem to — powiedział. — Wielkie nieba, tacie, czyżbyś sądził, że wciąż utrzymuję kontakty z Talaska? Co prawda w tej kwestii można im zaufać, ale nie chcę niepotrzebnych kontaktów z moimi, jak ich nazwałeś, śmiertelnymi sprzymierzeńcami. Nie chcę mieć z nimi więcej do czynienia. Nie chcę, by trzymali w swoim archiwum moją teczkę, akta takie jak twoje. Chyba pamiętam „Wampir Lestat”. Nie chcę, by mnie pamiętali jako kogoś innego prócz generała zakonu, zmarłego ze starości. No, chodź już.

W jego głosie wychwyciłem nutę odrazy i smutku. Przypomniałem sobie o śmierci Aarona Lightnera, jego starego przyjaciela to zdarzenie było przysłowiową kroplą, która przelała czarę goryczy pomiędzy nim a Talamaską. Śmierć Lightnera otoczona była aurą kontrowersji, ale nie znałem bliższych szczegółów.

Szafka znajdowała się w pomieszczeniu przy salonie, wraz z kilkoma pudłami akt.

Błyskawicznie odnalazłem wszystkie dokumenty i zacząłem je przeglądać, podczas gdy David przepatrywał resztę.

Jako że sam posiadam spory majątek, nieobce mi są dokumenty prawnicze i sztuczki międzynarodowych banków. Tak, spuścizna Dory pochodziła z pozornie legalnych źródeł, nic jej nie można było zarzucić, nie mogła też zostać zajęta przez ludzi pragnących odwetu za zbrodnię Rogera. Wszystko było zapisane na nią, Theodore Flynn, jak się najwyraźniej nazywała za sprawą fałszywej tożsamości przybranej przez Rogera na okoliczność zawarcia małżeństwa.

Dokumentów było zbyt wiele, abym mógł przejrzeć je wszystkie. Wyglądało na to, że gdyby Dora zechciała, mogłaby rozpocząć nową krucjatę, aby odebrać Turkom Stambuł. Były tu listy...

wychwyciłem datę sprzed dwóch lat, kiedy Dora odmówiła współpracy z dwoma funduszami powierniczymi, o których istnieniu się dowiedziała.

Zastanawiałem się, czy wie, jaki naprawdę ma majątek. Wiedza stawa, gdy w grę wchodzi pieniądze. Wyobraźnia i rozległa wiedza. Gdy ci tego brak, nie jesteś w stanie podejmować ważne decyzji, przynajmniej takie jest moje zdanie. To może brzmieć niegodziwie, ale dobrze się nad tym zastanów. Nie ma w tym nic niegodziwego. Pieniądze mają moc, by nakarmić złąknionych By przyrodzić ubogich. Ale musisz o nich wiedzieć. Dora miała fundusze powiernicze, tworzące osobliwą, wielopoziomową formację, której zadaniem było między innymi regularne opłacanie podatków z działalności wszystkich tych instytucji.

W przyływie smutku pomyślałem o tym, jak pragnąłem pomóc mojej ukochanej Gretchen —

siostrze Marguerite — i jak mój widok obrócił wniwecz wszystkie moje zamierzenia, tak że zmuszony byłem odejść z jej życia, z całym złotem, które pragnąłem jej ofiarować. Czy nie zawsze tak się to kończy? Nie byłem świętym. Nie karmiłem złaknionych.

Ale Dora! Dopiero teraz to sobie uświadomiłem — stała się moją córką! Stała się moją świętą, jak była nią wcześniej dla Rogera! Teraz miała drugiego bogatego ojca. Miała mnie!

— O co chodzi? — zapytał z niepokojem David. Przeglądał pudło z jakimiś papierami. —

Znowu widziałeś ducha?

Przez krótką chwilę omal znów nie zacząłem dygotać, lecz zdołałem się opanować. Nie powiedziałem ani słowa, wszystko jednak dokładnie zrozumiałem.

Czuwaj nad Dorą! Oczywiście, że będę nad nią czuwał i znajdę sposób, by przekonać ją, aby przyjęła to wszystko. Może Roger nie potrafił znaleźć odpowiednich argumentów. A teraz stał się męczennikiem. Tak, dobrze to ujął. Okupił te skarby swoim życiem. Może gdyby Dora pozwoliła to sobie wyjaśnić...

Coś przykuło moją uwagę. Dwanaście ksiąg. Leżały nieopodal Owinięte w plastik, ułożone na górnej półce niewielkiego biurka, przy szafce z aktami. Wiedziałem, co to takiego. Po prostu wiedziałem. Były na nich nalepki, kawałki małego plastra, na których Roger napisał odręcznie, skądinąd dość fantazyjnym stylem „W de W”.

— Spójrz — rzekł David, podnosząc się z kolan i otrzepując spodnie z kurzu. — To poświadczone notarialnie akty zakupu, wszystkie prawnie udokumentowane, każda z tych rzeczy jest czysta lub fundusze na jej zakup zostały odpowiednio „wyprane”. Przejrzałem dziesiątki rachunków, świadectw autentyczności. Proponuję, abyśmy od razu pozabierali to wszystko.

— Dobrze, tylko jak i dokąd?

— Pomyśl, jakie znasz najbezpieczniejsze miejsce? Twoje mieszkanie w Nowym Orleanie raczej nie jest bezpieczne. Nie możemy zostawić tych rzeczy w zwykłym magazynie w Nowym Jorku. — Niestety. Mam tutaj pokój w małym hotelu naprzeciw parku, ale to...

— Tak, pamiętam, że właśnie tam trafił w ślad za tobą Złodziej Ciał. Chcesz powiedzieć, że nie wyprowadziłeś się stamtąd?

— Nieważne. To wszystko i tak by się tam nie zmieściło...

— Ale zdajesz sobie sprawę, że w naszym olbrzymim apartamencie w Olympic Tower pomieścilibyśmy te rzeczy z łatwością — dodał.

— Mówisz serio? — spytałem.

— Wiesz, że tak. Nie możemy liczyć na pomoc śmiertelników. Będziemy musieli sami się z tym

uporać.

— Ach! — westchnąłem z niesmakiem. — Sugerujesz, abyśmy spakowali jakoś to wszystko i przenieśli sami?

Zaśmiał się.

— Tak! Herakles też musiał zmierzyć się z trudnymi zadaniami, podobnie jak aniołowie. Jak twoim zdaniem czuł się Michał, gdy w Egipcie musiał krążyć od drzwi do drzwi, uśmiercając Pierworodnych? Daj spokój. Nie masz pojęcia, jak łatwo da się owinać te wszystkie rzeczy w zwykły plastik. Proponuję, abyśmy sami to poprzenosili. Możemy przemieszczać się dachami.

— Nie ma nic bardziej irytującego niż energia i zapach młodego wampira — mruknąłem ze znużeniem. Mimo to wiedziałem, że ma rację. Poza tym przewyższamy siłą każdego śmiertelnego pomocnika. Zapewne uporalibyśmy się z tym wszystkim w ciągu jednej nocy.

Ale cóż to będzie za noc!

Z perspektywy czasu mogę stwierdzić, że praca stanów; doskonałe antidotum na strach i złe samopoczucie, a także na trwogę wywołaną niepokojącą perspektywą, że w każdej chwili; może pojawić się diabeł, by pochwycawszy za gardło, porwać cię na samo dno piekła.

Zgromadziliśmy ogromny zapas folii bąbelkowej, dzięki której nawet najdelikatniejsza z relikwii powinna przetrwać czekająca ją podróż bez najmniejszej szkody. Zabrałem dokumenty i księgi Wynkena, upewniwszy się, że są tym, o co mi chodziło, po czym wzięliśmy się do cięższej roboty.

Pakunek po pakunku przenieśliśmy wszystkie mniejsze przedmioty, przemieszczając się, zgodnie z sugestią Davida, po dachach, niezauważeni przez śmiertelników, dwie skradające się czarne postaci śmigające w powietrzu niczym wiedźmy udające się na sabat.

Większe eksponaty mieliśmy potraktować bardziej troskliwie, transportując je pojedynczo, każdy z osobna. Celowo unikałem przenoszenia wielkiego, białego, marmurowego anioła. Jednak Da — widowi bardzo się podobał, przemawiał doń przez cały czas, dopóki nie dotarliśmy do celu.

Wszystkie te dzieła znalazły się w końcu w naszym apartamencie w Olympic Tower, gdzie dostaliśmy się wejściem dla dostawców, zachowując spokojne, powolne, typowe dla śmiertelników tempo. Wyglądaliśmy przy tym jak dwóch dżentelmenów, pracujących nad wystrojem swego apartamentu.

Niebawem czyste, wyłożone dywanami pokoje ponad katedrą Świętego Patryka wypełniły się całym mnóstwem owiniętych w plastik pakunków; niektóre z nich wyglądały jak mumie albo niezbyt starannie zabalsamowane ciała. Białą marmurowy anioł z połówką muszli w dłoniach był

chyba największym posągami. Księgi Wynkena, jeszcze owinięte, leżały na orientalnym stoliku.

Nie miałem na razie okazji, by je obejrzeć, ale jeszcze przyjdzie czas na to.

Osunąłem się na fotel w pokoju frontowym, dysząc ciężko ze znużenia i wściekłości, że musiałem zajmować się czymś tak prozaicznym. David aż promieniał.

— Nie musimy się tu martwić o bezpieczeństwo — rzekł z entuzjazmem w głosie. W jego młodym ciele tkwiła rozpalona żarem stara dusza. Kiedy na niego patrzyłem, dostrzegałem czasami, jak jedno łączy się z drugim, starszy David z młodym, śniadym niczym Hindus mężczyzną. Zwykle nie sposób było dostrzec pomiędzy nimi najmniejszej różnicy. Wrażenie było bliskie ideału. To bez wątpienia najpotężniejsze piskłę, jakie stworzyłem.

Nie wynikało to wyłącznie z mocy mojej krwi czy doznań i przeżyć, jakich doświadczyłem, zanim zdecydowałem się go przemienić. Tworząc go, podarowałem mu więcej krwi niż komukolwiek innemu. Ryzykowałem własną skórę... Ale to nieważne.

Siedziałem tam, podziwiając go, rozkoszując się widokiem swego dzieła. Byłem cały zakurzony.

Uświadomiłem sobie, że jest już po wszystkim. Przenieśliśmy nawet zrolowane dywany.

Także ten przesiąknięty krwią Rogera. Relikwie Rogera męczennika. Cóż, oszczędzę Dorze tego szczegółu.

— Muszę zapolować — wyszeptał David, wrywając mnie z zamyślenia.

Nie odpowiedziałem.

— Idziesz?

— A chcesz? — spytałem.

Stał tam, patrząc na mnie z dziwnym wyrazem twarzy, bez odrobiny niechęci czy pogardy.

— Czemu nie? Nie lubisz na to popatrzeć, nawet jeśli sam nie masz na to ochoty?

Skinąłem głową. Nigdy nie przypuszczałem, że pozwoli mi patrzeć. Louis nie znosił, gdy na niego patrzyłem. Kiedy w zeszłym roku byliśmy we trzech, David zachowywał się zbyt podejrzliwe i nieśmiało, by zaproponować coś takiego.

Weszliśmy w gęsty, ośnieżony mrok Central Parku. Zewsząd dochodziły odgłosy jego nocnych mieszkańców, chrapiących, pomrukujących, mamroczących coś pod nosem, rozmawiających szeptem i palących papierosy. To silni osobnicy, tacy, co umieją przetrwać w dziczy w samym sercu miasta, w miejscu, gdzie pechowcy i słabi umierają praktycznie każdego dnia.

David szybko odnalazł to, czego szukał — młodego mężczyznę w wełnianej czapce i zdartych butach, z których wystawały gołe palce. Krążył pośród nocy, samotny, naćpany, nie zważając na chłód i rozmawiając z jakimiś osobami z przeszłości.

Stałem między drzewami, cały spowity wilgotnym śniegiem ale nie dbałem o to. David schwycił tamtego za ramię, delikatnie przyciągnął go do siebie i objął. Klasyka. Kiedy David nachylił się, by

zaspokoić pragnienie, młodziak zaczął się śmiać i bełkotać równocześnie. A potem zamilkł, oszołomiony, aż w końcu jego ciało zostało złożone delikatnie u stóp nagiego drzewa.

Na południe od tego miejsca lśniły nowojorskie drapacze chmur, ale otaczały nas znacznie bliższe światła East i West Side. David stał nieruchomo. Ciekawe, o czym teraz myślał?

Wydawało się, że był jak sparaliżowany. Podszedłem do niego. Nie był teraz spokojnym, skrupulatnym archiwistą. Sprawiał wrażenie, że cierpi.

— Co jest? — zapytałem.

— Przecież wiesz — wyszeptał. — Nie pożyczę długo w ten sposób.

— Naprawdę? Z darami, które ode mnie otrzymałeś...

— Ciii, mamy zbyt często w zwyczaju mówić sobie nawzajem rzeczy, których nie potrafimy przyjąć. Powinniśmy z tym skończyć.

— I mówić wyłącznie prawdę? Dobrze. Oto prawda. Teraz wydaje ci się, że długo tak nie pożyczysz. Teraz. Kiedy jego krew jest gorąca i krąży w twoim ciele. To oczywiste. Ale nie będziesz tego odczuwał wiecznie. W tym właśnie sęk. Nie chcę już mówić o przetrwaniu.

Próbowałem ze sobą skończyć, wiesz, z jakim skutkiem. Nie udało się, a poza tym mam na głowie coś innego, tę istotę, która mnie ściga, i problem, jak pomóc Dorze, zanim to coś mnie dopadnie.

To skutecznie zamknęło mu usta.

Ruszyliśmy pieszo, jak śmiertelnicy, przez ciemny park, moje chrzęstem zapadały się w głęboki śnieg. Maszerowaliśmy przez odarte z liści zagajniki, odgarniając na bok wilgotne, czarne gałęzie, w zasięgu wzroku wciąż mieliśmy majaczące w oddali budynki w centrum. Z

trwogą nasłuchiwałem czujnie dźwięków kroków. I nagle ze zgrozą stwierdziłem, że być może monstrualna tac sam diabeł we własnej osobie, czy cokolwiek innego to było, kazało mi się tylko dlatego, że chodziło o Rogera...

Ale co wobec tego z tym nieznanym, całkiem przeciętnym mężczyzną? Nie mogłem o nim zapomnieć, o mężczyźnie, którego ujrzałem w hotelu tuż przed świtem.

Dotarliśmy do oświetlonej Central Park South; budynki były tu wyższe, niemal aroganckie.

Słyszeć było jednak pocieszające dźwięki nocnego życia, wędrujących ludzi, zarówno tych dobrze sytuowanych, jak i ubogich, niosących każdy swój krzyż — wśród tego chaosu dominowały klaksony taksówek. David był zaszepiony, skonsternowany.

— Gdybyś ujrzał to, co ja — odezwałem się w końcu — nie pragnąłbyś tak szybko przeskoczyć na następny poziom. — Westchnąłem. Nie zamierzałem ponownie wspominać ani opisywać tej skrzydlatej istoty.

— To mnie zainspirowało — wyznał. — Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo.

— Pójdziecie do piekła? Z taką istotą?

— Czy czułeś jej diabelskość? Wyczułeś zło? Pytałem cię już o to. Czy wyczuwałeś zło, kiedy to coś zabrało Rogera? Czy Roger sprawiał wrażenie, że cierpi?

Te pytania lekko zbiły mnie z tropu.

— Nie traktuj śmierci z nadmiernym optymizmem — powiedziałem. — Ostrzegam cię. Mój punkt widzenia ulega zmianie. Ateizm i nihilizm z przeszłości dziś wydają mi się płytkie, a nawet sztuczne.

Uśmiechnął się, pobłaźliwie, jak wtedy, gdy był śmiertelnikiem i wszem i wobec prezentował swe pobrużdżone zmarszczkami niemłode oblicze.

— Czytałeś Hawthorne’a? — zapytał półgłosem.

Dotarliśmy do ulicy, przeszliśmy na drugą stronę i powoli zaczęliśmy się zbliżać do fontanny przed hotelem Plaza.

— Tak — odparłem. — Zdarzało się.

— Pamiętasz, jak Ethan Brand poszukiwał niewybaczalnego grzechu?

— Chyba tak. Wyruszył na poszukiwanie, pozostawiając bliźniego na łasce losu.

— Przypomnij sobie ten fragment — rzekł łagodnym tonem Szliśmy Piątą Aleją, która nigdy nie jest ciemna ani pusta.

— „Utracił łączność z magnetycznym łańcuchem człowieczeństwa” — zaczął cytować. —

„Nie był już bratem — człowiekiem, otwierającym komory i lochy naszej prostej natury kluczem świętego współczucia, które dawało mu prawo dzielić się wszelkimi sekretami; był teraz chłodnym obserwatorem patrzącym na ludzkość jak na obiekt swych eksperymentów i ostatecznie zmieniającym mężczyznę i kobietę w swoje marionetki, a następnie pociągającym za sznurki, które nimi poruszały, by popełniali zbrodnie, jakie zamyślił sobie, w swoich badaniach”.

Milczałem. Chciałem zaprotestować, ale to nie byłoby uczciwe z mojej strony. Chciałem powiedzieć, że nigdy, przenigdy nie mógłbym potraktować ludzi jak marionetki. Jedyne, co robiłem, to obserwowałem Rogera i Gretchen w dżungli. Nie pociągałem za żadne sznurki. To uczciwość doprowadziła do rozłamu między mną a nią. Ale on mówił do mnie, mając na myśli kogoś innego — Mówił o sobie, o dystansie, jakiego nabrał do ludzi. Dopiero stawał się Ethanem Brandem.

— Pozwól, że zacytuję jeszcze jeden fragment — rzekł z szacunkiem w głosie. — „Tak oto Ethan Brand stał się diabłem wcielonym. Zmienił się weń z chwilą, gdy jego natura i mora przestały dotrzymywać kroku rozwojowi, jakiemu podlegał jego intelekt...” — Przerwał.

Nie odezwałem się.

— Oto jest sedno naszego potępienia — wyszeptał. — Nasz rozwój moralny osiągnął swój kres, a intelekt wciąż jeszcze rozwija się skokowo.

Nadal milczałem. Co miałem powiedzieć? Rozpacz nigdy nie była mi obca, lecz mógł ją rozproszyć nawet widok pięknego manekina w oknie wystawowym. Albo feeria świateł

otaczających wieżę. Lub widmowy kształt najeżonej wieżyczkami katedry Świętego Patryka.

Wkrótce jednak uczucie rozpaczony znów powracało.

To bez znaczenia, nieomal powiedziałem na głos, ale słowa, które wypłynęły z moich ust, brzmiały całkiem inaczej.

— Muszę myśleć o Dorze — oznajmiłem.

Dora.

— Tak, a dzięki tobie — mruknął David — ja także mam ją od teraz na głowie, zgadza się?

6

Co, kiedy i jak mam powiedzieć Dorze? Oto jest pytanie. Następnej nocy udaliśmy się do Nowego Orleanu.

W domu przy rue Royale nie zastaliśmy Louisa, ale to wcale nas nie zdziwiło. Louis coraz częściej podróżował — raz nawet David widział go w towarzystwie Armanda w Paryżu. Dom wyglądał jak marzenie, z meblami w moim ulubionym stylu Ludwika XV, pięknymi tapetami i najlepszymi dywanami.

David rzecz jasna znał to miejsce, choć nie był tam od ponad roku. W jednej z licznych, idealnie dopracowanych sypialni, pełnej szafranowego jedwabiu, z tureckimi stolikami i parawanami, wciąż stała trumna, w której sypiał podczas swego pierwszego, krótkiego pobytu tutaj jako nieumarły.

Naturalnie trumna została starannie zakamuflowana. Uparł się, aby była prawdziwa, wszystkie piskłeta tak robią, chyba że są z natury nomadami. Ukryto ją nader przemyślnie w ciężkiej, spiżowej skrzyni, którą Louis kupił właśnie w tym celu, bez widocznych zamków, choć gdy się wiedziało, w którym miejscu trzeba je nacisnąć, wieko otwierało się z łatwością.

Urządziłem swoje miejsce spoczynku tak, jak to sobie przyobiecałem, odrestaurowując dom, w którym mieszkałem niegdyś z Claudią i Louistem. Nie w mojej dawnej sypialni, gdzie stało teraz ciężkie łóżko z baldachimem i toaletką, ale na samej górze, „a poddaszu. Moja „cela”

wyłożona była marmurem i metalem.

Tak czy owak, mieliśmy dla siebie dogodne schronienie, a ja odetchnąłem z ulgą, że Louisa nie ma i

nie muszę opowiadać mu, co nie spotkało. W jego pokojach panował ład; pojawiły się nowe książki oraz zachwycający obraz pędzla Matisse'a. Poza tym nic się nie zmieniło.

Gdy tylko się rozlokowaliśmy, sprawdziliśmy systemy zabezpieczeń, jak to zwykle czynią nieumarli, wypatrując wszystkiego, niezwykle i podejrzane, uznaliśmy, że powinienem udać się do północnej części miasta i sprawdzić, co u Dory. Nie zauważyłem ani nie usłyszałem w pobliżu mego Prześladowcy ów Zwyczajny Mężczyzna też się nie pojawił.

Obaj z Davidem przyznaliśmy, że prześladowca albo ten drugi mogą się zjawić w każdej chwili. Mimo to pozostawiłem mojego przyjaciela samego, aby jak sobie życzył, rozejrzał się trochę po mieście.

Przed opuszczeniem dzielnicy francuskiej i udaniem się do północnej części miasta przywołałem mego psa, Mojo. Jeżeli nie znasz Mojo z *Opowieści o Złodzieju Ciało*, powiem teraz tylko tyle, ile musisz wiedzieć — jest to duży owczarek niemiecki, którym opiekuje się pewna śmiertelniczka, mieszkająca w budynku, którego jestem właścicielem; Mojo mnie kocha i to ujęło mnie w nim od pierwszej chwili, kiedy go ujrzałem. To po prostu pies, tyle że naprawdę olbrzymi, o gęstej sierści, i zawsze trudno jest mi rozstać się z nim na dłużej.

Spędziłem z nim godzinę czy dwie, mocując się i turlając po ziemi w ogrodzie za domem, opowiadając mu o wszystkim, co się zdarzyło, i zastanawiając się, czy powinienem zabrać go ze sobą do północnej części miasta. Jego ciemny, wydłużony, z pozoru zły pysk jak zawsze przepełniała niezwykła łagodność i wyrozumiałość. Boże, czemu nie uczyniłeś nas wszystkich psami? Prawdę mówiąc, Mojo dawał mi poczucie bezpieczeństwa. Gdyby pojawił się diabeł, a ja miałbym obok siebie Mojo... nie, cóż to za absurdalna myśl! Pies miałby w moim imieniu stawić czoło wysłannikowi piekiel! Cóż, ludzie wierzą, jak sądzę, w znacznie dziwniejsze rzeczy.

Zanim rozstałem się z Davidem, zapytałem go: „Jak sądzisz, co się dzieje? Mam na myśli tego Prześladowcę i Zwyczajnego Mężczyznę”. Na co David odrzekł bez wahania: „Obaj są wytworem twojej wyobraźni, w ten sposób nieustannie karzesz sam siebie. To w twoim mniemaniu jedyny sposób na dobrą zabawę”.

Powinienem poczuć się urażony, ale tak się nie stało.

Dora była prawdziwa. Rzeczywista.

W końcu postanowiłem, że pójdę bez Mojo. Po cichu sprawdzę co z Dorą. I będę działał

szybko. Ucałowałem Mojo i zostawiłem go. Później udamy się na spacer, po naszych ulubionych pustkowiach pod River Bridge, wśród traw i śmieci, będziemy razem. Będę cieszył się tymi chwilami tak długo, jak pozwoli mi natura. Na razie to mogło poczekać.

Wróćmy do Dory.

Naturalnie Dora nie wiedziała, że Roger nie żyje. Nie mogła tego wiedzieć, chyba że Roger jej się pokazał. Nie dał mi jednak odczuć, że coś takiego jest w ogóle możliwe. To, że ukazał się mi,

pochłonęło chyba cały zapas jego energii. Poza tym za bardzo dbał o Dorę, aby ukazywać się jej jako zjawą.

Co ja właściwie wiedziałem o duchach? Pomijając kilka dość obojętnych widm, do czasu spotkania z Rogerem nie widziałem prawdziwego ducha ani tym bardziej nie rozmawiałem z żadnym.

A teraz będę już na zawsze nosił w sobie piętno jego miłości do Dory, jego osobliwą mieszaninę pewności siebie i wyrzutów sumienia. Gdyby się nad tym zastanowić, nawet to, że mi się pokazał, świadczyło o jego wielkiej pewności siebie. To, że mógł mnie nawiedzić, nie było niczym niezwykłym, na tym świecie znanych jest wiele dobrze udokumentowanych, wiarygodnych i przekazywanych opowieści o duchach. To jednak, że nawiązał ze mną rozmowę, że uczynił mnie swym powiernikiem, świadczyło o jego olbrzymiej, niepoahamowanej pysze.

Pomaszerowałem na północ jak zwykły śmiertelnik, chłoną zapach powietrza znad rzeki, radując się widokiem dębów o czarnej korze i słabo oświetlonych, nowoorleańskich domów; wszędzie pieniała się trawa, winorośle i kwiaty — ot, cały Nowy Orlean.

Trochę za szybko dotarłem do starego, ceglanego klasztoru napoleon Avenue, gdzie mieszkała Dora. Nawet jak na Nowy Orlean jest to wyjątkowo piękna ulica, z szeroką medianą, którą jeździły kiedyś tramwaje. Teraz posadzono na niej drzewa, tak jak wszędzie wokół klasztoru, który miałem przed sobą. To była naprawdę gęsto zadrzewiona, wiktoriańska dzielnica.

Powoli podszedłem do budynku, pragnąc zapamiętać jak najwięcej detali. Jakże się zmieniłem, odkąd po raz ostatni szpiegowałem Dorę.

Klasztor wzniesiono w stylu drugiego cesarstwa — miał mansardowy dach, pokrywający środkową część budowli i długie skrzydła boczne. Tu i ówdzie stare dachówki zsunęły się z pochyłości, a sam dach był pośrodku wklęsnięty, co dodawało budynkowi niezwykłości. Ceglane mury, łukowate okna, cztery narożne wieżyczki i znajdujący się na wysokości pierwszego piętra ganek w części frontowej głównego budynku — wszystko to miało w sobie coś ze stylu włoskiego i charakteryzowało się doskonałością proporcji. Wzdłuż krawędzi dachu ciągnęły się stare, miedziane rynny. Okien nie było, ale kiedyś na pewno musiały się tu znajdować.

Okien było sporo, wysokich, u góry zaokrąglonych, zwłaszcza na pierwszym i drugim piętrze, z bielonymi, choć nieco już wyblakłymi zdobieniami.

Od frontu rozciągał się rozległy, choć niezbyt ciekawy ogród. Znacznie bardziej interesujący wydał mi się wewnętrzny dziedziniec. Ten mały światek, gdzie niegdyś mieszkały zakonnice i sieroty płci żeńskiej, dominował na całej długości przecznicy. Olbrzymie dęby ocieniały szerokie chodniki. Boczną uliczkę od południa otaczał szpaler naprawdę starych mirtów.

Obchodząc budowlę, spostrzegłem wysoko na piętrze witrażowe okna kaplicy, zauważyłem migoczące wewnątrz światło rozmyślając, czy jest tam Najświętszy Sakrament — w co szczerze kpiłem — dotarłem na tyły klasztoru i przeskoczyłem przez mur.

Niektóre drzwi w budynku były zamknięte na klucz, ale nie naliczyłem ich wiele. Klasztor tonął w

ciszy, a w tę łagodną, lecz mimo wszystko mroźną nowoorleańską zimą, w budynku było chłodniej niż na zewnątrz.

Wśliznąłem się cicho na korytarz na parterze i od razu spodobały mi się cudowne proporcje tego miejsca, jego przestronność, szerokie korytarze, intensywna woń niedawno odartych z tynku, ceglanych ścian i przyjemny aromat gołych podłóg z sosnowego drewna. To wszystko było proste i funkcjonalne, taki wystrój lubią modni artyści z wielkich miast, mieszkający w starych magazynach albo loftach.

To jednak nie był magazyn. To był klasztor, uświęcone miejsce. Wyczułem to od razu.

Ruszyłem wolno korytarzem w stronę północno — wschodnich schodów. Powyżej, na prawo, w północno — wschodniej wieży mieszkała Dora, tak więc budowla sprawiała wrażenie zamieszkanego od wysokości drugiego piętra.

W budynku nie wyczułem nikogo. Nie poczułem nawet zapachu Dory ani jej nie usłyszałem.

Usłyszałem szczury, owady, a także coś większego od szczura, prawdopodobnie szopa, pożywiającego się czymś na poddaszu, spróbowałem też wychwycić obecność elementali, jak je określił David, istot, które ja wolę nazywać duchami albo poltergeistami.

Stałem w bezruchu z zamkniętymi oczami. Nasłuchiwałem. Wydawało się, że cisza emanuje echem licznych obecności, ale były zbyt słabe i zbyt zagubione, by dotknąć mego serca albo rozpalić we mnie myśl. Tak, były tu duchy... O tak, nie wyczułem wszelako duchowej turbulencji, żadnej nierozwikłanej tragedii ani zbrodni domagającej się sprawiedliwości. Wręcz przeciwnie, pod względem duchowym panowały tu spokój i cisza.

Całe to gmaszysko było niewzruszone jak opoka.

Chyba samej budowli przypadło do gustu, że została odarta do żywego i wyglądała teraz tak jak w dziewiętnastym wieku; nawet gołe belki stropowe, choć z założenia nie miały być widoczne, wyglądały przepięknie po usunięciu z nich tynku, drewno było ciężkie i ciemne, równe, bo w tamtych czasach prace ciesielskie wykonywano z nadzwyczajną starannością.

Klatka schodowa była oryginalna. Wchodziłem po tysiąc chodów takich jakich te, usytuowanych w całym Nowym Orleanie — W tym budynku było ich co najmniej pięć. Znałem delikatną krzywiznę każdego stopnia, wyżłobioną stopami dzieci, jedwabistą gładkość barierki, którą przez sto lat woskowano nieskończenie wiele razy. Znałem podest umieszczony dokładnie naprzeciwko okna, które niezależnie od wielkości i kształtu, rozpraszało światło wpływające z ulicy.

Kiedy dotarłem na pierwsze piętro, uświadomiłem sobie, że stanąłem przed drzwiami kaplicy.

Z zewnątrz to miejsce nie wydawało się aż tak duże.

W rzeczywistości kaplica była olbrzymia, jak kościoły, które odwiedzałem od lat. Po obu stronach głównej nawy ciągnęło się mniej więcej dwadzieścia rzędów ławek dla wiernych.

Tynkowane sklepienie zdobione było fantazyjnymi gzymsami. Na ścianach widać było stare medaliony, gdzie niegdyś zapewne wisiały świeczniki gazowe. Witrażowe okna, choć bez ludzkich postaci, wykonano nader misternie, co dostrzec można było w świetle latarni ulicznej.

W dolnej części każdego z okien umieszczono nazwiska patronów. Nie było tu wiecznego światła, tylko mnóstwo świec przed posągami Matki Bożej w ozdobnej koronie.

To miejsce musiało wyglądać tak samo, gdy opuściły je zakonnice, po tym jak budynek został sprzedany. Była tu nawet chrzcielnica, ale nie trzymał jej gigantyczny anioł. Ta tutaj to po prostu marmurowy zbiornik na postumencie.

Wchodząc do środka, minąłem schody na chór, zdumiała mnie czystość i symetria całego projektu. Jak to było mieszkać w budynku, gdzie mieści się prywatna kaplica? Dwieście lat wcześniej często odwiedzałem kaplicę ojca, była to jednak zaledwie maleńka kamienna izba w naszym zamku. To miejsce, z wentylatorami elektrycznymi, aby latem panował tu przyjemny chłód, wydawało się nie mniej autentyczne niż tamto.

To była kaplica wręcz królewska, a cały klasztor przywodził na myśl raczej pałac niż miejsce kultu. Wyobraziłem sobie, że tu mieszkam — Dora chybaby się na to nie zgodziła — wśród niezwykłego przepychu, z niekończącymi się, wyłożonymi klepką korytarzami, po których mógłbym stąpać każdej nocy, by odwiedzić to sanktuarium i się pomodlić.

Spodobało mi się to miejsce. Rozpalało mój umysł. Kup klasztor, urządź w nim swój pałac, żyj w jego murach bezpiecznie i dostojnie, gdzieś w zapomnianym zakątku któregoś ze współczesnych miast! Poczulem zazdrość, a raczej mój szacunek do Dory jeszcze wzrósł.

Tak mieszka wielu Europejczyków — w wielopiętrowych budowlach z rozległymi skrzydłami otaczającymi starannie utrzymane wewnętrzne dziedzińce. W Paryżu takich rezydencji jest sporo.

Jednak w Ameryce pomysł, że można by zamieszkać tu wśród takich luksusów, był wyjątkowo kuszący.

Nie takie wszakże było marzenie Dory. Dora chciała nauczać tu swoje wybranki, swoje wierne zwolenniczki, które będą potem głosić Słowo Boże z zapalem godnym świętych Franciszka lub Bonawentury.

Cóż, jeżeli śmierć Rogera odbierze jej zapal do kontynuowania tego dzieła, przynajmniej będzie mogła mieszkać tu wśród przepychu.

Jaką miałem moc, by wpłynąć na marzenie Dory? Czyje spełniłbym życzenie, gdybym w jakiś sposób przekonał ją, aby przyjęła te nieopisane skarby i urządziła się w tym pałacu jak księżniczka? Jedna szczęśliwa istota ludzka, ocalona przed niedolą, która tak często bierze swój początek z religii.

To nie był taki głupi pomysł. Tak, to dla mnie typowe. Myśleć w kategoriach nieba na ziemi, odmalowanego w najcudowniejszych barwach, z posadzkami z najlepszego kamienia i centralnym ogrzewaniem.

Niedobrze, Lestacie.

Kim byłem, by pozwalać sobie na tego rodzaju przemyślenia! Przecież mogliśmy mieszkać tutaj razem, jak Piękna i Bestia — Dora i ja. Zaśmiałem się w głos. Dreszcz przebiegł mi po plecach, ale nie usłyszałem kroków.

Nagle poczułem się dziwnie osamotniony. Nasłuchiwałem. Zjeżyłem się.

— Nie waż się teraz do mnie zbliżyć — wyszeptałem do prześladowcy, którego najprawdopodobniej wcale tu nie było. — Jestem w kaplicy. Jestem bezpieczny. Równie dobrze mógłbym znajdować się w katedrze.

Zastanawiałem się, czy prześladowca śmiał się ze mnie. Lestacie to wszystko jest dziełem twojej wyobraźni.

Nieważne. Podejdź bliżej do barierki, przy której wierni przyjmują komunię świętą. Spójrz na to, co masz przed sobą, i nie myśl o niczym.

W myślach słyszałem nagłący głos Rogera. Ale przecież i tak już kochałem Dorę, prawda?

Byłem tu. Zrobię coś. Potrzebowałem jedynie trochę czasu.

Echo moich kroków rozbrzmiewało w kaplicy. Nie starałem się stąpać cicho. Stacje Drogi Krzyżowej, nieduże, gipsowe płaskorzeźby, umieszczone były pomiędzy witrażowymi oknami, wokół całej kaplicy, ołtarz usunięto z głębokiej niszy, a jego miejsce zajęła wielka figura Ukrzyżowanego.

Krucyfiksy zawsze mnie fascynowały. Jest wiele sposobów na podkreślenie rozlicznych szczegółów, a same figury Chrystusa na krzyżu jako dzieła sztuki zajmują miejsca w najświetniejszych muzeach świata oraz tych katedrach i bazylikach, które stały się muzeami. Ten był stary, bardzo realistycznie przedstawiony, w stylu z końca dziewiętnastego wieku. Skąpa przepaska biodrowa Chrystusa zdawała się falować na wietrze, policzki były zapadnięte, twarz przepełniona głębokim smutkiem.

To z pewnością jedno ze znalezisk Rogera. Krzyż był za duży jak na wnękę ołtarza, ale samo wykonanie figury Chrystusa budziło respekt w przeciwieństwie do stojących tu i ówdzie gipsowych figur — świętej Teresy z Lisieux w habicie karmelitanki, z krzyżem i bukietem róż, świętego Józefa z lilią, nawet Matki Bożej w koronie — które wyglądały dość przeciętnie. Były naturalnej wielkości, wszystkie starannie pomalowane; nie sposób jednak nazwać ich dziełami sztuki.

Wizerunek Ukrzyżowanego nie mógł pozostawiać nikogo obojętnym. Albo nienawidziłeś chrześcijaństwa, z całym tym krwawym okrucieństwem, albo budziły się w tobie bolesne od —

czucia, kiedy wyobrażałeś sobie, jak musiał cierpieć Chrystus, gdy przybijano Go do krzyża.

Wielki Post. Medytacje. Kościół. Głos kapłana odmawiającego Ojcze nasz.

Poczułem równocześnie odrazę i ból. Stojąc wśród cieni, patrzyłem, jak światła na zewnątrz migoczą

i odbijają się w witrażowych oknach. Powróciły do mnie wspomnienia z dzieciństwa, a może nigdy całkiem mnie nie opuściły. Pomyślałem o miłości Rogera do córki i zrozumiałem, że wspomnienia znaczą dla mnie tyle co nic, natomiast miłość jest wszystkim. Wszedłem po stopniach, które kiedyś wiodły do ołtarza i tabernakulum. Sięgnąłem ręką i dotknąłem stóp Ukrzyżowanego. Stare drewno. Słabe, sekretne wspomnienie hymnów. Uniosłem wzrok, by spojrzeć na twarz Chrystusa, i nie dostrzegłem grymasu cierpienia, lecz mądrość i spokój, jak na kilka chwil przed nieuchronną śmiercią.

Gdzieś w budynku rozległ się donośny, rozbrzmiewający echem odgłos. Cofnąłem się trochę za szybko, straciłem równowagę i obróciłem się gwałtownie. Ktoś był w budynku, szedł parterem w stronę schodów, tych samych, które wiodły do kaplicy.

Czym prędzej przemknąłem w kierunku wejścia do przedsionka. Nie usłyszałem głosu ani nie wyczułem zapachu. Zero zapachu. Serce zamarło mi w piersi.

— Nie zniosę tego dłużej! — wyszeptałem. Byłem cały rozdygotany.

Ktoś zaczął się wspinać po schodach.

Ukryłem się za drzwiami kaplicy, aby móc wyglądać na podest. Gdyby to była Dora, natychmiast musiałbym zwinąć żagle.

To nie była Dora, to coś szybkim, zdecydowanym krokiem wspinało się po schodach, idąc w moją stronę. W jednej chwili uświadomiłem sobie, z kim mam do czynienia, kiedy tylko zatrzymał się przede mną.

To był Zwyczajny Mężczyzna.

Stałem jak wryty, patrząc na niego. Niższy ode mnie, gorzej budowany, przeciętny pod każdym względem, tak jak go zapadałem. Bez zapachu? Nie, ale zapach był dziwny. Mieszała się nim woń krwi, potu i soli, słyszałem też słabe uderzenia serca...

— Nie dręcz samego siebie — powiedział zrównoważonym, dyplomatycznym tonem. —

Zastanawiam się, czy powinienem złożyć ci moją ofertę już teraz, czy kiedy spotkasz się z Dorą.

Nie wiem, która opcja jest lepsza.

Stał teraz o cztery stopy ode mnie.

Oparłem się nonszalancko o framugę i skrzyżowałem ramiona. Za mną znajdowała się kaplica rozjaśniona migoczącym blaskiem świec. Czy wyglądałem na przerażonego? Czy umrę z przerażenia?

— Powiesz mi, kim jesteś — rzekłem — i czego chcesz, czy mam raczej zadawać pytania i wyciągnąć to z ciebie?

— Wiesz, kim jestem — odparł z niezmaconym spokojem.

Nagle coś zwróciło moją uwagę. Proporcje jego figury i twarz. Jej regularne rysy. Był dość przeciętnym mężczyzną.

Uśmiechnął się.

— Właśnie. To postać, którą preferuję w każdej epoce i miejscu, ponieważ nie przyciąga uwagi. — W tonie jego głosu znów brzmiała przyjazna nuta. — Czarne skrzydła i koźle nogi z kopytami w jednej chwili przejmują śmiertelników niepojętą trwogą.

— Chcę, żebyś wyniósł się stąd, zanim zjawi się Dora! — rzuciłem. Byłem bliski obłędu.

Odwrócił się, klepnął się po udzie i wybuchnął śmiechem.

Łotr z ciebie, Lestacie — rzekł zwyczajnym głosem. — Ci, o cię znają, nie na darmo określają cię tym mianem! Nie możesz mi rozkazywać.

— Nie rozumiem, dlaczego nie. A gdybym tak cię stąd wyrzucił?

— Chcesz spróbować? Mam przyjąć moją drugą postać; Chcesz zobaczyć skrzydła...

Usłyszałem gwar głosów i wzrok zaczął mi się zaćmiewać

— Nie! — krzyknąłem.

— W porządku.

Przemiana została zatrzymana. Kurz opadł. Poczułem, że serce nieomal wyskakuje mi z piersi.

— Powiem ci, co zrobię — rzekł. — Pozwolę ci załatwić sprawę z Dorą, bo widzę, że masz obsesję na jej punkcie. I nie zdołam cię od tego odwieść. A potem, kiedy już z tym skończysz, z tą dziewczyną, jej marzeniami i w ogóle, porozmawiamy sobie, ty i ja.

— Na jaki temat?

— Twojej duszy, jakżeby inaczej?

— Jestem gotów pójść do piekła — wycodziłem, kłamiąc w żywe oczy. — Nie wierzę jednak, że jesteś tym, za kogo się podajesz. Jesteś jakąś istotą, jak ja, dla której nie mam naukowego wyjaśnienia, ale pod tą otoczką kłamstw, którą w końcu pokonam, by poznać suche fakty, kryją się proste wytłumaczenia, nawet tak prozaiczne jak struktura twoich czarnych skrzydeł.

Zmarszczył lekko brwi, ale nie wyglądał na zagniewanego.

— Nie będziemy tego teraz przedłużać — powiedział. — Przynajmniej nie w tym tonie. Na razie pozwolę ci pomyśleć o Dorze. Dora jest właśnie w drodze do domu. Jej auto wjechało w tej chwili na dziedziniec. Odejdę więc spokojnym krokiem, tak jak tu przyszedłem. I dam ci dobrą radę — dobrą dla nas obu.

— To znaczy? — spytałem.

Odwrócił się do mnie tyłem i ruszył w dół schodów zwawym krokiem. Przystanął dopiero na podeście. Poczulem zapach Dory.

— Jak brzmi ta rada? — spytałem.

— Zostaw Dorę w spokoju. Niech jej sprawami zajmą się ziemscy adwokaci. Opuść to miejsce. Mamy ważniejsze sprawy do omówienia. To za bardzo cię pochłania.

W chwilę potem zniknął, zapewne opuścił budynek bocznymi drzwiami. Usłyszałem, jak się otwierają i zamykają.

Niemal natychmiast podążyłem za nim. Usłyszałem, jak Dora wchodzi do głównego budynku, po czym maszeruje dziarsko korytarzem.

Śpiewała cicho albo raczej nuciała pod nosem. Roztaczała wokoło siebie słodki aromat miesięcznej krwi. Miała okres. To uczyniło ją dla mnie jeszcze bardziej kuszącą.

Wśliznąłem się w cienie przedsionka. Nie zobaczy mnie ani nawet nie zorientuje się, że tu byłem, mijając mnie w drodze na wieżę. Przeskakując po dwa stopnie, dotarła na pierwsze piętro.

Miała zarzucony na ramiona plecak i nosiła piękną, luźną, staromodną suknię z kwiecistej bawełny, z długimi rękawami wykończonymi koronką. Już miała wejść wyżej, gdy nagle przystanąła. Odwróciła się w moją stronę. Zamarłem. Przecież w tym świetle nie mogła mnie dostrzec.

I wtedy do mnie podeszła. Wyciągnęła rękę. Ujrzałem jej białe palce dotykające czegoś na ścianie; to był włącznik światła, prosty, plastikowy włącznik. Nagle żarówka nade mną zapłonęła silnym blaskiem.

Wyobraź to sobie: jasnowłosego intruza, mężczyznę z oczyma przesłoniętymi okularami o fioletowych szklach, teraz czystego i schludnego, bez odrobiny krwi jej ojca na sobie, ubranego w czarny, wełniany płaszcz i spodnie.

Uniosłem ręce w górę, jakbym chciał powiedzieć: Nic ci nie zrobię! Nie mogłem wydobyć z siebie słowa. Zniknąłem. To znaczy przemknąłem obok niej tak szybko, że nawet tego nie zauważyła; mogła jedynie poczuć towarzyszący temu pęd powietrza. To wszystko. Pokonałem dwie kondygnacje schodów, dotarłem na poddasze i przez otwarte drzwi wśliznąłem się w mroczną Przestrzeń nad kaplicą, gdzie przez mansardowe okna sączyło się z ulicy wątle światło.

Jedno z okien było wybite. Mogłem skorzystać z mego i wydostać się na zewnątrz. Nagle się zatrzymałem. Usiadłem w kącie. Wtopiłem się w ciemność. Podciągnąłem kolana do piersi, poprawiłem okulary na nosie i spojrzałem przez całą długość poddasza w kierunku drzwi, przez które tu wszedłem. Nie usłyszałem krzyków. Nie usłyszałem nic. Nie wpadła w histerie nie wybiegła z budynku jak oszalała. Nie wszczeła alarmu. Nieustraszona, cicha, mimo iż przed chwilą napotkała nieproszonego gościa. Swoją drogą, pomijając wampira, co na tym świecie może być groźniejsze dla kobiety niż młody, obcy mężczyzna?

Zdałem sobie sprawę, że szczękam zębami. Zacisnąłem prawa dłoń w pięść i uderzyłem nią w otwartą lewą. Diabeł, człowiek — kimkolwiek jesteś, u licha, czekałeś na mnie, zabroniłeś mi z nią rozmawiać, żadnych sztuczek, po prostu z nią nie rozmawiaj w ogóle nie zamierzałem z nią mówić, cholera, Rogerze, co ja mam teraz zrobić? Przecież wcale nie zamierzałem się jej pokazać!

Nigdy, przenigdy nie powinienem był przychodzić tu bez Davida. Potrzebowałem obecności świadka. Czy Zwyczajny Mężczyzna odważyłby się tu przyjść, gdyby był ze mną David? Mierzył

mnie! Miałem mętlik w głowie. Bałem się, że tego nie przeżyję. Co to oznaczało? Co zamierzało mnie zabić?

Nagle zdałem sobie sprawę, że ona wchodzi po schodach. Tym razem powoli i po cichu.

Śmiertelnik by jej nie usłyszał. Miała jednak ze sobą latarkę. Wcześniej nie zwróciłem na to uwagi, ale teraz ją miała i powiodła promieniem latarki wzdłuż ciemnych, ukośnie biegnących belek stropowych poddasza.

Weszła na poddasze i zgasila latarkę. Rozejrzała się ostrożnie dokoła, jej oczy wypełniło białe światło wpadające przez okrągłe okienka. Dzięki nim mogła tu cokolwiek zobaczyć, lampy uliczne stały całkiem blisko.

Jej spojrzenie odnalazło mnie, siedzącego w kącie.

— Czego się obawiasz? — zapytała kojącym głosem.

Uświadomiłem sobie, że wcisnąłem się w kąt z kolanami podciągniętymi pod brodę i patrzę na nią.

— Ja... ee... przepraszam — powiedziałem. — Bałem się... że cię wystraszę. Było mi wstyd, że cię tak zaskoczyłem. Poczuję się jak ostatnia oferma.

Podeszła do mnie bez lęku. Jej zapach z wolna wypełnił całe poddasze jak aromat palonych trociczków. W jej kwiecistej sukience z koronkami przy rękawach wydała się wysoka i smukła.

Krótkie, czarne włosy wyglądały jak czapeczka. Oczy miała duże i ciemne, podobne do oczu Rogera. W jej spojrzeniu było coś niezwykłego. Mogłaby zniechęcić nim drapieżnika do ataku; wyglądała olśniewająco, gdy blask latarni licznych podkreślał jej wystające kości policzkowe i kształt ust, nieruchomych j pozbawionych wszelkich emocji.

— Mogę odejść, jeżeli zechcesz — powiedziałem drżącym głosem. — Mógłbym po prostu bardzo wolno wstać i odejść, nie czyniąc ci krzywdy. Przysięgam. Nie musisz się bać.

— Dlaczego ty? — spytała.

— Nie rozumiem pytania — odparłem. Czy płakałem? Czy dygotałem na całym ciele? — Co ma znaczyć: dlaczego ja?

Podeszła bliżej i spojrzała na mnie. Zobaczyłem ją bardzo wyraźnie.

Może zauważyła moją blond czuprynę, błysk światła w szklach moich okularów i stwierdziła, że wyglądam młodo.

Dostrzegłem teraz jej długie rzęsy, mały, ale mocny podbródek i ramiona ledwie rysujące się pod materiałem sukienki; wyglądała jak dziewczyna, wymarzona kobieta — lilia. W dodatku miała talię osy.

W jej obecności wyczułem jednak coś zimnego, lodowaty chłód. Nie sprawiała wrażenia zepsutej ani złej, ale budziła lęk, jakby faktycznie taka była! Czy na tym polega świętość?

Zastanawiałem się, czy miała okazję spotkać w swoim życiu prawdziwego świętego. Mam własną definicję tego słowa, czyż nie?

— Czemu akurat ty przychodzisz, aby mi to oznajmić? — spytała czule.

— Co takiego, najdroższa? — zapytałem.

— To, że Roger nie żyje. — Uniosła lekko brwi. — Bo przecież po to właśnie przychodzisz, prawda? Wiedziałaś, odkąd ujrzałam cię po raz pierwszy. Wiedziałaś, że Roger nie żyje. Ale dlaczego zjawiasz się właśnie ty?

Uklękła przede mną.

Jęknąłem przeciągle. A więc potrafiła czytać w myślach. Poznała mój wielki sekret. Moją wielką decyzję. Czy miałem z nią porozmawiać? Spróbować przemówić jej do rozsądku?

Szpiegować ją? Oszukać? A może oczarować? Z mojego umysłu popłynęła nagle dobra nowina: Hej, kotku, Roger nie żyje! Podeszła do mnie jeszcze bliżej. O wiele za blisko. Nie powinna tego robić. Za chwilę zaczniesz wrzeszczeć. Uniosła latarkę.

— Nie zapalaj latarki — poprosiłem.

— Dlaczego nie? Nie poświecę ci nią w oczy, obiecuję. Chcę ci się tylko przyjrzeć.

— Nie.

— Zrozum, nie boję się ciebie, jeżeli o to ci chodzi — oznajmiła prosto z mostu, bez cienia dramatyzmu, w głowie miała natłok myśli, ale umysł chłonał każdy szczegół tego, co widziała przed sobą.

— Dlaczego nie?

— Ponieważ Bóg nie pozwoliłby, aby ktoś taki jak ty mnie skrzywdził. Ja to wiem. Jesteś diabłem albo złym duchem. A może dobrym duchem. Nie wiem. Skąd niby mam to wiedzieć.

Może znikniesz, kiedy uczynię znak krzyża. A może wcale nie. Nie mam pojęcia. Chcę tylko wiedzieć, czemu się mnie boisz. Chyba nie chodzi o czystość, prawda?

— Chwileczkę, wróć. Chcesz powiedzieć, że wiesz, iż nie jestem istotą ludzką?

— Tak. Widzę to i czuję. Widziałam już wcześniej istoty takie jak ty! Widziałam je wśród tłumów, w wielkich miastach, oczywiście tylko przez chwilę, przez mgnienie oka. Wiele widziałam. Nie powiem, że żal mi ciebie, bo to zabrzmiałoby głupio, ale też nie lękam się ciebie.

Jesteś związany z tą ziemią, prawda?

— Absolutnie — odparłem. — I mam nadzieję, że tak już pozostanie na zawsze. Posłuchaj, nie chciałem cię zaszokować tą informacją. Kochałem twego ojca.

— Naprawdę?

— Tak. I... on bardzo kochał ciebie. Są rzeczy, które chciał, abym ci przekazał. Ale przeciw wszystkim pragnął, abym cię strzegł.

— Nie wydajesz się do tego zdolny. Jesteś jak przerażony elf.

Spójrz na siebie.

— Nie ciebie się obawiam, Doro! — powiedziałem ze zniecierpliwieniem. — Nie wiem, co się dzieje. Jestem przywiązany do tej ziemi to fakt. I... to ja zabiłem twego ojca. Ja mu to zrobiłem. Potem rozmawialiśmy. Powiedział mi: „Czuwaj nad Dorą”. Przyszedł do mnie i polecił, abym się tobą opiekował. Tak to jest. Nie boję się ciebie. Chodzi raczej o całą tę sytuację, nigdy dotąd nie byłem w podobnych okolicznościach, nie musiałem odpowiadać na tak trudne pytania.

— Rozumiem! — Wyglądała na oszołomioną. Jej blade oblicze błyszczało, jakby było zlane potem. Jej serce biło jak oszalałe. Pochyliła głowę. Nie potrafiłem wejrzeć do jej umysłu. Był dla mnie nieodgadniony. Ale przepelnił ją smutek, to nie ulegało wątpliwości, a po jej policzkach spływały łzy. Nie mogłem tego znieść.

— O Boże, równie dobrze mógłbym trafić do piekła — wymamrotałem. — Nie powinienem był go zabijać. Ja... zrobiłem to z najprostszych pobudek. Po prostu... nasze drogi się przecięły.

To była straszna pomyłka. Później on przyszedł do mnie, Doro, rozmawialiśmy kilka godzin, ja i jego duch. Opowiedział mi wszystko o tobie, relikwiach i Wynkenie.

— Wynkenie? — Spojrzała na mnie.

— Tak, o Wynkenie de Wilde, no wiesz, o tych dwunastu księgach. Zrozum, Doro, może udałoby się, gdybym dotknął twojej dłoni ot tak, dla dodania ci otuchy. Ale nie chcę, żebyś zaczęła krzyczeć.

— Dlaczego zabiłeś mego ojca? — spytała. Chodziło o coś więcej. Pytała w istocie: Czemu ktoś, kto mówi i zachowuje się tak jak ty, zrobił coś takiego?

— Pragnąłem jego krwi. Karmię się krwią innych. To dzięki temu żyję i zachowuję wieczną młodość. Wierzysz w anioły? To uwierz wampiry. Uwierz we mnie. Są na tym świecie gorsze rzeczy.

To kompletnie zbiło ją z tropu.

— Nosferatu — rzekłem łagodnie. — Verdilak. Wampir. Lamia. Ziemskie stwory. —

Wzruszyłem ramionami. Pokręciłem głową. Poczuję się całkiem bezradny. — Istnieją jeszcze inne gatunki. Ale Roger... Roger pokazał mi się później jako duch, aby pomówić o tobie.

Zaczęła dygotać i się rozplakała. Nie było w tym jednak szaleństwa czy hysterii. Oczy miała wilgotne od łez, twarz przepelnia) smutek.

— Doro, przysięgam, nie skrzywdziłbym cię za żadne skarby Nic ci nie zrobię.

— Mój ojciec naprawdę nie żyje? — spytała i całkiem się załamała, ukryła twarz w dłoniach, jej drobne ramiona zatrzęśły się od spazmatycznego szlochu. — Boże, pomóż mi, Boże! —

szepnęła. — Rogerze! — zawołała. — Rogerze! — Przeżegnała się, a potem usiadła, popłakując, bez lęku.

Czekałem. Jej łzy i smutek karmiły się sobą nawzajem. Wyglądała coraz bardziej żałośnie.

Wychyliła się do przodu i osunęła na podłogę. Wciąż się mnie nie bała. Zupełnie jakby mnie tam nie było.

Bardzo wolno podniosłem się z miejsca. Gdy tylko wyszedłem z kąta, stanąłem wyprostowany. Ominąłem ją, po czym bardzo delikatnie ująłem ją za ramiona.

Nie opierała się, płakała z opuszczoną nisko głową, przytłoczona smutkiem, jej dłonie poruszały się, ale chwyciły coś, czego tam nie było.

— Boże, Boże, Boże! — szlochała. — Boże... Rogerze!

Dźwignąłem ją. Tak jak podejrzewałem, była bardzo lekka, choć dla istoty tak silnej jak ja była to kwestia drugorzędna. Wyniosłem ją z poddasza. Osunęła się na moją pierś.

— Wiedziałam, wiedziałam, kiedy mnie pocałował — powiedziała przez łzy. — Wiedziałam, że już go nigdy nie ujrzę. Po prostu wiedziałam...

To było prawie niezrozumiałe. Wydawała się taka drobna i krucha, musiałem być bardzo ostrożny. Kiedy opadła jej głowa, twarz miała przepelnioną taką bezradnością i żalnością, że nawet diabeł na ten widok uroniłby łzę.

Podszedłem do drzwi jej pokoju. Opierała się o mnie, jak śnięta w moje ramiona szmaciana lalka, nie stawiając żadnego oporu. Z pokoju płynęło ciepło. Puknięciem otworzyłem drzwi.

Kiedyś musiała to być klasa szkolna albo może dormitorium, pokój był przestronny, umiejscowiony w narożnej części budynku z dużymi oknami po obu stronach, przez które wpadało do środka światło.

Dostrzegłem jej łóżko pod przeciwległą ścianą, stare, żelazne łóżko, dość proste, zapewne stanowiące własność klasztoru; niegdyś otaczała je moskitiera, ale teraz nie pozostał po niej żaden ślad. Z cienkich prętów obłaziła biała farba. Było tu mnóstwo książek, stojących rzędami na regałach, leżących w stosach, rozłożonych, z zakładkami na wybranych stronicach, opartych na prowizorycznych pulpitych, a także jej własne zbiory: obrazy, zdjęcia, figurki; być może rzeczy te otrzymała od Rogera, zanim poznała prawdę o jego działalności. Na drewnianych framugach drzwi i okien widniały wypisane elegancką kursywą czarnym tuszem słowa.

Ułożyłem ją na łóżku. Osunęła się z wdziękiem na miękki materac i poduszkę. Rzeczy tutaj były czyste w nowoczesny sposób, świeże i często prane.

Podąłem jej moją jedwabną chustkę. Przyjęła ją, ale przyjrząwszy się jej, powiedziała:

— Jest zbyt ładna.

— Nie, weź ją, proszę, i użyj. To nic takiego. Mam ich setki.

Przyglądała mi się w milczeniu, po czym zaczęła ocierać twarz. Jej serce zwolniło rytm, ale nadmiar emocji sprawił, że pachniała jeszcze intensywniej.

Jej okres. Krew zbierająca się na podpasce między udami. Myślałem o tym, bo mocno krwawiła, a ta woń wydawała mi się Podparcie kusząca. To mnie dręczyło, miałem chęć skosztować tej krwi. Co prawda nie jest to czysta krew, ale co posoka, to posoka, i nic dziwnego, że w takich okolicznościach jak wszystkie wampiry, poczułem nieprzepartą pokusę; pragnąłem zlizywać krew z sekretnych warg między jej udami, karmie się nią, jednocześnie nie czyniąc jej szkody. Zważywszy na okoliczności, była to całkowicie irracjonalna, oburzająca i niemożliwa do zrealizowania pokusa.

Zapadła długa cisza.

Siedziałem w bezruchu na prostym krześle z wysokim oparciem. Wiedziałem, że jest tuż obok: siedziała ze skrzyżowanymi nogami, sięgnęła po pudełko chusteczek higienicznych, by wysiąkać nos i wytrzeć oczy. Wciąż ścisnęła w rękę moją jedwabną chustkę. Moja obecność mocno ją ekscytowała, ale wciąż nie czuła lęku, a przytłaczający smutek sprawiał, że nie dopuszczała do siebie potwierdzenia rozlicznych wierzeń, że na wyciągnięcie ręki siedzi istota, która wygląda jak człowiek, ale nim nie jest. Nie potrafiła się teraz na tym skupić. Nie zaprzętała tym sobie głowy, ale też nie potrafiła tego w sobie stłumić. Była naprawdę odważna i nieustraszona. Nie była głupia. Pokonała granice strachu i znajdowała się w miejscu, do którego tchórze nie mają wstępu.

Głupcy mogliby uznać ją za fatalistkę. Jednak nie była nią. Dysponowała umiejętnością antycypacji, dzięki czemu stłumiła w sobie panikę. Niektórzy śmiertelnicy doświadczają takiego stanu tuż przed śmiercią, kiedy kurtyna opada i pozostaje się już tylko pożegnać. Patrzyła na wszystko z tej fatalnej, tragicznej, nieomyłnej perspektywy.

Wlepiłem wzrok w podłogę. Nie, nie zakocham się w niej.

Żółte, sosnowe deski zostały wygładzone papierem ściernym, polakierowane i wywoskowane.

Miały barwę bursztynu. Były naprawdę piękne. Może któregoś dnia będzie tak wyglądać cały ten „pałac”. Piękna i Bestia. Jak na bestię, przyznam nieskromnie, wyglądam naprawdę olśniewająco.

Nienawidziłem siebie za to, że tak dobrze się bawiłem w tak trudnym dla niej momencie, że w tej chwili miałem ochotę porwać ją do tańca. Chciałem tańczyć z nią w tych cudnych korytarzach. Pomyślałem o Rogerze, i to w jednej chwili sprowadziło mnie z potem na ziemię. Przecież gdzieś tu był Zwyczajny Mężczyzna, ten potwór, który wciąż na mnie czekał!

Spojrzałem na jej biurko, dwa telefony, komputer, jeszcze jeden stos książek, a gdzieś w rogu nieduży telewizor, ot, tak — do zer — kania, z ekranem nie większym niż cztery czy pięć cali, i czarnym, kręconym kablem, który łączył go z całym światem.

Błyskającego sprzętu elektronicznego było tu więcej. To nie była cela mniszki. Słowa wypisane na framugach układały się w zdania w rodzaju: „Tajemnica przeczy teologii”, „Dziwny niepokój” i najciekawsze „Słucham, dziecię nocy”.

Tak, pomyślałem, tajemnica faktycznie przeczy teologii, co próbował mi uświadomić Roger, ona jednak nie rozumiała tego właściwie, w niej bowiem mieszały się tajemnica i teologia, a ani jedno, ani drugie nie mogło należycie funkcjonować bez odpowiedniego żaru lub magii. On wciąż mówił o swojej córce jako o teologu. A zebrane przez niego relikwie otaczała aura tajemnicy.

I były tajemnicą.

Znów powróciło do mnie mgliste wspomnienie z dzieciństwa, kiedy w naszym kościele w Owernii ujrzałem krucyfiks i przeżyłem szok na widok namalowanej krwi ściekającej z ran po gwoździach. Musiałem być bardzo mały. Kiedy skończyłem piętnaście lat, chędożyłem na tyłach tego kościoła wiejskie dziewczuchy — jak na owe czasy zachowywałem się jak cudowne dziecko, ale syn pana musiał zasłużyć sobie na opinię prawdziwego ogiera. Wszyscy tego oczekiwali. Moi bracia, obdarzeni dość konserwatywną naturą, byli dla miejscowych prawdziwym rozczarowaniem, ponieważ zawsze zachowywali się nienagannie. To cud, że wskutek ich cnot i powściągliwości nie zaczęły nas nękać klęski nieurodzaju. Uśmiechnąłem się.

Ja nadrabiałem za nich, i to z nawiązką. Kiedy ujrzałem tamten krucyfiks, miałem sześć, może siedem lat. I powiedziałem: „Cóż za okropny sposób, aby umrzeć!” Wyrzuciłem to z siebie, a moja matka zaczęła się śmiać. Ojciec potraktował moje zachowanie jako osobiste upokorzenie!

Ruch na Napoleon Avenue był niewielki, przewidywalny, odgłosy kojące i delikatne. To znaczy kojące dla mnie.

Usłyszałem westchnienie Dory. I poczułem jej dłoń na moim ramieniu, dotyk delikatny i silny zarazem, palce wpiły się w zbroje mego ubioru, poszukując ukrytego pod nim ciała. Poczułem jej palce muskające moją twarz.

Z jakiegoś powodu, gdy śmiertelnicy chcą być kogoś pewni zaciskają palce i przesuwają kłykciami po jego twarzy. Czy to ma być sposób na dotknięcie kogoś tak, żeby samemu nie być dotykanym? Dotyk wnętrza dłoni i opuszek palców wydaje się chyba nazbyt intymny.

Nie poruszyłem się. Pozwoliłem jej to zrobić, jakbym wyświadczał przysługę niewidomej.

Poczułem, że dotknęła palcami moich włosów. Wiedziałem, że światło jest dostatecznie silne, aby wydawały się ogniste i piękne, tak jak sobie tego życzyłem w niezmierzonej pysze aroganckiej, butnej, egoistycznej istoty, którą przecież byłem.

Znów się przeżegnała. Wciąż nie odczuwała lęku. Chyba chciała w ten sposób coś potwierdzić. Choć nie miałem pojęcia, o co jej może chodzić.

Modliła się bezgłośnie.

— Ja też mogę to zrobić — powiedziałem. I zrobiłem. — W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Amen. — Powtórzyłem to raz jeszcze po łacinie.

Spojrzała na mnie ze zdumieniem, po czym cicho zachichotała.

Uśmiechnąłem się. To łóżko i krzesło, gdzie siedzieliśmy tak blisko siebie, stały w kącie pokoju. Jedno okno znajdowało się ponad jej ramieniem, drugie za moimi plecami. Okno, okno, to był pałac okien. Ciemne drewno sklepienia widniało jakieś piętnaście stóp nad nami.

Napawałem się skalą tej budowli. Dość powiedzieć, że wyglądała na europejską i czułem się w niej swojsko. Nie była ograniczona współczesnymi standardami.

— Wiesz — powiedziałem — kiedy po raz pierwszy wszedłem do katedry Notre Dame, po tym jak zostałem przemieniony, to znaczy gdy stałem się wampirem... a dodam tylko, że nie był

to mój pomysł, byłem bardzo ludzki, młodszy niż ty teraz, to wszystko czyniono mi siłą, pod przymusem... nie pamiętam dokładnie, czy się modliłem, kiedy to mnie spotkało, ale na pewno walczyłem, to akurat pamiętam doskonale i nawet to kiedyś opisałem. Ale... jak już mówiłem, gdy po raz pierwszy wszedłem wtedy do katedry Notre Dame, pomyślałem: Czemu Bóg nie uśmierci mnie na miejscu?

— Musisz mieć swoje miejsce w wielkim planie wszechrzeczy.

— Tak uważasz? Naprawdę w to wierzysz? — Tak. Nigdy nie sądziłam, że spotkam się twarzą w twarz z kimś takim jak ty, ale nie wydawało się to niemożliwe ani nawet nieprawdopodobne. Tyle lat czekałam na jakiś znak, na jawne potwierdzenie. Mogłam dożyć moich dni, nie doczekawszy się go, ale zawsze miałam wrażenie... że coś nastąpi... że znak będzie mi dany. — Głos miała cichy, kobiecy, ale mówiła z niezłomną pewnością siebie i jej słowa brzmiały mocniej i bardziej władczo, jak słowa płynące z ust mężczyzny. — I nagle zjawiasz się ty z wiadomością, że zabiłeś mojego ojca. W dodatku twierdzisz, że z tobą rozmawiał. Nie, nie zamierzam tego negocjować, wręcz przeciwnie. Twoje słowa brzmią przekonująco. Mówisz takim kusząco staroświeckim językiem, pełnym

ozdobników, to doprawdy ujmujące. Wiesz, kiedy byłam mała, uwierzyłam w Biblię przede wszystkim ze względu na te jej ozdobniki. W życiu kierowałam się innymi wzorcami. Zdradzę ci sekret.

Któregoś razu życzyłam matce śmierci i czy wiesz, że tego samego dnia, w ciągu godziny, ta kobieta na zawsze znikła z mego życia? To nie wszystko. Musisz zrozumieć, że pragnę uczyć się od ciebie. Wszedłeś do katedry Notre Dame, a Bóg cię nie uśmiercił.

— Powiem ci coś zabawnego — odezwałem się. — To było dwieście lat temu. Paryż przed rewolucją. Było tam wtedy wiele wampirów, na ogromnym cmentarzu Les Innocents. Od dawna już go nie ma, ale one żyły w katakumbach i bały się wejść do Notce Dame. Kiedy zobaczyły, co zamierzam zrobić, też były pewne że Bóg mnie unicestwi.

Spojrzała na mnie ze spokojem.

— Zabiłem w nich wiarę — odparłem — wiarę w Boga i szatana. A to były przecież wampiry.

Istoty przypisane do ziemi jak ja, pół demony, pół ludzie, głupie, błędzące istoty, które były przekonane że Bóg je zniszczy.

— Zanim się pojawiłeś, naprawdę w to wierzyły?

— Tak, stworzyły w związku z tym własną religię — odparłem. — Uważały się za sługi szatana. To miało być dla nich wyróżnieniem. Żyły jako wampiry, ale w okropnych warunkach i cierpiąc przy tym potworne katusze. Ja byłem, można by rzec księciem. Przemaszerowałem dziarsko przez Paryż, w czerwonej pelerynie, podbitej wilczymi skórami. Ale ta peleryna to było całe moje ludzkie życie. Czy wyobrażasz sobie, że wampiry mogłyby mi wierzyć? Obróciłem cały ich świat w perzynę. Chyba nigdy mi tego nie wybaczyły, to znaczy te nieliczne, które przeżyły. Nawiasem mówiąc, nie zostało nas wiele.

— Przerwij na chwilę — powiedziała. — Chcę cię słuchać dalej, ale muszę najpierw o coś zapytać.

— Tak?

— Mój ojciec, jak to się stało, czy szybko i...

— Absolutnie bezboleśnie, zapewniam — rzuciłem, odwracając się do niej. — Sam mi to powiedział. Nie bolało go. Ani trochę.

Była blada jak ściana, oczy miała ciemne i rozszerzone, szczerze mówiąc, w tej chwili sama wyglądała przerażająco. To znaczy mogłaby swoim widokiem, tą niezwykłą intensywnością wystraszyć chyba każdego śmiertelnika.

— Twój ojciec umarł w ekstazie — ciągnąłem. — Nie wiedział, co się z nim dzieje, doświadczał wtedy rozmaitych wizji, a pod sam koniec stracił przytomność. Jego dusza opuściła ciało, zanim serce przestało bić. Nie czuł bólu fizycznego, który mu zadawałem, kiedy wysysałem mu krew, kiedy... nie, w ogóle nie cierpiał.

Odwrociłem się i spojrzałem wprost na nią. Podkuliła nogi pod siebie, spod rąbka spódnicy wyzierały jej gołe białe kolana.

— Później rozmawiałem z Rogerem przez dwie godziny — ciągnąłem — Dwie godziny.

Wrócił z jednego, konkretnego powodu: by dopilnować, że będę nad tobą czuwał. Że nie wpadniesz w łapy jego wrogów ani w ręce agentów rządowych czy ludzi, z którymi był w jakiś sposób powiązany. I by upewnić się, że jego śmierć nie... dotknie cię bardziej niż to konieczne.

— Czemu Bóg miałby to uczynić? — wyszeptała.

— Co Bóg ma z tym wspólnego? Posłuchaj, kochanie, nie wiem nic o Bogu. Już ci mówiłem.

Wszedłem do Notre Dame i nic się nie wydarzyło, ani wtedy, ani później...

W tym przypadku skłamałem, czyż nie? Co z Nim? Z tym, który przybył pod postacią Zwyczajnego Mężczyzny, aroganckim draniem, który wszedł stąd, ostentacyjnie trzaskając drzwiami?

— Jak może to być częścią Bożego planu? — spytała.

— Mówisz całkiem serio, prawda? Posłuchaj, mogę ci opowiedzieć mnóstwo różnych historii.

Ta o wampirach z Paryża, wierzących w szatana, to dopiero początek! Dajmy na to... —

Przerwałem.

— O co chodzi?

Ten dźwięk. Te powolne, miarowe kroki! Ledwie o nim pomyślałem, obraźliwie i gniewnie, a znów usłyszałem te kroki.

— Ja... chciałem powiedzieć...

Próbowałem go zignorować. Kroki zbliżały się. Były słabe, ale bez wątpienia należały do stąpającej ciężko, skrzydlatej istoty, czułem, jakby echo jej stąpania rozbrzmiewało w komnacie, w której istniałem równolegle do miejsca, gdzie znajdowałem się obecnie.

— Doro, muszę cię już opuścić.

— Co się stało?

Kroki zbliżały się.

— Jak śmiesz przychodzić do mnie, gdy jestem teraz z nią? —zawołałem. Poderwałem się na nogi.

— Co się stało? — krzyknęła. Klęczała na łóżku.

Zacząłem się cofać w stronę wyjścia. Dotarłem do drzwi, kroki zaczęły cichnąć.

— Bądź przeklęty — wyszeptalem. — Niech cię piekło pochopnie!

— Powiedz mi, co się stało! — zawołała. — Czy jeszcze wrócisz? A może odejdziesz na zawsze?

— Nie. Na pewno nie. Jestem tu, aby ci pomóc. Posłuchaj Doro, gdybyś mnie potrzebowała, po prostu mnie wezwij. — Przyłożyłem palec do skroni. — Wzywaj mnie aż do skutku. Tak jakbyś odmawiała modlitwę. To nie będzie bałwochwalstwo. Nie jestem złym bóstwem. Muszę już iść.

— Jak się nazywasz?

Kroki powróciły, odległe, ale głośne, rozbrzmiewały gdzieś wewnątrz tej budowli i koncentrowały się na mnie. Ściagały mnie.

— Lestat — oznajmiłem ze spokojem, aby dobrze to zapamiętała — Lestat, z akcentem na drugą sylabę i wyraźnym „t” na końcu. Posłuchaj. Nikt nie wie o twoim ojcu. I jeszcze przez jakiś nikt się nie dowie. Zrobiłem wszystko, o co mnie prosił. Mam jego Skarby.

— Księgi Wynkena?

— Wszystko, co było mu drogie, co tak bardzo kochał... Zgromadził dla ciebie fortunę i pragnął, aby cały ten majątek trafił w twoje ręce. Muszę już iść.

Czy kroki zaczęły cichnąć? Nie byłem pewien. Nie mogłem wszakże ryzykować. Nie mogłem zostać tu ani chwili dłużej.

— Wrócę najszybciej, jak będę mógł. Wierzysz w Boga? Trzymaj się tego, Doro, bo kto wie, może jeżeli chodzi o Boga, masz rację, całkowitą rację!

Opuściłem to miejsce jak cząsteczki światła; wbiegłem po schodach na poddasze; prześliznąłem się przez wybite okno i dostałem na dach powyżej. Poruszałem się dostatecznie szybko, by nie słyszeć tych złowieszczych kroków, a całe miasto rozciągające się w dole zmieniło się w rozmytą, wirującą w obłędnym pędzie feerię olśniewających świateł.

7

W chwilę później byłem już w dzielnicy francuskiej. Stałem na dziedzińcu za domem na rue Royale, wpatrując się w oświetlone okna mego mieszkania, mieszkania, które od tak dawna było moje, i choć modliłem się w duchu, z nadzieją, że zastanę tam Davida, coś mi mówiło, że go tam nie ma.

Miałem już dość uciekania przed tą istotą! Musiałem przystanąć na moment i ochłonać. Niech gorejący we mnie gniew wygaśnie. Dlaczego uciekłem? Aby nie zostać upokorzonym na oczach Dory, która nie widziałaby tego czegoś, a jedynie mnie, powalonego na podłogę! A może jednak Dora zobaczyłaby to coś?!

Instynkt podpowiadał mi, że postąpiłem słusznie, rejterując i trzymając tę istotę z dala od Dory. Ten stwór ściagał mnie. Musiałem strzec Dory. Teraz miałem ważki powód, aby stawić czoło tej istocie, i bynajmniej nie chodziło tylko o mnie.

Tylko że dopiero teraz zacząłem ogarniać ogrom dobra kryjący się w sercu Dory, poznawałem ją w pełni, gdy nie czułem kuszącego aromatu krwi miesięcznej i nie widziałem jej oczu, którymi świdrowała mnie na wskroś. Śmiertelnicy brną przez życie od kolebki aż po grób. Raz na sto, może dwieście lat masz okazję napotkać na swojej drodze kogoś takiego jak Dora. Osobę 0

niepośledniej inteligencji, silnym poczuciu dobra, obdarzoną czymś, o czym próbował powiedzieć mi Roger: magnetyzmem, który uwalnia się dzięki wierze.

Noc była ciepła i przyjemna. Tej zimy mróz nie zmroził palm bananowych rosnących na moim dziedzińcu i drzewa wyrosły strzeliste, niemal tworząc ścianę zieleni. Dzikie niecierpki i werbeny lśniły na zarośniętych klombach, a fontanna grała krystaliczną muzykę, gdy woda wypływała z rogu cherubina do zbiorniku

Nowy Orlean, zapachy dzielnicy francuskiej.

Wbiegłem po schodach do tylnych drzwi mego domu. Wszedłem do środka, przebiegłem przez korytarz; byłem wyraźnie zdezorientowany i oszołomiony. Ujrzałem cień przesuwany się w salonie.

— Davidzie!

— Nie ma go tu.

Przystanąłem jak wryty w drzwiach.

To był Zwyczajny Mężczyzna. Stał odwrócony plecami do biurka Louisa wciśniętego między dwa frontowe okna, ramiona zaplótł luźno, twarz przepelniona była cierpliwością, inteligencją i niezmaconą powagą.

— Nie uciekaj — rzekł bez cienia złości. — I tak będę cię ścigał. Prosiłem, abys nie mieszał w to tej dziewczyny. Prosiłem, prawda? Chciałem dotrzeć do ciebie jak najszybciej, żeby tego nie przeciągać.

— Nigdy przed tobą nie uciekałem! — wycedziłem bez większego przekonania, ale postanowiłem, że od tej chwili faktycznie tak będzie. — To znaczy nie do końca. Nie chciałem, abys zbliżał się do Dory. Czego chcesz?

— Jak sądzisz?

— Już mówiłem — odparłem, zbierając w sobie siły — jeżeli przyszedłeś po mnie, to proszę, jestem gotów pójść z tobą do piekła.

— Cały jesteś zlany krwawym potem — powiedział. — Spójrz na siebie, jesteś przerażony.

Wiesz, ale to konieczne, muszę być taki, by dotrzeć do kogoś takiego jak ty. — Głos miał

spokojny, zrównoważony, słyszałem go dobrze. — A gdyby chodziło o śmiertelnika? — zapytał.

— Mógłbym po prostu pokazać mu się raz i powiedzieć, co mam do powiedzenia. Ale w twoim przypadku nic z tego, to całkiem inna sprawa, zbyt wiele położono na szali i dlatego obecnie jesteś dla mnie absolutnie bezcenny.

Zbyt dużo położono na szali? Chcesz powiedzieć, że mogę wykpić? Że nie pójdziemy do piekła? Że odbędzie się proces? Mogę znaleźć sobie adwokata, aby mnie reprezentował? — W

moich słowach pobrzmiwała drwina i zniecierpliwienie, ale na to logiczne skądinąd pytanie pragnąłem jak najszybciej poznać sensowną odpowiedź.

— Lestacie — powiedział z typową dla siebie wyrozumiałością, rozkładając ręce i leniwie postępując w moją stronę — wszystko sprowadza się do Davida i wizji, jakiej doświadczył w tamtej ryskiej kafejce. Do tej opowiadki, którą cię uraczył. Jestem d i a b ł e m . I potrzebuję cię.

Nie przybyłem tu, by siłą zabierać cię do piekła, a zresztą i tak nie masz o nim zielonego pojęcia.

Piekło nie jest takie, jak je sobie wyobrażasz. Zjawiłem się tu, by prosić cię o pomoc. Jestem już zmęczony i potrzebuję cię. Jestem bliski zwycięstwa w bitwie, którą toczę, i nie mogę sobie pozwolić na przegraną. To dla mnie podstawowa sprawa.

Byłem kompletnie otepiały.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, po czym rozmyślnie zaczął się zmieniać; jego postać rozrastała się, ciemniała, skrzydła znów uniosły się w górę niczym dwa bijące pod sufit słupy dymu, rozległ się ogłuszający gwar głosów, a za nim pojawiła się mocna poświata. Ujrzałem włochate koźle nogi zbliżające się do mnie. Moje stopy nie odnalazły podłoża, na którym mogłyby się oprzeć, moje dłonie nie mogły dotknąć nic innego prócz niego. Krzyknąłem przeraźliwie. Ujrzałem błysk czarnych piór i łuki skrzydeł unoszących się coraz wyżej! Hałas był

teraz mieszaniną niezrozumiałych głosów — ogłuszającej muzyki!

— Nie, nie tym razem, nie! — Rzuciłem się na niego.

Wyciągnąłem ręce, ujrzałem, jak moje palce zaciskają się wokół Jego czarnego jak smoła przegubu. Spojrzałem na jego ogromne oblicze, twarz granitowego posągu, tyle że w pełni ożywionego przeraźliwie imponującego, upiorna kakofonia śpiewów, rozmów i skowytów przybrała na sile, mój głos utonął w nich bez reszty. Ujrzałem, jak jego usta otwierają się, wielkie brwi marszczą, a ogromne, niewinne oczy w kształcie migdałów rozszerzają się i wypełniają światłem.

Lewą ręką wciąż trzymałem go za ramię, przekonany, że próbuje mi się wyrwać, ale nie mógł.

Aha! Nie mógł! I w tej samej chwili prawą pięścią wymierzyłem mu cios w twarz. Poczułem twardość, nadnaturalną twardość, jakbym trafił na istotę z mego własnego gatunku. Nie było to jednak twarde, wampirze ciało.

Zamrugał, choć ciało miał sztywne, nastawione na obronę — obraz cofnął się, odpłynął, przeistoczył i znów zaczął się rozrastać Z całej siły pchnąłem go w pierś, rozcapierzając palce na czarnym

pancerzu, roziskrzonym, ozdobnym napierśniku. Na chwilę tak się do niego zbliżyłem, że dostrzegłem zdobiące ów pancerz ornamenty, znaki na metalu, i nagle skrzydła zatrzepotały nade mną, jakby ten gest mógł mnie zastraszyć.

Niespodziewanie oddalił się ode mnie, wciąż był wielki, wręcz gigantyczny, ale co tu kryć, odepchnąłem go od siebie i to na całkiem sporą odległość. To był czysty, mocny cios. Zanim zdołałem się pohamować, wydałem przeciągły okrzyk bojowy i pofrunąłem ku niemu, choć nie potrafię powiedzieć, z jakiej podstawy się wybiłem i skąd wzięła się we mnie aż taka siła.

Czarne, smukłe, lśniące pióra zawirowały i nagle zacząłem spadać; nie krzyknę, nic z tego, mowy nie ma, nawet nie pisnę. I nie pisałem. Po prostu runąłem w dół.

Spadałem jak kamień. W bezdenną, zdawałoby się, otchłań. Pustkę tak doskonałą, że nie sposób jej sobie wyobrazić, a co dopiero pojąć. Spadałem szybko.

Tylko światło pozostało. Światło przyćmiewało wszystko, co widoczne, i nagle wydało mi się tak piękne, że straciłem poczucie własnej cielesności, nie czułem rąk, nóg, żadnego fragmentu mego ciała, nic, z czego byłem zbudowany. Nie miałem kształtu ani ciężaru. Impet mego opadania wciąż jednak narastał, jakby siła ciężenia pozostała, by sprowadzić na mnie ostateczną zagładę. Głosy przybrały na sile.

— One śpiewają! — krzyknąłem.

Nagle znieruchomiałem. Poczulem pod sobą podłogę. Szorstką strukturę dywanu. Woń kurzu, wosku, mego domu. Wiedziałem, że znajdujemy się w tym samym pokoju.

Przystawił fotel Louisa do biurka, a ja leżałem na wznak, wpatrując się w sufit, moja klatka piersiowa pękała z bólu.

Usiadłem, skrzyżowałem nogi i spojrzałem na niego zuchwale. Wyglądał na zakłopotanego.

— Tak, to całkiem sensowne — powiedział.

— To znaczy?

— Jesteś tak silny, jakbyś był jednym z nas.

— Nie sędzę — rzuciłem wściekle. — Nie umiem wykreować skrzydeł, nie umiem wywoływać muzyki.

— Owszem, umiesz, wielokrotnie na użytek śmiertelników produkowałeś rozmaite wizje i obrazy. Oczarowywałeś ich. Wykorzystywałeś moc rzucanych uroków. Jesteś równie silny jak my. Osiągnąłeś nader interesujący etap rozwoju. Od początku wiedziałem, że się nie mylę co do ciebie. Budzisz we mnie trwogę.

— Czym? Moją niezależnością? Posłuchaj, pozwól, że coś ci powiem, szatanie, czy kimkolwiek jesteś.

— Nie wymawiaj tego miana, nie cierpię go.

— I właśnie dlatego postaram się powtarzać je jak najczęściej.

— Nazywam się Memnoch — rzekł ze spokojem, wykonując przy tym lekki, błagalny gest.

— Memnoch Diabeł. Zapamiętaj to dobrze.

— Memnoch Diabeł.

— Tak. — Pokiwał głową. — Tak się podpisuję, gdy jest to konieczne.

— Cóż, pozwól więc, że powiem ci otwarcie, wasza wysokość, księżę ciemności. W niczym ci nie pomogę! Nie jestem twoim sługą!

— Myślę, że zdołam przekonać cię do zmiany zdania — rzekł ze spokojem. — Śmiem twierdzić, że patrząc z mojego punktu widzenia, bez trudu wszystko zrozumiesz.

Poczułem nagłą słabość, wszechogarniające wyczerpanie i skrajną rozpacz. Typowe.

Położyłem się na brzuchu, opierając głowę na przedramieniu, i zacząłem szlochać jak dziecko.

Konałem z wyczerpani. Byłem zmęczony, w fatalnym nastroju i uwielbiałem płakać. Nie mogłem zdobyć się na nic innego. Poddałem się temu w pełni. Doznałem nieprzeparłej ulgi znanej jedynie tym, którzy poznali co to skrajna rozpacz. Było mi obojętne, kto może mnie zobaczyć lub usłyszeć.

Wiesz, co myślę o płaczu? Sądzę, że niektórzy muszą się tego nauczyć. Ale gdy już się nauczą, gdy zrozumieją, co znaczy prawdziwy szloch, nie da się tego z niczym porównać. Żal mi tych którzy tego nie potrafią. To jak śpiew albo gwizdanie.

Tak czy owak, zbyt kiepsko się czułem, by ta odrobina dobrego samopoczucia okupionego dreszczami i strużkami słonych, krwawych łez mogła cokolwiek zmienić.

Powróciłem myślami do przeszłości, do tamtego dnia przed laty, kiedy wszedłem do katedry Notre Dame, a te diabelskie wampiry, samozwańcze sługi szatana, czekały na mnie w ukryciu; myślałem o moim śmiertelnym ja, o Dorze, o Armandzie z owych czasów — nieśmiertelnym wyglądającym jak chłopiec, o tym przywódcy wybrańców szatana, żyjących pod starym cmentarzem — który obwołał się mrocznym świętym i raz po raz wysyłał swoich krwiopijców

— obszarpańców, by dręczyli śmiertelników, niosąc śmierć, budząc grozę i rozprzestrzeniając ją jak zarazę. Szlochałem, a moim ciałem wstrząsały silne dreszcze.

— To nieprawda — powiedziałem chyba. — Nie ma Boga ani szatana. To nieprawda.

Nic nie powiedział. Podniosłem się powoli i usiadłem. Otarłem twarz rękawem. Nie miałem chustki. Oczywiście. Oddałem ją Dorze. Moje ubranie roztaczało słaby zapach Dory, zwłaszcza na piersi, gdzie nasze ciała stykały się, kiedy ją niosłem. Krwawa słodycz. Dora. Nie powinienem był

zostawiać jej w takim stan Boże drogi, przecież miałem nad nią czuwać! Niech to szlag!

Spojrzałem na niego. Wciąż tam siedział, przerzuciwszy ramię przez oparcie fotela Louisa, i po prostu na mnie patrzył. Westchnąłem.

— Nie zostawisz mnie w spokoju, prawda?

To zbiło go z pantałyku. Zaśmiał się. Na jego obliczu zamiast obojętności malował się przyjazny grymas.

— Nie, oczywiście, że nie — powiedział cicho, aby mnie nie deprymować — Lestacie, od stuleci czekałem na kogoś takiego jak ty. Obserwowałem cię od stuleci. Nie, obawiam się, że nie mogę cię zostawić w spokoju. Nie chcę jednak, żebyś dostawał przeze mnie spazmów. Co mogę uczynić, aby cię uspokoić? Jakiś drobny cud dar, cokolwiek, abyśmy mogli kontynuować?

— Co to znaczy „kontynuować”?

— Opowiem ci wszystko — rzekł z lekkim wzniesieniem ramion, rozkładając szeroko ręce — a wówczas zrozumiesz, dlaczego muszę zwyciężyć.

— Sugerujesz... że mogę odmówić współpracy, zgadza się?

— Jak najbardziej. Każdy, kto chce mi pomóc, musi to uczynić z własnej woli. A ja jestem zmęczony. Zmęczony tą robotą. Potrzebuję pomocy. David usłyszał to wyraźnie, kiedy doświadczył tej przypadkowej epifanii.

— Czy naprawdę była dziełem przypadku? A co z tym drugim słowem? Jak ono brzmiało... nie pamiętam. David wcale nie miał ujrzeć ani usłyszeć ciebie rozmawiającego z Bogiem?

— Prawie nie sposób tego wytłumaczyć.

— Czy zniweczyłem jakiś wasz plan, przemieniając Davida, czyniąc go jednym z nas?

— I tak, i nie. Chodzi o to, że David dobrze zapamiętał to, co usłyszał! Zmęczyła mnie ta praca, mam jej dość! Co do reszty teorii Davida na temat tej wizji... Cóż... — Pokręcił głową. —

Jedno jest pewne, chodzi mi wyłącznie o ciebie i najistotniejsze jest, byś wszystko dokładnie obejrzał, nim podejmiesz ostateczną decyzję.

— Jestem aż tak zły? — wyszeptałem. Moje usta drżały. Znow zacząłem szlochać. — Na tym świecie, gdzie ludzie ludziom uczynili tak wiele zła, tak wiele niewytłumaczalnych okropieństw, gdzie każdego dnia cierpi tyle dręczonych kobiet i dzieci, ja mam być najgorszym potworem!

Właśnie o mnie ci chodzi. David jest pewnie dla ciebie za dobry. Nie stał się ucieleśnieniem zła, na co zapewne skrycie liczyłeś. Mam rację?

— Nie, oczywiście, nie jesteś taki zły — powiedział uspokajającym tonem. — I o to chodzi.

— Znów cicho westchnął.

Zacząłem dostrzegać wyrazistsze szczegóły jego wyglądu ale nie dlatego, że stawał się wyraźniejszy, jak duch Rogera, tylko dlatego, że stopniowo się uspokajałem. Włosy miał

ciemnoblond prawie popielate, miękkie, kręcone. Brwi w tym samym odcieniu bynajmniej nie czarne, uniesione w grymasie nie zdradzającym próżności ani arogancji. Głupawo też nie wyglądał, ma się rozumieć. Miał na sobie dość przeciętny strój. Nie wierzyłem, żęto w ogóle jest ubiór. Wyglądał na zrobiony z materiału, ale surdut był zbyt prosty i bez guzików, a biała kamizela całkiem zwyczajna.

— Wiesz — powiedział — zawsze miałeś sumienie! I o to mi właśnie chodzi, rozumiesz?

Sumienie, powód, cel, oddanie. Nie mógłbym cię przeoczyć. Powiem ci coś jeszcze. Odniosłem wrażenie, jakbyś mnie wzywał.

— Nigdy.

— Daj spokój, pomyśl o tych wszystkich wyzwaniach, które rzuciłeś diabłu.

— To była poezja albo zwykłe rymowanki, w zależności od punktu widzenia.

— Niezupełnie. Pomyśl o wszystkim, co zrobiłeś, o swoich dokonaniach, o przebudzeniu Akaszy i o tym, jak niewiele brakowało, aby zwróciła się przeciw ludzkości. — Zaśmiał się cierpko. — Jakby na tym świecie było mało potworów. A potem przygoda ze Złodziejem Ciał.

Odzyskałeś ludzkie ciało, dano tę szansę, ale odrzuciłeś ją, by stać się tym, kim byłeś wczesno. Wiesz, że twoja przyjaciółka, Gretchen, jest w dżungli uważa za świętą, prawda?

— Tak. Wiem. Widziałem artykuły w prasie.

Gretchen, moja zakonnica, moja ukochana w tym krótkim czasie, gdy znów byłem śmiertelnikiem. Nie wypowiedziała ani słowa, odkąd tamtej nocy uciekła przede mną do kaplicy w misji i padła na kolana przed krzyżem. Modliła się dzień i noc w tej małej wiosce w dżungli, praktycznie nie jedząc ani nie pijąc, a w piątki ludzie wędrowali całymi kilometrami przez dżunglę, przybywali nawet Caracas i Buenos Aires tylko po to, by ujrzeć krew sączącą się ran na jej dłoniach i stopach. Taki był koniec Gretchen. Nagle coś sobie uświadomiłem: może Gretchen naprawdę zjednoczyła się z Chrystusem.

— Nie, nie wierzę w to — wycedziłem lodowatym tonem. — Gretchen postradała rozum.

Wpadła w histerię, i to przeze mnie. Tak oto świat zyskał jeszcze jedną mistyczkę, która ma identyczne rany jak Chrystus.

— Nie zamierzam cię osądzać za to, co się stało — powiedział. — Jeśli tylko wrócimy do tego, o

czym mówiłem. A mówiłem o tym, że praktycznie sam zapraszałeś, abym do ciebie przyszedł. Nie uznawałeś żadnych autorytetów, podejmowałeś każde ryzyko. Dwukrotnie pogrzebałeś się żywcem, a raz próbowałaś wznieść się ku słońcu, by spłonąć w jego płomieniach.

Czy pozostało ci coś innego, niż mnie wezwać? Zupełnie jakbyś powiedział wprost: Memnochu, co jeszcze mogę uczynić?

— Mówiłeś o tym Bogu? — spytałem lodowato, nie dając się wciągnąć w dyskusję. Nie pozwolę, by wzięła nade mną górę ciekawość i ekscytacja.

— Tak, oczywiście — odparł.

Byłem tak zdumiony, że nic nie odpowiedziałem. Nie przychodziła mi do głowy żadna błyskotliwa riposta. W moich myślach Pojawiały się pewne teologiczne dylematy i podchwytliwe pytania rodzaju: Jak to, czyżby Bóg sam o tym nie wiedział? Tę granicę wszakże pozostawiliśmy już za sobą.

Musiałem się zastanowić, skupić się na tym, co przekazywały mi zmysły.

— Ty i Kartezjusz — powiedział. — Ty i Kant.

— Nie łącz mnie z innymi — odparłem. — Jestem wampir Lestat, jeden jedyny w swoim rodzaju.

— Co ty nie powiesz — mruknął.

— Ilu z nas, wampirów, znaczy się, jest teraz na świecie? Nie mam na myśli innych nieśmiertelnych, potworów, złych duchów ani wszelkich stworów tego typu, ale właśnie wampiry. Niespełna setka i żaden z nich nie może mi dorównać. Mnie. Lestatowi.

— W pełni się z tobą zgadzam. Chcę cię mieć. Chcę, żebyś został moim pomocnikiem.

— Nie przejmujesz się, że ani trochę cię nie szanuję, nie wierzę w ciebie ani się ciebie nie boję? Siedzimy w moim mieszkaniu a ja stroję sobie z ciebie żarty, zauważyłeś? Nie sądzę, aby szatan pozwolił mi na to. Ja bym do tego nie dopuścił. Widzisz, często porównywałem się z tobą.

Lucyferem, Synem Poranka. Mawiałem zwykle tym, co mnie spotkali, że jestem diabłem, albo że jeśli spotkam szatana, to się z nim policzę, raz na zawsze.

— Memnocha — poprawił. — Nie używaj imienia szatan, bardzo proszę. Nie używaj żadnego z nich: Lucyfer, Belzebub, Azazel, Samael, Marduk, Mefistofeles et cetera. Nazywam się Memnoch. Niebawem przekonasz się, że inne imiona są jedynie różnymi wariantami tego właściwego. Memnoch, tak się nazywałem i tak się nazywam. Od zawsze i na zawsze.

Zapamiętaj. Memnoch Diabeł. I nie szukaj tego imienia w żadnej księdze, bo go nie znajdziesz.

Nie odpowiedziałem. Mógł zmienić postać, ale musiał mieć w sobie niewidzialną esencję. Czy natknąłem się na tę niewidzialną esencję, gdy zdzierłem go w twarz? Nie wyczułem żadnych konturów, żadnych rysów, tylko siłę, która stawiała mi opór. Czy gdybym go teraz pochwycił, ta

ludzka powłoka wypełniłaby się niewidzialną esencją, aby stawić mi czoło z mocą dorównującą tej, którą dysponował anioł ciemności?

— Tak — powiedział. — Wyobraź sobie, jak miałbym próbować przekonać o tym wszystkim śmiertelników. Nie dlatego jednak wybrałem właśnie ciebie. Nie zdecydowałem się na ciebie, bo łatwiej jest ci przyswoić te trudne prawdy, lecz dlatego, że jesteś idealny do tej roboty.

— A polega ona na pomaganiu diabłu.

— Tak, na zostaniu moją prawą ręką, zastępowaniu mnie, gdy jestem zbyt zmęczony. Na byciu moim księciem.

— Jak mogłeś się tak pomylić? Bawią cię cierpienia, jakich doświadczam, dręczony wyrzutami sumienia? Sądzisz, że lubię być zły? Że myślę o złu, patrząc na coś tak pięknego jak oblicze Dory?

— Nie, wcale nie uważam, że lubisz zło — odparł. — Ja go nie lubię.

— Nie lubisz zła — powtórzyłem, lekko mrużąc powieki.

— Brzydę się nim. I jeśli mi nie pomożesz, jeżeli pozwolisz, aby Bóg dalej robił wszystko po swojemu, wiedz, że to zło — które tak naprawdę nic nie znaczy — unicestwi cały świat.

— Czy wolą Boga jest — spytałem — aby ten świat został zniszczony?

— Któż to wie? — wycedził chłodno. — Choć nie przypuszczam, aby Bóg zechciał kiwnąć palcem, by temu zapobiec. Nie próbuję tego wymóc. Nie chcę do tego doprowadzić. Moje rozwiązania są jednak tymi słusznymi, podczas gdy Boże są krwawe, zbędne i skrajnie niebezpieczne. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Musisz mi pomóc. Jak już wspomniałem, jestem bliski zwycięstwa. To stulecie dla nas wszystkich wydaje się nie do zniesienia.

— Chcesz mi powiedzieć, że nie jesteś zły...

— Właśnie. Pamiętasz, o co cię pytał David? Pytał, czy w mojej obecności wyczuwałeś zło, na co odpowiedziałeś przecząco.

— Diabeł jest mistrzem kłamstw.

— Moi wrogowie też od nich nie stronią. Ani Bóg, ani ja nie kłamiemy *per se*. Cóż, ani przez chwilę nie oczekiwałem, że przyjmiesz moje słowa na wiarę. Nie przybyłem tu, by przekonywać cię o Pewnych sprawach za pomocą słów. Zabiorę cię do piekła i do nieba, jeżeli zechcesz i jeśli On na to pozwoli. Nie Bóg Ojciec bezpośrednio, nie *En Sof*, ale... już wkrótce wszystko się wyjaśni. Tyle że to nie ma sensu, jeśli nie zechcesz z własnej woli ujrzeć prawdy, jeżeli sam z siebie nie zdecydujesz się zmienić życia, które wiesz, z miałkiego, bezcelowego w rozstrzygającą bitwę o losy świata.

Nie odpowiedziałem. Nie byłem pewien, co powinienem powiedzieć. Znajdowaliśmy się o wiele mil od tematu, który za początkował naszą rozmowę.

— Zobaczę niebo? — wyszeptałam, powoli chłonąc jego słowa. — Zobaczę piekło?

— Tak, oczywiście — odparł z niewzruszoną cierpliwością.

— Potrzebuję całej nocy, aby to przemyśleć.

— Co takiego?

— Powiedziałem, że potrzebuję całej nocy, aby się zastanowić.

— Nie wierzysz mi. Potrzebujesz znaku.

— Nie, jestem skłonny ci uwierzyć — odparłem. — I właśnie dlatego chcę to wszystko dokładnie przemyśleć. Muszę to rozważyć.

— Przybyłem tu, by odpowiedzieć na wszystkie pytania, aby pokazać ci wszystko już teraz.

— Wobec tego zostaw mnie samego na dwie noce. Dzisiejszą i jutrzejszą. Chyba nie żądam zbyt wiele, prawda? Chcę zostać sam.

Był wyraźnie rozczarowany, może nawet trochę podejrzliwy. Mówiłem jednak całkiem serio.

Powiedziałem to, co uważałem za słuszne. Zrobiłem to z pełną premedytacją. I wiedziałem, co mówię.

— Czy można cię oszukać? — zapytałem.

— Oczywiście — odparł. — Polegam na moich zdolnościach, podobnie jak ty na swoich.

Mam swoje ograniczenia. Podobnie jak ty swoje. Można cię oszukać. Podobnie jak mnie.

— A co z Bogiem?

— Ach — mruknął z odrazą. — Gdybyś tylko wiedział, jak nieadekwatne jest to pytanie. Nie wyobrażasz sobie, jak bar cię potrzebuję. Jestem taki zmęczony — rzekł nieco donośniejszym tonem. — Bóg jest... ponad to. Nie sposób Go oszukać, muszę to przyznać. Chciałeś dwóch nocy, dzisiejszej i jutrzejszej. Dobrze. Daję ci je. Nie będę cię niepokoił ani prześladował, jak to nazywasz. Czy jednak mogę zapytać, co zamierzasz?

— Po co? Albo dajesz mi te dwie noce, albo nie!

— Słyniesz z tego, że jesteś nieprzewidywalny — powiedział.

Uśmiechnął się szeroko. To było bardzo miłe. Uderzyło mnie nim coś jeszcze, coś oczywistego. Nie tylko jego proporcje były doskonałe, nie było w nim żadnych widocznych mankamentów; ot i cały Zwyczajny Mężczyzna.

Nie dał po sobie poznać, że wie, iż mu się przyglądam, ani nie przejął się moimi wnioskami, jeśli zdołał je wyczytać z mojego umysłu. Po prostu czekał na mnie spokojnie i cierpliwie. —

pora — rzekłem. — Muszę wrócić do Dory.

— Po co?

— Odmawiam dalszych wyjaśnień.

I znów moja odpowiedź go zdumiała.

— Czyż nie zamierzasz jej pomóc w związku z zamieszaniami wokół osoby jej ojca? Czemu nie miałbyś mi tego powiedzieć, przecież to takie proste. Chcę tylko zapytać, jak mocno pragniesz się w to zaangażować, jak wiele zamierzasz wyjawiać tej kobiecie. Myślę o materii wszechrzeczy, jak to określił David. Martwisz się, co będzie z tą kobietą, kiedy pójdziesz ze mną?

Milczałem.

— W porządku. — Westchnął. — Czekałem na kogoś takiego jak ty od stuleci. Cóż znaczą jeszcze dwie noce, nieprawdaż? Zresztą mówimy tak naprawdę tylko o jednej nocy, jutrzejszej, zgadza się? Zmierzchu następnego wieczoru przyjdę po ciebie.

— Dobrze.

Dam ci mały prezent, który pozwoli ci we mnie uwierzyć. Nie jest mi łatwo zniżyć się do twojego poziomu pojmowania. Jesteś pełen konfliktów i sprzeczności. Pozwól, że dam ci coś niezwykłego.

— Śmiało.

— Potraktuj to jako dar. Albo uznaj za znak. Zapytaj Dore o oko wujka Mickeya. Poproś, aby opowiedziała ci prawdzie wersję, której Roger nie znał.

— To brzmi jak pytanie do ducha zadane przy wirującym stoliku. Salonowa sztuczka.

— Tak sądzisz? Zapytaj ją.

— Dobrze. Prawda o oku wujka Mickeya. A teraz ja chciałbym zadać ci ostatnie pytanie.

Jesteś diabłem. Tak. Ale nie jesteś zły. Jak to?

— Cóż za niestosowne pytanie. Pozwól, że odpowiem na nie w jeszcze bardziej tajemniczy sposób. Wcale nie muszę być zły. Nie ma takiej potrzeby. Przekonasz się. To wszystko wydaje mi się okropnie frustrujące, bo mam ci tak wiele do pokazania!

— Ale jesteś przecież przeciwnikiem Boga!

— Och, jak najbardziej, jestem. Jego zaprzysięgłym adwersarzem! Lestacie, kiedy już ujrzysz

wszystko, co chcę, abyś zobaczył, i usłyszysz, co mam ci do powiedzenia, kiedy pomówisz z Bogiem i ujrzysz to wszystko z Jego perspektywy, a także z mojej, przyłączysz się do mnie i także zostaniesz Jego adwersarzem. Jestem pewien, że tak właśnie będzie. — Podniósł się z fotela. — Pójdę już. Pomóc ci wstać?

— To nie będzie konieczne — odparłem hardo. — Będę tęsknił. — Te słowa wypływające z moich ust mocno mnie zdumiały.

— Wiem — odparł.

— Mam całą jutrzejszą noc — powiedziałem. — Pamiętaj.

— Zdajesz sobie sprawę — odparł — że gdybyś poszedł ze mną już teraz, nie byłoby dla ciebie dni ani nocy?

— Och, to nader kuszące — przyznałem. — Ale na tym przecież diabeł zna się najlepiej. Na pokusach. Muszę to przemyśleć i skonsultować się z innymi, prosząc ich o radę.

— Skonsultować się z innymi? — Wydawał się szczerze zdumiony.

— Nie odejdę z diabłem w nieznane, nikogo o tym nie powiadamiając — odparłem. —

Przecież jesteś diabłem! Czemu, u licha, miałbym ci w ogóle wierzyć? To jakiś absurd!

Postępujesz zgodnie z regułami, zgodnie z czyimiś regułami. Wszyscy tak robią. Ale ja nie znam reguł. Dałeś mi wybrać i podjąłem decyzję. Dwie noce i ani minuty mniej. Chcę odpocząć od ciebie przez ten czas. Nie życzę sobie, abyś zakłócał mój spokój. I żądam, abyś mi to obiecał.

— Ale po co? — zapytał uprzejmie, jakby miał do czynienia krnąbrnym dzieckiem. — Abyś nie musiał obawiać się odgłosu moich kroków?

— Może.

— Cóż ci da moja obietnica, jeżeli nie akceptujesz prawdziwości moich słów? — Pokręcił głową, jakby mówił do przygłupiego śmiertelnika.

— Obiecasz mi to czy nie?

— Obiecuję — powiedział, przykładając dłoń do piersi, na wysokości serca, a przynajmniej tam, gdzie powinno się ono znajdować. — I mówię to całkiem szczerze.

— Dziękuję, od razu mi lepiej.

— David ci nie uwierzy — rzekł łagodnym tonem.

— Wiem — przyznałem.

— Trzeciej nocy — oznajmił, z lekkim skinieniem głowy — wrócę tu po ciebie. Tu lub gdziekolwiek wówczas będziesz. — Uśmiechnąwszy się do mnie równie promiennie jak poprzednio, zniknął.

Nie zrobił tego jak ja, przemieszczając się w tak szybkim tempie, że oko ludzkie nie było w stanie tego zarejestrować. Po prostu zniknął.

Jakby rozpląnął się w powietrzu.

8

Podniosłem się chwiejnie, otrzepałem ubranie i z pewnym zdziwieniem stwierdziłem, że pokój wygląda idealnie, dokładnie tak jak w chwili, gdy tu weszliśmy. Najwyraźniej pojedynek rozegra) się w innym wymiarze. Ale w jakim?

Och, gdybym tylko mógł odnaleźć Davida. Miałem niecałe trzy godziny do zimowego świtu i natychmiast udałem się na poszukiwania.

Nie mogąc wejrzeć do umysłu Davida ani go przywołać, miałem do dyspozycji tylko jedną telepatyczną sztuczkę: zagłądanie do umysłów przypadkowo wybranych śmiertelników w poszukiwaniu widoku Davida, który mogli zarejestrować, jeśli mijał ich w jakimś rozpoznawalnym miejscu.

Przeszedłem niespełna trzy przecznice, gdy uświadomiłem sobie, że nie tylko odebrałem silny obraz Davida, ale w dodatku wychwyciłem go w umyśle innego wampira. Zamknąłem oczy i z całej siły spróbowałem nawiązać mentalny kontakt. W kilka sekund później obaj potwierdzili odbiór, David za pośrednictwem tego drugiego, a ja ujrzałem i rozpoznałem gęsto zadrzewione miejsce, gdzie się obecnie znajdowali.

Za moich czasów Bayuo Road prowadziła przez ten obszar na wieś — to niedaleko stąd Claudia i Louis, podjąwszy próbę zabicia mnie, porzucili moje szczątki w bagnie. Teraz miejsce to było s rannie utrzymanym parkiem, za dnia odwiedzanym przez tłumy ludzi — znajdowało się tu między innymi muzeum, gdzie od czasu do czasu urządzano ciekawe wystawy malarstwa —

nocą zaś, ze względu na obfitość drzew, było tu ciemno, choć oko wykol.

Na tych terenach rosły najstarsze w Nowym Orleanie dęby, a cudowna laguna, długa, kręta jak serpenty na i zdawałoby się nieskończona, wiała się pod malowniczym mostem wzniesionym w samym sercu tego obszaru.

Tam ich odnalazłem, dwa wampiry ukryte w gęstym mroku, z dala od uczęszczanych ścieżek.

David, tak jak przypuszczałem, wyglądał nienagannie. Zdumiał mnie natomiast widok tego drugiego. Był nim Armand. Siedział na kamiennej, parkowej ławeczce, chłopięcy wygląd, nonszalancja, jedna noga zgięta w kolanie; patrzył na mnie z niewinną miną, cały zakurzony, rzecz jasna, jego włosy, długie, kasztanowe kędziory, były pozlepiane w skołtunioną masę.

Ubrany w obcisłe dzinsy i drelichową kurtkę mógł uchodzić za człowieka, ot, zwykłego włóczęgę,

choć jego twarz była blada jak pergamin i bardziej gładka niż kiedy widziałem go po raz ostatni. W pewnym sensie przywodził mi na myśl porcelanową lalkę z błyszczącymi, czerwonawobrazowymi szklanymi oczami — lalkę, którą ktoś znalazł na poddaszu. Chciałem zasypać go pocałunkami, doprowadzić do porządku i sprawić, aby wyglądał promiennie.

— Tego zawsze pragnąłeś — rzekł cicho.

Zdumiał mnie jego głos. Jeżeli pozostał w nim jakiś ślad francuskiego albo włoskiego akcentu, ja go nie wychwyciłem. W jego tonie kryła się melancholia i kompletnie brakowało w nim gniewu lub złości.

— Kiedy odnalazłeś mnie pod Les Innocents — ciągnął — chciałeś wykąpać mnie w wodzie skropionej perfumami i przebrać w aksamitny strój, z rękawami obszytymi najpiękniejszą koronką.

Tak — przyznałem — a także uczesać ci włosy, te twoje piękne, długie włosy. — W moim głosie pojawiła się gniewna nuta. — Jak dla mnie wyglądasz pięknie, ty przeklęty mały diable, tak pięknie, że pragnę cię objąć, przytulić i okazać swą miłość.

Patrzyliśmy przez chwilę na siebie. I wtedy mnie zaskoczył, podnosząc się z ławki i podchodząc do mnie, na co zareagowałem rozkładając szeroko ręce, by wziąć go w ramiona. Nie bronił się, był wyjątkowo delikatny. Mogłem się cofnąć. Nie zrobiłem tego jednak. Uściskaliśmy się serdecznie. Zimno, dojmujące zimno. Uczyniłem coś bardzo odważnego, może nawet zuchwałego. Wyciągnąłem rękę i pogłaskałem jego zmierzwioną czuprynę.

Jest niższy ode mnie, ale ten gest najwyraźniej ani trochę go nie uraził. Wręcz przeciwnie, uśmiechnął się i paroma zdawkowymi ruchami rąk przywrócił nieład na głowie. Jego policzki nagle pokraśniały, usta złagodniały, a w chwilę później uniósł zaciśniętą pięść i dał mi kuksańca w zębra. Naprawdę mocnego. Popisywał się.

Teraz ja się uśmiechnąłem.

— Nie pamiętam, abyśmy mieli ze sobą na pieńku — powiedziałem.

— Przypomnisz sobie — odparł. — Ja także. Ale co z tego, że będziemy o tym pamiętać?

— Tak — mruknąłem. — Przecież wciąż jesteśmy tu obaj. Zaśmiał się w głos, choć raczej cicho, pokręcił głową i spojrzał z ukosa na Davida, co mogło sugerować, że dobrze się znają, kto wie, może nawet zbyt dobrze. Nie spodobało mi się to. David był moim Davidem, a Armand moim Armandem. Usiadłem na ławce.

— A więc David opowiedział ci o wszystkim — powiedziałem, spoglądając na Armanda, a potem na Davida.

David pokręcił przecząco głową.

— Nie bez twojego pozwolenia, krnąbrny książę — odparł z pewnym lekceważeniem David.

— Nigdy bym się na to nie zdobył. Jedyne, co sprrowadza tu Armanda, to troska o ciebie.

— Doprawdy? — zapytałem. Uniosłem brwi. — Jak to?

— Wiesz doskonale — odrzekł Armand. Jego postawa zdradza a nonszalancję, zapewne przyswoił sobie ją podczas wędrówek P świcie. Nie wyglądał już jak jedna z rzeźb w kościele.

Dłonie trzymał w kieszeniach. Mały twardziel. — Znów szukasz kłopotów — ciągnął w ten sam powolny sposób, bez gniewu i złości. — Cały świat to dla ciebie za mało i zawsze tak będzie. Tym razem pomyślałem, że spróbuję z tobą pomówić, zanim znów — pytasz sobie biedy.

— Doprawdy, najtroskliwszy z ciebie anioł stróż, nie ma mruknąłem sarkastycznie.

— W rzeczy samej — przyznał bez mrugnięcia okiem. — Czy zechcesz zatem powiedzieć mi, co zamierzasz?

— Chodźmy nieco dalej w głąb parku — powiedziałem i obaj ruszyli za mną jak zwykli śmiertelnicy w mrok zagajnika najstarszych dębów, gdzie trawa była wysoka i zaniedbana i gdzie nie zapuszczali się nawet najbardziej zdesperowani bezdomni.

Znaleźliśmy się na niewielkiej polanie, wśród czarnych, wulkanicznych korzeni i raczej zmarzniętej twardej ziemi. Od pobliskiego jeziora wiał orzeźwiający, chłodny wiatr, i przez chwilę czułem w tych podmuchach zapach Nowego Orleanu, ale również każdego innego miasta, byliśmy razem, we trzech, a Armand zapytał raz jeszcze:

— Czy zechciałbyś wyjaśnić mi, co zamierzasz? — Nachylił się w moją stronę i nagle mnie pocałował, to było takie dziecinne i europejskie zarazem. — Masz spore kłopoty. Mów śmiało.

Przecież wszyscy o tym wiedzą. — Stalowe guziki jego drelichowej kurtki były zimne jak lód, jakby w kilka chwil przybył tu z miejsca, gdzie panował o wiele większy chłód.

Nigdy nie mamy całkowitej pewności, jeżeli chodzi o moce innych. To jest jak gra. Nie zapytałbym go, jak tu dotarł, podobna jak śmiertelnik nie zapytałby innego, w jaki sposób kocha się z żoną.

Patrzyłem na niego przez dłuższą chwilę, świadom, że David usiadł na trawie, podparł się na łokciach i przyglądał się nam obu.

— Przybył do mnie diabeł — odezwałem się w końcu — i poprosił, abym udał się z nim zobaczyć niebo i piekło.

Armand nie odpowiedział. Zmarszczył lekko brwi.

— To ten sam diabeł — powiedziałem — o którym mówiłem, że w niego nie wierzę, w przeciwieństwie do ciebie. Miałeś rację co do jednego. On istnieje. Widziałem go. —

Przeniosłem wzrok na Davida. — Chce, abym został jego pomocnikiem. Dał mi tę noc i następną, abym mógł zasięgnąć rady u innych. Zabierze mnie do nieba, a potem do piekła.

Twierdzi, że nie jest zły.

David utkwił wzrok w ciemności. Armand po prostu świdrował mnie wzrokiem w milczeniu.

Opowiedziałem im wszystko. Powtórzyłem całą historię Rogera Armandowi i streściłem spotkanie z duchem Rogera, później zaś szczegółowo zrelacjonowałem moją nieudaną wizytę u Dory rozmowę z nią i moment rozstania, a następnie spotkanie z prześladowającym mnie diabłem, to jak mnie rozdrażnił i jak walczyliśmy. Nie pominąłem niczego. Otworzyłem mój umysł bez odrobiny wyrachowania, pozwalając Armandowi, by zobaczył, co zechce. W końcu znów usiadłem na ławce.

— Nie próbuj mnie poniżać — ostrzegłem. — Nie pytaj, dlaczego uciekłem od Dory ani dlaczego wyjawiałem całą prawdę ojej ojcu. Nie potrafię uwolnić się od obecności Rogera, od uczucia jego przyjaźni do mnie i jego miłości wobec niej. A ten Memnoch, ten rozsądny, łagodny i zrównoważony osobnik, wydaje się nader przekonujący. Co się tyczy walki, nie wiem, co się stało, ale chyba dałem mu do myślenia. Za dwie noce wróci i jeśli mnie pamięć nie myli, a na nią akurat nigdy nie mogłem narzekać, powiedział, że przyjdzie po mnie, gdziekolwiek będę się wówczas znajdował.

— Tak, teraz już wszystko jasne — rzekł Armand półgłosem.

— Nie napawasz się chyba moim nieszczęściem? — zapytałem bez większego przekonania.

— Nie, oczywiście, że nie — odrzekł Armand — jak zwykle nie sprawiasz wrażenia cierpiącego. Stajesz w progu nowej przygody, choć tym razem wydajesz się nieco ostrożniejszy niż poprzednio, gdy pozwoliłeś, by ten śmiertelnik zabrał twoje ciało, a ciebie umieścił w swoim.

— Nie jestem wcale ostrożniejszy. Raczej przerażony. Myślę, że ta istota, ten Memnoch, to faktycznie diabeł. Gdybyś doświadczył takich wizji jak ja, podzielałbyś moje zdanie. Nie mówię tu o oczarowywaniu ani rzucaniu uroków... Potrafisz zauroczyć, Armandzie, zrobiłeś to kiedyś ze mną. Podjąłem walkę z tą istotą. Ma ona w sobie jakąś esencję, która potrafi zamieszkiwać materialne ciała! Sama jest bezcielesna i przedmiotowa, tak przynajmniej uważam. A co się tyczy reszty? Może wszystko polegało na oczarowaniu. Twierdzi, że potrafi to robić, podobnie jak ja.

— Naturalnie mówisz o aniele — wtrącił mimochodem David — a ten akurat twierdzi, że jest aniołem upadłym.

— Samym diabłem — zadumał się Armand. — O co nas właściwie prosisz, Lestacie? O radę?

Na twoim miejscu nigdzie bym nie szedł z tą istotą z własnej woli.

— Czemu tak mówisz? — zapytał David, zanim zdążyłem odpowiedzieć.

— Wszyscy wiemy, że istnieją pewne przywiązane do ziemi istoty — odparł Armand —

których my sami nie potrafimy sklasyfikować, zlokalizować ani kontrolować. Wiemy, że istnieją gatunki nieśmiertelnych podobnych do ludzi istot, które jednak nimi nie są. Ta istota może być czymkolwiek. W dodatku jest coś bardzo podejrzanego w sposobie, w jaki próbuje cię zjednać...

wizje, a potem uprzejmość.

— Albo to — mruknął David — albo sprawa jest o wiele prostsza. Może to faktycznie diabeł, rozsądna, zrównoważona istota, jak od początku sądziłeś — nie wrak moralny, lecz prawdziwy anioł, pragnący twojej współpracy. Nie chce cię do niczego przymuszać. Użył siły tylko przy prezentacji.

— Ja bym mu nie wierzył — wtrącił Armand. — Co ma znaczyć, że chce, abyś mu pomógł.

Abyś zaczął istnieć równolegle w tym świecie i w piekle? Nie, na twoim miejscu unikałbym go, za jego wizerunek, a w najgorszym razie za słownictwo. Za jego imię. Memnoch. Jest w nim coś złego.

— Och, to wszystko w podobnych słowach powiedziałem kiedyś o tobie — przyznałem.

— Nigdy jeszcze nie widziałem na własne oczy księcia ciemności — rzekł Armand. —

Przetrwałem stulecia przesądów i zabobonów, widziałem cuda dokonywane przez demoniczne istoty tak; jak my. Ty widziałeś trochę więcej niż ja. Ale masz rację. To samo powiedziałeś mi kiedyś i to ja mówię ci teraz. Nie wierzę w diabła ani w to, że jesteś jego dzieckiem. To samo powiedziałem kiedyś Louisowi, kiedy szukał u mnie odpowiedzi na pytania o Boga i wszechświat. Nie wierzę w diabła. I ty też nie powinieneś. Nie wierz w niego ani nie wierz mu.

Odwróć się od niego.

— A co się tyczy Dory — rzekł półgłosem David — zachowałeś się bardzo nierozsądnie, ale kto wie, może ten wyłom da się jakoś załatać.

— Nie sędzę.

— A to czemu? — spytał.

— Zapytam was obu... czy wierzycie w to, co wam powiedziałem?

— Wiem, że mówisz prawdę — odparł Armand — ale jak już wspomniałem, nie wierzę, że ta istota jest diabłem ani że zabierze cię z sobą do nieba i piekła. Natomiast, szczerze mówiąc, jeśli to jest prawda... cóż, masz jeszcze jeden powód, dla którego nie powinieneś tego robić.

Przyglądałem mu się przez dłuższą chwilę, walcząc z ciemnością, której celowo poszukiwałem, próbując odkryć, co naprawdę sądzi o tym wszystkim, i zrozumiałem, że jest wobec mnie szczerzy. Nie było w nim zazdrości ani starych urazów, jakie mógł do mnie żywić, zero bólu, gniewu, nieszczerości. Było ponad to, jeśli nawet kiedykolwiek pozwolił, by te emocje nim zawiadnęły. A może to były tylko moje fantazje?

— Być może — odpowiedział na zadane przeze mnie w myślach pytanie. — Masz jednak rację, mówię do ciebie otwarcie i szczerze, i powtórzę raz jeszcze, że nie ufałbym tej istocie ani nie zgodziłbym się na propozycję współpracy z nią.

— To jak średniowieczny pakt — dorzucił David.

— To znaczy? — spytałem. Nie chciałem, by to zabrzmiało tak obcesowo.

— No wiesz, pakt z diabłem — rzekł David. — Wyrażenie zgody coś przy równoczesnym przyjęciu jego warunków. To właśnie Armand próbuje ci odradzić. Nie zawieraj paktu.

— O to dokładnie chodzi — przyznał Armand. — Moje największe wątpliwości i podejrzenia budzi fakt, że tak bardzo zależy mi, abys zgodził się na współpracę dobrowolnie. — Na jego twarzy malowało się szczere zatroskanie, piękne oczy na moment rozbłyły wśród cieni. —

Dlaczego musisz wyrazić na to zgodę? Czemu musisz to zrobić z własnej woli?

— Nie wiem, czy jest w tym jakiś haczyk czy nie — powiedziałem. Byłem zakłopotany. —

Ale masz rację. Sam mu o tym powiedziałem, o regułach, zgodnie z którymi funkcjonuje...

— Chcę pomówić z tobą o Dorze — powiedział cicho David. — Musisz szybko naprawić poczynione przez siebie szkody, a przynajmniej obiecać nam, że więcej nie...

— Nie obiecuję ci niczego, co wiązałoby się z Dorą. Nie mogę — przerwałem mu.

— Lestacie, nie niszczyć tej młodej śmiertelniczki! — zawołał David. — Skoro wkraczamy w nową erę, skoro mogą zwracać się do nas bezpośrednio duchy zmarłych, może są również w stanie nas ranić, zastanawiałeś się nad tym? — David usiadł, zagniewany i zmartwiony, choć przez cały czas usiłował mówić niewzruszonym tonem. — Nie krzywdź tej śmiertelniczki. Jej ojciec prosił, byś nad nią czuwał, a nie przyprawiał ją o obłęd.

— Davidzie, odpuść sobie to kazanie. Wiem, o co ci chodzi. Ale powiem wprost. W obecnej sytuacji jestem kompletnie osamotniony. Muszę sobie radzić sam. Sam muszę rozważyć, czy przyjąć Propozycję Memnocha. Jesteście moimi przyjaciółmi. Jesteśmy jednej krwi. Nie sądzę jednak, by ktokolwiek prócz Dory mógł mi doradzić, co powinienem uczynić.

— Dora! — David był wyraźnie wstrząśnięty.

— Zamierzasz opowiedzieć jej całą tę historię? — spytał niepewnie Armand.

— Tak. To właśnie chcę zrobić. Bo Dora wierzy w istnienie diabła. Boże drogi, potrzebuję kogoś wierzącego, potrzeba mi świętego, może także teologa, i właśnie dlatego zwrócę się w tej sprawie do Dory.

— Jesteś zepsuty, uparty i skrajnie destrukcyjny! — rzucił David Wycedził te słowa jak przekleństwo. — Zrobisz, co zechcesz! — Był wściekły. Zauważyłem to. Gardził mną z całego serca, a ja nie umiałem znaleźć argumentów na swoją obronę.

— Zaczekaj — powiedział łagodnym tonem Armand. — Lestacie to szaleństwo. To tak jakbyś słuchał sybilli. Chcesz, by dziewczyna była dla ciebie wyrocznią, by powiedziała ci, co zdaniem jej, śmiertelniczki, powinieneś uczynić?

— Ona nie jest byle śmiertelniczką, jest inna. I wcale się mnie nie boi. Nie lęka się niczego.

Zupełnie jakby należała do innego gatunku, ale jest istotą ludzką. Jest jak święta, Armandzie. Jak Joanna D'Arc, gdy stanęła na czele swojej armii. Ona wie o Bogu i diable coś, o czym ja nie mam pojęcia.

— Mówisz o wierze i to brzmi bardzo ciekawie — rzekł David — tak jak wtedy, gdy byłeś z tą zakonnicą, Gretchen, która do reszty postradała rozum.

— I oniemiała — dodałem. — Zgodnie z tym, co piszą w gazetach, odmawia jedynie modlitwy, poza tym nie mówi nic. Ale pamiętaj, że zanim się pojawiłem, Gretchen przeżywała kryzys wiary. Dla niej wiara i szaleństwo to jedno i to samo.

— Ty się nigdy nie nauczysz!

— Niby czego? — spytałem. — Davidzie, idę do Dory. Jest jedyną kobietą, do której mogę się zwrócić. Poza tym nie mogę jej prze' cięż tak zostawić. Muszę wrócić i wracam. Od ciebie, Armandzie domagam się obietnicy, czego skądinąd mogłeś się domyślać. Otoczyłem Dorę ochronną aurą. Żaden z nas nie może jej tknąć.

— To się rozumie samo przez się. Nie skrzywdzę twojej ma przyjaciółki. Ranisz mnie. —

Wyglądał na szczerze urażono

— Przykro mi — powiedziałem. — Wiem. Ale krew to krew; niewinna krew to prawdziwy rarytas. Wiem, jak mnie samego kusi ta dziewczyna.

— Wobec tego to właśnie ty musisz poddać się tej pokusie — rzekł z naciskiem Armand. —

Ja nie wybieram już swoich ofiar, o czym wiesz doskonale. Wystarczy, że jak zawsze stanę przed domem, i po chwili wychodzi stamtąd osoba pragnąca znaleźć się moich ramionach. Oczywiście, że jej nie skrzywdzę. Nie żywię dawnych uraz. Wydaje ci się, że żyję przeszłością. Nie rozumiesz, że zmieniam się z każdą epoką, najlepiej jak potrafię. Ale co, u licha możesz usłyszeć od Dory, co mogłoby ci pomóc?

— Nie wiem — odparłem. — Odwiedzę ją jednak jutrzejszej nocy. Zrobiłbym to nawet dziś, gdyby tylko było więcej czasu. Pójdę do niej. Davidzie, jeśli coś mi się stanie, jeżeli zniknę...

jeżeli... ty przejmiesz pieczę nad dziedzictwem Dory.

Pokiwał głową.

— Daję ci słowo honoru, że zadbam o interesy tej dziewczyny, ale nie wolno ci do niej iść!

— Lestacie, gdybyś mnie potrzebował... — rzekł Armand. — Gdyby ta istota próbowała zabrać cię siłą!

— Czemu się o mnie troszczysz? — spytałem. — Po tym jak cię potraktowałem? Dlaczego?

— Och, nie wygłupiaj się! — rzucił łagodnym tonem. — Dawno temu przekonałeś mnie, że świat jest Dzikim Ogrodem. Pamiętasz swoje stare wiersze? Powiedziałeś, że jedyne prawdziwe prawa to prawa estetyki, i tylko na nie można liczyć.

— Tak, pamiętam. Obawiam się, że to prawda. Obawiałem się tego, gdy byłem śmiertelnym dzieckiem. Któregoś ranka obudziłem się i nie wierzyłem w nic.

— Cóż, zatem w Dzikim Ogrodzie, mój drogi — ciągnął Armand — twój blask błyszczy nieprzerwanie. Wędrujesz po nim, i jakby należał do ciebie i jakbyś mógł robić tu, co tylko zechcesz. A ja w moich wyprawach zawsze wracam do ciebie. Powracam, by ujrzeć barwy ogrodu w twoim cieniu, odbite w twoich oczach, albo może po to, by usłyszeć o twoich nowych szaleństwach i obsesjach Poza tym jesteście braćmi, nieprawdaż?

— Czemu nie pomogłeś mi ostatnim razem, kiedy miałem kłopoty, zamieniwszy się na ciała ze śmiertelnikiem?

— Nie wybaczysz mi, jeśli ci powiem — odrzekł.

— Mów.

— Ponieważ miałem nadzieję i modliłem się, że pozostaniesz w tym śmiertelnym ciele i ocalisz duszę. Sądziłem, że dano ci największy dar, że znów stałeś się istotą ludzką, i aż mnie serce bolało, gdy myślałem o tym, aby tylko ci się udało! Nie mogłem się w to wmieszać. Po prostu nie mogłem!

— Jesteś dzieckiem i głupcem w jednej osobie, jak zawsze zresztą.

Wzruszył ramionami.

— Wygląda na to, że dano ci jeszcze jedną szansę, abyś zrobił coś ze swoją duszą. Musisz być naprawdę silny i roztropny, Lestacie. Nie ufam temu Memnochowi, jest gorszy niż każdy ludzki wróg, z którym miałeś do czynienia, będąc uwięziony w ciele człowieka. Ten Memnoch zdaje się być bardzo daleko od nieba. Czemu mieliby cię tam z nim wpuścić?

— Doskonałe pytanie.

— Lestacie — rzekł David — nie idź do Dory. Pamiętaj, że ostatnim razem moja rada mogła ocalić cię od niedoli.

W tych słowach kryło się coś więcej — gdybym usłuchał jego rady, on sam nie miałby teraz tej cudownej powłoki, a ja wcale nie żałowałem, że tu jest i że przyoblekł się w cielesne trofeum Złodzieja Ciał. Ani trochę.

— Wierzę, że diabeł chce właśnie ciebie — rzekł Armand.

— Dlaczego? — spytałem.

— Nie idź, proszę, do Dory — wtrącił z powagą David.

— Muszę, a już prawie świta. Kocham was obu.

Patrzyli na mnie zakłopotani, pełni podejrzeń, niepewni.

Mogłem uczynić tylko jedno: odejść.

9

Następnej nocy powstałem z mojej kryjówki na poddaszu i udałem się na poszukiwanie Dory.

Nie chciałem więcej widzieć ani słyszeć Davida i Armanda. Wiedziałem, że nic mnie nie powstrzyma przed tym, co sobie zamierzyłem.

Pytanie brzmiało: Jak miałem zrealizować swoje zamierzenia. Obaj mimowolnie coś potwierdzili. Nie byłem całkiem szalony. Nie uroiłem sobie wszystkiego, co rozgrywało się wokół mnie. Częstkę, być może, ale na pewno nie wszystko.

Tak czy owak, w przypadku Dory postawiłem na radykalne działania, których David ani Armand raczej by nie zaaprobowali. Wiedząc całkiem sporo na temat jej nawyków i miejsca pobytu, odnalazłem Dorę, gdy wychodziła ze studia telewizyjnego na Chartres Street w dzielnicy francuskiej. Przez całe popołudnie nagrywała swój godzinny program, później zaś rozmawiała z publicznością. Zaczekałem przy wejściu do pobliskiego sklepu, gdy pożegnała się z ostatnimi ze swoich „sióstr” albo może wiernych. Były to młode kobiety, choć już nie dziewczęta, wierne wyznawczynie w świecie zmieniającym się dzięki Dorze; roztaczały wokół siebie aurę beztroskiego nonkonformizmu.

Odeszły, a Dora ruszyła w przeciwną stronę, w kierunku PJacu i swojego samochodu. Miała na sobie lekki, czarny, wełniany płaszcz i wełniane pończochy oraz szpilki, skądinąd bardzo Wysokie, które lubiła wkładać, gdy w programie przewidziano tańce; w czarnych, krótko obciętych włosach wyglądała wyjątkowo — krucho i dramatycznie, jak ofiara w świecie śmiertelnych mężczyzn. Schwyciłem ją w tali, zanim zorientowała się, że jestem tuż obok.

Wznieśliśmy się w górę tak szybko, że nic nie widziała ani nie rozumiała, ja zaś wyszeptałem jej wprost do ucha: „Jesteś ze mną i jesteś bezpieczna”. A potem wziąłem ją w ramiona, aby wiatr ani prędkość nie wyrządziły jej żadnej szkody, i wbiłem się tak wysoko, jak tylko odważyłem się wznieść, mając ją przy sobie delikatną, słabą i zależną ode mnie, nasłuchując pośród zawodzenia wiatru, czy jej serce i płuca funkcjonują normalnie.

Poczułem, jak rozluźnia się w moich ramionach, a może raczej powinienem stwierdzić, że po prostu pozostała ufna. To mnie zdziwiło, podobnie jak wszystko inne, co się z nią wiązało.

Wtuliła twarz w mój płaszcz, jakby za bardzo się bała, żeby rozejrzeć się dokoła, ale z uwagi na zimno w grę wchodziły raczej względy praktyczne. W którymś momencie rozchyliłem poły płaszcza i przykryłem ją jedną z nich, po czym pomknęliśmy dalej.

Podróż trwała dłużej, niż się spodziewałem; nie mogłem podźwignąć kruchej ludzkiej istoty zbyt

wysoko w powietrzu. Nie była ona jednak tak nużąca i niebezpieczna jak lot dusznym, cuchnącym i mogącym w każdej chwili rozpaść się na kawałki rejsowym samolotem.

W niecałą godzinę stanąłem wraz z nią u szklanych drzwi Olympic Tower. Ocknęła się w moich ramionach, jakby obudzona z długiego snu. Zdałem sobie sprawę, że to było nieuniknione.

Straciła przytomność, z przyczyn natury fizycznej i mentalnej, ale natychmiast wróciła do siebie, jej obcasy stuknęły o podłogę i spojrzała na mnie, wielkimi, sowimi oczami, po czym przeniosła wzrok na wznoszącą się po drugiej stronie ulicy majestatyczną katedrę Świętego Patryka.

— Chodź — powiedziałem. — Zabieram cię do miejsca, gdzie są rzeczy twego ojca. —

Ruszyliśmy w stronę wind.

Pospieszyła za mną, gorliwie, jak śmiertelniczka z wampirzych marzeń, co jednak ma mało wspólnego z rzeczywistością.

— Nie mam wiele czasu — oświadczyłem. Znajdowaliśmy się w windzie sunącej w górę. —

Coś mnie ściga i nie wiem, czego ode mnie chce. Ale musiałem cię tu sprowadzić. I dopilnuję, żebyś bezpiecznie wróciła do domu.

Wyjaśniłem jej, że nie znam wejść do tego budynku od strony dachu, w przeciwnym razie tamtędy wprowadziłbym ją do środka; wyjaśniłem też, że choć w niespełna godzinę mogliśmy znaleźć się na drugim końcu kontynentu, konieczne jest, byśmy wjechali na górę tą niemal bezgłośną, szybką windą, która pod względem wspaniałości tylko trochę ustępuje wampirzej zdolności latania. Drzwi otwarły się na właściwym piętrze. Wcisnąłem jej klucz do ręki i podprowadziłem do apartamentu.

— Otwórz, wszystko, co jest w środku, należy do ciebie.

Patrzyła na mnie przez chwilę, lekko zmarszczyła brwi, przyglądała zmierzwione wiatrem włosy, po czym wsunęła klucz do zamka i otworzyła drzwi.

— Rzeczy Rogera — powiedziała, biorąc głębszy oddech. Rozpoznała je po zapachu, niczym antykwariusz, rozpoznała wszystkie te skarby. A potem spostrzegła marmurowego anioła, stojącego w korytarzu, szklaną ścianę za nim i przez chwilę wydawało mi się, że padnie zemdlona na ziemię. Zachwiała się do tyłu, jakby się spodziewała, że ją złapię i przytrzymam.

Schwyciłem ją koniuszkami palców, w obawie, że mogę przypadkiem narobić jej sińców.

— Boże drogi — szepnęła. Serce tłukło jej się w piersi, ale było zdrowe, młode i zdolne do olbrzymich wysiłków. — Jesteśmy tutaj, a to, co mówiłeś, jest prawdą.

Wyrwała mi się, zanim zdążyłem odpowiedzieć, pospiesznie minęła anioła i weszła do frontowego pokoju. Poniżej poziomu okna widać było iglice wieży katedry Świętego Patryka.

Wszędzie wokoło zaś leżały pakunki owinięte w bąbelkową folię, przez którą dostrzec może było

kształt krucyfiksu albo figurę świętego. Księgi Wynkena leżały oczywiście na stole, ale nie zamierzałem na razie podejmować tego tematu.

Odwróciła się do mnie, poczułem na sobie jej wzrok, taksujący, przenikliwy. Jestem tak wrażliwy na wzrokową ocenę, że wydaje mi się czasem, iż próżność mam zakodowaną w każdej komórce ciała.

Wymamrotała coś po łacinie, ale nie dosłyszałem słów.

— Co powiedziałaś?

— Lucyfer, Syn Poranka — szepnęła, patrząc na mnie ze szczerym podziwem. Po chwili opadła na duży, skórzany fotel. Należał do wystroju tego wnętrza, apartament całkiem wygodny i komfortowy, przeznaczony był dla biznesmenów. Wciąż mi się przyglądała.

— Nie, nie jestem nim — powiedziałem. — Jestem tym, co powiedziałem, i nikim więcej. Ale to on mnie ściga.

— Diabeł?

— Tak. A teraz posłuchaj, opowiem ci wszystko, a potem liczę że wesprzesz mnie dobrą radą.

Tymczasem... — Odwróciłem się, tak, opodal stała szafka na akta. — Twoje dziedzictwo, wszystko pieniądze, które posiadasz, a o których nie masz pojęcia, jest czyste podatki są uregulowane, wszystko w jak najlepszym porządku, o czym się przekonasz, przeglądając te czarne teczki. Twój ojciec umarł, pragnąc, by to wszystko przysłużyło się twemu kościołowi.

Jeżeli z tego zrezygnujesz, nie bądź pewna, że stało się to z woli Bożej. Pamiętaj, twój ojciec nie żyje. Jego krew oczyściła te pieniądze. — Czy w to wierzyłem? Cóż, Roger chciał, abym tak właśnie powiedział. — Roger mówił, żebym tak właśnie to ujął — dodałem, starając się nadać głosowi nieco więcej pewności i przekonania.

— Rozumiem cię — rzekła. — Martwisz się o coś, co nie ma już znaczenia. Podejdź tu, proszę, niech cię przytulę. Ty drżysz.

— Rzeczywiście!

— Tu jest ciepło, ale ty tego nie czujesz. Podejdź. Ukląknę przed nią i objałem ją tak jak wcześniej Armanda.

Oparłem ojej głowę swoją. Była zziębnięta, ale nigdy nie będzie tak zimna jak ja, żaden śmiertelnik nie może być równie lodowaty. Chłonałem zimowy chłód, jakby moje ciało zrobiono z porowatego marmuru; kto wie, może faktycznie tak było.

— Doro, Doro, Doro — szepnąłem. — Jakże on cię kochał i jak bardzo chciał, aby wszystko ci się ułożyło, Doro.

Miała silny zapach, ale ja również.

— Lestacie, opowiedz mi o diable — poprosiła.

Usiadłem na dywanie, aby móc patrzeć na nią. Przycupnęła brzegu fotela, czarny płaszcz rozchylił się szeroko, odkrył kolana, widać było złocistą strugę szalika. Twarz miała bladą, i pokraśniała, dzięki czemu wyglądała promiennie i czarująco, jakby była istotą nadnaturalną, podobnie jak ja.

— Nawet twój ojciec nie potrafił właściwie opisać twojego piękna — powiedziałem. —

Dziewica ze świątyni, nimfa leśna.

— Mój ojciec tak o mnie mówił?

— Tak. Ale diabeł powiedział, abym cię o coś zapytał. Miałem spytać cię o prawdę na temat oka wujka Mickeya! — Właśnie to sobie przypomniałem. Nie wspomniałem o tym Davidowi ani Armandowi, ale co to za różnica?

Te słowa zdumiały ją, była pod wrażeniem. Usiadła wygodniej w fotelu.

— Diabeł przekazał ci te słowa?

— To miał być podarunek dla mnie. Chce, abym mu pomógł. Twierdzi, że nie jest zły.

Powiada, że Bóg jest jego adwersarzem. Opowiem ci wszystko, ale to, co powiedział, było swego rodzaju prezentem, dodatkową premią — jak to nazywają w Nowym Orleanie, bonus? — aby przekonać mnie, że jest tym, za kogo się podaje.

Wykonała lekki gest zdradzający zakłopotanie, uniosła dłoń do skroni i pokręciła głową.

— Zaczekaj. Prawda na temat oka wujka Mickeya, jesteś pewien, że tak właśnie powiedział?

Mój ojciec nie wspomniał o wujku?

— Nie. Nie odebrałem nawet na ten temat żadnych obrazów z serca i duszy twego ojca.

Diabeł oświadczył, że Roger nie znał prawdy. Co to oznacza?

— Mój ojciec faktycznie nie znał prawdy na ten temat — odparła. — Nigdy jej nie poznał.

Moja matka mu o tym nie powiedziała. To był jego wujek Mickey, brat mojej babci. To krewni mojej matki wiedzieli mi prawdę o tym zdarzeniu, krewni Terry. A było to tak: matka mojego ojca była zamożna i miała piękny dom na St. Charles Avenue.

— Znam to miejsce, wiem o nim wszystko. Roger spotkał tam Terry.

— Tak, dokładnie, ale babcia w młodości była biedna. Jej matka, jak wiele Irlandek, pracowała w Garden District jako służąca. Wujek Mickey był lekkoduchem, próżniakiem i wałkoniem, takim niebieskim ptakiem. Mój ojciec nie wiedział, jakie życie wiódł wujek Mickey.

Matka mojej matki opowiedziała mi o tym, aby pokazać mi, w jakich warunkach dorastał mój ojciec, jakim był głupcem i z jakich nizin się wywodził.

— Tak, rozumiem.

— Mój ojciec kochał wujka Mickeya. Wujek Mickey zmarł kiedy mój ojciec był jeszcze chłopcem. Mickey miał rozszerp podniebienia, szklane oko i pamiętam, że ojciec pokazał mi jego zdjęcie, opowiadając przy tym historię, jak wujek stracił oko. Wujek uwielbiał fajerwerki i któregoś razu jedna z rac wpadła do blaszanej puszki, a ta podskoczyła i wybiła mu oko. Znałam go tylko ze zdjęć. Moja babcia i wujeczny dziadek zmarli, zanim się urodziłam.

— Otóż to. Aż krewni ze strony matki powiedzieli ci, że było inaczej.

— Ojciec mojej matki był gliną. Wiedział wszystko o rodzinie Rogera, o tym, że dziadek Rogera nie stronił od butelki, podobnie zresztą jak wujek Mickey. W młodości wujek pracował

dla pewnego bukmachera. I któregoś razu przywłaszczył sobie pieniądze z zakładów. To znaczy zamiast obstawić zakłady, zatrzymał te pieniądze dla siebie. Na jego nieszczęście, koń, na którego miał postawić, wygrał gonitwę.

— Rozumiem.

— Wujek Mickey bardzo młody i jak przypuszczam, bardzo przerażony, przesiadywał w Corone Bar w Irish Chanel.

— Na Magazine Street — powiedziałem. — Ten bar istnieje tam chyba od stu lat.

— Tak, zjawili się tam oprawcy od bukmachera i zawlekli wujka na zaplecze. Ojciec mojej matki widział to wszystko. Był tam, ale nic nie mógł zrobić. Ani on, ani nikt inny. Nikt się nie odważył. I mój dziadek widział to wszystko. Te oprychy zaczęły bić i kopać wujka Mickeya. To oni uszkodzili mu podniebienie, tak że od tej pory mówił niewyraźnie. I po którymś kopnięciu twarz wypłynęło mu oko. Te oprychy zaczęły turlać gałkę oczną Mickeya po podłodze. Dziadek za każdym razem, gdy mi o tym mówił, zaznaczał: „Doro, oni mogli ocalić jego oko, ale jeden z nich rozdeptał je pod butem. Celowo zgniótł je pod podeszwą swego trzewika z długim noskiem”.

Przerwała.

— A Roger o tym nie wiedział.

— Nikt o tym nie wie. Nikt żyjący — rzekła. — Prócz mnie, ma się rozumieć. Mój dziadek nie żyje. O ile mi wiadomo, wszyscy, którzy tam wtedy byli, już nie żyją. Wujek Mickey zmarł

na początku lat pięćdziesiątych. Roger zabierał mnie na cmentarz, aby odwiedzić jego grób.

Zawsze bardzo go kochał: wujka Mickeya, z głuchym głosem i szklanym okiem. Wszyscy za nim przepadali, jak mówił Roger. Nawet rodzina mojej matki go uwielbiała. Był cudowny. Do śmierci pracował jako nocny strażnik. Wynajmował mieszkanie na Magazine Street, nad piekarnią Baera.

Zmarł na zapalenie płuc w szpitalu, zanim lekarze zdążyli się zorientować, co mu jest. Roger nigdy nie poznał prawdy o oku wujka Mickeya. Gdyby ją znał, na pewno rozmawialibyśmy o tym.

Siedziałem tam, zastanawiając się nad tym, co mi opowiedziała, albo raczej wyobrażając to sobie. Nie wychwyciłem żadnych obrazów, była zamknięta w sobie, ale głos miała mocny i zdecydowany, znałem bar Corona. Podobnie jak wszyscy, którzy kiedykolwiek spacerowali po Magazine Street, w owych czasach, gdy cała ta dzielnica należała do Irlandczyków. Znałem bandytów w trzewikach z ostrymi noskami, miażdżących oko pod butem.

— Po prostu zdeptali je pod butem — rzekła Dora, jakby czytała w moich myślach. — Mój dziadek często powtarzał, że mogliby je ocalić, gdyby jeden z nich nie nadepnął na nie celowo stopą obutą w trzewik ze spiczastym noskiem.

Zapadła cisza.

— To żaden dowód — powiedziałem.

— To dowód, że twój przyjaciel albo wróg zna różne tajemnice.

— Ale to nie dowód, że jest diabłem — mruknąłem — a poza tym czemu wybrał akurat tę historię?

— Może był tam — rzuciła z gorzkim uśmiechem.

Oboje zaśmialiśmy się cicho.

— Powiedziałeś, że to diabeł, ale że nie jest zły — ciągnęła. Wyglądała władczo, budziła zaufanie, umiała przekonywać. Odniosłem wrażenie, że postąpiłem słusznie, zwracając się do niej o radę. Przyglądała mi się z uwagą. — Powiedz mi, co zrobił ten diabeł — rzuciła.

Opowiedziałem jej całą historię. Musiałem wyjawić, jak śledziłem jej ojca; nie pamiętałem, czy mówiłem o tym wcześniej. Wyznałem, że byłem w podobny sposób prześladowany przez diabła, nie zataiłem niczego i zakończyłem zdumiewającym zwrotem:

— Jeżeli chodzi o niego, kimkolwiek i czymkolwiek jest, ma w sercu bezsenny umysł i nienasyconą osobowość! I to jest fakt. Kiedy po raz pierwszy użyłem tych słów, by go opisać, one przyszły do mnie znikąd. Nie wiem, która część mego umysłu podpowiedziała mi to. Ale to prawda.

— Możesz to powtórzyć? — poprosiła. Zrobiłem to.

Milczała. Jej oczy stały się maleńkie, siedziała, podpierając podbródek na zaciśniętej pięści.

— Lestacie, może to, co powiem, wyda ci się absurdalne, barnów coś do jedzenia. Albo przynieś mi coś do jedzenia i picia Muszę to wszystko przemyśleć.

Poderwałem się z miejsca.

— Czego sobie życzysz — rzuciłem.

— To bez znaczenia. Czegokolwiek. Nie jadłam od wczoraj. Nie chcę, by przypadkowy post wpłynął na moje myślenie. Idź, przynieś mi coś do jedzenia. Chcę zostać tu sama, aby pomodlić się, zastanowić i pospacerować wśród rzeczy ojca. Nie ma ryzyka, że ten demon zabierze cię szybciej, niż to zapowiedział?

— Wiem tylko tyle, ile ci powiedziałem. Ale nie sędzę. Dobrze, przyniosę ci coś na ząb.

Natychmiast pospieszyłem, by spełnić jej prośbę. Wszedłem budynku jak śmiertelnik i odwiedziłem jedną z zatłoczonych restauracji w śródmieściu, gdzie kupiłem gorący posiłek na wynos, i wróciłem z nim do hotelu. Zaopatrzyłem się też w kilka butelek markowej wody tak modnej w tych czasach wśród śmiertelników i wjechałem windą na górę z całym naręczem zakupów.

Gdy drzwi kabiny rozsunęły się, zrozumiałem, jak niezwykle są moje poczynania. Ja, liczący sobie dwieście lat wampir, drapieźny i dumny z natury, udałem się po sprawunki dla śmiertelniczki, ponieważ mnie o to poprosiła. Naturalnie okoliczności były nietypowe.

Uprowadziłem ją i przeniósłem do miejsca odległego o setki mil! Potrzebowałem jej. Niech to szlag, kochałem ją.

Z tego prostego zdarzenia wysnułem jeden wniosek: ona naprawdę ma moc — jak to często bywa ze świętymi — która sprawia, że inni są jej posłuszni.

Wszedłszy do apartamentu, położyłem zakupy na stole. Wszystkie pomieszczenia wypełniała mieszanina jej zapachów, także woń jej krwi miesięcznej, tej aromatycznej posoki zbierającej się na podpasce. Cały apartament tchnął nią.

Zignorowałem łatwe do przewidzenia pragnienie, aby rzucić się na nią i nasycić do woli, aż padnie.

Siedziała w fotelu, ze złączonymi dłońmi, patrząc przed siebie. Zauważyłem leżące na podłodze, pootwierane czarne teczki. A zatem wiedziała już co nieco o swoim dziedzictwie.

W końcu podeszła do stołu, ale wciąż sprawiała wrażenie, jakby nie mogła otrząsnąć się z zamyślenia. Ja tymczasem zacząłem przetrząsać szuflady w kuchni, aż znalazłem kilka widelców i noży rdzewnej stali oraz talerz z chińskiej porcelany. Rozłożyłem to wszystko na stole i położyłem obok kartonowe pudełka z gorącymi potrawami — mięsem, warzywami i jakimś słodkim sosem, który był mi kompletnie obcy; i nawet to, że niedawno znajdowałem się w śmiertelnym ciele i próbowałem różnych potraw, niczego nie zmieniało. Nie chciałem powracać do tego doświadczenia!

— Dziękuję — rzuciła mimochodem, nawet na mnie nie patrząc. — To miło z twojej strony, że się tak postarałeś.

Otworzyła butelkę wody i wypiła ją łączywie do dna. Patrzyłem na jej szyję, gdy piła.

Myślałem o niej z lubością, ale jej zapach doprowadzał mnie do szaleństwa. Musiałem wziąć się w garść.

Otóż to, obiecałem sobie. Jeżeli poczujesz, że nie jesteś w stanie kontrolować tego pragnienia, opuść

to miejsce!

Jadła powoli, bez entuzjazmu, prawie mechanicznie, aż w końcu spojrzała na mnie.

— Och, wybacz, usiądź, proszę. Nie możesz jeść, prawda? Normalne jedzenie ci nie służy.

— Niestety — przyznałem. — Ale mogę się przysiąc. Usiadłem przy niej, próbując nie chłonać jej zapachu zbyt nachalnie. Skierowałem wzrok za okno, ku białemu niebu. Nie potrafiłem stwierdzić, czy padał śnieg; chyba tak. Widziałem tylko biel. To mogło oznaczać, że Nowy Jork zniknął bez śladu albo że na zewnątrz szalała śnieżycą.

Posiłek zajął jej sześć i pół minuty. Nigdy jeszcze nie widziałem, aby ktoś jadł tak szybko.

Pozbierała naczynia i wyniosła do kuchni. Musiałem odciągnąć ją od zmywania i sprowadzić do pokoju. Dzięki temu miałem okazję dotknąć jej ciepłych, delikatnych dłoni i znaleźć się blisko niej.

— Co mi radzisz?

Usiadła i zadumała się, a może zbierała myśli.

— Sądzę, że masz niewiele do stracenia, jeśli spróbujesz współpracy z tą istotą. To całkiem oczywiste, że on mógłby cię unicestwić, gdyby tylko zechciał. Ma na to sposoby. Spałeś w swoim domu, choć wiedziałeś, że on, Zwyczajny Mężczyzna, jak go nazywasz, zna twoją kryjówkę. To oczywiste, że nie boisz się go na poziomie materialnym. Zdołałeś też wykrzesać z siebie dość odepchnąć. Co ryzykujesz, idąc na współpracę? Załóżmy, że zabierze cię do nieba i piekła. Z tego, co rozumiałam, zawsze możesz odmówić zostania jego pomocnikiem, zgadza się? Posługując się jego finezyjnym językiem, możesz po prostu powiedzieć: „Nie postrzegam spraw z twojego punktu widzenia”.

— Tak.

— Chcę powiedzieć, że moim zdaniem, otwarcie się na to, co on chce ci pokazać, nie oznacza, że musisz przystać na jego pozycję, mam rację? Wręcz przeciwnie, to on musi ukazać ci pewne sprawy ze swojej perspektywy. Poza tym masz skłonność do łamania reguł, jakiegokolwiek by one były.

— Sugerujesz, że on nie może zaciągnąć mnie do piekła, używając jakichś sztuczek?

— Pytasz poważnie? Uważasz, że Bóg mógłby pozwolić, aby ludzie za sprawą oszustwa trafiali do piekła?

— Nie jestem człowiekiem, Doro. Jestem, kim jestem. I nie próbuję tu porównywać się z Bogiem, choć używam tych samych słów. Chodzi mi o to, że jestem zły. Bardzo zły. Mam tego świadomość. Stałem się taki, odkąd zacząłem pożywiać się ludźmi. Jestem Kainem, mordercą braci swoich.

— Wobec tego Bóg może posłać cię do piekła, kiedy tylko zechce. Dlaczego nie?

Pokręciłem głową.

— Sam chciałbym wiedzieć. Ciekaw jestem, dlaczego tego nie zrobił. Z twoich słów wynika jednak, że w całą sprawę są wmieszane dwie siły.

— Zgadza się.

— A wiara w jakiegoś rodzaju sztuczki czy oszustwa graniczy z zabobonami.

— Właśnie tak. Jeżeli pójdziesz do nieba, jeśli pomówisz z Bogiem... — przerwała.

— Czy poszłabyś, gdyby poprosił cię o pomoc, gdyby powiedział, że wcale nie jest zły, ale jest adwersarzem Boga i może sprawić, że odmienisz swój światopogląd?

— Nie wiem — odrzekła. — Może. Na pewno kierowałabym się wolną wolą, ale, kto wie?

— Otóż to. Wolna wola. Czy tracę ją, a w dodatku także rozum?

— Wygląda na to, że ani jednego, ani drugiego ci nie brakuje, a w zapasie masz jeszcze całe mnóstwo nadnaturalnej siły.

— Czy wyczuwasz we mnie zło?

— Nie. Jesteś na to zbyt piękny i dobrze o tym wiesz.

— Ale musi być we mnie w środku coś paskudnego i spaczzonego, musisz to dostrzegać i wyczuwać.

— Prosisz mnie o pocieszenie, a tego akurat dać ci nie mogę — odparła. — Nie wyczuwam tego, o czym mówisz. Wierzę w to, co mi powiedziałeś.

— Dlaczego?

Zamyśliła się. Wreszcie wstała i podeszła do przeszklonej ściany.

— Zwróciłam się do Najwyższego z zapytaniem — rzekła, patrząc w dół, być może na dach katedry. Nie widziałem jej z tego miejsca. — Poprosiłam Go o wizję.

— I sądzisz, że ja mogę stanowić odpowiedź.

— To możliwe — odparła, odwracając się i ponownie przenosząc na mnie wzrok. — Nie chcę przez to powiedzieć, że wszystko dzieje się z powodu Dory i jej prośby. Bądź co bądź to przydarzyło się tobie. Niemniej jednak poprosiłam o wizję i spotkała mnie cała seria cudownych zdarzeń. Tak, muszę przyznać, że ci wierzę, podobnie jak wierzę w istnienie i dobroć Boga. —

Podeszła do mnie, przestępując ostrożnie nad porozkładanymi na podłodze teczkami. — Wiesz, nikt nie potrafi stwierdzić, dlaczego Bóg daje przyzwolenie na zło.

— Wiem.

— Ani skąd wzięło się ono na świecie. Ale na całej ziemi miliony z nas — wyznawcy Pisma, muzułmanie, żydzi, katolicy, protestanci, potomkowie Abrahama — znają historię i zdarzenia z życia, w których pojawia się zło, pojawia się diabeł i dany jest element, na który zezwolił Bóg: obecność adwersarza, cytując twojego wymownego przyjaciela.

— Tak. Adwersarz. Dokładnie tak to określił.

— Wierzę i ufam Bogu — rzuciła.

— I sugerujesz, że ja też powinienem zawierzyć? Co masz do stracenia? — spytała.

Nie odpowiedziałem.

Zaczęła krążyć w zamyśleniu po pokoju, czarne włosy delikatnie muskały jej policzek, długie, przyobleczone w czerń nogi wydawały się przeraźliwie szczupłe i piękne zarazem. Czarny płaszcz zrzuciła już dawno temu i nagle zorientowałem się, że ma na sobie tylko cienką, jedwabną, czarną sukienkę. Znow poczułem zapach jej krwi, sekretnej, wonnej, kobiecej krwi.

Odwrociłem od niej wzrok.

— Wiem, co mam do stracenia w tego typu kwestiach — odezwała się. — Gdybym wierzyła w Boga, a Boga by nie było, straciłabym całe moje życie. Na łożu śmierci uświadomiłabym sobie, że odrzuciłam jedyne prawdziwe poznanie wszechświata, jakie kiedykolwiek będzie mi dane.

— Dokładnie tak samo uważałem za życia. Nie zamierzałem marnować czasu na wiarę w coś, co niepoznawalne i niemożliwe do udowodnienia. Chciałem za życia zobaczyć, poczuć i posmakować.

— Otóż to. Ale widzisz, twoja sytuacja jest inna. Jesteś wampirem. Z teologicznego punktu widzenia jesteś demonem. Jesteś na swój sposób potężny, ale nie możesz umrzeć w sposób naturalny. Masz nad ludźmi przewagę.

Zastanawiałem się nad tym.

— Czy wiesz, co dziś wydarzyło się na świecie? — spytała. — Tylko tego jednego dnia?

Zawsze zaczynamy dzienniki od takich doniesień. Czy wiesz, ilu ludzi umarło w Bośni? W

Rosji? W Afryce? Ile stoczono potyczek, ile popełniono morderstw?

— Wiem, o co ci chodzi.

— Chodzi mi o to, że jest mało prawdopodobne, aby ta istota mogła jakimiś sztuczkami nakłonić cię do czegokolwiek. Dlatego idź z nią. Niech pokaże ci to, co obiecała. A jeżeli się mylę... i jeżeli fortem zabierze cię do piekła, będzie to oznaczać, że popełniam fatalną pomyłkę.

— Nie, wcale nie. Byłoby to tylko pomszczenie śmierci ojca ot i wszystko. Zgadza się z tobą. Takie sztuczki są zbyt pretensjonalne, aby mógł się do nich zniżyć. Zaufam instynktowi. I powiem ci coś

jeszcze na temat Memnocha, co może cię zaskoczyć.

— Ze go polubiłeś? Wiem o tym. Od razu się zorientowałam.

— Jak to możliwe? Przecież wiesz, że nie lubię sam siebie. To znaczy Kocham siebie, bo jestem na siebie skazany aż do dnia śmierci. Ale nie lubię siebie.

— Powiedziałeś mi coś ubiegłej nocy — rzekła. — Powiedziałeś, że gdybym cię potrzebowała, mogę wezwać cię moimi myślami i głosem serca.

— Tak.

— Ty zrób to samo. Jeżeli pójdziesz z tą istotą i będziesz mnie potrzebował, nie zawahaj się mnie wezwać. Powiem to tak: Gdybyś nie mógł uwolnić się samemu i przydałaby ci się moja interwencja, wezwij mnie. Usłyszę cię. I będę wołać za tobą pod niebiosami. Nie o sprawiedliwość, lecz o miłosierdzie. Obiecasz mi to?

— Oczywiście.

— Co teraz zrobisz? — spytała.

— Spędzę z tobą pozostałe godziny, zajmę się twoimi sprawami. Dzięki moim licznym kontaktom upewnię się, że te wszystkie rzeczy, gdy przejdą na twoją własność, nie uczynią ci żadnej szkody, nie zniszczą twojej reputacji ani wizerunku.

— Mój ojciec o to zadbał — rzekła. — Uwierz mi. Dopilnował tego bardzo solidnie.

— Jesteś pewna?

— Zrobił to z typową dla siebie przemyślną, choć dość pokretną logiką. Zostawił więcej pieniędzy, by wpadły w ręce wrogów, niż jest wart majątek, który przeznaczył dla mnie.

Tamci nie będą szukać niczego więcej. Kiedy uświadomią sobie, że on nie żyje, zaczną grabić na prawo i lewo to, co zostawił.

Mówisz to z takim przekonaniem.

— Tak najbardziej. Zajmij się swoimi sprawami. Nie musisz się martwić o moje. Zatrósz się o siebie, skoro już podjąłeś tak ważną decyzję.

Przyglądałem się jej przez długi czas. Wciąż siedziałem przy stole. Ona stała plecami do szyby. Zlewała się z czarnym tłem; jedyne co się w niej odznaczało, to blade oblicze.

— Doro, czy Bóg istnieje? — wyszeptałem. Tyle razy wypowiadałem te słowa! Zapytałem o to samo Gretchen, gdy jako śmiertelnik leżałem w jej ramionach.

— Tak, Lestacie, Bóg istnieje — odrzekła Dora. — Możesz być tego pewien. Może gdybyś modlił

się do Niego dostatecznie długo i głośno, w końcu zwróciłby na ciebie uwagę. Czasem zastanawiam się, czy jedną z cech Boga nie jest niesłuchanie nas, gdy szlochamy, celowe zatykanie uszu, by nie docierały Doń nasze błagania!

— Czy mam zostawić cię tutaj, czy przenieść z powrotem do Nowego Orleanu?

— Zostaw mnie. Nie chcę ponownie podejmować takiej podróży. Przez resztę mego życia będę próbowała przypomnieć sobie jej szczegóły, lecz jak sądzę, bez powodzenia. Chcę zostać tu, w Nowym Jorku, z rzeczami mego ojca. A co się tyczy pieniędzy? Swoją misję możesz uznać za zakończoną.

— A więc przyjmujesz te skarby, całą tę fortunę?

— Tak. Oczywiście. Przyjmuję. Zatrzymam cenne księgi Rogera do czasu, gdy będzie można bezpiecznie pokazać je innym, w tym także jego ulubione dzieła, heretyka Wynkena de Wilde.

— Czy życzysz sobie ode mnie czegoś jeszcze? — spytałem. — Sądzisz... czy wydaje ci się, że kochasz Boga?

— Absolutnie nie.

— Czemu tak mówisz?

— Jak mógłbym Go kochać? — spytałem. — Jak ktokolwiek może Go kochać. Co przed chwilą sama mówiłaś mi o świecie? Nie rozumiesz? Wszyscy teraz nienawidzą Boga. Nie jest tak, że Bóg umarł w dwudziestym wieku. Chodzi o to, że wszyscy Go nienawidzą! A przynajmniej tak mi się wydaje. Może właśnie to próbuje mi powiedzieć Memnoch.

Była zdumiona. Zmarszczyła brwi w wyrazie rozczarowania i tęsknoty. Chciała coś powiedzieć. Wykonała delikatny gest dłonią, jakby zrywała z powietrza niewidzialny kwiat, aby zaprezentować mi jego piękno, któż to wie?

— Nienawidzę Go — powiedziałem.

Przeżegnała się i złożyła dłonie.

— Modlisz się za mnie?

— Tak — odparła. — Nawet jeśli już nigdy cię nie zobaczę, jeśli nigdy nie natrafię na żaden dowód potwierdzający to, że istniałeś albo byłeś tu dzisiaj ze mną, wiedz, że mnie odmieniłeś i nigdy już nie będę taka sama. W pewnym sensie jesteś moim cudem. Jesteś ważniejszym dowodem niż te, które dano milionom śmiertelników. Stanowisz dowód nie tylko na istnienie rzeczy nadnaturalnych, tajemniczych i cudownych, stanowisz dowód na to, w co wierzę!

— Rozumiem! — Uśmiechnąłem się, uśmiechnąłem się szczerze i pokręciłem głową. — Nie chcę cię opuszczać.

— Idź! — rzuciła i zacisnęła dłonie w pięści. — Zapytaj Boga, czego od nas chce! —

krzyknęła gniewnie. — Masz rację. Nienawidzimy Go! — Jej oczy rozbłysły wściekłością, ale ten ogień wkrótce się wypalił i gdy spojrzała na mnie; wydały mi się większe i jaśniejsze, bo były wilgotne od łez.

— Żegnaj, kochanie — powiedziałem. To było takie niezwykle i bolesne.

Wyszedłem na zewnątrz w śnieżną zadymkę. Drzwi do katedry Świętego Patryka były zamknięte i zaryglowane; stanąłem u stóp kamiennych schodów, patrząc na wznoszącą się ku nie Olympic Tower i zastanawiając się, czy Dora widzi, jak tam stoję, marznąc na mrozie i pozwalając, by płatki śniegu padały mi twarz, miękko, natarczywie, nieustępliwie i pięknie.

— W porządku, Memnochu — powiedziałem donośnym tonem. — Nie musisz już dłużej czekać. Przybądź teraz, jeżeli chcesz.

W tej samej chwili usłyszałem kroki! Zupełnie jakby rozbrzmiewały echem wzdłuż całej Piątej Alei, wśród strzelistych wież Babel. Postawiłem wszystko na jedną kartę. Rozejrzałem się dokoła. Jak okiem sięgnąć, nigdzie żadnego śmiertelnika!

Memnochu Diable! — krzyknąłem. — Jestem gotów! — Umierałem ze strachu. —

Udowodnij prawdziwość swych słów, Memnochu. Zrób to!

Kroki przybierały na sile. Najwyraźniej uwielbiał niektóre ze swoich sztuczek.

— Pamiętaj, musisz pokazać mi to wszystko ze swojej perspektywy. Obiecałeś!

Zerwał się wiatr, ale nie mam pojęcia, skąd powiał. Cała ta wielka metropolia wydawała się pusta, zamarznęta, jakby miała się stać moim grobem. Śnieg zawirował i zgęstniał u wejścia do katedry. Wieże były coraz słabiej widoczne.

Usłyszałem tuż obok siebie jego głos, bezcielesny i poufały.

— W porządku, ukochany — powiedział. — Teraz możemy już zacząć.

10

Znajdowaliśmy się w wirze, a wir był tunelem. Obaj, ja i Memnoch, milczeliśmy i w tej ciszy słyszałem jedynie szept własnego oddechu. Memnoch był tuż obok, obejmując mnie jedną ręką.

Widziałem profil jego ciemnego oblicza i czułem na policzku dotyk jego gęstych włosów.

Nie był teraz Zwyczajnym Mężczyzną, lecz granitowym aniołem, nie widziałem skrzydeł, ale wiedziałem, że są rozłożone i otaczają nas, chroniąc przed siłą wiatru.

Gdy tak wznosiliśmy się, przewyciężając siłę grawitacji, jakby w ogóle nie istniała, uświadomiłem

sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, otaczały nas setki tysięcy dusz. Właśnie, dusz!

Co zobaczyłem? Ujrzałem kształty pośród wiru, jedne antropomorficzne, inne rozmyte, z ledwie tylko zarysowanymi twarzami, ale otaczały mnie ze wszystkich stron, były wszędzie, widmowe postacie, zjawy, usłyszałem też ich słabe głosy, szepty, krzyki, skowyt, mieszające się z zawodzeniem wiatru. Dźwięki te nie czyniły mi już żadnej szkody, w przeciwieństwie do tego, co było wcześniej, a jednak słyszałem je, gdy się wzbijaliśmy, obracając się jak wokół osi; tunel zwęził się, dusze zbliżyły tak bardzo, jakby pragnęły nas dotknąć, korytarz znów się rozszerzył, by jednak zaraz się zwęzić.

Po drugie, zauważyłem, że ciemność bladła, a może była wypierana z ciała Memnocha. Jego profil był jasny, wręcz przejrzysty, podobnie jak jego bezkształtne, niepozorne odzienie. Nogi, przypominające wcześniej koźle, stały się teraz nogami ludzkimi. Innymi słowy, cała ta posępna, mroczna jak dym obecność została zastąpiona przez świetlistą, lśniąca postać, która jednak sprawiała wrażenie elastycznej, ciepłej i żywej.

Znów usłyszałem słowa — fragmenty Pisma, wizji i prorocत्व, i poezji, nie było jednak czasu, by się im przysłuchać, przeanalizować czyje zapamiętać. Memnoch odezwał się do mnie głosem, który mógł nie być słyszalny w tradycyjnym rozumieniu tego słowa, aczkolwiek odebrałem go jako typowy, pozbawiony akcentu, nijaki głos Zwyczajnego Mężczyzny.

— Trudno jest dostać się do nieba bez odpowiedniego, podstawowego choćby przygotowania.

Wiedz, że to, co zobaczysz, oszołomi cię i wprawi w zdumienie. Gdybyś jednak nie zobaczył

tego już teraz, łaknąłbyś tego przez całą naszą rozmowę, toteż doprowadzę cię do niebieskich bram. Wiedz, że śmiech, który usłyszysz, nie jest śmiechem. To radość. Będiesz odbierać ją jako śmiech, ponieważ tylko w taki sposób równie ekstatyczny dźwięk może być fizycznie odbierany i emitowany.

Ledwie to powiedział, znaleźliśmy się w ogrodzie, na moście przerzuconym ponad strumieniem! Przez chwilę światło oślepiało mnie i musiałem zmrużyć powieki, przekonany, że oto odnalazło mnie bezlitosne słońce i zaraz spłonę w jego gorących promieniach, tak jak być powinno — moje wampirze ciało stanie w ogniu i obróci się w proch.

To pochodzące z niewiadomego źródła światło było jednak nad wyraz łagodne i przenikliwe.

Otworzyłem oczy i zorientowałem się, że znów znajdujemy się wśród setek innych postaci, nad brzegami strumienia zaś ujrzałem istoty witające się nawzajem, wymieniające uściski, rozmawiające, płaczące i szlochające. Te istoty również były wdziej lub mniej wyraziste. Jeden mężczyzna wydawał się materialny, jak człowiek, którego mijaliśmy na ulicy, inny wyglądał jak rozmyta, ledwie widoczna twarz unosząca się w powietrzu. Niektóre sylwetki przypominały wirujące strzępy materii i światła. Jeszcze inne były całkiem przejrzyste. Innych nie widziałem, choć miałem wiadomość, że tam są! Nie sposób było określić ich liczby.

Miejsce to wydawało się nie mieć granic. Wody strumieni lśniły odbitym światłem; trawa miała tak intensywną, zieloną barwę, jakby dopiero się nią stawała, jakby rodziła się, czy to na płótnie, czy na klatkach filmu animowanego!

Przywarłem do Memnocha i odwróciłem się, by przyjrzeć się jego nowej, świetlistej postaci.

Wyglądał jak kompletne przeciwieństwo mrocznego, gigantycznego anioła, ale jego oblicze miało te same mocne rysy co czarny posąg, w oczach zaś krył się ten sam czuły, choć posępny wyraz. Przyjrzyjcie się diabłom i aniołom Williama Blake'a, a też to ujrzycie. To coś wykraczającego poza bariery niewinności.

— Teraz wejdziemy do środka — oznajmił.

Zdałem sobie sprawę, że trzymam się go obiema rękami.

— Chcesz powiedzieć, że to nie jest niebo! — zawołałem a w moim głosie pojawiła się nuta poufałości.

— Nie — odrzekł z uśmiechem i przeprowadził mnie przez most. — Kiedy znajdziemy się w środku, będziesz musiał zachować spokój. Jesteś wszak w swoim ziemskim ciele, choć to niezwykle, i twoje zmysły czeka istna nawała wrażeń i emocji. Nie będziesz ich w stanie znieść, tak jak wtedy, gdybyś był nieboszczykiem, aniołem lub moim adiutantem, czyli gdybyś przyjął

moją propozycję.

Nie było czasu na spory. Pospiesznie przeszliśmy przez most, wielkie wrota otwarły się przed nami.

Nie byłem w stanie dostrzec zwieńczenia murów.

Dźwięki nabrzmiały i otoczyły nas, rzeczywiście przypominały śmiech, przetaczające się fale perlistego, donośnego śmiechu, melodyjnego, jakby ten, kto się śmiał, równocześnie śpiewał na całe gardło kantyki.

To, co ujrzałem, zdumiało mnie, podobnie jak te dźwięki. Było to z pewnością najbardziej zagęszczone, najbardziej tłoczne, intensywne, gwarne i cudowne miejsce, jakie miałem okazję widzieć. Nasz język wymaga nieskończonych synonimów piękna; język nie jest w stanie opisać tego, co rejestruje nasz wzrok.

Także tutaj wszędzie byli ludzie, ludzie wypełnieni światłem, mrowie antropomorficznych sylwetek; z nogami, rękoma, promiennymi twarzami, włosami, w różnego rodzaju strojach, lecz ubiór wydawał się tu ważny; ludzie ci przemieszczali się, pojedynczo lub grupkami, obejmując się nawzajem, ściskając sobie dłonie lub trzymając się za rękę.

Odwrociłem się w lewo i w prawo, a potem okręciłem dokoła, wszędzie gdzie spojrzałem, widziałem mrowie istot pogrążonych w rozmowach lub zażartych dyskusjach, niektóre z tych postaci obejmowały się, całowały, inne tańczyły, kolejne grupki świetlistych sylwetek rozdzielały się lub rosły liczebnie.

Ten niezwykle melanz pozornego chaosu i ładu stanowił dla mnie zagadkę. To nie był chaos.

Nie było tu zamieszania. Ani nieprzyjemnego hałasu. Panowała tu radość, zadowolenie z wielkiego,

ostatecznego zgromadzenia, a przez ostateczne rozumienie to że bez końca dochodziło tu do niezwykle zdarzeń, oświeceń i objawień doświadczanych przez wszystkich, którzy w nich uczestniczyli, niezależnie czy szli szybkim krokiem, czy wolno, wręcz leniwie (niektórzy zaś siedzieli to tu, to tam, pogrążeni w błogiej beczyność), pośród wzgórz i dolin, przemierzając kolejne ścieżki, lasy, zagajniki i docierając do budowli, które zdawały się wyrastać jedne z drugich i które nie przypominały żadnych budynków, jakie widziałem na ziemi.

Nigdzie nie zauważyłem niczego, co przypominałoby budynek mieszkalny, dom lub pałac.

Wręcz przeciwnie, te obiekty były nieskończenie większe, wypełnione podobną światłością jak ogród, z korytarzami i schodami rozgałęziającymi się tu i tam idealnie płynnie. Wszystko było ukryte wśród ornamentów. Prawdę mówiąc, powierzchnie i faktury były tak różne, że każda z nich mogła na zawsze zaabsorbować moją uwagę.

Nie potrafię przekazać wrażenia symultanicznej obserwacji, które wtedy mnie ogarnęło.

Muszę mówić powoli i fragmentarycznie. Postaram się oddać kawałek po kawałku piękno tego ograniczonego, cudownego otoczenia, aby rzucić na to wszystko choć odrobinę światła.

Były tu łukowe przejścia, wieże, hole, galerie, ogrody, ogromne pola, lasy i strumienie. Jeden obszar płynnie przechodził w drugi, a ja przemierzałem je kolejno, w towarzystwie Memnocha, który trzymał mnie w mocnym uścisku. Raz po raz mój wzrok przykuwała jakaś szczególnie urzekająca rzeźba, kaskada kwiatów luk olbrzymie drzewo, sięgające konarami ku czystemu, lazurowemu niebu, lecz Memnoch bezceremonialnie odwracał mnie ku sobie jakbyśmy szli obaj po linii i chwila mojej nieuwagi mogłaby dla nas obu zakończyć się fatalnie.

Śmiałem się; płakałem; robiłem jedno i drugie naraz, a moim ciałem targały spazmy emocji.

Przywarłem do niego, próbowałem spojrzeć ponad jego ramiona i wokół. Wiłem się w jego uścisku jak dziecko, kręcąc głową, by odnaleźć spojrzenie tej czy innej patrzącej na mnie postaci albo przyjrzeć się znajdującym się opodal większym lub mniejszym grupkom świetlistych sylwetek.

Nagle znaleźliśmy się w rozległej sali.

— Boże, gdyby David mógł to zobaczyć! — Zapłakałem; ksiąg i zwojów było tu bez liku, a w sposobie i układzie, w jaki wszystkie te dokumenty rozłożono i przygotowano do lektury, nie było nic chaotycznego ani nielogicznego.

— Nie patrz, bo i tak nic nie zapamiętasz — powiedział Memnoch.

Schwycił mnie za rękę jak małego brzdąca. Próbowałem sięgnąć po zwój wyjaśniający przystępnie i łatwo coś, co związane było z atomami, fotonami i neutronami. Memnoch miał

jednak rację. Te informacje przyszły niemal natychmiast, a wokół nas pojawił się bezkresny ogród; straciłem równowagę i osunąłem się na niego.

Spojrzałem w dół na piękne w swej doskonałości kwiaty; takim' jak te mogły stać się kwiaty w

naszym świecie!

Nie wiem, czy można jakoś opisać te płatki, pręciki i kolory. Same barwy były tak wyraziste i przepięknie podkreślone, musiały chyba wykraczać poza znane nam wszystkim spektrum. To spektrum barw nie stanowiło żadnych ograniczeń. Chyba w grę wchodziły jakieś inne zasady. A może owo spektrum uległo szerzeniu, dzięki czemu dane mi było ujrzeć kombinację barw, które na ziemi nie istnieją.

Fale śmiechu, śpiewu, rozmów były tak głośne, że zagłuszały doznania innych zmysłów; poczułem się oślepiiony dźwiękami, ale blask obnażał bezlitośnie wszelkie najdrobniejsze nawet detale.

— Szafirowy! — zawołałem nagle, próbując rozpoznać odcień błękitnawej zieleni wielkich liści, które nas otaczały i falowały leniwie.

Memnoch uśmiechnął się i pokiwał głową, jakby z aprobatą, ponownie powstrzymując mnie przed dotknięciem nieba, przed próbą kontaktu z pięknem, które mnie poraziło.

— Przecież dotknięciem nic złego nie zrobię, prawda? — Wydało mi się nie do pomyślenia, że ktoś mógłby coś tutaj uszkodzić, od ścian z kwarcu i kryształu, z wznoszącymi się pod niebiosa wieżyczkami i dzwoniczami, poprzez miękkie winoroślą wijące się wśród gałęzi drzew, ciężkich od pięknych, dorodnych owoców i kwiatów. — Nie, nie, nie chciałbym tego uszkodzić

— powiedziałem.

Mój własny głos zabrzmiał dość wyraźnie, choć inne głosy wciąż zdawały się go zagłuszać.

— Spójrz! — rzekł Memnoch. — Popatrz na nie! Zobacz!

I odwrócił mi głowę, abym nie wtulił twarzy w jego pierś, lecz na własne oczy ujrział te cudowności. Stwierdziłem, że jestem świadkiem ponownego zjednoczenia, gromadzenia się klanów, rodzin, bliskich i znajomych, wiernych przyjaciół, istot, których wiedza o sobie nawzajem była naprawdę ogromna, istot, które pod względem fizycznym i materialnym wyglądały niemal tak samo. Przez jedną chwilę, mgnienie oka, gdy zebrałem się na odwagę, spostrzegłem, że te istoty od jednego końca tego bezmiaru do drugiego są ze sobą połączone, ręką, palcami dłoni, ramieniem lub stopą. Te klany naprawdę stanowiły jedność, plemiona tworzyły niezliczone, pojedyncze rodziny, a te z kolei formowały całe narody, co więcej, widać było wyraźnie, że wspólnoty te łączy nierozzerwalna więź. Wszyscy zależeli od siebie nawzajem.

Wszyscy, choć odrębni, stanowili jedną całość, czerpiąc z odrębności innych.

Zamrugłem oszołomiony, bliski omdlenia. Memnoch przytrzymał mnie.

— Spójrz raz jeszcze! — wyszeptał, podtrzymując mnie zdecydowanie.

Ja wszelako zasłoniłem oczy, wiedziałem bowiem, że gdybym raz jeszcze zobaczył tę wszechobecną więź, całkiem bym się załamał! Moje poczucie odrębności szczyłoby niechybnie!

Mimo to każda istota, jaką tu widziałem, była odrębna i samodzielna.

— One wszystkie są sobą! — zawołałem. Zakryłem oczy dłońmi.

Intensywniej niż dotychczas usłyszałem grzmiące pieśni, długie riffy i kaskady głosów. A pośród tego wszystkiego dało się wyczuć sekwencje płynnych rytmów, nakładających się na siebie tak dojmujących, że ja również zacząłem śpiewać.

Śpiewałem ze wszystkimi! Stałem w bezruchu, na chwilę odstąpiwszy od Memnocha.

Otworzyłem oczy i usłyszałem głos dobywający się z moich ust i wznoszący się ku najdalszym zakątkom wszechświata. Śpiewałem i śpiewałem; lecz moja pieśń była pełna tęsknoty, niezmierzonej ciekawości, frustracji i uniesienia. Powróciła do mnie, wdarła się we mnie, z przekonaniem, że wokoło nie ma nikogo, kto czułby się zagrożony czy niezadowolony, nie było mowy o bezruchu ani znudzeniu, aczkolwiek tej ciągłej płynności i falowania twarzy i form, które widziałem, nie sposób było określić mianem „szalonej”.

Moja pieśń jako jedyna w niebie zawierała smutną nutę, lecz smutek ów w mig przerodził się w harmonię, w coś na wzór psalmu lub kantyku, w hymn pochwalny, pełen wdzięczności i cudownego zadziwienia.

Krzyknąłem. Chyba zawołałem: „Boże!” To nie była modlitwa, błaganie ani prośba, lecz zwykłe wołanie.

Stanęliśmy w progu. Za nami rozpościerały się nieopisane widoki, a ja odniosłem wrażenie, że poniżej pobliskiej balustrady rozciąga się świat. Świat, jakiego nigdy dotąd nie widziałem, na wszystkich epokach i z ujawnionymi wszystkimi zagadkami przeszłości. Musiałem jedynie podbiec do barierki i spojrzeć w dół, czasy rajskiego ogrodu, starożytnej Mezopotamii lub dni, kiedy legiony rzymskie maszerowały przez lasy mojej ziemskiej ojczyzny.

Mógłbym zobaczyć także, jak Wezuwiusz wyrzuca z siebie deszcz zabójczego popiołu na starożytne Pompeje. Było tam wszystko, można poznać i zrozumieć, odpowiedzi na wszelkie pytania, zapach innych dni, ich smak... podbiegłem do balustrady, która zdawała się oddalać ode mnie. Pomknąłem ku niej jeszcze szybciej, ale odległość wciąż się powiększała, i nagle zdałem sobie sprawę, że owa wizja ziemi musiałaby mieszać się z dymem, ogniem i cierpieniem, co z pewnością zabiłoby we mnie uczucie nieopisanej radości. A jednak musiałem to ujrzeć. Nie byłem martwy. Nie miałem tu pozostać.

Memnoch wyciągnął do mnie rękę. Ja wszelako pobiegłem szybciej od niego.

Wtem pojawiło się silne światło, jego źródło było nieskończenie bardziej gorące i jaskrawe niż ten cudny blask spowijający wszystko, co jawiło się moim oczom. Ta potężna, przyciągająca jak magnes jasność narastała, aż świat poniżej, bezkresny krajobraz pełen dymu, grozy i cierpienia, znikł pośród oślepiającej bieli, tak silnej, że wydawało się, iż lada chwila spali go na popiół.

Memnoch pociągnął mnie do tyłu, unosząc ręce, by zakryć mi oczy. Zrobiłem to samo.

Uświadomiłem sobie, że pochylił głowę i także zasłonił sobie oczy.

Usłyszałem jego westchnienie — a może jęk? Nie potrafiłem tego stwierdzić. Na sekundę ten dźwięk wypełnił wszechświat, wszystkie krzyki, śmiech i śpiewy, a także jakiś posępny, żalony dźwięk z ziemskiej otchłani, wszystkie te odgłosy zawarły się w westchnieniu Memnocha.

Nagle poczułem, że uścisk jego silnych ramion słabnie. Puścił mnie. Uniosłem wzrok i wśród powodzi światła ujrzałem balustradę i opartą o nią postać.

Była wysoka, obiema rękami opierała się o poręcz, patrząc w dół. Wydawało się, że to mężczyzna. Odwrócił się, popatrzył na mnie i wyciągnął do mnie rękę. Włosy i oczy miał ciemne brązowe, twarz doskonale symetryczną, bez skazy, spojrzenie przenikliwe i silny uścisk.

Wstrzymałem oddech. Poczuję swoje ciało, w całej jego materialności i kruchości, gdy dotknął mnie palcami. Byłem bliski śmierci. W tej chwili całkiem przestałem oddychać i stałem jak wryty; gdyby to miało trwać dłużej, ani chybi wyzionąłbym ducha.

Przyciągnął mnie do siebie, światło, jakie emitował, mieszało się z blaskiem z tyłu i wokół niego, dzięki czemu oblicze wydawało się bardziej wyraziste i szczegółowe. Dostrzegłem pory na jego ciemnozłotej skórze, popękane wargi i drobny meszek ciemnego zgolonego niedawno zarostu.

I wtedy przemówił, łagodnym, chwytającym za serce głosem, silnym, męskim, choć niezbyt starym.

— Nie mógłbyś zostać moim adwersarzem, prawda? Nie mógłbyś, powiedz, że nie. Nie ty, Lestacie, nie ty!

M ó j B o ż e .

Cierpiąc niewysłowione katusze, zostałem wyrwany z Jego uścisku, z Jego objęć i Jego Królestwa.

Znów otoczył nas wir. Szlochałem i biłem pięścią w pierś Memnocha. Niebiosa zniknęły!

— Puść mnie, Memnochu! To był Bóg! Bóg!

Memnoch wzmocnił uścisk, wyęzając siły, by sprowadzić mnie w dół, przełamać mój opór i zmusić, abyśmy rozpoczęli schodzenie.

Runęliśmy w dół, znów to okropne uczucie spadania, które wzbudziło we mnie taki lęk, że nie byłem w stanie zaprotestować, przyłgnąć do Memnocha ani uczynić nic więcej, jak tylko obserwować otaczające nas zewsząd fale dusz, wznoszących się, patrzących i opadających; znów zapanowała ciemność, wszystko spowięła czerń i oto nagle mknęliśmy przez wilgotne powietrze, pełne znajomych, naturalnych woni, i zatrzymaliśmy się naraz łagodnie, bezszelestnie.

Znów ogród. Nieruchomy i piękny. To jednak była ziemia. Nie miałem wątpliwości — Moja ziemia: mieszana woni, fizyczność i złożoność nie wywołały we mnie rozczarowania. Wręcz przednie

upadłem w trawę, wpijając palce w glebę. Była miękka i krucha, rozgniatąłem grudki paznokciami. Szlochałem. Czułem w ustach smak błota.

Promienie słońca padały na nas obu. Memnoch siedział, patrząc na mnie, jego wielkie skrzydła powoli zaczęły znikać i w końcu pozostaliśmy tylko my, dwie pozornie ludzkie postacie, jedna leżąca na ziemi i płacząca jak dziecko, druga zaś majestatyczna jak Anioł, zadumana i czekająca cierpliwie; z czupryną włosów utkanych z miodowego blasku.

— Słyszałeś, co do mnie powiedział! — zawołałem. Usiadłem. Mój głos powinien brzmieć ogłuszająco, lecz był po prostu zwyczajnie słyszalny. Powiedział: „Nie mógłbyś zostać moim adwersarzem!” Słyszałeś Go! Zwrócił się bezpośrednio do mnie!

Memnoch był całkiem spokojny; w swej anielskiej postaci wyglądał bardziej kusząco i czarująco niż jako Zwyczajny Mężczyzna.

— To oczywiste, że zwrócił się bezpośrednio do ciebie — powiedział; jego oczy rozszerzyły się nieznacznie. — On nie chce, abyś mi pomagał. Powiedziałem ci, że zwyciężam.

— Ale co my tam robiliśmy? Jak mogliśmy dostać się do nieba i równocześnie być adwersarzem Boga?

— Pójdź ze mną, Lestacie, i zostań mym adiutantem, a będziesz mógł chodzić, gdziekolwiek tylko zechcesz.

Patrzyłem na niego w ciszy i zdumieniu.

— Tam też? Mógłbym tam bywać?

— Tak, kiedy tylko byś zechciał. Już ci to mówiłem. Nie znasz Pisma? Nie będę tu perorował

o autentyczności fragmentów, jakie pozostawiono, ani nawet o oryginalnej poezji, ale to oczywiste, że będziesz mógł tam bywać. Nie będzie miejsca, które nie stałoby przed tobą otworem. Gdy staniesz u mego boku, będziesz mógł odwiedzić to miejsce, kiedy tylko zechcesz.

Próbowałem pojąć, co chciał mi zasugerować. Znów usiłowałem wyobrazić sobie te galerie, biblioteki, półki pełne książek i nagi uświadomiłem sobie, że te obrazy bledną, szczegóły rozmywają się błyskawicznie. To, co opisałem w tej książce, to obrazy, które od czasu do czasu mi się przypominają. A było tego znacznie więcej!

— Jak to możliwe, że wpuścił nas do nieba? — spytałem. Próbowałem skupić się na Piśmie, na czymś, co dawno temu powiedział David na temat Księgi Hioba, czymś o szatanie, który gdzieś się udał, a Bóg niemal mimochodem zapytał go: „Gdzie byłeś?”, na padających w odpowiedzi słowach: *bene ha elohim* albo dwór niebieski...

— Jesteśmy Jego dziećmi — odrzekł Memnoch. — Czy chcesz usłyszeć, jak to się wszystko zaczęło, poznać całą, prawdziwą historię Stworzenia i Upadku, czy wolisz raczej wrócić i rzucić Mu się w ramiona?

— Cóż jest ponad to? — zapytałem. Ale znałem już odpowiedź. Rozumiałem, co mówił do mnie Memnoch. Poza tym nie mogłem tam wrócić sam z siebie, łączyła się z tym wymagana ode mnie powinność. Nie mogłem tam wrócić sam i Memnoch o tym wiedział. Miałem wybór, o tak: mogłem udać się tam z Memnochem albo wrócić na ziemię. Nie spodziewałem się, że po raz drugi zostanę wpuszczony do nieba. Te słowa Memnocha aż ociekały sarkazmem. Nie mogłem wrócić i rzucić Mu się w ramiona.

— Masz rację — rzekł — ale równocześnie się mylisz!

— Nie chcę oglądać piekła! — rzuciłem nagle. Poderwałem się. Cofnąłem. Rozejrzałem dokoła. To był dziki ogród, mój Dziki Ogród, pełen kolczastych pnączy, masywnych drzew, gęstej trawy, orchidei przywierających do omszałych rozgałęzień konarom i ptaków fruujących wysoko wśród liści. — Nie chcę ogląda piekła! — krzyknąłem. — Nie chcę, nie...

Memnoch nie odpowiedział. Wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał.

— Chcesz poznać przyczynę wszystkiego czy raczej nie? — odezwał się wreszcie. — Byłem przekonany, że chcesz to wiedzieć, właśnie ty — Sądziłem, że będziesz pragnął poznać wszystko, co się z tym wiąże. Że zależy ci na najdrobniejszych nawet informacjach!

— Zależy mi! — zawołałem. — Oczywiście, że chcę wiedzieć. — dodałem. — Ale... chyba nie jestem w stanie.

— Mogę powiedzieć ci wszystko, co wiem — rzekł łagodnie, lekkim wzruszeniem potężnych ramion.

Włosy miał gładsze i mocniejsze niż ludzkie, kosmyki grubsze i bardziej opalizujące. Na przemian wyglądały na zmierzwione albo przylizane. Widziałem cebulki jego włosów u szczytu gładkiego czoła. Skóra twarzy była równie gładka i elastyczna, nos długi, dobrze zarysowany, usta pełne i szerokie, mocny podbródek i kości żuchwy.

Zdałem sobie sprawę, że wciąż ma skrzydła, ale teraz były prawie niewidoczne. Wciąż widać było wzorzec piór układających się warstwami, ale tylko jeśli lekko przymrużyłem powieki i spojrzałem na niego na ciemnym tle.

— Nie jestem w stanie myśleć — powiedziałem. — Wiem, co o mnie sądzisz, że twoim wybrańcem jest skończony tchórz! Uważasz, że popełniłeś straszny błąd. Ale wiedz, że naprawdę trudno jest mi zebrać myśli. Zobaczyłem... Jego. I powiedział mi: „Nie mógłbyś zostać moim adwersarzem!” A ty chcesz mnie do tego nakłonić! Najpierw prowadzisz mnie do Niego, a potem stamtąd zabierasz!

— Na co On sam pozwolił! — rzekł Memnoch, lekko wznosząc brwi.

— Doprawdy?

— Oczywiście — odrzekł.

— Czemu więc zwrócił się do mnie tymi słowami? Dlaczego akurat tak wyglądał?

— Ponieważ jest Bogiem Wcielonym, a Bóg Wcielony cierpi, rzuca wszystko, czego doświadcza Jego cielesna powłoka, toteż ci odczuć i ukazał ci siebie, ot i wszystko! Cierpienie!

Ach, kpienie!

Spojrzał w niebo i pokręcił głową. Zmarszczył lekko brwi w wyrazie zadumy. Jego oblicze w tej postaci nie było w stanie wyrażać gniewu ani nieprzyjemnych emocji. Blake zobaczył niebo.

— Ale to był Bóg — powtórzyłem. Pokiwał głową.

— No, tak — mruknął ze znużeniem. — Bóg Żywy. — Nie wydawał się już zagniewany, zniecierpliwiony ani nawet znużony Nie wiedziałem zresztą, czy potrafiłby to wyrazić. Zdałem sobie sprawę, że wsłuchiwał się w dźwięki ogrodu, te same, które i ja słyszałem.

Poczułem woń — zwierząt, owadów, uderzający do głowy aromat leśnych kwiatów, tych rozgrzanych, zmutowanych kwiatów które rosną w lasach tropikalnych, wysoko w koronach drzew. I nagle poczułem też zapach istot ludzkich.

W tej puszczy byli ludzie. Znajdowaliśmy się w jakimś rzeczywistym miejscu.

— Są tu inni — powiedziałem.

— Tak — przyznał. I nagle uśmiechnął się do mnie bardzo czule. — Nie jesteś tchórzem. Czy mam opowiedzieć ci wszystko, czy zwyczajnie pozwolić ci odejść? Wiesz teraz więcej, niż miliony zdołają się dowiedzieć podczas całego życia. Nie wiesz, co masz zrobić z tą wiedzą, jak dalej żyć, czy być tym, kim jesteś... ale dobrze ci było ujrzeć niebo. Czy mam pozwolić ci odejść? A może nie chcesz wiedzieć, dlaczego tak bardzo cię potrzebuję?

— Oczywiście, że chcę wiedzieć — odrzekłem. — Ale najbardziej chciałbym się dowiedzieć, jak my, bądź co bądź przeciwnicy, możemy stać tak jak teraz obok siebie i jak to możliwe, że wyglądając tak, jak wyglądasz... jesteś diabłem... i jeszcze... jeszcze... — Zaśmiałem się. —

Jak to możliwe, że ja, wyglądając tak, jak wyglądam mogłem także być diabłem! Oto, co chcę wiedzieć! Nigdy dotąd, w całej mej dotychczasowej egzystencji nie doszło do złamań praw estetyki rządzących światem. Piękno, rytm, symetria, jedyne prawa, które zawsze wydawały mi się naturalne. I zawsze określałem je mianem Dzikiego Ogrodu! Przez wzgląd na brutalność, bezwzględność, obojętność na cierpienie — na piękno motyla pochwyconego w pajęczą sieć!

Albo na ból antylopy leżącej prażonej słońcem sawannie, gdy jej serce wciąż bije, a lwy chłepcze krew z jej rozdartego gardła.

— Tak, rozumiem i szanuję twoją filozofię — powiedział. — Twoje słowa są także moimi.

— Jednak tam, na górze, zobaczyłem coś więcej — dodałem — Ujrzałem niebo. I doskonały ogród, który nie był dziki. Widziałem go. — Znów zacząłem szlochać.

— Wiem, wiem — rzucił pocieszającym tonem.

— No już dobrze. — Podniosłem się zawstydzony. Zacząłem szperać po kieszeniach, znalazłem lnianą chustkę i otarłem nią twarz. Materiał pachniał jak mój dom w Nowym Orleanie, gdzie znajdowała się zarówno kurtka, jak i chustka, aż do zmierzchu, tej nocy, kiedy wyjąłem ją z szafy i udałem się na poszukiwanie Dory.

A może to było tej samej nocy? Nie wiedziałem.

Przyłożyłem chustkę do ust. Poczułem woń nowoorleańskiego kurzu, pleśni i ciepła.

Wytarłem usta.

— W porządku! — rzuciłem zdyszczonym tonem. — Jeżeli nie wzbudziłem w tobie skrajnej odrazy...

— Bynajmniej — odparł uprzejmie, tak jak mógłby powiedzieć David.

— Wobec tego opowiedz mi historię Dzieła Stworzenia. Opowiedz mi wszystko. Po prostu mów! Zaczynaj! Bo ja...

— Tak?

— M u s z ę to wiedzieć!

Podniósł się, otrzepał swą luźną szatę z trawy i powiedział:

— Na to właśnie czekałem. Teraz naprawdę możemy już zacząć.

11

— Rozmawiając, przejdźmy się po lesie — zaproponował — jeśli nie masz nic przeciwko przechadzce.

— Oczywiście, że nie mam — odparłem.

Otrzepał z ostatnich źdźbeł trawy swą szatę, która wydawała się prosta i nijaka — ten strój mógłby być noszony zarówno wczoraj, jak i tysiące lat temu. Był ode mnie wyższy o dobre trzy cale i potężniejszy, miał wszelkie mityczne przymioty anioła, tyle że białe skrzydła pozostały półprzejrzyste; okrywał je swego rodzaju niewidzialny płaszcz, co uczyniono zapewne dla wygody niż z jakichś innych przyczyn.

— Jesteśmy poza czasem — oznajmił. — Nie lękaj się o mężczyzn i kobiety w lesie. Oni nas nie widzą. Nikt nas tu nie widzi i właśnie dlatego mogę zachować moją obecną postać. Nie muszę powracać do mrocznego, diabelskiego ciała, które Jego zdaniem jest adekwatne do działań na ziemi, ani przybierać wyglądu zwyczajnego mężczyzny, który, nawiasem mówiąc, wolę.

— Chcesz powiedzieć, że na ziemi nie możesz pokazać mi się w anielskiej postaci?

— Nie, musiałbym o to prosić i błagać, na co akurat nie mam ochoty — odparł. — Za bardzo mnie to

uwzniośla. W tej postaci miałbym zbyt dużą przewagę. Tylko tak mogę wejść do nieba.

On nie chce oglądać tej drugiej postaci i wcale mu się nie dziwię. Zresztą na ziemi łatwiej jest mi poruszać się jako Zwyczajny Mężczyzna.

Wstałem chwiejnie, przyjmując jego pomoc. Dłoń miał mocną i ciepłą, jego ciało wydawało się równie solidne jak ciało Rogera pod sam koniec mego nawiedzenia. Własne ciało wydawało się pełne, kompletne i bardzo moje.

Nie zdziwiło mnie, że miałem okropnie zmierzwiłone włosy; przeczesalem je pospiesznie.

Otrzeptałem ubranie, ciemny garnitur który włożyłem w Nowym Orleanie, był mocno zakurzony, przyczepiły się do niego źdźbła trawy z ogrodu, ale poza tym ani trochę nie ucierpiał. Koszulę miałem rozdartą przy kołnierzyku, jakbym sam to uczynił, rozpaczliwie próbując nabrać powietrza. Ogólnie wyglądałem zwyczajnie, jak typowy dandys stojący pośród gęstego, leśnego ogrodu, jedyne w swoim rodzaju; nigdy dotąd takiego nie widziałem. Nawet pobieżne rozejrzenie się wkoło ujawniło, że nie jest to las równikowy, lecz coś o wiele mniej gęstego, choć równie pierwotnego.

— Poza czasem — powiedziałem.

— Cóż, możemy poruszać się w czasie wedle życzenia — wyjaśnił. — Znajdujemy się zaledwie o kilka tysięcy lat od twoich czasów, jeżeli chcesz wiedzieć. Wiedz wszelako, że i tu ludzie nie mogą nas dostrzec. Nie przejmuj się zatem. Zwierzęta również nie mogą zrobić nam krzywdy. Jesteśmy tu jedynie obserwatorami, nasze działania niczego nie odmienia. Pójdź, znam tę okolicę na pamięć i jeśli pójdziesz za mną, przekonasz się, że przez tę dzicz prowadzi prosta ścieżka. Tak wiele mam ci do powiedzenia. Wszystko wokół nas zacznie się zmieniać.

— A twoje ciało? Czy nie jest iluzją? Jest takie kompletne.

— Anioły są niewidoczne z natury — odparł. — To znaczy jak na ziemskie pojmowanie tego terminu, jesteśmy niematerialni, i mam tu na myśli materię ziemską, materię wszechświata, materię w ogóle, w twoim rozumieniu tego słowa. Mimo to miałeś rację w swoich wcześniejszych spekulacjach, albowiem mamy podstawowe ciało, esencję, i potrafimy zebrać z różnych źródeł materię, by stworzyć dla siebie ciało w pełni funkcjonalne, które później niszczymy, gdy nie jest nam już potrzebne.

Szliśmy wolno po trawie. Moje buty, dobre na nowojorską zimę, bez trudu radziły sobie z nierównościami terenu.

— Chciałem powiedzieć — ciągnął Memnoch, patrząc na mnie z góry swoimi migdałowymi oczyma — że to nie jest zapożyczone ani specjalnie stworzone ciało. To moje ciało w chwilach gdy otacza je i wypełnia materia. Innymi słowy, to logiczny rezultat ściągnięcia do niego przez moją esencję rozmaitych tworzyw, których potrzebowało.

— Chcesz powiedzieć, że wyglądasz właśnie tak, ponieważ tak właśnie wyglądasz.

— Tak, to chcę powiedzieć. Diabelskie ciało to pokuta. Zwyczajny mężczyzna to fortel, ale tak właśnie wyglądam. W niebie było wiele aniołów wyglądających jak ja. Lecz ty w niebie skupiłeś się przede wszystkim na ludzkich duszach. Niemniej jednak były tam też anioły.

Próbowałem je sobie przypomnieć. Czy były tam wyższe, skrzydlate istoty? Chyba tak, choć nie miałem co do tego pewności. W moich uszach znów rozbrzmiały niebiańskie dźwięki.

Poczułem radość, bezpieczeństwo, a przede wszystkim głębokie zadowolenie wszystkich, którzy tam byli. Ale nie, nie zauważyłem żadnych aniołów.

— Moją właściwą postać — ciągnął Memnoch — przyjmuję, gdy jestem w niebie albo poza czasem. Innymi słowy, kiedy jestem sam i nie przebywam na ziemi. Inne anioły, dajmy na to Michał czy Gabriel, jeśli zechcą, mogą się pojawić na ziemi w tej chwalebnej postaci. To dla nich rzecz naturalna. Materia przyciągana przez ich magnetyczną moc kształtuje ich, by wyglądali jak najpiękniej, tak jak ich Bóg stworzył. Zwykle jednak jest inaczej. Pojawiają się pod postacią Zwyczajnego Mężczyzny albo Zwyczajnej Kobiety, bo tak jest im łatwiej. Wzbudzanie nieopisanego zachwyty u ludzi nie służy naszym celom, ani naszego Pana, ani moim.

— I tu pojawia się pytania. Co jest celem? Co robisz, skoro nie jesteś zły?

— Zaczniemy od dzieła Stworzenia. Zaznaczę od razu, że nie wiem skąd, jak ani po co wziął

się Bóg. Nikt tego nie wie. Mistycy, ziemscy prorocy, wyznawcy hinduizmu, zaratustrianie, hebrajscy Egipcjanie — wszyscy podkreślali zgodnie, że niemożliwe jest poznanie początku Boga. Ja nigdy się nad tym specjalnie nie zastanawiałem, choć przypuszczam, że gdy nadejdzie kres dziejów, wszyscy się tego dowiemy.

— Chcesz powiedzieć, że Bóg nie obiecał, iż dowiemy się, skąd pochodzi?

— Wiesz co? — rzekł z uśmiechem. — Chyba sam Bóg tego nie wie. Sądzę, że na tym właśnie polega cały cel fizycznego wszechświata. Bogu wydaje się, że obserwując, jak wszechświat ewoluuje, można poznać prawdę o sobie. Bo widzisz, to, co stworzył, jest wielkim Dzikim Ogrodem, ogromnym eksperymentem na niewiarygodną skalę, który ma wykazać, czy w efekcie pojawi się istota taka jak On. Zostaliśmy stworzeni na Jego obraz i podobieństwo, my wszyscy, On jest istotą antropomorficzną, nie ulega wątpliwości, ale nie jest materialny.

— A kiedy pojawiło się to światło, kiedy w niebie zasłoniłeś oczy, to był właśnie Bóg!

Pokiwał głową.

— Bóg, Ojciec Niebieski, Esencja Wszechrzeczy, Brahma, Aten, En Sof, Jahwe, Pan Zastępów!

— Jak zatem może On być antropomorficzny?

— Jego esencja ma kształt, podobnie jak moja. My, Jego pierwsze dzieci, zostaliśmy stworzeni na Jego obraz. Tak nam powiedział. On ma dwie ręce, dwie nogi i głowę. Uczynił nas niewidzialnymi obrazami siebie. A potem wprowadził wszechświat w ruch, by zbadać, jak będzie się rozwijał ten

kształt poprzez materię, rozumiesz?

— Nie bardzo.

— Sądzę, że Bóg działał wstecz; posługując się własnym wzorcem, stworzył fizyczny wszechświat, którego prawa miały prowadzić do ewolucji istot przypominających Jego. One miały stworzone z materii. Zjedna tylko, ale za to zasadniczą różnicą. No ale wtedy niespodzianek było bez liku. Znasz już moje zdanie na ten temat. Twój przyjaciel David poznał je przypadkiem, kiedy jeszcze żył. Uważam, że Boży plan zawiódł. I to na całej linii.

— Tak, David wspominał o tym, mówił, że zdaniem aniołów boski plan Stworzenia nie powiódł się, został skierowany na nie właściwe tory.

— Tak. Uważam, że On uczynił to przede wszystkim po to by się dowiedzieć, jak by to było, gdyby był zbudowany z materii I chyba starał się dociec, co sprawiło, że znalazł się tam, gdzie się znalazł. Czemu ma taki, a nie inny kształt, dlaczego przypomina mnie albo ciebie. On ma nadzieję, że obserwując ewolucję człowieka, zrozumie własny rozwój, jeśli o czymś takim w ogóle można mówić. Czy to się udało i czy jest z tego zadowolony, no cóż, na to pytanie sam musisz sobie odpowiedzieć.

— Chwileczkę — wtrąciłem — skoro jednak On jest istotą duchową, utkaną ze światła, albo może z niczego — skąd wzięła się w Nim idea materii, jakim cudem na to wpadł?

— Oto jedna z zagadek wszechświata. Moim zdaniem, to Jego wyobraźnia stworzyła materię przepowiedziała jej zaistnienie albo za nią zatęskniła. A tęsknota, jak mi się zdaje, jest najważniejszym aspektem Jego umysłu. Widzisz, Lestacie, gdyby On sam zrodził się z materii...

to wszystko można by uznać za eksperyment mający wykazać, czy materia jest w stanie ponownie ewoluować w istotę boską. Gdyby nie stworzył materii... a jest to coś, co sobie wyobrażał, czego pragnął i za czym tęsknił... skutki dla Niego byłyby w zasadzie takie same. On pragnął materii. Bez niej nie czuł się spełniony. W przeciwnym razie nie stworzyłby jej. To nie był przypadek, możesz być pewien.

Ostrzegam wszelako, że nie wszystkie anioly zgadzają się z tą interpretacją. Niektóre w ogóle jej nie potrzebują, inne zaś mają własne, odmienne teorie. Ta jest moja, a ja jestem diabłem i jestem nim od stuleci, jestem adwersarzem, księciem ciemności, władcą świata ludzi i piekieł, toteż uważam, że moje zdanie jednak się liczy. Warto w nie uwierzyć. Ja w to wierzę. Wzorec wszechświata jest przeogromny, że użyję tego, niezbyt adekwatnego słowa, ale cały proces ewolucji był Jego przemyślanym, starannie skalkulowanym eksperymentem, a my, aniolowie, zostaliśmy stworzeni na długo przed jego rozpoczęciem.

— Tak to było, zanim pojawiła się materia?

— Nie mogę powiedzieć. Wiem, ale nie powiem, bo szczerze mówiąc, nie bardzo pamiętam.

Powód jest prosty: wraz z materią powstał również czas. Wszystkie anioly zaczęły istnieć nie tylko

niebiańskiej doskonałości z Bogiem, lecz by dać świadectwo i zaistnieć w czasie. Teraz możemy się wyróżniać, a ja niekiedy sięgam pamięcią tam, gdzie nie było jeszcze pokus materii ani czasu; nie mogę ci jednak wyjawić, jak było na owych wczesnych etapach. Materia i czas wszystko diametralnie odmieniły. Nie tylko obróciły wniwecz to, co je poprzedziło, lecz także przyćmiły to, zepchnęły w niepamięć, jak można to jeszcze określić?

— Wymazały.

— Otóż to. Materia i czas wymazały czas sprzed nastania czasu.

— Ale pamiętasz, że byłeś szczęśliwy?

— To ciekawe pytanie. Czy ośmielę się to powiedzieć? — zapytał sam siebie. — Czy ośmielę się powiedzieć, że pamiętam tęsknotę, uczucie niepełności lepiej niż całkowite szczęście? Czy odważę się powiedzieć, że było wówczas mniej do zrozumienia? Nie możesz lekceważyć skutków, jakie ma dla nas stworzenie materialnego wszechświata. Zastanów się przez chwilę, jeśli możesz, co znaczy czas, jaki byłbyś bez niego maluczki i żaloszny. Nie, to nie tak. Gdyby nie czas, nie byłbyś świadomy samego siebie, ani w kategorii swoich osiągnięć i porażek, ani też z uwagi na potencjalny Postęp lub regres.

— Rozumiem. Tak jak staruszkowie, którzy pogrążeni w demencji zatracają wspomnienia minionych dni. Są jak rośliny, patrzą tępo, ale nie należą już do reszty rasy ludzkiej, bo zatracili świadomość tego, kim są... i całej reszty.

— Doskonała analogia, choć pragnę cię zapewnić, że owi staruszkowie wciąż mają dusze, które w pewnym momencie przestały funkcjonować, w zależności od ich upośledzonych mózgów.

— Dusze! — powiedziałem.

Szliśmy powoli, ale nieprzerwanie, ja zaś próbowałem nie dać się omamić otaczającej mnie zieleni i kwiatom; cóż, kwiaty zawsze mnie urzekały, tu natomiast dostrzegłem kwiaty tak wielkie że w naszym świecie musiałyby się wydawać nieprzystosowane i za ciężkie, by mogły przetrwać. A jednak znałem te gatunki drzew. Tak musiał kiedyś wyglądać świat.

— Tak, masz rację. Czujesz otaczające cię ciepło? Oto czas cudownego, ewolucyjnego rozwoju tej planety, kiedy ludzie mówią o raju lub Edenie, wspominają ten czas.

— Epoka lodowcowa jeszcze nie nadeszła.

— Nadchodzi druga epoka lodowcowa. To pewne. A wówczas świat się ochłodzi i znów pojawi się Eden. Przez całą epokę lodowcową istoty ludzkie, kobiety i mężczyźni, będą się rozwijać. Ale zrozum, że nawet teraz, w tym momencie, życie, jakie znamy, istniało od milionów lat!

Zatrzymałem się. Przyłożyłem dłonie do twarzy. Próbowałem znów się nad tym zastanowić.

(Jeśli ty też chcesz to zrobić, przeczytaj raz jeszcze ostatnie dwie strony.)

— Ale On wiedział, czym jest materia! — rzekłem.

— Nie jestem o tym przekonany — powiedział Memnoch. — Wziął to nasienie, to jajo, tę esencję i przemienił ją w formę, która stała się materia! Nie wiem jednak, na ile słusznie przewidział, co to naprawdę oznaczało. Widzisz, w tej kwestii są między nami największe rozbieżności. Nie przypuszczam, aby On w pełni zdawał sobie sprawę z konsekwencji swych poczynań! Chyba nie przewidział wszystkiego do końca! To podstawa naszych niekończących się sporów.

— Może stworzył materię po to, by odkryć, czym była, już po fakcie.

— Tak, materię i energię, które jak wiesz, są jednoznaczne, tak, stworzył je i przypuszczam, że kluczem dla Niego było słowo energia”. Chodzi o to, że jeśli anatomia człowieka osiągnie kiedykolwiek granicę, poza którą możliwe będzie wyjaśnienie ludzkim języku takich pojęć, jak aniołowie i Bóg, kluczem do wszystkiego będzie właśnie energia.

— A więc On był energią — wtrąciłem — i tworząc wszechświat, sprawił, że cząstka tej energii przemieniła się w materię.

— Tak, a poza tym uruchomił niezależny od Niego proces zamiany jednego w drugie.

Oczywiście nikt na początku nie wyjaśnił nam tego wszystkiego. On nam tego nie powiedział.

Chyba sam nie wiedział. My na pewno nie wiedzieliśmy. Wiedzieliśmy tylko że Jego dzieła nas olśniły. Zdumiało nas odczuwanie, dotyk, smak ciepło, stałość i siła grawitacji materii toczącej bój z energią.

Wiedzieliśmy tylko to, co sami zobaczyliśmy.

— No i widzieliście, jak zaczyna się rozprzestrzeniać wszechświat. Widzieliście Wielki Wybuch.

— Użyłbym tego określenia z nieco większym sceptycyzmem. Owszem, widzieliśmy, jak powstaje wszechświat, widzieliśmy, jak wszystko jest wprawiane w ruch. I to nas olśniło. To dlatego niemal każda religia na ziemi czci majestat, wspaniałość, wielkość i geniusz Stwórcy; to dlatego pierwsze hymny, jakie powstały na ziemi, są peanami opiewającymi chwałę Bożą.

Byliśmy pod wrażeniem, tak jak później ludzie, a w naszych anielskich umysłach Bóg był

Wszechmocny, Cudowny i Niepojęty, i to na długo przed powstaniem człowieka. Powiem tylko, zwłaszcza że przemierzamy akurat ten przepiękny ogród, że byliśmy świadkami milionów eksplozji i przemian chemicznych, wyniesień, w których udział brały cząstki nieorganiczne, zanim po raz pierwszy pojawiło się to, co nazywamy „życiem”.

— Tu, jak sądzę, rozciągał się łańcuch górski.

— Tak.

— A deszcze?

Niekończące się, gwałtowne ulewy. — Wybuchy wulkanów.

— Bez przerwy. Nie masz pojęcia, jak bardzo byliśmy tym wybuchem urzeczeni.

Obserwowaliśmy, jak atmosfera gęstnieje i rozwija się, śledziliśmy zmiany w jej składzie. I wtedy, właśnie wtedy pojawiło się to, co dla twojej wiadomości pozwolę sobie zwać trzynastoma objawieniami ewolucji fizycznej. Mam na myśli to, co zostało objawione aniołom, tym spośród nas, którzy byli świadkami owego procesu, czyli nam. Mógłbym opowiedzieć ci to bardziej szczegółowo, odwiedzić z tobą wnętrze każdego pierwotnego organizmu, który pojawił się w tamtym świecie, ale i tak byś tego wszystkiego nie spamiętał. Powiem ci tylko to, co zdołasz zapamiętać, abyś mógł podjąć decyzję, póki jeszcze żyjesz.

— Ja żyję?

— Oczywiście. Twoja dusza nie doświadczyła fizycznej śmierci nie opuściła ziemi, z wyjątkiem wyprawy w moim towarzystwie na którą miałeś odgórną dyspensę. Wiesz, że żyjesz.

Jesteś Lestat de Lioncourt, mimo iż twoje ciało zmutowało pod wpływem gnieźdzącego się z nim obcego, alchemicznego ducha, którego historie i niedole tak wprawnie opisałeś.

— Ale żeby pójść z tobą... przyłączyć się do ciebie... będę musiał umrzeć, prawda?

— Oczywiście — odparł.

Znów przystanąłem, przykładając dłonie do głowy. Wlepiłem wzrok w trawę wokół moich butów. Ujrzałem rój świetlnych owadów unoszący się w spowijających nas promieniach słońca.

Spojrzałem w odbicie żywej, zielonej puszczy w oczach Memnocha. Powoli uniosł rękę, jakby pozwalał mi odejść, nagle położył mi dłoń na ramieniu. Uwielbiałem tego rodzaju gesty, przejawy szacunku. Często sam ich używałem.

— Masz wybór, pamiętasz? Możesz dalej być tym, kim jesteś.

Nie byłem w stanie odpowiedzieć. Myślałem tylko o jednym. Nieśmiertelnym, materialnym, przywiązany do ziemi wampirze. Nie powiedziałem jednak tego na głos. Jak ktoś mógłby powrócić z takiej wyprawy? Znów ujrzałem Jego oblicze i usłyszałem jego głos: „Nie mógłbyś zostać moim adwersarzem, prawda.

Bardzo dobrze reagujesz na to, co mówię — rzekł Memnoch ciepłym tonem. —

Spodziewałem się tego z kilku powodów.

— Dlaczego? — spytałem. — Powiedz mi, dlaczego. Potrzebuję czegoś, co mnie uspokoi.

Jestem nazbyt zdruzgotany niedawnymi przejściami, całym tym szlochom i w ogóle, choć muszę wyznać, że nie mam teraz zbytniej ochoty na rozmowę o mnie.

— To, kim jesteś i jaki jesteś, stanowi element tego, co robimy — powiedział.

Dotarliśmy do ogromnej pajęczyny zawieszanej nad ścieżką na grubych, błyszczących niciach. Schylił się, by jej nie rozerwać, opuszczając przy tym skrzydła, a ja po chwili postąpiłem podobnie.

— Jesteś ciekawski, to twój podstawowy przymiot — oznajmił. — Chcesz wiedzieć. To właśnie usłyszałeś od starego wampira Mariusa. Powiedział ci, że on, który przeżył tysiące lat...

no, prawie... odpowie na twoje pytania, zadane przez tak młodą istotę, tylko dlatego że odważyła się je zadać! To właśnie mnie w tobie pociąga. Pomimo twojej wyniosłości i buty dręczyło cię pragnienie wiedzy! Nieustannie obrażałeś tak mnie, jak i Boga, ale w twoich czasach wszyscy to robią. To nic niezwykłego, choć w twoim przypadku w grę wchodzi szczerza ciekawość i zadziwienie. Ujrzałeś Dziki Ogród, zamiast zwyczajnie przyjąć w nim nieokreśloną rolę.

Zapewne między innymi właśnie dlatego postanowiłem wybrać akurat ciebie.

— W porządku — westchnąłem. To brzmiało sensownie. Oczywiście pamiętałem, jak Marius ujawnił się przede mną. Przypomniałem sobie jego słowa, przytoczone przed chwilą przez Memnocha. Zdawałem sobie przy tym sprawę, że moja głęboka miłość do Davida i Dory oscyluje wokół podobnych cech, którymi oboje są obdarzeni: niezaspokojonej ciekawości, nie znającej lęku, gotowej na wszelkie konsekwencje, aby tylko zdobyć odpowiedzi na nurtujące pytania! — Boże, co z Dorą? Czy nic jej nie jest?

— To mnie zdumiewa, ta łatwość, z jaką zmieniasz temat. Wydaje mi się, że cię zafascynowałem i urzekłem, a ty ni stąd, ni zowąd robisz krok wstecz i żądasz odpowiedzi na całkiem inne pytania. Nie jest to łamanie twojej ciekawości, ale bez wątpienia sposób na kontrolowanie przebiegu rozmowy.

— Chcesz powiedzieć, że na razie powinienem zapomnieć o Dorze?

— Powiem więcej! Nie masz się o co martwić. Twoi przyjaciele Armand i David, odnaleźli Dorę i czuwają nad nią, choć się nie ujawnili. — Uśmiechnął się uspokajająco i z lekkim powątpiewaniem, a może niesmakiem pokiwał głową. — Poza tym — ciągnął — musisz pamiętać, że twoja ukochana Dora nie jest bezbronna, słaba ani nieporadna. W zasadzie wypełniłeś zadanie, które ci zlecił Roger. To, co jej pokazałeś, tylko umocniło w niej wiarę. Nie chcę więcej mówić o Dorze. Pragnę opisać Dzieło Stworzenia.

— Słucham.

— Na czym to skończyliśmy? Był Bóg i my byliśmy razem z Nim. Mieliśmy antropomorficzne kształty, ale nie nazywaliśmy ich tak, ponieważ nigdy nie widzieliśmy ich w formie materialnej. Znaliśmy nasze kończyny, głowy, twarze i formy, a także niebiański sposób poznania, który płynnie i gładko jednoczy wszystkie części naszych ciał. Nie wiedzieliśmy jednak nic o materii ani o materialnej postaci. I wtedy Bóg stworzył wszechświat i czas. Byliśmy zdumieni, ale i zafascynowani! Bezgranicznie urzeczeni! Bóg rzekł do nas: „Patrzcie, to będzie bowiem piękne i przekroczy wszelkie wasze pojęcie i oczekiwania, podobnie zresztą jak moje.

Tak powiedział Bóg. Tak, do mnie i innych aniołów. Patrzcie. A jeśli zajrzysz do najwcześniejszych egzemplarzy Pisma w jego różnych formach, dowiesz się, że jednym z pierwszych określeń nas, aniołów było — obserwatorzy. Tak, w Księdze Henocha i wielu hebrajskich tekstach.

Otóż to. Przyjrzyj się też innym religiom świata, których symbolika i język są ci mniej znane, a ujrzysz kosmologię podobny istot, pierwotną rasę Bogu podobnych istot, które czuwały nad ludźmi i pojawiły się na długo przed nimi. Trochę to pogmatwane, ale tak jest tam właśnie napisane. Byliśmy świadkami Dzieła Stworzenia. Byliśmy przy Stworzeniu człowieka, ale nie pamiętaliśmy naszego. Obserwowaliśmy jednak, jak Bóg tworzy gwiazdy!

— Chcesz powiedzieć, że inne religie są równie wiarygodne jak do której się w sposób oczywisty odnosisz? Mówimy o Bogu, Stwórcy Wszechrzeczy, jak europejscy katolicy...

— Wszystko to, choć pogmatwane i dość pomieszane, możesz znaleźć w licznych tekstach na całym świecie. Są teksty, niestety mało dostępne, zawierające zdumiewająco dokładne informacje dotyczące kosmologii, a także teksty znane ludziom i te, które zaginęły, lecz z czasem ponownie zostaną odkryte.

— Z czasem, powiadasz.

— To w zasadzie jedna i ta sama historia. Ale poznaj ją z mojej perspektywy, a na pewno odnajdziesz punkty zbieżne ze znaną ci wersją tych wydarzeń i symboliką, która tak do ciebie przemawia.

— Ale mówisz o równorzędności innych religii! Chcesz powiedzieć, że istota, którą ujrzałem w niebie, nie była Chrystusem.

— Tego nie powiedziałem. Wspomniałem jednak, że to Bóg Wcielony. Zaczekaj, aż do tego dojdę!

Wyszliśmy z lasu i stanęliśmy na skraju czegoś, co wyglądało jak sawanna. Po raz pierwszy spostrzegłem ludzi, których zapach tak mnie rozpraszał — grupkę skąpo odzianych nomadów, wędrujących wśród traw. Było ich ze trzydziestu, może mniej.

— Epoka lodowcowa jeszcze nie nadeszła — powtórzyłem. Obróciłem się dookoła, próbując zapamiętać w szczegółach wygląd olbrzymich drzew. Równocześnie jednak zdałem sobie sprawę, że las także się zmienił.

— Przyjrzyj się uważnie istotom ludzkim — rzekł. — Spójrz. — Pokazał. — Co widzisz?

Przymrużyłem powieki i przywołałem moje wampirze moce, by wychwycić jak najwięcej szczegółów.

— Mężczyzn i kobiety, którzy wyglądają niemal tak samo jak współcześni. Powiedziałbym, że to *Homo sapiens*. Przedstawiciele naszego gatunku.

— Właśnie. A co z ich twarzami?

— Grymasy, jakie się na nich malują, są całkiem współczesne, a w każdym razie łatwe do odczytania dla ludzi żyjących obecnie. Jedni są zatroskani, inni o czymś rozmawiają, jeszcze inni wyda; się pogrążeni w głębokiej zadumie. Ten z długimi, zmierzwionym włosami, który został

niecو w tyle, wygląda na nieszczęśliwego A ta kobieta, ta z wielkimi piersiami — jesteś pewien, że nas nie widzi?

— Nie może nas zobaczyć. Po prostu patrzy w tę stronę. Co ją odróżnia od mężczyzn?

— No cóż, na pewno jej piersi i to, że nie ma zarostu. Mężczyźni mają brody. Jej włosy są oczywiście dłuższe, no i wydaje się całkiem ładna, delikatna, drobnokoścista, kobieca. Nie nosi na rękach dziecka, jak inne. Chyba jest z nich najmłodsza albo jeszcze nie rodziła.

Pokiwał głową.

Wydawało się, że ta kobieta nas widzi. Przymrużyła lekko powieki jak ja. Twarz miała owalną, archeolog powiedziałby o niej „człowiek kromanioński”; ani jej plemię nie miało w sobie nic małpiego. Jej skóra nie była jednak blada, miała ciemnozłoty odcień, jak u ludów semickich albo Arabów, jak Jego skóra wysoko, w niebie. Jej czarne włosy falowały przepięknie na wietrze, gdy odwróciła się i postąpiła naprzód.

— Wszyscy ci ludzie są nadzy. Memnoch zaśmiał się.

Weszliśmy w las, sawanna zrzędła. Powietrze wokół nas zgęstniało, wilgotne i wonne. Nad nami górowały olbrzymie skrzypy i paprocie. Nigdy jeszcze nie widziałem tak wielkich paproci, ich liście były większe niż liście palm bananowych, a iglaste drzewa mogłem porównać jedynie z majestatycznymi, barbarzyński sekwojami z lasów zachodniej Kalifornii — drzewami, które zawsze wzbudzały we mnie uczucie strachu i osamotnienia.

Wciąż nas prowadził, nie zważając na rojną tropikalną dżunglę, przez którą maszerowaliśmy.

Różne stworzenia przepęłzały tuż obok w oddali słychać było stłumione ryki. Ziemię porastała zielona roślinność, aksamitna, gęsta, wśród której, jak mi się zdawało, dostrzegłem coś, co przypominało żywe kamienie!

Nagle poczułem powiew chłodnej bryzy i obejrzałem się przez mię. Sawanna i ludzie dawno już zniknęli. Cieniste paprocie wzniosły się za nami tak gęsto, że dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że się rozpadało; strugi deszczu lały się z nieba, siekąc zielony baldachim, do nas zaś dochodził jedynie łagodny, kojący dźwięk padających kropeł. Nie ulegało wątpliwości, że w tym lesie nigdy nie powstała ludzka stopa, ale jakie zamieszkiwały go potwory, co mogło wyłonić się z cieni?

— Teraz — rzekł Memnoch, nie zwalniając kroku i nonszalancko odgarniając ręką gęste zielone listowie. — Przejdę do konkretów, czyli tego, co zaklasyfikowałem w ramach tak zwanych trzynastu objawień ewolucji, jak je postrzegają anioły, gdy rozmawiają o nich z Bogiem. Musisz zrozumieć, że w naszej rozmowie podejmujemy wyłącznie temat tego świata, planety, gwiazdy ani inne galaktyki

nie mają związku z tą dyskusją.

— Chcesz powiedzieć, że w całym wszechświecie tylko na tej planecie pojawiło się życie.

— Chcę powiedzieć, że mój świat, moje niebo i mój Bóg to jedyne, co znam.

— Rozumiem.

— Jak już wspomniałem, byliśmy świadkami złożonych procesów geologicznych, widzieliśmy wypiętrzanie gór, powstawanie mórz i oceanów, ruchy kontynentów. Naszym hymnom pełnym zachwytu, uwielbienia i zadziwienia nie było końca. Nie wyobrazasz sobie niebiańskich śpiewów, słyszałeś jedynie ich marne echo, w tej części niebios, gdzie przebywają dusze ludzkie. My natomiast tworzyliśmy istne niebiańskie chóry, każdą nową niezwykłość opiewaliśmy w psalmach i kantykach. Dźwięki były inne. Nie lepsze, po prostu inne. Tymczasem byliśmy bardzo zajęci, schodziliśmy w ziemską atmosferę, nie zważając na jej ani strukturę, i zatracaliśmy się w kontemplacji rozlicznych szczegółów. Te najdrobniejsze przejawy życia wymagały od n najwyższego skupienia i nie uświadczyłeś ich w niebiosach.

— Chcesz powiedzieć, że tam wszystko było większe i wyraźniejsze.

— Otóż to, a w dodatku doskonale oświetlone; miłość Boża nie koncentrowała się na drobiazgach.

Dotarliśmy do wodospadu, wąskiego, nieokiełznanego, wpadającego do rozległej sadzawki.

Przystanąłem na chwilę, czując odświeżające kropelki wody na twarzy i dłoniach. Memnoch najwyraźniej podzielał moją radość.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że ma bose stopy. Wszedł do wody i patrzył, jak obmywa mu palce. Paznokcie u stóp miał koloru kości słoniowej, idealnie przycięte. Gdy spojrział w tę bulgoczącą, skotłowaną wodę, jego skrzydła znów stały się widoczne uniosły się wysoko w górę i rozblęły od padających na nie kropelek wody. Zrobiło się poruszenie; skrzydła złożyły się, zupełnie jak ptasie, i znikły.

— Wyobraź sobie teraz — powiedział — legiony aniołów, różnych szarż i zastępów — a istnieją różne zastępy — schodzące na ziemię i zakochujące się w czymś tak prozaicznym, jak ta wodna kipiela albo zmiana koloru promieni słońca przenikających przez powłokę gazową otaczającą tę planetę.

— Czy to było ciekawsze niż niebo?

— Tak. Muszę to powiedzieć, tak. Oczywiście po powrocie do nieba znów czuło się pełną satysfakcję i zadowolenie, zwłaszcza jeśli Bóg był zadowolony, ale tęsknota powracała, a z nią wrodzona ciekawość. W naszych umysłach poczęły się gromadzić myśli — Dzięki temu zaczęliśmy uświadamiać sobie, że posiadamy umysł, ale tymczasem, pozwól, że powrócę do trzynastu objawień.

Pierwszym objawieniem była przemiana cząstek nieorganicznych w organiczne... Innymi słowy, ze skały w maleńką żyjącą molekułę.

Zapomnij o tym lesie. Wtedy jeszcze nie istniał. Spójrz jednak na tę sadzawkę. W takich jak ta sadzawkach, wśród gór, gorących, wrzących i wzburzanych erupcjami gazów z czeluści Ziemi zady się procesy, w których wyniku pojawiły się pierwsze cząstki organiczne. Krzyk wzniósł się pod niebiosami. „Spójrz, Boże, co uczyniła materia”. A Wszechmogący jak zawsze uśmiechnął się łagodnie z aprobatą. „Czekajcie i obserwujcie”, powtórzył, a gdy k patrzyliśmy, nadeszło drugie objawienie. Cząstki zaczęły się łączyć w trzy formy materii — komórki, enzymy i geny. Ledwie pojawiły się organizmy jednokomórkowe, a zaraz zaczęły powstawać formy wielokomórkowe; to, co uznaliśmy za pierwsze cząsteczki ożywione, było teraz wyraźnie widoczne; rzeczy te ożywiała jakaś niezwykła iskra; cele tych organizmów były w sumie dość proste, wręcz prymitywne, gdy jednak przyjrzeliliśmy się im uważnie, stwierdziliśmy, że owa życiowa iskierka była cząstką esencji życia, której my wszyscy posiadaliśmy w sobie bez liku!

Podsumowując: świat był pełen ruchu całkiem nowego rodzaju, a gdy tak patrzyliśmy, jak te małe, wielokomórkowe organizmy dryfują przez wodę i łączą się, by stworzyć najbardziej prymitywne algi lub grzyby, zauważyliśmy, że te zielone, żyjące organizmy zaczęły wypelzać na ląd. Wychodziły z wody i szlamu, który od milionów lat gromadził się na brzegach wód. Z tych zielonych, czepliwych organizmów zaś zrodziły się paprocie i drzewa iglaste, które widzisz wokół nas i które z czasem urosły do tak gigantycznych rozmiarów. W ten sposób anioły poznały pojęcie wielkości. Mogliśmy stąpać pod tymi rzeczami, krocząc przez świat porośnięty zielenią.

Posłuchaj raz jeszcze, jeśli zechcesz, i spróbuj wyobrazić sobie hymny pochwalne, które wzbity się wówczas ku niebu; posłuchaj, jeśli zechcesz, jaka była radość Boga ogarniającego to wszystko Swym intelektem oraz za pośrednictwem pieśni, opowieści i modlitw anielskich zastępów!

Aniołowie zaczęli się rozprzestrzeniać po całej ziemi; upodobali sobie pewne miejsca; jedni woleli góry, inni głębokie doliny, jedni wodę, inni zielone lasy pełne cieni i półmroku.

— Stali się jak wodne duchy — powiedziałem. — Albo leśne wy, takie istoty, które będą potem czczone przez ludzi.

— Właśnie tak. Uprzedzasz jednak wypadki. Moja reakcja na pierwsze dwa objawienia była podobna jak większości moich zastępów; gdy tylko poczuliśmy życie emanujące z tych wielokomórkowych organizmów roślinnych, zaczęliśmy równocześnie wyczuwać śmierć tej iskierki, gdy jeden organizm pożerał drugi albo atakował go i wchłaniał. Byliśmy świadkami powielenia i destrukcji! To, co wcześniej było jedynie zmianą — wymiana energii i materii —

przybrało obecnie inny wymiar. Zaczęliśmy dostrzegać początki trzeciego objawienia, lecz pojęliśmy to dopiero gdy z roślin wydzieliły się pierwsze organizmy zwierzęce. Gdy tak obserwowaliśmy ich ostre, zdeterminowane ruchy i pozornie większy wachlarz możliwości wyboru, poczuliśmy, że iskierka życia, którą w sobie mają, jest w istocie bardzo zbliżona do tej, która płonie w nas samych. I co działo się z tymi istotami? Z tymi małąnkimi zwierzętami i roślinami? Umierały, ot co. Rodziły się, żyły, umierały, a potem zaczęły się rozkładać. I to było trzecie objawienie ewolucji: śmierć i rozkład.

Nigdy jeszcze oblicze Memnocha nie wydawało się tak czarne. Zachowało niewinność i zadziwienie, ale emocje te zostały przyćmione przez coś strasznego — mieszaninę strachu i rozczarowania; może

to było właśnie owo naiwne zadziwienie, które poprzedzało przerażające, lecz nieuniknione wrzaski.

— Trzecim objawieniem były śmierć i rozkład — powiedziałem. — A w tobie wzbudziło ono odrazę.

— Nie odrazę! Sądziłem, że to jakaś pomyłka! Udałem się czym prędzej do nieba! „Zobacz —

rzekłem do Boga — te maleńkie istoty mogą przestać żyć, tłąca się w nich iskierka gaśnie — w przeciwieństwie do tej, która płonie w nas i w Tobie, a potem to, co z nich pozostaje, ta materia, gnieje”. Nie byłem jedynym aniołem, który stanął przed obliczem Boga, z wielkim płaczem.

Wydaje mi się jednak, że peany zachwyty były podszyte podejrzliwością i strachem. Strachem, który zrodził się w moim sercu. Nie wiedziałem o tym, ale odczucie to pojawiło się we mnie wraz z dostrzeżeniem śmierci i rozkładu i coś się wówczas stało w moim umyśle. — Spojrzał na mnie. — Pamiętaj, jesteśmy aniołami. Aż do tej pory nie doświadczyliśmy kary mentalnej, niczego, co sprawiłoby nam duchowe cierpienie. Rozumiesz to? A ja cierpiałem, strach zaś był

tego tylko drobną cząstką. Co powiedział Bóg?

— A jak sądzisz?

— Że to wszystko jest częścią Jego planu.

— Dokładnie tak. „Patrzcie. Patrzcie i czuwajcie, a przekonacie się że tak naprawdę nie dzieje się nic nowego, to wciąż ta sama wymiana energii i materii”.

— A co z iskrą? — zawołałem.

— „Jesteście żywymi istotami — powiedział Bóg. — To przymiot waszych przenikliwych umysłów, że potraficie coś takiego wychwycić. A teraz patrzcie. To jeszcze nie koniec”.

— Ale cierpienie, te karzące doznania...

— Wszystko zostało rozwiązane w trakcie Wielkiej Dyskusji. Dysputa z Bogiem toczy się nie tylko z udziałem słów, lecz także bezmiarem Jego miłości, światłem, które widziałeś, a które otacza i przenika nas wszystkich. Bóg przywrócił w nas pewność, że nie ma się czego bać, a po tym, co wycierpiałem, było to mi potrzebne.

— Rozumiem.

— Oto nadchodzi czwarte objawienie. Pamiętaj jednak, że moja lista tych objawień jest arbitralna. Nie mogę podać ci szczegółów, jak już wspomniałem. Czwarte objawienie nazywam objawieniem barw. Zaczęło się ono od kwitnienia kwiatów. Stworzenie kwiatów; wstęp do znacznie bardziej ekstrawaganckich i atrakcyjnych wizualnie sposobów spółkowania pomiędzy organizmami. Musisz zrozumieć, że spółkowanie było od zawsze. Nawet jednokomórkowce to robiły. Ale kwiaty! Z kwiatami nadeszła feeria barw, których dotąd w naturze nie było, jeśli nie liczyć tęczy! Znalizmy barwy w niebie i sądziliśmy, że są one absolutnie niebiańskie, teraz zaś przekonaliśmy się, że wcale

takie nie są, lecz można je wyprodukować z naturalnych przyczyn w tym wielkim ziemskim laboratorium.

Pozwolę sobie powiedzieć, że te spektakularne kolory rozwijał się też u morskich stworzeń i ryb w ciepłych wodach. Na i w jednak największe wrażenie zrobiły kwiaty, które wydały mi się; szczególnie piękne, a gdy stało się jasne, że gatunek ten będzie niezliczony, podobnie jak niezliczone będą wzory płatków, nasze hymny znów popłynęły ku niebu z taką siłą, że przyćmiły wszystkie wcześniejsze. Naturalnie pieśni te były naznaczone czymś mrocznym... czy odważę się to powiedzieć — jakimś wahaniem lub być może cieniem, który zrodziło w nas objawienie śmierci i rozkładu Teraz zaś, za sprawą kwiatów, ten mroczny element przybrał na sile, zarówno w naszych pieśniach, jak i wyrazie wdzięczności i zachwytu, kiedy bowiem kwiaty zwiędły, gdy straciły płatki kiedy spadły one na ziemię, odebraliśmy to jako wyjątkowo bolesną stratę. Iskierka życia emanowała najsilniej z tych kwiatów, a także większych roślin i drzew, których rosło wszędzie mnóstwo, i tak w naszych pieśniach pojawiła się posępna nuta.

Najbardziej jednak urzekła nas sama ziemia. Powiedziałbym, że w owym czasie uległ

zasadniczej zmianie charakter nieba. Całe niebo, Bóg i zastępy aniołów byli teraz skupieni na ziemi. W niebo nie można już było śpiewać pieśni skierowanych wyłącznie do Boga. Pieśń musiała mówić również o materii, Stworzeniu i pięknie. No i rzecz jasna byli aniołowie, którzy tworzyli bardziej złożone pieśni, umiejętnie łącząc w nich elementy śmierci, rozkładu i piękna, dzięki czemu wydawały się one ciekawsze i atrakcyjniejsze od moich. Byłem zakłopotany.

Chyba miałem w duszy bezsenny umysł. Miałem w sobie coś nienasyconego...

— Te słowa, użyłem tych samych słów, kiedy mówiłem Davidowi o tobie, a raczej o tym, że coś mnie prześladowa — powiedziałem.

— Pochodzą ze starego poematu, który mi kiedyś zaśpiewano, napisanego po hebrajsku i rzadko spotykanego w przekładach — słowa Sybilli, Wyroczni, których użyła, opisując obserwatorów... nas, anioły zesłane przez Boga na ziemię, by były świadkami Dzieła Stworzenia. Miała rację. Lubiłem jej poezję, zapamiętałem ją. I przyjąłem te słowa jako definicję mnie samego. Bóg jeden wie, dlaczego inne anioły są bardziej zadowolone i usatysfakcjonowane.

Memnoch sposepniał. Zastanawiałem się, czy muzyka niebios, która słyszałem, zawierała w sobie tę posępność, o której mówił, czy jej czysta nieskalana radość została przywrócona.

— Nie, obecnie w niebie słyszysz zarówno muzykę dusz ludzkich jak i aniołów. Dźwięki są całkiem inne. Pozwól jednak, że szybko dokończę opowieść o objawieniach, wiem bowiem, że nie one łatwe do przyjęcia i zrozumienia jako całość.

Piątym objawieniem była na encefalizacja. Zwierzęta w wodzie jakiś czas wcześniej oddzieliły się od roślin, teraz zaś w owych galaretowatych stworzeniach zaczął się formować układ nerwowy szkieletowy i równocześnie rozpoczął się proces encefalizacji. U tych stworzeń zaczęły rozwijać się głowy! Nie uszło naszej uwagi nawet przez jedną boską chwilę, że my, aniołowie, także mamy głowy! Procesy myślowe tych ewoluujących organizmów rozgrywały się właśnie w głowie. Tak

samo było z nami! Nikt nie musiał nam tego mówić. Dzięki naszej anielskiej inteligencji wiedzieliśmy, jak jesteśmy zorganizowani. Zdradziły nam to oczy.

Mieliśmy oczy, które były połączone z mózgiem, i to właśnie wzrok odpowiadał za nasze poczynania i reakcje, a także za poszukiwanie wiedzy, w większym zakresie niż inne zmysły.

W niebie zrobiło się zamieszanie. „Panie — zapytałem — co się dzieje? Te stworzenia zmieniają kształt... rozwijają... kończyny... głowy”. Znow rozbrzmiały hymny, lecz tym razem z ekstazą mieszało się zakłopotanie, lęk, że Bóg dopuścił do tego, by istotom Powstałym z materii zaczęły wyrastać głowy!

I wtedy, zanim jeszcze gady poczęły wypęłzać z wody na ląd, nastąpiło szóste objawienie, które wzbudziło we mnie nieopisaną grozę. Te istoty, z głowami i kończynami, niezależnie jak osobliwymi czy licznymi, miały również twarze! Tak jak my! Nawet najprostszy, najprymitywniejszy antropoid miał dwoje oczu, no i usta. Tak jak ja! Najpierw głowa, teraz twarz i przejaw inteligencji umysłu! Byłem skonsternowany. „Czy o to Ci chodziło? — zapytywałem.

— Tego właśnie chciałeś? Jak to się skończy? Czym są te istoty? Iskierka życia, która się w nich tli, przybiera na sile, płonie coraz mocniej i coraz trudniej gaśnie! Czy to kontrolujesz?”

Niektóre z aniołów były przerażone. „Memnochu — mówiły — w rozmowach z Bogiem posuwasz się za daleko! Najwyraźniej jest między nami jakaś więź, wszak jesteśmy cudownymi istotami Synami Bożymi, mieszkańcami *bene ha elohim*, podobnie jak tamci Głowa, twarz — to ewidentne cechy zbieżne. Jak śmiesz podawać w wątpliwość genialność boskiego planu?” Byłem niepokojony. Zbyt podejrzliwy, podobnie jak ci, co podzielali moje zdanie. Byliśmy zakłopotani i wróciliśmy na ziemię, by po niej wędrować i dalej chłonać jej piękno.

Uwielbiałem kłaść się wśród miękkiego listowia roślin, słuchać jak rosną, myśleć o nich i napawać wzrok ich kolorami. Mimo to wciąż dręczyło mnie przecucie nadciągającej katastrofy.

I wtedy stało się coś niezwykłego. Odwiedził mnie Bóg. W takich wypadkach Bóg wcale nie opuszcza niebios. Można by raczej powiedzieć, że rozciąga swoje granice. Jego światło spłynęło na mnie w miejscu, gdzie się akurat znajdowałem, otoczyło, spowiło mnie, wyciągnęło do Niego, a potem On przemówił do mnie. Oczywiście było to dla mnie sporym pocieszeniem. Długo odmawiałem sobie niebiańskiej błogości, a teraz ta błogość spłynęła i zalała mnie falą doskonałego spokoju, miłości i spełnienia. Przestałem mieć jakiegokolwiek wątpliwości. Ból odszedł. Karzący wpływ, jaki na mój umysł wywarły śmierć i rozkład, został złagodzony.

Bóg przemówił. Naturalnie byłem z Nim zespolony i w tym momencie nie czułem mojej własnej postaci, w przeszłości wielokrotnie byliśmy z sobą blisko i tak samo było, gdy zostałem stworzony i powstałem z Boga. Jednak to, co mnie teraz spotka o, było prawdziwie wielkim, miłosiernym darem. „Widzisz więc niż inni aniołowie — powiedział. — Myślisz w kategoriach przyszłości, której to koncepcji inni dopiero muszą się nauczyć, Są jak zwierciadła, w których odbija się wielkość i wspaniałość każdego kroku, podczas gdy ty masz ciągle wątpliwości. Nie ufasz mi”. Nie traktowałem moich obaw jako braku zaufania. Gdy uświadomiłem sobie, że to stwierdzenie w pełni Bogu wystarczyło, On przywołał mnie na powrót do nieba i powiedział, że powinienem częściej

patrzeć na świat z wysokości, zamiast zapuszczać się w ziemskie ostępy.

Wpatrywałem się w Memnocha, gdy mi o tym opowiadał. Wciąż staliśmy na brzegu strumienia. Memnoch nie wydawał się spokojny, choć mówił przecież o ukojeniu. Pragnął

jedynie podążać za swą opowieścią.

— Wróciłem do nieba, ale jak już wspomniałem, cały jego wygląd i charakter się zmienił.

Niebo było teraz skoncentrowane na ziemi. To ziemia stanowiła główny temat toczących się tam dyskusji. Nigdy nie byłem tego równie świadomy, jak po moim powrocie do nieba. Udałem się do Boga, ukląknąłem przed Nim i pokorą i otworzyłem serce, przedstawiając wszelkie trapiące mnie wątpliwości, a także nieopisaną wdzięczność, że zechciał sam do mnie przybyć. Zapytałem, czy mogę znów wrócić do świata poniżej. Udzielił mi jednej ze swoich typowych niejasnych odpowiedzi w rodzaju: „Nie zabraniam ci tego. Jesteś jednak obserwatorem i twoim obowiązkiem jest obserwować”. Toteż nie zwlekając, spłynąłem w dół...

— Zaczekaj — wtrąciłem. — Chcę cię o coś zapytać.

— Dobrze — mruknął cierpliwie. — Ale pójdź, kontynuujmy naszą przechadzkę. Możesz przejść po tych korzeniach na drugi brzeg.

Pospieszyłem za nim bez najmniejszych trudności i w kilka mi — później zostawiliśmy za sobą szumiący strumień i znaleźliśmy się w jeszcze gęstszym lesie, tętniącym życiem, jak sądzę, choć nie potrafiłem stwierdzić, jakie stworzenia go zamieszkiwały.

— Moje pytanie brzmi następująco — powiedziałem — czy w porównaniu z ziemią w niebie było nudno?

— Och, nie, nigdy, tyle że ziemia stała się głównym tematem większości rozmów. Nawet w niebie nie sposób było zapomnieć o ziemi, ponieważ wszyscy wciąż ją obserwowali i śpiewali na: jej cześć hymny. To wszystko. Nie, niebo było równie fascynując i błogie jak zawsze, posępna nuta zaś, o której wspomniałem ponura reminiscencja śmierci i rozkładu, stworzyła niezliczone wariacje na temat Dzieła Stworzenia, które można było opiewać w niebie czynem, pieśnią i słowem.

— Rozumiem. Dzięki tym objawieniom niebo także się rozwijało.

— Stale i wciąż! I pamiętaj o muzyce, nigdy, przenigdy nie myśl o niej jak o religijnym frazesie. Muzyka przez cały czas sięgała coraz to nowych poziomów, w wychwalaniu cudów i niezwykłości Miną tysiąclecia, zanim fizyczne instrumenty osiągną pułap, na którym będą mogły, aczkolwiek i tak nie do końca, oddać choć cząstkę muzyki aniołów, ich głosów mieszających się z trzepotem skrzydeł i melodyjnym szumem wiatru z ziemi.

Pokiwałem głową.

— O co chodzi? — zapytał. — Co chciałeś powiedzieć?

— Nie potrafię ująć tego w słowa. Chodzi o to, że nie potrafimy zrozumieć niebios, ponieważ nie nauczyliśmy nas, że niebo skupione jest właśnie na ziemi. Przez całe życie wpajano mi coś dokładnie przeciwnego, próbowano wmówić, że materia nic nie znaczy, że jest jedynie więzieniem dla duszy.

— Cóż, miałeś okazję na własne oczy ujrzeć niebo — rzekł. — Ale pozwól mi mówić dalej...

— Siódme objawienie polegało na wyjściu zwierząt z morza. Weszły do lasów, które pokrywały lądy, i znalazły sposób, aby w nich żyć. Narodziły się gady. Stały się wielkimi jaszczurami, potworami, istotami o takich rozmiarach, że nawet moc aniołów nie była ich w stanie zatrzymać. Te stworzenia miały głowy i twarze, i nie tylko pływały, posługując się nogami, takimi jak nasze, lecz także chodziły na nich, niektóre na dwóch, zamiast na czterech nogach, z dwoma górnymi kończynami przytkniętymi tuż przy piersi. Przygiąć się temu, jak ktoś może obserwować rozprzestrzenianie się ognia. Z małej iskierki powstała prawdziwa burza ognia!

Rozwinęły się owady w najróżniejszych formach. Niektóre wbiły się w powietrze i latały w inny, monstrualny w porównaniu naszym sposób. Świat zaroił się od tych nowych, ruchliwych, wygłodniałych istot, stworzenia bowiem żywiły się sobą nawzajem, jak zwykle, teraz wszelako, z pojawieniem się owych zwierząt uctowanie i zabijanie stało się znacznie bardziej oczywiste i rozgrywało się na większą skalę, dochodziło do wielkich walk pomiędzy jaszczurami, które rozrywały się wzajemnie na strzępy, a olbrzymie, latające gady atakowały z powietrza mniejsze, pełzające stwory, by zabrać je do swoich gniazd.

Zaczęła się też zmieniać forma rozmnażania. Stworzenia rodziły się z jaj. A potem pojawiły się istoty żyworodne, przychodzące na świat ze swoich matek. Przez miliony lat badałem te istoty, rozmawiałem o nich z Bogiem, bardziej lub mniej mimochodem, śpiewając, gdy ich piękno wzbudziło we mnie zachwyt. Wzniosłem się do nieba, by stwierdzić, że moje pytania były dla wszystkich równie deprymujące i kłopotliwe jak poprzednio. Dochodziło do wielkich debat.

Czy nie powinniśmy niczego kwestionować? Spójrzcie, to iskra życia błyska potwornym, gorącym płomieniem, to iskra umierającego wielkiego jaszczura.

I znów raz po raz doświadczałem zjednoczenia z Bogiem, gdy sądziłem już, że nigdy nie zaznam spokoju ani ukojenia. „Przyjrzyj się bacznie temu schematowi. Celowo dostrzegasz tylko pewne jego fragmenty”, rzekł do mnie Pan. I jak wielokrotnie powtarzał, zaznaczył, że we wszechświecie nic nie może się zmarnować, dzięki rozkładowi jedne organizmy stają się pokarmem dla innych, co oznacza, że wymiana przedstawia się teraz następująco: Zabij, pożyj, przetrwaj i wydal. „Kiedy jestem z Tobą — rzekłem o Niego — widzę piękno tego wszystkiego.

Kiedy zaś jestem a dole, kiedy pokładam się wśród wysokich traw, postrzegam wszystko inaczej.

„Jesteś moim aniołem i obserwatorem. Zwalcz te sprzeczności”, odparł mi. Wróciłem na ziemię.

I wtedy nastąpiło ósme objawienie ewolucji: pojawienie się ciepłokrwistych ptaków z pierzastymi skrzydłami!

Uśmiechnąłem się. Po części za sprawą wyrazu jego twarzy tej cierplivej, spokojnej, wyważonej

świadomości i emfazy, z jaką, opisywał skrzydła.

— Pierzaste skrzydła! — powiedział. — Najpierw widzimy twarze zdobiące głowy owadów, jaszczurów i potworów! A teraz spójrz, oto ciepłokrwista istota, o wiele bardziej krucha i delikatna lecz tętniąca życiem i unosząca się w powietrzu dzięki pierzastym piórom. Latająca jak my. Wzbija się w powietrze, rozpościera skrzydła i leci. Cóż, nie tylko moje wołanie poniosło się p0(j) niebios. Aniołowie ze zdumieniem odkrywali, że te małe istoty z materii mają skrzydła jak my. Pióra takie jak nasze czyniły je miękkimi i pozwalały unosić się z wiatrem... wszystko to miało swoje następstwa w świecie materialnym! Niebiosy wzburzyły się od pieśni, okrzyków i wołań. Aniołowie pofrunęli za ptakami otoczyli je w powietrzu i śledząc je oraz naśladując, dotarli za nimi do ich gniazd, by patrzeć, jak z jaj rodzą się pisklęta, a następnie rosną, by osiągnąć pełną dojrzałość. Widzisz, obserwowaliśmy cały ten proces, narodziny, rozwój, dojrzewanie u innych istot, ale nic takiego nie działo się z nami.

— Bóg milczał? — zapytałem.

— Nie. Tym razem wezwał nas wszystkich do siebie i zapytał, dlaczego po tym, czego się dowiedzieliśmy wciąż nie potrafiliśmy wyzbyć się uczucia zgrozy i pychy. Pycha, powiedział, jest tym, co nas trawi; oburzamy się, że takie istoty, o małych głowach i ograniczonych, prostych obliczach, mają upierzone skrzydła! Skarcił nas srodze i ostrzegł: „Raz jeszcze powiadam, że ten proces będzie kontynuowany, a wy jesteście moimi aniołami; należycie do mnie i powinniście we mnie pokładać zaufanie”.

Dziewiąte objawienie ewolucji było bolesne dla wszystkich aniołów. Jednych napełniło grozą, innych lękiem, zupełnie jakby odzwierciedliło emocje, jakie skrywaliśmy w naszych sercach.

Polegało na pojawieniu się na ziemi ssaków, ssaków, który upiorne okrzyki bólu wznosiły się pod niebiosy, wyżej niż wrzaski jakiegokolwiek innego stworzenia. Ooooooooooch, obietnica strachu, jaką ujrzeliśmy w śmierci i rozkładzie, została właśnie raz w przeraźliwy sposób wypełniona. Muzyka płynąca z ziemi uległa przemianie, a my w strachu i cierpieniu mogliśmy śpiewać jeszcze większym zadziwieniem i zachwytem, pieśń sposepniała, stała się jeszcze bardziej złożona. Oblicze Boga, światłość Boga, pozostało niezmienione.

No i wreszcie dziesiąte objawienie ewolucji. Małpy kroczące w pozycji wyprostowanej.

Wszak to jawna kpina z samego Boga! Ryły tam, włochate, brutalne, chodzące na dwóch nogach, wyprostowane istoty, jakby stworzone na ten sam obraz i podobieństwo co my. Nie miały skrzydeł i chwala Bogu, ale skrzydlate istoty nigdy nie posunęły się tak daleko w swoim rozwoju.

Te stworzenia kroczyły niemrawo, z maczugami w dłoniach, brutalne, dzikie; rozrywały zębami ciała swoich wrogów, używały pięści, zębów i korzeni, by zabić to, co próbowało im się oprzeć

— obraz Boga i dumnych Synów Bożych, Jego aniołów, we włochatej postaci i w dodatku posługujący się prymitywnymi narzędziami. Skonsternowani przyjrzelśmy się ich dłoniom. Czy miały kciuki? No, prawie. Skonsternowani otoczyliśmy ich siedliska. Czy z ich ust płynęły słowa, głośny, wymowny wyraz myśli? No, prawie! Na czym mógł polegać Boży Plan? Czemu On to zrobił?

Czy to nie wzbudzi Jego gniewu?

Jednak światło Boże płynęło wiecznie i nieprzerwanie, jakby wnioski konających małp nie mogły doń dotrzeć, jakby małpa rozdierana na strzępy przez większych napastników nie potrzebowała świadków obserwujących, jak tłąca się w niej iskierka powoli gaśnie. „Nie, to nie do pomyślenia. To niewyobrażalne”, Powiedziałem. Znow udąłem się do nieba, a Bóg, nie próbując mnie pocieszać, rzekł po prostu: „Memnochu, skoro ja nie czuję się ośmieszony przez te istoty, które są moim dziełem, jak ty możesz uważać się za ośmieszonego? Ciesz się, Memnochu, raduj się podziwem, zachwytem i zadziwieniem, i nie zwracaj mi już głowy. Wszędzie wokół

rozlegają się hymny, które szczegółowo relacjonują mi przebieg i rozwój kolejnych etapów Dzieła Stworzenia. Ty zaś przychodzisz do mnie z pytaniami i oskarżeniami. Dość tego, Memnochu!” Poczulem się upokorzony. Słowo „oskarżenia” przeraziło mnie. W moim umyśle nagle zapanowała pustka. Czy wiesz, że po hebrajsku szatan znaczy ni mniej, ni więcej tylko oskarżyciel?

— Wiem — przyznałem.

— Pozwól mi mówić dalej. Była to dla mnie całkiem nowa koncepcja, ale zorientowałem się, że faktycznie bez przerwy zarzucałem Boga oskarżeniami. Upierałem się, że cały ten proces ewolucji nie mógł być tym, co On sobie zamierzył i czego pragnął. On otwarcie nakazał mi przestać i powrócić do dalszej obserwacji. Co więcej pozwolił mi odczuć w szerszej perspektywie ogrom i różnorodność procesów, których byłem świadkiem. Innymi słowy, pozwolił mi doświadczyć przebłysku swojej perspektywy, która mnie nigdy nie będzie dana. Jak już wspomniałem, poczułem się upokorzony. „Czy mogę się z Tobą zjednoczyć, Panie?” —

spytałem. A On na to: „Ależ oczywiście!” Połączyliśmy się, pławiąc się w boskim świetle, ja jednak przez cały czas czuwałem, jak zwierzę zawsze wypatrujące przyczajonego wroga, by nie zbudzić się z trwogą. **A c ó ż t a m z n o w u d z i e j e s i ę n a d o l e !**

Czy tak właśnie powinienem się wyrazić czy może tchnąć w te słowa więcej mocy i ognia?

Włochate, wyprostowane istoty zaczęły odprawiać dziwny rytuał. W ogóle te kosmate stwory przedstawiały dziwne wzorce złożonych zachowań. Pozwól, że przejdę teraz do najbardziej znaczącego. Kosmate, wyprostowane istoty zaczęły grzebać swoich zmarłych.

Przymrużyłem powieki i spojrzałem na Memnocha z zakłopotaniem. Był tak pochłonięty opowieścią, że po raz pierwszy wydawał się naprawdę nieszczęśliwy, ale jego oblicze zachowa piękno. Nie można powiedzieć, że ból i smutek zniekształcały jej rysy. Nic nie miało na to wpływu.

— Czy to było jedenaste objawienie ewolucji? — spytałem. Fakt, że te stworzenia zaczęły grzebać swoich zmarłych.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, a ja wyczułem, że jest sfrustrowany, nie mogąc przekazać mi wszystkiego, czego chciał, abym się dowiedział.

— Co masz na myśli? — spytałem ze zniecierpliwieniem, złakniony wiedzy. — Co to znaczy, że

grzebali swoich zmarłych?

— To znaczy wiele — wyszeptał, dla podkreślenia swoich słów otrząsając wyprostowanym palcem — ponieważ rytuał pogrzebowy pojawił się wraz z więzami rodzinnymi, które rzadko i na krótko, jeżeli w ogóle, przejawiają się u innych gatunków — opieka silnych nad słabymi, pomoc i zdobywanie pożywienia dla kalek, na koniec pogrzeb z użyciem kwiatów. Właśnie k w i a t ó w , Lestacie! Ciało złożone do ziemi było od stóp do głów przysypywane kwiatami i tak wraz z jedenastym objawieniem ewolucji narodził się człowiek nowej generacji. Włochaty, przygarbiony, niezdarny, z włosami jak u małpy, ale jego oblicze przypominało nasze, po ziemi zaczął kroczyć człowiek! Człowiek ten znał emocje, jakie we wszechświecie dane były jedynie aniołom i Bogu, który ich stworzył; człowiek ów obdarzał tymi uczuciami swoich bliskich, kochał kwiaty jak my; i cierpiał, w bólu i żalu — nie szczędząc przy tym kwiatów — grzebał

swoich zmarłych.

Milczałem przez dłuższą chwilę, zastanawiając się nad tym, ale przede wszystkim rozważając punkt wyjścia opowieści Memnocha — jakoby on, Bóg i aniołowie uosabiali ideał, ku któremu na ich oczach ewoluowała istota ludzka. Nie rozpatrywałem tego z takiej perspektywy. I znów ujrzałem Boga odwracającego się od balustrady i usłyszałem Jego głos: „Nie mógłbyś nigdy zostać moim adwersarzem, prawda?”

Memnoch patrzył na mnie. Odwróciłem wzrok. Czułem łączącą mnie z nim silną więź, która wyrosła zarówno z jego opowieści, jak i zawartych w niej emocji, byłem jednak mocno zakłopotany słowami Boga Wcielonego.

— Nic w tym dziwnego — powiedział Memnoch. — Musisz bowiem zadać sobie następujące pytanie: Znając ciebie, Lestacie — a On z pewnością musi cię znać — dlaczego już teraz nie uważa cię za swego adwersarza? Jak myślisz, dlaczego?

Byłem kompletnie zbity z tropu. Milczałem.

Czekał, aż będę gotów na dalszy ciąg jego opowieści, ale przez chwilę miałem wątpliwości, czy ten moment w ogóle nadejdzie. Choć coś mnie do niego ciągnęło, choć byłem nim zafascynowany, czułem nieodparte, typowe dla śmiertelników pragnienie U obrócić się na pięcie i uciec przed czymś niepojętym, wszechogarniającym i zagrażającym strukturom mego logicznego umysłu

— Kiedy byłem z Bogiem — podjął w końcu swą opowieść — widziałem to, co Bóg: — ludzi z rodzinami, istoty ludzkie gromadzące się i uczestniczące przy narodzinach. Widziałem ludzi przykrywających groby wielkimi płytami. Widziałem to samo co Bóg postrzegalem po wsze czasy i we wszystkich kierunkach złożoność każdego, najdrobniejszego aspektu Stworzenia, każdą cząstkę wilgoci, każdą sylabę dźwięku płynącego z gardeł ptaków i ludzi i wszystko to wydawało się przejawem niezmiernie wielkości Boga. Z mego serca płynęły pieśni, którym ja nie byłem w stanie dorównać. A Bóg powiedział mi znów: „Memnochu, zostań przy mnie, w niebie. Popatrz teraz z wysoka”. „Czy muszę, Panie? — spytałem. — Tak bardzo chcę ich obserwować i czuwać nad nimi. Pragnę, by moje niewidzialne palce dotykały ich coraz gładszej skóry”. „Jesteś moim aniołem, Memnochu. Idź przeto i patrz, i pamiętaj, że wszystko, co ujrzysz, zostało obmyślane i stworzone

przeze mnie”.

Przed opuszczeniem nieba raz jeszcze spojrzałem w dół — mówię to w przenośni, o czym obaj wiemy — spojrzałem w dół i zobaczyłem Dzieło Stworzenia pełne aniołów obserwatorów; byli wszędzie, przepelnieni zachwytem, zafascynowani — od puszcz przez doliny aż po morza.

Jednak w ziemskiej atmosferze zaszła jakaś zmiana. Nazwijmy to nowym elementem, cienką spiralą maleńkich cząstek. Nie, to sugeruje coś znacznie ważniejszego, niż było w istocie. Ale było tam. Zszedłem na ziemię, a inni aniołowie natychmiast powiadomili mnie, że oni również wyczuli nowy element w atmosferze, choć nie był on zależny od powie” jak każda inna żyjąca istota. „Jak to możliwe?” — spytałem. Posłuchaj — rzekł anioł Michał. — Po prostu słuchaj. A usłyszysz”. A Rafael powiedział: „To coś niewidzialnego, ale żywego! A cóż jest pod niebiosami żywego i niewidzialnego dla nas?

Setki innych aniołów zebrały się, by to przedyskutować, by opowiedzieć o swoich doświadczeniach z tym nowym elementem, nową, niewidzialną obecnością, która zdawała się roić wokół nas, nieświadoma naszej obecności, lecz wytwarzająca pewnego rodzaju wibrację lub niesłyszalny dźwięk, który usilnie próbowaliśmy wychwycić. „Udało ci się! — rzekł do mnie jeden z aniołów i pozwólmy, by pozostał nienazwany. — Rozczarowałeś Boga swoimi oskarżeniami i wybuchami gniewu i uczynił coś innego prócz nas, co jest niewidzialne i ma nasze moce! Memnochu, musisz pójść do Niego i dowiedzieć się, czy zamierza z nami skończyć i pozwolić, by rządziła tam niewidzialna istota”. „Jak to możliwe?” — spytał Michał. Ze wszystkich aniołów Michał jest najspokojniejszy i najrozsądniejszy. Tak głoszą legendy, podobnie mówi angelologia, folklor, cały ten barwny pic. To prawda. Jest rozsądny. I wyjaśnił

mocno wzburzonym aniołom, że te maleńkie niewidzialne obecności, które wyczuwaliśmy, nie mogłyby w żaden sposób dorównać nam pod względem mocy. Ledwie je odbieraliśmy, a przecież byliśmy aniołami, przed którymi nic na ziemi nie mogło się ukryć!

„Musimy dowiedzieć się, co to takiego — powiedziałem. — To jest związane z ziemią i stanowi jej część. Nie jest istotą niebiańską. I jest tutaj, mieszka blisko lasów i wzgórz”. Wszyscy się ze mną zgodzili. Nic nie mogło się przed nami ukryć. Ty możesz potrzebować tysięcy lat, by pojąć ten czy inny rodzaj bakterii albo azot, wy jednak rozumieliśmy je bez trudu! Tego jednak nie potrafiliśmy zrozumieć. Albo powinienem raczej powiedzieć: nie umieliśmy rozpoznać, czym było to coś.

— Tak, rozumiem.

— Nasłuchiwaliśmy, wyciągnęliśmy ręce. Stwierdziliśmy, że o coś jest bezcielesne i niewidzialne, ale wiąże się z tym pewna ciągłość i odrębność. Prawdę mówiąc, określiliśmy, że owych odrębności jest bardzo wiele. Szlochały i stopniowo dźwięk t zaczął być słyszalny w naszej niewidzialnej krainie i jął docierać do naszych niewidzialnych duchowych uszu. — Znów przerwał. — Rozumiesz, do czego zmierzam? — zapytał.

— To były duchowe obecności — powiedziałem.

— Gdy tak się zastanawialiśmy, z rozłożonymi szeroko ramionami, śpiewając i próbując je

pocieszyć, przepatrując z wdziękiem i wprawą ziemską materię, wydarzyło się coś spontanicznego co było dla nas prawdziwym wstrząsem. Na naszych oczach nastąpiło dwunaste objawienie ewolucji! Było to dla nas jak grom z niebios! Sprawilo, że przestaliśmy koncentrować się na ukrytych niewidzialnych! To zdruzgotało nasze przekonania. Zmieniło nasze hymny w śmiech i płacz. Dwunaste objawienie ewolucji polegało na tym, że kobiety z ludzkiej rasy zaczęły odróżniać się od mężczyzn tak bardzo, że pod tym względem przewyższyły wszystkie inne antropoidalne rasy. W naszych oczach kobiety stały się urodziwe i kuszące, ich twarze nie były już porośnięte włosami, kończyny stały się smuklejsze, zachowanie wykraczało poza rzeczy konieczne do przetrwania; w dodatku stały się piękne, jak piękne są kwiaty albo skrzydła ptaków! Ze spółkowania włochatych małąp zrodziły się kobiety o delikatnej skórze i promiennym obliczu! I choć my nie mieliśmy piersi, a one skrzydeł, te istoty wyglądały jak my!!!

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

Ani przez chwilę nie próbowałem sobie tego wyobrazić. Ani przez chwilę nie próbowałem zrozumieć. Wiedziałem. Spojrzałem na niego, na jego potężne, piękne oblicze, długie falujące włosy, smukłe kończyny i czuły wyraz twarzy i zrozumiałem, że naturalnie ma rację. Nie trzeba być badaczem ewolucji, aby wiedzieć, że musiała w końcu nastać taka chwila, gdy doszło do uszlachetnienia gatunku, on zaś, o ile to możliwe, uosabiał większość kobiecych cech. Był jak marmurowe anioły, jak rzeźby Micha'8 Anioła; w jego wyglądzie odzwierciedlała się absolutna precyzja i harmonia kobiecości.

Był poruszony. Nieomal załamywał ręce. Patrzył na mnie z przejęciem, jakby był w stanie prześwidrować mnie wzrokiem.

— Krótko mówiąc — ciągnął — to było właśnie trzynaste objawienie ewolucji. Mężczyźni spółkowali z najpiękniejszymi kobietami, tymi najbardziej smukłymi, obdarzonymi najbardziej gładką skórą i najdelikatniejszym głosem. A z tego spółkowania przyszli na świat mężczyźni równie urodziwi jak kobiety. Pojawili się ludzie o włosach różnych kolorów, rudzi, jasnowłosi i bruneci, szatyni i ci, których włosy były zdumiewająco białe; oczy też miały różną barwę —

szarą, brązową, zieloną albo niebieską. Znikły wały nadoczodołowe, spadziste czoła, owłosienie na całej twarzy i niezdarny, małąp chód. Mężczyzna, jak wcześniej kobieta, urodą zaczął

dorównywać aniołom.

Milczałem.

Odwrócił się do mnie plecami, wydawał się dziwnie bezosobowy, chyba potrzebował chwili przerwy, by odzyskać siły. Spojrzałem na jego wielkie skrzydła, złożone razem, ich końce wisały tuż nad ziemią, każde z piór wydawało się lekko opalizujące. Odwrócił się w moją stronę

— na jego anielskim obliczu malowały się szok i konsternacja.

— Stali tam, mężczyzna i kobieta, to On ich stworzył i z wyjątkiem tego, Lestacie, z wyjątkiem tego, że jedno z nich było mężczyzną, a drugie kobietą, oboje wyglądali, jakby stworzono ich na obraz i

podobieństwo Boga i Jego aniołów! Do czego to doszło! Do czegoś takiego! Bóg rozdzielony na dwoje! Aniołowie podzieleni na dwoje!

Nie wiem, jak długo przytrzymywali mnie inni aniołowie, ale w końcu nie mogli mnie już utrzymać i udałem się do nieba, w moim wnętrzu aż kipiało od myśli, powątpiewań i spekulacji.

Poznałem gniew. To krzyki cierpiących ssaków nauczyły mnie wściekłości. Okrzyki wojenne i wrzaski małpopodobnych, wojowniczych istot nauczyły mnie, co to gniew. Rozkład i śmierć nauczyły mnie, czym jest strach. Prawdę mówiąc, jedynym, czego nauczyło mnie Boże Dzieło Stworzenia, było pragnienie, aby stanąć przed Jego obliczem i zapytać wprost: Czy tego właśnie chciałeś? Podzielenia Twego obrazu na mężczyznę i kobietę. Iskierka życia goreje teraz silniej niż kiedykolwiek, gdy któreś z nich, mężczyzna czy kobieta umiera! To groteskowe; ten niesamowity podział; ta potworność Czy taki był plan? Byłem wzburzony. Uważałem, że to katastrofa! Pałałem z wściekłości. Rozłożyłem szeroko ramiona, wzywając Boga, by przywrócił

mi przekonania, aby mi wybaczył i ocalił przez swoją mądrość i ukojenie, ale Bóg nie odpowiedział. Nic Żadnego światła. Żadnych słów. Żadnej kary. Żadnego sądu.

Zdałem sobie sprawę, że stoję w niebie otoczony przez aniołów. Wszyscy tylko patrzyli i czekali. Jediną odpowiedzią Wszechmogącego była wątła smużka spokojnego światła.

Szlochałem. „Spójrzcie, to łyzy, takie same jak ich”, rzekłem do innych, choć rzecz jasna moje łyzy były niematerialne. I gdy tak płakałem, a oni na mnie patrzyli, pojąłem, że nie ja jeden ronię łyzy.

Kto był ze mną? Obracałem się wkoło, patrząc na nich — ujrzałem wszystkie chóry anielskie, obserwatorów, cherubinów, serafinów, byli tu wszyscy. Ich oblicza przepełniał zagadkowy wyraz i zadziwienie, a mimo to słyszałem szloch!

„Skąd dochodzi ten płacz?” — zawołałem. I wtedy zrozumiałem. Oni również. Zebraliśmy się razem, ze złożonymi skrzydłami, pochylonymi głowami, nasłuchując, i wtedy doszły nas płynące z ziemi głosy niewidzialnych duchów, owych niewidzialnych obecności; to właśnie one —

niematerialne istoty — tak gorzko szlochały! A ich płacz wzniósł się pod niebiosą, gdy spłynął

na nas Boży blask i światło Pana niczego w nas nie odmieniło. „Tak, muszę zobaczyć, co się dzieje”, powiedziałem i opadłem na ziemię, tak jak my wszyscy pośród wielkiego powietrznego wiru, kierując się do źródła owego przeraźliwego szlochu, płaczących istot, których nawet nie byliśmy w stanie dostrzec! Ludzki płacz nas zdezorientował! Ludzki szloch mieszający się z zawodzeniem niewidzialnych Zebraliśmy się w jednym miejscu i niewidziani otoczyliśmy niewielkie obozowisko gładkoliczych, pięknych ludzkich istot. Pośród nich leżał młody mężczyzna, konał. Jego ciałem spoczywającym na łożu boleści, usłanym trawą i kwiatami, wstrząsały ostatnie dreszcze. Gorączkę, która go trawiła, wywołało ukąszenie jakiegoś zabójco owada, wszystko było częścią wielkiego cyklu, jak wyjaśnił ani Bóg, gdy o to spytaliśmy. Lecz nad umierającym rozlegał się lament niewidzialnych. A zawodzenie ludzi przybrało na sile, stając się dla mnie nie do zniesienia. Znów zapłakałem.

„Cicho, słuchajcie”, rzekł wiecznie cierpliwy Michał. Nakazał, byśmy spojrzeli na maleńki obóz i miotające się ciało umierającego, gdzie w powietrzu rozchodziły się płaczliwe jęki widmowych istot. Wtedy też po raz pierwszy ujrzelśmy te duchy na własne oczy! Zobaczyliśmy je, jak zbijają się w zwartą gromadę i rozpraszają, błakając się to tu, to tam, a każdy z nich zachował szczątkowe wspomnienie wyglądu istoty ludzkiej. Wątle, zagubione, pogmatwane, niepewne siebie, unosiły się w powietrzu, rozkładając ramiona przed mężczyzną na marach, który wkrótce miał wyzionąć ducha. I rzeczywiście ten człowiek umarł. Cisza. Bezruch.

Memnoch spojrział na mnie, jakbym to ja miał dokończyć tę opowieść za niego.

— Potem z ciała martwego mężczyzny wyłonił się duch — powiedziałem. — Iskra życia rozpałała się i nie zgasła, lecz stała się niewidzialną istotą i dołączyła do pozostałych. Duch mężczyzny zachował po części jego wygląd i kształt, po czym przyłączył się do zjaw, które przybyły, by go zabrać ze sobą.

— Tak! — Westchnął przeciągle i szeroko rozłożył ramiona. Wziął głęboki wdech, jakby chciał ryknąć na całe gardło. Spojrział w niebo ponad gigantycznymi drzewami.

Stałem jak wryty.

Las szeptał wokół nas. Czułem jego drżenie, czułem krzyk rodzący się w jego wnętrzu, krzyk, który w każdej chwili mógł wyrwać się z jego gardła. Lecz dźwięk ten został skutecznie opanowany, gdy Memnoch pochylił głowę.

Las znów się zmienił. To znów był nasz las. Były tam dęby czarne drzewa z naszych czasów, dzikie kwiaty, mech, który znałem, jak również ptaki i maleńkie gryzonie przemykające wśród cieni. Czekałem.

— W powietrzu było aż gęsto od duchów — powiedział — bo kiedy już raz je zobaczyliśmy, gdy tylko wychwyciliśmy ich słabe zarysy i usłyszeliśmy ich żalosne głosy, postrzegaliśmy je stale, bez przerwy, jak otaczający ziemię widmowy woal! Dusze zmarłych Lestacie! Duchy zmarłych ludzi.

— Dusze, Memnochu?

— Dusze.

— Dusze, które ewoluowały z materii?

— Tak. Na Jego podobieństwo. Dusze, esencje, niewidzialne obecności, dusze!

Znów czekałem w milczeniu. Zebrał się w sobie.

— Chodź ze mną — powiedział. Otarł twarz wierzchem dłoni. Kiedy sięgnął po moją, poczułem jego skrzydło, po raz pierwszy wyraźnie i zdecydowanie, gdy otarło się o moje ciało i przepelniło drżeniem, które mogło być, ale nie było wywołane strachem. — Dusze pochodziły z tych właśnie istot ludzkich — ciągnął. — Były całe, żyły i uniosły się nad materialnymi ciałami istot, z których plemienia pochodziły. Nie mogły nas zobaczyć; nie mogły ujrzeć nieba. Widziały tych, którzy je

pogrzebali, tych, którzy kochali je za życia i byli ich potomkami, a także tych, którzy pomalowali ich ciała czerwoną ochrą, zanim złożyli je w grobach, wedle starannie przemyślanego rytuału, z twarzą skierowaną ku wschodowi i całym mnóstwem rzeczy, które należały do nich za życia!

— A ci ludzie, którzy w nie wierzyli — spytałem — ci, co oddawali cześć przodkom, czy oni wyczuwali ich obecności? Czy cos podejrzewali? Czy domyślali się, że ich przodkowie wciąż tam są, tyle że w postaci duchowej?

— Tak — odparł.

Byłem zbyt zaabsorbowany, by powiedzieć coś więcej. Wydawało się, że moją świadomość zalał aromat lasu i jego mrocznych barw, nieskończenie bogate odcienie brązu, złota i czerwieni taczały nas ze wszystkich stron. Spojrzałem w niebo, rozjaśnione blaskiem, szare i posępne, lecz mimo wszystko majestatyczne.

Myśleć mogłem jednak wyłącznie o wirze i duszach, które nas w nim otaczały, jakby całe powietrze od ziemi po niebiosa było wypełnione ludzkimi duszami. Co więcej, tułającymi się duszami. Dokąd zmierzały pośród mroku? Czego poszukiwały? Kto to wie?

Czy Memnoch się śmiał? Ten dźwięk brzmiał cicho i smętnie, osobiście i był pełen bólu.

Może Memnoch nucił też cicho pod nosem, jakby melodia była naturalnym wyrażeniem jego myśli. Wypływała z jego myśli jak aromat z kwiatu, pieśń, anielski hymn.

— Memnochu — odezwałem się. Wiedziałem, że cierpi, ale nie mogłem znieść tego dłużej.

— Czy Bóg o tym wiedział? — spytałem. — Czy Bóg wiedział, że w tych mężczyznach i kobietach wytworzyła się esencja duchowa? Czy wiedział o ich duszach, Memnochu?

Nie odpowiedział.

Znów usłyszałem ten cichy dźwięk, jego pieśń. On także wpatrywał się w niebo i śpiewał

niedługo głośniejszy, smętny i pokorny kantykt, całkiem obcy w porównaniu z naszą miarową, uporządkowaną muzyką, lecz wyrazisty i przepełniony cierpieniem. Wpatrywał się w chmury przesuwane nad nami; nigdy jeszcze nie widziałem równie białych i ciężkich obłoków.

Czy piękno tego lasu mogło rywalizować z tym, co ujrzałem w niebie? Nie potrafię odpowiedzieć. Wiedziałem jednak, że niebo w porównaniu z tym miejscem nie zdołało ani trochę przyćmić jego piękna. I to było cudowne. Ten Dziki Ogród, potencjalny Eden, owo pradawne miejsce, tak urokliwe na swój sposób, pomimo, a może za sprawą pewnych oczywistych skądinąd mankamentów. Nagle, nie wiedzieć czemu, nie byłem w stanie spojrzeć na te drzewa, nie mogłem znieść widoku opadających miękko na ziemię małych listków ani pokochać ich, nie odpowiedziałem na to zasadnicze pytanie. Nic w całym moim życiu nie wydawało mi się równie ważne.

— Czy Bóg wiedział o duszach, Memnochu? — spytałem znów. — Czy On wiedział?

Odwrócił się do mnie.

— Jak mógł nie wiedzieć, Lestacie? — odparł. — Jak mógłby nie wiedzieć? Jak sądzisz, kto pofrunął do nieba, by mu o tym powiedzieć? Czyż On kiedykolwiek był zaskoczony, zdezorientowany zbity z tropu, poruszony, osłupiały, oświecony lub ogłupiały tym co przedstawiłem Jego Wszechwładnemu Majestatowi? — Znów westchnął i sprawiał wrażenie, jakby był bliski potężnego wybuchu emocji, przy którym wszystkie inne wydadzą się drobne i nieistotne. Zaraz jednak się uspokoił i zadumał.

Ruszyliśmy dalej. Las zmienił się, gigantyczne drzewa ustąpiły miejsca mniejszym, o smuklejszych gałęziach, tu i ówdzie widać było splechotki wysokich, falujących traw.

W powietrzu czuło się zapach wody. Ujrzałem, jak podmuch wiatru porusza jego jasnymi, gęstymi włosami, odgarniając mu je z twarzy. Lekka bryza ochłodziła moją głowę i dłonie, ale nie serce. Ujrzelśmy przed sobą głęboką, rozległą, dziką dolinę. W oddali widać było góry i zielone zbocza, gęste połacie lasów poprzetykane były tu i ówdzie polami porośniętymi pszenicą lub jakimś innym gatunkiem dzikich zbóż. Lasy sięgały wzgórz i podnóża gór, korzenie drzew wryły się głęboko w skałę; gdy zbliżyliśmy się do doliny, pomiędzy gałęziami spostrzegłem migocące refleksy światła odbijającego się w falach rzeki lub morza.

Wyszliśmy ze starej puszczy. To była cudowna i żyzna kraina. Wszędzie rosło mnóstwo żółtych i niebieskich kwiatów, które falując na wietrze, sprawiały wrażenie, jakby ich barwy tańczyły w powietrzu. Rosły tu głównie drzewa oliwne i owocowe, o niskich, poskręcanych gałęziach, z których przez wiele pokoleń zbierano owoce. Wszystko skąpane było w promieniach słońca.

Szliśmy wśród wysokich traw — być może dzikiej pszenicy — by dotrzeć na brzeg obmywany leniwymi, łagodnymi falami — woda była czysta i roziskrzona, fale, cofając się, odsłaniały widoczne na dnie niniejsze i większe kamienie.

Spoglądałem na lewo i prawo, lecz nie zdołałem dostrzec granicy tych wód, zauważyłem jednak przeciwległy brzeg i skaliste wzgórza opadające ku niemu i jakby ożywione za sprawą korzeni wszechobecnych zielonych drzew.

Odwrociłem się. Krajobraz za nami wyglądał tak samo. Skaliste wzgórza przeradzające się dalej w pasma gór, całe mile bardziej lub mniej stromych stoków, gaje owocowe i czarne, jak ziejące usta wejścia do jaskiń.

Memnoch milczał. Był zdruzgotany, zasmucony, wlepił wzrok w wodę i odległy horyzont, na którym majaczyły pasma górskie, zdające wznosić się tuż nad wodą niczym milczący strażnicy czuwający nad jej leniwymi falami.

— Gdzie my jesteśmy? — zapytałem. Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

— Objawienia ewolucji zostały, przynajmniej na razie, zakończone. Opowiedziałem ci, co zobaczyłem, w ogólnym zarysie, a sam dowiesz się wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach, kiedy umrzesz. To, co pozostało, stanowi sedno mojej historii i uznałem, że powinienem

opowiedzieć ją właśnie tutaj. Tu, w tym przepięknym miejscu, choć tych rzek dawno już nie ma na ziemi, podobnie jak mężczyzn i kobiet, którzy przemierzali wówczas te okolice. A w odpowiedzi na twoje pytanie: „Gdzie my jesteśmy?” — powiem krótko: Oto miejsce, do którego On mnie strącił, gdy wyrzucił mnie w końcu z nieba. To miejsce mego upadku.

12

— Bóg powiedział: „Zaczekaj!” i przystanęłam u bram niebios wraz z moimi towarzyszami, aniołami, które podążały za mną i robiły to co ja, a prócz nich byli tam także nie należący do moich kompanów Michał, Gabriel i Uriel. „Memnoch, mój oskarżycielu — rzeki Bóg, wypowiadając te słowa z typową dla Niego łagodnością i feerią światła — zanim wejdiesz do nieba i rozpoczniesz swoją diatribę, wróć na ziemię i przestudiuj z szacunkiem wszystko, co zaobserwowałeś — mam na myśli ludzkość — abyś przychodząc do mnie, miał szansę pojąć i spostrzec wszystko, co stworzyłem. Wiedz bowiem, że ludzkość jest częścią Natury i podlega prawom Natury, których tworzenia byłeś świadkiem. Nikt nie jest zdolny pojmować tego lepiej niż ty, oprócz mnie, rzecz jasna. Ale, powiadam raz jeszcze, zobacz to na własne oczy. I wtedy, dopiero wtedy znów zwołamy zgromadzenie w niebie, zgromadzenie aniołów wszelkich szarż i zastępów, a ja wysłucham tego, co masz do powiedzenia. Weź ze sobą wszystkich, którzy szukają tych samych odpowiedzi co ty, i pozostaw ze mną aniołów, na których nigdy ci nie zależało, na których nie zwracałeś uwagi i którzy twoim zdaniem są tylko po to, by egzystować w Moim świetle”.

Memnoch przerwał.

Szliśmy wolno brzegiem wąskiego morza, aż dotarliśmy miejsca, gdzie kilka głazów tworzyło naturalne siedzisko, na rym można było przycupnąć i odpocząć. Nie czułem się zmęczony fizycznie, ale zmiana postawy wyostrzyła moje lęki, koncentracja i pragnienie usłyszenia dalszej części jego opowieści. Usiadł obok mnie, odwrócił w moją stronę, a jego skrzydła znów przyblakły. Wpierw jednak uniosły się i rozpostarły ponad moją głowę, a ich ciętość mocno mnie zdumiała. Później zaś zniknęły. Po prostu tam, gdzie siedział Memnoch, nie było dla nich miejsca, dlatego zdecydował się je złożyć.

— Gdy tylko przebrzmiały Jego słowa — podjął na nowo — niebie zrobiło się spore poruszenie w związku z tym, kto ma iść na ziemię i obserwować ze mną Dzieło Stworzenia, a kto powinien zostać. Musisz wiedzieć, że aniołowie rozproszyli się całej ziemi, byli na niej od wielu lat i zakochali się w potokach i dolinach, a nawet pustyniach, które właśnie zaczęły się pojawiać.

Tym razem jednak Bóg dał mi specjalne przesłanie: „Idź i dowiedz się wszystkiego na temat ludzkości” — i należało odpowiedzieć na pytanie, kto jest równie zainteresowany i rozkochany w sekretach rasy ludzkiej jak ja.

— Chwileczkę — wtrąciłem. — Wybacz. Ile jest w ogóle aniołów? Powiedziałeś, cytując Boga, „aniołowie wszelkich szarż i zastępów”.

— Z pewnością po części znasz prawdę — odparł — z różnych źródeł. Najpierw Bóg stworzył nas — archaniołów — Memnocha, Michała, Gabriela, Uriela i wielu innych, których imiona nigdy

nie zostały odkryte — ani przypadkiem, ani celowo. Pełna liczba archaniołów?

Pięćdziesięciu. I jak już wspomniałem, zostaliśmy stworzeni jako pierwsi, choć kto pojawił się przed kim, zawsze stanowiło powód do zacieklej sporów w niebie, które znudziły mnie już dawno temu. Poza tym jestem przekonany, że to ja byłem pierwszy. Ale to bez znaczenia.

Jesteśmy tymi, którzy w najbardziej bezpośredni sposób komunikują się z Bogiem, a także z ziemią. To dlatego nazwano nas archaniołami i aniołami stróżami i niekiedy literaturze religijnej stawiani jesteśmy dość nisko w hierarchii. Nie mamy jednak niższej rangi, mamy natomiast najwspanialszą osobowość i największą elastyczność pomiędzy Bogiem a człowiekiem,

— Rozumiem. A Raziel? A Metatron? A Remiel?

Uśmiechnął się.

— Wiedziałem, że powinieneś znać te imiona. Wszyscy mają swoje miejsce wśród archaniołów, ale nie mogę ci teraz te wyjaśnić. Tę prawdę poznasz po śmierci. To niemal nie do poW' dla ludzkiego umysłu ani nawet dla wampirzego jak twój.

— Doskonale — powiedziałem. — Sugerujesz jednak że imiona dotyczą konkretnych istot.

Sariel jest taką istotą.

— Tak.

— Zagzagel.

— Tak, on także. A teraz pozwól mi kontynuować. Skoncentrujmy się na schematach. Jak już mówiłem, jesteśmy Bożymi posłańcami i najpotężniejszymi wśród aniołów, a ja dość szybko stałem się oskarżycielem Boga!

— Szatan znaczy ni mniej, ni więcej tylko oskarżyciel — wtrąciłem. — I wszystkie inne okropne imiona, za którymi nie przepadasz są z tym powiązane. Z oskarżycielem.

— Oczywiście — odparł. — A wszyscy wcześnie autorzy religijni znają tylko drobne fragmenty prawdy, choć oskarżałem nie Boga, lecz człowieka, ale były po temu powody, o czym sam się wkrótce przekonasz. Można powiedzieć, że stałem się wielkim oskarżycielem wszystkich. — Wydawał się lekko rozdrażniony, ale po chwili w jego głosie znów zagościły spokój i zrównoważenie. — Lecz na imię mi Memnoch — przypomniał — i nie ma ani nigdy nie było anioła potężniejszego lub sprytniejszego ode mnie.

— Rozumiem — przyznałem, siląc się na uprzejmość. Poza tym nie próbowałem przecież kwestionować jego słów. Niby dlaczego? — Dziewięć Chórów? — zapytałem.

— Dokładnie tyle — przyznał. — Dziewięć Chórów tworzących *bene ha elohim*. Doskonale opisanych przez hebrajskich i chrześcijańskich uczonych, dzięki objawieniu, a może katastrofie, c trudno byłoby określić naturę tych wydarzeń. Pierwsza Triada składa się z Trzech Chórów,

serafinów, cherubinów i tronów albo ofanimów, jak wolę ich nazywać. Ta Pierwsza Triada jest z zasadniczo zamknięta w blasku Chwały Bożej. Są w Jego mocy, pławią się w świetle, które może oślepić lub oszalać innych, i nigdy nie oddalają się od niego za bardzo.

Czasem, gdy jestem wściekły i wygłaszam długie mowy pod niebiosa, oskarżam ich... jeśli mogę się tak wyrazić — że są przyciągani przez Boga jak magnes i brak im wolnej woli oraz osobowości, którą my posiadamy. Ale mają je, to oczywiście, nawet ofanimowie, którzy, najogólniej rzecz biorąc, są najmniej wymowni i elokwentni... Prawdę mówiąc, ofanimowie nie odzywają się od oenów — ale każdy należący do tej Pierwszej Triady może zostać wysłany przez Boga w tej czy innej sprawie i pojawiać się na ziemi, niektórzy z serafinów w dość spektakularny sposób objawiali się także ziemskim mężczyznom i kobietom. Na ich korzyść dodam, że wielbią oni Boga bezgranicznie, doświadczają bez ograniczeń ekstazy Jego obecności, a On wypełnia ich bez reszty, tak więc o nic Go nie pytają, są bardziej potulni lub w zależności od punktu widzenia bardziej świadomi Boga.

Druga Triada składa się z Trzech Chórów, które ludzie nazwali dominacjami, cnotami i potęgami. Prawdę mówiąc niewiele różni tych aniołów od Pierwszej Triady. Druga Triada znajduje się nieco dalej od światła Boga, choć tak blisko, jak to możliwe, i chyba nie jest zbyt bystra, jeżeli chodzi o logiczne zadawanie pytań. Któż to wie? Na pewno Druga Triada jest jeszcze bardziej pokorna, ale aniołowie ci częściej kursują pomiędzy niebem a ziemią niż głęboko oddani i niekiedy dość arogancy serafini. Widzisz przeto, że może to być tematem uczonych dyskusji.

— Chyba rozumiem.

— Obie Triady, kiedy przebywają w niebie, bez przerwy śpiewają i robią to przez większość czasu spędzanego na ziemi.

Pieśni niosą się ku niebiosom spontanicznie i nieprzerwanie; e rozbrzmiewają nagle, jak moje hymny czy pieśni tych, co są mi Podobni. Nie milkną też na dłuższy czas, jak pieśni innych aniołów. Kiedy umrzesz, będziesz w stanie usłyszeć pieśni wszystkich Triad. Gdyby stało się to teraz, zostałbyś unicestwiony. Pozwoliłem ci usłyszeć cząstkę niebiańskiego hałasu, bo ty tak go właśnie odbierzesz, jako hałas, połączenie śmiechu i pieśni, z rzadkimi erupcjami naprawdę pięknych dźwięków.

Pokiwałem głową. To, co usłyszałem, było cudowne i bolesne zarazem.

— Do Najniższej Triady mają się zaliczać książęta, archaniołowie i aniołowie — ciągnął —

ale jak już mówiłem, to nie do końca tak. Albowiem my, archaniołowie, jesteśmy w istocie najpotężniejsi i najważniejsi, mamy najsilniejszą osobowość i przejawiamy najwięcej troski oraz wątpliwości. Inni aniołowie uważają to za mankament. Przeciętnemu serafinowi przez myśl nie przejdzie, aby błagać o litość w imieniu ludzkości. I tu pojawiają się problemy Aniołów jest niezliczenie wiele. Co więcej, są oni w ciągłym ruchu jedni bardziej od innych zbliżają się do Boga, a potem, gdy Jego majestat staje się dla nich zbyt dojmujący, oddalają się, by znów powrócić, z łagodniejszą pieśnią. Ten proces trwa nieustannie.

Istotne jest, że ziemscy aniołowie stróże, Obserwatorzy, którzy skupili się na oglądaniu Dzieła Stworzenia, pochodzą z różnych triad! Także spośród serafinów wywodzą się strażnicy, którzy

spędzili na ziemi miliony lat, a potem wrócili do Domu. Pojawienia się i odejścia zdarzają się nieprzerwanie. To, co tu opisałem, jest rzeczą wrodzoną, choć nie niezmienną.

Aniołowie nie są doskonali. Sam zdążyłeś się o tym przekonać. Są istotami stworzonymi. Nie wiedzą wszystkiego, co wie Bóg, to oczywiste, tak dla ciebie, jak i dla innych. Mimo to dysponują sporą wiedzą, mogą wiedzieć o wszystkim, co wydarzy się w czasie, jeśli tylko zechcą, i pod tym względem wśród aniołów panuje największa różnica zdań. Jedni chcą wiedzieć o wszystkim, co wydarzy się w czasie, innym zależy tylko na Bogu i odbiciu Boga w duszach najbardziej oddanych spośród nich.

— Ach, już rozumiem. Chcesz powiedzieć, że dzięki temu wszyscy mają rację i równocześnie wszyscy się mylą?

— Raczej mają rację, niż się mylą. Aniołowie to indywidualiści i w tym właśnie sęk. My, którzy upadliśmy, nie stanowimy jednego gatunku, chyba że fakt, iż jesteśmy najinteligentniejszymi, najbardziej bystrzymi i pojętnymi, czyni z nas odrębny gatunek, choć nie sądzę, aby tak było.

— Mów dalej.

Zaśmiał się.

— Myślisz, że mógłbym teraz przerwać?

— Nie wiem — odparłem. — A gdzie jest miejsce dla mnie? Nie mam na myśli Lestata de Lioncourt, tylko to, kim się stałem — czyli wampira.

— Jesteś ziemskim fenomenem, jak duchy. Niedługo do tego dojdziemy. Kiedy Bóg zesłał nas na ziemię, abyśmy kontynuowali obserwację, ze szczególnym uwzględnieniem ludzkości, naszą ciekawość wzbudzili zarówno żyjący, jak i zmarli, te widmowe dusze, które możemy usłyszeć i zobaczyć, a które gromadzą się wokół ziemi, w miejscu, które natychmiast nazwaliśmy szeolem, ponieważ odnieśliśmy wrażenie, że kraina tych szlochających dusz była krainą czystego mroku.

Szeol oznacza ciemność.

— A duch, który tworzy wampiry...

— Zaczekaj. To bardzo proste. Pozwól, że przedstawię ci to tak, jak ukazano to mnie.

Gdybym tego nie uczynił, jak miałbyś zrozumieć wszystko z mojej perspektywy? To, o co cię proszę — abyś został moim adiutantem — jest tak osobiste i tak kompletne, że nie zdołasz w pełni tego pojąć, jeśli nie będziesz słuchał uważnie.

— Proszę, mów dalej.

— W porządku. Grupa aniołów postanowiła pójść ze mną jak najbardziej i zbliżyć się do materii, aby zebrać w pełni całą naszą wiedzę i lepiej to wszystko zrozumieć, tak jak przykazał

nam Bóg. Michał poszedł ze mną. Podobnie jak oddział innych archaniołów. Było też z nami kilku serafinów. I garstka ofanimów, gromada aniołów niższych szarż, tych mniej bystrych, ale mimo czystko aniołów, zakochanych w Dziele Stworzenia i zaciekach, dlaczego tak bardzo gniewam się na Boga. Nie mogę ci udzielić, ilu konkretnie nas było. Kiedy jednak dotarliśmy na ziemię, rozdzieliliśmy się, by obserwować różne rzeczy, i później często się spotykaliśmy, aby opowiadać sobie wzajemnie o tym, co ujrzeliśmy. Jednoczyła nas fascynacja słowami Boga, który oświadczył, że ludzkość jest częścią Natury. Nie potrafiliśmy pojąć, jak to możliwe.

Udaliśmy się, by to zbadać.

Bardzo szybko przekonaliśmy się, że mężczyźni i kobiety żyją teraz w dużych grupach, w przeciwieństwie do innych naczelnych, że budują dla siebie schronienia, malują swoje ciała na różne kolory, a kobiety często żyją oddzielnie, z dala od mężczyzn, wszyscy zaś zgodnie wierzą w coś niewidzialnego. Ale w co? Czy w dusze przodków, drogich nieobecnych, którzy wciąż tkwili uwiązani w przestrzeni wokół ziemi, bezcieleśni i zagubieni? Tak, chodziło o dusze przodków, ale ludzie oddawali też cześć innym istotom Wyobrażali sobie Boga, który stworzył

dzikie zwierzęta, i na ołtarzach składali Mu krwawe ofiary, uważając ten aspekt Boga Wszechmocnego za osobowość o bardzo wyrazistych granicach którą łatwo zadowolić, lecz także urazić.

Nie powiem, żeby było to dla mnie wielkim zaskoczeniem. Widziałem pierwsze, wczesne tego oznaki. Bądź co bądź w moich objawieniach przedstawiłem ci doświadczenia milionów lat, kiedy jednak zbliżyłem się do tych ołtarzy, kiedy usłyszałem modlitwę do Boga dzikich zwierząt, gdy zwróciłem uwagę na drobiazgowość i rozwagę podczas składania ofiar, szlachtowania barana albo jelenia, poraziła mnie świadomość, że ludzie nie tylko wyglądają jak aniołowie, lecz co więcej, zaczynają domyślać się prawdy. Wpadli na to instynktownie! Domyślili się, że istnieje Bóg. Wiedzieli. Nie wiedzieli, jaki On jest, mimo to wiedzieli. Ta instynktowna wiedza zdawała się płynąć z tej samej esencji co ich dusze. Pozwól, że spróbuję wyjaśnić to nieco dokładniej.

Samoświadomość i świadomość czyjejś śmierci wytworzyła w ludziach poczucie odrębności, a owa odrębność, ta jednostkowość, lękała się śmierci; bała się unicestwienia! Widziała to, wiedziała, co to takiego, była tego świadkiem. I modliła się Boga, aby nie dopuścił, by coś takiego było pozbawione głębszego znaczenia. Ta sama nieustępliwość, mówię o nieustępliwości wspomnianej odrębności, sprawiała, że dusza ludzka żyła dalej, nawet po śmierci ciała, naśladowując jego kształt, zachowując spójność, innymi słowy: kurczowo trzymając się życia i przystosowując się poprzez przybranie postaci zbliżonej do tej, jaką miała w jedynym znanym jej świecie.

Milczałem. Urzekła mnie ta historia i chciałem, by mówił dalej. Rzecz jasna myślałem w tym momencie o Rogerze. Pomyślałem właśnie o nim, ponieważ Roger był jedynym duchem, jakiego znałem. A to, co właśnie opisał Memnoch, wydawało się wysoce zorganizowaną, prężną i energiczną wersją Rogera.

— O, tak, dokładnie tak — rzekł Memnoch — i zapewne to dobrze, że do ciebie przyszedł, choć w swoim czasie uważałem to za zgoła niepotrzebną i drażniącą niedogodność.

— Nie chciałeś, aby Roger mi się pokazał?

— Patrzyłem. Słuchałem. Byłem zdumiony jak ty, ale zdumiało mnie całe mnóstwo innych duchów, przed nim. To nie było nic nadzwyczajnego, ale jeśli chcesz wiedzieć, nie miałem z tym absolutnie nic wspólnego.

— Tylko że stało się to niemal tuż przed twoim przyjściem. Wydaje się, że jedno było w jakiś sposób związane z drugim.

— Doprawdy? A na czym miałyby polegać ten związek? Poszukaj go w sobie. Nie uważasz, że zmarli już wcześniej próbowali do ciebie przemówić? Nie wydaje ci się, że duchy twoich ofiar, zawodząc, podążają w ślad za tobą? Przyznaję, większość twoich ofiar pogrąża się w błogim oszołomieniu i zapomnieniu, nie mają świadomości, że jesteś narzędziem, które niesie im śmierć.

Ale nie zawsze tak było. Może to ty się zmieniłeś! Poza tym, jak wiemy, kochałeś tego mężczyznę, tego Rogera, podziwiałeś go, zrozumiałeś przyczynę jego próżności, umiłowanie tego, co święte, tajemnicze i kosztowne, bo sam byłeś do niego pod tym względem bardzo podobny.

— Tak, to bez wątpienia wszystko prawda — przyznałem. — Mimo to wciąż uważam, że miałeś coś wspólnego z jego przybyciem.

Był wstrząśnięty. Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę, jakby się rozżłościł, i nagle wybuchnął śmiechem.

— Dlaczego? — zapytał. — Czemu miałbym mieć cokolwiek wspólnego z jakąś zjawą?

Wiesz, o co cię proszę. Wiesz, co to oznacza. Nie są ci obce mistyczne ani teologiczne objawienia. Wiedziałeś, kiedy jeszcze żyłeś — jako chłopiec we Francji, który miał świadomość, że może umrzeć, nie poznawszy znaczenia wszechświata, i pobiegł do miejscowego księdza, by zapytać go: „Czy wierzysz w Boga?”

— Tak, ale mimo wszystko to się zdarzyło. A kiedy mówisz że nie miałeś z tym nic wspólnego... cóż... Jakoś ci nie wierzę — odparłem.

— Jesteś zaprawdę najbardziej potępioną spośród wszystkich istot! Nie żartuję! —

powiedział. Był rozdrażniony, ale starannie pohamowywał swój gniew. — Czy nie rozumiesz, że to samo, co sprawiło, że twoja ścieżka i drogi Rogera oraz Dory przecięły się, popchnęło mnie ku tobie? Dotarłeś do granicy, za którą rozciąga się to, co nieludzkie i nadnaturalne. Błagałeś pod niebiosą o unicestwienie! Przemieniłeś Davida i być może był to twój pierwszy krok ku moralnemu zatraceniu! Możesz wybaczyć sobie stworzenie wampirzego dziecka — Claudii, bo byłeś wtedy młody i głupi. Ale przeistoczyć Davida, w dodatku wbrew jego woli! Odebrać Davidowi duszę i uczynić ją duszą wampira? To największa ze zbrodni. Ta zbrodnia woła o pomstę do nieba. David, któremu raz się ukazał, dzięki czemu uznał, że jesteśmy zainteresowani jego osobą i ścieżką, którą mógł obrać.

— A zatem pokazaliście się Davidowi celowo.

— Chyba powiedziałem wyraźnie.

— Ale Roger i Dora sami weszli mi w drogę.

— Tak. Oczywiście, wybrałeś najbardziej kuszącą i ponętną ofiarę! Wybrałeś mężczyznę, który odpowiadał ci pod pewnymi względami — przeszłości kryminalnej, zainteresowań przestępczych i bandyckiego dorobku — musiał być naprawdę dobry, aby wzbudzić twoją ciekawość. To był zuchwały krok. Twój głód narasta. Staje się groźniejszy dla ciebie i tych, co cię otaczają — zadowolasz się już szumowinami, mętami społecznymi i zwykłymi rzezimieszkami. Kiedy sięgnąłeś po Rogera, sięgnąłeś po moc i chwałę, ale po co?

— Jestem rozdarty — szepnąłem.

— Jak to?

— Ponieważ cię kocham — odparłem — a jak obaj wiemy, zawsze zwracałem na to szczególną uwagę. Coś mnie do ciebie ciągnie. Chcę usłyszeć, co jeszcze masz mi do powiedzenia. Mimo to uważam, że kłamiesz, jeżeli chodzi o Rogera. I o Dorę. Sądzę, że to wszystko jest ze sobą powiązane. A kiedy myślę o Bogu Wcielonym... — Przerwałem, nie mogąc skończyć.

Zalewał mnie potok obrazów nieba, tego, co jeszcze pamiętałem, co nadal czułem, i te strzępy obudziły we mnie smutek dużo bardziej dojmujący, niż kiedykolwiek potrafiłem wyrazić to we łzach. Musiałem przymknąć powieki. Kiedy je bowiem otworzyłem, zdałem sobie sprawę, że Memnoch trzyma obie moje dłonie w swoich. Jego ręce były ciepłe, bardzo silne i niespotykane gładkie. Jakże zimne musiały mu się wydawać moje ręce. Jego były większe, bez skazy. Moje...

cóż... były dziwnie białe, szczupłe i błyszczące. Paznokcie skrzyły się niczym lód w słońcu, jak zwykle zresztą.

Cofnął się i to było bardzo nieprzyjemne. Moje dłonie pozostały zaciśnięte, sztywne, osamotnione.

Stał odwrócony tyłem o parę jardów ode mnie, wpatrując się w morze. Jego skrzydła były widoczne, wielkie, uniesione, poruszały się nerwowo, jakby jakieś napięcie wewnętrzne wprawiało w drżenie niewidoczny aparat mięśniowy, z którym były połączone. Wyglądał

idealnie, niepohamowanie i desperacko.

— Może Bóg ma rację! — rzekł gniewnym tonem, nie odrywając wzroku od morskich fal.

— W jakiej kwestii? — wstałem.

Wciąż na mnie nie patrzył.

— Memnoch — rzekłem. — Proszę cię, mów dalej. Chwilami mam wrażenie, że nie wytrzymam i pod tą nawałą wiedzy ugnę się i załamie. Ale mów dalej. Kontynuuj, proszę.

— Mam to potraktować jak przeprosiny, prawda? — zapytał łagodnym tonem. Odwrócił się do mnie. Skrzydła znikły. Podszedł do mnie powoli, minął mnie i znów szedł, po prawej, nieopodal Brzegi jego szaty były całkiem zakurzone. Zarejestrowałem ten szczegół praktycznie odruchowo, bez zastanowienia. W jego długich, falujących włosach zauważyłem mały strzępek zielonego liścia.

— Nie, bynajmniej — powiedziałem. — To nie miały być przeprosiny. Zwykle mówię po prostu to, co myślę.

Przyjrzałem się jego twarzy, rzeźbiony profil i absolutny brak zarostu na obliczu, które z wyjątkiem tego drobnego szczegółu wyglądało jak ludzkie. Nieopisane. Gdy przyjrzy się renesansowej, kościelnej rzeźbie, większej od ciebie i bez wątpienia doskonałej, nie wzbudzi ona w tobie lęku, bo jest przecież wykuta z kamienia. Ale ta była żywa.

Odwrócił się, jakby dopiero teraz zauważył, że mu się przyglądam. Odnalazł moje spojrzenie.

A potem nachylił się do przodu, oczy miał czyste, wyraziste, wypełnione miriadem barw, i poczułem, jak jego usta, gładkie, miękkie i odrobinę wilgotne dotykają mego policzka. Poczułem żar życia rozpalający lodowaty chłód mojej jaźni. Gorejący płomień, który dosięgnął każdej cząsteczki mego ciała, jak to potrafi jedynie krew, krew żywych istot. Poczułem ból w sercu. I może nawet przyłożyłem dłoń do piersi.

— A co ty poczułeś? — zapytałem oburzony.

— Krew setek istot — wyszeptał. — A także duszę, która poznała tysiąc dusz.

— Poznała? Czy może raczej unicestwiła?

— Odprawisz mnie, bo nienawidzisz siebie? — zapytał. — Czy mogę kontynuować opowieść?

— Proszę, proszę, mów dalej.

— Człowiek wymyślił albo odkrył Boga — powiedział. Głos miał teraz spokojny, łagodny, niemal pokorny. — Niektóre plenny oddawały cześć więcej niż jednemu bóstwu, które w ich mniemaniu stworzyło tę czy inną część świata. Tak, ludzie wiedzieli, że dusze zmarłych żyją dalej, próbowali nawiązać z nimi kontakt i składali im ofiary. Przynosili podarunki i zostawiali je na grobach bliskich. Nawoływali dusze zmarłych. Prosilili je o pomoc podczas łowów, także przy narodzinach dzieci. A kiedy my, aniołowie, zaglądaliśmy do szeolu, przechodząc przezeń niewidzialni, nasza esencja nie wywoływała zaburzeń w krainie, którą w owym momencie tworzyły same tylko czyste dusze — dusze i tylko dusze... uświadomiliśmy sobie, że owe dusze nabierają sił i woli przetrwania za sprawą modlitw żyjących na ziemi, ich czułych myśli, ciepłych wspomnień, i miłości. To był swoisty proces.

I tak jak w przypadku aniołów, owe dusze też były różne, na różnych poziomach rozwoju intelektualnego, zaciekawienia czy zainteresowania. Kryły też w sobie rozmaite ludzkie emocje, choć w wielu, na szczęście, doznania te stopniowo wygasły. Niektóre dusze na przykład wiedziały, że nie żyją, i próbowaly odpowiedzieć na modlitwy swoich dzieci, usiłowaly im pomagać i doradzać,

przemawiając do nich z całą mocą widmowego głosu, jaki były w stanie z siebie wydobyć. Próbowały też ukazywać się swoim dzieciom i niekiedy to im się udawało. Na kilka cennych sekund przyoblekały się w wirujące cząsteczki materii, dzięki woli swej niewidzialnej esencji. Kiedy indziej pojawiały się im w snach, kiedy dusza śpiącego otwiera się dla innych dusz. Opowiadały swoim dzieciom o goryczy i mroku śmierci i o tym, że muszą iść przez życie mężnie, z zaciśniętymi zębami. Dawały dzieciom rady. I wydawało się, przynajmniej w niektórych przypadkach, że wiedziały, iż wiara i miłość ich dzieci dodaje im sił. Domagały się ofiar i modlitw, przypominały dzieciom o ich obowiązkach. Te dusze były najmniej zagubione, ale w jednym się myliły. Sądziły mianowicie, że ujrzały już wszystko, co mogły zobaczyć.

— Nie widziały nieba? — spytałem.

Nie, ani światłość, ani muzyka z nieba nie przenikały do szeolu. Z szeolu widać było jedynie ciemność, gwiazdy i ludzi na ziemi.

— To nie do zniesienia.

— Nie, jeżeli uważasz, że jesteś dla swoich dzieci bogiem i możesz czerpać siłę z samego tylko widoku uczt, jakie są urząda przy twoim grobie. Nie, jeżeli czujesz przyjemność, dając rad tym, którzy ich poszukują, i strofujesz tych, co zaniedbają swoje obowiązki, a w dodatku czasami w dość widowiskowy sposób możesz komunikować się z innymi.

— Rozumiem, jasne. I dla swoich dzieci też są oni jakby bogami.

— Bóstwami przodków lub czymś w tym rodzaju. Na pewno nie Stwórcą Wszechrzeczy. Jak już wspomniałem, istoty ludzkie mają w obu tych kwestiach raczej sprecyzowane idee. Bardzo mnie zafrapowała cała ta sprawa z szeolem. Przemierzyłem szeol wzdłuż i wszerz. Niektóre z tych dusz nie wiedziały, że są martwe. Wiedziały tylko, że są zagubione, ślepe, żałosne, i przez cały czas szlochały jak ludzkie niemowlęta. Były słabe, chyba nie wyczuwały nawet obecności innych dusz. Inne dusze zdawały się żyć w świecie iluzji. Sądziły, że wciąż żyją! Ścigały swoich krewniaków, na próżno usiłując zmusić syna lub córkę, by ich wysłuchali, a te, które uważały, że nadal żyją, nie miały dość przytomności umysłu, by otoczyć się cząstkami materii i dzięki temu ukazać się żyjącym na jawie lub we śnie, ponieważ nie wiedziały, że nie żyją.

— Tak.

— Kontynuując, jedne dusze wiedziały, że są duchami, gdy się pokazywały śmiertelnikom.

Inne sądziły, że nadal żyją, a cały świat jest przeciwko nim. Jeszcze inne po prostu dryfowały, słysząc głosy innych ludzkich istot i widząc je, lecz były od nich odcięte, jak pogrążone w stuporze lub we śnie. Były też dusze, które po prostu umarły. Kilka z nich umarło na moich oczach. I wkrótce zdałem sobie sprawę, że umiera ich bardzo wiele. Konająca dusza była w stanie przetrwać tydzień, góra miesiąc według ludzkiego czasu od chwili oddzielenia się od ciała, zachowywała jego kształt i potem zaczynała zanikać. Esencja stopniowo się rozpraszała, Ja esencja zwierzęcia po jego śmierci. Rozpływała się w powietrze” — być może powracając do energii i esencji Boga.

— Czy to się właśnie działo? — spytałem z przejęciem. — Ich energia wracała do Stwórcy; płomyk świecy powracał do wiecznego ognia?

— Nie wiem. I niczego takiego nie widziałem. Nie widziałem wątych płomyków wznoszących się ku niebu na fali potężnego, przepelnionego miłością, światła. Nie, nigdy nie zobaczyłem niczego takiego. Z szeolu nie było widać Bożego światła. Dla szeolu nie istniało Boże pocieszenie. A jednak te duchowe istoty zostały stworzone na Jego obraz i podobieństwo i trzymały się tego kurczowo, łaknąc życia nawet po śmierci. To była agonia.

Pragnienie życia po śmierci.

— Czy gdyby w chwili śmierci tego nie czuły, te dusze po prostu by umarły? — spytałem.

— Nie, bynajmniej. To pragnienie wydawało się wrodzone. I musiało wygasnąć w szeolu, zanim sama dusza przestanie istnieć. Prawdę mówiąc, w szeolu dusze doświadczały wielu różnych doznań, a te, które stawały się najsilniejsze, postrzegały siebie jako bóstwa albo ludzi wkraczających do Bożej domeny i skupionych na pomaganiu innym ludziom. Dusze te gromadziły tak wielką moc, że były w stanie wpływać na inne i wzmocnić je, a niekiedy także powstrzymywać przed rozproszeniem. — Przerwał, jakby nie wiedział, co ma mówić dalej.

Wreszcie podjął na nowo: — Były tam dusze, które pojmowały wszystko inaczej. Wiedziały, że nie są bogami. Wiedziały, że są zmarłymi ludźmi. Wiedziały, że nie mają prawa zmieniać przeznaczenia tych, którzy się do nich modlą — wiedziały, że uczty wyprawiane przy ich grobach są czysto symboliczne. Te dusze rozumiały znaczenie pojęcia „symboliczne”. Wiedziały, że są umarłe, i postrzegały siebie jako dusze zagubione. Gdyby tylko mogły, na powrót przyoblekłyby się w ciało. Dla nich bowiem ciało oznaczało światło, ciepło i jedyną wygodę, jakiej zaznały za życia. Niekiedy nawet tym duszom to się udawało! Byłem tego świadkiem i widziałem, jak to się odbywa na wiele różnych sposobów. Widziałem, jak taka dusza rozmyślnie dopada śmiertelnika—półgłówkę, by owoładnąć jego ciałem, jak przejmuje kontrolę nad jego kończynami i mózgiem i żyje w nim — do czasu, aż śmiertelnik zbierze dość sił, by ją z siebie wyrzucić.— Wiesz, o czym mówię, wszyscy wiedzą. To opętanie. Ty też przejąłeś kontrolę nad ciałem, które nie należało do ciebie, twoim zaś owoładnęła inna dusza.

— Tak było.

— Jednak był to zaledwie początek. Wszystko dopiero się zaczynało. To niesamowite, patrzeć, jak te sprytne dusze poznają kolejne zasady i urastają w siłę. Przerazało mnie natomiast, mnie, jako oskarżyciela i obserwatora wszystkiego, co przerażające w Naturze jak ją nazwał Bóg, że te dusze miały wpływ na żyjących ludzi Na kobiety i mężczyzn! Nie mogłem tego ignorować.

Pojawili się ludzie, którzy stali się wyroczniami. Palili pewne zioła lub pili specjalne wywary, by uczynić swój umysł biernym, aby dusze zmarłych mogły przemawiać ich ustami! A ponieważ te potężne duchy — od tej pory będę ją nazywał duchami — ponieważ te potężne duchy wiedziały tylko to, czego mogły je nauczyć ziemia i szeol, mogły popychać istoty ludzkie, by popełniały fatalne w skutkach błędy. Widziałem, jak nawoływały mężczyzn, by ruszyli w bój. Widziałem, jak nakazują przeprowadzenie egzekucji. Widziałem, jak domagają się krwawych ofiar z ludzi.

— Widziałeś, jak człowiek stwarza religię — powiedziałem.

— Tak, na tyle, na ile człowiek może cokolwiek stworzyć. Nie zapominajmy, kto stworzył nas wszystkich.

— A jak inni aniołowie przyjęli te rewelacje?

— Zebraliśmy się i w osłupieniu wymieniliśmy opowieściami, po czym wyruszyliśmy, by kontynuować nasze badania. Nigdy jeszcze nie byliśmy tak związani z ziemią. Prawda jest taka, że reakcje aniołów były różne. Jedni, głównie serafini, uważali, że ten proces jest z gruntu cudowny i wspaniały, że Bóg zasłużył na tysiąc pochwalnych hymnów za to, że Jego Dzieło doprowadziło do powstania istoty, która wytworzyła w sobie niewidzialną, boską jaźń i potrafi kierować nią, by osiągać lepsze wyniki w działaniach wojennych lub sztuce przetrwania. Byli też tacy, którzy myśleli: „To jakaś pomyłka, to czyste bluźnierstwo. Te ludzkie dusze udają przecież bogów! To niesłychane, należy jak najszybciej położyć kres!” Moja reakcja była pełna pasji: „To naprawdę upiorne i wiedzie ku jeszcze gorszym katastrofom! To początek całkiem nowego etapu ludzkiego życia, bezcielesnego, lecz celowego i nieświadomego, który z każdą chwilą nabiera coraz większego impetu, wypełniając ziemską atmosferę potężnymi, mieszającymi się w doczesne sprawy istotami, równie nieświadomymi jak ludzie, wokół których się unoszą”.

— Z całą pewnością część pozostałych aniołów podzielała twoje zdanie.

— Tak, reakcja niektórych była równie gwałtowna jak moja, ale Michał powiedział: „Ufaj Bogu, Memnochu. To On tak zdecydował. Bóg zna swój wielki Plan”. Michał i ja toczyliśmy najbardziej żarliwe dyskusje. Nawiasem mówiąc, Rafael, Gabriel i Uriel nie zeszli na ziemię, by wziąć udział w misji. Powód jest prosty. Tych czterech niemal nigdy nie robi równocześnie tego samego. To ich reguła, zwyczaj... prawo, że dwóch zawsze pozostaje w niebie do dyspozycji Boga, i nigdy, przenigdy wszyscy czterej nie opuszczają Niebios. W tym przypadku Michał był

jedynym, który chciał pójść ze mną.

— Czy archanioł Michał wciąż jeszcze istnieje?

— Oczywiście! Poznasz go. Mógłbyś go poznać nawet teraz, gdybyś zechciał, ale nie, nie przybyłby tutaj w tej chwili. Nie mógłby. Stał po stronie Boga. Jednak poznasz go, jeśli zostaniesz moim pomocnikiem. Zdziwiłbyś się, wiedząc, jak bliskie są Michałowi moje przekonania. Z drugiej strony moje dążenia nie są chyba nie do przyjęcia dla nieba, bo przecież gdyby było inaczej, nie pozwolono by mi na to. — Spojrzał na mnie przenikliwym wzrokiem. —

Wszyscy z *bene ha elohim*, których ci opisałem, wciąż żyją. Są nieśmiertelni. Jak mogłeś sądzić inaczej? Co się tyczy dusz z szeolu, niektóre już nie istnieją, a w każdym razie nic mi o tym nie wiadomo, choć może tylko zmieniły postać na jakąś inną, znaną Bogu.

— Rozumiem. To było nieprzemyślane pytanie — przyznałem. — Gdy patrzyłeś na to wszystko z narastającą zgrozą jak łączyłeś to ze słowami Boga na temat Natury? Mam na myśli?

Jego stwierdzenie, że ludzkość to część Natury.

— Nie mogłem tego przyjąć w kategoriach niekończącej się wymiany energii i materii. Dusze były energią, ale brały swoją wiedzę z materii. Nie mogłem się z tym pogodzić. Po prostu nie umiałem Michał patrzył na to z innej perspektywy. Znajdowaliśmy się na schodach, czyż nie?

Najniższe stopnie zajmowały najniżej stojące cząsteczki materii nieorganicznej. Te bezcielesne dusze zajmowały stopień ponad człowiekiem, lecz poniżej aniołów. Dla Michała to wszystko było jak jeden wielki płynny pochód, ale z drugiej strony Michał wierzył, że Bóg robi to, co robi, rozmyślnie i chce, aby tak było. Nie mogłem w to uwierzyć! Przerazało mnie to cierpienie dusz!

Michała też to bolało. Zasłaniał sobie uszy. Skoro dusze mogły żyć, czemu nie miałyby się dowiedzieć wszystkiego? I czy były skazane na wieczną egzystencję w mroku? Czy istnieje coś równie statycznego? Czy dusze zmieniły się w coś na podobieństwo czujących asteroidów, orbitujących wokół planety, księżyców, które mogą krzyczeć, płakać i szlochać?

Zapytałem Michała: „Co teraz będzie? Plemiona modlą się do różnych dusz. Te dusze stają się ich bogami. Jedne są silniejsze od innych. Spójrz, wszędzie szaleją wojny, bitwom nie ma końca”. „Memnochu — odpowiedział — naczelne robiły to, zanim jeszcze miały dusze.

Wszystko w Naturze zjada i jest zjadane. To właśnie Bóg próbuje ci powiedzieć, odkąd po raz pierwszy zacząłeś protestować. Te duchowo — boskie istoty są wyrazem ludzi, częścią ludzi, zrodzoną z nich i przez nich podtrzymywaną przy życiu, i jeśli nawet te duchy rosną w siłę, aż do poziomu, na którym mogą manipulować żyjącymi, to i tak są zrodzone z materii, stanowią element Natury — tak jak powiedział Bóg”.

„A zatem natura jest niewypowiedzianym, rozwijającym się koszmarem — rzekłem do niego.

— Nie wystarczy, że rekin pożre w całości młodego delfina ani że wilk zmiążdży w swoich rzekach motyla. To nie wystarczy. Natura musi iść dalej i tkać materii te cierpiące, udręczone dusze. Natura próbuje zbliżyć się do nieba, ale granicę pomiędzy nimi wytycza szeol”. Tego już było dla Michała za wiele. Nie można mówić w ten sposób do archanioła Michała. To nie wchodzi w rachubę. Natychmiast odwrócił się ode mnie, nie był to bynajmniej przejaw gniewu ani obawy, że ciśnięty przez Boga grom chybi o włos i roztrzaska jego w skrzydło. Odwrócił się jednak znów w milczeniu, jakby chciał powiedzieć, że jestem popędliwy i nieroztropny. Zamiast tego rzekł litościwym tonem: „Memnochu, nie patrzysz wystarczająco głęboko. Te dusze są dopiero u progu ewolucji. Kto wie, jak silne mogą się stać? Człowiek wkroczył w domenę niewidzialnego. A co, jeżeli ma stać się tym samym co my?”

„Jak miałyby do tego dojść, Michale? — spytałem. — Skąd te dusze mają wiedzieć, czym są aniołowie i czym jest niebo? Sądzisz, że gdybyśmy się im pokazali i powiedzieli, że są...”

Przerwałem. Nawet ja wiedziałem, że to nie do pomyślenia. Nie ośmieliłbym się. Nawet za milion lat.

Ledwie zaświtała w nas ta myśl i zaczęliśmy ją rozważać, dołączyli do nas inni aniołowie, mówiąc:

„Posłuchajcie, żyjący ludzie wiedzą, że tu jesteśmy”. „Jak to?” — spytałem. Choć było mi żal ludzi, nie uważałem śmiertelników za istoty naprawdę inteligentne i bystre. Aniołowie odparli natychmiast: „Niektórzy wyczuli naszą obecność. Wyczuli ją jak obecność dusz zmarłych. To dzięki tej samej części mózgu, która postrzega inne niewidzialne rzeczy. W istocie zostaliśmy zauważeni i teraz ludzie mogą nas sobie wyobrażać. Przekonasz się”.

„To nie mogło być Bożym zamiarem — rzekł Michał. — Uważam, że powinniśmy natychmiast wrócić do nieba”. Większość natychmiast się z nim zgodziła, bezgłośnie, jak to aniołowie. Stałem samotnie, patrząc na całe zgromadzenie. „No i? — spytałem — Bóg powierzył

mi misję. Nie mogę wrócić, dopóki nie zumiem — rzekłem z naciskiem. — A ja wciąż nie rozumiem”. Rozpętała się wielka kłótnia. W końcu jednak Michał pocałował mnie, tak jak aniołowie mają to w zwyczaju, cmokając czule w ust i policzki, po czym wzniósł się do nieba i cała reszta podążyła nim. Pozostałem na ziemi sam. Nie modliłem się do Boga, nie szukałem ludzi; wejrzałem w głąb siebie i pomyślałem: Co powinienem uczynić? Nie chciałem zostać zauważony jako anioł. Nie chciałem, by oddawano mi cześć jak tym ocalałym duszom Nie chciałem rozgniewać Boga; lecz musiałem wypełnić Jego przykazanie. Musiałem zrozumieć.

Teraz jestem niewidzialny. Co jednak, gdybym zrobił to samo co one — otoczył się materią i utworzył z niej ciało, zebrawszy wystarczającą ilość maleńkich cząsteczek z całego świata. Któż wie lepiej ode mnie, z czego stworzony jest człowiek, wszak widziałem jego ewolucję od najwcześniejszych stadiów. Kto zna lepiej ode mnie „konstrukcję” z tkanek, komórek kości, włókien i materii mózgowej? Tylko Bóg. Zrobiłem to więc. Skupiłem całą moją wolę i siłę na utworzeniu dla siebie żyjącej powłoki ludzkiego ciała, pełnego, w najdrobniejszych szczegółach, i zdecydowałem — nawet się nad tym nie zastanawiając — że będę mężczyzną. Czy to wymaga wyjaśnienia?

— Niekoniecznie — odparłem. — Wyobrażam sobie, że widziałeś dość gwałtów, zgonów podczas narodzin i bezradnej walki, by dokonać najlepszego wyboru. Jestem o tym przekonany.

— Właśnie. Czasami jednak się zastanawiam. Czasem zastanawiam się, czy wszystko wyglądałoby inaczej, gdybym wybrał kobiecą postać. Kobiety bardziej nas przypominają, naprawdę. Jeśli jednak jesteśmy jednym i drugim, to z pewnością jesteśmy bardziej mężczyznami niż kobietami. Zasada równości nie została tu zachowana.

— Na podstawie tego, co mi pokazałeś, jestem skłonny przyznać ci rację.

— Wróćmy do rzeczy. Przyoblekłem się w ciało. Trwało trochę dłużej, niż można by przypuszczać. Musiałem świadomie wywołać z mojej anielskiej pamięci każdy strzępek wiedzy; musiałem skonstruować ciało, a następnie umieścić w nim esencję w taki sam sposób, w jaki składana jest tam naturalna esencja życiowa; i musiałem się otoczyć tym ciałem, naprawdę się w nim ulokować, wypełniając je do granic, i nie wpaść przy tym w panikę. A potem musiałem spojrzeć oczami tego ciała.

Pokiwałem głowę i uśmiechnąłem się pod nosem. Zrezygnowawszy nie tak dawno z wampirzego ciała na rzecz ludzkiego, wiedziałem w najogólniejszych zarysach, czego doświadczył Memnoch. Nie zamierzałem jednak chełpić się tym, że go rozumiem.

— Ten proces nie wiązał się z bólem — podjął wątek — tylko poddaniem się. Właściwie bez konkretnego powodu — lub powinienem raczej powiedzieć z Natury, używając ulubionego słowa Boga — przyobklełem moje ja, moją esencję w ciało. Tylko skrzydła ukryłem całkowicie, zachowując anielski wzrost, a gdy podszedłem do sadzawki, by się w niej przejrzeć, po raz pierwszy zobaczyłem Memnocha w materialnej postaci. Zobaczyłem swoje odbicie, moje jasne włosy, oczy, skórę, wszystkie dary otrzymane od Boga, teraz przybrane w widoczną formę.

Natychmiast zorientowałem się, że coś jest ze mną nie tak! Byłem zbyt wielki i płońałem ukrytą we mnie esencją. To nie mogło się udać. Zabrałem się czym prędzej do przekształcenia i zmniejszenia mojego ciała. W końcu zacząłem przypominać rozmiarami przeciętnego człowieka.

Będiesz umiał to zrobić, gdy tylko się do mnie przyłączysz — dodał — jeżeli zdecydujesz się wziąć moją stronę i umrzeć, aby zostać moim adiutantem. Wiedz jednak, że nie jest to ani niemożliwe, ani też proste. Nie da się tego porównać z wprowadzeniem sekwencji programów do pamięci komputera i obserwowaniem z boku, jak maszyna wykonuje kolejne polecenia. Nie jest to jednak zbyt kłopotliwe i odbywa się bez nadmiernego udziału świadomości. Wymaga tylko anielskiej wiedzy, anielskiej cierpliwości i anielskiej woli.

Teraz przy sadzawce stanął mężczyzna — ciągnął — nagi, jasnowłosa, jasnooki, podobny do tych, którzy zamieszkiwali obszar, choć z pewnością doskonalszy i obdarzony organami słusznych, choć nie przesadnie wielkich rozmiarów. Gdy moja esencja wpłynęła do tych organów, a konkretnie do krocza i penisa, poczułem coś, co jako aniołowi było mi dotąd nieznanne. Nie wiedziałem, co to takiego, składała się na to świadomość wielu szczegółów.

Znałem płęć, wiedziałem, co znaczy męskość, instynktownie potrafiłem rozpoznać pewne męskie słabości nie potrzebowałem do tego obserwacji — i zdziwiłem się, jak potężny się poczułem.

Spodziewałem się, że w tej postaci będę drżał w pokorze! Że będę dygotał oburzony rozmiarami mojej nowej powłoki, jej bez ruchem i mnóstwem innych rzeczy, które i ty poznałeś i których doświadczyłeś, gdy zamieniłeś swe wampirze ciało na ludzkie

— Pamiętam to doskonale.

— Ale ja tego nie czułem. Nigdy wcześniej nie byłem materialny. Nigdy wcześniej nie pomyślałem o tym, by to zrobić. Nigdy dotąd nie chciałem zobaczyć, jak mogę wyglądać w ziemskim zwierciadle. Znałem mój obraz z odbicia w oczach innych aniołów. Teraz jednak byłem człowiekiem. Czułem, że mam w czaszce mózg. Czułem, że jest wilgotny, złożony i pracuje na pełnych obrotach. Jego fałdy, nagromadzone warstwy tkanki, zaczęły funkcjonować w sposób, który wydawał się całkiem nielogiczny, a równocześnie w pełni naturalny — oczywiście jeśli się wiedziało to, co ja wiedziałem jako anioł.

— Co to znaczy? — spytałem jak najuprzejmiej.

— Na przykład to, że emocje rodzące się w układzie limbicznym mogą wziąć nade mną górę, zanim zdołam to sobie uświadomić — odparł. — Coś takiego u anioła jest niemożliwe. Nasze emocje nie są w stanie ujść uwagi naszego świadomego umysłu. Nie czujemy irracjonalnego strachu. A

przynajmniej nie sądzę, aby tak było. Tak sobie wtedy myślałem, stojąc na ziemi, w ciele mężczyzny.

— Czy w tej postaci mogłeś zostać ranny albo zginąć — spytałem.

— Nie. Zaraz zresztą do tego dojdę. Kiedy stałem wśród gęstego lasu w dolinie znajdującej się w Palestynie, zanim jeszcze te ziemie tak nazwano, zdałem sobie sprawę, że to ciało może paść ofiarą dzikich zwierząt, toteż otoczyłem się anielską esencją, wyjątkowo silną osłoną. Działała jak pole elektryczne, kiedy jakieś zwierzę zbliżało się do mnie, co zdarzało się dość często. Ta elektryczna osłona skutecznie je odpędzała. Tak chroniony stanowiłem odwiedzić najbliższe osady ludzi i poprzyglądać się wszystkiemu. Wiedziałem, że teraz nikt nie może mnie zranić, pchnąć, zaatakować ani nawet dotknąć. Mimo to nie zamierzałem dawać niezniszczalnego ani nietykalnego. Zwinnie uchylałem się przed ciosami, gdy mnie atakowano, choć zasadniczo starałem się zachowywać tak, by nikt nawet nie zauważył mojej obecności.

Zaczekałem na zmierzch i udałem się do najbliższego sioła, największego w tej okolicy i tak potężnego, że pobierało trybut od pobliskich osad. Miejsce to otaczał wysoki mur, a wewnątrz stały liczne chaty, w których żyli mężczyźni i kobiety. W każdej chacie płonęło ognisko. Była też główna chata, w której zbierali się wszyscy. Bramę zamykano na noc. Wślizgnąłem się do środka, przycupnąłem przy jednej z chat i przez wiele godzin patrzyłem, co mieszkańcy osady robią o zmierzchu i nocą. Przekradałem się od chaty do chaty. Zaglądałem przez otwory wejściowe do środka. Wiele zobaczyłem. — Następnego dnia obserwowałem osadę od strony lasu. Dostrzegłem gromadę myśliwych. Ja ich widziałem, oni mnie nie. Kiedy mnie w końcu spostrzegli, uciekłem, co wydawało się przewidywalnym, łatwym do zaakceptowania zachowaniem. Nikt mnie nie gonił.

Przez trzy dni i trzy noce śledziłem życie tych ludzi. Dzięki temu poznałem ich ograniczenia, cielesne potrzeby i problemy, a także stopniowo zacząłem poznawać namiętność, nagle bowiem odkryłem, że jej płomień rozpałił się także we mnie.

Oto, jak to się stało. Był zmierzch trzeciego dnia. Doszedłem do licznych wniosków, wedle których ludzie ci nie byli częścią Natury. Mogłem już przedstawić moje stanowisko Bogu. Byłem w do powrotu. Jedno zawsze fascynowało aniołów, to, czego oświadczyłem cielesnie, a mianowicie spółkowanie. Jako niewidzialny anioł mogłem bez trudu zbliżyć się do spółkujących par, by patrzeć w ich półprzymknięte oczy, słuchać ich krzyku, dotykać poczerwieniałej skóry, kobiecych piersi i czuć, jak szybko bije im serce. Zdałem sobie sprawę, że ów namiętny związek

— doświadczenie go w pełni — powinien być kluczowy dla mego stanowiska. Poznałem pragnienie, głód i ból, a także zmęczenie, wiedziałem, jak żyją ci ludzie, co czują, co myślą i o czym rozmawiają między sobą. A jednak nie wiedziałem, czym jest spółkowanie i związek cielesny.

O zmierzchu trzeciego dnia, kiedy stałem nad brzegiem tego samego morza, tu, z dala od wspomnianego sioła, nagle, jakby wzięta się znikąd, podeszła do mnie piękna kobieta — córa człowiecza. Powiem krótko, widziałem dziesiątki przepięknych kobiet! Jak już wspomniałem, kiedy po raz pierwszy zwróciłem uwagę na kobiece piękno... zanim jeszcze mężczyźni stali się równie gładcy i bezwłosi... było to dla mnie szokiem, pierwszym wstrząsem fizycznej ewolucji. I rzecz jasna w ciągu tych trzech dni z dala obserwowałem wiele pięknych kobiet. Nie odważyłem się jednak do nich za bardzo zbliżać, byłem przecież w postaci materialnej i próbowałem nie zwracać na

siebie uwagi.

Zważ wszelako na to, że miałem to ciało już od trzy dni. I organy tego ciała. Idealnie ukształtowane natychmiast zareagowały na widok tej kobiety, która szła dumnie brzegiem morza, prężna, buntowniczką, sama, bez mężczyzny i innych kobiet, młoda, dzielna, trochę gniewna i urodziwa. Jej odzienie było wykonane ze zwykłej, szorstkiej zwierzęcej skóry. W talii opięta była pasem z przeżutej skóry; nogi miała gołe od kolan do stóp. Włosy długie i ciemne, a oczy niebieskie — zaiste urzekające połączenie. Jej młode oblicze zdradzało silny charakter — tę dziewczynę przepełniał ból, zuchwałość i brawura, która mogła napytać jej biedy.

Ujrzała mnie. Przystanęła, zrozumiała, że jest bezbronna. A ja stałem nagi, patrząc na nią. Mój organ pragnął jej już, teraz, zaraz, brutalnie; po raz pierwszy poczułem, co może oznaczać nasze zespolenie. Wtedy po raz pierwszy poczułem prawdziwe pożądanie. Przez trzy dni kierowałem się mentalnością anioła. Teraz jednak ciało doszło do głosu i zacząłem nasłuchiwać anielskimi uszami, a mi do powiedzenia. Ona tymczasem nie próbowała uciekać, lecz zbliżyła się o kilka kroków; i w swym beztroskim sercu wzięta decyzję, opartą na jakimś mi nieznanym doświadczeniu, że jeżeli jej zechcę, przyjmie mnie z otwartymi ramionami. I miękkim, pełnym gracji ruchem bioder, gestem prawej ręki, którą poprawiła włosy, dała mi to do zrozumienia.

Podszedłem do niej, a ona ujęła mnie za rękę i poprowadziła do skał, tam gdzie jest jaskinia, na zboczu, na lewo od ciebie, zobaczysz ją, jeżeli się odwrócisz. Zabrała mnie tam, a gdy dotarliśmy do wejścia, zrozumiałem, że pragnie mnie równie mocno jak ja jej. Ta dziewczyna nie była dziewicą. Wiedziała, czym jest namiętność. Znała pasję i żądzę. Wiedziała, o co jej chodzi, czego pragnie, zamaszysty ruch bioder wykonany w moją stronę był rozmyślny i celowy. Kiedy mnie pocałowała i włożyła mi język do ust, również wiedziała, co robi. Byłem tym wszystkim przytłoczony. Na chwilę odsunąłem ją od siebie, tylko po to, by na nią spojrzeć, podziwiać jej tajemnicze, materialne piękno, istotę cielesną, podlegającą rozkładowi, która jednak pod względem urody dorównywała znanym mi aniołom, i w mig zacząłem odwzajemniać pocałunki, gwałtownie, brutalnie, co sprawiło, że się zaśmiała i przywarła piersiami do mego ciała.

W kilka sekund później osunęliśmy się oboje na omszałe podłoże jaskini — kontynuował —

tak jak po wielekroć robili to obserwowani przeze mnie śmiertelnicy. Kiedy zaś mój organ znalazł się wewnątrz niej, kiedy poczułem namiętność, poznałem to, co nie było dotąd dane żadnemu aniołowi! To nie miało nic wspólnego z rozsądkiem, obserwacją, współczuciem, nasłuchiwaniami, uczeniem się ani przejmowaniem. Byłem w jej ciele, trawiony pożądaniem, podobnie jak ona, a delikatne mięśnie jej owłosionych warg sromowych zacisnęły się wokół

mnie, jakby zamierzała mnie pożreć, ja zaś zacząłem wbijać się w nią raz po raz potężnymi pchnięciami, aż poczerwieniała z rozkoszy, oczy wywróciły się jej w oczodołach, a serce na moment zamarło w piersi. W tej samej chwili eksplodowałem. Poczułem, że wytryskuję do jej wnętrza. Moje ciało wciąż jeszcze wiło się w tym samym rytmie, aż w końcu to doznanie, całkiem nowe, rozkoszne i nieopisane, powoli zaczęło słabnąć i przemijać.

Położyłem się przy niej wyczerpany, oplatając ją ramieniem moje usta odnalazły jej policzek i pocałowały go, a potem w jej języku rzuciłem gorączkowo: „Kocham cię, kocham cię, kocham cię,

cudowna, słodka istoto, kocham cię!” Uśmiechnęła się tylko z szacunkiem i przytuliła do mnie, a potem chyba zapłakała. Beztraska wiodła w niej do czułości. Jej dusza cierpiała, a ja czułem jakby przeciekała mi przez palce! W moim wnętrzu zaś wrzało od nagromadzonej wiedzy! Poznałem, czym jest orgazm! Poznałem wysoko rozwinięte fizyczne doznania, które towarzyszą ludziom podczas spółkowania. Wlepiłem wzrok w sklepienie jaskini, nie mogąc się poruszyć ani nawet wydobyć z siebie głosu. Wreszcie stopniowo uświadomiłem sobie, że coś ją zaskoczyło. Przywarła do mnie, podniosła się na kolana, a potem uciekła.

Usiadłem. Z nieba spłynęła światłość. Spłynęła z niebios, to było Boże światło i szukało mnie!

Podźwignąłem się na klęczki, wstałem i wybiegłem do światła. „Oto jestem, Panie! —

zawołałem. — Przepelnia mnie wielka radość, Panie! Tak wiele doświadczyłem, Panie! Tak wiele poczułem!” I rozpocząłem hymn, a równocześnie materialne cząsteczki mego ciała rozplynęły się wokół, jakby pod wpływem mego anielskiego głosu. Wyprostowałem się, osiągając pełną wysokość, i rozpostarłszy skrzydła, zaintonowałem pod niebiosami pieśń pochwalną i dziękczynną za to, co zdołałem poznać w ramionach tej kobiety.

Głos Boga był cichy, lecz pełen gniewu. „Memnochu! — powiedział Bóg. — Jesteś aniołem.

Co anioł, syn Boży, robi z córą człowieczą?” Nim zdążyłem odpowiedzieć, światło wycofało się pozostawiając mnie w wirze, a gdy zacząłem się obracać, układając odpowiednio skrzydła, zauważyłem, że śmiertelniczka wciąż tam jest, nad brzegiem morza. Doświadczyła czegoś niewysłowionego, widziała i usłyszała coś, czego nie potrafiła wyjaśnić, a teraz pierzchała w popłochu, przerażona.

Uciekła, a ja zostałem zanieiony do bram niebios i nagle bramy te po raz pierwszy nabrały dla mnie kształtu i wysokości, tak jak dla ciebie, i zamknęły się przede mną, a światło dosięgło mnie, uderzając z potężną siłą, i runąłem w dół. Spadałem, jak wtedy, gdy niosłem cię w ramionach, tyle że byłem wtedy sam, nów niewidzialny. Poobijany, posiniaczony i pogruchotany płaczem uderzyłem w wilgotną ziemię. „Ty, mój obserwatorze, cóżeś uczynił?” — usłyszałem tuż przy uchu głos Boga. Zacząłem szlochać niepoohamowanie. „Panie mój, Boże, nastąpiło straszliwe nieporozumienie. Pozwól mi... przedstawić moje stanowisko”. Zostań ze śmiertelnikami, których tak miłujesz! — powiedział. — Niech się tobą zajmą, ja bowiem nie zamierzam cię słuchać, dopóki mój gniew nie ostygnie. Raduj się rozkoszami ciała i tym wszystkim, czym jesteś skażony. Nie staniesz ponownie przed mym obliczem, dopóki po ciebie nie pošlę, a stanie się tak, gdy uznam to za stosowne”. Znów zerwał się wiatr, a gdy przewróciłem się na wznak, zdałem sobie sprawę, że nie mam skrzydeł; ponownie wróciłem do materialnej postaci i typowych, ludzkich rozmiarów. Znajdowałem się w ciele, które dla siebie stworzyłem, wielkodusznie odtworzonym dla mnie przez Wszechmogącego do ostatniej komórki, i leżałem na ziemi, obolały, słaby, cierpiący, pojękując żałośnie.

Nigdy dotąd nie słyszałem własnego jęku, dobywającego się z materialnych ust. Nie był wcale głośny. Nie było w nim zuchwałości ani rozpaczy. Byłem nazbyt pewny siebie, wciąż pozostawałem aniołem. Byłem nazbyt pewny, że Bóg mnie kocha. Wiedziałem, że jest na mnie zły, ale przecież w przeszłości wielokrotnie się na mnie się gniewał. Tym, co czułem, było cierpienie wynikłe z oddzielenia od Niego! Nie mogłem powrócić do nieba! Nie mogłem opuścić tego ciała. Kiedy tak

siedziałem, unosząc do góry ręce, zdałem sprawę, że próbowałem to zrobić całym moim jestestwem, lecz bez powodzenia, a wówczas ogarnął mnie smutek tak głęboki, nieprzeparty i dojmujący, że nie pozostało mi nic innego, jak tyłu smętnie zwiesić głowę.

Zaczęła się noc. Gwiazdy wypełniły firmament i wydawały mi się tak odległe, jakbym w ogóle nigdy nie znał nieba. Zamknąłem oczy i usłyszałem zawodzenie dusz w szeolu.

Usłyszałem, jak się do mnie zbliżają, dopytując się, kim jestem, czego były świadka mi i skąd zostałem strącony na ziemię? Wcześniej pozostawałem niezauważony, moja przemiana przebiegła cicho i w tajemnicy kiedy jednak Bóg strącił mnie w dół, mój upadek był

spektakularny. Upadłem jako anioł i natychmiast zostałem przyobleczony w ciało człowieka.

W całym szeolu zawrzało z ciekawości i podniecenia. „Co mam im powiedzieć, Panie? Pomóż mi!” — rzuciłem błagalnie. I wtedy poczułem w pobliżu zapach kobiety. Odwróciłem się i spostrzegłem ją, jak podkradała się do mnie ostrożnie, a gdy ujrzała moją twarz, kiedy zobaczyła moje łyzy i strapienie, podeszła do mnie dziarskim krokiem, znów przywarła gorącymi piersiami do mego ciała i ujęła mnie drżącymi dłońmi za głowę.

13

Zabrała mnie do osady, wprowadziła za bramę. Mężczyźni i kobiety wstali od ognisk, a dzieci podbiegły do mnie. Zdawałem sobie sprawę z mojej anielskiej urody i ich pełne podziwu spojrzenia wcale mnie nie zdziwiły. Zastanawiałem się jednak, co zamierzają uczynić.

Zostałem posadzony, dano mi jadło i napitek. Tego mi było trzeba. Przez trzy dni piłem jedynie wodę i zjadłem garść jagód znalezionych w lesie. Siedziałem z nimi po turecku i jadłem smażone mięso, które mi podali, a ona, moja kobieta, moja córka człowiecza, tuliła się do mnie, jakby skłaniała wszystkich, by rzucili nam dwojgu wyzwanie, po czym przemówiła.

Wstała, rozłożyła szeroka ramiona i donośnym głosem powiedziała im, co zobaczyła. Jej język był prosty. Dysponowała jednak dostatecznie dużą liczbą słów, aby to opisać — opowiedzieć, jak spotkała mnie na brzegu morza, ujrzała, że jestem nagi, i oddała mi się z nabożną czcią, świadoma, że nie mogę być istotą z tego świata. Ledwie moje nasienie znalazło się w jej wnętrzu, jaskinię wypełniło bajeczne światło. Rzuciła się do panicznej ucieczki, ale Ja bez lęku stanąłem w tym świetle, światłości, którą znałem, i na jej oczach zmieniłem się, widziała przeze mnie na wskroś, ale wciąż mnie dostrzegała. Byłem olbrzymi i miałem wielkie, białe, pierzaste skrzydła!

Tę wizję, obraz istoty, przez którą widziała na wskroś — dane jej było oglądać zaledwie przez moment. Potem zniknąłem. Rozpłynąłem się w powietrzu. A ona tam została rozdygotana, obserwując i modląc się do przodków, do Stwórcy, do demonów pustyni, do wszystkich mocy, z prośbą o ochronę, gdy nagle znów mnie zobaczyła — przezroczyściego — jak to ujęła w swoich prostych słowach, lecz widocznego, skrzydlatego i ogromnego, opadającego w dół, ku ziemi, by uderzyć w nią z taką siłą, że żaden człowiek nie mógłby tego przeżyć — a jednak tym się właśnie stałem: istotą ludzką, siedzącą na ziemi, materialną i widoczną dla wszystkich.

„Boże — modliłem się. — Co mam uczynić? Ta kobieta mówi prawdę! Ale ja nie jestem Bogiem! Ty Nim jesteś. Co mam robić?” Z niebios nie nadeszła żadna odpowiedź, nie pojawiła się w moich uszach, moim sercu ani w moim mózgu.

Co się tyczy słuchających, których było w sumie ze trzydziestu pięciu, nie licząc dzieci, nikt się nie odezwał. Wszyscy zastanawiali się nad tym, co właśnie usłyszeli. Nikt też nie próbował

tego zanegować. Nie rzucono mi wyzwania. Coś w mojej posturze i zachowaniu trzymało ich wszystkich na dystans. Nic w tym dziwnego. Nie kulilem się w przerażeniu, nie dygotałem ani nie okazywałem cierpienia po tym, czego doświadczyłem. Nie nauczyłem się wyrażać anielskiego cierpienia, będąc w formie materialnej. Po prostu tam siedziałem, świadom, że w ich mniemaniu jestem młody, przystojny i tajemniczy; oni zaś nie byli dość odważni, by spróbować mnie skrzywdzić, tak jak często krzywdzili innych, nie próbowali mnie dźgnąć, uderzyć ani spalić, jak to czynili ze swymi wrogami i tymi, którymi gardzili.

Nagle cała gromada zaczęła szeptać między sobą. Pewien bardzo stary mężczyzna podniósł się z miejsca. Jego słowa były jeszcze prostsze niż słowa tej kobiety, ich zasób — dużo uboższy, w jednak wystarczyło, aby zapytał mnie wprost: „Co ty sam możesz nam o tym powiedzieć?” Inni zareagowali tak, jakby to pytanie było genialne samo w sobie. Może faktycznie było. Kobieta znów przytuliła się do mnie. Objęła mnie ramionami z błagalnym spojrzeniem. Wtedy coś sobie uświadomiłem — że jej los jest związany z moim. Bała się tych ludzi, którzy byli wszak jej krewniakami. Ale mnie się nie bała! To ciekawe. Oto, co potrafią zdziałać czułość i miłość —

zdumiewające, bez dwóch zdań! A Bóg twierdzi, że ci ludzie są częścią Natury!

Zwiesiłem głowę, ale nie na długo. W końcu podniosłem się, przyciągając ku sobie moją kobietę i wykorzystując znane mi słowa w ich języku, także te najnowsze, dodane przez młodych, których nie znała starszyzna, powiedziałem: „Nie mam złych zamiarów. Przybywam z nieba, by dowiedzieć się o was jak najwięcej i miłować was.

Pragnę dla was jak najlepiej. Podobnie jak Bóg”. Zrobiło się wielkie zamieszanie, radosny tumult, ludzie klaskali w dłonie, podrywali się z miejsc, a dzieci podskakiwały z zadowoleniem.

Wydawało się, że osiągnęliśmy konsens — Lilia, kobieta, z którą byłem, mogła teraz wrócić do swoich. Została wypędzona z osady na pewną śmierć, ale teraz wróciła do łask. Przyprowadziła im Boga, bóstwo, istotę niebiańską... jej współplemieńcy mieli na to wiele określeń.

„Nie! — zaoponowałem. — Nie jestem Bogiem. Nie stworzyłem świata. Podobnie jak wy, oddaję cześć Bogu, Stwórcy Wszechrzeczy”. Te słowa także spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem. Całe to szaleństwo zaczęło mnie niepokoić. Czulem ograniczenia mego ciała, podczas gdy inni tańczyli, krzyczeli, pohukiwali i dorzucali drwa do ognia, a Lilia, ta cudowna Lilia, tuliła się do mnie. „Muszę się teraz przespać!” — powiedziałem nagle. I faktycznie tak było. W ciągu trzech dni spędzonych w cielesnej postaci przespałem może z godzinę, a po upadku z niebios byłem śmiertelnie znużony i obolały. Chciałem odwrócić się do tej kobiety i utopić smutek w jej ramionach. Wszyscy na to przystali. Przygotowano dla nas chatę. Ludzie krzatali się jak szaleni, przynosząc dla nas najlepsze skóry i futra, po czym w milczeniu weszliśmy do środka i położyłem się na miękkiej skórze górskiego

kozła, długiej, grubej i delikatnej.

„Boże, co mam zrobić?” — zapytałem na głos. Bez odpowiedzi. W chacie panowały cisza i ciemność i nagle oplotły mnie ramiona córki człowieczej, namiętne, kochające, pełne czułości i pasji, tej tajemnicy, tej kombinacji, która była prawdziwym żyjącym cudem — czułość i żądza złączone w nierozzerwalną jedność.

Memnoch przerwał. Nagle wydał mi się wyczerpany. Wstał i stanął na brzegu morza, na piasku upstrzonym drobnymi kamykami. Dostrzegłem przez mgnienie oka kształt jego skrzydeł, być może tak właśnie ujrzała je ta kobieta; potem jednak pozostała już tylko masywna postać z obwisłymi ramionami, stojąca tyłem do mnie i ukrywająca twarz w dłoniach.

— Co się stało, Memnochu? — spytałem. — Przecież Bóg cię nie opuścił! Nie zostawił cię tam! Co uczyniłeś? Co się stało następnego ranka, po przebudzeniu?

Westchnął i znów się odwrócił. Powoli podszedł do głazu i usiadł na nim.

— Do rana miałem ją jeszcze sześć razy i zległem na wpół żywy, co też było dla mnie swego rodzaju lekcją. Nie zastanawiałem się jednak, co mogę robić dalej. Gdy spała, modliłem się do Boga, modliłem się do Michała i do innych aniołów. Modliłem się bez końca, błagając o radę.

Domyślasz się, kto mi odpowiedział? — spytał.

— Dusze z szeolu — odparłem.

— Otóż to! Właśnie te duchy odpowiedziały na moje wołanie. Skąd mogłem wiedzieć? Te duchy — najsilniejsze dusze z szeolu, które usłyszały moje modły do Stwórcy, poznały moc i sens mojego wołania, mojego błagania o łaskę, wybaczenie i zrozumienie — usłyszały to wszystko, wchłonęły i napawały się tym jak duchowymi kantykami własnych ludzkich, żyjących dzieci. A zanim wzeszło słońce i wszyscy mężczyźni z osady zaczęli zbierać się na placu, wiedziałem jedno: Cokolwiek mnie spotkało, jakakolwiek była wola Boża, dusze z szeolu już nigdy nie będą takie same! Zbyt wiele się nauczyły z głosu anioła, który został strącony do świata materii i który bez wytchnienia kierował swe wołanie pod niebiosa, do swego Boga.

Oczywiście nie doznałem olśnienia. Nie siedziałem tam, usiłując to wszystko pojąć.

Najsilniejsze dusze po raz pierwszy ujrzały przebłysk rajy. Wiedziały już teraz, że jest światło, które sprawiło, że anioł zaszlochał i błagał w rozpacz, przerażony, że nigdy więcej go nie ujrzy.

Nie myślałem o tym. Nie. Bóg mnie tu zostawił — tak właśnie pomyślałem. Bóg mnie opuścił.

Wyszedłem do tłumu. W osadzie było mnóstwo ludzi. Z pobliskich siół zeszli się wszyscy mieszkańcy, aby mnie zobaczyć. Musieliśmy wyjść na otwarty teren, na pola. Spójrz w prawo, widzisz ten stok? Poniżej rozciąga się pole sięgające aż do załomu wód...

— Tak.

— Tam się właśnie zebraliśmy. I wkrótce stało się jasne, że wszyscy ci mężczyźni i kobiety czegoś ode mnie oczekują, że przemówię, zacznę czynić cuda, rozłożę skrzydła, nie wiedziałem, o co im konkretnie chodziło. Co się tyczy Lilii, od początku była obok mnie, czarująca i piękna, pełna podziwu i zadziwiona. Razem wspięliśmy się na tamtą skałę... na te głązy pozostawione przez lodowce miliony lat temu. Zobacz sam. Wspięliśmy się na górę, Lilia usiadła, a ja stanąłem przed tymi ludźmi, po czym uniosłem wzrok ku niebu i rozłożyłem szeroko ręce.

Z całego serca błagałem Boga, by mi wybaczył, aby przyjął mnie z powrotem, by skończył tę udrękę moim miłosiernym zniknięciem, to znaczy, aby przywrócił mi anielski wygląd, obdarzył niewidzialnością i pozwolił wznieść się ku niebu. Pragnąłem tego, wyobrażałem to sobie, usiłowałem na wszelkie możliwe sposoby odzyskać moją dawną naturę. Bez powodzenia. Na niebie ujrzałem to samo co ludzie. Zobaczyłem kłębiaste białe chmury niesione wiatrem na wschód i słabo widoczny za dnia, blady księżyc. Promienie słońca ogrzewały moje ramiona.

Parzyły w czubek głowy. I właśnie wtedy ze zgrozą coś sobie uświadomiłem — a mianowicie, że najprawdopodobniej przyjdzie mi umrzeć w tym ciele! Ze utraciłem nieśmiertelność! Bóg uczynił mnie śmiertelnikiem i odwrócił się ode mnie. Rozmyślałem nad tym bardzo długo.

Podjeżdżałem to od samego początku, ale dopiero teraz z typowym dla ludzi Pospiechem nabrałem co do tego pewności. I zaczął narastać we mnie gniew. Spojrzałem na tych wszystkich ludzi. Pomyślałem o słowach, które skierował do mnie Bóg, abym został z tymi, których wybrałem, skoro wolę materialne ciało nad uroki niebios. I wtedy podjąłem decyzję.

Skoro tak to się miało skończyć, jeśli miałem umrzeć w tym śmiertelnym ciele jak wszyscy ludzie, jeżeli miałem przed sobą tygodnie, miesiące, a może lata życia, na tyle, na ile to ciało jest w stanie poradzić sobie z czyhającymi na nie niebezpieczeństwami musiałem przeżyć je jak najlepiej. I odejść jak anioł, skoro tak było mi pisane! „Kocham cię, Boże”, powiedziałem głośno. I zacząłem rozmyślać nad najwspanialszymi rzeczami, jakich mogę dokonać. To, co mi natychmiast zaświtało, było logiczne i chyba oczywiste. Nauczę tych ludzi wszystkiego, co sam wiem! Nie opowiem im tylko o niebie, Bogu i aniołach, bo co by im to dało? Nie, w swoim czasie jednak powiem im o tym, a także poradzę by szukali spokojnej śmierci i pokoju w szeolu, bo to ich właśnie czeka. Lecz to nie wszystko. Posunę się jeszcze dalej! Nauczę ludzi wszystkiego o ich świecie, co zdołałem pojąć, ale czego oni sami nie wiedzą.

Niezwłocznie zacząłem z nimi rozmawiać. Poprowadziłem ich w góry, do jaskiń, i pokazałem im żyły rudy. Wyjaśniłem, że kiedy ten metal się rozgrzeje, wypływa z wnętrza ziemi i jeśli zdołają podgrzać go ponownie, stanie się miękki i będą mogli robić z niego różne rzeczy. Po powrocie nad morze nabrałem garść wilgotnego piasku i ulepiłem kilka ludzików, aby pokazać im, jakie to proste! Sięgnąwszy po patyk, nakreśliłem okrąg i zacząłem opowiadać im o symbolach. O tym, że symbolem Lilii jest kwiat, którego imię nosi. I że dla mnie też można odnaleźć symbol — człowieka ze skrzydłami. Wszędzie kreśliłem rysunki, pokazując im, jakie to proste, gdy chce się połączyć obraz z koncepcją albo konkretną rzeczą. Wieczorem zebrałem wokół siebie wszystkie kobiety i pokazałem im nowe sposoby wiązania rzemieni z przeżutej skóry, wymyślne sposoby splatania jej i wytwarzania części garderoby. Wszystko to było zgodne z logiką. Wszystkiego tego dowiedziałem się jako anioł.

Ludzie ci wiedzieli już o kwadrach Księżyca, ale nie znali kalendarza słonecznego.

Opowiedziałem im o tym. Ile powinno być dni w roku w zależności od położenia Słońca i ruchu plan jak mają zapisać to wszystko w symbolach. Wkrótce też zaczęliśmy wybierać glinę znad brzegu morza i robić z niej płaskie tabliczki, na których patykami kreśliłem maleńkie symbole gwiazd, nieba i aniołów. Te tabliczki suszyliśmy później na słońcu.

Pozostałem z moim ludem przez wiele dni i nocy. Uczyłem ich coraz więcej i więcej. Kiedy jedna grupa się zmęczyła i nie była w stanie już nic sobie przyswoić, zajmowałem się następną.

Sprawdzałem, co robili, i próbowałem rozwijać ich umiejętności. Wiedziałem, że wielu rzeczy domyśla się sami. Wkrótce wpadną na pomysł, że można robić lepszą odzież z tkanych materiałów, i opracują nowy rodzaj wytwarzania ubiorów. I bardzo dobrze. Pokazałem im pigmenty podobne do czerwonej ochry, której używali. Wybierałem z ziemi rzeczy, dzięki którym mogli wytwarzać nowe kolory. Wszystko, co przyszło mi do głowy, każdy przejaw postępu, jaki udało mi się wymyślić, przekazywałem bezpośrednio im, rozbudowując tym samym ich język. Nauczyłem ich pisać, ale nauczyłem ich również całkiem nowej muzyki. Nauczyłem ich pieśni. Przychodziły do mnie kobiety, przybywały nieustannie — podczas gdy Lilia usunęła się w cień — aby nasienie anioła mogło trafić do łona wielu, bardzo wielu cór człowieczych.

Znów przerwał. Jego serce wydawało się złamane, gdy tak wspominał, wzrok miał zamglony, w jego oczach odbijał się blady błękit morza.

— Azazel zaś... — odezwałem się półgłosem, cytując z pamięci i czekając na najmniejszy znak, gdyby kazał mi przestać; był to fragment Księgi Henocha... ujawnił przed nimi sekrety metali i sztuki ich obrabiania, wytwarzania bransolet, ozdób, użycia antymonu i sposobu upiększania powiek, a także użycia wszelakiego rodzaju drogich kamieni i wszelkich barwnych tynktur.

Odwrócił się, by na mnie spojrzeć. Chyba nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Wreszcie równie cicho jak ja zacytował inny fragment Księgi Henocha:

— I nastał czas bezbożny, oddawali się bowiem spółkowaniu prowadzeni zostali na manowce... — Znów przerwał, ale już po chwili mówił dalej: — Kiedy zaś mężczyźni umierali, wydawali z siebie głośny okrzyk, a wołanie to niosło się aż do nieba. — Ponownie zamilkł, uśmiechając się z lekkim rozgoryczeniem. — I to jest właśnie to, Lestacie, to cała reszta, to wszystko, co kryje się między słowami, które obaj wypowiedzieliśmy! Kłamstwa! Nauczyłem ich życia w cywilizowany sposób. Dałem im wiedzę o niebie i aniołach! O t o , c z e g o i c h n a u c z y ł e m . Nie było żadnej krwi, bezprawia ani monstrualnych gigantów krocących po ziemi. To wszystko kłamstwa, strzępy, fragmenty i urywki unurzane w kłamstwach!

Pokiwałem głową bez lęku; byłem pewien, że mówił prawdę, i widziałem to wszystko bardzo wyraźnie, i widziałem to wszystko z punktu widzenia Hebrajczyków, którzy później tak niezłomnie wierzyli w czystość i prawa i postrzegali to, co się wydarzyło, jako coś nieczystego, złego i plugawego... i wielokrotnie opowiadali o obserwatorach, nauczycielach, aniołach, którzy zakochali się w córach człowieczych.

— Nie było w tym żadnej magii — ciągnął półgłosem Memnoch. — Żadnych czarów. Nie nauczyłem ich wykuwania mieczy! Nie nauczyłem ich prowadzenia wojen! Jeżeli inny lud na ziemi dysponował jakąś wiedzą, przekazywałem im ją! Powiedziałem im, że w dolinie innej rzeki mężczyźni umieli zbierać zboże, ścinając je kosami! Wyjaśniłem, że w niebie są ofanimowie, aniołowie, którzy mają kolisty kształt, i gdyby odtworzyć ten kształt w materii, gdyby połączyć prosty kawałek drewna z dwoma okrągłymi, można by otrzymać rzecz, która toczyłaby się na tych kołach! — Westchnął. — Nie dosypiałem. Byłem jak oszalały. Gdy wiedza wypływała ze mnie, a oni byli nią znużeni, nie mogąc udźwignąć tego brzemienia, szedłem do jaskiń i ryłem moje symbole na kamiennych ścianach. Wyryłem symbol światła Bożego — Pracowałem niezmordowanie, aż rozboleły mnie wszystkie mięśni śmiertelnego ciała. Wreszcie, mając już dość ich towarzystwa, zaspokoivszy głód pięknych kobiet i poszukując pocieszenia u Lilii, odszedłem do puszczy, stwierdziwszy, że muszę pomówić z moim Bogiem w ciszy. W głębi lasu osunąłem się na ziemię. Leżałem w kompletnym bezruchu — cicha obecność Lilii przynosiła mi ukojenie — i rozmyślałem o wszystkim, co się wydarzyło. Rozmyślałem o tym, jak miałbym przedstawić Bogu moje stanowisko i jak to, czego się dowiedziałem, doskonale pasuje do tezy, którą zamierzałem przedłożyć Panu. Nic, co dostrzegłem u ludzi, nie zmieniło moich przekonań.

To, że obraziłem Boga, że utraciłem Go na zawsze, że czekał mnie szeol, gdzie trafię na całą wieczność, to wszystko było aż nadto realne i doskonale zdawałem sobie z tego sprawę.

Wiedziałem o tym całym sercem i duszą. Nie mogłem wszelako zmienić własnych przekonań!

Teza, którą zamierzałem przedstawić Wszechmogącemu, brzmiała następująco: Ci ludzie są ponad i poza Naturą, domagają się od Niego więcej, a wszystko, co ujrzałem, tylko upewniło mnie w moich przekonaniach. To, jak chłoną niebiańskie sekrety. Jak cierpią i szukają sposobu na ich wytłumaczenie. Gdyby tylko istniał Stwórca... i ten Stwórca miał swoje powody... Och, to było prawdziwe cierpienie. A w samym jego sercu płonęła tajemnica żądy.

Przeżywając orgazm, kiedy moje nasienie znalazło się w ciele kobiety, poczułem ekstazę, która była niczym niebieska radość. Czuję ją, lecz tylko w połączeniu z ciałem leżącym pode mną, i w ułamku sekundy, kiedy tego doświadczyłem, zrozumiałem, że ludzie nie są częścią Natury, o nie, oni są od niej lepsi, ich miejsce jest u Boga i z nami!

Kiedy przyszli do mnie ze swymi pokrętnymi wierzeniami, zapytując: „Czyż nie jest tak, że wszędzie wokół nas czają się niewidzialne potwory?”, odpowiedziałem, że nie. Jest tylko Bóg i niebiański dwór, zajmujący się wszystkim, a także dusze ich ciasnych zmarłych, przebywające w szeolu. Kiedy zapytali, czy źli mężczyźni i kobiety, nie przestrzegający ich praw, nie są wtrącani na draczenie do morza ognia i siarki — która to idea była wśród nich bardzo popularna —

przeraziłem się i powiedziałem, że Bóg nigdy nie dopuściłby do czegoś takiego. Mała, nowo narodzona duszyczka miałaby cierpieć po wsze czasy w ognistej toni? Cóż za okropność! Raz jeszcze upomniałem ich, że powinni okazywać cześć duszom zmarłych, by złagodzić własny ból i ból tychże dusz a gdy nadejdzie ich czas, nie powinni się lękać, lecz ze spokojem odejść w ciemność i wypatrywać jasnych światła życia na ziemi. Powiedziałem im to wszystko, bo nie wiedziałem, co mógłbym rzec innego.

Och, bluźnierstwo. Zrobiłem to, naprawdę to zrobiłem. Jaki teraz czekał mnie los? Zestarzeję się i umrę, ja, czcigodny nauczyciel, a nim to się stanie — albo zanim przedwcześnie jakaś zaraza albo dzikie zwierzę przetnie nić mego życia — wyryję w glinie i kamieniu wszystko, co tylko zdołam. Później zaś udam się do szeolu, gdzie zacznę gromadzić dusze wokół siebie, i powiem im: „Wołajcie, wołajcie pod niebiosa!” I nauczę je patrzeć w górę. Powiem im, że tam jest światło! — Wziął głęboki oddech, jakby każde słowo przeszywało go dojmującym bólem.

— Spójrz, to bowiem dusze tych, co umarli, wołają i dostać się próbują do bram niebios —

znów zacytowałem fragment z Księgi Henocha.

— Tak, widzę, że znasz treść pism, jak na dobrego diabła przystało — rzekł z rozgoryczeniem, ale jego oblicze było tak przepelnione smutkiem i współczuciem, a ta drwina wypowiedziana została z takim uczuciem, że nawet nie poczułem się dotknięty. — Kto mógł

przypuszczać, co się wydarzy? — zapytał. — Kto mógł wiedzieć! Tak, tak, umocnijmy szeol, aż wołanie przebywających tam dusz zniszczy i rozbije w proch bramy niebios! Jeżeli masz dusze 1

te dusze mogą rosnąć w siłę, jesteś w stanie dorównać nawet aniołom! Tylko na to mogłem liczyć: że stanę się władcą pośród tych, o których Bóg zapomniał.

— Ale Bóg do tego nie dopuścił, prawda? Nie pozwolił ci umrzeć w tym ciele.

— Nie. Ale nie zesłał też Potopu ani nie zmył wszystkiego, czego nauczyłem. To, co pozostało, co trafiło do mitów i pism, to informacje, że tam byłem, że uczyłem ludzi oraz że cała ta wiedza znajdowała się w zasięgu istot ludzkich, była oparta na logice, nie magii, i nawet sekrety niebios prędzej czy później zostałyby odkryte przez ich dusze. Właśnie tak. Prędzej czy później dusze domyśliłyby się tego.

— Jak się wykaraskałeś z tej kabały? Co się stało z Lilią?

— Z Lilią? Ach, z Lilią. Zmarła w chwale, uznana za małżonkę boga. Lilia. — Jego oblicze pojaśniało. Zaśmiał się. — Lilia — powtórzył, najwyraźniej pogrążając się we wspomnieniach.

— Moja Lilia — Wyrzutek, który powrócił do swego plemienia z bóstwem.

— Czy Bóg zabrał cię z powrotem? — zapytałem. — Położył kres twoim poczynaniom?

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie.

— To nie takie proste — odparł. — Spędziłem tam dobre trzy miesiące, gdy któregoś dnia po przebudzeniu odkryłem, że przyszli po mnie Michał i Rafael i powiedzieli wprost: „Bóg chce cię już, teraz”. A ja, Memnoch, jak zawsze niepoprawny, zapytałem: „Och, naprawdę? Czemu zatem sam się po mnie nie pofatyguje albo nie zabierze mnie stąd w blasku swojej chwały, skoro może robić to, co zechce?” W tej samej chwili Michał spojrzał na mnie z politowaniem i rzekł:

„Memnoch, na miłość boską, wróć z własnej woli do swej właściwej postaci. Poczuj, jak twoje

ciało odzyskuje dawne rozmiary, niechaj twe skrzydła zanoszą cię do nieba. On zechce cię, tylko jeśli sam zdołasz tam powrócić! A teraz zastanów się, Memnochu, zanim...” „Nie, nie musisz mnie ostrzegać, mój drogi — rzuciłem do Michała. — Pójdę z wami, ze łzami w oczach, ale pójdę”.

Ukląknęłam i pocałowałam śpiącą Lilię. Obudziła się i spojrzała na mnie. „To pożegnanie, moja wybranko, moja nauczycielko”, powiedziałem. Pocałowałam ją raz jeszcze, a potem, obróciwszy się, stałem się aniołem, lecz wciąż mogła mnie widzieć, pozwoliłem, by materia podkreśliła moje kształty i by Lilia, podpierająca się na łokciach i szlochająca, mogła zachować na zawsze ten ostatni raz w swej pamięci i w swoim sercu. Później, już niewidzialny, szłem do Michała i Rafaela i wróciłem do Domu.

W pierwszej chwili nie mogłem w to uwierzyć; kiedy przechodziłem przez szeol, dusze zawyły w męce, a ja rozłożyłem szeroko ramiona w pocieszającym geście. „Nie zapomnę o was|

Przysięgam. Zniosę wasze prośby do nieba”, rzekłem, po czym uniosłem się jeszcze wyżej, a światło spłynęło z góry i spowiło mnie ów gorący blask Bożej miłości — nie wiedziałem, czy to preludium sądu, kary czy przebaczenia — otoczył mnie i przytrzymał. Okrzyki radości płynące z nieba brzmiały, nawet jak dla mnie, poruszająco. Zebrali się tam wszyscy aniołowie *bene ha elohim*. Ze środka płynął pulsujący blask Bożej światłości.

„Czy czeka mnie kara?” — pytałem, ale czułem jedynie wdzięczność, że znów, choćby tylko przez chwilę, mogłem ujrzeć to światło. Nie mogłem jednak wejrzeć w światłość. Musiałem unieść dłonie do oczu. I jak to zwykle bywa podczas zgromadzeń wszystkich zastępów niebieskich, serafini i cherubini otoczyli Boga, aby Jego blask wypływał spomiędzy nich, w jasności i chwale, którą byliśmy w stanie wytrzymać.

Głos Boga rozległ się nagle i wypełnił całe niebiosy. „Mam ci coś do powiedzenia, mój dzielny i arogancki aniele — powiedział Pan. — Mam dla ciebie koncepcję, abyś rozważył ją w swej anielskiej mądrości. To koncepcja piekła, Gehenny”. To słowo zabrzmiało dla mnie ze wszystkimi jego implikacjami. „Ogień i wieczne cierpienie — rzekł Bóg — odwrotność nieba.

Powiedz mi, Memnochu, ale tak od serca, czy byłoby to dla ciebie adekwatną karą — absolutne przeciwieństwo chwały, którą odrzuciłeś dla cór człowieczych? Czy byłby to dla ciebie odpowiedni wyrok — cierpienie po wsze czasy albo aż po kres dziejów?”

14

Odpowiedziałem natychmiast — rzekł Memnoch. Uniósł lekko brwi i spojrzał na mnie. —

Powiedziałem: „Nie, Panie, nie zrobiłbyś tego nikomu. Wszyscy jesteśmy Twoimi dziećmi. To koszmar zbyt potworny, by celowo kogokolwiek na niego skazywać. Nie, Panie, kiedy mężczyźni i kobiety z ziemi powiedzieli mi, że śnili o takich torturach, którym poddani byli źli ludzie, czyniący zło innym, zapewniłem ich, że takie miejsce nie istnieje i nigdy nie powstanie”.

Niebo rozbrzmiało śmiechem. Perlisty, dźwięczny śmiech rozbrzmiewał od jednego końca niebios po drugi. Wszyscy aniołowie śmiali się i ten śmiech był melodyjny, wypełniony jak zawsze radością i

zadziwieniem, lecz był to śmiech, a nie pieśń. Tylko jedna istota się nie śmiała.

Memnoch. Ja. Stałem tam, przemawiając z niezłomną powagą, i nieco się zdziwiłem, gdy tamci skwitowali moje słowa śmiechem. Wtedy też wydarzyło się coś jeszcze bardziej niezwykłego.

Bóg także się roześmiał; śmiał się cicho, delikatnie, unisono, lecz już wkrótce zaczął nadawać tempo i wyznaczać rytm pozostałym, a gdy w końcu umilkł, ucichł także śmiech aniołów.

„A więc tak im powiedziałaś, Memnochu. Powiedziałaś, że nigdy nie będzie piekła wiecznego cierpienia dla grzeszników, nigdy; i że takie miejsce nigdy nie mogłoby powstać”. „Owszem, tak, Panie — odparłem. — Nie potrafiłem pojąć, skąd wzięła się nich tego rodzaju koncepcja. Co prawda ludzie bywają czasem okrutni wobec swoich wrogów...” Znow rozległ się śmiech, ale Bóg zaraz go uciszył i powiedział: „Memnochu, czy pozostawiłeś wszystkie materialne cząsteczki na ziemi? Odzyskałeś swe anielskie przymioty? Chyba nie grasz półgłówka z przyzwyczajenia?” Odpowiedziałem donośnym tonem: „Nie, Panie. Śniłem o tej chwili.

Oderwanie od Ciebie było prawdziwą torturą. Uczyniłem co uczyniłem, z miłości, czyż nie? Z całą pewnością wiesz o tym lepiej niż ja”.

„Tego się właśnie obawiałem — odparł Bóg. — Rzeczywiście miłość była tego przyczyną, to fakt”. „Panie, śniłem, że pozwolisz bym stanął przed Twoim obliczem i wyjaśnił wszystko, przedstawił moje stanowisko, wytłumaczył, dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzałem córę człowieczą i podszedłem do niej. Czy pozwolisz mi na to?” Cisza.

Boża Obecność milczała, ale nagle uświadomiłem sobie, że niektórzy spośród *hm ha elohim* zbliżyli się do mnie. W pierwszej chwili pomyślałem, że nie, że oni tylko trochę się przesunęli i rozpostarli skrzydła w świetle, ale i wtedy zrozumiałem, że tuż za mną stanął niewielki zastęp albo legion aniołów i przez cały czas odgradzał mnie od reszty zgromadzenia, a teraz wolno, lecz nieubłaganie zbliżał się do mnie. Oczywiście znałem tych aniołów, niektórych nawet bliżej, bo często się spieraliśmy. Wywodzili się z różnych zastępów. Spojrzałem na nich z zakłopotaniem, po czym przeniósłem wzrok na Bożą Obecność.

„Memnochu — rzekł nagle Bóg — ci za tobą, twoi poplecznicy, chcą, bym pozwolił ci mówić, bym pozwolił ci przedstawić twoje stanowisko, w nadziei, że im także się upiecze”. „Nie rozumiem, Panie” — rzekłem, ale nagle zrozumiałem. Dostrzegłem smutek na ich twarzach i zwróciłem uwagę, jak bardzo się do mnie zbliżyli) traktując mnie jak swego obrońcę. W jednej chwili pojąłem, co się stało, co działo się na całej ziemi — te anioły postąpiły tak samo jak ja.

„Brak im twojej fantazji i pomysłowości — rzekł Pan Bóg. — A oni również dostrzegli żar i tajemnicę pomiędzy spółkującymi mężczyzną i kobietą. Oni także ulegli urokowi cór człowieczych i wzięli je za żony”.

Zrobiło się wielkie zamieszanie. Jedni aniołowie śmiali się Dogodnie, jakby to wszystko ich bawiło, inni byli zdumieni, a ci obserwatorzy, którzy stali tuż przy mnie, garstka, w porównaniu resztą *bene ha elohim*, patrzyli na mnie rozpaczliwie, wręcz oskarżycielsko, i nagle usłyszałem szept:

„Memnochu, widzieliśmy, jak to robiłeś”. Czy Bóg się zaśmiał? Nie usłyszałem Jego śmiechu. Blask bił zza głów, ramion i cienistych postaci serafinów i cherubinów, a światło miłości wydawało się wieczne i niezmiernie jak zawsze.

„W wielu zakątkach świata moi Niebiescy Synowie zeszli pomiędzy ludzi, by tak jak ty, Memnochu, poznać uroki i tajemnice ciała, choć przecież powiedziałem wyraźnie, że zmąci to porządek Natury i zakłóci mój Wielki Plan”. „Wybacz mi, Panie Boże” — szepnąłem. Legion, który mi towarzyszył, powtórzył te słowa z nabożnością. „Powiedzcie mi jednak, ci, co stoicie za Memnochem, co macie do powiedzenia na swoją obronę, dlaczego to uczyniliście, co odkryliście i jakie stanowisko pragniecie przedstawić przed obliczem Bożego Majestatu?” Odpowiedzią była cisza. Aniołowie padli na twarz przed Bogiem, błagając o wybaczenie z takim oddaniem i pokorą, że wszelkie słowa były zbędne. Tylko ja wciąż stałem wyprostowany. „Ach —

powiedziałem — wygląda na to, że zostałem sam”. „Jak zawsze, nieprawdaż? Synu Niebios, mój aniele. Ty, który nie ufasz Bogu”. „Ależ ufam ci, Boże mój! — odparłem natychmiast, w przyływie narastającego gniewu. — Ufam! Tyle że nie rozumiem tego wszystkiego, nie potrafię uspokoić myśli i zebrać się w sobie. Nie potrafię. Nie mówię, że to niemożliwe, ale... Po prostu nie potrafię o tym milczeć. Wydaje mi się, że powinienem zabrać głos w tej sprawie. Przedstawić moje stanowisko, ło jedyne, co mogę i muszę uczynić. To najważniejsze, co mogę zrobić, a najważniejsze dla mnie jest, by zadowolić Boga”. Wśród aniołów dały się słyszeć pochwały. Nie tylko wśród obserwatorów, którzy nie odważyli się stanąć na niewidzialnych nogach i otoczyli się skrzydłami jak przerażone ptaki — lecz wśród wszystkich szarż i zastępów. Słysząc było szemranie, ciche pieśni, strzępy melodii i śmiech, ciche, łagodne pytania; wiele oczu skierowało się na mnie z zaciekawieniem, a niektóre z gniewem.

„Przedstaw swoje stanowisko! — rzucił Pan. — Jednak zanim zaczniesz, przypominam ci, przez wzgląd na mnie i na resztę tu obecnych, że wiem o wszystkim. Znam ludzkość tak, jak tobie nigdy nie będzie to dane. Widziałem krwawe ołtarze, tańce deszczu, walczące ofiary, słyszałem krzyki rannych, chorych, cierpiących i dogorywających. Dostrzegam w ludzkości Naturę, tak jak widzę ją w dzikim nieokiełznaniu mórz czy puszczy. Nie marnuj mego czasu, Memnochu. Albo może powinienem raczej wyrazić się w inny, bardziej zrozumiały dla ciebie sposób: nie zmarnuj czasu, jaki dany ci jest spędzić ze mną”. Zrozumiałem, że nadeszła ta chwila. Stałem w milczeniu, przygotowując się wewnętrznie. Nigdy dotąd żadne wydarzenie w moim życiu nie wydawało się równie ważne. Ty nazwałbyś to napięciem, podnieceniem lub może ekscytacją. Miałem pełną widownię. I wierzyłem w siebie. Jednak narastała we mnie wściekłość na widok legionu leżącego płasko, twarzami do dołu, w milczeniu! I nagle w przyływie gniewu zdałem sobie sprawę, że dopóki oni tam leżą, a ja jako jedyne stoję przed obliczem Boga, nie będę w stanie wykrztusić z siebie słowa. Splotłem ramiona i stałem w bezruchu.

Bóg zaczął się śmiać, ten cichy dźwięk powoli narastał i nagle całe niebiosy przyłączyły się do Pana. Bóg zaś odezwał się do upadłych, do obserwatorów: „Powstańcie, moi synowie, albo zostaniemy tu wszyscy aż po kres dziejów”. „Ironia, Panie, w pełni na nią zasłużyłem —

powiedziałem. — Ale mimo wszystko dziękuję. Szelest szat i skrzydeł był dla mnie oznaką, że podnieśli się jeden po drugim, by stanąć za mną dumnie wyprostowani, wyprężeni i dzielni jak śmiertelnicy na ziemi.

„Panie, moje stanowisko jest w sumie proste — zacząłem — lecz z pewnością nie możesz go ignorować. Postaram się przedstawić je jak najlepiej: Do pewnego momentu w swoim rozwoju naczelną były częścią Natury i wiązały je jej prawa. Lecz wraz z rozwojem mózgu naczelną stały się o wiele sprytniejsze, a ich walki z innymi zwierzętami tak zawzięte i krwawe, jakich niebiosy nigdy nie widziały — To wszystko prawda. Wraz z inteligencją pojawiły się również nowe sposoby i cele, dla których ludzkość sobie nawzajem przysparzała coraz większego bólu i cierpienia. Nigdy jednak, choć obserwowałem śmiertelników toczących wojny, przeprowadzających egzekucje, a nawet pogromy całych osad i siół, nic, co ujrzałem, nie przerosło czystej niepokonanej brutalności istot należących do królestwa owadów, gadów czy niższych ssaków, które na oślep i bezsensownie toczą walkę o dwie tylko sprawy — przetrwanie i spłodzenie kolejnych przedstawicieli swego gatunku”. Przerwałem z czystej kurtuazji i dla wywołania lepszego efektu. Bóg milczał. A ja mówiłem dalej: „Nadszedł jednak moment, kiedy te naczelną, które w owym czasie tak bardzo przypominały Ciebie, Panie, oddzieliły się w znaczący sposób od reszty Natury. I bynajmniej nie stało się to z chwilą, gdy istoty te zyskały samoświadomość, Panie, kiedy zaczęły zwracać uwagę na logikę życia i śmierci. To nie było takie proste. Wręcz ich samoświadomość wyrosła z nowej i całkiem nienaturalnej zdolności do kochania. Wtedy to ludzkość podzieliła się na rodziny, klany i plemiona, powiązane raczej intymną wiedzą o sobie nawzajem, o własnej odrębności, niż o gatunku jako takim, tym zaś, co je scalało, w szczęściu i niedoli, były więzy miłości. Panie, rodzina ludzka wyrosła ponad Naturę.

Gdybyś zechciał tam zejść i...”

„Licz się ze słowami, Memnochu!” — wyszeptał Bóg. „Tak, Panie”, powiedziałem, kiwając głową. Splotłem dłonie za plecami, by nie wykonywać zbyt gwałtownych gestów. „Powiniennem rzec, że kiedy zstąpiłem na ziemię — podjąłem mój wywód — i przyjrzałem się licznym rodzinom na całym świecie, będącym Twoim dziełem, któremu pozwoliłeś się rozwijać w tak cudowny, niepojęty sposób, ujrzałem rodzinę niczym nowy, dotąd nieznan kwiat, „Panie, kwiat emocji i intelektu, który w swej delikatności został ścięty, odcięty od łodyżki Natury, z której wyrósł i z której czerpał soki, a teraz znalazł się na łasce wiatru. Miłość, Panie, ujrzałem ją, poczułem miłość, jaką darzą się wzajemnie mężczyźni i kobiety i jaką żywią wobec swych dzieci; poznałem ich gotowość do poświęceń dla najbliższych, poznałem ich żal i cierpienie, gdy opłakują tych, którzy odeszli, i zawziętość, z jaką poszukują ich dusz w zaświatach, oraz nadzieję, że gdy sami odejdą, na tamtym świecie spotkają się ze swymi ukochanymi zmarłymi.

To właśnie dzięki tej miłości i rodzinie, dzięki temu niezwykłemu kwiatowi, tak twórczemu, Boże, że zdaje się on istnieć na obraz i podobieństwo Twoich dzieł — dusze owych istot pozostają żywe po śmierci! Co innego w Naturze potrafi tego dokonać, Panie? Wszystko powraca do ziemi, tam, skąd pochodzi. Twoja mądrość jest widoczna na każdym kroku; a wszyscy ci, którzy cierpią i umierają pod baldachimem Twego nieba, pozostają w błogiej niewiedzy, jeżeli chodzi o plan, który od początku zakładał ich śmierć. Z mężczyznami tak nie jest! Ani z kobietami! Wszyscy oni, w swych kochających sercach, gdy łączą się w pary i tworzą rodziny, wyobrażają sobie niebo. Wytworzyli sobie jego obraz, Panie; czas ponownego spotkania dusz, kiedy bliscy i krewni znów się ze sobą zjednoczą i będą śpiewać cudowne pieśni!

Wyobrażają sobie wieczność, ponieważ domaga się tego ich miłość, Panie. Te idee zrodziły się w nich, tak jak z ich ciał rodzą się ziemskie dzieci. Oto, co zobaczyłem ja, obserwator”.

Znów cisza. W niebiosach zrobiło się tak cicho, że słycać było odgłosy płynące z ziemi, szum wiatru, szmer fal i odległe, stłumione krzyki dusz.

„Panie — rzekłem — oni łakną nieba. I wyobrażając sobie nieśmiertelność, lub może wieczność, nie wiem, co konkretnie niesprawiedliwie cierpią, znoszą ból, rozłąkę, choroby i śmierć — żadne inne zwierzę nie byłoby do tego zdolne. Ich dusze są naprawdę cudowne. W

szeolu wyrastają ponad umiłowanie samych siebie i troskę o siebie, w imię miłości. Miłość krąży pomiędzy ziemią a szeolem w nieskończoność. Panie, oni stworzyli najniższy poziom niewidzialnego dworu! Usiłują przebłagać Cię, Panie, ukoić Twój gniew, ponieważ wiedzą, że tu jesteś! I chcą wiedzieć o Tobie wszystko. A także o sobie samych. Wiedzą i pragną wiedzieć.

To było sednem mojej tezy i doskonale o tym wiedziałem. Jednak i tym razem Bóg nic nie powiedział ani nie próbował mi przerwać. Postrzegam to — ciągnąłem — jako największe ze wszystkich Twych osiągnięć: samoświadoma istota ludzka, mająca poczucie czasu i mózg rozwinięty na tyle, że potrafi się uczyć, tak szybko, że trudno jest nam, obserwatorom, za nią nadążyć. Jednak cierpienie, udręka, ciekawość — ten lament z pewnością był przeznaczony dla uszu aniołów oraz, odważę się dodać, także dla uszu Boga. Moje stanowisko, Panie, przedstawia się następująco: Pragnę zapytać Cię, Boże, czy nie można by tym duszom, zarówno tym w materialnych ciałach, jak i tym z szeolu, dać choćby odrobiny Twojej światłości? Czy nie mogłyby otrzymać światła, tak jak zwierzętom daje się wodę, gdy są spragnione? I czy te dusze, gdyby zasłużyły na Boże zaufanie, nie byłyby godne, by wyznaczyć dla nich jakiś maleńki skrawek w Twoim Królestwie Niebieskim, które jest wszak nieskończone?” Cisza wydawała się senna i wieczna jak czas przed nastaniem czasu.

„Czy można by tego spróbować, Panie? — podjąłem. — Jeśli bowiem tak się nie stanie, jaki los czeka te niewidzialne, ocalałe dusze, prócz rośnięcia w siłę i zacieśniania więzi z ciałem, w sposób, który zamiast otworzyć przed nimi prawdę o Naturze rzeczy, zaowocuje powstaniem spaczonych idei opartych na fragmentarycznych dowodach i instynktownych lękach?” Tym razem nie zrobiłem krótkiej, kurtuazyjnej przerwy, lecz mówiłem dalej: „Panie, kiedy przyoblekłem się w ciało, kiedy położyłem się z kobietą, uczyniłem to, ponieważ była piękna, podobna nam, i gwarantowała przeżycie doznań, które dotąd pozostawały dla nas nieznanne.

Przyznaję, Panie, rozkosz ta jest niczym w porównaniu z Twą wspaniałością, ale powiadam Ci, Boże, z chwilą, kiedy ją posiadałem i zaznaliśmy wspólnej rozkoszy zespolenia, ten mały płomyk rozpalił się z głośnym rykiem, którego echo poniosło się aż pod niebiosa! Nasze serca zamarły w jednej chwili, Panie. Poznaliśmy wspólnie, co to wieczność, mężczyzna we mnie wiedział, że kobieta też tego oświadczyła. Poznaliśmy w ciałach coś, co przekracza wszelkie ziemskie oczekiwania, co jest czymś czysto boskim”. Zamilkłem. Co mogłem powiedzieć więcej? Czy miałem ubarwić moją tezę przykładami dla kogoś, kto wie wszystko? Splotłem ramiona i spuściłem wzrok z szacunkiem, wsłuchując się w głosy dusz z szeolu, i na chwilę ich odległe wołania zdekoncentrowały mnie odrywając od Bożej Obecności, gdyż uświadomiłem sobie, że mnie przyzywają, przypominając o złożonej obietnicy, i liczą na mój powrót.

„Wybacz mi, Panie Boże — rzekłem. — Twoja cudowność mnie pochłonęła. I z pewnością myślę się, jeśli nie było to Twym zamierzeniem”. Cisza znów wydawała się brzmiąca, delikatna i absolutnie pusta. Nie ruszyłem się z miejsca, bo zrobiłem już to, po co tu przybyłem, i w głębi serca czułem, iż

każde wypowiedziane przeze mnie słowo było prawdziwe i nieskażone łękiem.

Doszedłem do wniosku, że gdyby Bóg wygnał mnie z nieba, cokolwiek postanowi, w pełni na to zasłużyłem. Byłem Jego aniołem, Jego dzieckiem i Jemu miałem służyć. On też miał prawo mnie unicestwić, gdyby tak zdecydował. Znów usłyszałem w pamięci wołanie z szeolu i zacząłem się zastanawiać jak człowiek, czy Pan odeśle mnie wkrótce z powrotem, czy może potraktuje mnie w straszniejszy sposób, gdyż właśnie tam, w Naturze, napotkałem niezliczone przejawy okrucieństwa, przemocy i zniszczenia, ja zaś, jako anioł, mogłem zostać stworzony przez Boga, by poznać wszystkie rodzaje udręki i cierpienia, jakie dla mnie przygotował.

„Ufam Tobie, Panie — powiedziałem nagle, gdy słowa te przysły mi do głowy. — W

przeciwnym razie padłbym przed Tobą na twarz jak inni obserwatorzy. I nie chcę przez to powiedzieć, że om Tobie nie ufają. Pragnę jedynie wyznać, że wierzę, iż chciałeś, bym zrozumiał

dobro, że dobro jest Twoją esencją i że nie pozwolisz, by te dusze szlochały bezradnie w mroku i rozpaczy. Ze nie pozwolisz aby ludzkość istniała dalej, nie doświadczywszy choćby iskry Twej niewysłowionej boskości”.

Po raz pierwszy przemówił, cicho i beznamiętnie: „Memnochu, dałeś im więcej niż tylko iskierkę”. „Tak, Panie, przyznaj? — to prawda. Jednak, Panie, dusze zmarłych dały ludziom moc inspiracji, natchnienia i zachęty, a dusze te są poza Naturą, o czym zdołaliśmy się przekonać na własne oczy, i z każdym dniem rosną w siłę? — Jeśli istnieje gatunek energetycznych istot, Panie, naturalny i złożony ponad możliwość mego pojmowania, to muszę przyznać, że jestem kompletnie zaskoczony. Wydaje się bowiem, że są one stworzone z tego samego co my, Boże, niewidzialni, i każda z nich jest odrębna, samodzielna, obdarzona własną wolą”. Znów cisza.

Wreszcie Bóg powiedział: „Doskonale. Usłyszałem, co miałeś do powiedzenia. Teraz mam do ciebie pytanie. Za to wszystko, co dałeś ludzkości, co otrzymałeś w zamian, Memnochu?” To pytanie zbiło mnie z tropu. „I nie mów mi teraz o miłości, Memnochu — dorzucił. — O ich zdolności obdarzania się wzajemnie miłością. Królestwo Niebieskie doskonale o tym wie i zgadza się z tym. Ale co od nich otrzymałeś, Memnochu? Co dostałeś w zamian za ryzyko, które podjąłeś, wkraczając do ich domeny?”

„Potwierdzenie, Panie — rzuciłem pospiesznie, docierając bezbłędnie do najgłębszej prawdy.

— Potrafili rozpoznać anioła na pierwszy rzut oka. Dokładnie tak, jak się tego spodziewałem”.

Ach! Od Niebieskiego Tronu dobiegł donośny śmiech, tak głośny, że musiał dotrzeć do dusz kłębiących się w szeolu. Całe niebiosy zatrzęsły się od śmiechu i śpiewu. W pierwszej chwili nie odważyłem się odezwać ani nic zrobić, aż w końcu nagle, może nawet gniewnie, choć z pewnością świadomie, uniosłem rękę. „Panie, ja nie żartuję. Powiedziałem to wszystko absolutnie poważnie! Nie byłem istotą spoza ludzkich marzeń i snów! Panie mój, czy stwarzając wszechświat, zaplanowałaś, aby te istoty zносиły swe głosy do Ciebie? Powiesz mi to? Czy dowiem się tego w ten lub inny sposób?”

Aniołowie ucichli trochę, podzieleni na mniejsze i większe grupki, a w końcu śmiech ucichł

zupełnie i zastąpiło go coś innego, ny pean dziękczynny do Boga za Jego cierpliwość, w tym także wyrozumiałość wobec mnie. Nie przyłączyłem się do tego u. Wejrzałem w promienie światłości Bożej i zagadka mojego własnego uporu oraz mój gniew i ciekawość trochę osłabły jyy wtrąciły mnie jednak w otchłań czarnej rozpacz. „Ufam Tobie Panie — wiesz, co czynisz.

Musisz wiedzieć. W przeciwnym razie... jesteśmy zgubieni” — rzekłem. Przerwałem zaskoczona własnymi słowami. To w znacznej mierze przewyższało wszelka oskarżenia, jakie do tej pory skierowałem pod adresem Boga i wszystkie czynione dotąd przeze mnie aluzje oraz sugestie A wówczas z przerażeniem wejrzałem w światłość i pomyślałem: A co, jeżeli On nie wie, co robi, jeśli nigdy tego nie wiedział?

Uniosłem obie ręce do twarzy, by zatkawszy usta, nie powiedzieć czegoś nieroztropnego, a tym samym nakazać memu mózgowi, by odrzucił od siebie te pochopne, bluźniercze myśli, Znałem Boga! Bóg tam był. A ja stałem przed Nim. Jak śmiałem tak w ogóle myśleć, On jednak rzekł: „Nie ufasz mi”, i tak właśnie uważał. Wydawało się, że światło Boże nieskończenie pojaśniało; rozszerzyło się; sylwetki serafinów i cherubinów zmalowały i stały się przezroczyste, aż w końcu światło wypełniło mnie i wnętrza wszystkich aniołów, ja zaś poczułem z nimi niezwykłą więź, wiedziałem, że Bóg bezgranicznie kocha nas wszystkich i że nigdy nie mogliśmy pragnąć ani wyobrazić sobie silniejszego uczucia.

Wtedy Bóg przemówił, słowa brzmiały jednak całkiem inaczej, gdyż musiały rywalizować z tym bezmiarem miłości zalewającym mój umysł. Mimo to usłyszałem je i dotarły one do mego serca. Wszyscy inni też je usłyszeli. „Memnoch, idź do szeolu — powiedział Pan — i znajdź

tam choćby dziesięć dusz spośród milionów, które godne są, by dołączyć do nas w niebie. Mów, co chcesz, kiedy je będziesz sprawdzał, ale znajdź dziesięć, które twoim zdaniem zasługują, by żyć wśród nas. A potem przyprowadź je do mnie, to dokończymy, co zaczęliśmy”.

Nie posiadałem się z radości. „Mogę tego dokonać, Panie Wiem, że mogę!” — zawołałem.

Nagle zobaczyłem twarze Michała, Rafaela i Uriela, niemal przyćmione Bożym światła które teraz znacznie przyciemniało. Michał wyglądał na przerażonego, a Rafael szlochał. Uriel tylko patrzył

bez cienia emocji, nie opowiedział się po niczyjej stronie, ani mojej, ani dusz. Takie oblicza mieli aniołowie przed nastaniem czasu.

Czy mogę już iść? — spytałem. — Kiedy muszę wrócić?” Kiedy zechcesz — odrzekł Bóg —

kiedy będziesz mógł”. Dopiero teraz rozumiałem. Jeżeli nie znajdę tych dziesięciu dusz, nie będę mógł wrócić. Pokiwałem głową, to była bezbłędna logika.

Zrozumiałem ją. I zaakceptowałem. „Kiedy my tu rozmawiamy, Memnoch — rzekł Pan —

na ziemi mijają lata. Twoja osada i sioło odwiedzane przez tamtych rozrosły się w miasto. Ziemia obraca się w niebieskim blasku. Cóż ci mogę powiedzieć, mój ukochany, za wyjątkiem tego, że

powinieneś niezwłocznie zstąpić do szeolu i jak najszybciej powrócić z tymi dziesięcioma duszami”. Zanim zdążyłem zapytać: A co z obserwatorami, tym małym legionem potulnych, znających sekrety ciała aniołów za moimi plecami,

Bóg już odpowiedział: „Będę oczekiwać w odpowiednim miejscu w niebie na twój powrót.

Nie poznają mojej decyzji ani swego losu, dopóki nie przyprowadzisz do mnie tych dusz, dusz, które będą godne, by zamieszkać w moim Domu”. „Rozumiem, Panie. Za pozwoleniem, chciałbym już odejść!” I o nic więcej nie pytając, nie zastanawiając się nad ograniczeniami ani restrykcjami, ja,

Memnoch, archanioł i oskarżyciel Boga, niezwłocznie opuściłem niebo i zstąpiłem w wypełniający szeol opar gęstych mgieł.

15

— Ale Memnoch — przerwałem. — On nie wyznaczył ci żadnych kryteriów. Jak miałeś dokonywać wyboru tych dusz? Skąd miałbyś wiedzieć?

— Memnoch uśmiechnął się.

— Tak, Lestacie, właśnie tak to uczynił, a ja doszedłem do tych samych wniosków co ty i nim jeszcze zstąpiłem do szeolu, kryteria wstąpienia do nieba stały się wręcz moją obsesją. Ale On robi wszystko po swojemu, czyż nie?

— Ja bym zapytał — powiedziałem.

— Nie, nie. Nie zamierzałem tego zrobić. Opuściłem to miejsce i zabrałem się do roboty. Jak już wspomniałem, to był Jego pomysł, i zrozumiałem, że moją jedyną nadzieją jest opracowanie własnych kryteriów i przedstawienie odpowiedniego stanowiska. Nadążasz za mną?

— Chyba tak.

— Wiesz, że tak — mruknął. — No dobrze. Wyobraź to sobie. Liczba ludności wzrosła do wielu milionów, pojawiły się pierwsze miasta, także w tej dolinie, do której zszedłem i gdzie pozostawiłem moje znaki na ścianach jaskiń. Ludzkość dotarła na ziemi tak daleko na północ i południe, jak to było możliwe. Osady, miasta i forty istniały w wielu fazach budowy i rozwoju.

Krainę miast nazywa się dziś Mezopotamią albo Sumerem, a może Ur? — Wasi uczeni wciąż odkrywają nowe ruiny. Szalone wyobrażenia człowieka o nieśmiertelności i ponownym zjednoczeniu z tymi, co odeszli, zaowocowały powstaniem religii. W Dolinie Nilu rozwinęła się zdumiewająco stabilna cywilizacja, podczas gdy na terenach zwanych dziś Ziemią Świętą trwały niekończące się wojny.

Zszedłem więc do szeolu, który dotąd obserwowałem tylko z zewnątrz; wciąż znajdowała się tam garstka pierwszych dusz, w których jeszcze tliło się życie, teraz jednak miejsce to było olbrzymie, by mogło pomieścić miliony innych dusz, które sprowadziły tam wierzenia i pragnienie wieczności. Rozbudzone, żłudne nadzieje wprawiły niezliczone rzesze spośród nich w dezorientację i

zakłopotanie. Część tak urosła w siłę, że przejęła kontrolę nad innymi. Jeszcze inne zaś nauczyły się sztuczki polegającej na schodzeniu na ziemię, by umknąć przed zakusami innych niewidzialnych dusz i móc powłóczyć się w pobliżu ciał, w które znów mogłyby się przyoblec, na które potrafiły wywierać wpływ, ranić je lub darzyć miłością. Świat jest zaludniony przez duchy! Niektóre z nich, nie pamiętające, że były kiedyś ludźmi, stały się tym, co ludzie od wieków nazywali demonami, istotami w zależności od stopnia rozwoju zdolnymi opętać kobiety i mężczyzn, siać zniszczenie lub powodować nieszczęścia.

— A jeden z nich — rzekłem — o władnął wampiryzmi protoplastami naszego rodzaju.

— Właśnie tak. To Amel stworzył tę mutację. Ale nie on jeden. Na ziemi żyją też inne potwory, zarówno widzialne, jak i niewidzialne, jednak rozwój świata od zawsze zależał

wyłącznie od milionów jego ludzkich mieszkańców.

— Mutanci nigdy nie mieli wpływu na historię — wtrąciłem.

— Cóż... tak i nie. Czy szalonej duszy wyjącej przez usta Proroka z krwi i kości nie można nazwać wpływową, jeżeli słowa Proroka są zapisywane w pięciu różnych językach i w wersji książkowej można je kupić niemal w każdej nowojorskiej księgarni? Powiedzmy, że proces, który obserwowałem i opisywałem Bogu, wciąż trwa; jedne dusze umarły, inne zyskały na sile, jeszcze nie zdołały powrócić w nowych ciałach, choć wtedy nie miałem pojęcia, jak tego dokonały.

— Czy teraz już to wiesz?

— Reinkarnacja wcale nie jest pospolitym zjawiskiem. Możesz być tego pewien. Poza tym dusza dzięki niej niewiele zyskuje. Możesz sobie wyobrazić sytuacje, które umożliwiają to zjawisko. Poza tym, że zawsze towarzyszy temu śmierć duszy niemowlęcia — Do tylko w ten sposób stara dusza może zagnieździć się w nowym ciele — każdy przypadek jest inny i jednostkowy. Ci, którzy regularnie reinkarnują, stanowią siłę, której nie wolno ignorować.

Jednak podobnie jak wampiry i inne nieśmiertelne, przywiązane do ziemi istoty stanowią w zasadzie niewielką enklawę. Znów mówimy tu o losie ludzkości jako takim. Mówimy tu o całym ludzkim świecie.

— Tak, rozumiem, może nawet lepiej, niż ci się wydaje.

— W porządku. A zatem, choć nie miałem żadnych wytycznych, zstąpiłem do szeolu i odkryłem tam wielką, bezkresną replikę ziemi! Dusze dzięki wyobraźni i projekcjom stworzyły w swym niewidzialnym świecie mnóstwo budowli, istot i potworów, był to ewidentny przejaw rozbuchanej, nieokiełznanej wyobraźni pozbawionej niebiańskiego przewodnictwa, i jak podejrzewam, wciąż przebywa tam wiele dusz, które nie wiedzą nawet, że nie żyją. Wkroczyłem w sam środek szeolu, usiłując nie rzucać się w oczy; próbowałem stać się istotą bez wyraźnej, dostrzegalnej postaci, ale jest to bardzo trudne. Szeol to bowiem kraina niewidzialności; wszystko tam jest niewidzialne. Dlatego też zacząłem krążyć po tamtejszych drogach, w półmroku, pośród zdeformowanych, na wpół ukształtowanych, bezkształtnych, jęczących i konających istot, w mej anielskiej postaci. Wyobraź

sobie, że te zbłąkane dusze nawet nie zwracały na mnie uwagi! Zupełnie jakby mnie nie dostrzegały. Znasz ten stan, opisywany przez ludzkich szamanów i świętych, ludzi bliskich śmierci, którzy jednak powrócili do świata żywych i mogli opowiedzieć o tym, co widzieli.

— Tak.

— Cóż mogę powiedzieć. To, co widzą ludzkie dusze, to z ledwie mała częśćka, ja widziałem całość. Bez lęku, nie zważają na czas, a niekiedy także poza nim, choć czas płynie stale, odwiedziłem każdy zakątek tego miejsca.

— Azylu dusz.

— Azylu, w sensie domu wariatów, tak, lecz w domu tym, parafrazując Pismo, było mieszkań wiele. Dusze wierzących gromadziły się wspólnie, zrozpaczone i zdesperowane, usiłując ułacniać się wzajemnie w wierze i koić trawiące je lęki. Jednak światło z ziemi było tu zbyt rozmyte i zamglone, by mogło kogokolwiek ogrzać. A światło niebios w ogóle tu nie docierało!

Tak, to faktycznie azyl dla obłąkanych. Jest tam Dolina Śmierci, przeraźliwa rzeka potworów, po których dusze lękają się wejść do raju. Ale rzecz jasna żadna z nich nie dotarła tak daleko.

Najpierw przez jakiś czas słuchałem: wsłuchiwałem się w każdą pieśń, jaką mogły skierować do mnie dusze, to znaczy przemówić do mnie w moim języku. Wychwytywałem każde sensowne zdanie, pytanie i przypuszczenie, które dotarło do moich uszu. Co wiedziały te dusze? Co się z nimi stało? Bardzo szybko odkryłem, że w tym mrocznym miejscu znajdują się trybuny, stworzone siłą woli dusz poszukujących innych, im podobnych. Miejsce to zostało podzielone na warstwy, w dość luźny i ponury sposób, ale mimo wszystko panował tam porządek, zrodzony ze świadomości, akceptacji, zakłopotania lub gniewu każdej z dusz.

Najbliżej ziemi znajdowały się najbardziej plugawe dusze tych, którzy wciąż usiłowali powrócić do świata żyjących, by ich opętać i doznawać najprostszych uciech, albo którzy nie rozumieli, co ich spotkało, czy też nie potrafili się z tym pogodzić. Zaraz za nimi rozciągała się warstwa dusz, które nie robiły nic innego, jak tylko walczyły między sobą, wrzeszczały, przepychały się, usiłując wyrządzić innym krzywdę, przejąć nad nimi kontrolę, owdądzać nimi lub uciec, w beznadziejnym chaosie i zamęciu. Te dusze nawet mnie nie zauważyły. Wiem jednak, że ludzie widzieli ten fragment szeolu i przez stulecia opisali go w bardzo wielu manuskryptach. Nic, co powiem, nie powinno być dla ciebie zaskoczeniem. Nieco dalej za obszarem tej ciągłej walki, najbliżej spokoju niebios — choć mam tu na myśli kierunku ani odległości tak, jak ty je pojmujesz — znajdowali się ci, którzy zrozumieli, że opisali Naturę i znaleźli się gdzie indziej. Dusze te — niektóre z nich przebywały tu od zarania dziejów —

nabrały niezwykłej cierpliwości, cierpliwie też obserwowały ziemię i zachowywały się cierpliwie w stosunku do innych, którzy je otaczali i którym z miłością usiłowały pomóc, by pogodziły się ze śmiercią i zaakceptowały ją.

— Odnalazłeś dusze, które kochały.

— I to jeszcze jak — rzekł Memnoch. — Wszystkie. Nie ma duszy, która nie kochałaby czegoś. Każda coś kocha, choćby nawet to coś istniało tylko we wspomnieniach lub jako wymarzony ideał. Ale, tak, odnalazłem te najspokojniejsze i najbardziej wyciszone obdarzające niepohamowaną miłością siebie nawzajem, a także żyjących na ziemi. Niektóre z nich prawie nie odrywały wzroku od ziemi i pragnęły jedynie odpowiadać na modlitwy zanoszone do nich przez zrozpaczonych, potrzebujących, chorych i cierpiących. Jak zapewne wiesz, do tego czasu na ziemi szalały niewysłowione wojny, a erupcje wulkaniczne i katastrofy naturalne spowodowały upadek i wymarcie całych cywilizacji. Cierpienie ujawniało coraz to nowe oblicza. Nie chodziło tylko o nadmiar informacji, wzrost wiedzy, którą mogłem osiąść, ani rozwój kulturowy. Cały ten wzorzec stał się zbyt złożony, aby mógł go pojąć anioł. Kiedy spojrzałem na ziemię, nawet nie próbowałem odgadnąć, co powodowało gromadą mieszkających w puszczy śmiertelników, walczących z innymi plemionami mieszkającymi w okolicy, ani dlaczego jeden lud przez całe pokolenia układał z kamieni ogromne konstrukcje. To znaczy pojmowałem to do pewnego stopnia, lecz moja ziemską misję dobiegła przecież końca.

Teraz najważniejsi byli dla mnie umarli. Zbliżyłem się do tych dusz, które spoglądały na ziemię z miłosierdziem i współczuciem i myślami starały się wywrzeć na innych dobry wpływ.

Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści, ujrzałem tysiące. Dosłownie tysiące a które utraciły nadzieję na odrodzenie lub wielką nagrodę; dusze, w których zawierała się absolutna akceptacja, że to właśnie była śmierć, to była wieczność, dusze zakochane w ciałach z krwi i tak jak my, aniołowie, dusze istniejące aż do teraz.

Usiadłem wśród tych dusz i zacząłem z nimi rozmawiać, gdy tylko udało mi się przyciągnąć ich uwagę. Już wkrótce stało się jasne, że nie dbają o moją postać, ponieważ sądzą, że wybrałem ją w taki sam sposób jak one; niektóre z nich przypominały kobiety i mężczyzn, innym zaś było to obojętne. Najwyraźniej uznały, że jestem nowy w szeolu, skoro tak się popisuję rękoma, nogami i skrzydłami. Jeżeli jednak zachowałem się uprzejmie, mogłem sprawić, by przestały interesować się ziemią; dzięki temu mogłem je przepytawać, pamiętając o dążeniu do prawdy, lecz nie za wszelką cenę, z zachowaniem pewnych reguł. Rozmawiałem chyba z milionami z nich. Wędrowałem po szeolu, dyskutując z duszami. W każdym przypadku najtrudniej było zwrócić na siebie ich uwagę, były bowiem zaabsorbowane ziemią, fantasmagorią dawnego życia lub głęboką kontemplacją.

Najinteligentniejsze, najbardziej kochające dusze nie zwracały uwagi na moje pytania.

Stopniowo uświadamiały sobie jednak, że nie jestem śmiertelnikiem, ale kimś zupełnie innym, że moje pytania mają związek nie z ziemią, lecz ze znacznie odleglejszym miejscem. Widzisz, i w tym właśnie cały kłopot. Te dusze były w szeolu tak długo, że nie zastanawiały się już nad celem życia ani przyczyną Stworzenia; nie przeklinały już Boga, którego nie znały, ani nie poszukiwały Boga, który ukrył się przed nimi. A kiedy zacząłem zadawać pytania, pomyślały, że zjawiłem się tam z nowymi duszami, śniąc o karach i nagrodach, które nigdy nie nadejdą. Te roztropne dusze rozpatrywały swój poprzedni żywot bez gniewu, za to z długą, beznamietną zadumą i jak już wspominałem, starały się odpowiadać na modlitwy z dołu. Czuwały nad swoimi krewniakami, nad bliskimi, członkami swoich klanów i narodów; opiekowały się tymi, którzy zwrócili ich uwagę spektakularnymi przejawami pobożności i oddania; ze smutkiem serwowały cierpienia ludzi i pragnęły im pomóc, a gdy tylko mogły, robiły to. Prawie żadna z tych bardzo silnych i cierpliwych

nie Pragnęła powrócić do ciała. Jednak w przeszłości niektórym z nich to się udało.

Zstępowały na ziemię, by się odrodzić, i w efekcie odkrywały, że nie pamiętają niczego ze swych poprzednich żywotów w ciele, tak więc ponowne przychodzenie na świat mija się z celem!

Lepiej zostać tutaj, w wieczności, i podziwiać piękno Stworzenia, które urzekło je niemal tak samo jak nas.

To właśnie na podstawie zadawanych pytań, niekończących się pełnych zadumy rozmów ze zmarłymi opracowałem moje własne kryteria. Przede wszystkim, aby być godną nieba — aby mieć choćby cień szansy na obcowanie z Bogiem — dusza musiała rozumieć życie i śmierć w najprostszym tych słów znaczeniu. Znalazłem wiele dusz, które to potrafiły. Następnie w tym zrozumieniu musiał zawierać się podziw dla piękna Bożego Dzieła, harmonii Stworzenia z Bożego punktu widzenia oraz wizji Natury jako nakładających się na siebie, niekończących się cykli przetrwania, rozrodu, ewolucji i rozwoju. Wiele dusz to rozumiało. Wiele musiało zrozumieć. Ale wiele, które uważały, że życie jest piękne, postrzegało śmierć jako coś smutnego, nieskończonego i strasznego, i gdyby dano im wybór, wolałyby nigdy się nie narodzić!

Nie wiedziałem, co robić w obliczu takich przekonań, ale były one dość szeroko rozpowszechnione. Dlaczego On nas stworzył, kimkolwiek On jest, skoro mamy tu tak tkwić po wieczność, z dala od ziemi, i już nigdy tam nie powrócić, chyba że za cenę ponownych cierpień i udręki, dla kilku chwil chwały, które za drugim razem nie zostaną docenione, podobnie jak za pierwszym, bo przy ponownych narodzinach nikt nie dysponuje nagromadzoną wcześniej wiedzą?! Prawdę mówiąc, właśnie to sprawiało, że wiele dusz zaprzestało dalszego rozwoju.

Troszczyły się i litowały nad żyjącymi, ale znały również smutek i nie potrafiły już wyobrazić sobie radości. Kierowały się ku spokojowi i właśnie spokój wydawał się najbardziej wysublimowanym stanem, który dane im by to osiągnąć. Spokój, przerywany próbami odpowiedzi na modlitwy, był wyjątkowo trudny, lecz dla mnie, jako anioła, wyjątkowo atrakcyjny. Spędziłem w towarzystwie tych dusz dużo, naprawdę dużo czasu.

Gdybym tylko mógł im powiedzieć, pomyślałem, gdybym zacząć je uczyć, może bym je przygotował na pójście do nieba, teraz jednak, w obecnym stanie, nie były na to gotowe i wątpię, by uwierzyły w prawdziwość moich słów. A gdyby uwierzyły i obudziły w sobie żądzę poznania niebios, a Bóg nie wpuścił ich do środka? Nie, musiałem być bardzo ostrożny. Nie mogłem tu głosić prawdy, stając na głazach, tak jak to czyniłem podczas mego krótkiego pobytu na ziemi.

Skoro już miałem ingerować w rozwój jednej z tych dusz, musiałem być pewien, że pójdzie ona za mną do Królestwa Niebieskiego.

Zrozumienie życia i śmierci? To nie wystarczy. Akceptacja śmierci? Też za mało. Obojętność wobec życia i śmierci również nie wystarczy. A te, które skończyły z włóczęgą, dryfowaniem i chaosem? Nie. Te dusze zatraciły swój charakter. Było im tak daleko do aniołów, jak ziemi do nieba. Wreszcie dotarłem do obszaru mniejszego od innych, zajętego zaledwie przez garstkę dusz. Mówię oczywiście w przenośni. Pamiętaj, że jestem diabłem. Spędziłem wiele czasu w niebie i w piekle, kiedy więc mówię garstka, chcę, byś wyobraził sobie wielkość, która jest dla ciebie policzalna. Powiedzmy

kilka tysięcy. Ale mam na myśli znacznie większą liczbę.

Uświadom to sobie.

— Jakoś sobie radzę.

— Dusze te zdumiały mnie swą promiennością, spokojem i poziomem nagromadzonej wiedzy. Prawie wszystkie miały całkowicie ludzkie kształty. A więc mimo niewidzialności potrafiły odtworzyć swój wcześniejszy wygląd! Wyglądały jak aniołowie! To byli niewidzialni mężczyźni, kobiety i dzieci, wyglądający tak, jak w najlepszych chwilach swego życia. Jedne z nich były całkiem nowe i przybyły tu po śmierci w zamyśleniu, poszukujące i gotowe na tajemnicę. Inne przez stulecia obserwacji nauczyły się w szeolu wszystkiego i obawiały się utraty własnej odrębności, niezależnie od tego, jak strasznie się tam czuły. Wszystkie jednak były doskonale widoczne! I antropomorficzne, choć rzecz jasna, półprzezroczyste, jak wszystkie duchy. Jedne były bledsze od innych, ale ogólnie rzecz biorąc, wszystkie były wyraźnie widoczne.

Usiadłem pomiędzy nimi, spodziewając się surowej odprawy, zaraz jednak uświadomiłem sobie, że te dusze postrzegają mnie inaczej niż reszta. Wszystko postrzegały inaczej. Były bardziej wyczulone na subtelności niewidzialnego, ponieważ w pełni akceptowały te warunki.

Skoro chciałem być tym, kim byłem, niechaj tak będzie, uznały i pochwaliły mnie, jak wspaniale się spisałem, przyjmując wygląd postawnej istoty, długowłosej, skrzydlatej i przyodzianej w powłóczystą szatę. W kilka chwil po przybyciu tutaj poczułem otaczającą mnie falę szczęścia.

Poczułem akceptację. Brak oporu i niezaspokojoną ciekawość. One wiedziały że nie jestem duszą ludzką. Wiedziały, ponieważ dotarły do punktu w którym mogły to zrozumieć! I wiedziały sporo o sobie nawzajem tylko na tej podstawie! Widziały też wiele, jeżeli chodzi o ziemię. Jedna z tych dusz miała kształt kobiety, lecz nie była to moja Lilia gdyż nie zobaczyłem jej już więcej w żadnej postaci. Była to jednak kobieta, która, jak sądzę, zmarła w kwiecie wieku i urodziła wiele dzieci, kilkoro z nich było z nią teraz, inne wciąż żyły na ziemi. Spokój zdawał się wręcz promieniować od tej kobiety. Dusza ta osiągnęła tak wysoki poziom rozwoju, że emanowała czymś na podobieństwo światłości Bożej!

„Co cię tak wyróżnia? — spytałem tę kobietę. — Co sprawia, że ty i wy wszyscy tutaj tak bardzo różnicie się od reszty?” Kobieta bezceremonialnie zapytała, kim jestem. Umarłe dusze zwykle o to nie pytają. Pławią się tylko w swych bezradnych poczynaniach i obsesjach. Ona jednak zdumiała mnie, pytając: „Kim jesteś. Nigdy dotąd nie widziałam nikogo takiego jak ty. To znaczy z wyjątkiem tego, kiedy żyłam”.

„Nie chcę jeszcze tego zdradzić — odpowiedziałem jej. — Ale chcę uczyć się od ciebie. Czy powiesz mi, dlaczego wydajesz się szczęśliwa? Bo jesteś szczęśliwa, prawda?”

„Tak — odrzekła. — Jestem z tymi, których kocham, i patrzę w dół, obserwuję to wszystko”.

„I nie masz w związku z tym żadnych pytań? — naciska Nie pragniesz wiedzieć, czemu się urodziłaś, po co cierpi stało się z tobą, kiedy umarłaś, dlaczego się tu znalazłaś?” Zdumiałem się jeszcze

bardziej, kiedy wybuchnęła śmiechem. W szeolu jeszcze ani razu nie słyszałem śmiechu.

Był to łagodny, kojący; radosny śmiech, słodki śmiech, melodyjny, jak śmiech aniołów; wydaje mi się, że w odpowiedzi zaśpiewałem jej, to było w moim przypadku całkiem naturalne, a na ten dźwięk dusza jej eksplodowała jak kwiat, tak jak na ziemi ludzkie dusze eksplodują, ucząc się kochać nawzajem! Otworzyła się przede mną. „Jesteś piękny”) wyszeptala z szacunkiem.

Ale dlaczego, czemu wszyscy inni w tym miejscu wydają się nieszczęśliwi, a was, tę małą grupkę, przepelnia radość i spokój? — naciskałem. — Tak, wiem, patrzyłem w dół. A ty jesteś z tymi, których kochasz. Podobnie jednak jak cała reszta. Inni też są z tymi, których kochają”.

„Nie czujemy już złości do Boga — powiedziała. — Nikt z nas tutaj. Nie nienawidzimy Go”.

„A inni Go nienawidzą?”

„Nie tyle nienawidzą — odparła łagodnie, była wobec mnie bardzo delikatna, jakby nie chciała mnie urazić. — Chodzi o to, że nie potrafią wybaczyć mu tego wszystkiego... świata, tego, co się stało, i szeolu, w którym gnuśniejemy. Ale my potrafimy. Wybaczyliśmy Mu.

Wszyscy uczyniliśmy to z różnych powodów, ale znaleźliśmy w sobie przebaczenie dla Boga.

Przyjęliśmy, że nasze życie było cudownym doświadczeniem, wartym bólu i cierpień, radujemy się radością, która była nam dana, i chwilami harmonii, i wybaczyliśmy Mu, że nie wytłumaczył

nam tego wszystkiego, że nie próbował tego usprawiedliwić, że nie było nagród dla prawych i kar dla tych złych. Wybaczyliśmy Mu. Nie wiemy tego, ale podejrzewamy, że może On zna wielką tajemnicę dotyczącą tego, jak cały ten ból pojawia się, mija i mimo wszystko przynosi jakąś korzyść. A jeśli On nie chce tego wyjawić, cóż, ma do tego prawo, jest przecież Bogiem.

Tak czy inaczej wybaczymy Mu, kochamy Go w naszym wybaczeniu, mimo iż wiemy, że o nas nie dba, jesteśmy Mu obojętni jak kamyki na ziemskiej plaży”.

Zabrakło mi słów. Siedziałem w bezruchu, podczas gdy te niezwykle dusze zebrały się z własnej woli wokół mnie. Wreszcie jedna bardzo młoda dusza, duszyczka dziecka, rzekła:

„Z początku wydawało się straszne, że Bóg sprowadził nas na świat, abyśmy zostali zamordowani; my wszyscy, jak tu stoimy cała trójka, zginęliśmy podczas wojny, ale wybaczyliśmy Mu, bo wiemy, że skoro On potrafi stworzyć coś tak pięknego jak życie i śmierć, to znaczy, że musi też rozumieć”.

„Widzisz — rzekła do mnie inna dusza. — Wszystko sprowadza się do tego. Gdybyśmy musieli, przeżylibyśmy te cierpienia raz jeszcze. I staralibyśmy się być lepsi dla siebie nawzajem, bardziej się kochać. To jest tego warte”.

„Tak — dodała jeszcze inna. — Całe moje życie na ziemi trwało, zanim zdołałam odnaleźć w sobie przebaczenie dla Boga, ale zrobiłam to, zanim umarłam i zamieszkałam tu wraz z innymi.

Jeżeli się przyjrzyysz, zauważysz, że urządziliśmy tu coś w rodzaju ogrodu. To dla nas dość trudne.

Pracujemy wyłącznie mentalnie, posługując się wolą, wspomnieniami oraz wyobraźnią, ale stworzymy w ten sposób miejsce, gdzie możemy wspominać to, co było dobre. Wybaczyliśmy Mu i kochamy Go za to, że dał nam tak wiele”.

„Tak — wtrąciła kolejna dusza — za to, że w ogóle dał nam cokolwiek. Jesteśmy wdzięczni i pełni miłości do Niego. Bo przecież tam, w ciemnościach, jest tylko wielka pustka, a mieliśmy okazję widzieć wielu ogarniętych obsesją na punkcie pustki i cierpienia, i ci z pewnością nigdy nie zaznają radości, jaką my mogliśmy poznać i która przepęlnia nas nawet teraz”.

„To niełatwe — dodała inna dusza. — Było raczej ciężko. Ale przyjemnie było się kochać, popić, potaćzyć i pośpiewać, a potem biegać na rauszu wśród deszczu; tam dalej zaś jest chaos, nicość i rad jestem, że moje oczy otwarły się na świat poniżej, że mogę pławić się we wspomnieniach i że widać stąd ziemię”.

Zastanawiałem się przez dłuższą chwilę, zanim odpowiedziałem, którejkolwiek z nich, one zaś wciąż lgnęły do mnie, mówiły do mnie, jakby przyciągała je moja światłość. Prawdę mówiąc, im dłużej odpowiadałem, tym bardziej się przede mną otwierały i pojmowały głębsze znaczenie własnych odpowiedzi, a równocześnie ich deklaracje stały się o wiele bardziej zwarte i pełne napięcia. Niebawem przekonałem się, że ludzie ci wywodzili się ze wszystkich narodów i warstw społecznych. Więzy rodzinne łączyły wielu z nich, i to bardzo mocno, ale nie wszystkich. Prawdę mówiąc, wielu na dobre straciło kontakt ze swoimi bliskimi w innych częściach szeolu. Inni nigdy nawet ich nie ujrzeli. Jeszcze inni spotkali swych ukochanych bliskich już w chwili śmierci! Ci ludzie zaś wywodzili się z różnych zakątków świata i ich różne wierzenia zebrały się tu, w tym miejscu, które wypełniała coraz większa światłość.

„Czy wasze życie na ziemi wyglądało podobnie?” — spytałem w końcu. Nie potrafili odpowiedzieć. Naprawdę nie wiedzieli. Nie wypytywali się wzajemnie o minione życia, ja zaś zadawałem krótkie, konkretne pytania, z których wynikało jasno, że ludzi tych nic nie łączyło.

Niektórzy byli bardzo zamożni, inni biedni, jedni cierpieli niewysłowione katusze, inni opływali w luksusy, lecz mimo to przed śmiercią całym sercem zdążyli pokochać dzieło Stworzenia.

Poczułem, że gdybym tylko zechciał, mógłbym zliczyć te reakcje i jakoś je ocenić. Innymi słowy, wszystkie te dusze nauczyły się wybaczać Bogu, każda na swój sposób. Choć całkiem możliwe, że niektóre z tych sposobów były lepsze od innych, skuteczniejsze. To możliwe. Nie byłem pewien. I nie wiedziałem.

Wziąłem te dusze w ramiona. Przyciągnąłem je do siebie. „Chciałbym, abyście udali się ze mną w podróż — rzekłem do nich, do wszystkich naraz i każdego z osobna, z niezłomną pewnością siebie. — Pragnę, byście udali się ze mną do nieba i stanęli przed bogiem. To może trwać bardzo krótko, być może ujrzycie Go tylko na mgnienie oka, a może w ogóle nie pozwoli, byście Go ujrzeli. Możliwe też, że wrócicie tu, nie dowiedziawszy się niczego, ale raczej nie przypłacicie tego dodatkowym cierpieniem. Prawda jest taka, że nie mogę wam powiedzieć na pewno, co się wydarzy. Bóg Jest nieodgadniony”.

„Wiemy”, odparli.

„Mimo to zapraszam, byście udali się ze mną do Boga i powiedzieli Mu to samo, co mnie.

Teraz zaś odpowiem na jedno wasze pytanie: Jam jest archanioł Memnoch, jeden z aniołów Pana, o których słyszeliście za życia! Czy pójdziecie ze mną?” Kilka dusz wyglądało, jakby się wahały; były wyraźnie zaskoczone. Jednak większość jednym głosem odparła: „Pójdziemy. Warto uczynić wszystko, co tylko możliwe, jeżeli w rezultacie będzie można choćby nawet na mgnienie oka ujrzeć oblicze Boga. Warto zaryzykować, nawet gdyby ta obietnica wcale nie miała się spełnić.

Gdyby nie On, nie pamiętałbym słodkiego aromatu oliwnych gajów ani miękkiej pieszczoty traw, na której uwielbiałem leżeć. Nigdy nie poznałbym smaku wina ani nie poszedłbym do łóżnicy z tymi, które kochałem. Pójdziemy z tobą”.

Kilka dusz odmówiło. Trwało to parę chwil, ale nagle zorientowaliśmy się, że odłączyły się i oddaliły od pozostałych. Ujrzały mnie teraz jako tego, kim byłem naprawdę, anioła, i zrozumiały, co przed nimi ukrywałem, utraciły spokój, a wraz z nim moc wybaczenia. Patrzyły na mnie ze zgrozą, wściekłością albo jednym i drugim równocześnie. Inne dusze próbowały je przekonywać do zmiany nastawienia, lecz bez rezultatu. Nic z tego. Nie chcą ujrzeć Boga, który opuścił swoje dzieło Stworzenia i pozostawił je, by Jego dzieci wzniosły na całej ziemi niezliczone ołtarze ku czci różnych bóstw i na próżno modliły się o boską interwencję lub sąd ostateczny! Nie, nie, nie....

„Pójdźcie! — rzuciłem do pozostałych. — Spróbujmy wejść do nieba. Dajcie z siebie wszystko! Nie szczydźcie sił! Ile nas jest razem? Dziesięć tysięcy? Milion? Cóż to ma za znaczenie? Bóg powiedział dziesięć, ale nie tylko dziesięć. Powiedział przynajmniej dziesięć.

Chodźmy, czas ruszać w drogę!”

16

— Już za chwilę poznam odpowiedź, pomyślałem. Albo wpuści nas do środka, albo odeśle z powrotem swoją mocą, tak jak kiedyś stracił mnie na ziemię. Mógł nawet unicestwić niektórych spośród nas, bo przecież może osądzić, czy odniosłem sukces, czy poniosłem porażkę, zanim jeszcze dotrę do bram raju. Co powiedział Pan w swej nieskończonej mądrości? Powiedział: Wróc jak najszybciej.

Przyciągnąłem te dusze do siebie, bardzo blisko, tak jak ciebie, gdy wstępowaliśmy do nieba, i opuściliśmy szeol. Natychmiast spowił nas niebiański blask, zalewający bramy i przesączający się ponad murami. I znów te bramy, których w minionych eonach nie widziałem, zostały otwarte na oścież i cała nasza gromada — parę milionów dusz oraz ja, archanioł — stanęła pośrodku niebios, przed zdumionymi, roześmianymi, zaskoczonymi, zdezorientowanymi, pokazującymi nas palcami aniołami, którzy otoczyli nas zwartym kręgiem, głośnymi krzykami prosząc wszystkich o uwagę, aż w całym niebie zapanowała wreszcie kompletna cisza.

Cóż, pomyślałem, jak dotąd nieźle. Jesteśmy w środku. I ludzkie dusze! Ludzkie dusze mogły ujrzeć anioły i przeżywały prawdziwą ekstazę! Nie potrafię wyobrazić sobie tej chwili bez śpiewu tańca! Dusze szalały z radości, a kiedy aniołowie melodyjnymi osami zaczęli zasypywać je pytaniami, ludzkie dusze zaczęły śpiewać. W rzeczy samej, niebo już nigdy nie będzie takie samo. Wiedziałem o

tym. Zrozumiałem to natychmiast. Ponieważ coś się zdarzyło.

Te dusze sprowadziły ze sobą tę samą zdolność projekcji, której nauczyły się w szeolu, aby tworzyć wokół siebie z niczego elementy otoczenia, na których im zależało, za którymi tęskniły i których odtworzeniu były skłonne poświęcić się bez reszty.

Geografia niebios zmieniła się drastycznie, natychmiastowo i w nieopisany sposób. Pojawiły się wieże, zamki i rezydencje, które zobaczyłeś, kiedy cię tam zabrałem, pałace zwieńczone kopułami i ogrody, och, te zapierające dech projekcje kwiatów rozciągające się jak okiem sięgnąć, we wszystkich kierunkach, rzeczy o których sprowadzeniu do nieba aniołowie nigdy nie pomyśleli... było tam po prostu wszystko. Drzewa wzniosły konary ciężkie od liści, wiał wiatr, a strugi deszczu niosły z sobą cudowny aromat. Niebo miało cieplejsze barwy, a kolory pogłębiły się i nasyciły. Te dusze przejęły niewidzialną materię niebios, czymkolwiek ona jest — energią, esencją, światłością Boga, Jego mocą stwórczą — i w okamgnieniu otoczyły nas niezliczoną ilością piękna i swymi pragnieniami! Wszystko, czego nauczyły się na ziemi, sprowadziły do nieba, odtwarzając to bez wahania i oporów, w najwspanialszej postaci!

Nigdy jeszcze od stworzenia wszechświata w niebie nie było takiego poruszenia. I nikt nie był

bardziej zdumiony niż archanioł Michał, który patrzył na mnie, jakby chciał rzec: Memnochu, sprowadziłeś je do nieba! Zanim jednak zdążył to powiedzieć, i gdy dusze wciąż stały w zwartej gromadzie, z wolna uświadamiając sobie, że mogą się poruszyć, dotknąć aniołów, a także rzeczy, które wytworzyły, pojawiło się światło Samego Boga — *En Sof* — rozpościerające się i płynące zza postaci serafinów i cherubinów, po czym bardzo delikatnie spłynęło na owe ludzkie dusze, wypełniając każdą z nich i ujawniając wszystkie ich sekrety, tak, jak to było z aniołami.

Ludzkie dusze wydały okrzyk radości. Aniołowie zaczęli śpiewać hymny. Ja także zacząłem śpiewać, rozkładając szeroko ręce: „Panie mój i Boże, przywiódłem do Ciebie te dusze, gdyby trafiły do nieba, spójrz, Boże, wejrzyj na Twoje Dzieło, n oto dusze, które ewoluowały z najdrobniejszych komórek poprzez ciało, krew i szeol, aż zasłużyły sobie na dostęp do Twego Tronu, jesteśmy tutaj, Boże! Dokonałem tego, dokonałem. Stało się. Wróciłem, jak mi na to zezwoliłeś”. I powiedziawszy więcej, niż to było konieczne, upadłem na kolana.

Hymny osiągnęły crescendo, takich dźwięków żadna istota krwi i kości nie byłaby w stanie znieść. Ze wszystkich stron płynęły hymny. Dusze ludzkie zgęstniały, stały się wyraźniejsze ; w końcu były widoczne dla nas i dla siebie nawzajem tak jak my dla nich. Niektóre z nich trzymały się za ręce albo podskakiwały jak małe dzieci. Inne po prostu szlochały, a łzy spływały im po policzkach. Wtem światło przybrało na sile. Widzieliśmy, że Bóg zaraz przemówi. Zamilkliśmy.

Byliśmy wszak wszyscy *bene ha elohim*. Bóg powiedział: „Moje dzieci. Moje ukochane dzieci.

Memnoch sprowadził miliony i są one godne, by wejść do Królestwa Niebieskiego”. Zaraz potem głos Pana umilkł, światło przybrało na sile, stało się cieplejsze, a całe niebo wypełniło się bezgraniczną akceptacją i czystą miłością.

Położyłem się zmęczony, patrząc w górę na bezkresny firmament błękitnego, przepięknego nieba

pełnego migoczących gwiazd. Usłyszałem, jak ludzkie dusze przemykają to tu, to tam.

Usłyszałem hymny powitalne i inkantacje aniołów. Usłyszałem wszystko, a potem, naśladowując śmiertelników, zamknąłem oczy. Czy Bóg kiedykolwiek sypia? Nie wiem. Zamknąłem oczy i leżałem nieruchomo, w świetle Bożym, i wreszcie, po tylu długich latach spędzonych w szeolu, czułem się bezpiecznie i było mi ciepło.

Wreszcie zdałem sobie sprawę, że podeszli do mnie serafini, było ich trzech lub czterech, nie widziałem dokładnie, stanęli nade mną, przyglądając mi się, ich twarze lśniły odbitym światłem tak silnie, że nie sposób było na nie spojrzeć. „Memnochu, Bóg pragnie mówić z tobą na osobności”, powiedzieli. „Tak, natychmiast. Poderwałem się na nogi. I już po chwili stanąłem z dala świętujących tłumów, samotnie, przesłaniając twarz przedramieniem i spuszcżając wzrok, naprzeciwko Stwórcy Wszechmocy, mojego Pana i Boga.

17

„Odsłoń oczy i spójrz na mnie”, powiedział Pan. Zrobiłem to w jednej chwili, świadom, że to może oznaczać moje ostateczne unicestwienie, że to wszystko może okazać się szaleństwem i nieporozumieniem.

Blask był pełen chwały, lecz do wytrzymania, a w samym jego centrum ujrzałem wyraźnie postać przypominającą mnie samego. Nie mogę powiedzieć, że była to ludzka twarz. Sylwetka ludzka, postać i wyraz twarzy — oto, co zobaczyłem, i postać ta spojrzała na mnie z przenikliwością i uwagą.

To było takie piękne, że nie mogłem się poruszyć ani nawet odwrócić. Nagle postać zaczęła jaśnieć i już chciałem ponownie zasłonić oczy ręką, aby na zawsze nie utracić wzroku, zaraz jednak światłość przygasła, wciąż była silna i wszechogarniająca, ale już mnie nie oślepiła. A ja stałem drżący.

„Memnochu — powiedział Bóg. — Dobrze się spisałeś! Sprowadziłeś z szeolu dusze, które są godne wejść do Królestwa Niebieskiego, sprawiłeś, że radość i błogość nieba zostały spotęgowane. Dobrze się spisałeś”.

Wyraziłem moje podziękowanie, które było w istocie hymnem pochwalnym, powtarżając rzeczy oczywiste, że to Bóg stworzył te wszystkie dusze i w swym miłosierdziu pozwolił, aby przyszły do Niego.

„To czyni cię bardzo szczęśliwym, prawda?” — zapytał.

„Tylko jeśli i Ty jesteś szczęśliwy, Panie”, odrzekłem, nie całkiem szczerze, powróć w zastępy aniołów, Memnochu — rzekł Pan. — Zostało ci wybaczone, że bez mego zezwolenia przyoblekłeś się ciało i pokładałeś się z córami człowieczymi. Dopiąłeś swego, przeniósłeś swe nadzieje na dusze z szeolu. Odejdź teraz i rób to, czego pragniesz, lecz nie ingeruj więcej w Naturę ani w rozwój ludzkości, jako że upierasz się, iż nie jest ona częścią Natury, i w tym przypadku bardzo się mylisz”.

Panie...”, zacząłem trwożliwie.

„Tak?..?”

„Panie mój, jeżeli chodzi o dusze, które sprowadziłem z szeolu — to mniej niż jedna setna wszystkich dusz, które się tam znajdują. Zapewne mniej niż jedna setna dusz, które sczezły lub znikły od zarania dziejów. Boże, szeol wypełnia chaos; zamęt i niezrozumienie. Te dusze to moi wybrańcy”.

„Czy to, co powiedziałaś, miało mnie zdumieć? Czy sądzisz, że o tym nie wiedziałem?”

„Oczywiście, że nie, Panie. Pozwól mi jednak powrócić do szeolu, abym spróbował wpłynąć na tamtejsze dusze i sprawić, by dojrzały, by osiągnęły poziom, na którym będą godne dostąpienia nieba. Nie wątpię, że pozwolisz mi je oczyścić ze wszystkiego, co czyni je niegodnymi przekroczenia bram Królestwa”.

„Dlaczego?”

„Panie, na każdy milion ocalonych dusz przypada drugi, który utraciłeś”.

„Sądzisz, że o tym nie wiem?”

„Panie, ulituj się nad nimi! Miej litość nad ludźmi z ziemi, którzy poprzez niezliczone rytuały próbują do Ciebie dotrzeć i Cię zadowolić”.

„Dlaczego?”

Nie odpowiedziałem. Byłem kompletnie zbity z tropu. Zamyśliłem się — W końcu odrzekłem: „Panie, czy nie dbasz o te dusze, które błąkają się zagubione? Które cierpią w ciemnościach?”

„Niby czemu miałbym o nie dbać?” — zapytał.

Milczałem. Musiałem odpowiedzieć naprawdę przekonująco Nie spieszyłem się. Wreszcie to On po chwili dodał:

„Memnoch, czy możesz policzyć dla mnie wszystkie gwiazdy? Czy znasz ich nazwy, orbity, ich przeznaczenie w Naturze? Czy mógłbyś choć w przybliżeniu podać mi liczbę ziaren piasku w morzu?”

„Nie potrafię tego uczynić, Panie”.

„W całym moim dziele Stworzenia są istoty, które mnożą się tysiącami i spośród których przeżywa niewiele — ryby i żółwie w oceanach, skrzydlate owady w powietrzu. Sto, a nawet milion istot jednego gatunku może narodzić się rankiem jednego dnia lecz zaledwie garstka spośród nich przetrwa, by spłodzić własne potomstwo. Nie wiedziałeś o tym?”

„Wiedziałem, Panie. Wiedziałem o tym od dawna. Wiedziałem o tym, odkąd byłem świadkiem ewolucji zwierząt. Wiedziałem”, odrzekłem.

„Cóż więc znaczy dla mnie, że tylko niewielka grupka dusz przybywa, by wkroczyć do Królestwa

Niebieskiego? Może z czasem wyślę cię znów do szeolu. Na razie sam jeszcze nie wiem”.

„Panie mój, ludzie są istotami myślącymi, czującymi i te istoty cierpią!” — nie przestawałem.

„Czy musimy znów sprzeczać się o Naturę? Ludzkość jest moim dziełem, Memnochu, a jej rozwój, czy o tym wiesz czy nie, podlega moim prawom”.

„Panie, wszak wszystko pod słońcem prędzej czy później umiera, a te dusze mają potencjał, aby żyć wiecznie! N i e p o d l e g a j ą c y k l o w i ! Są utkane z niewidzialnej woli i wiedzy. Z

pewnością zostały stworzone zgodnie z Twymi prawami, aby dostąpić zaszczytu wejścia do Twego królestwa. Jakże mogłoby być inaczej? Proszę Cię, Panie, błagam, byś mi to powiedział, D choć miłuję Cię szczerze, nie potrafię tego zrozumieć”.

„Memnochu, niewidzialność i świadomość to przymioty moich aniołów, a oni są posłuszni moim prawom”.

„Tak, Panie, lecz nie umierają. A poza tym przemawiasz do nas, ukazałeś się nam, kochasz nas i pozwalasz widzieć różne rzeczy”

„Nie uważasz, że piękno Stworzenia ujawnia moją światłość przed ludźmi? Nie wydaje ci się, że te dusze, które sam tu sprowadziłeś, nie wyewoluowały z percepcji chwały wszelkiego stworzenia?”

„Mógłbym przyprowadzić ich dużo więcej, Panie, lecz potrzebna mi niewielka pomoc.

Przywiodłem ich w sumie tak mało. Zwierzęta niższego rzędu, Panie, czy potrafią one pojąć to, czego nie mają? Lew zna mięso gazeli, bo na nie poluje i żywi się nim. A ludzkie dusze poznały Wszechmocnego Boga i tęsknią do Niego”.

„Już mi to udowodniłeś — rzekł. — Udowodniłeś to całemu niebu”.

„Ale jest ich tak mało! Panie, gdybyś mógł przyoblec się w materię, stać się człowiekiem z krwi i kości, i zstąpić na ziemię, jak ja to uczyniłem...”

„Uważaj, Memnochu”.

„Nie, Panie, wybaczone, ale nie mogę się powstrzymać, muszę to powiedzieć, bo logika podpowiada mi, że gdybyś zstąpił na ziemię i stał się istotą z krwi i kości, podobnie jak ja, mógłbyś lepiej poznać te istoty, które wydaje Ci się, że znasz, lecz o których wiesz tyle, eonie!”

Bez odpowiedzi.

„Panie, Twoje światło nie przenika ludzkiego ciała. Bierze je mylnie za ciało zwierzęce —

zawsze tak było! Możesz wiedzieć wszystko, Panie, lecz nie w najdrobniejszych szczegółach!

Wiem to, bo w przeciwnym razie nie pozostawiłbyś tych dusz cierpiących w szeolu. I nie

pozwoliłbyś, aby cierpienie mężczyzn i kobiet na Ziemi pozbawione było głębszego znaczenia.

Nie wierzę w to!”

„Memnochu, ja mam w zwyczaju mówić tylko raz. Traktuję cię ulgowo”, rzekł.

„Owszem, tak, ale mylisz się, i jeżeli o to chodzi, także się mylisz, bo wiedz, że ich hymny pochwalne i peany rozbrzmiewałyby po wsze czasy. Te dusze mogłyby przybyć do Ciebie i śpiewać te hymny bez końca”.

„Nie potrzebuję ich hymnów, Memnochu”.

„Czemu więc my wciąż śpiewamy?”

„A czemu właśnie ty, jako jedyny spośród moich aniołów śmiesz mnie oskarżać? Nie ufasz mi. Nie wierzysz we mnie. Dusze które przywiodłeś z szeolu, ufają mi i wierzą we mnie bardziej niż ty! To było kryterium, zgodnie z którym dokonywałeś ich wyboru! Miały ufać i wierzyć w mądrość Bożą”.

„Kiedy przyoblekłem się w ciało, Panie — nie dałem się uciszyć — poznałem coś, co potwierdziło moje wcześniejsze przypuszczenia i potwierdza wszystko, co miałem okazję widzieć od tej pory. Co mam uczynić, Panie, skłamać? Dawać fałszywe świadectwo? Panie mój, stworzywszy ludzkość, osiągnąłeś coś, co nawet Ty nie do końca rozumiesz! Nie może być innego wyjaśnienia, bo gdyby było, oznaczałoby to, że nie ma żadnej Natury ani żadnych praw”.

„Precz mi z oczu, Memnochu. Zstąp na ziemię, trzymaj się z dala ode mnie i nie ingeruj w nic, słyszysz?”

„Spróbuj tego, o czym Ci mówiłem, Panie. Przyoblecz się w ciało i krew, jak ja to uczyniłem.

Ty, który wszystko możesz, stwórz dla siebie ciało...”

„Zamilcz, Memnochu”.

„A jeśli brak Ci odwagi, aby to uczynić, jeśli Stwórca uważa, że niegodnym jest dla Niego poznanie najdrobniejszych cząstek Stworzenia, ucisz, proszę, wszystkie peany ludzi i aniołów!

Ucisz je, skoro jak twierdzisz, nie są Tobie potrzebne, i dopiero wtedy zastanów się, czym jest dla Ciebie dzieło Stworzenia. Odpowiedz sobie, ile ono dla ciebie znaczy!”

„Wypędzam cię, Memnochu! — zagrzmiał Bóg i w okamgnieniu pojawiła się wokół mnie panorama niebios, wszyscy *bene ha elohim*, a wraz z nimi miliony ocalonych dusz, przede mną za stanęli Michał i Rafael, by patrzeć ze zgrozą, jak zostaję siłą wypchnięty za bramę niebios i ciśnięty w wielki wir.

„Nie masz litości dla swego dzieła Stworzenia, Panie! — ryknąłem jak najgłośniej, by zagłuszyć śpiew — ci mężczyźni i kobiety, stworzeni na Twój obraz i podobieństwo, mają prawo Tobą gardzić, ko dla dziewięciu na dziesięciu spośród nich byłoby lepiej, gdyby nigdy się nie narodzili!”

Memnoch przerwał. Zasepił się, marszcząc brwi w nader symetryczny sposób, po czym pochylił głowę, jakby czegoś nasłuchiwał. W końcu powoli odwrócił się do mnie.

Odnalazłem jego spojrzenie.

— Ty tak byś właśnie uczynił, prawda? — zapytał.

— Boże, dopomóż — powiedziałem. — Nie potrafię odpowiedzieć. Po prostu nie wiem.

Krajobraz zmieniał się. Kiedy tak patrzyliśmy na siebie, świat wokół nas wypełniły nowe odgłosy. Uświadomiłem sobie, że w pobliżu znajdują się ludzie, mężczyźni ze stadami kóz i owiec, w oddali zauważyłem mury miasta, nieco wyżej zaś, na szczycie wzgórza, znajdowała się inna, mniejsza osada. Byliśmy w coraz bardziej zaludnianym się świecie, w dawnych czasach, lecz nie tak bardzo odległych od moich czasów.

Wiedziałem, że ci ludzie nie mogą nas zobaczyć ani usłyszeć. Memnoch nie musiał mi tego mówić. Wciąż na mnie patrzył, jakby chciał mnie o coś zapytać, a ja nie wiedziałem, o co.

Staliśmy skąpani w promieniach słońca. Uświadomiłem sobie, że dłonie mam wilgotne od krwawego potu, uniosłem rękę i otarłem pot z czoła, po czym spojrzałem na rozmazaną smugę krwi na wierzchu dłoni. Memnoch roztaczał wokół siebie lekki blask. Wciąż na mnie patrzył.

— Co się stało? — spytałem. — Czemu nic nie mówisz? Co się stało? Dlaczego nie kontynuujesz?

— Wiesz dobrze, co się wydarzyło — odparł. — Spójrz na swoje ubranie. Te powłóczyste szaty są najlepsze na pustynne upały. Chcę, żebyś poszedł tam ze mną, za te wzgórza...

Ruszył powoli, a ja pospieszyłem za nim. Nie ulegało wątpliwości, że znajdowaliśmy się w Ziemi Świętej. Mijaliśmy dziesiątki grupek ludzi, rybaków z pobliskiej wioski i innych, pasących kozy lub owce albo pędzących stada w kierunku niedalekich osad i otoczonych murami miast.

Wszystko wyglądało dziwnie znajomo, niepokojąco znajomo. Wykraczało to poza uczucie déjà vu i sugestie, iż mogłem tu kiedyś mieszkać. Wrażenie było takie jakbym miał ten obraz zapisany gdzieś głęboko w mózgu. Mam tu na myśli wszystko, nawet nagiego mężczyznę o kabłąkowatych nogach, bełkoczącego bez ładu i składu i wrzeszczącego na całe gardło, który minął nas, nie zauważając, podparty na grubej, sękatej lasce.

Wszystko spowijał kurz, ja zaś zacząłem rozpoznawać miejsca, ludzi i wzorce zachowań, które znałem na pamięć — z lektury Pisma Świętego, z ilustracji oraz filmów o tematyce religijnej. Wszystko to — spowite surową, sprażoną słońcem chwałą — było uświęcone jak ta ziemia.

Widzieliśmy ludzi stojących pośród wzgórz, przed jaskiniami, które były ich domami. Tu i ówdzie małe grupki siedziały w cieniu drzew, drzemiąc lub rozmawiając. Od strony otoczonych murami miast płynęło odległe pulsowanie. Powietrze wypełniało się piaskiem. Piach dostał mi się do nosa, przylepiał się do warg i wpadał we włosy.

Memnoch nie miał skrzydeł. Jego szaty były brudne, podobnie jak moje. Szaty chyba były lniane,

lekkie i przewiewne. Grunt, że były długie i nie rzucały się w oczy. Nasza skóra i wygląd się nie zmieniły.

Niebo miało odcień jasnego błękitu, a promienie słońca prażyły mnie bezlitośnie jak każdego innego śmiertelnika. Pot był na przemian przyjemny i nie do zniesienia. Przez moment myślałem, że kiedy indziej mógłbym zachwycić się widokiem słońca, tego cudu, który był zakazany dla dzieci nocy, ale nie zwracałem tym sobie dłużej głowy, bo odkąd ujrzałem światło Boga, blask słońca przestał mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie.

Przeszliśmy przez skaliste wzgórza, wspinając się po stromej ścieżkach, występach skalnych i przytrzymując się karłowatych drzew, aż w końcu w dole pojawiła się olbrzymia połać piaszczystej równiny; piach był gorący i unosił się leniwie pod wpływem podmuchów nie przynoszącego ukojenia wiatru.

Memnoch zatrzymał się u progu tej pustyni, w miejscu, gdzie mieliśmy opuścić twarde grunt, kamienisty i niewygodny, by zejść na miękkie, sypkie piach. Zrównałem się z nim, wcześniej bowiem zostałem nieco w tyle. Objął mnie lewą ręką, zaciskając mocno palce na moim ramieniu.

Ucieszyłem się, że to zrobił, bo nagle poczułem osobliwy niepokój — strach narastał we mnie już od jakiegoś czasu, nieprzyjemne i dojmujące przeczucie, że coś się wydarzy.

— Kiedy mnie wygnał — rzekł Memnoch — udałem się na wędrowną. — Skierował wzrok ku pustyni i tego, co wyglądało jak skaliste klify widoczne w oddali i wrocie jak sama pustynia.

— Włóczyłem się, tak jak ty często wędrowałeś po świecie. Bez skrzydeł, ze złamanym sercem, wałęsałem się od miasta do miasta, poznając różne narody zamieszkujące ziemię, przemierzałem kontynenty i pustkowia. Może kiedyś opowiem ci o tym, jeśli zechcesz. Teraz nie zamierzam o tym mówić, bo nie ma to większego związku z moją historią.

Pozwól, że powiem tylko to, co jest istotne, a mianowicie, że nie odważyłem się zachować widzialnej postaci ani ujawnić się przed ludźmi, lecz raczej ukryłem się wśród nich niewidzialny.

Nie przybrałem ponownie materialnej formy, by znów nie rozgniewać Boga. Nie odważyłem się też nawet w przebraniu przyłączyć do żadnej z ludzkich grup toczących walki za tę czy inną sprawę, z lęku przed Bogiem i przed złem, które mógłbym w ten sposób sprowadzić na ludzkość.

Z tego samego powodu nie zstąpiłem znów do szeolu. Nie chciałem w żaden sposób spotęgować cierpień tamtejszych dusz. Jedynie Bóg mógł je uwolnić. Jaką mogłem dawać im nadzieję?

Mogłem jednak ujrzeć szeol, widziałem jego bezmiar, czułem ból przebywających tam dusz i zastanawiałem się nad nowymi, złożonymi, stale zmieniającymi się wzorcami wynikającymi z niewiedzy i zagubienia, tworzonymi przez śmiertelników, gdy porzucali jedną wiarę, sektę czy wyznanie na rzecz innego, a tej żalosnej domeny mroku.

Wtem przyszła mi do głowy zuchwała myśl — że gdybym przeniknął do szeolu, mógłbym wyszkolić tamtejsze dusze tak gruntownie, że same zdołałyby przetworzyć to miejsce, zappełnić je rzeczami

powstałymi z nadziei, a nie bezradności, i z czasem przeistoczyć je w wielki, bezkresny ogród. Z całą pewnością wybrani, miliony, które zaprowadziłem do nieba, odmieniły swój zakątek szeolu. Gdybym jednak zawiódł i tylko spotęgował cały ten chaos? Nie odważyłem się tego zrobić. Nie miałem odwagi, z lęku przed Bogiem i ze strachu że nie jestem w stanie zrealizować tak śmiałego marzenia.

Podczas moich wędrówek sformułowałem wiele teorii, lecz nie zmieniłem zapatrywań co do moich wierzeń, odczuć lub tego, co powiedziałem w rozmowie z Bogiem. Prawdę mówiąc, często się do Niego modliłem, mimo iż On zachowywał niewzruszone milczenie; mówiłem Mu, jak głęboko wierzę, iż opuścił swoje najwspanialsze dzieło. I niekiedy, gdy byłem naprawdę zmęczony, śpiewałem hymny pochwalne do mego Pana. Kiedy indziej zaś milczałem. Patrzyłem, nasłuchiwałem... obserwowałem...

Memnoch, obserwator, upadły anioł. Nie zdawałem sobie sprawy, że był to zaledwie początek mojego sporu z Wszeczmogącym, Jednak w którymś momencie zapragnąłem powrócić do miejsca, które kiedyś, dawno temu odwiedziłem i gdzie powstały pierwsze miasta ludzi. Ta kraina była dla mnie krainą początku, bo choć pojawiło się wiele narodów, to właśnie tu zaznałem rozkoszy cielesnych z córami człowieczymi. I tu, będąc w ciele z krwi i kości, nauczyłem się czegoś, czego nie wiedział sam Bóg.

Zorientowałem się, w jakich czasach się znalazłem — terenami tymi rządzą Rzymianie, Hebrajczycy popadli w długą i okrutną niewolę, a tutejsze plemiona, zamieszkujące te ziemie od najdawniejszych czasów — i wierzące w Jednego Boga — były uciskane przez wyznawców wielobóstwa, którzy nie traktowali ich mitów poważnie. Plemiona wyznawców Jedynego Boga także były podzielone, niektórzy z Hebrajczyków byli faryzeuszami, inni zaś saduceuszami, jeszcze inni natomiast próbowali tworzyć czyste społeczności w jaskiniach za tymi wzgórzami.

Jeżeli cokolwiek wyróżniało w moim odczuciu tamte czasy — to znaczy odróżniało je od innych — to właśnie potęga imperium rzymskiego, które sięgało dalej niż jakiekolwiek znane mi imperium Zachodu, i zdawało się nie wiedzieć o istnieniu Wielkiego Cesarstwa Chin, jakby nie egzystowały one na jednym i tym samym świecie.

Coś jednak ciągnęło mnie do tego miejsca i doskonale o tym wiedziałem. Wyczułem tu obecność, nie tak silną jak wspomniany zew; wydawało mi się, jakby ktoś w rozpaczę usiłował mnie tu przywołać, lecz nie wykorzystywał w tym celu całej siły swego głosu. Musiałem poszukiwać. Musiałem wędrować. Może to coś wabiło i tropiło mnie jak ja ciebie. Sam nie wiem.

Ale dotarłem tutaj i wkroczyłem do Jerozolimy, przysłuchując się temu, o czym rozmawiali tutejsi mężczyźni.

Mówili o prorokach i świętych mężach z puszczy, o sporach na temat prawa, czystości i woli Bożej. Prawili o świętych księgach i świętych tradycjach. Rozprawiali o mężach, którzy mieli zostać ochrzczeni w falach wód, aby stać się zbawionymi w oczach Boga. Mówili też o człowieku, który niedawno po swoim chrzcie udał się na pustynię, bo w chwili, kiedy wstąpił do rzeki Jordan i fale zamknęły się nad nim, wysoko w górze otwarło się niebo i spłynęła zeń światłość Boża.

Oczywiście opowieści takie jak ta znane były na całym świecie. To nie było nic niezwykłego, ale mnie zafrapowało. To był mój kraj, i odniosłem wrażenie, jakby coś mną kierowało.

Opuściłem Jerozolimę i udałem się na wschód, na pustynię, moje wyczulone anielskie zmysły podpowiadały mi, że gdzieś blisko znajduje się coś tajemniczego, coś, co dotyka świętości w sposób niedostrzegalny dla śmiertelników, lecz oczywisty dla aniołów. Mój rozum to odczuwał i szedłem naprzód przez nieprzerwane pustkowia, w skwarze dnia, bez skrzydeł, wciąż pozostając niewidzialny dla istot ludzkich.

Memnoch pociągnął mnie do siebie i ruszyliśmy przez piach, Ory nie był wcale tak głęboki, jak się wydawał, ale był gorący i pełen małych kamyków. Przemierzaliśmy wąwozy, wspinaliśmy się na zbocza, aż w końcu dotarliśmy do niewielkiej równiny, gdzie znajdował się krąg z kamieni, jakby od czasu do czasu przychodzili tu również inni. Było to równie naturalne, jak to drugie miejsce w którym pozostawaliśmy tak długo.

Kamień milowy na pustyni, a może pomnik ku czci czegoś kóż to wie.

Czekałem z niecierpliwością, aby Memnoch znów podjął swoją opowieść. Mój niepokój narastał. Memnoch zwolnił i w końcu zatrzymaliśmy się o rzut kamieniem od wspomnianego kręgu.

— Zbliżałem się coraz bardziej do tego miejsca — rzekł w końcu — do tych znaczników, które tam widzisz, i moim anielskim wzrokiem, równie wyostrzonym jak twój, dostrzegłem w oddali samotną ludzką sylwetkę, wzrok podpowiedział mi jednak, że nie jest to człowiek, bo wbrew temu, co mogło się wydawać, mężczyzna ten był wypełniony ogniem Bożym. Nie mogłem w to uwierzyć, szedłem dalej, coraz bardziej zbliżając się do niego. Nie mogłem się zatrzymać. W końcu przystanąłem, w tym samym miejscu, co my teraz, i patrzyłem na postać siedzącą na głazie, która teraz uniosła wzrok, by na mnie spojrzeć.

To był Bóg! Nie ulegało wątpliwości. Był przyobleczony w ciało, ciemne, ogorzałe od słońca, z ciemnymi włosami i ciemnymi oczami, jak u ludów pustyni — ale to był Bóg! Mój Bóg!

Siedział tam w tym materialnym ciele, patrząc na mnie ludzkimi oczami i oczami Boga, i dostrzegłem światłość wypełniającą Go i zamkniętą w Nim, ukrytą przed zewnętrznym światem przez Jego ciało, jakby było ono najsilniejszą membraną oddzielającą niebo i ziemię. Jeżeli było coś bardziej przeraźliwego niż to objawienie, to chyba tylko świadomość, że mnie rozpoznał, że czekał na mnie, a ja, patrząc na Niego, poczułem bezgraniczną, bezwarunkową miłość.

Śpiewamy bez końca pieśni miłości. Czy to jedyna pieśń przeznaczona dla całego Stworzenia?

Przyglądałem się ze zgrozą Jego śmiertelnej powłoce, ogorzałemu od słońca ciału, cierpiącemu z głodu pragnienia i gorąca, lecz w Jego udręczonych oczach dostrzegłem spokój, wyczułem obecność Boga Wszchemogącego i ogarnęła mnie nieodparta, nieopisana miłość.

„Widzisz, Memnochu — powiedział Bóg przez usta tego mężczyzny, jego głosem. — Jednak tu przybyłem”.

Padłem przed Nim na twarz. To była instynktowna reakcja. Leżałem tam, wyciągnąłem obie ręce przed siebie i dotknąłem wiązań Jego sandała. Westchnąłem, a moim ciałem wstrząsnęły silne dreszcze, nie doskwierała mi już samotność, poczułem niewysłowioną ulgę, miłość do Boga i satysfakcję, jaka się z nią wiązała. Zaszlocha — łem w głos, płakałem jak dziecko, radując się Jego bliskością, Jego widokiem i zastanawiając się w duchu, co to mogło oznaczać.

„Wstań i usiądź przy mnie — powiedział. — Jestem teraz człowiekiem i Bogiem, ale ogarnia mnie trwoga”. Jego głos był nadzwyczaj poruszający, ludzki, lecz przepełniony mądrością Bożą.

Mówił w języku i z akcentem z Jerozolimy.

„O Boże, cóż mogę uczynić, by złagodzić Twój ból? — spytałem, gdyż ból był oczywisty.

Wstałem. — Co uczyniłeś i dlaczego?”

„Zrobiłem to, do czego mnie podkusiłeś, Memnochu — odparł, a na Jego twarzy pojawił się rozmarzony uśmiech. — Przyoblekłem się w ciało. Tyle że dokonałem tego lepiej. Zrodziłem się ze śmiertelnej kobiety, zasiałem w niej moje ziarno i przez trzydzieści lat żyłem na tej ziemi, przez długi czas powątpiewając — nie, wręcz zapominając i tracąc wiarę — że naprawdę jestem Bogiem!”

„Widzę Cię i poznaję. Ty jesteś Bóg. Mój Pan”, powiedziałem. Jego oblicze było naprawdę niezwykle; to niesamowite ujrzeć Boga pod maską skóry pokrywającej kości Jego czaszki. W

jednej chwili powróciło do mnie odczucie, którego doznałem, gdy ujrzałem Jego oblicze w świetle i zobaczyłem teraz ten sam wyraz na Jego ludzkiej twarzy. Upadłem na kolana „Ty jesteś moim Bogiem”, rzekłem.

„Teraz już to wiem, Memnochu, ale zrozum, że pozwoliłem sobie zatracić się w ciele bez reszty, by o tym zapomnieć, aby, jak o określiłeś, zrozumieć, co to oznacza, jakie cierpienia przeżywają ludzie, czego się lękają, za czym tęsknią i czego mogą się nauczyć, zarówno tu, jak i wyżej. Zrobiłem to, do czego mnie podkusiłeś i uczyniłem to lepiej od ciebie, Memnochu, tak jak to przystało Bogu, aż do najdalszych granic!”

„Panie, trudno mi znieść widok Twego cierpienia — rzuciłem pospiesznie, nie mogąc oderwać od Niego wzroku, a równocześnie marzyłem, bym mógł dać Mu jadło i napitek. — Pozwól, bym otarł Twój pot. Pozwól, bym przyniósł Ci wody. Pozwól, bym przeniósł Cię nad wodą, w okamgnieniu, na sposób aniołów. Pozwól, bym Cię pocieszył, obmył i przyodział w szaty odpowiednie dla Boga Żywego na ziemi”.

„Nie — powiedział. — Kiedyś, gdy sądziłem, że postradałem rozum, kiedy prawie nie pamiętałem, że jestem Bogiem, gdy wiedziałem, że celowo ograniczyłem moją wszechmocną potęgę, by poznać, czym jest niedola, ból i cierpienie, może zdołałbyś mnie do tego przekonać.

Wtedy zapewne przyjąłbym twoją propozycję. Tak, powiedziałbym, uczyni mnie królem. Niechaj się przed nimi ujawnię. Ale nie teraz. Wiem, kim jestem, i wiem, co się wydarzy. I masz rację, Memnochu, w szeolu są dusze gotowe, by wejść do mego Królestwa, i sam je tam wprowadzę.

Dowiedziałem się tego, czego za twoim pokuszeniem miałem się dowiedzieć. Poznałem, co miałem poznać”.

„Panie, Ty konasz z głodu. Cierpisz z pragnienia. Spraw swoją mocą, by te kamienie przemieniły się w chleb, abyś mógł zaspokoić głód. Albo pozwól, bym przyniósł ci najlepsze jądło”.

„Czy choć raz mógłbyś mnie wysłuchać? — zapytał z uśmiechem. — Przestań mówić o jedzeniu i picciu. Kto tu jest człowiekiem. Ja! Mój niesamowity adwersarzu, ty przebiegły diable!

Zamilcz teraz i słuchaj! Przyoblekłem się w ciało. Okaż trochę litości i pozwól, bym powiedział, co mam do powiedzenia”. Zaśmiał się. Jego oblicze przepełniała łagodność i współczucie. „Ty także przyoblecz się w ciało — dodał. — Bądź mi bratem i usiądź przy mnie, jak Syn Boży z Synem Bożym, porozmawiajmy”.

Niewłocznie uczyniłem to, co mi polecił, tworząc dla siebie bez zastanowienia materialne ciało, takie samo, w jakim widzisz mnie teraz, jak gdyby było ono dla mnie właściwym i naturalnym, czymś równie zwykłym jak myślenie, wybrałem dla siebie taką samą szatę : uświadomiłem sobie, że siedzę na skale, u Jego boku. Byłem od Niego wyższy i potężniejszy, gdyż w pośpiechu zapomniałem o zachowaniu ludzkich proporcji, uczyniłem to dopiero teraz, by się z nimi zrównać. W mojej postaci zachowałem wszystkie anielskie przymioty, nie byłem głodny, spragniony ani zmęczony.

Od jak dawna przebywasz na pustyni? — zapytałem. — Mieszkańcy Jerozolimy mówią, że od około czterdziestu dni”. pokiwał głową. „Mniej więcej — odparł. — Już czas, abym rozpoczął

moje nauczanie, które potrwa trzy lata. Zamierzam głosić nauki, których przyswojenie konieczne jest, aby dostąpić wejścia do nieba. Będą one dotyczyć świadomości Stworzenia i zrozumienia jego celowego rozwoju; umiłowania jego piękna oraz praw, które umożliwiają akceptację cierpienia, pozornej niesprawiedliwości i wszelkich postaci bólu; tym wszystkim, którzy to pojmą, obiecuję ostateczną chwałę, dostąpią jej ci, którzy poświęcą swe dusze zrozumieniu Boga i tego, co On uczynił. Będę głosił te prawdy tak mężczyznom, jak i kobietom, i chyba o to ci właśnie chodziło”. Nie odważyłem się odpowiedzieć.

„Miłość, Memnochu, muszę nauczyć się ich miłować, tak jak mi mówiłeś. Muszę nauczyć się miłować, jak to czynią mężczyźni i kobiety. Pokładałem się już z kobietami i poznałem, czym jest ekstaza, owa iskierka rozkoszy, o której mówiłeś z taką emfazą, podczas gdy ja nie potrafiłem wyobrazić sobie, co tracę, nie poznawszy tych doznań. Będę mówił częściej o miłości niż o innych rzeczach. Będę mówił rzeczy, które mężczyźni i kobiety mogą myśleć i pojmować opacznie. Podstawą mego przekazu będzie jednak miłość. Przekonałeś mnie i przekonałem też siebie, że to właśnie ona wywyższa ludzkość ponad zwierzęta, choć przecież ludzie to także zwierzęta”.

„Czy zamierzasz dać im konkretne wskazówki co do tego, mają kochać? Jak położyć kres wojnom i połączyć się w jeden kult...” — odważyłem się zapytać.

„Nie, absolutnie nie. To byłaby absurdalna interwencja, która obróciłaby wniwecz opracowany przeze mnie Wielki Plan. To zahamowałoby dynamikę rozszerzania się wszechświata. Memnochu, jak już wspomniałem, istoty ludzkie są dla mnie elementem Natury, jednak ludzie stoją wyżej aniżeli

zwierzęta. To kwestia stopniowania. To prawda, ludzie krzyczą, odczuwając ból, i są świadomi cierpień, lecz pod wieloma względami zachowują się jak zwierzęta niższych gatunków, i w tym sensie cierpienie ich uszlachetnia, kierując na drogę rozwoju ewolucyjnego. Są dość bystrzy, aby dostrzec jego wartość, podczas gdy zwierzęta instynktownie uczą się unikać cierpienia. Dzięki cierpieniu ludzi można by usprawnić w ciągu zaledwie jednego życia. Jednak ludzie wciąż przynależą do Natury. Świat będzie rozwijał się dalej, jak zawsze, pełen niespodzianek. Niektóre z tych niespodzianek będą przerażające, inne cudowne, jeszcze inne piękne. Wiadomo jednak na pewno, że świat nadal będzie się rozrastał, a dzieło Stworzenia będzie się rozszerzać”.

„Tak, Panie — powiedziałem — lecz z całą pewnością cierpienie jest złe”.

„Czego cię nauczyłem, Memnochu, kiedy po raz pierwszy przyszedłeś do mnie, twierdząc, że śmierć i rozkład są złe? Czy nie rozumiesz wzniosłości kryjącej się w ludzkim cierpieniu?”

„Nie — odrzekłem. — Widzę jedynie zniweczone nadzieje, upadek miłości i rozpad rodziny.

Widzę niepojęty, nieopisany ból. I widzę człowieka, który ugina się pod tym brzemieniem, pozwalając, by ogarnęły go rozgoryczenie i nienawiść”.

„Nie wejrzałeś dostatecznie głęboko, Memnochu. Jesteś tylko aniołem. Nie potrafisz zrozumieć Natury i tak właśnie było, od samego początku. Przynoszę Naturze moje światło.

Przez trzy lata będę wędrował w ciele i nauczałem najważniejszych prawd, które są mi znane i które potrafię wyrazić jako istota z krwi i kosa — A potem umrę”.

„Umrzesz? Ale po co? Co to znaczy, że umrzesz? Twoja dusza opuści...” — przerwałem, niepewnie.

Uśmiechnął się.

„Masz duszę, prawda, Panie? Wszak w tym ciele kryje się mój Bóg, światło wypełnia każdą Jego cząsteczkę... ale... przecież Ty nie masz duszy, prawda? Nie masz ludzkiej duszy!”

„Memnochu, te drobiazgi są bez znaczenia. Jestem Bogiem, Bogiem Wcielonym. Jak mógłbym mieć ludzką duszę? Istotne jest natomiast, że będę w tym ciele, kiedy zostanie ono udreżone torturami i zabite, a moja śmierć będzie świadectwem mojej miłości do wszystkich tych, których stworzyłem i którym pozwoliłem cierpieć najgorsze katusze. Będę dzielić ich ból i poznam ich ból”.

„Proszę, Panie, wybacz mi, lecz cały ten pomysł wydaje mi się chybiony”.

Znów wydawał się rozbawiony. Jego ciemne oczy wypełniły się wesołymi iskierkami.

„Chybiony? Co jest nie tak, Memnochu, w tym, że przyjmę postać Boga konającego na drzewie, którego mężczyźni i kobiety wyobrażali sobie, o którym śnili i śpiewali pieśń od niepamiętnych czasów, umierającego Boga, który symbolizuje nieprzerwany cykl samej natury, czyli że to, co się narodziło, musi kiedyś umrzeć. Umrę, a potem powstanę z martwych, tak jak Bóg z każdego znanego mi, jak po każdej zimie nieodmiennie nastaje wiosna. Będę Bogiem umęczonym i wywyższonym i stanie się to w sensie dosłownym, w Jerozolimie, a nie w formie symbolicznego ceremoniału ani z

udziałem ludzkiego zastępcy. Syn Boży sprawi, że wypełni się mit.

Postanowiłem uświęcić te legendy moją prawdziwą śmiercią. Powstanę z Grobu. Moje zmartwychwstanie potwierdzi odwieczne nadejście wiosny po każdej zimie. Potwierdzi też, że wszystkie istoty, które ewoluują, mają swoje miejsce w Naturze.

Lecz wiedz, Memnochu, że to przez moją śmierć zostanę zapamiętany. Przez moją śmierć.

Będzie ona straszna. Nie zapamiętają mnie przez moje zmartwychwstanie, możesz być tego pewien, gdyż jest to coś, w co wielu prostaków nigdy nie uwierzy, ponieważ nie zobaczy tego na własne oczy. Jednak moja śmierć owocuje potwierdzeniem wszystkich znanych mitów i równocześnie usunie je w cień, ponieważ poprzez śmierć Bóg ofiaruje siebie, by dzięki temu lepiej poznać dzieło Stworzenia. Dokładnie tak jak mi radziłeś”.

„Nie, nie, zaczekaj, Panie, coś tu jest nie tak!”

„Stale zapominasz, do kogo mówisz — rzekł łagodnym tonem, mieszanina człowieka i Boga była dla mnie frapująca i urzekająca gdy tak na Niego patrzyłem, chłonąc Jego piękno i korząc się przed Jego boskością, ale przez cały czas miałem odczucie, że coś jest z tym wszystkim nie tak. — Memnochu, właśnie powiedziałem ci coś, o czym nie wie nikt oprócz mnie — dodał. —

Nie mów do mnie jakbym mógł się mylić. Nie marnuj chwil spędzonych z Synem Bożym! Czy nie możesz uczyć się ode mnie, będącego w ciele tak jak uczyłeś się od śmiertelników? Czy nie mogę cię niczego nauczyć, mój ukochany archaniele. Czemu siedzisz tu i podajesz w wątpliwość moje decyzje? Co ma znaczyć to stwierdzenie, że coś jest nie tak?”

„Nie wiem, Panie, nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Brak mi słów. Po prostu wiem, że to się nie uda. Przede wszystkim, kto będzie Cię torturował, a później zabije?”

„Lud Jeruzalem — odparł. — Wszyscy poczują się urażeni, Hebrajczycy, szorstcy Rzymianie, wszyscy oni uznają za potwarz głoszone przeze mnie przesłanie czystej miłości i tego, czego miłość wymaga od ludzi. Potraktuję z pogardą nauki innych, ich rytuały i prawa. I padnę ofiarą ich aparatu sprawiedliwości. Zostanę winny zdrady stanu, przyznając się do swej boskości, potwierdzając, że jestem Synem Bożym, Bogiem Wcielonym... a za głoszone przesłanie zostanę poddany torturom tak strasznym, że nikt już nigdy o tym nie zapomni; podobnie będzie z moją śmiercią, przez ukrzyżowanie”.

„Przez ukrzyżowanie? Panie, czy widziałeś ludzi umierających w ten sposób? Czy wiesz, jak oni cierpią? Są przybijani do drzewa krzyża i zawisają na nim, duszą się, gdyż słabnąc coraz bardziej nie są w stanie utrzymać całego ciężaru ciała na przybitych gwoździach stopach, aż konają w bólu i okropnych męczarniach.

„Oczywiście, że widziałem. To pospolita forma egzekucji. Brudna i bardzo ludzka”.

„Och, nie, nie! — krzyknąłem. — To niemożliwe! Chyba nie zamierzasz zwieńczyć swoich nauk tak spektakularną porażką i okrutną egzekucją!”

„Nie traktowałbym tego jako porażki! — powiedział. — Memnochu, zostanę uznany za męczennika moich nauk i przekonań. Umrę za to, czego nauczałem! Od zarania dziejów ludzie składali Bogu krwawe ofiary z baranka. Instynktownie oddawali Bogu to, co miało dla nich największą wartość, by okazać Mu swoją miłość. Kto wie to lepiej niż ty, który oglądałeś ich ołtarze, słuchałeś ich modłów i namawiałeś mnie, abym i ja ich wysłuchał! Ofiara i miłość są w tych modlitwach nierozzerwalnie związane”.

„Panie, oni składali ofiary ze strachu! To nie ma nic wspólnego z miłością do Boga, prawda?”

A wszystkie te ofiary? Dzieci składane w ofierze Baalowi i setki innych plugawych rytuałów odprawianych na całym świecie. Robią to ze strachu! Czemu miłość miałaby domagać się ofiary?” Przyłożyłem dłoń do ust. Nie potrafiłem dłużej wyszukiwać argumentów. Byłem przerażony. Zdruzgotany. Przytłoczony tym, co usłyszałem. Wreszcie, odezwałem się, myśląc na głos: „To wszystko nie tak, Panie. To, że Bóg ma zostać w ludzkiej postaci tak okrutnie upokorzony, jest samo w sobie nie do pomyślenia. Ale że ludziom zezwala się, by potraktowali Boga w ten sposób... czy będą wiedzieć, co czynią, czy będą mieć świadomość, że jesteś Bogiem? Przecież nie mogliby... Boże, to będzie musiało się stać w zamęcie i niezrozumieniu.

To oznacza chaos, Panie! Ciemność!”

„Oczywiście — odparł. — Kto przy zdrowych zmysłach mógłby ukrzyżować Syna Bożego?”

„Co zatem to znaczy?”

„To znaczy, Memnochu, że ofiarowuję się ludziom z miłości do tych, którzy są moim dziełem.

Mam cielesną postać, Memnochu, noszę tę powłokę od trzydziestu lat. Czy zechciałbyś wyjaśnić mi swoje stanowisko?”

„Umrzeć w taki sposób, Panie, to moim zdaniem zły pomysł. To brutalna śmierć, krwawy i okrutny przykład ofiary dla całej rasy ludzkiej! I powiadasz, że właśnie za to cię zapamiętają?”

Jeszcze lepiej niż za to, że powstaniesz z martwych, kiedy światło Boże wypłynie z Twego cudnego ciała, usuwając wszelki ból i cierpienie?”

„Światłość nie wypłynie z tego ciała — odparł. — To ciało umrze. Poznam śmierć. Wejdę do szeolu i przez trzy dni pozostanę z umarłymi, później zaś powrócę do tego ciała i powstanę z martwych. I tak to przez moją śmierć zostanę zapamiętany, bo jak mógłbym powstać z martwych, gdybym pierwej nie umarł?”

„Nie czyn tego! — rzuciłem błagalnie. — Ani jednego, ani drugiego. Proszę Cię! Nie składaj siebie w ofierze! Nie łącz Twojej osoby z ich krwawymi, jakże myłącymi rytuałami. Panie, czy czułeś kiedyś smród, jaki otacza ołtarze ofiarne? Tak, mówiłem nieraz, byś wysłuchał ich modlitw, ale nie oznacza to, że chciałem, byś zstępował z wysokości, aby poczuć smród krwi martwego zwierzęcia albo ujrzeć wyraz paniki w jego oczach, gdy kapłan podrzyna mu gardło!

Widziałeś dzieci ciskane w ogień na cześć Baala?”

„Memnoch, taka jest droga do Pana, którą ludzkość sama sobie wytyczyła. Na całym świecie śpiewa się mity o jednakowej treści”.

„Owszem, ale to dlatego, że nigdy nie interweniowałeś, by to zatrzymać. Pozwoliłeś, by tak to się toczyło, ludzie zaś obejrzeli się z trwogą wstecz, na swych zwierzęcych przodków, i dostrzegli w nich własną śmiertelność, a co za tym idzie, podjęli próbę przebłagania Boga, który ich opuścił i zostawił samym sobie. On poszukują sensu i celu, lecz w tym, co planujesz, z pewnością ich nie znajdą. Absolutnie nie”.

Spojrzał na mnie, jakbym postradał rozum. Przyglądał mi się w milczeniu. „Rozczarowujesz mnie — rzekł łagodnym, cichy tonem. — Ranisz mnie, Memnoch, rozdzierasz mi ludzkie serce.

Wyciągnął rękę i dotknął szorstkimi palcami mojej twarzy; miał spracowane dłonie człowieka, który imał się w życiu ciężkiej pracy, ja zaś podczas swej krótkiej wizyty na ziemi unikałem takich zajęć. Zamknąłem oczy. Milczałem. I wtedy coś mi zaświtało! Jak objawienie, iluminacja, świadomość wszystkiego, co było mylne, niewłaściwe i złe, ale czy potrafiłem dowieść swoich racji? Czy potrafiłem wyrazić to w słowach?

Znów otworzyłem oczy, pozwalając, by mnie przytrzymał. Czuję Jego szorstkie palce, odciski na dłoniach, patrzyłem na Jego wychudłe, wymizerowane oblicze. Jakże się wycieńczył, jak bardzo cierpiał na tej pustyni i jak ciężko pracował przez te trzydzieści lat! Och, nie, to było złe!

„Cóż jest takie złe, mój archaniele?” — zapytał z nieskończoną cierpliwością i ludzką konsternacją.

„Panie, oni wybrali te rytuały, które łączą się z cierpieniem, ponieważ nie potrafią uniknąć cierpienia w naturalnym świecie. To naturalny świat należałoby zmienić! Czemu wszyscy muszą cierpieć, tak jak cierpią ludzie? Panie, ich dusze trafiają do szeolu spaczone, poskręcane bólem, szerniałe na węgiel od niedoli, bólu i cierpienia oraz przemocy, jakiej były świadkami. Cierpienie jest złem tego świata. Cierpienie to rozkład i śmierć. To straszne, Panie. Chyba nie wierzysz, że takie cierpienie mogłoby komukolwiek wyjść na dobre. To cierpienie, ból, krew, świadomość kresu muszą zostać zlikwidowane na tym świecie, jeżeli ktokolwiek ma dostąpić zaszczytu ujrzenia Boga!”

Nie odpowiedział. Opuścił ręce. „Mój aniele — odezwał się w końcu — teraz, gdy mam w piersi ludzkie serce, miłuję cię jeszcze bardziej. Jakże jesteś prostoduszny! I jaki obcy dla bezmiaru materialnego Stworzenia”.

„Ale przecież to ja nakłaniałem Cię, abys zstąpił na ziemię! Jak mogę być obcy? Jestem obserwatorem! Widzę to, na co inni aniołowie nie odważą się spojrzeć, w obawie, że mogliby wybuchnąć łzami i że mógłbyś się przez to na nich rozgniewać”.

„Memnoch, ty po prostu nie masz pojęcia o ciele. Nic o nim nie wiesz. Ta koncepcja cię przerasta. Co twoim zdaniem nauczyło te dusze, które wyprowadziłeś z szeolu, co doprowadziło je do perfekcji? Czy nie cierpienie właśnie? Tak, może docierają tam poskręcane i zdeformowane, jeżeli nie były w stanie wejrzeć ponad ziemskie cierpienie, niektóre rzeczywiście mogą wpaść w rozpacz i zniknąć zupełnie. Ale w szeolu przez stulecia cierpienia i tęsknoty inne dusze dostępują oczyszczenia.

Memnochu, życie i śmierć są częścią cyklu, cierpienie zaś stanowi swoisty produkt uboczny Ludzka zdolność do jego poznania i zgłębienia nie ma sobie równych!

Te dusze, które przywiodłeś z szeolu, wiedziały o tym nauczyły się akceptować jego piękno i właśnie to uczyniło je godnymi przestąpić bramy niebios!”

„Nie, Panie, to nieprawda! — rzekłem. — Źle to pojąłeś. Pomyliłeś się. Całkowicie. Już rozumiem, co się stało”.

„Doprawdy? Co mi chcesz zasugerować? Ze ja, Pan Bóg, spędziwszy trzydzieści lat w ludzkim ciele, nie zdołałem dotrzeć do prawdy?”

„Właśnie tak! Przez cały czas wiedziałeś, że jesteś Bogiem. Wspomniałeś o okresach, kiedy wydawało Ci się, że postradałeś rozum albo prawie zapomniałeś, ale trwały one krótko! Zbyt krótko! A teraz, kiedy planujesz swoją śmierć, wiesz, kim jesteś, i nie zapomnisz o tym, prawda?”

„Nie. Nie zapominam. Muszę być Synem Boga Wcielonego, by spełnić moją misję i by czynić cuda, rzecz jasna. Na tym to wszystko polega”.

„Wobec tego, Panie, nie wiesz, co to oznacza być w ciele!”

„Jak śmiesz tak mówić, Memnochu!”

„Kiedy pozostawiłeś mnie w materialnym ciele, kiedy straciłeś mnie na ziemię, by córy człowiecze zajęły się mną i zadbały o mój powrót do zdrowia, we wczesnych wiekach tej właśnie krainy, we wiedziałem, czy zechcesz przyjąć mnie na powrót do nieba. Niczego mi nie obiecywałeś. Ty wiesz doskonale, że wrócisz, powrócisz do Królestwa Niebieskiego, by znów być Bogiem!”

„A kto lepiej niż ja może wiedzieć, co czuje to ciało?” — rzekł oschle.

„Ktoś, kto nie ma pełnej świadomości, że jest nieśmiertelnym stwórcą wszechświata —

powiedziałem. — Każdy śmiertelnik wiszący na krzyżu na Golgocie pod Jerozolimą wie o tym lepiej niż Ty!”

Jego oczy rozszerzyły się, gdy na mnie spojrzał, ale nie zaproponował. Jego milczenie doprowadziło mnie do szału. I znów moc Tego spojrzenia, światłość Boga zamknięta w człowieku, oślepiła mnie i oszołomiła do tego stopnia, że jako anioł zapragnąłem rzucić Mu się bez słowa do stóp! Nie zrobiłem tego jednak!

„Panie, nawet kiedy wstąpiłem do szeolu — powiedziałem — nie wiedziałem, czy kiedykolwiek zdołam powrócić do niebios. Nie rozumiesz? Nie twierdzę, że pojmuję wszystko jak Ty. W przeciwnym razie nie rozmawialibyśmy tu i teraz. Nie obiecałeś mi jednak, że pozwolisz na powrót do nieba, rozumiesz? Cierpienie i mrok przemawiały do mnie bardziej i uczyłem się od nich, ponieważ podjąłem ryzyko, któremu mogłem nie podołać. Nie rozumiesz tego?”

Zastanawiał się nad tym przez dłuższą chwilę, aż w końcu ze smutkiem pokręcił głową.

„Memnochu, to ty nie rozumiesz. Ludzkość jest bliżej Boga niż kiedykolwiek, właśnie wtedy gdy cierpi z miłości dla innego, kiedy umiera, by inny mógł żyć, kiedy rzuca się w szpony śmierci, by chronić swoich bliskich albo bronić prawd o życiu, których nauczyło ją dzieło Stworzenia!”

„Świat nie potrzebuje tego wszystkiego, Panie! Nie, nie, nie. Nie potrzebuje krwi, cierpienia, wojen. Nie one uczą ludzi miłować! Zwierzęta mordują się wzajemnie. Ludzkość natomiast uczyła się ciepła i miłowania się wzajemnie, wyrażania uczuć wobec dzieci i najbliższych, czułości w ramionach ukochanej osoby, pojmowania cierpienia innych i chęci do stawania w ich obronie, wyzwolenia się od pierwotnych instynktów i zwierzęcej dzikości, tworzenia rodzin, klanów i szczepów, które z założenia miały oznaczać pokój i bezpieczeństwo dla wszystkich”.

Zapanowała długa cisza. W końcu Bóg zaśmiał się delikatnie. „Memnochu, aniele mój. Tego, co wiesz o życiu, nauczyłeś się na Posłaniu”.

Milczałem przez chwilę. Komentarz był przesycony pogardą i humorem. Wreszcie znów się odezwałem: „To prawda, Panie Cierpienie jest dla ludzi czymś naprawdę strasznym, niesprawiedliwością tak niepojętą, że może ona zagrozić ich umysłom, zachwiać ich równowagę i obrócić wniwecz to wszystko, czego nauczyli się na posłaniu, choć wiedza ta jest z pewnością cudowna i wspaniała!”

„Och, kiedy miłość osiąga się dzięki cierpieniu, zyskuje ona moc, której nigdy nie zdobyłaby za sprawą niewinności”.

„Czemu to powiedziałeś? Nie wierzę w to! Wciąż uważam, że opacznie to pojmujesz!

Posłuchaj mnie, Panie. Jest jeden sposób abym potwierdził swoją tezę. To jedyna szansa”.

„Jeżeli wydaje ci się, że zdołasz zaingerować w moje nauki i moją ofiarę, jeżeli sądzisz, że uda ci się zahamować bieg wypadków prowadzących do tego wielkiego wydarzenia, to nie jesteś już aniołem, lecz demonem!” — powiedział.

„Nie proszę o to — rzekłem. — Zrób, co zaplanowałeś. Głoś swoje nauki, wywołaj wzburzenie wśród ludu. Niech Cię aresztują, osądzą i stracą na krzyżu. Uczyń to wszystko. Ale zrób to jako człowiek!”

„Taki mam zamiar”.

„Nie, przez cały czas będziesz wiedział, że jesteś Bogiem. Powiadam Ci, zapomnij, że jesteś Bogiem! Pogrzeb swą boskość w ciele, tak jak to czyniłeś od czasu do czasu. Pogrzeb ją, Panie, pozostawiając sobie wyłącznie wiarę w niebo, jakbyś pozyskał ją za sprawą niewysłowionego, bezsprzecznego objawienia. Pozostaw na tej pustyni absolutną pewność, że jesteś Bogiem. A potem poznaj cierpienie jak każdy zwykły śmiertelnik. Wówczas poznasz je dogłębnie; tak jak tego pragniesz. Cierpienie zostanie odarte z wszelkiej chwały! Przekonasz się, co czują ludzie, gdy ich ciało jest rozrywane do kości, gdy z ran płynie krew i jest to Twoja własna krew. To brud!”

„Memnochu, ludzie umierają na Golgocie każdego dnia — Istotne jest to, że Syn Boży świadomie

umrze na Golgocie w ciele człowieka”.

„Och, nie, nie — zawołałem. — To kompletna pomyłka!”

Nagle zasmucił się tak bardzo, że przez chwilę spodziewałem się, że się rozplacze. Usta miał spieczone, wargi popękane. Dłonie tak wychudzone, że przez skórę widać było żyły. Nie wyglądał imponująco, nawet jak na człowieka, lata ciężkiej pracy srodze Go doświadczyły.

„Spójrz na siebie — rzuciłem — jesteś głodny, spragniony, cierpiący, zmęczony, zagubiony w mrokach życia, przejawach prawdziwego, spontanicznego zła natury i marzysz o chwale, kiedy opuścisz to ciało! Czego możesz się nauczyć z takiego cierpienia? I kogo pozostawisz z poczuciem winy za Twoją śmierć? Co stanie się z tymi wszystkimi śmiertelnikami, którzy się Ciebie wyprą? Nie, Panie, posłuchaj mnie, proszę. Jeżeli nie porzucisz swej boskości, to proszę, zrezygnuj ze swoich planów. Nie rób tego.

Nie umieraj. A przede wszystkim nie pozwól, aby cię stracono — nie pozwól, byś zawisł na drzewie jak bóg lasu z greckich mitów. Pójdź ze mną do Jerozolimy, poznaj uroki kobiet, czar wina, śpiewu, tańca i poczucie szczęścia czerpane z narodzin potomstwa oraz te wszystkie radości, które umie pojąć i wyrazić ludzkie serce! Panie, są takie chwile, kiedy najtwardsi z mężów, trzymając na rękach niemowlę, ich własne dziecko, odczuwają tak wielkie szczęście, spełnienie i satysfakcję, że żaden koszmar na ziemi nie jest w stanie zmącić przepelniającego ich spokoju. Oto jest bezmiar ludzkiego zrozumienia i miłości! Kiedy ktoś potrafi osiągnąć harmonię wbrew wszystkiemu, a mężczyźni i kobiety umieją tego dokonać, Panie. Naprawdę. Pójdź, zatańcz ze swoim ludem. Śpiewaj z nim. Ucztuj z nim. Weź w ramiona kobiety i mężczyzn i poznaj z nimi urok uciech cielesnych!”

„Żal mi ciebie, Memnochu — odparł. — Żal mi ciebie, jak żal mi śmiertelników, którzy mnie zabijają, oraz tych, co opacznie pojmują moje prawa. Ale śnię o tych, których moje cierpienie dotknie do żywego, którzy nigdy o tym nie zapomną i rozumieją, jak wielce miłuję śmiertelników, skoro zdecydowałem się umrzeć pośród nich, zanim otworzą się bramy szeolu.

Żal mi ciebie. Biorąc pod uwagę twoje odczucia i przekonania, uważam, że poczucie winy okaże się dla ciebie brzemieniem nie do zniesienia”.

„Poczucie winy? O czym Ty mówisz?”

„Ty jesteś przyczyną tego wszystkiego, Memnochu. To ty powiedziałeś, że powinienem zstąpić na ziemię i przyoblec się w ciało. Ty mnie do tego nakłoniłeś, sprowokowałeś, podkusiłeś, a teraz nie umiesz pojąć cudowności mojej ofiary. A kiedy to pojmiesz, kiedy zobaczysz wstępujące do nieba dusze uszlachetnione cierpieniem co wówczas pomyślisz o swoich mało istotnych, banalnych wręcz odkryciach dokonanych w ramionach cór człowieczych?

Co wtedy pomyślisz? Nie rozumiesz? Zamierzam odkupić cierpienie, Memnochu! Przydam mu największego, najważniejszego potencjału w całym cyklu! Sprawię, że cierpienie wyda owoce. I pozwolę, by zaczęło śpiewać swoją własną, cudowną pieśń!”

„Nie, nie, nie — wstałem i zawołałem do Niego. — Panie, zrób, o co proszę. Uczyń, co sobie zamierzyłeś, skoro to konieczne, dostąp cudu za sprawą własnej śmierci, zrób to po swojemu, jeśli taka jest Twoja wola, ale porzuć przekonanie o swej boskości, abys mógł naprawdę umrzeć i poznać, czym jest śmierć, Boże, abys kiedy przebijał Ci dłonie i stopy gwoździami, mógł poczuć to, co czuje śmiertelnik i nic więcej, a kiedy wstąpisz w mroki szeolu, aby dusza Twoja była duszą człowieczą. Proszę Cię, Boże. Błagam Cię. W imię całej ludzkości. Nie potrafię ujrzeć przyszłości, ale nigdy jeszcze nie lękałem się o nią tak jak teraz”.

Memnoch przerwał. Staliśmy samotnie na piasku, Memnoch patrzył w dal, a ja stałem obok niego, rozdygotany.

— Nie uczynił tego, prawda? — spytałem. — Bóg umarł, wiedząc, że jest Bogiem. Umarł i powstał, przez cały czas wiedząc, kim jest. Świat spiera się o to, dyskutuje i zastanawia się nad tym, ale On wiedział. Kiedy przebijali Mu dłonie gwoździami, wiedział, że jest. Bogiem.

— Tak — odrzekł Memnoch. — Był człowiekiem, ale nigdy nie zatracił w sobie mocy Bożej.

Nagle coś zwróciło moją uwagę. Memnoch wydawał się zbyt wstrząśnięty, aby powiedzieć coś więcej. W krajobrazie coś się zmieniło. Spojrzałem w stronę kamiennego kręgu i ujrzałem siedzącą w nim postać, sylwetkę ciemnoskórego, ciemnookiego mężczyzny, wychudzonego, wymizerowanego, zakurzonego, patrzącego na nas. I choć przyobleczony w ludzkie ciało, był on z całą pewnością Bogiem.

Zamarłem. Kompletnie się zagubiłem. Nie wiedziałem, gdzie jest przód, gdzie tył, gdzie prawa i lewa strona. Zamarłem, ale nie byłem przerażony, a ten człowiek, ten ciemnooki po prostu na nas patrzył z niezwykłą łagodnością i spokojem. Z taką samą łagodnością i życzliwością patrzył na nas, gdy ujrzałem Go w niebie, kiedy odwrócił się i wziął mnie w ramiona.

Syn Boży.

— Podejdz tu, Lestacie — zawołał półgłosem, pośród szumu pustynnego wiatru. — Zbliż się.

Spojrzałem na Memnocha. Memnoch także na Niego patrzył i uśmiechał się gorzko.

— To dobra myśl, Lestacie. Niezależnie od tego, jak On się zachowuje, należy zawsze robić to, co karze.

Błuznierstwo. Odwróciłem się rozdygotany.

Podszedłem do postaci, odliczając każdy krok na sypkim piachu, ciemna, chuda sylwetka była widoczna coraz wyraźniej — miałem przed sobą zmęczonego, cierpiącego mężczyznę. Upadłem przed Nim na kolana i spojrzałem na Niego.

— Bóg Żywy — wyszeptałem.

— Chcę, żebyś poszedł do Jerozolimy — rzekł. Wyciągnął rękę i pogłaskał mnie po włosach.

Jego dłoń była dokładnie taka, jak ją opisał Memnoch: — sucha, szorstka, pokryta odciskami i pociemniała od słońca jak Jego oblicze. Głos oscylował pomiędzy normalnym a podniosłym, tembr miał wyższy niż aniołowie. To był ten sam głos, który usłyszałem w niebie, lecz tym razem płynął z ust człowieka.

Nie byłem w stanie odpowiedzieć. Nie mogłem nic zrobić, siedziałem, że nic nie zrobię, dopóki nie dostanę konkretnego polecenia. Memnoch stanął z boku i splatając ramiona, obserwował z uwagą. A ja klęknąłem, patrząc w oczy Boga Wcielonego i klęczałem samotnie.

— Pójdź do Jerozolimy — powiedział. — To nie zajmie ci wiele czasu, zaledwie parę chwil, ale udaj się do Jerozolimy z Memnochem w dzień mojej śmierci i bądź świadkiem mojej Pasji —

zobacz jak nakładają mi na głowę koronę cierniową i jak dźwigam swój krzyż. Zrób to dla mnie, zanim podejmiesz ostateczną decyzję czy chcesz służyć Memnochowi czy może Bogu.

Każda cząstka mnie wiedziała, że nie mogę tego zrobić. Nie zniósłbym tego! Nie mógłbym na to patrzeć! Nic z tego. Byłem jak sparaliżowany! Nieposłuszeństwo, bluźnierstwo nie wchodziły w tym przypadku w rachubę. Nie mogłem nawet o tym myśleć! Patrzyłem na Niego, na Jego ogorzałe oblicze, łagodne, pełne miłości oczy, drobinki piasku przyklepione do Jego policzka.

Włosy miał w nieładzie, rozwiane wiatrem, falujące.

— Nie! Nie mogę tego zrobić! Nie zniósłbym tego!

— Ależ możesz. I zniesiesz — rzekł uspokajającym tonem. — Lestacie, mój dzielny wysłanniku śmierci, który odebrałeś życie tak wielu. Czy mógłbyś powrócić na ziemię, nie zobaczywszy choć przez mgnienie oka tego, co ci oferuję? Czy naprawdę mógłbyś odpuścić sobie scenę nakładania mi na głowę korony cierniowej? Nie pamiętam, byś kiedykolwiek przepuścił jakąś okazję, a taka jak ta już się więcej nie powtórzy. Nie zrezygnujesz z tego, nawet gdyby Memnoch próbował cię od tego odwieść.

Wiedziałem, że ma rację. I wiedziałem, że tego nie zniosę. Nie mogłem udać się do Jerozolimy, aby ujrzeć, jak Chrystus dźwiga swój Krzyż. Nic z tego. Nie dam rady. Nie mam dość sił. Milczałem. Natłok myśli sprawił, że miałem w głowie mętlik i wciąż czułem się jak sparaliżowany.

— Czy mogę być tego świadkiem? — spytałem.

Zamknął oczy! A potem otworzyłem je i znów na Niego spojrzałem, a ta że na Memnocha, który podszedł bliżej i posłał mi przenikliwe, lodowate spojrzenie, zimne, jak mogło wydawać się jego oblicze, które jednak wcale takie nie było. Twarz Memnocha przepełniała surowa powaga i spokój.

— Memnoch — rzekł Bóg Żywy — zaprowadź go, wskaż mu drogę i pozwól, by choć przez chwilę był tego świadkiem. Ty bądź jego przewodnikiem, a potem będziesz mógł kontynuować swoje badania i wygłosić apelację.

Spojrzał na mnie. Uśmiechnął się. Jakże kruchą powłokę wybrał dla siebie Stwórca Wszechwieczny. Postać mężczyzny z brzdami wokół oczu od silnego słońca, ze zniszczonymi zębami — postać

mężczyzny.

— Pamiętaj, Lestacie — rzekł do mnie Bóg. — To tylko świat. A ty znasz świat. Szeol czeka.

Widziałeś świat i niebo, ale nie miałeś okazji zobaczyć, jak wygląda piekło.

18

Znajdowaliśmy się w mieście, mieście z ciemnobrązowych i wyblakłych żółtych kamieni oraz gliny. Upłynęły trzy lata. Musiało tak być. Wiedziałem tylko, że znaleźliśmy się wśród ogromnego tłumu ludzi, w wytwornych szatach, kwefach i łachmanach, że czułem woń ludzkiego potu, gorących oddechów, ludzkich nieczystości i wielbłądziego łajna i że choć nikt nie zwracał

na nas uwagi, wciąż czułem na sobie napór stłoczonej ludzkiej ciżby, niedomytych męskich ciał

popychających i ocierających się o mnie, a piasek unosił się w powietrzu pośród tych miejskich murów i na wąskich ulicach tak jak na otwartej pustyni.

Ludzie tłoczyli się przy niewielkich, zaokrąglonych wejściach i wyglądali z okien. Sadza mieszała się z wszechobecnym piachem. Kobiety, mijając nas, poprawiały na głowach zasłaniające pół twarzy kwefy. Gdzieś z przodu dochodziły krzyki i wrzaski. Wtem uświadomiłem sobie, że tłum wokół nas zgęstniał na tyle, iż nie jestem w stanie się ruszyć.

Rozpaczliwie zacząłem wypatrywać Memnocha.

Był tuż obok mnie, obserwując wszystko ze spokojem. Żaden z nas nie promieniał

nadnaturalnym blaskiem wśród tych brudnych, obszarpanych ludzi, typowych przedstawicieli tamtych surowych, dawnych czasów.

— Nie chcę tego! — powiedziałem, zapierając się piętami ze wszystkich sił i stawiając opór popychającemu mnie tłumowi. — Chyba nie dam rady. Nie mogę na to patrzeć, Memnochu, nie chcę, by mnie do tego zmuszano... Nie chcę iść dalej. „u mnie, Memnochu!

— Cicho — rzekł sarkastycznie. — Jesteśmy już blisko miejsca, Obok którego będzie przechodził.

Obejmując mnie lewą ręką i przyciskając do siebie, zaczął się przepychać przez ciżbę, robiąc to, zdawałoby się, bez najmniejszego wysiłku, aż dotarliśmy do granicy tłumu, stojącego wzdłuż szerokiej alei, przez którą szła procesja. Okrzyki były ogłuszające. Rzymscy żołdacy minęli nas, ich szaty były utyłane ziemią, na twarzach malowało się znużenie i posepność. Po drugiej stronie alei piękna kobieta z włosami ukrytymi pod długą, białą chustą dramatycznym gestem wyrzuciła obie ręce w górę i krzyknęła przeraźliwie. Patrzyła na Syna Bożego. Właśnie się pojawił.

Najpierw ujrzałem potężną, masywną belkę krzyża, którą dźwigał na ramionach, i Jego dłonie, przywiązane do belki, zwieszające się z lin, ociekające krwią. Miał pochyloną głowę, brązowe włosy zmierzwiłone i brudne; na głowę nałożono Mu toporną cierniową koronę; gapie stali pod ścianami po obu stronach ulicy; jedni szydzili z Niego, inni milczeli. Miał akurat tyle miejsca, aby

przejsć ze swoim brzemieniem, i brnął, noga za nogą, w podartych szatach i z posiniaczonymi, krwawiącymi kolanami. Woń uryny, płynąca od strony pobliskich murów dławiała w gardle.

Sunął z mozołem w naszą stronę, z pochyloną głową, tak że nie było widać twarzy, i nagle upadł, uderzając kolanem o bruk. Z tyłu, za Nim, dostrzegłem innych, niosących pionową belkę Krzyża, która zostanie później wkopana w ziemię.

Żołdacy, którzy szli obok Niego, natychmiast podźwignęli Go na nogi. Poprawili belkę na Jego ramionach. Wtedy też zobaczyłem Jego twarz, z odległości niespełna trzech stóp, On też na nas popatrzył. Twarz miał ogorzałą, policzki zapadnięte, usta otwarte i drżące, ciemne oczy zognioniałe i wpatrzone w nas, ale w Jego spojrzeniu nie było wyrazu, brakowało w nim żaru.

Krew spływała Mu z czoła, z ran od długich cierni wbitych w skórę, wąskie strużki ściekały Mu do oczu i po policzkach. Tors pod rozdartym łachmanem, który miał na sobie, był nagi, pokryty nabrzmiałymi, czerwonymi pręgami od biczowania!

— Mój Boże! — Znów się załamałem; Memnoch podtrzymał mnie, gdy obaj spojrzeliśmy w twarz Boga.

A tłum, cóż, tłum wciąż złorzeczył i wrzeszczał, szydził i pokrzykiwał, przez cały czas falując; małe dzieci przeciskały się, by się lepiej przyjrzeć, kobiety zawodziły na cały głos. Inni śmiali się, zwarta, cuchnąca, plugawa tłuszcza stojąca w słońcu, którego promienie padały na cuchnące moczem mury!

Podszedł bliżej! Czy nas rozpoznał? Dygotał w męce, krew spłynęła po Jego twarzy, do drżących warg. Jęknął, jakby się dusił a ja spostrzegłem, że szata na Jego ramionach jest przesiąknięta krwią od plag, jakie otrzymał. Nie był w stanie dłużej tego wytrzymać, ale żołdacy popychali Go brutalnie. Stał dokładnie na wprost nas, spuszczać wzrok, z twarzą mokrą od krwi i potu, po czym odwrócił się powoli i spojrzał na mnie.

Szlochałem. Nie mogłem się powstrzymać. Czego byłem świadkiem? Niewysłowionej brutalności, niezależnie od czasu i miejsca, która w połączeniu z zapamiętanymi legendami z dzieciństwa nabrała całkiem nowego, groteskowego wyrazu. Poczulem woń krwi. Czułem ją wyraźnie. Poczul ją tkwiący we mnie wampir. Usłyszałem własny szloch i wzniosłem obie ręce w górę.

— Boże Mój!

Cały świat spowiała cisza. Ludzie krzyczeli i przepychali się, ale nie w tym świecie, w którym byliśmy. On stał tam, patrząc na mnie i Memnocha, poza czasem, i wykorzystał tę chwilę w pełni, by chłonać własne cierpienie, a przy okazji przyglądał się nam obu.

— Lestacie — powiedział głosem tak drżącym i łamiącym się, że ledwie go usłyszałem —

chcesz jej skosztować, prawda?

— O czym mówisz, Panie? — zawołałem przez łyzy.

— O krwi. Skosztuj jej. Skosztuj Krwi Chrystusa. — Na Jego ustach pojawił się przeraźliwy

uśmiech rezygnacji, nieomal grymas, Jego ciałem, obciążonym masywną belką, wstrząsanej silne dreszcze, a przy każdym oddechu z ran na twarzy i czole spływały świeże strużki krwi, pręgi na piersi nabrzmiały i ta zaczęły krwawić.

— Nie, Panie mój! — zawołałem i wyciągnąłem do Niego ręce, dotknąłem Jego wątlých, wychudzonych ramion, przywiązanych do belki, tych udręczonych, chudych ramion wystających z rozdartych rękawów szaty, i nagle ujrzałem przed sobą lśniące strużki krwi.

— Krew Boga, Lestacie — wyszeptał. — Pomyśl o krwi wszystkich ludzi, której miałeś okazję zakosztować. Czy moja krew nie jest ciebie godna? Boisz się?

Szlochając, ująłem Go obiema rękoma za szyję, a potem moje usta rozwarły się bez najmniejszego oporu, a kły przebiły Jego skórę. Usłyszałem Jego jęk rozbrzmiewający długim echem, które dziwnie przybrało na sile i wypełniło sobą cały świat, po czym struga krwi spłynęła do moich ust.

Krzyż, gwoździe wbite w Jego przeguby, a nie dłonie, Jego ciało wijące się i szamoczące, jakby w tych ostatnich chwilach próbował uciec, głowa raz po raz uderzająca o drewno, ciernie coraz głębiej wbijające się w Jego skórę, potem gwoździe wbijane w Jego stopy, Jego oczy wywracające się w oczodołach, dudnienie drewnianego młota, a później światło, oślepiające światło przybierające na sile, jak wówczas gdy wyłoniło się zza balustrady w niebiosach, wypełniające cały świat i unicestwiające nawet tę ciepłą, smakowitą, rozkoszną krew, którą wypilem. Światło, a raczej światłość, a wewnątrz postać na Jego obraz i podobieństwo! Światło wycofało się, błyskawicznie, bezgłośnie, pozostawiając po sobie długi tunel albo ścieżkę, i pojąłem, że ścieżka ta wiodła prosto z ziemi do światła.

Ból! Światło zniknęło. Rozdzielenie z nim było niewysłowionym cierpieniem! Szybki, krótki cios przeszył całe moje ciało tępym bólem.

Zostałem odrzucony z powrotem w tłum. Miałem piasek w oczach. Wokół mnie wzmagały się krzyki. Czulem krew na języku. Krew na języku. Krew płynęła z moich ust. Czas napierał przy wtórce dławiącego upału. A On był tuż przed nami, patrzył a nas, z Jego oczu płynęły łzy, rozmywając ślady i strużki krwi.

— Boże mój, Boże mój, Boże mój! — zakrzyknąłem, przełykając resztę krwi; szlochałem.

Kobieta po drugiej stronie alei stała się nagle bardziej widoczna. Jej głos przedarł się przez hałas inwektyw i krzyków, upiorną kakofonię prymitywnych, pozbawionych uczuć ludzi, którzy przepychali się jeden przez drugiego, by lepiej widzieć.

— Boże mój! — krzyknęła, a jej głos zabrzmiał jak ryk trąb. Zastąpiła Mu drogę. Stanęła przed Nim, zdjęła czystą białą chustę z głowy i uniosła ją na wysokość Jego twarzy. — Panie mój i Boże, oto ja, Weronika — zawołała. — Pamiętaj o Weronice. Przez dwanaście lat cierpiałam na bolesne krwotoki, a gdy dotknęłam brzegu Twej szaty, zostałam uleczona.

— Nieczysta! Nieczysta! — rozległy się krzyki.

— Wichrzycielka! Błuźnierczyni!

— To Syn Boży, jak śmiesz!

— Nieczysta, nieczysta, nieczysta!

Krzyki sięgnęły crescendo. Ludzie wyciągnęli do niej ręce, lecz brzydzili się jej dotknąć. W

jej stronę poleciał grad kamieni. Żołdacy stali zakłopotani, nie wiedząc, co czynić w tej sytuacji, i obserwowali rozwój wypadków.

Bóg Wcielony, zgięty niemal w pół pod ciężarem belki, tylko na nią spojrział i rzekł:

— Tak, Weroniko, delikatnie, twoja chusta, ukochana, twoja chusta.

Przyłożyła biały dziewiczy materiał do Jego twarzy, by zetrzeć krew i pot, by dać Mu ukojenie i pocieszenie. Jego profil na moment stał się czysty, ale gdy spróbowała raz jeszcze wytrzeć Mu twarz, delikatniej, żołdacy zmusili ją, by się cofnęła, ona zaś stanęła z boku, unosząc rozłożoną chustę w dłoniach.

Na płótnie widniała Jego twarz!

— Spójrz, Memnoch! — zawołałem. — Spójrz na chustę Weroniki!

Oblicze zostało odbite na płótnie idealnie, i bez najmniejszej skazy; żaden malarz nie zdołałby tego powtórzyć; zupełnie ja wizerunek Chrystusa odbił się na materiale jak na kliszy fotograficznej, tyle że bardziej żywy i wyrazisty. Mogło się wydawać, że zachował się na płótnie za sprawą warstewki tkanek, która na nim pozostała — krew była krwią, oczy zaś gorejącym spojrzeniem wypaliły na białej chuście swoje odpowiedniki, podobnie jak usta, które wycisnęły na śnieżnej bieli wyraźne odbicie.

Wszyscy stojący dokoła zobaczyli ten wizerunek. Ludzie przepychali się łokciami, by móc przyjrzeć się chuście. Krzyki stały się donośniejsze.

Dłoń Chrystusa wysliznęła się spomiędzy sznurów unieruchamiających ją przy belce, sięgnęła i wzięła chustę, a kobieta osunęła się na kolana, szlochając i zasłaniając twarz. Żołdacy byli zdezorientowani, zbici z tropu, zaczęli odpierać tłum, wrzeszcząc na tych, którzy podchodzili za blisko.

Chrystus odwrócił się i podał mi chustę.

— Weź ją i zatrzymaj! Ukryj ją i zabierz z sobą! — wyszeptał.

Schwyciłem chustę przerażony, że mógłbym ją uszkodzić albo rozmazać wizerunek. Obce dłonie sięgnęły po nią. Przycisnąłem ją mocno do piersi.

— On ma chustę! — zawołał ktoś. Zostałem odepchnięty do tyłu.

— Brać chustę!

Czyjaś ręka próbowała mi ją wyrwać. Ci, którzy rzucili się w naszą stronę, zostali nagle zatrzymani przez tych, co precyzyjnie się z tyłu, by zobaczyć widowisko, i bez zastanowienia zepchnęli nas z drogi. Zostaliśmy odrzuceni przez napierający tłum, przedzieraliśmy się pośród brudnych, obszarpanych ciał, wśród hałasu, wrzasków i przekleństw. Nie widzieliśmy już procesji, krzyki „chusta!” zostały gdzieś za nami.

Złożyłem ją mocno, odwróciłem się i pobiegłem.

Nie wiedziałem, gdzie się podział Memnoch; nie wiedziałem, dokąd biegnę. Przebiegłem wąską uliczką, skręciłem w następną Jeszcze jedną, ludzie mijali mnie, nie zwracając na mnie uwagi. Szli, by zobaczyć ukrzyżowanie, a może po prostu spacerowali ulubionymi szlakami.

Z wysiłku moja klatka piersiowa zdawała się pękać, stopy miałem posiniaczone i podrapane, znów poczułem smak Jego krwi i ujrzałem światłość w pojedynczym, oślepiającym rozbłysku.

Nic nie widząc, ścisnąłem mocniej chustę w dłoni. Nikt jej stamtąd nie wyciągnie. Nikt mi jej nie odbierze. Nikt. Przerażliwy skowyt wyrwał się z moich ust. Spojrzałem w górę. Niebo zmieniło się; błękitne niebo nad Jerozolimą, powietrze wypełnione piaskiem zafalowało; potężny wir litościwie otoczył mnie, a krew Chrystusa spłynęła do mojej piersi i serca i przepłynęła przez nie; światłość wypełniła moje oczy, obie dłonie przyciskałem mocno do chusty.

Wir uniósł mnie w ciszy i bezruchu. Z całej siły zmusiłem się, aby spojrzeć w dół, aby sięgnąć za pazuchę, lecz nie szaty, którą miałem wcześniej, tylko koszuli i garnitur, garnitur, który nosiłem w ośnieżonym Nowym Jorku. Pod kamizelką poczułem złożoną chustę! Miałem wrażenie, że wichur zerwie ze mnie ubranie, że pozbawi mnie wszystkich włosów. Mimo to trzymałem złożone płótno, spoczywające bezpiecznie przy moim sercu.

Z ziemi wzbił się dym. Znów rozległy się krzyki. Czy były bardziej przerażające niż te, które towarzyszyły Chrystusowi w drodze na Golgotę?

Z potężną siłą uderzyłem w ścianę i posadzkę. Konie przemknęły obok, ich kopyta minęły moją głowę, z kamieni trysnęły snopy iskier. Przedemną leżała krwawiąca, konająca kobieta, miała skręcony kark, krew puściła się jej z nosa i uszu. Ludzie rozbiegali się we wszystkie strony.

Z wonią krwi znów zmieszał się fetor ekskrementów.

To było miasto w czasach wojny, żołdacy łupili i wywlekali niewinnych ludzi z wnęk, wrzaski odbijały się echem od bezkresnego sklepienia i wejść, płomienie były tak blisko, że osmały mi włosy.

— Chusta, chusta — powiedziałem i dotknąłem jej, była bezpieczna, na swoim miejscu, wciśnięta między kamizelkę a koszulę.

Jeden z żołdaków uniósł stopę i kopnął mnie z całej siły w twarz. Rozciągnąłem się jak długi na kamiennych płytach.

Uniosłem wzrok. To nie była ulica. Znajdowałem się w wielkiej, sklepionej kopułą świątyni, z galeriami rzymskich łuków i kolumn. Wokół mnie błyszczały złote mozaiki, spływające krwią mordowanych bez litości mężczyzn i kobiet. Tratowały ich konie. Ciało dziecka uderzyło w mur nade mną, czaszka pękła, małe kończyny posypały się jak deszcz u moich stóp. Jeźdźcy dobijali uciekających, szerokie, obosieczne miecze rozrąbały obojczyki i ramiona. Rozbłysk strzelających wysoko płomieni sprawił, że zrobiło się jasno jak w dzień. Kobiety i mężczyźni pierzchali przez łukowate sklepienie wejścia. Ale żołdacy ruszyli ich śladem. Krew spłynęła na ziemię. Krew spłynęła na cały świat.

Na złotych mozaikach widniały postacie, których twarze zdawały się wyrażać zgrozę na widok rzezi. Święci, święci, wszędzie święci! Ikony były rozbijane na kawałki, posągi walały się, pogruchotane, szerniały i dymiące, złoto błyszczało, roztopione przez ogień.

— Gdzie my jesteśmy? — zawołałem.

Tuż obok mnie rozległ się głos Memnocha. Siedział niewzruszony, opierając się plecami o kamienną ścianę.

— W Hagia Sophia, przyjacielu — odparł. — To nic takiego. To tylko czwarta krucjata.

Wyciągnąłem do niego lewą rękę, nie chcąc puścić chusty, której dotykałem prawą.

— To rzeź rzymskich katolików dokonywana przez grekokatolików. Ot i wszystko.

Tymczasem zapomniano o Egipcie i Ziemi Świętej. Wenecjanom dano trzy dni na splądrowanie miasta. To była decyzja polityczna. Oczywiście wszyscy dotarli tu w celu odzyskania Ziemi Świętej, w której byliśmy obcy zaledwie przed chwilą, ale do bitwy nie doszło i przywódcy pozwolili żołdakom, by złupili miasto. Chrześcijanie mordują chrześcijan. Miliony ksiąg przepadły na zawsze. Manuskrypty greckie, syryjskie, etiopskie i łacińskie. Księgi Boże i księgi ludzi. Czy chcesz odwiedzić klasztory, gdzie zakonnice są wywlekane przez bliźnich i brutalnie gwałcone? Konstantynopol jest plądrowany. To nic wielkiego, uwierz mi, to pestka.

Leżałem na ziemi, szlochając, próbując zasłaniać oczy i nie widzieć, ale nie mogłem na to nie patrzeć — wzdrygałem się na dźwięk kopyt uderzających w kamienie niebezpiecznie blisko mojej głowy, woń krwi martwego niemowlęcia, które leżało bezwładne na mojej nodze jak mokre stworzenie wyłowione z morza, dławiła mnie w gardle. Szlochałem. Obok mnie spoczywało ciało mężczyzny z na wpół rozplataną szyją, na kamieniach rozlała się wielka kałuża krwi. Znów ktoś przewrócił się na trupa, z powykręcanymi kolanami, okrwawioną dłonią chwytającą się czegoś, czego mógłby się przytrzymać, lecz napotkał jedynie nagie, różowe ciało dziecka i odrzucił je precz. Główka dziecka odpadła zupełnie.

— Chusta — szepnąłem.

— O, tak, ta cenna chusta — powiedział. — Czy chciałbyś zmiany pejzażu? Możemy pójść dalej. Na przykład do Madrytu na auto-da-fé, wiesz, o czym mówię, o torturach i paleniu żywcem Żydów,

k którzy nie chcieli nawrócić się na chrześcijaństwo. A może wrócimy do Francji, by popatrzeć na rzeź katarów w Langwedocji? Na pewno znasz te historie, musiałeś je słyszeć, gdy dorastałeś. Herezja została wypleniona. I to doszczętnie. W tym zadaniu wyjątkowo skuteczni okazali się ojcowie dominikanie, którzy potem zabrali się do czarownic. Zresztą mamy tak wiele do wyboru. Może udamy się do Niemiec, aby przyjrzeć się męczeństwu anabaptystów.

Albo do Anglii, by zobaczyć, jak królowa Maria każe spalić wszystkich, którzy zwrócili się przeciwko papieżowi w czasach rządów jej ojca, Henryka. Strasburg, rok 1349. W lutym spalono dwa tysiące Żydów, oskarżając ich o rozpętanie zarazy, czarnej śmierci. Takie rzeczy działy się w całej Europie...

— Znam historię — zawołałem, próbując złapać oddech — Wiem o tym!

— Tak, ale gdy ogląda się to na własne oczy, to już nie to samo, prawda? Jak już mówiłem, to pestka. To wszystko doprowadzi do ostatecznego rozłamu między Kościołem greko- i rzymskokatolickim. Kiedy wpływy Konstantynopola zaczną słabnąć, nowy lud Księgi, muzułmanie, przełamie osłabione szanse i zaleje całą Europę. Chcesz zobaczyć którąś z tych bitew? Jeżeli chcesz, możemy udać się od razu do dwudziestego wieku. Na przykład do Bośni albo Hercegowiny, gdzie obecnie walczą między sobą chrześcijanie i muzułmanie. Te kraje są dziś na ustach wielu mieszkańców Nowego Jorku.

A skoro już bierzemy pod uwagę wszystkie ludy Księgi — muzułmanów, żydów, chrześcijan

— czemu nie mielibyśmy odwiedzić południowego Iraku, by posłuchać krzyków umierających z głodu Kurdów, których ziemie osuszono i którzy są bezlitośnie wybijani? Jeżeli chcesz, możemy się skoncentrować wyłącznie na świętych miejscach — meczetach, katedrach i kościołach.

Moglibyśmy wykorzystać tę metodę przy wędrówce do czasów współczesnych.

Zwróc uwagę — kontynuował — że żadna z moich sugestii nie dotyczyła ludzi, którzy nie wierzą w Boga. Przez cały czas mówimy o ludach Księgi, Pisma, które mówi o Jedynym Bogu, stale się zmienia i rozwija. A dzisiejszego dnia i nocy w ogniu szeszają bezcenne, niepowtarzalne pisma i księgi. Oto jest rozwój Stworzenia, oto ewolucja, to bez wątpienia czyjeś uświęcone cierpienie, ponieważ wszyscy ci ludzie, których tu widzisz, wyznają tego samego Boga.

Nie odpowiedziałem. Na całe szczęście jego głos ucichł, ale walka nie ustała. Rozległ się ogłuszający wybuch. Płomienie buchnęły tak wysoko, że zobaczyłem teraz wizerunki świętych na kopule. W jednym silnym błysku cała olśniewająca świątynia wokół mnie pojaśniała, zobaczyłem jej wielki owal, rzędy kolumn i majestatyczne przypory wspierające kopułę. Światło przygasło i rozbłysło ponownie, i wrzaski rozbrzmiały z nową siłą.

Zamknąłem oczy i znieruchomiałem, nie zważając na kopniaki i tratujące mnie stopy. Miałem chustę i leżałem w bezruchu.

— Czy piekło może być gorsze niż to? — spytałem. Mój głos był cichy i nie sądziłem, że Memnoch zdoła mnie usłyszeć w zgiełku bitewnej wrzawy.

— Szczerze mówiąc, nie wiem — odparł tym samym, zażyłym tonem, jakby to, co nas łączyło, pozwalało nam komunikować się niemal bezgłośnie, bez najmniejszego wysiłku.

— Czy to szeol? — spytałem. — Czy dusze mogą się zeń wydostać?

Nie odpowiedział.

— Sądziś, że mógłbym toczyć z nim tę walkę na jakichkolwiek zasadach, gdyby dusze musiały tam pozostać? — spytał, jakby sama idea wiecznego piekła była dla niego obraźliwa.

— Zabierz mnie stąd, proszę — szepnąłem. Opierałem się policzkiem o kamienną posadzkę.

Woń końskiego łajna mieszała się z fetorem moczu i krwi. Ale najgorsze były krzyki. Krzyki i rozbrzmiewający bez końca brzęk stali! — Memnochu, zabierz mnie stąd! Opowiedz mi coś więcej o tej walce pomiędzy tobą a Nim! Wyjaw mi jej reguły!

Spróbowałem usiąść, podkulając nogi, otarłem oczy lewą ręką, prawą wciąż ścisnąłem chustę.

Zacząłem dławić się dymem. Piekły mnie oczy.

— Co chciałeś przez to powiedzieć, gdy wyjawiałeś mi, że jestem ci potrzebny, że wygrywasz tę walkę? Czym właściwie jest ta walka pomiędzy tobą a Nim? Co chcesz zrobić, Memnochu?

Uniosłem wzrok. Memnoch siedział rozluźniony, z dłońmi złożonymi na zgiętym kolanie, jego twarz w jednej chwili zdawała się błyszczeć od szalejących płomieni, w następnej zaś była całkiem blada. Był cały brudny, jakby hulał, wyglądał dość marnie. Na jego twarzy nie malował

się wyraz rozgoryczenia ani sarkazmu, lecz głębokiego zamyślenia.

— Mamy zatem darować sobie inne wojny? Opuścić sobie masakry? Tak wiele męczeństwa?

— powiedział. — Cóż, Lestacie, wiem, że nie brak ci wyobraźni.

— Pozwól mi odpocząć, Memnochu. Odpowiedz na moje pytania. Nie jestem aniołem, lecz potworem. Proszę, chodźmy stąd.

— Dobrze — odparł. — Pójdziemy, skoro tego chcesz. Byłeś bardzo dzielny, ale nie spodziewałem się po tobie niczego innego. Ronisz wiele łez i płyną one prosto z serca.

Nie odpowiedziałem. Moja pierś uniosła się ciężko. Ścisnąłem chustę w pranej dłoni, lewą przyłożyłem do ucha. Jak mogłem cię poruszyć? Gzy spodziewałem się, że zabierze nas stąd w nadnaturalnym wirze? Czy miałem jeszcze władzę nad własnymi kończynami?

— Pójdziemy, Lestacie — powtórzył.

Usłyszałem szum wiatru. To był wir, ściany rozsunęły się na boki. Przycisnąłem dłoń do chusty. Głos wyszeptał mi wprost do ucha:

— Teraz odpocznij.

W półmroku wokół nas zawirowały dusze. Oparłem głowę o jego ramię, wiatr rozwiewał mi włosy. Zamknąłem oczy i ujrzałem Syna Bożego wkraczającego do rozległego, posępnego i mrocznego miejsca. Promienie światła wypływały z Jego drobnej, lecz wyraźnej postaci we wszystkich kierunkach, rozjaśniając setki szamoczących się sylwetek, widmowych sylwetek dusz.

Szeol, próbowałem powiedzieć. Lecz znajdowaliśmy się w wirze, a ten obraz odmalował się w czerni pod moimi zamkniętymi powiekami. Światło znów pojaśniało, promienie zlały się w jeden, potężny blask, jakbym znalazł się w obecności Pana, i równocześnie pieśni przybrały na sile, stały się czystsze i wyraźniejsze, zagłuszając wycie otaczających nas dusz, aż owa niezwykła mieszanina zawodzenia i pieśni stała się naturą całej wizji i naturą wiru. I stały się jednością.

19

Leżałem gdzieś na otwartej przestrzeni, na kamienistym gruncie. Miałem chustę. Czułem ją, ale nie odważyłem się sięgnąć za pazuchę, aby ją wyjąć i obejrzeć.

Ujrzałem Memnocha stojącego opodal, w swej chwalebnej postaci, z opuszczonymi skrzydłami, i zobaczyłem Boga Wcielonego, powstałego z martwych, z wciąż czerwonymi od krwi ranami na przegubach i kostkach, był jednak umyty i namaszczony olejkami; Jego ciało miało te same proporcje co ciało Memnocha, czyli było większe niż ludzkie. Szatę miał czystą, śnieżnobiałą, a Jego ciemne włosy wciąż miały rdzawy odcień od zaschniętej krwi, lecz były starannie uczesane. Wydawało się, że przez komórki Jego skóry przesącza się więcej światła niż przed ukrzyżowaniem, bił z Niego silny blask, w porównaniu z nim blask Memnocha wydawał

się wąty i blade. Jednak ci dwaj nie walczyli ze sobą i emanowali tym samym rodzajem światłości.

Leżałem tam, unosząc wzrok i przysłuchując się ich kłótni. Kątem oka — zanim jeszcze ich głosy stały się dla mnie wyraźnie słyszalne — spostrzegłem, że znalazłem się na polu bitwy zasłanym ciałami poległych. To nie były czasy czwartej krucjaty. Nikt nie musiał mi tego mówić.

Okres był znacznie wcześniejszy, a sądząc po zbrojach i ubiorze, podejrzewałem, że trafiłem do trzeciego, może czwartego wieku naszej ery, chociaż nie miałem co do tego pewności.

Trupy cuchnęły. W powietrzu roiło się od much i ścierwojadów, które ucztowały na ohydnie obrzmiałych truchłach wojowników, z oddali zaś dobiegło mnie groźne powarkiwanie walczących z sobą wilków.

— Tak, rozumiem — oznajmił gniewnie Memnoch. Mówił w języku, który nie był ani angielskim, ani francuskim, ale go rozumiałem. — Bramy niebios są otwarte dla wszystkich, którzy umrą, rozumiejąc i akceptując harmonię Stworzenia oraz dobroć Bożą. A co z pozostałymi? Co z milionami innych?

— Raz jeszcze pytam — rzekł Syn Boży — czemu martwisz się o innych? O tych, którzy umrą, nie pojmując, nie akceptując ani nie znając Boga. Co cię oni obchodzą? Czym są dla mnie?

— Twoimi dziećmi, które sam stworzyłeś! I mogłyby dostąpić nieba, gdyby tylko umiały znaleźć właściwą drogę! Liczba tych zagubionych o miliardy przewyższa tę garstkę, która zyskała odpowiednią wiedzę, mądrość, wgląd, inspirację, dar. Sam dobrze o tym wiesz! Jak możesz pozwolić, aby tak wiele znikło ponownie w czeluściach szeolu, zginęło albo przywiązało się do ziemi, zmieniając się w złe duchy? Czyż nie przybyłeś, by ocalić je wszystkie?

— Przybyłem, by ocalić te, które chcą być zbawione! — odparł. — Raz jeszcze powiadam ci, to naturalny cykl, naturalna kolej rzeczy i na każdą duszę, która trafia teraz bez przeszkód do Królestwa Niebieskiego, przypada tysiąc innych, które tego nie dostąpią. Czy tak trudno zrozumieć, zaakceptować, poznać i dostrzec piękno? Co chciałbyś, abym uczynił?

— Pomóż duszom, które są zagubione. Pomóż im! Nie porzucaj ich w wirze, nie porzucaj ich w szeolu, by przez tysiące lat walczyły o zrozumienie tego, co mogą wszak ujrzeć i zrozumieć jeszcze na ziemi! Wszystko utrudniłeś i pogmatwałeś, oto, co uczyniłeś!

— Jak śmiesz!

— Wszystko niepotrzebnie skomplikowałeś. Spójrz na to pole bitwy, zanim się rozpoczęła, na niebie ukazał się Twój Krzyż i teraz Twój Krzyż stanie się symbolem imperium! Od śmierci świadków, którzy widzieli Twoje Zmartwychwstałe Ciało, jedynie garstka umarłych przeszła z ziemi do Królestwa Niebieskiego, całe mnóstwo zaś zagubiło się w niekończących się sporach, waśniach, bitwach, i nieporozumieniach, błakając się w ciemnościach!

— Moje światło jest dla tych, którzy chcą je przejąć.

— To za mało!

Bóg Wcielony z całej siły uderzył Memnocha w twarz. Memnoch zachwiał się i odruchowo rozłożył skrzydła, jakby zamierzał odlecieć. Zaraz jednak znowu je złożył i tylko kilka długich, pięknych piór zawirowało w powietrzu, podczas gdy Memnoch przyłożył dłoń do gorejącego śladu, jaki na jego policzku pozostawiła ręka Boga. Dostrzegłem ten ślad wyraźnie, był

krwistoczerwony, jak rany na przegubach i kostkach Chrystusa.

— Dobrze więc — powiedział Bóg Wcielony. — Skoro bardziej zależy ci na tych zagubionych duszach niż na swoim Bogu, niechaj twoim zadaniem będzie ich gromadzenie!

Niech szeol stanie się twym królestwem! Gromadź je tam, całymi milionami, i nauczaj, by mogły dostąpić Światłości! Wiedz, że od tej pory żadna z nich nie sześźnie ani nie przepadnie, bo dzięki swej mocy zawsze będziesz mógł ją odtworzyć; powiadam, żadna dusza nie pójdzie na zatracenie, lecz pamiętaj, że spoczywa na tobie odpowiedzialność za każdą z nich — to twoi uczniowie, twoi poplecznicy i twoi słudzy. I aż do dnia, kiedy szeol całkiem opustoszeje! Do czasu, kiedy wszystkie dusze udadzą się wprost do bram rajy, będziesz moim adwersarzem, moim diabłem, istotą potępioną, która ma za zadanie spędzać nie mniej niż jedną trzecią swego czasu na ziemi, którą tak ukochałeś, i nie mniej niż jedną trzecią w szeolu albo piekle, jakkolwiek zechcesz nazywać to miejsce, będące odtąd twym królestwem. Wtedy i dopiero wtedy będziesz mógł w chwale powrócić do nieba i bacz,

byś na tę okazję przybrał swą zwyczajową anielską postać!

Na ziemi niechaj postrzegają cię jako demona! Bestię Bożą — boga tańca, uczt, trunków i uciech cielesnych oraz wszystkich tych rzeczy, które ukochałeś bardziej aniżeli mnie, do tego stopnia, że potrafiłeś otwarcie rzucić mi wyzwanie. Niechaj cię takim postrzegają, jeżeli tego zechcesz, a twoje skrzydła niech mają barwę sadzy i popiołu, nogi zaś niechaj będą na podobieństwo nóg kozła, jakbyś był bożkiem Panem! Możesz też pojawiać się wśród nich w ludzkiej postaci, tak, zezwalam ci na to w swej łaskawości, byś pojawiał się między nimi jako mężczyzna, gdyż tak bardzo cenisz sobie bycie człowiekiem. Lecz nie wolno ci pojawiać się wśród ludzi jako anioł! Nigdy, przenigdy! Nie będziesz wykorzystywał swej anielskiej postaci, by ich mamić i wodzić na manowce, by ich oczarowywać ani wzbudzać podziw. Ty i twoi obserwatorzy czyniliście to zbyt często. Dopilnuj jednak, byś przechodząc przez bramę niebios, wyglądał jak należy, aby twe skrzydła, podobnie jak szata były śnieżnobiałe. Pamiętaj, w moim królestwie masz wyglądać jak mój archanioł!

— Mogę to uczynić! — zapewnił Memnoch. — Mogę je nauczać; mogę nimi pokierować.

Mogę być ich przewodnikiem. Jeżeli pozwalasz mi, bym rządził piekłem, jak uznam za stosowne, uczynię, co w mojej mocy, by dusze z szeolu zasłużyły na wejście do raju! Mogę odwrócić to wszystko, co Twój cykl Natury uczynił z nimi na ziemi.

— Doskonale. Z chęcią zobaczę, jak dajesz sobie z tym radę — powiedział Syn Boży. —

Przyślij do mnie więcej dusz, kiedy już je oczyścisz. Śmiało. Spotęguj moją Chwałę. Zwiększ liczbę *bene ha elohim*. Niebo jest bezkresne i bez trudu sprosta twoim wysiłkom. Ale nie wracaj do Domu, dopóki nie ukończysz swego dzieła, dopóki przejścia z ziemi do nieba nie dostąpią wszyscy zmarli albo dopóki nie nastąpi koniec świata — dopóki ewolucja nie osiągnie punktu, w którym szeol z tych czy innych powodów nie opustoszeje, a zapamiętaj moje słowa, Memnoch, ta chwila może nigdy nie nadejść! Nie zapowiedziałem, że nastąpi taki dzień, kiedy rozszerzanie się wszechświata zostanie zahamowane! Czeka cię zatem długi pobyt wśród potępionych.

— A na ziemi? Jakie będę miał tam moce? Co mogę zdziałać jako bóg kozioł albo człowiek?

— To, co powinienes! Ostrzegaj ludzi! Ostrzegaj ich, by przyszli do mnie, a nie do szeolu.

— Czy mogę to zrobić po swojemu? Mówiąc im, jakim jesteś bezlitosnym Bogiem, że zabijanie w Twoim imieniu jest złem i że cierpienie wypacza, niszczy i potępia swoje ofiary, miast nieść im odkrywanie? Czy mogę wyjawić im prawdę? Powiedzieć, że gdyby chcieli pójść do Ciebie, powinni porzucić Twoje religie, Twoje święte wojny i Tve wspaniałe męczeństwo?

Ze powinni poszukiwać tego, co mówią im tajemnice ciała albo ekstaza miłości? Czy zezwalasz mi na to? Mam Twoje pozwolenie, aby powiedzieć im prawdę?

— Powiedz im, co chcesz! I w każdym przypadku, kiedy odwiedzisz ich od moich kościołów, moich objawień, jakkolwiek byłyby one spaczony i opacznie pojęte, za każdym razem, gdy odwrócą się ode mnie, ryzykujesz, że twojej piekielnej szkole przybędą nowi uczniowie, kolejne dusze, które będziesz musiał zreformować. Twoje piekło wypełni się po brzegi!

— Nie za sprawą moich poczynań, Panie — rzekł Memnoch. — Wypełni się po brzegi, lecz wyłącznie za Twoją sprawą!

— Jak śmiesz!

— Niech się rozwija, Panie, tak jak to sam zapowiedziałeś. Teraz jednak ja jestem częścią tego wszystkiego, podobnie jak piekło. Czy przydzielisz mi tych aniołów, którzy wierzą w to samo co ja i będą pracować dla mnie, w tej samej co ja ciemności?

— Nie! Nie przydzielę ci ani jednej anielskiej duszy! Rekrutuj swych pomocników wyłącznie spośród ziemskich dusz. Uczyni z nich swoje demony! Obserwatorzy, którzy upadli wraz z tobą, wyrazili skruchę. Nie oddam ci żadnego. Jesteś aniołem. Działaj samotnie.

— Dobrze więc. Będę działał samotnie. Możesz ograniczyć moje moce w nowej, ziemskiej postaci, a ja i tak dam sobie radę — Zwycięzę. Przeprowadzę z szeolu do nieba więcej dusz, niż ty przywiodłeś przez główną bramę. Sprowadzę więcej zreformowanych dusz śpiewających peany o raju, niż Tobie kiedykolwiek uda się zebrać przez Twoje wąskie przejście. To ja wypełnię niebo i spotęguję Twoją chwałę. Przekonasz się.

Zamilkli, Memnoch przepętniony wściekłością, a Bóg Wcielony zagniewany, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie; dwie postacie stały naprzeciw siebie, były tego samego wzrostu, lecz Memnoch rozpostarł skrzydła i roztoczył wokół siebie aureolę mocy, z ciała Boga Wcielonego zaś wypłynęła fala jeszcze silniejszego przepięknego, rozdzierającego serce światła.

Nagle Bóg Wcielony uśmiechnął się.

— Tak czy owak, zwyciężą, czyż nie? — zapytał Bóg.

— Przeklinam Cię! — wycedził Memnoch.

— Wcale nie — odrzekł Bóg z wyraźnym smutkiem. Wyciągnął rękę i dotknąwszy policzka Memnocha, sprawił, że ślad Jego gniewnej dłoni zniknął z anielskiej skóry. Bóg Wcielony wychylił się do przodu i pocałował Memnocha w usta. — Kocham cię, mój dzielny adwersarzu!

— powiedział. — To dobrze, że cię stworzyłem, tak jak dobrze, że stworzyłem wszystko inne.

Przyprowadź do mnie dusze. Stanowisz tylko jeden element cyklu, cząstkę Natury, tak cudowną jak błyskawica, erupcja wulkanów czy wybuch gwiazdy, gdzieś tam, w odległej galaktyce, tak daleko, że musi minąć tysiąc lat, aby na Ziemi dostrzeżono towarzyszący temu zjawisku spektakularny rozbłysk.

— Bezlitosny z Ciebie Bóg — powiedział niewzruszony Memnoch. — Nauczę je wybaczać Ci to, jaki jesteś — majestatyczny, nieskończenie twórczy i niedoskonały.

Bóg Wcielony zaśmiał się łagodnie i raz jeszcze pocałował Memnocha — tyle że w czoło.

— Jestem Bogiem roztropnym i cierpliwym — oznajmił. — To Ja cię stworzyłem.

Postacie zniknęły. Nawet się nie rozmyły. Po prostu znikły w mgnieniu oka.

Leżałem sam na polu bitwy.

Otoczał mnie smród unoszących się w powietrzu gazów gnilnych, dławił tak, że nie byłem w stanie zaczerpnąć tchu. Jak okiem sięgnąć, widziałem jedynie trupy.

Moją uwagę zwrócił jakiś hałas. Wychudły, dyszący ciężko wilk zbliżył się do mnie, opuszczając łeb, jakby szykował się do ataku. Zesztywniałem. Ujrzałem jego zwężone, uniesione ku górze ślepią, gdy arogancko wyszczerzył do mnie kły. Poczulem jego gorący, cuchnący oddech. Odwróciłem głowę. Usłyszałem jak wilk obwąchuje moje ucho i włosy. Usłyszałem jego gardłowy warkot. Zamknąłem oczy, a prawą rękę wsunąłem za pazuchę, by dotknąć chusty.

Wilcze kły musnęły moją szyję. W jednej chwili odwróciłem się, podniosłem i kopniakiem odrzuciłem go do tyłu; przeleciał parę stóp w powietrzu, wylądował ciężko na ziemi, zaskomlał i w końcu rzucił się do ucieczki. Pobiegł w dal, przeskakując nad ciałami zabitych.

Wzięłem głęboki oddech. Zdałem sobie sprawę, że niebo wygląda jak niebo widoczne za dnia nad ziemią, i spojrzałem na białe chmury, proste, białe chmury i odległy horyzont, po czym zasluchałem się w głośnie, natarczywe brzęczenie much, unoszących się całymi chmurami nad zabitymi, mojej uwagi nie umknęły też wielkie, paskudne, niezdarne sępy przechadzające się wśród ciał i uczujące do woli.

Z oddali dobiegł mnie dźwięk ludzkiego szlochu.

Niebo było jednak niewiarygodnie czyste. Chmury rozwiały się, słońce prażyło w najlepsze, jego gorące promienie padały na moje dłonie i twarz, a także na nabrzmiałe od gazów, eksplodujące ciała otaczające mnie ze wszystkich stron.

Chyba musiałem stracić przytomność. Bardzo tego chciałem. Pragnąłem znów runąć na ziemię na wznak, przewrócić się na brzuch i znieruchomieć, dotknąć czołem gleby. Wsunąłem rękę ze pazuchę, aby upewnić się, że chusta wciąż tam jest, złożona między koszulą a kamizelką.

20

Ogród oczekiwania. Przepelnione blaskiem i spokojem miejsca przed bramami niebios.

Miejsce, z którego dusze od czasu do czasu powracają, kiedy przywiedzie je tam śmierć i dowiadują się, że to jeszcze nie ich czas, że mogą wrócić do domu.

W oddali, pod lśniącym, kobaltowym niebem ujrzałem jak nowi zmarli witają się z dawnymi zmarłymi. Spotkania po latach. Widziałem, jak się witają, obejmują, nawołują. Kątem oka dostrzegłem oszołamiająco wysokie mury niebios i bramy nieba. Tym razem zauważyłem aniołów, mniej wyrazistych niż reszta, całe chóry anielskie wędrujące po niebie bez przeszkód i opadające pomiędzy grupki śmiertelników przekraczające most. Aniołowie oscylowali na granicy widzialności i niewidzialności, obserwowali, po czym unosili się w górę, by rozpląnąć się na tle nieskazitelnie

błękitnego nieba.

Odgłosy niebios, dochodzące zza murów, były słabe i boleśnie kuszące. Zamknąłem oczy i nieomal ujrzałem szafirowe barwy! Wszystkie pieśni zawierały ten sam refren: Chodźcie tu, przyjdźcie do nas, wejdźcie do środka, bądźcie z nami. Koniec z chaosem. To niebo.

Aleja byłem daleko stamtąd, w małej dolinie. Siedziałem wśród dzikich białych i żółtych kwiatów, nad brzegiem strumienia, nad którym musiały przejść wszystkie dusze, aby dostać się do raju, i który zdawał się nucić piosenkę, głoszącą, że po cierpieniu i wojnach, po dymie i krwi, po dławiącym smrodzie i bólu, ten strumień jest apoteozą wszystkich strumieni na świecie.

Fale śpiewały tę pieśń na głosy, prześlizgując się po kamieniach i płynąc przez większe i mniejsze koleiny oraz zleby, w osobliwej mieszance fugi i kanonu, podczas gdy trawa opodal pochylała swe źdźbła, aby na to patrzeć.

Oparłem głowę o pień drzewa, które wyglądało tak, jak mogłoby wyglądać brzoskwiniowe, gdyby wiecznie kwitło i rodziło owoce, gdyby jego gałęzie nigdy nie były nagie, lecz uginały się pod brzemieniem wonnego kwiecica i owoców, stanowiąc połączenie dwóch cykli w jedno nieskończone bogactwo.

Wśród trzepoczących płatków zauważyłem przemykające nerwowo maleńkie ptaki. A jeszcze dalej anioły, całe mnóstwo aniołów, anioły jak utkane z powietrza, świetliste, migoczące duchy, zjawy tak delikatne, że wydawało się, iż wystarczy jedno delikatne tchnienie, aby rozpląnęły się w nicość.

Raj fresków, raj mozaik. Żadna forma sztuki nie byłaby im w stanie dorównać. Pytanie tych, którzy przybyli tu i odeszli. Tych, którzy na stole operacyjnym doświadczyli zatrzymania akcji serca, więc ich dusze uniosły się do nieba, dotarły do tego ogrodu, później zaś powróciły do ożywionego przez lekarzy ciała. Nic nie mogło temu dorównać.

Owionęło mnie chłodne, przyjemne powietrze, usuwając powoli, warstwa po warstwie, sadzę i brud pokrywające moją koszulę i marynarkę. Wtem, jakbym znów budził się do życia z koszmaru, sięgnąłem za pazuchę i wyciągnąłem chustę. Rozłożyłem ją i ująłem za dwa rogi.

Widoczna na płótnie Twarz zdawała się płonąć, ciemne oczy patrzyły na mnie, krew była równie czerwona i lśniąca jak wcześniej, skóra miała idealny odcień, wrażenie głębi było wręcz holograficzne, choć oblicze zafalowało lekko, gdy podmuch wiatru poruszył chustą. Nic nie zostało rozmazane, podarte ani utracone.

Jęknąłem, a moje serce groźnie przyspieszyło rytm. Żar rozpal” moje policzki.

Brązowe oczy patrzyły niewzruszenie, tak jak w tamtej chwili) wiecznie otwarte na delikatnym, miękkim płótnie. Przycisnąłem chustę do piersi, po czym ją złożyłem, nieomal w panice, i tym razem wcisnąłem ją pod koszulę, by poczuć ją tuż przy skórze. Rozpaczliwie próbowałem pozapinać wszystkie guziki. Moja koszula była cała, marynarka zaś zabrudzona i w dodatku straciłem przy niej wszystkie guziki, nawet te przy — mankietach rękawów, i mogła mi służyć jedynie dla ozdoby. Zerknąłem na buty — były zniszczone, postrzępione, ledwie się trzymały. Jak dziwnie wyglądały, nie

przypominały niczego, co ostatnio widziałem, choć przecież wykonano je z najlepszej skóry. Miałem płatki kwiatów we włosach. Uniosłem rękę i strząsnąłem je, różowe i białe; spłynęły miękko na moje spodnie i buty.

— Memnochu! — rzekłem nagle. Rozejrzałem się wokół. Gdzie on się podział? Czy jestem tu sam? Hen, w oddali, przez most przechodziła procesja szczęśliwych dusz. Czy bramy otwierały się i zamykały, czy była to może iluzja?

Spojrzałem w lewo, w stronę gaju oliwnego, i ujrzałem stojącą tam drobną sylwetkę, której w pierwszej chwili nie rozpoznałem. W końcu jednak zorientowałem się, że to Memnoch w postaci Zwyczajnego Mężczyzny. Stał spokojny, skoncentrowany, patrząc na mnie z posępną miną; nagle jego sylwetka zaczęła się rozrastać i zmieniać, wyrosły mu wielkie, czarne skrzydła, nogi zmieniły się w kosmate, zakończone kopytami odnóza kozła, anielskie oblicze zaś ściemniało, jakby wykuto je z czarnego granitu. Memnoch, mój Memnoch, ten, którego znałem, ponownie w postaci demona. Nie stawiałem oporu. Nie zasłoniłem twarzy. Przyjrzałem się uważnie jego okrytemu długą szatą torsowi i wyzierającym spod niej kosmatym nogom. Koźle kopyta wryły się głęboko w ziemię, ale jego dłonie i ramiona pozostały piękne i nieskazitelne. Gęsta grzywa czarnych włosów opadała mu na plecy. W całym ogrodzie tylko on pozbawiony był barw, nieprzezroczysty, a przynajmniej dla mnie wyglądał w pełni materialnie.

— Sedno sporu jest oczywiste — powiedział. — Czy masz jakiś kłopot z jego zrozumieniem?

Złożył wielkie, czarne skrzydła, otulając nimi ciało, ich dolne końce wychyliły się do przodu, tak by nie dotykać ziemi. Podszedł do mnie, stąpając jak zwierzę będące osobliwą i plugawą mieszanką piękna głowy i torsu ze zwierzęcą brzydotą dolnej połowy ciała. Oto istota, którą ludzie utożsamiają z najwyższym złem.

— W rzeczy samej — powiedział i powoli, niemal z wyraźnym bólem usiadł; skrzydła znów znikły, bo z nimi ta sztuczka nie mogłaby mu się udać; usiadł przede mną, koźli bóg ze zmierzwioną czupryną, łypiący na mnie spode łba, lecz nie bardziej srogo niż dotychczas, twarz miał spokojną, pełną powagi, pozbawioną wrogości czy okrucieństwa, ponieważ miast z ciała, wydawała się stworzona z samej czerni.

— Widzisz, to, co On uczynił, sprowadza się do tego — przemówił. — Stale i wciąż powtarzał mi: „Memnochu, wszystko we wszechświecie jest używane i wykorzystywane...

rozumiesz, o czym mówię?” I zstąpił na ziemię, poddał się cierpieniu, umarł, po czym zmartwychwstał, by uświęcić ludzkie cierpienie, aby przydać mu znaczenia jako środkowi do osiągnięcia konkretnego celu; celem tym zaś miała być iluminacja, oświecenie duszy. Ale mit o cierpieniu i umierającym Bogu — czy mówimy o sumeryjskim Tamuzie, greckim Dionizosie czy jakimkolwiek innym bóstwie, którego śmierć i rozczłonkowanie poprzedziły Stworzenie — to całkiem ludzka idea! Idea stworzona przez ludzi, którzy nie potrafili sobie wyobrazić, że dzieło Stworzenia powstało z niczego, że nie wymagało żadnej ofiary. Umierający Bóg, który zrodził

człowieka, to idea, która zakiełkowała w umysłach istot zbyt prymitywnych, by mogły pojąć coś doskonałego i absolutnego. I właśnie dlatego On — Bóg Wcielony — wykorzystał ludzkie mity, które

próbowały tłumaczyć rzeczy tak, jak gdyby miały one głębszy sens, choć faktycznie go nie mają.

— Tak.

— Czy w stworzeniu świata Jego Ofiara odegrała jakąś rolę? — za' pytał Memnoch. — Nie był Tiamat zabita przez Marduka. Ani nie jest porąbanym na kawałki Ozyrysem! Co On, Bóg Wszechmogący) oddał, by stworzyć materialny wszechświat? Nie pamiętam, abym widział, że czegoś Mu ubyło. Ze wszystko wzięło się z Niego, to prawda, ale nie pamiętam, aby akt fizycznego Stworzenia w jakikolwiek sposób Go umniejszył, okaleczył lub czegoś pozbawił. Po stworzeniu planet i gwiazd był nadal tym samym Bogiem! Jeżeli cokolwiek mógłbym o tym powiedzieć, to że raczej ów akt Go umocnił, wzbogacił, a przynajmniej tak to wyglądało w oczach Jego aniołów, śpiewających o coraz to nowych, zmieniających się aspektach dzieła Stworzenia. Sama Jego natura jako Stwórcy ulegała wedle naszego postrzegania rozwinięciu, w miarę jak rozpoczął się zaplanowany przez Niego proces ogólnoswiatowej ewolucji. Kiedy jednak pojawił się jako Bóg Wcielony, postanowił pójść w ślady mitów stworzonych przez ludzi, pragnąc w ten sposób usprawiedliwić i uświęcić wszelkie cierpienie, oraz dać do zrozumienia, że historia nie jest koszmarem, lecz ma głębszy sens. Rzucił się w wir religii będącej dziełem ludzi i przydał tym ideom boskiej chwały, po czym poprzez swoją śmierć uświęcił gorycz cierpienia, która wcześniej, w samym dziele Stworzenia nie była wcale uświęcona.

— To było bezkrwawe Stworzenie. Obyło się bez ofiary — wtrąciłem. Mówiłem beznamiętnie, ale pozostawałem wyjątkowo czujny. — Oto, co chcesz powiedzieć. Ale On wierzy, że cierpienie jest lub może być święte. Nic się nie marnuje. Nic nie zostaje utracone.

Wszystko się przyda. Wszystko zostaje w ten czy inny sposób wykorzystane.

— Tak. Ale ja twierdzę, że On przeoczył w swoim kosmosie potworną wadę — ludzki ból, niedolę, nieuzasadnione cierpienie, później zaś znalazł dla tego wszystkiego zastosowanie, wykorzystując w tym celu najgorsze, najbardziej prymitywne i zabobonne wierzenia ludzkości.

— Ale kiedy ludzie umierają, co się wtedy dzieje? Czy Jego wyznawcy odnajdują tunel, światło i ukochanych bliskich?

— W miejscach, gdzie ludzie żyją w pokoju i dobrobycie, owszem. Zazwyczaj tak. Bez gniewu czy nienawiści wędrują prosto do nieba. Podobnie jak niektórzy z tych, co nie wierzą w Niego ani w Jego nauki.

— Ponieważ zyskali odpowiedni poziom oświecenia.

— Tak. To Go zadowala i przyczynia się do rozszerzenia niebios, a niebo stale jest wzbogacane i upiększane przez nowe dusze przybywające tam z różnych zakątków świata.

— Ale w piekle też jest mnóstwo dusz.

— Piekło jest niepomiaralnie większe od nieba. Wszelkie porównania są śmiechu warte. Czy jest na tej planecie miejsce, gdzie nie dochodziłoby do aktów samopoświęcenia, niesprawiedliwości,

prześladowań, udręk, przemocy i wojen?! Z każdym dniem wzrasta liczba moich zagubionych i rozgoryczonych uczniów. Czasy są takie, że zaledwie garstka dusz dociera do Niego w spokoju.

— Ale On na to nie zważa.

— Właśnie. Twierdzi, że cierpienie czujących istot jest niczym rozkład; potęguje rozwój i uszlachetnia ich dusze! On zaś patrzy z góry na tę czy inną masakrę i dostrzega w tym niezwykłą wzniosłość. Widzi kobiety i mężczyzn, którzy nigdy nie kochają się bardziej jak właśnie wtedy, gdy tracą swoich bliskich, ich uczucie nigdy nie jest silniejsze niż wtedy, gdy poświęcają się dla innych w Jego imieniu, miłość nigdy nie płonie mocniej niż wtedy, gdy armia najeźdźców atakuje miasta i sioła, by spustoszyć je ogniem i mieczem, wyrżnąć mężczyzn, wziąć kobiety w niewolę, a dzieci i niemowlęta nabijać na groty włóczy. Jak On to usprawiedliwia? Tak już jest w Naturze. On tak to właśnie stworzył. Jeśli zaś niektóre rozgoryczone i zagubione dusze trafią pod moją kuratele w piekle i poznają nauki, jakie tam głoszę, tym szlachetniejsze i wspanialsze się staną!

— A co za tym idzie, twoja praca z każdym dniem staje się coraz trudniejsza.

— Tak i nie. Jestem bliski wygranej. Ale muszę odnieść ostateczne zwycięstwo na Jego warunkach. Piekło jest miejscem cierpienia. Przyjrzyj mu się jednak z uwagą. Spójrz na to, co On uczynił: Kiedy otworzył bramy szeolu, kiedy zstąpił w ciemność szeolu, niczym bóg Tamuz do sumeryjskiego piekła, dusze przybyły do Niego, pojęły Jego odkupienie, ujrzały rany w Jego dłoniach i stopach, a to, że miał umrzeć za nie, jeszcze bardziej je zdezorientowało i, rzecz jasna, udały się za Nim do bram niebios, bo nagle całe ich cierpienie nabrało sensu. Lecz czy faktycznie miało sens? Czy można przydać świętości cyklowi Natury tylko przez nasycenie go Boską Mocą? Czy to wystarczy?

A co z duszami, które czują się rozgoryczone, które nie miały okazji rozkwitnąć, po tym jak buty żołdaków wycisnęły z nich życie, co z duszami spaczonymi przez niewysłowioną niesprawiedliwość, które odeszły do wieczności, klnąc w żywy kamień, co ze światem współczesnym, który w szczególny sposób wydaje się zagniewany na Boga, na tyle, by przeklinać Go, a także Jezusa Chrystusa, jak to uczynili Luter i Dora, ty i wielu innych. Ludzie końca XX wieku nigdy nie przestali w Niego wierzyć. Dlatego Go nienawidzą, są na Niego obrażeni, wściekli. Czują się... czują się...

— Od Niego lepsi — rzuciłem półgłosem, powtarzając te same słowa, które wypowiedziałem wcześniej w rozmowie z Dorą. Nienawidzimy Boga. Nienawidzimy Go.

— Tak — przyznał. — Czujesz się od Niego lepszy.

— Ty również.

— Owszem. W piekle nie mogę pokazać im Jego ran. To nie pozwoli im osiągnąć stanu niezbędnego do wkroczenia do Królestwa Niebieskiego. A te ofiary, te nieszczęsne ofiary są wściekłe, oburzone, bo cierpiały niewysłowione katusze. Mógłbym powiedzieć im, że to ojcowie dominikanie w Jego imię palili ich ciała żywcem, oskarżając ich o czary. Albo że kiedy hiszpańscy żołdacy wyrzynali w pień całe wioski, czynili to w słusznej sprawie, bo na sztandarach niesionych do Nowego Świata widniały Jego krwawiące dłonie i stopy. Myślisz, że ktokolwiek chciałby opuścić piekło, gdyby wiedział, że Onna to pozwolił? I że dopuścił, aby inne dusze osiągnęły raj, nie zaznawszy nawet

odrobiny cierpienia i bólu? Gdybym miał

rozpocząć nauczanie od tego wyobrażenia — że Chrystus umarł za was — jak sądzisz, jak długo trwałaby Piekielna edukacja duszy?

— Nie wyjaśniłeś mi, czym jest piekło ani jak w nim nauczasz.

— Rządę nim po swojemu, możesz być pewien. Wyniosłem mój tron ponad Jego, jak mawiają poeci i redaktorzy Pisma, ponieważ wiem, że aby osiągnąć niebo, dusze nigdy nie potrzebowały cierpienia, że pełne zrozumienie i przyjęcie Boga nie wymagało postu, plag, ukrzyżowania ani śmierci. Wiem, że ludzka dusza przewyższyła Naturę i potrzebowała jedynie odrobiny spostrzegawczości oraz umiłowania piękna, aby tego dokonać! Hiob był Hiobem, zanim dosięgło go pasmo nieszczęść! Podobnie, gdy było już po wszystkim! Czego Hiob nauczył

się dzięki cierpieniu, czego nie wiedziałby wcześniej?

— Ale jak zamierzasz zorganizować to wszystko w piekle?

— Nie zaczynam od powiedzenia im, że dla Niego oko ludzkie wyraża doskonałość dzieła Stworzenia, gdy ze zgrozą patrzy na okaleczone ciało, tak jak wyraża doskonałość Stworzenia, kiedy kontempluje przepelniony spokojem ogród. A On upiera się, że jest tam wszystko. Twój Dziki Ogród, Lestacie, to Jego wersja doskonałości. Wszystko to ewoluowało z tego samego ziarna, a ja, Memnoch Diabeł, nie potrafiłem tego dostrzec. Mam prosty anielski umysł.

— Jak zamierzasz walczyć z Nim w piekle i mimo to wygrać niebo dla potępionych? Jaki masz plan?

— Jak sądzisz, czym jest piekło? — zapytał. — Na pewno masz już na ten temat określone zdanie.

— Zaczniemy od tego, że jest coś, co nazywamy czyścicem — odparłem. — Nikt nie jest na tyle zły, by nie mógł dostąpić odkupienia. Domyślałem się tego po wysłuchaniu waszego sporu na polu bitwy. Co zatem dusze w piekle muszą wycierpieć, aby dostąpić Nieba.

— Co twoim zdaniem powinny cierpieć?

— Nie wiem. Jestem przerażony. Udamy się tam, prawda.

— Tak, ale chciałbym wiedzieć, czego się spodziewasz.

— Nie wiem czego. Wiem, że istoty, które odebrały innym życie — tak jak ja — powinny cierpieć.

— Cierpieć czy zapłacić za to?

— Co to za różnica?

— Cóż, przypuśćmy, że miałbyś szansę wybaczyć Magnusowi — wampirowi, który cię przemienił, założmy, że stanąłby przed tobą i powiedział: — Lestacie, wybacz, że odebrałem ci śmiertelne życie i wyciągnąłem poza rubieży Natury, zmuszając w dodatku, abyś pił krew, żeby dalej egzystować.

Zrób, co zechcesz, tylko mi przebac. Co byś uczynił?

— Wybrałeś kiepski przykład — odparłem. — Nie wiem, czy mu nie przebaczyłem. Nie wiem, czy wiedział, co czyni. Nie dbam o niego. Był szalony. Był potworem ze Starego Świata.

Pchnął mnie na diabelski gościniec w przypiływie jakiegoś bezosobowego impulsu. Nawet o nim nie myślę. Nie obchodzi mnie. Gdyby miał szukać u kogoś przebaczenia, to raczej u śmiertelników, których zabił. W swojej wieży miał loch, pełen zamordowanych śmiertelników, młodych mężczyzn podobnych do mnie, których sprowadził tam najwidoczniej na próbę, później jednak, zamiast przeistoczyć, pozabijał ich wszystkich. Wciąż ich pamiętam. Ale to tylko zwykła masakra — sterty ciał młodych, jasnowłosych, niebieskookich mężczyzn. Młode istoty zostały pozbawione daru życia. Powinien błagać o wybaczenie tych, których okradł z życia w inny sposób — i próbować uzyskać je od każdej ze swoich ofiar. — Znów zacząłem dygotać. Tak dobrze znałem to uczucie. Gniew. Jaki byłem wściekły, kiedy inni oskarżali mnie o brutalne i nieuzasadnione ataki na śmiertelników. Mężczyzn, kobiety. I dzieci. Bezbronne dzieci.

— A ty? — zwrócił się do mnie. — Co twoim zdaniem byłoby konieczne, abyś mógł wstąpić do nieba?

— Cóż, zapewne mógłbym tego dostąpić, pracując dla ciebie — odparłem zuchwale. — A przynajmniej tak wynika z tego, co mi mówiłeś. Ale nie wyjaśniłeś mi, czym się konkretnie zajmujesz, opowiedziałeś mi historię Stworzenia i Pasji, z twojego i Jego Punktu widzenia, opisałeś, jak przeciwstawiłeś Mu się na ziemi, a Ja potrafię wyobrazić sobie, co z tego wynikło

— obaj jesteśmy Sensualistami, obaj wierzymy w mądrość ciała.

— W rzeczy samej.

— Nie wyjaśniłeś mi jednak, co właściwie robisz w piekle. Jak możesz być bliski zwycięstwa? Czy wysyłasz dusze całymi tabunami w Jego ramiona?

— Pospiesznie i z pełną akceptacją — odparł. — Nie mówię teraz o ofercie, jaką ci złożyłem, ani o moim ziemskim konflikcie z Nim, zadałem proste pytanie: Zważywszy na wszystko, co widziałeś, jak twoim zdaniem wygląda piekło?

— Boję się odpowiedzieć. Ponieważ tam jest moje miejsce.

— Nigdy niczego się nie lękałeś. Mów śmiało. Wyraź swoją opinię. Jak sądzisz, jak powinno wyglądać piekło, jakich mąk powinna doświadczyć dusza, by móc wstąpić do nieba? Czy wystarczy powiedzieć: Wierzę w Boga; Jezu, wierzę w Twoje cierpienie? Czy wystarczy rzecz: Wybacz mi moje grzechy, ponieważ Cię obraziłem, Panie mój? Albo: Wybacz, że kiedy żyłem na ziemi, nie wierzyłem w Ciebie, ale teraz wiem już, że to prawda, trzask, prask, jeden rzut oka na piekielną otchłań i jestem gotowy! Więcej już tak nie zrobię, a teraz wpuść mnie, proszę, do Twego Królestwa.

Nie odpowiedziałem.

— Czy wszyscy powinni pójść do nieba? — zapytał. — Czy naprawdę powinno być im to dane?

— Nie. To niemożliwe — odparłem. — Na pewno nie istoty takie jak ja, które torturowały i zabijały innych, ani nie ludzie, którzy celowo, poprzez swoje poczynania doprowadzili do rozprzestrzeniania wśród innych chorób lub rozmaitych katastrof — pożarów, trzęsień ziemi, mam na myśli tych, którzy krzywdzili innych bardziej niż klęski żywiołowe. Nie powinni trafić do nieba, jeśli nie wiedzą, jeśli nie pojmują albo nie zaczęli pojmować tego, co uczynili! Niebo w mig stałoby się piekłem, gdyby trafiały tam wszystkie okrutne, egoistyczne i zepsute dusze. Nie chciałbym spotkać w niebie niezreformowanych potworów. Gdyby to było takie proste, cierpienie tego świata byłoby wręcz...

— Jakie?

— Niewybaczalne — wyszeptałem.

— Co byłoby niewybaczalne z punktu widzenia duszy która umarła w bólu i zamięcie? Duszy, która wie, że Bóg o nią nie dba?

— Nie wiem — odparłem. — Kiedy opowiadałeś o poszukiwaniach w szeolu, o pierwszym milionie dusz, które przeprowadziłeś przez bramy niebios, nie mówiłeś o zreformowanych potworach lecz o ludziach, którzy wybaczyli Bogu niegodziwości tego świata czyż nie?

— Zgadza się. Tak właśnie było. To właśnie odkryłem. Takie dusze zabrałem z sobą do nieba.

— Ale z twoich słów wynikało, że ci ludzie byli bez wyjątku ofiarami Bożej niesprawiedliwości. Nie natknąłeś się na dusze winowajców? Takich jak ja niegodziwców, którzy przez całe swoje życie czynili innym krzywdę?

— Czy nie sądzisz, że i oni mają własne historie?

— Niektórzy mogą mieć jakieś wymówki wywodzące się z ich głupoty, prymitywizmu i lęku przed karą. Nie wiem tego na pewno. Jednak wielu, bardzo wielu złoczyńców musi być podobnych do mnie. Oni wiedzą, jacy są źli, ale nie dbają o to. Robią to, co robią... ponieważ lubią. Ja uwielbiam tworzyć wampiry. Uwielbiam pić krew. I odbierać życie. Zawsze tak było.

— Czy to dlatego pijesz krew? Ponieważ to lubisz? A może dlatego, że niesprawiedliwy świat uczynił z ciebie idealną, nadnaturalną maszynę, wiecznie żłaknącą krwi i żywiącą się jedynie krwią, że pozbawił cię życia i zmienił w dziecię nocy ów świat, dla którego byłeś kompletnie obojętny, podobnie jak wszystkie inne dzieci, które konały tamtej nocy z głodu na ulicach Paryża?

— Nie usprawiedliwiam tego, co robię ani kim jestem. Jeżeli tak sądzisz i właśnie dlatego wybrałeś mnie, abym rządził z tobą w piekle albo oskarżał Boga... to pomyliłeś adres.

Zasłużyłem, by ponieść karę za to, co odbierałem ludziom. Gdzie są ich dusze, tych, których zabiłem? Czy te dusze utraciły tożsamość i wciąż tkwią w wirze pomiędzy niebem a ziemią?

Wiem, że dusze tam są, widziałem je, dusze, które nie znalazły jeszcze swego miejsca.

— To prawda.

— Mogłem wysłać te dusze w głąb wiru. Jestem uosobieniem okrucieństwa i chciwości.

Żywiłem się śmiertelnikami nader łapczywie. Nie potrafię tego usprawiedliwić.

— Czy sądzisz, że chcę, abyś to usprawiedliwił? — zapytał Memnoch. — Jak wielkie okrucieństwo próbowałem tu usprawiedliwić? Skąd przypuszczenie, że chciałem, abyś usprawiedliwił swoje poczynania lub próbował ich bronić? Czy kiedykolwiek broniłem kogoś, przez kogo cierpieli inni?

— Nie.

— No więc?

— Czym jest piekło i jak nim kierujesz? Nie chcesz, aby ludzie cierpieli. Chyba nie chcesz nawet, abym ja cierpiał. Nie możesz wskazać na Boga palcem i powiedzieć Mu, aby uczynił

wszystko dobrym i sensownym! To niemożliwe. Jesteś Jego przeciwieństwem. Czym wobec tego jest Piekło?

— A jak ci się zdaje? — zapytał raz jeszcze. — Na co postawisz, zanim zechcesz odrzucić mnie z założenia? Zanim przede mną uciekniesz. W jakie piekło mógłbyś uwierzyć i jakie stworzyłbyś, będąc na moim miejscu?

— Byłoby to miejsce, w którym ludzie uświadamialiby sobie, co uczynili innym, i gdzie stawialiby temu czoło, aby już nigdy, przenigdy nie powtórzyć podobnych błędów; miejsce, gdzie dusze reformowałyby się — dosłownie — dzięki wiedzy o tym, co źle zrobiły i jak mogły tego uniknąć, a także jak powinny były postąpić. Kiedy zrozumieją, jak powiedziałaś o wybrańcach szeolu, kiedy będą w stanie wybaczyć nie tylko Bogu cały ten bałagan, lecz również sobie samym, ich własne błędy i porażki, gniewne reakcje, podłość i zaślepienie, kiedy nauczą się kochać wszystkich, bezgranicznie i równie bezgranicznie wybaczać, wówczas będą godne wstąpić do nieba. Piekło powinno być miejscem, gdzie dusze mogłyby oglądać konsekwencje swoich czynów, lecz z pełną, miłosierną świadomością tego, jak niewiele naprawdę wiedziały za życia.

— Właśnie! Wiedzieć, co raniło innych, mieć świadomość, że się o tym nie wiedziało, że nikt nie obdarzył cię odpowiednią wiedzą, ale mimo to miałeś odpowiedni potencjał! I umieć to wybaczyć, podobnie jak wybaczyć swoim ofiarom, Bogu i samemu sobie!

— Tak. To byłoby to. To ukoiłoby mój gniew, moją wściekłość. Gdybym umiał wybaczyć Bogu, innym i sobie, nie byłbym tak dogłębnie przepełniony nienawiścią.

Milczał. Siedział ze skrzyżowanymi ramionami, a wilgotne powietrze lekko tylko muskało jego ciemne, gładkie czoło.

— Takie właśnie jest piekło, prawda? — spytałem trwożliwie. — To... miejsce, gdzie uczysz się pojmować, co czyniłeś innym... gdzie masz zrozumieć, jakie im zadawałeś rany...

— Tak, i to jest właśnie straszne. Stworzyłem je i kieruję nim, aby nauczać dusze prawych i łotrów, tych, co cierpieli, i tych, co dokonywali okrutnych czynów. W piekle nauczam wyłącznie jednego:

miłości.

Byłem przerażony, tak jak wtedy, gdy weszliśmy do Jerozolimy.

— On kocha moje dusze, gdy do Niego przychodzą! — rzekł Memnoch. — I w każdej z nich widzi potwierdzenie słuszności swojej drogi.

Uśmiechnąłem się z rozgoryczeniem.

— Wojna jest dla Niego czymś wspaniałym, a choroba ma w Jego oczach olśniewające barwy.

Samopoświęcenie zda Mu się wyrazem jawnego, wyrazistego uwznioślenia Jego chwały. Tak jakby On robił to wszystko! Próbuje omamić mnie liczbami. W imię krzyża czyniono na ziemi więcej niegodziwości niż pod jakimkolwiek innym znakiem, wyznaniem, symbolem czy doktryną filozoficzną. Ja zaś opróżniam piekło w bardzo szybkim tempie, mówiąc duszom prawdę o tym, jak ludzie cierpią, co wiedzą i co mogą uczynić, aby moje dusze weszły do Królestwa Niebieskiego! Jak sądzisz, kto trafia do piekła, czując się najbardziej oszukany, najbardziej zagniewany i nie zna przebaczenia? Dziecko, które zginęło w komorze gazowej albo obozie zagłady? A może wojownik z rękoma unurzany po łokcie we krwi, któremu powiedziano, że jeśli wyrznie w pień wrogów państwa, zyska dla siebie miejsce w Walhalli, raju lub niebie?

Nie odpowiedziałem. Słuchałem go w milczeniu i obserwowałem. Wychylił się do przodu, tym gestem domagając się ode mnie jeszcze bardziej wyteżonej uwagi, i równocześnie zmienił

się, na moich oczach przeistaczając się z diabła, kozłonogiego człowieka bestię w anioła, Memnocha, w luźnej, pospolitej szacie, a jego oczy spojrzały na mnie promiennie spod złocistych brwi.

— Piekło to miejsce, gdzie naprawiam Jego błędy — powiedział. — Tam regeneruję umysły, by stały się takimi, jakimi mogłyby być, gdyby nie wypaczyło ich cierpienie! W piekle nauczam kobiety i mężczyzn, że mogą stać się lepsi od Niego. Ale na tym polega moja kara — moje piekło — za to, że wszedłem z Nim w spór, muszę tam się udać i pomagać duszom, by wypełniły swój cykl, tak jak On go postrzega, i muszę żyć tam razem z nimi! Bo jeśli nie będę im pomagał, jeżeli nie będę ich szkolił, przyjdzie mi zostać tam na zawsze! Jednak to nie piekło jest moim polem bitwy. Jest nim ziemia. Lestacie, nie toczę z Nim walki w piekle, lecz na ziemi. Krążę po świecie, aby odnaleźć i zniszczyć każdy wystawiony przez Niego pomnik stanowiący pochwałę samopoświęcenia i cierpienia, uświęcający agresję, okrucieństwo i destrukcję. Wyprowadzam mężczyzn i kobiety ze świątyń, aby śpiewali, tańczyli, pili i kochali się z oddaniem i miłością.

Robię wszystko, co w mojej mocy, aby ujawnić kłamstwo będące fundamentem Jego religii!

Próbuję unicestwić kłamstwa, na których krzewienie On sam dozwolił w miarę rozszerzania się wszechświata. On jest jedynym, który może bezkarnie pozwolić sobie na cierpienie. To dlatego, że jest Bogiem, i nie wie, co to oznacza. Nigdy tego nie wiedział. Stworzył istoty bardziej sumienne i kochające niż On sam. A ostateczne zwycięstwo nad całym ludzkim złem nastanie, gdy w końcu zostanie obalony, gdy usunę Go z tronu raz na zawsze, by odarty z wszelkich tajemnic, odrzucony,

popadł w zapomnienie, a ludzie zaczną poszukiwać prawdy, cnót, sprawiedliwości i miłości w sobie nawzajem, dla siebie i wszystkich innych.

— Oni próbują to robić, Memnochu! Naprawdę! — rzekłem. — O to im chodzi, kiedy mówią, że Go nienawidzą. O to chodziło Dorze, gdy powiedziała: „Zapytaj Go, czemu na to wszystko pozwala!” Kiedy zacisnęła dłonie w pięści.

— Wiem. A teraz, czy zechcesz pomóc mi w walce z Nim i Jego krzyżem czy też nie? Czy udasz się ze mną z ziemi do nieba i do tego odrażającego piekła bolesnego zrozumienia, plugawego od obsesji Jego cierpienia? Nie będziesz mi służył tylko w jednym, tym czy innym miejscu, ale we wszystkich trzech. I jak ja, możesz niedługo stwierdzić, że nie jesteś w stanie znieść nieba, które mierzi cię podobnie jak czeluść piekielna. Ta błogość nieba sprawia, że chce się tym bardziej naprawić zło, które On uczynił, i nie wątpię, że będziesz pragnął dopomóc owym udręczonym, zagubionym duszom, pomóc im, aby zrozumiały i przeszły z szeolu do światła. Kiedy będziesz w świetle, nie zdołasz ich zapomnieć! Oto, co oznacza służyć komuś takiemu jak ja! — Przerwał, po czym zapytał: — Czy masz odwagę, aby je ujrzeć?

— Chcę je zobaczyć.

— Ostrzegam cię, to piekło.

— Właśnie zaczynam sobie wyobrażać...

— Nie będzie istnieć wiecznie. Nadejdzie dzień, kiedy za sprawą Jego ludzkich wyznawców świat rozpadnie się w proch i pył albo kiedy wszyscy zmarli doznają oświecenia i oddadzą Mu się w opiekę, by trafić wprost do bram niebios. Świat idealny albo unicestwiony, jedno z dwojga

— któregoś dnia Piekło przestanie istnieć. A wówczas wrócę do nieba, zadowolony, że się tam znajduję, po raz pierwszy od dnia mego stworzenia, od zarania dziejów.

— Zabierz mnie z sobą do piekła, bardzo cię proszę. Chcę je zobaczyć, już, teraz.

Wyciągnął rękę i pogładził mnie po włosach, dotknął mojej twarzy. Jego dłonie były ciepłe i miłe w dotyku. Ogarnął mnie dziwny spokój.

— Tyle razy w przeszłości — ciągnął — omal nie zdobyłem twojej duszy! Widziałem ją, jak wyrywa się z twego śmiertelnego ciała, a później potężne, nadnaturalne ciało obdarzone nadnaturalnym mózgiem i odwagą godną bohatera scalilo na dobre tę potworną istotę, którą się stałeś, i dusza gorejąca w twoim wnętrzu znalazła się poza moim zasięgiem. A teraz... teraz ryzykuję, że tam trafisz, choć możesz przecież w każdej chwili odmówić, robię to w nadziei, że wytrzymasz to, co tam zobaczysz i usłyszysz, i wrócisz, aby podjąć decyzję i przyłączyć się do mnie.

— Czy był kiedyś taki moment, że moja dusza mogła wzbić się wprost do nieba i minawszy cię, znaleźć się w wielkim wirze?

— A jak myślisz?

— Pamiętam... raz, kiedy jeszcze żyłem...

— Tak?

— ...piękną chwilę, kiedy popijałem i rozmawiałem z moim przyjacielem Nicolasem w mojej wiosce we Francji. I wtedy nastąpiła ta cudowna chwila, kiedy wszystko wydawało się znośne, piękne, a koszmary i zgroza nie miały do nas dostępu. To było tylko przez chwilę, ot, pijacka euforia. Opisałem to w mojej książce; próbowałem przywołać tę chwilę raz jeszcze. W tym momencie byłem gotów wybaczyć wszystko każdemu, oddać ostatni grosz i ostatnią koszulę, którą miałem na grzbiecie, podzielić się wszystkim ze wszystkimi, i odniosłem wrażenie, jakbym w ogóle nie istniał, ujrzałem bowiem wszystko, co było poza mną, na zewnątrz mnie. Nie wiem, może gdyby właśnie wtedy spotkała mnie śmierć...

— Ale pojawił się strach, lęk, gdy zdałeś sobie sprawę, że gdybyś nawet umarł, mógłbyś niczego nie zrozumieć, że może nic tam nie ma...

— ...tak. A teraz obawiam się czegoś gorszego. Ze coś tam jest, to pewne, i owo coś może być o wiele gorsze niż ta nicość, pustka, której się wcześniej lękałem.

— Masz rację. Nie potrzeba narzędzi tortur, gwoździ atut ognia, aby mężczyźni i kobiety zaczęli pragnąć ostatecznego zapomnienia. Wcale nie trzeba wiele. Wyobraź sobie, że zapragnąłeś abyś się nigdy nie narodził.

— Znam tę koncepcję. I nie chcę doświadczać raz jeszcze tego odczucia. Za bardzo mnie przeraża.

— Jesteś roztropny, skoro odczuwasz lęk, ale nigdy nie byłeś bardziej gotowy na to, co właśnie teraz zamierzam ci ukazać

21

Podmuchy wiatru omiały kamienistą równinę, potężna siła odśrodkowa zelżała i rozpląnęła się, uwalniając dusze, które próbowały się z niej wyzwolić i przyjąwszy wyraźne ludzkie kształty, zaczęły się dobijać do bram piekieł albo wędrowały wzdłuż niewiarygodnie wysokich murów, pośród bijącej zza nich poświaty migoczących ogni, wyciągając ręce i zwracając się błagalnie jedna do drugiej.

Zawodzenie wiatru zagłuszało wszystkie głosy. Dusze w ludzkiej postaci walczyły i przepychały się, inne zaś błędziły, jakby poszukując czegoś małego i utraconego, po czym uniosły ręce, pozwalając, by na nowo pochłonęła je potęga wiru.

Jakaś dusza w postaci kobiety wyciągnęła ręce w stronę grupki szlochających duszyczek dzieci, wśród których były tak małe, że z trudem utrzymywały się na nogach. Dusze dzieci błękały się, szlochając w rozpacz.

Zbliżyliśmy się do bram, wąskie, łamane łukowato sklepienie przejścia było czarne i piękne, jak wykute z onyksu przez średniowiecznych rzemieślników. W powietrzu rozchodził się zduszony płacz.

Wszędzie wokół wyciągały się w naszą stronę ręce dusz. Szepty otoczyły nas niczym stado gzów na polu bitwy. Duchy szarpały mnie za marynarkę i włosy.

Pomóż nam, wpuść nas, do licha, bądź przeklęty, zabierz mnie z powrotem, uwolnij mnie, przeklinam cię po tysiącokroć, do cholery, pomóż mi, pomocy... — mieszające się ze sobą głosy osiągnęły crescendo.

Próbowałem odzyskać ostrość widzenia. Przede mną w powietrzu unosiły się delikatne twarze, czułem na skórze ciepło oddechów.

Bramy nie były materialne, lecz stanowiły otwarte przejścia do innego miejsca. Za nimi zaś stali pomocni zmarli, z pozoru bardziej materialni od innych, wyraźniejsi, lecz mimo to półprzezroczysti; nawoływali zagubione dusze, przyzywając je po imieniu, i przekrzykując ryk wichury, informowali je, że muszą odnaleźć drogę do wewnątrz, że powinny poszukać wejścia, że to nie jest Zatrącenie.

Pochodnie trzymano uniesione wysoko, na murach płonęły latarnie. Niebo przecinały błyskawice, a z armat, zarówno nowoczesnych, jak i pradawnych, buchały kaskady mistycznych iskier. Powietrze wypełniała woń prochu strzelniczego i krwi. Raz po raz rozpalały się światła niczym na magicznym pokazie kuglarskich sztuczek na dawnym dworze chińskich cesarzy, zaraz jednak czerń powracała jak cienki woal, otaczając nas zimnym, niematerialnym kokonem.

— Wejdźcie do środka — zanuciły melodyjnie dobrze ukształtowane, proporcjonalne duchy.

Pomocni zmarli, zdeterminowani jak Roger, przedstawiciele wszystkich nacji, w strojach z najróżniejszych epok, mężczyźni, kobiety, dzieci, starcy; żadne z ciał nie było nieprzezroczyste, ale ani jedno nie wyglądało na słabe — wszystkie mijały nas, kierując się ku odległej dolinie, aby tam wspierać walczące, klnące w żywy kamień, zagubione dusze. Pomocni zmarli z Indii — w jedwabnych sari, z Egiptu — w bawełnianych tunikach, z dawno zapomnianych królestw — w przepięknych dworskich szatach ozdobionych drogimi kamieniami; można tu było zobaczyć ubiory z całego świata, upierzone ozdoby, które nam raczej kojarzą się z dzikimi ludami, ciemne habity kapłanów, istna mozaika dobieranych indywidualnie strojów, od najprostszych po najbardziej olśniewające.

Przywarłem do Memnocha. Czy ten tłum wszystkich nacji i czasów był piękny? Na pewno nie był odrażający. Nadzy, czarni, biali i Azjaci, przedstawiciele tych wszystkich ras wyciągali z przekonaniem ręce, pośród tych zagubionych, dezorientowanych dusz! Grunt ranił moje stopy; poczerniały, kamienisty margiel usiany muszlami. Czemu akurat to? Dlaczego?

Jak okiem sięgnąć, zbocza unosiły się lub opadały łagodnie, biegnąc ku pionowym, stromym klifom w oddali albo kończąc się szczelinami, tak głębokimi i wypełnionymi nieprzeniknionym mrokiem, że zdawały się nie mieć dna.

W przejściach migotało światło, w górę i w dół surowych, groźnych murów biegingy strome schody, ściany te zaś ciągnęły się hen w dal, ku ledwie widocznym dolinom lub wartkim strumieniom, złocistym, parującym i upstrzonym tu i ówdzie czerwienią krwi.

— Pomóż mi, Memnochu! — wyszeptalem. Nie odważyłem się puścić chusty. Nie mogłem zakryć obojga uszu. Skowyt przenikał mnie na wskroś, docierał do samej duszy, jakby sięgały jej ostrza niewidzialnych siekier. — Memnochu, to nie do zniesienia!

— Wszyscy ci pomożemy — zawołały pomocne dusze. Cała ich gromada otoczyła mnie ze wszystkich stron, aby mnie ucałować i uściskać, w ich oczach malowała się głęboka troska. —

Lestat tu przybył. Lestat jest tutaj. Memnoch go przyprowadził. Wejdz do piekła.

Głosy przybierały na sile; cichły i nakładały się na siebie, jakby całe ich mnóstwo odmawiało różaniec, każdy zaczynał od innego miejsca, ale recytacja była miarowa i melodyjna.

— Kochamy cię.

— Nie lękaj się. Potrzebujemy cię.

— Zostań z nami.

— Skróć nasz pobyt tutaj.

Poczułem ich delikatny, kojący dotyk, mimo iż jasne światło budziło we mnie trwogę, niebo wciąż rozcinały zygzaki błyskawic, a w nozdrzach poczułem gryzącą woń dymu.

— Memnochu! — Schwyciłem jego czarną jak heban rękę, gdy pociągnął mnie za sobą, jego profil wydawał się chłodny, bezosobowy. Oczy srodze przepatrywały połacie jego królestwa.

Przed nami góra rozpekła się na dwoje i ukazała się bezkresna równina, pełna spierających się i wędrujących umarłych, zagubionych i zapłakanych, poszukujących i przerażonych; tym ostatnim towarzyszyły pomocne duchy, prowadziły ich, wspierały i pocieszały, inni zaś biegli na łeb, na szyję, jakby sądzili, że mogą uciec, lecz tylko bezradnie kręcili się w kółko i wpadali na gromady innych spanikowanych dusz.

Skąd płynęło to piekielne światło, ta przepiękna, bezkresna iluminacja? Ponad wierzchołkami gór wytryskiwały fontanny iskier, nagłe kaskady gorejącej czerwieni.

Skowyt przybrał na sile, odbijając się echem od skał. Dusze zawodziły i śpiewały. Pomocni zmarli spieszyli, by pomóc podnieść się tym, co upadli, albo podprowadzić tych, którzy dopiero co przybyli do tych lub innych schodów, bramy, ścieżki lub wejścia do jaskini.

— Przeklinam Go, przeklinam Go, przeklinam! — rozbrzmiewało wśród dolin i gór.

— Nie ma sprawiedliwości, nie po tym, co uczynił!

— Chyba nie powiesz mi, że...

— ...ktoś musi to naprawić...

— Chodź, trzymam cię — rzekł Memnoch i ruszył szybkim krokiem, z tym samym ponurym wyrazem twarzy, prowadząc mnie w dół, po stromych, niebezpiecznie wąskich schodach ciągnących się wzdłuż zbocza skały.

— Nie zniosę tego! — krzyknąłem, ale wiatr zagłuszył moje słowa.

Znów sięgnąłem prawą ręką za pazuchę, by dotknąć znajdującej się tam chusty, po czym przyłożyłem dłoń do porowatej Powierzchni skały. Czy te wgłębienia oznaczały miejsca, które czyjeś ręce i stopy próbowały wykorzystać do wspinaczki? Wrzaski i zawrodość sprawiała, że nie byłem w stanie pozbierać myśli, darliśmy do kolejnej doliny.

A może to był świat tak rozległy i na swój sposób złożony jak niebo? Znajdowały się tu bowiem niezliczone pałace, wieże i łuki, w odcieniach ciemnego brązu, palonej sjeny, ochry, a także starego złota. Pomieszczenia wypełniały duchy w najróżniejszym wieku i różnych nacji.

Były zaangażowane w zażarte dyskusje, spory, przepychanki, a nawet bójki, niektóre zaś śpiewały albo obejmowały się czule nawzajem: żołnierze w mundurach z różnych wojen, tych dawnych i tych współczesnych, kobiety w workowatych, luźnych szatach, jakie nosi się na terenach Ziemi Świętej, dusze współczesnego świata, w najmodniejszych strojach, przykurzonych teraz i brudnych od sadzy, jakby w tym miejscu żaden z kolorów nie mógł ukazać się w pełnej chwale. Dusze szlochały i poklepywały się wzajemnie, inne zaś kiwały głowami, wymachiwały zaciśniętymi kurczowo pięściami i wykrzykiwały z siebie całą furię i gniew.

Dusze w mnisich habitach z szorstkiego, brązowego płótna, zakonnice w sztywnych, białych nieskazitelnych barbetach, księżęta w aksamitnych kubrakach z bufiastymi rękawami, nadzy mężczyźni, którzy sprawiali wrażenie, jakby nigdy nie znali odzienia, suknie z farbowanej przędzy i starych koronek, z jedwabiu i sztucznego tworzywa, grube, oliwkowe, wojskowe khaki, zbroje ze spiżu, samodiałowe tuniki wieśniaków i nowoczesne, szyte na miarę garnitury, suknie przesywane srebrną nicią, włosy we wszelkich odcieniach, zwichrzone i płaczące się na wietrze; twarze o najróżniejszych kolorach; starcy klęczący ze złączonymi dłońmi, łyse głowy, różowe i delikatnie pomarszczone przy karku, a obok nich chude, białe, widmowe ciała tych, którzy za życia przymierali głodem, pijąc wodę ze strumieni jak zwierzęta, i inne, leżące na wznak, na kamieniach z na wpół przymkniętymi oczami, pod poskręcanyimi, karłowatymi drzewami, śpiewające, śniące i modlące się.

Moje oczy przywykły już do półmroku. Dostrzegałem coraz więcej szczegółów, coraz lepiej rozpoznawałem pogmatwane fragmenty zgromadzone na niewielkiej przestrzeni. Albowiem widoczny wokół każdej prawdziwej duszy tuzin tańczących, śpiewających lub zawodzących postaci był jedynie projekcją pochodzącą od danej duszy, dzięki czemu mogły one kontaktować się między sobą.

Upiorna postać kobiety pożeranej przez płomień była niczym innym jak fatamorganą dla wyjących dusz, które rzucały się w ogień, by odwiązać ją od pala, zdusić falujące jęzory płomienia które paliły jej włosy, i ocalić ją przed niewysłowionym cierpieniem. To było miejsce czarownic. Wszystkie płonęły. Ratujcie je! O Boże, jej włosy płoną!

Żołnierze nabili działo i zasłonili uszy przed hukem wystrzału, ale byli oni jedynie iluzją dla prawdziwych legionów, które szlochały, klęcząc, a olbrzym z toporem w rękach okazał się fantomem

dla tych, którzy patrząc na niego z przerażeniem, dostrzegli w nim siebie.

— Nie mogę patrzeć... nie mogę.

Przerażające obrazy zbrodni, tortur i okrucieństwa migotały przede mną jak płomienie, które niemal parzyły mi twarz. Fantomy wleczono na śmierć w kotłach z wrzącą smołą, żołdacy osuwali się na klęczki z wytrzeszczonymi oczami, książęta jakiegoś zaginionego perskiego królestwa krzyczeli i podskakiwali rozpaczliwie, wymachując rękami; w ich oczach odbijały się obrazy tańczących płomieni.

Wrzaski, jęki, szepty nabrały nowego, drapieżnego tonu, pojawiły się nieśmiałe jeszcze próby protestu, pytania i odkrycia. Głosy łączyły się ze sobą, nawet jeśli tylko jedna z dusz miała odwagę, by tego wysłuchać.

— Tak, tak, a ja myślałem, a przecież wiedziałem...

— ...moje najdroższe, moje maleństwa...

— ...w twoje ramiona, bo ty przecież nigdy, przenigdy...

— ...a ja przez cały czas myślałem... a ty...

— Kocham cię, kocham cię, kocham, tak i zawsze... nie, nie wiedziałaś. Nie wiedziałaś. Nie mogłaś wiedzieć.

— ...zawsze sądziłem, że tak miało być, że powinienem był tak zrobić, ale wiedziałem, czułem...

— ...odwagę, by się odwrócić i powiedzieć, że to nie tak...

— Nie wiedzieliśmy! Nie wiedzieliśmy!

Wszystkie te słowa stopiły się w jeden niecichnący krzyk.

N i e w i e d z i e l i ś m y !

Na wprost mnie wznosiła się ściana meczetu, przed którym tłoczyły się wrzeszczące dusze.

Gdy przy wtórze ogłuszającego ryku artylerii sypały się na nie kawałki ściany, zasłaniały głowy.

Same zjawy!

Nie wiedzieliśmy, nie wiedzieliśmy, zawodziły dusze. Pomocni zmarli klęczeli, a po ich policzkach spływały łzy...

— Tak, rozumiemy i wy rozumiecie.

— Tak, tego roku po prostu wrócić do domu i być tam z...

— Tak...

Upadłem, potknąwszy się o kamień. Runąłem w sam środek kłęczących na czworakach żołnierzy, szlochających, obejmujących się nawzajem, i widmowych postaci ich ofiar, podbitych, wymordowanych, zmarłych z głodu; wszyscy kołysali się i szlochali jednym głosem.

Nastąpiła cała seria eksplozji, każda kolejna była gwałtowniejsza od poprzedniej, co jest możliwe wyłącznie w czasach współczesnych. Niebo było jasne jak w dzień — jeśli dzień może być bezbarwny i bezlitosny — aż nagle rozplynęło się w migoczącej ciemności.

Widoczna ciemność.

— Pomóżcie mi się stąd wydostać — zawołałem, ale one nie słyszały ani nie zwracały uwagi na moje krzyki, a kiedy zacząłem poszukiwać wzrokiem Memnocha, ujrzałem tylko rozsuwające się na boki drzwi windy, przede mną zaś pojawił się wielki, współczesny pokój z wytwornymi żyrandolami i podłogą z klepki, pokrytą miękkimi, zdającymi się nie mieć końca dywanami.

Połysek i blichtr naszego zautomatyzowanego świata. W moją stronę biegł Roger.

Roger wyglądający jak dandys, w fioletowej marynarce z jedwabiu i szytych na miarę, obcisłych spodniach, z uperfumowanymi włosami i wymanikiurowanymi dłońmi.

— Lestacie! — zawołał. — Terry jest tutaj. One tu są, Lestacie. — Chwycił mnie za klapy marynarki i wbił we mnie wzrok, poczułem na twarzy jego oddech. Całe pomieszczenie rozwiało się w oparach dymu i ujrzałem rozmytą zjawę Terry, o jasnych włosach, rzucającą mu się na szyję; na twarzy Terry pojawił się wyraz zdumienia, różowe usta rozchyliły się lekko, ale zaraz skrzydło Memnocha opadło w dół, odrzucając mnie od nich, a w podłodze pojawiła się rozszerzająca się szczelina.

— Chciałem powiedzieć mu o chuście... — rzuciłem. Zacząłem się wrywać.

Memnoch przytrzymał mnie.

— Tędy!

Niebiosa rozwarły się i znów buchnęła z nich kaskada iskier, chmury zderzyły się ze sobą przy wtórze ogłuszającego gromu, błyskawice pomknęły w dół, tuż nad naszymi głowami, i zaraz potem spadł deszcz; lunęło jak z cebra.

— O Boże, o Boże, o Boże! — zawołałem. — To nie może być twoja szkoła. Boże! Nie!

— Patrz, patrz!

Wskazał na Rogera, który na czworakach jak pies tarzał się wśród zabitych przez siebie ofiar; mężczyźni błagalnie wyciągali do niego ręce, kobiety darły suknie, by pokazać mu swoje rany, gwar głosów niebezpiecznie przybrał na sile, jakby wszystkie odgłosy piekła miały lada chwila eksplodować, a Terry — ta sama Terry — wciąż obejmowała go za szyję. Roger leżał na ziemi, przód koszuli miał rozdarty, stopy gołe, wokół niego wznosiła się dżungla. W mroku huknęły strzały.

Terkot broni automatycznej, plującej w przypiływie nieukojonej wściekłości zabójczymi, fatalnymi kulami. Wśród monstualnych drzew i winorośli zamigotały światła domu. Roger odwrócił się do mnie, próbując wstać, jedna noga ugięła się pod nim. Płakał, łzy ciekły mu po twarzy.

— ...każdego mego czynu, na swój sposób, Lestacie, boja nie wiedziałem... nie wiedziałem...

Już po chwili Roger wtopił się w tłum. Widziałem je wokoło, jak okiem sięgnąć. Inne dusze.

Kolejne sekwencje nakładały się na siebie, popielate barwy jaśniały lub niknęły w ciemnawej mgiele, a tu i ówdzie ponad przeraźliwie wzburzonymi piekielnymi polami wznosiły się dusze oczyszczone. Rozległo się bicie w bębny i przerażające wrzaski towarzyszące jakimś niewysłowionym torturom; gromada ludzi w prostych, białych szatach była wpychana do ognia i wyciągała ręce do dusz, które cofały się, wyły i skamlały w przypiływie wyrzutów sumienia i nagłego rozpoznania.

— Boże, mój Boże, obu nam zostało wybaczone!

Co miał znaczyć ten nagły podmuch cuchnącego, plugawego wiatru? Dusze unosiły się, rozkładając szeroko ramiona, ich odzienie znikło lub zmieniło się w nie przykuwające wzroku szaty zbawionych, otworzył się tunel.

Ujrzałem światło i miriad dusz wnikałych w głąb tunelu, ku niebieskiemu blaskowi. Tunel był idealnie okrągły i rozszerzał się, gdy dusze uniosły się w górę, a potem przez jedną krótką, cudowną chwilę, przez błogosławione mgnienie oka, słysząc było chóry niebieskie, anielska pieśń spłynęła w dół, jakby ściany tunelu nie były utkane z wiatru, lecz z materii i mogły odbijać echo tych eterycznych peanów, których rytm i chwytające za serce piękno przenikało na wskroś to niewysłowione miejsce cierpień i katuszy.

— Nie wiedziałem! Nie wiedziałem! — rozległy się głosy, po czym tunel się zamknął.

Ruszyłem chwiejnym krokiem, odwracając się to w jedną, to w drugą stronę. Opodal żołnierze torturowali młodą kobietę, dźgając ją włóczniami, podczas gdy inni szlochali i próbowali osłonić jej wijące się ciało przed kolejnymi ciosami oprawców. Jeszcze dalej dzieci biegły na pulchnych nóżkach z rozłożonymi szeroko rączkami, wprost w ramiona szlochających ojców, matek, morderców.

Tuż obok ujrzałem przyszpilonego do ziemi mężczyznę w zbroi; miał długą, rudą brodę, z otwartych ust dobywał się skowyt — nieprzerwanie przeklinał Boga, diabła i swój los. Nie zrobię tego, nie zrobię, nie zrobię!

— A kto stoi za tymi drzwiami — rzekł posepny pomocny duch, zjawa kobiety o przepięknych, świetlistych włosach migoczących eteryczną bielą. Dotknęła delikatną dłonią mojej twarzy. — Zobacz. — Podwójne drzwi właśnie się otworzyły, półki regałów uginały się od ksiąg. — Twoi umarli, najdroższy, twoi umarli, ci wszyscy, których zabiłeś!

Spojrzałem na rudobrodego żołdaka leżącego na wznak i ryczącego na cały głos:

— Nigdy, przenigdy nie powiem, że to było słuszne, nigdy, nie ma mowy...

— Tylko nie moi umarli! — zawołałem.

Odwrociłem się i pobiegłem. Wtem potknąłem się i runąłem do przodu, w zwartą ciżbę miękkich ciał. Za nimi dopalały się zgliszcza wielkiego miasta, ze wszystkich stron słychać było rumor walących się murów, znów rozległ się huk dział, powietrze wypełniła drażniąca woń zabójczych gazów, ludzie zaczęli się dusić i rozpaczliwie chwytać powietrze, chór powtarzający:

„Nie wiedziałem” stopił się w jeden wielki dojmujący krzyk.

— Pomóżcie mi! — wołałem bez końca. Nie wiedziałem dotąd, jak wielką ulgą może przynieść krzyk, ten jawny, oczywisty znak nieskrywanego tchórzostwa, ale zrozumiałem to, gdy zacząłem nawoływać pod niebiosa, właśnie tu, w tym zapomnianym przez Boga miejscu, gdzie samo powietrze wydawało się stworzone z jednego niecichnącego ani na chwilę krzyku, którego nie słyszał nikt prócz uśmiechających się pomocnych zmarłych.

— Ucz się, najdroższy.

— Ucz się. — Szepty jak pocałunki. Zjawa Hindusa, śniadolicego mężczyzny w turbanie. —

Ucz się, młodzieńcze.

— Spójrz w górę, zobacz kwiaty i niebo... — Pomocny duch tańczył wkoło, jego biała suknia to pojawiała się, to nikła wśród chmur, obłoków sadzy i brudu, stopy zatapiały się w marglu, ale kąpały pewnie i zdecydowanie.

— Nie próbuj mnie okpić, tu nie ma żadnego ogrodu! — zawołałem. Ukląłem. Ubranie miałem w strzępach, ale chusta wciąż tkwiła pod koszulą. Miałem ją! Miałem chustę.

— Weź mnie za rękę...

— Nie, puść mnie! — Wsunąłem rękę za pazuchę, aby dotknąć chusty.

W moją stronę szła chwiejnie mglista postać, wyciągając przed siebie rękę.

— Ty, ty przeklęty chłopcze, ty paskudny chłopcze, bładzacy po paryskich uliczkach jak sam Lucyfer, lśniący złocistym blaskiem! Pomyśl, co mi uczyniłeś!

Ujrzałem przed sobą oberżę, chłopaka odrzuconego ciosem mojej pięści śmiertelnika, przewracające się beczki i bełkotliwe, groźne głosy zbliżających się do mnie podpitych mężczyzn.

— Nie, wstrzymajcie się! — ryknąłem. — Zabierzcie go ode mnie. Nie pamiętam go. Nigdy go nie zabiłem. Nie pamiętam, słowo daję, nie mam jego... Claudio, gdzie jesteś? Gdzie się podziałaś, ty, której uczyniłem tak wielką krzywdę? Claudio! Nicolasio, pomóżcie mi!

Byli tam, pośród całego tego chaosu, a może dawno już odeszli przez tunel do Królestwa

Niebieskiego, by słuchać anielskich peanów? Oby tak było, modliłem się, by trafili już do nieba.

W moim krzyku nie było już nawet resztek godności, jakże zuchwałe mi się jednak wydawały.

— Niech mi ktoś pomoże! Ratunku!

— Czy musisz najpierw umrzeć, aby mi służyć? — zapytał Memnoch. Stał przede mną, granitowy anioł ciemności, z rozpostartymi skrzydłami. O, tak, zasłoń przede mną najgorsze koszmary piekieł, choćby nawet w tej monstualnej formie! — Krzyczysz w Piekle, tak jak śpiewałeś w niebie. To moje królestwo, to nasza praca. Pamiętaj o światłości!

Upadłem na bok, objając sobie boleśnie lewe ramię, ale nie puściłem chusty, którą ścisnąłem prawą ręką. Ujrzałem przez moment nad sobą błękit nieba i kwiaty brzoskwini unoszone wiatrem ponad drzewem, z którego gałęzi zwieszały się dojrzałe, soczyste owoce.

Dym zapiekł mnie w oczy. Klęcząca kobieta rzekła do mnie:

— Teraz już wiem, że nikt prócz mnie samej nie może mi przebaczyć, ale jak mogłam uczynić jej coś takiego, przecież jest taka malutka, jak mogłam...

— Sądziłam, że chodzi o coś innego — wyszeptała dziewczyna, która obejmowała mnie za szyję, nosem dotykała mojego, mówiąc te słowa: — Ale ty znasz to uczucie, kiedy trzymasz go za rękę, a on...

— Wybacz — rzekł Memnoch i delikatnie utorował nam drogę wśród tłumu dusz.

Cizba zaraz zgęstniała — blade postacie przetaczały się po mnie, jakby w poszukiwaniu ulgi, której nie dostrzegalem, lub może źródła zaniepokojenia.

— Wybacz! — wyszeptał Memnoch. Pochwycił mnicha, całego we krwi, w podartym, brązowym habicie, ze stopami w pęcherzach i poparzonymi od ognia. — W waszych sercach kryje się moc! — rzekł. — Bądźcie lepsi od Niego, bądźcie lepsi niż On, dajcie Mu przykład.

— Kocham... nawet Jego — rozległ się szept jednej z dusz.

— Tak. On nie mógł celowo sprawić, abyśmy tak cierpieli... Nie mógłby tego uczynić.

— Czy zdała egzamin? — rzuciłem ostro. — Czy to, co powiedziała ta dusza, jest oznaką, że zdała egzamin w tym piekielnym miejscu? Czy to wystarczy? Niewiedza na temat Boga, nieświadomość, czy to wystarczy? Czy ten nieszczęśnik będzie musiał jeszcze długo taplać się w tym brudzie, czy może otworzy się tunel i zabierze go na niebieskie równiny? Jak to jest, Memnochu? Pomóż mi!

Wszędzie wypatrywałem mnicha z poparzonymi stopami. Szukałem go i szukałem.

Gwałtowny wybuch obrócił w perzynę wieże miasta. Czy to rozległy się kościelne dzwony?

Właśnie runął wielki meczet. Mężczyzna z bronią zaczął strzelać do uciekających. Kobiety w

kwefach z krzykiem osuwały się na ziemię. Dzwony biły coraz głośniej.

— Memnoch, biją dzwony, niejeden dzwon, ale całe mnóstwo.

— Dzwony piekiel, Lestacie. One biją dla nas, Lestacie! — Schwycił mnie za kołnierz, jakby chciał dźwignąć mnie w górę. — Zapamiętaj własne słowa, Lestacie! Piekielne dzwony, słyszysz bicie piekielnych dzwonów!

— Nie, puść mnie. Nie wiedziałem, co mówię. To była poezja. To było głupie. Puść mnie. Nie zniosę tego dłużej.

Przy stole, w świetle lampy debatowała nad mapą grupa ludzi, jedni obejmowali innych, wskazując pewne obszary zaznaczone w różnych kolorach. Ktoś odwrócił głowę. Mężczyzna?

Twarz.

— To ty!

— Puść mnie.

Odwróciłem się i zostałem pchnięty na zajmujący całą ścianę regał, książki posypały się na mnie, uderzając po ramionach. Boże drogi, nie zniosę tego dłużej. Moja pięść przebiła migoczącą kulę starego globusa. Dziecko siedzące po turecku spojrzało na mnie pustymi oczodołami.

Zobaczyłem przejście i pobiegłem w tę stronę.

— Nie, puść mnie. Pozwól mi odejść. Nie mogę. Nie chcę. Nie chcę.

— Nie chcesz? — Memnoch schwycił mnie za prawą rękę, ujrzałem nad sobą gigantyczny ciemny kształt, skrzydła rozpostarły się i uniosły, ponownie przesłaniając światło. Otoczyły mnie i zamknęły się, jakbym był ich nieodłączną częścią. — Nie chcesz mi pomóc w oczyszczeniu tego miejsca? Nie chcesz, by te dusze zostały odesłane do Nieba?

— Nie mogę tego zrobić! — zawołałem. — I nie chcę! — Nagle zaczął narastać we mnie gniew. Poczułem, jak zabija we mnie strach, powątpiewanie i niepewność. Przepływał w moich żyłach jak roztopiony metal. Nie czułem już dreszczy. Stary gniew, dobrze znana wizytówka Lestata. Podobnie jak stanowczość. — Nie zamierzam w tym uczestniczyć, ani dla ciebie, ani dla Niego, ani dla nich, dla nikogo! — Zachwiałem się i cofnąłem o kilka kroków, łypiąc na niego gniewnie. — Nie ma mowy. Ani dla Boga, który jest tak ślepy, ani dla tego, który domaga się ode mnie pomocy. Obaj jesteście szaleni! Nie pomogę ci. Nie chcę! Odmawiam!

— Mógłbyś mi to zrobić, mógłbyś mnie opuścić? — zawołał skonsternowany. Jego ciemne oblicze przepełnił ból, na lśniących czarnych policzkach błyszczały łzy. — Mógłbyś zostawić mnie z tym wszystkim, odmówić mi pomocy, po tym, co uczyniłeś, ty, Kain, zabójca swych braci, morderca niewinnych, nie chcesz mi pomóc?

— Przestań. Dość już. Nie chcę. Nie popieram tego. Nie mógłbym się w to zaangażować. Nie mogę

pozwolić, abyś robił takie rzeczy! Nie mogę tego współtworzyć! Nie zniósłbym tego! Nie mogę nauczać w twojej szkole?! — Gardło miałem zdarte do bólu, a hałas zdawał się zagłuszać moje słowa, ale on je usłyszał. — Nie, nic z tego, nie ten schemat, nie te zasady, nie ten wzorzec, nigdy, przenigdy!

— Ty tchórze! — ryknął. Jego migdałowe oczy zrobiły się jeszcze większe, na czarnym, twardym czole i policzkach wykwitły migoczące płomyki. — Mam w rękach twoją duszę.

Oferuję ci zbawienie za określoną cenę! Ci, którzy cierpią tu od tysiącleci, błagaliby, abym dał im podobną szansę!

— Ale nie ja. Nie przyłożę ręki do całego tego bólu i cierpienia, nic z tego... Idź do Niego, zmień zasady, spraw, aby to wszystko miało sens, aby stało się lepsze, ale nie brnij dalej w to bagno... to wykracza poza wszelką ludzką wytrzymałość, to nieuczciwe, nieuczciwe i bezlitosne.

— To piekło, głupcze! Czego się spodziewałeś? Ze będziesz służył władcy piekieł, samemu przy tym nie cierpiąc?

— Nie zrobię im tego! — wrzasnąłem. — Do diabła z tobą i ze mną. — Zacisnąłem zęby. W

moim wnętrzu wrzało. — Nie przyłożę do tego ręki! Nie rozumiesz? Nie mogę tego zaakceptować. Nie mogę się w to włączyć. Nie wezmę w tym udziału. Odchodzę. Dałeś mi wybór, więc wybrałem. Wracam do domu. Uwolnij mnie! — Odwróciłem się.

Znów schwycił mnie za rękę. Tym razem ogarnęła mnie nie — opisana, niepohamowana furia.

Odepchnąłem go między skotłowane, przepychające się dziko dusze. Tu i ówdzie pomocni zmarli odwrócili się, by zobaczyć, co się dzieje, i zakrzyknęli w głos; na ich bladych obliczach malował się niepokój i trwoga.

— Możesz odejść — rzucił Memnoch, leżąc na ziemi. — I Bóg mi świadkiem, choćbyś po śmierci wrócił tu i błagał na kolanach, bym uczynił cię moim uczniem i pomocnikiem, nie ponowię oferty, nie zaproponuję ci roli zaufanego powiernika, mojego księcia!

Zamarłem, zerkając na niego przez ramię. Patrzyłem na jego leżącą postać z łokciem wbitym w dolną część czarnego, błoniastego skrzydła, on zaś podźwignął się na zakończone kopytami nogi i ruszył w moją stronę tym przerażającym, zwierzęcym, skradającym się chodem.

— Słyszysz, co mówię?

— Nie mogę ci służyć! — ryknąłem na cały głos. — Po prostu nie mogę.

I wtedy odwróciłem się po raz ostatni, wiedząc, że już nie spojrzę za siebie. Myślałem tylko o jednym, o ucieczce! Biegłem i biegłem, osuwając się po sybkim marglu i śliskich brzegach, w bród płytkich strumieni, przedarłem się przez stojące na mojej drodze grupki zaskoczonych pomocnych zmarłych i zawodzących dusz.

— Gdzie są schody? Gdzie bramy? Nie możecie tego przede mną zataić. Nie macie prawa.

Śmierć mnie jeszcze nie zabrała! — wołałem, nie oglądając się za siebie i ani na moment nie zwalniając biegu.

— Doro, Davidzie, pomóżcie mi! — zawołałem.

I nagle usłyszałem głos Memnocha, szepczącego mi wprost do ucha:

— Nie rób tego, Lestacie, nie odchodź! Nie wracaj tam. Nie rób tego, Lestacie, nie popełniaj głupiego błędu, nie rozumiesz, proszę, na miłość boską, jeżeli Go kochasz, jeżeli kochasz ich, pomóż mi!

— Nie! — Odwróciłem się i pchnąłem go z całej siły; ujrzałem, jak zatacza się i spada w dół, po stromych schodach, oszołomiona, monstualna postać, groteskowo i niezdarnie trzepocząca skrzydłami. Okręciłem się na pięcie, odwracając się do niego tyłem. W oddali, u samej góry spostrzegłem światło płynące zza otwartych drzwi. Pobiegnęłam w ich stronę.

— Zatrzymać go! — krzyknął Memnoch. — Nie pozwólcie mu odejść! Nie wypuszczajcie go!

Nie pozwólcie, aby zabrał z sobą chustę.

— On ma chustę Weroniki! — zawołał jeden z pomocnych zmarłych, rzucając się na mnie w półmroku.

Omal się nie potknąłem, ale biegłem dalej, krok za krokiem, nieubłaganie. Coraz bardziej bolały mnie nogi. Czułem, że mnie doganiają, że pomocni zmarli są tuż za mną.

— Zatrzymajcie go!

— Nie pozwólcie mu odejść!

— Zatrzymajcie go!

— Odbierzcie mu chustę! — ryknął Memnoch. — Mają pod koszulą, nie może zabrać ze sobą chusty!

Machnąłem lewą ręką, zmieniając pomocnego zmarłego w bezkształtną rozmazaną plamę na ścianie klifu. Wysoko nade mną majaczyło przejście. Dostrzegłem płynące zeń światło.

Zobaczyłem światło i zrozumiałem, że to światło ziemi, jasne i naturalne. Ręce Memnocha zacisnęły się na moich ramionach. Obrócił mnie bezceremonialnie ku sobie.

— Nic z tego — warknąłem. — Niech mi Bóg wybaczy. Ty też wybacz, ale nie pozwolę, abyś odebrał mi chustę! — ryknąłem.

Uniosłem lewą rękę, aby odtrącić jego dłonie sięgające w moją stronę, ale rzucił się na mnie z impetem spotęgowanym mocą jego skrzydeł i nieomal rozciągnął mnie na wznak na bazaltowych

stopniach. Poczułem, jak jego palce zagłębiają się w moim lewym oczodole! Poczułem, jak rozchylają mi powieki i przy wtórze przeraźliwej eksplozji bólu wbijają moją gałkę oczną do środka czaszki, zaraz jednak lepka, galaretowata masa spłynęła po moim policzku, przeciekając między moimi drżącymi palcami.

Usłyszałem gwałtownie westchnienie Memnocha.

— O, nie... — jęknął, przykładając palce do ust i ze zgrozą patrząc na to samo co ja.

Na moje oko, okrągłe, niebieskie oko, dygoczące i błyszczące na jednym ze stopni. Wszyscy pomocni zmarli też na nie patrzyli.

— Nadepnij na nie, zmiażdż je — zawołał jeden z pomocnych zmarłych, rzucając się do przodu.

— Tak, zdepcz je, zmiażdż, rozsmaruj! — krzyknął drugi, oszołomiony tym widokiem.

— Nie, nie rób tego! Nie! Przestańcie wszyscy! — rozkazał Memnoch. — Tak się nie stanie.

Nie w moim królestwie!

— Zgnieć to oko!

To był właściwy moment, teraz miałem szansę.

Pomknąłem pod górę, moje stopy niemal unosiły się w powietrzu. W pewnej chwili poczułem, że moja głowa i ramiona wnikają w światło, i otoczyły mnie cisza oraz wirujący śnieg.

Byłem wolny.

* * *

Byłem na ziemi. Moje stopy dotknęły zmarzniętego gruntu, pokrytego warstwą śliskiego, zmarzniętego śniegu.

Biegłem, jednooki i krwawiący, z chustą pod koszulą, biegłem przez szalejącą śnieżycę, nie zważając na porywisty wiatr, echo moich krzyków odbijało się od znanych mi budynków, ciemnych, niewzruszonych drapaczy chmur w mieście, które kochałem. Byłem w domu, na ziemi.

Słońce dopiero co skryło się za czarnym woalem burzowych chmur, zimowy zmierzch pochłonęła ciemność rozjaśniona bielą śniegu.

— Doro, Doro, Doro! Biegłem i biegłem bez końca.

Widmowi śmiertelnicy brnęli pośród zadymki, szli wolno, przygarbieni, po śliskich chodnikach albo sunęli w ślimaczym tempie, prowadząc auta mimo coraz gwałtowniejszej śnieżycy, światła reflektorów z trudem przenikały przez wirujące kaskady bieli. W pewnej chwili potknąłem się i upadłem. Zaraz jednak podniosłem się z kolan i pobiegłem dalej.

Przede mną w oddali zamajaczyły łuki i wieżyczki katedry Świętego Patryka. Doskonale.

Katedra. Za nią wznosił się majestatyczny wieżowiec Olympic Tower, szyby w budynku wyglądały jak polerowany kamień, były wręcz niewidoczne, a sama budowla przywodziła na myśl monstrualną wieżę Babel.

Przystanąłem, serce omal nie wyrwało mi się z piersi.

— Doro! Doro!

Dotarłem do głównego wejścia, hol, oślepiające światła, śliskie posadzki, tłumy śmiertelników, wszędzie śmiertelnicy, odwracali się, próbując ujrzeć to, co było zbyt szybkie dla ich oczu. Oszałamiająca muzyka, kojące światła, sztucznie wytwarzane ciepło!

Odnalazłem schody i wspiąłem się po nich gładko na moje piętro, po czym bezceremonialnie sforsowawszy drzwi, chwiejnym krokiem wpadłem do pokoju.

Dora.

Zobaczyłem ją, znów poczułem płynącą spomiędzy jej ud woń krwi, ujrzałem jej drobne, pełne czułości oblicze, teraz blade i przepełnione przerażeniem, a obok niej, niczym gobliny z dziecięcych rymowanek i mrocznych opowieści czuwali Armand i David, wampiry, potwory, obaj spoglądali na mnie z wyrazem konsternacji i zdumienia.

Spróbowałem otworzyć lewe oko, którego już nie miałem, po czym odwróciłem głowę w jedną i w drugą stronę, aby przyjrzeć się im wyraźniej moim jedynym okiem, prawym okiem, które wciąż tkwiło na miejscu. Poczułem lekki, lecz dojmujący ból, jakby niezliczone, maleńkie igiełki wbijały się w pustą przestrzeń lewego oczodołu.

Och, ten wyraz zgrozy na twarzy Armanda. Miał na sobie staromodny, lecz nader elegancki strój — ciężką, aksamitną marynarkę, obcisłe spodnie, koszulę ozdobioną koronkami i buty wypolerowane na błysk. Jego twarz, przywodzącą na myśl anioły Botticellego, przepełniał ból, kiedy tak na mnie patrzył.

David, w typowo zimowym tweedowo — kaszmirowym stroju, wyraźnie próbował okazać mi sympatię i współczucie. Stary Anglik i młode, śniade ciało, w którym był zamknięty jego umysł, stanowiły jedność.

Potwory przyrodziane i wyglądające jak ludzie, ale przywiązane do ziemi i jakże realne!

A pomiędzy nimi Dora, moja promieniejąca, szczupła, współczująca Dora o wielkich, czarnych oczach.

— Ukochany, o, ukochany — zawołała Dora. — Tu jestem! Jej ciepłe ramiona opasały moje obolałe barki, nie zważając na śnieg sypiący się z moich włosów i ubrania. Upadłem na kolana, wtuliłem twarz w jej spódnicę, by poczuć bliskość krwi: krew żywego łona, krew ziemi, krew Dory, którą ciało mogło oddać samo, po czym osunąłem się na podłogę.

Nie mogłem się poruszyć ani nawet odezwać. Poczułem, że jej wargi dotykają moich.

— Jesteś już bezpieczny, Lestacie — powiedziała. A może to był głos Davida?

— Jesteś z nami — rzekła.

A może to powiedział Armand?

— Jesteśmy tutaj.

— Spójrz, popatrz na jego stopy. Ma tylko jeden trzewik.

— ...a jego marynarka... podarta... nie został ani jeden guzik.

— Ukochany, och, ukochany. — Pocałowała mnie. Przewróciłem ją delikatnie, po czym zadarłem jej spódnicę i wcisnąłem twarz między jej gorące, nagie uda. Woń krwi wypełniła mój umysł.

— Wybacz mi, wybacz — wyszeptałem, a mój język przebił cienką bawełnianą błonę jej majtek, zdzierając materiał z porośniętego miękkimi włosami wzgórka łonowego, odsuwając na bok zakrwawioną podpaszkę, którą tam nosiła, i po chwili zacząłem chłeptać krew, zlizując ją z młodych, różowych, dziewiczych warg, bezpośrednio z jej łona. To nie była czysta krew, ale pochodziła od niej, z jej silnego, młodego ciała, ta krew nie wiązała się z żadnym bólem ani ofiarą, była jedynie okazaniem pewnej wyrozumiałości wobec mnie, wobec niewysłowionego czynu, którego właśnie dokonywałem. Nie pominąłem nawet jednej kropli.

„Nieczysta, nieczysta” — wołali na drodze na Golgotę za Weroniką. „Nieczysta, nieczysta”.

— Nieczysta, nieczysta — wyszeptałem, wylizując językiem sekretne, ociekające krwią miejsce, czując zapach i smak jej krwi, jej słodkiej krwi.

Płatki śniegu przylepiały się do szyby. Słyszałem, jak uderzają o szkło, czułem ich zapach, woń osłepiającego, białego śniegu, tej upiornej, nowojorskiej śnieżycy, w samym środku siarczystej mroźnej zimy, która najwyraźniej wciąż nie zamierzała składać broni.

— Mój ukochany, mój aniele — wyszeptała.

Położyłem się obok niej zdyszany. Teraz miałem jej krew w sobie. Wydobyłem z jej łona całą posokę, która miała zeń wypłynąć.

Usiadła, zasłaniając mnie dyskretnie skrzyżowanymi ramionami, pochyliła się do przodu, jakby chciała ukryć mnie przed ich wzrokiem — przed spojrzeniami Davida i Armanda — ani razu nie krzyknęła, nie próbowała mnie odepchnąć, ani razu się nawet nie wzdygnęła, a teraz czule tuliła mnie do siebie, trzymając mnie za głowę, podczas gdy ja szlochałem.

— Jesteś już bezpieczny — powtórzyła.

Wszyscy po kolei zapewniali, że jesteśmy bezpieczni. Powtarzali słowo „bezpieczni” jak

czarodziejskie zaklęcie. Bezpieczni, bezpieczni, bezpieczni.

— O, nie — rzuciłem przez łzy. Wciąż płakałem rzewnymi łzami. — Nikt z nas nie jest bezpieczny. I już nigdy nie będzie. Nigdy, przenigdy nie będziemy bezpieczni, już nie... Na pewno nie... Już nigdy...

22

Nie pozwoliłem się im dotknąć. Nie chciałem się niczego pozbyć, jeszcze nie, nawet podartego buta, niczego. Zabierzcie grzebienie, ręczniki, pocieszenie. Mam za pazuchą coś bardzo ważnego, ale to tajemnica. Całun, tylko tego chciałem, czegoś grubego, by się nim okryć.

Znaleźli dla mnie koc, miękki, wełniany, nieważne.

Apartament był prawie pusty.

Regularnie przynosili skarby Rogera na Południe. Powiedzieli mi. Zadanie to wykonywali zaufani śmiertelni współpracownicy; większość posągów i ikon trafiła do sierocińca w Nowym Orleanie, gdzie umieszczono je w pustej kaplicy, którą miałem okazję widzieć, w tej, gdzie znajdował się tylko Ukrzyżowany Chrystus. To ci dopiero omen!

Nie zakończyli jeszcze zadania. Pozostało kilka naprawdę cennych przedmiotów, ze dwa kufry, pudła z papierami. Akta.

Nie było mnie trzy dni. W wiadomościach aż huczało od opowieści o śmierci Rogera. Nie powiedzieli mi, w jaki sposób odkryto, że on nie żyje. W mrocznym świątku karteli narkotykowych rozpętała się brutalna walka o władzę. Dziennikarze przestali wydzwaniać do telewizji i pytać o Dorę. Nikt nie wiedział o tym miejscu. Nikt nie wiedział, że tu jest.

Mało kto wiedział o wielkim sierocińcu, do którego zamierzała powrócić, kiedy wszystkie skarby Rogera zostaną już przewiezione. W kablówce zdjęto jej program z anteny. Córka gangstera nie będzie już więcej prawić kazań. Nie spotykała się też ani nie rozmawiała ze swymi wiernymi. Z artykułów w prasie i reportaży telewizyjnych zorientowała się, że skandal przydał

jej postaci tajemniczości. Ogólnie jednak uważano ją za oszołomkę, mało znaczącą teleewangelistkę, nie mającą pojęcia, czym parął się jej ojciec.

W towarzystwie Davida i Armanda całkiem utraciła kontakt ze swoim dawnym światem, mieszkając tu, w Nowym Jorku, akurat gdy nadeszła najgorsza od pół wieku zima i śnieg wciąż sypał z nieba; słuchała ich obu, słuchała łagodnych słów pocieszenia, ich cudownych opowieści, nie bardzo wiedząc, co powinna uczynić, ale wciąż niezłomnie wierzyła w Boga...

To były najświeższe wiadomości.

Wziąłem od nich koc i w jednym tylko bucie, bo drugi gdzieś przepadł, przemaszerowałem przez apartament. Wszedłem do małego pokoju. Otuliłem się. Okno było zasłonięte. Promienie słońca nie dostaną się do środka.

— Nie zbliżaj się do mnie — rzekłem. — Muszę się teraz przespać. Potrzebuję snu jak śmiertelnik. Muszę przespać całą noc i dzień, a potem wszystko ci opowiem. Nie dotykaj mnie ani nie podchodź do mnie.

— Czy mogę zasnąć w twoich ramionach? — spytała Dora, biała, wibrująca, wypełniona krwią istota stojąca w drzwiach ze swoimi wampirami stróżami.

W pokoju było ciemno. Została tylko skrzynia z paroma relikwiami. Ale w holu wciąż stały posągi.

— Nie. Gdy tylko wzejdzie słońce, moje ciało zrobi wszystko, co konieczne, by ochronić się przed ingerencją ze strony śmiertelnika. Nie możesz usnąć przy mnie. To nie wchodzi w rachubę.

— Wobec tego pozwól, że teraz położę się przy tobie.

Dwaj pozostali patrzyli ponad jej ramieniem, jak powieki mojego pustego lewego oczodołu trzepoczą boleśnie. Musiało być sporo krwi. Ale nasza krew ma to do siebie, że szybko krzepnie.

Oko zostało wyrwane w całości, wraz z nerwami. Czy gałki oczne wampirów też mają włókna nerwowe?

— Pozwól mi zasnąć — poprosiłem.

Zamknąłem drzwi na klucz i położyłem się na podłodze, pod — ciągnąc kolana do piersi; gdy mocno owinałem się w gruby koc, poczułem się bezpiecznie, było mi ciepło. Czulem zapach sosnowych igieł i grudek ziemi, które miałem na ubraniu, woń dymu, fetor zaschniętych ekskrementów, a także krwi, to oczywiście, ludzkiej krwi, posoki z pól bitewnych i krwi z Hagia Sophia, poczułem też smród końskiego łajna i piekielnego marglu. Wszystko to było teraz ze mną, owinięte kokonem z koca, a moja dłoń spoczywała na złożonej chuście, dotykającej mego nagiego torsu.

— Nie zbliżajcie się do mnie! — wyszeptałem raz jeszcze, by usłyszeli mnie czekający na zewnątrz nieśmiertelni, którzy sprawiali wrażenie mocno zdezorientowanych i zakłopotanych.

Zaraz potem zasnąłem.

Słodki odpoczynek. Słodka ciemność.

Żeby śmierć mogła być właśnie taka. Żeby można było zamknąć oczy i zasnąć na wieki.

23

Byłem nieprzytomny przez bite dwadzieścia cztery godziny; obudziłem się dopiero następnego wieczoru, kiedy słońce skryło się za posępny, zimowy horyzont. Na drewnianej skrzyni leżało ułożone moje ubranie, obok stała para moich butów.

Próbowałem wyobrazić sobie, kto dokonał tego wyboru spośród rzeczy, które David przysłał

dla mnie wcześniej z hotelu. Najprawdopodobniej to jego sprawka. Uśmiechnąłem się na myśl o tym,

jak często w życiu moim i Davida olbrzymią rolę odgrywały zwykle ubrania.

Tylko, widzisz, gdyby wampir pomijał takie szczegóły jak ubiór, cała historia straciłaby sens.

Nawet najrozmaitsze mityczne postacie — jeżeli są istotami z krwi i kości — muszą martwić się, czy nie pęknie im rzemień do wiązania sandałów.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że właśnie powróciłem ze świata, gdzie odzienie było kształtowane mocą umysłu danej istoty. Oraz to, że jestem cały utyłany ziemią i mam tylko jeden but. Wstałem, czujny i gotowy, ostrożnie wyjąłem chustę, nie rozkładając jej ani na nią nie patrząc, choć wydawało mi się, że przez materiał przebija ciemny owal twarzy. Rozebrałem się i ułożyłem rzeczy na kocu tak, by nie utracić przy tym ani jednej sosnowej igły. Następnie udałem się do łazienki — typowej, ciasnej, okafelkowanej klitki — i nie szczędząc gorącej wody ani pary, wykąpałem się, jakbym przechodził obrzęd chrztu w Jordanie. David zostawił tu dla mnie wszystko, czego mogłem potrzebować — grzebienie, szczotki, nożyczki. Tak naprawdę wampiry nie potrzebują niczego więcej.

Przez cały czas drzwi do łazienki pozostawały otwarte. Gdyby ktokolwiek odważył się wejść do sypialni, wyskoczyłbym z kąpeli i rozkazał temu komuś, aby natychmiast wyszedł.

W końcu opuściłem łazienkę, mokry i czysty, uczesałem włosy, wysuszyłem je starannie i ubrałem się od stóp do głów w czyste rzeczy — począwszy od jedwabnych szortów i podkoszulka, poprzez czarne skarpety i wełniane spodnie, po koszulę, kamizelkę i dwurzędową granatową marynarkę. Potem schyliłem się i sięgnąłem po złożoną chustę. Trzymałem ją w dłoni, nie odważyłem się jej rozłożyć. Widziałem jednak wyraźnie ciemną plamę po drugiej stronie materiału. Tym razem miałem pewność. Włożyłem chustę pod kamizelkę i zapiąłem wszystkie guziki kamizelki.

Oko, dobry Boże, oko!

Sięgnąłem palcami do pustego oczodołu i powiek. Co robić, co robić. Gdybym nałożył czarną łatkę, wyglądałbym jak dżentelmen. Ale jej nie miałem.

Bez oka wyglądałem fatalnie. Zdałem sobie sprawę, że jestem cały rozdygotany. David zostawił dla mnie jeden z moich szerokich, wyglądających jak chusta krawatów, owinałem go wokół kołnierzyka, bardzo sztywno, zgodnie z dawną modą, warstwa po warstwie, jak u Beethovena na starych portretach. Końce krawata wsunąłem pod kamizelkę. W lustrze moje oko płonęło fioletowym blaskiem, tak jak fioletowy był włożony przeze mnie krawat. Dostrzegłem splachetek czerni po lewej stronie i zmusiłem się, by nań spojrzeć.

Wzulem trzewiki, spojrzałem na moje zniszczone ubranie, podniosłem kilka grudek ziemi i zeschniętych igieł, po czym ułożyłem je starannie na kocu, aby nic nie przepadło, by nic nie zostało utracone, wyszedłem z pokoju.

W mieszkaniu było ciepło i miło, powietrze przesyciła słodka, lecz nie natrętna woń kadzidła, która przywiodła mi na myśl dawne ceremonie kościelne, kiedy ministrant w komży machał

zawzięcie zawieszoną na łańcuchu srebrną kadzielnicą.

Gdy wszedłem do salonu, ujrzałem wyraźnie całą ich trójkę siedzącą w równych odstępach od siebie; pomieszczenie było jasno oświetlone, blask sprawiał, że okna, za którymi padał śnieg, wyglądały jak ciemne zwierciadła. Chciałem zobaczyć śnieg. Podszedłem i przytknąłem twarz do szyby. Cały dach katedry Świętego Patryka był biały od śniegu, biały puch nie był w stanie utrzymać się dłużej na spiczastych wieżyczkach, ale wszystkie ich ornamenty zostały starannie przysypane. Ulica była nieprzejezdna, zmieniła się w istną oazę bieli. Czy nikt tu już nie odśnieżał?

Na ulicy dostrzegłem nowojorczyków. Czy to jedyni żyjący? Patrzyłem na nich moim prawym okiem. Wychwytywałem tylko to, co żyło. Bliski paniki zacząłem przepatrywać dach katedry, spodziewając się ujrzeć ożywione nagle gargulce, ale nie wyczuwałem żadnej innej obecności, prócz tej trójki w pokoju. Tych trojga, których kochałem, a którzy cierpliwie na mnie czekali, aż przerwę to melodramatyczne, wystudiowane milczenie.

Odwrociłem się. Armand znów przyodział się w aksamity i koronki, wybierając romantyczną

„nową modę”, który to styl lansowano w eleganckich salonach odzieżowych na Piątej Alei. Jego kasztanowe włosy były długie, nieprzycinane, rozpuszczone, takie jak przed wieloma laty, kiedy przewodził sabatowi w Paryżu. W swej próżności nie zdecydowałby się na skrócenie choćby jednego kosmyka. Teraz jednak jego włosy były czyste, lśniące, a ich barwa stawała się jeszcze bardziej wyrazista na tle ciemnej, krwistoczerwonej marynarki. Jego smutne, wiecznie młode oczy patrzyły na mnie, gładkie policzki wydawały się takie chłopiące, pełne usta zaś przywodziły na myśl cherubinów. Siedział przy stole, rozluźniony, pełen miłości i zaciekawienia, a także osobliwej pokory, która zdawała się mówić: Odłóżmy na bok nasze waśnie. Przybyłem tu dla ciebie.

— Tak — rzuciłem na głos. — Dziękuję.

David siedział tam, krzepki, brązowowłosy, młody Anglik indyjskiego pochodzenia, równie atrakcyjny i pociągający jak w dniu, kiedy uczyniłem go jednym z nas. Miał na sobie typowo angielski, tweedowy strój, ze skórzanymi łatami na rękawach marynarki, kamizelkę zapiętą równie ciasno jak moja i kaszmirową chustę chroniącą jego szyję przed chłodem, do którego zapewne mimo swej niepośledniej mocy nie był w stanie przywyknąć.

Naprzeciw Armanda siedziała Dora, moja promienna Dora, David zaś zajął miejsce pomiędzy nimi i patrzył na mnie. Dla mnie pozostało krzesło stojące tyłem do okna i nieba, o ile zechciałbym usiąść. Spojrzałem na nie. Taki prosty mebel, czarne, lakierowane krzesło.

Orientalny, chiński styl, funkcjonalne, ale drogie.

Dora wstała powoli. Miała na sobie delikatną, długą szatę z bordowego jedwabiu, zwykłą prostą suknię, a ciepło panujące w pokoju najwyraźniej sprawiało, że czuła się swobodnie i bezpiecznie. Ramiona miała gołe i blade. Twarz przepełnił wyraz zatroskania, lśniące czarne włosy sięgające do połowy policzków wyglądały modnie. Ta fryzura byłaby modna zarówno osiemdziesiąt lat temu, jak i dziś. Jej oczy przepełniła miłość.

— Co się stało, Lestacie? — spytała. — Och, proszę, opowiedz nam o tym.

— Co z twoim drugim okiem? — zapytał Armand. Spodziewałem się z jego strony takiego pytania. Armand nie wstał. David, typowy Anglik podniósł się, tylko dlatego, że zrobiła to Dora, ale Armand siedział przy stole i zadał mi to pytanie, patrząc na mnie przenikliwym wzrokiem. —

Co się z nim stało? Czy masz je?

Spojrzałem na Dorę.

— Mogli uratować to oko — powiedziałem, nawiązując do historii oka wujka Mickeya i gangsterów — gdyby tylko jeden z tych bandziorów nie zdeptał go pod butem!

— O czym ty mówisz? — spytała.

— Nie wiem, czy zdeptali też moje — odparłem zirytowany drżeniem własnego głosu.

Napięcie w moim głosie. — To nie byli gangsterzy, lecz widma, a ja uciekłem, pozostawiając moje oko. To była moja jedyna szansa. Zostawiłem je na schodach. Mozę rozgniotły je na miazgę albo rozerwały na kawałki, tego nie wiem. Czy wujek Mickey został pochowany ze szklanym okiem?

— Tak, chyba tak — odrzekła Dora z konsternacją. — Nikt mi o tym nie mówił.

Wyczułem, że tamci dwaj przepatrują jej myśli. Armand zajął też do moich, by wychwycić obraz wujka Mickeya, skatowanego niemal na śmierć w barze Corona na Magazine Street, i gangstera z trzewikiem o spiczastym nosku, miażdżącego pod butem jego wybitą gałkę oczną.

Dora jęknęła.

— Co ci się stało?

— Przeniosłaś rzeczy Rogera? — spytałem. — I to prawie wszystkie.

— Tak, są bezpieczne, w kaplicy, u Świętej Elżbiety — odparła Dora.

U św. Elżbiety. Tak się kiedyś nazywał ten sierociniec. Pod takim był wezwaniem. Nigdy wcześniej nie słyszałem, aby o nim mówiła.

— Nikt nie pomyśli, żeby ich tam szukać. Prasa przestała się mną interesować. Wrogowie krążą wokół jego spraw jak sępy; rzucili się na jego konta bankowe, weksle, skrzynki depozytowe, zabijają się o kolejne klucze. Pośród całego tego chaosu jego córka została uznana za osobę nic nie znaczącą, przypadkową i zrujnowaną. Nie ma sprawy.

— Bogu dzięki — mruknąłem. — Czy to ty poinformowałaś o jego śmierci? Sądzisz, że hałas wokół jego osoby wkrótce ucichnie? Jaką rolę zamierzasz odegrać w tym wszystkim?

— Znaleźli jego głowę — wtrącił półgłosem Armand. Opowiedział mi całą resztę. Psy grzebiące

wśród sterty śmieci pod mostem wywlekły jego głowę i zaczęły o nią walczyć.

Staruszek grzejący się przy ogniu przyglądał się temu przez godzinę, aż w końcu uświadomił sobie, że kundle walczą o ludzką głowę, rozgonił je i już wkrótce głowa trafiła w ręce policji.

Dzięki badaniom DNA ustalono, że należała ona do Rogera. Kartoteka dentystyczna niewiele pomogła. Roger miał idealne uzębienie. To, co pozostało, pokazano Dorze do identyfikacji.

— Musiał chcieć, by została odnaleziona — powiedziałem.

— Czemu tak sądzisz? — zapytał David. — Gdzie właściwie byłeś?

— Widziałem twoją matkę — zwróciłem się do Dory. — Widziałem jej jasne włosy i niebieskie oczy. Niedługo trafi do nieba.

— O czym ty mówisz? — spytała z przejęciem. — Aniele mój? Co chcesz mi powiedzieć?

— Usiądźcie wszyscy. Opowiem wam całą tę historię. Słuchajcie uważnie i nie próbujcie mi przerywać. Nie, nie chcę siadać, a już na pewno nie tyłem do nieba, nocy, sypiącego śniegu i wieżyczek katedry. Raczej pospaceruję w tę i z powrotem, zastanawiając się, jak mam wam to wszystko przekazać.

Opowiedziałem im wszystko, od samego początku. Niektóre fakty były im już znane, ale nie wszystko i nie wszystkim, począwszy od mego pierwszego, fatalnego spotkania z Rogerem, kiedy zakochałem się w jego promiennym uśmiechu i łotrzykowskim spojrzeniu ciemnych oczu, aż do chwili, gdy ostatnim, rozpaczliwym wysiłkiem sforsowałem wczoraj w nocy drzwi do tego apartamentu.

Opowiedziałem im wszystko. Powtórzyłem każde słowo wypowiedziane przez Memnocha i Boga Wcielonego. Wyjawiłem wszystko, co ujrzałem w niebie, piekle i na ziemi. Opowiedziałem im o barwach i zapachach Jerozolimy. Mówiłem i mówiłem bez końca... przez całą noc.

Opowieść ciągnęła się godzinami, a ja krążyłem niespokojnie w tę i z powrotem, powtarzając fragmenty, które wydawały mi się szczególnie godne uwagi, etapy ewolucji, które tak zaszokowały aniołów, bezkresne niebiańskie biblioteki i brzoskwiniowe drzewko, obsypane kwieciami i owocami zarazem, spotkanie z Bogiem i z nieugiętym żołnierzem leżącym na wznak w piekle. Opisałem im szczegółowo wnętrze Hagia Sophia. Mówiłem o nagich mężczyznach na polu bitwy. Raz po raz opisywałem piekło. Opisałem niebo. Powtórzyłem moją ostatnią wypowiedź, że nie mogę pomóc Memnochowi, że nie mógłbym dla niego nauczać!

Patrzyli na mnie w milczeniu.

— Czy masz chustę?! — spytała Dora; jej usta drżały. — Wciąż ją masz?

Miała lekko pochyloną głowę, jakby była gotowa mi wybaczyć, gdybym powiedział: Nie, zgubiłem ją na ulicy, oddałem żebrakowi!

— Chusta to żaden dowód — odparłem. Cokolwiek na niej widnieje, o niczym nie przesądza!

Każdy, kto umie tworzyć iluzje może zrobić taką chustę! To żaden dowód. Nie stanowi potwierdzenia prawdy ani kłamstw, kuglarskich sztuczek, czarnej magii ani tym bardziej teofanii.

— Czy będąc w piekle — spytała łagodnym tonem, jej blade oblicze lśniło w ciepłym świetle lampy — powiedziałaś Rogerowi, że masz chustę?

— Nie, Memnoch nie pozwolił mi na to. Poza tym widziałem go tylko przez mgnienie oka, w jednej chwili był tu, a w następnej już gdzie indziej. Ale on dąży ku górze, wiem o tym, bo jest sprytny i przejrzał cały ten schemat, co więcej, zabierze ze sobą Terry! Będą radować się bliskością Boga, chyba że Bóg jest takim kuglarzem, a to wszystko okazałoby się jednym wielkim kłamstwem, ale w imię czego? Po co? Co Bóg miałby dzięki temu zyskać?

— Nie wierzysz w prawdziwość tego, o co cię prosił Memnoch? — zapytał Armand.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak bardzo był roztrzęsiony, niczym chłopiec, którego przemieniono w wampira dawno temu, wydawał się taki młody i pełen gracji. On chciał, aby to była prawda!

— Oczywiście, że wierzę! — odrzekłem. — Uwierzyłem mu, ale przecież to wszystko może być kłamstwem, nie rozumiecie tego?

— Nie miałaś wrażenia, że to prawda — zapytał Armand — że on cię faktycznie potrzebował?

— Co takiego? — rzuciłem. — Znów do tego wracamy, do kwestii, czy służymy Bogu czy szatanowi? Ty i Louis spieraliście się o to w Teatrze Wampirów. O to, czy jesteśmy dziećmi Bożymi czy bękartami diabła.

— Tak — przyznał Armand. — Uwierzyłeś mu?

— Tak. Nie. Nie wiem — odrzekłem. — Nie wiem! — zawołałem. — Nienawidzę Boga bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Nie cierpię ich obu, przeklinam ich!

— A co z Chrystusem? — zapytała Dora z oczami pełnymi łez. — Czy było Mu nas żal?

— Tak, na swój sposób. Tak. Może. Możliwe. Kto to wie? Ale nie poddał się Pasji wyłącznie jako człowiek, o co go błagał Memnoch; niósł swój krzyż jako Bóg Wcielony. Powiadam wam, ich reguły nie są naszymi! Nasze są lepsze! Jesteśmy w rękach szalonych istot!

Rozpłakała się.

— Czemu nigdy nie jest nam dane wiedzieć? — zapytała.

— Nie mam pojęcia — odparłem. — Wiem, że tam byli, że mi się pokazali, pozwolili, abym ich ujrzał. I wciąż nie wiem!

David zasepił się. Wyglądał ponuro, prawie jak Memnoch.

— Jeżeli to wszystko było jedynie ciągiem obrazów i kuglarskich sztuczek, wizji zaczerpniętych z twego serca i umysłu, po co ktoś miałby to robić? — zapytał wreszcie. — Co mogło być powodem, skoro już na początku złożono ci otwartą propozycję, abyś został jego adiutantem bądź księciem?

— A jak ci się wydaje? — odparowałem. — Mają moje oko! Ani jedno słowo mojej opowieści nie jest fałszywe! Mają moje oko, niech to szlag! Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, chyba że to wszystko było prawdą, absolutną prawdą.

— Wiemy, że wierzysz, iż to wszystko jest prawdą — powiedział Armand. — Tak, wierzysz w to niezbicie! Dałeś świadectwo. Ja też wierzę, że to prawda. Przez całą długą wędrówkę poprzez dolinę śmierci wierzyłem, że to prawda!

— Nie bądź głupcem! — parsknąłem drwiąco. Dostrzegłem jednak ogień w twarzy Armanda; zauważyłem ekstazę i smutek w jego oczach. Nieomal odetchnął z ulgą.

— Ubranie — rzekł David ze spokojem, i zamyśleniem — jest w drugim pokoju. Pozbierałeś wszystko, a zgromadzone dowody pozwolą na przeprowadzenie analizy i zbadanie z naukowego punktu widzenia.

— Przestań myśleć jak badacz. Są istoty grające w grę, której zasady rozumieją tylko one. Cóż znaczy dla nich kilka igieł sosnowych i grudek ziemi pozostawionych na moich rzeczach, ale tak, ocaliłem je, uratowałem wszystko z wyjątkiem mego cholernego oka, które pozostawiłem na schodach do piekła, aby móc się stamtąd wydostać. Ja też pragnę zbadać próbki pozostałe na moich ciuchach. Ja też pragnę wiedzieć, przez jaki las wędrowałem, słuchając jego słów!

— Pozwolili ci odejść — rzekł David.

— Gdybyście mogli ujrzeć wyraz jego twarzy, kiedy zobaczył to oko na stopniu... — powiedziałem.

— Co się na niej malowało? — spytała Dora.

— Zgroza, zgroza, że stało się coś takiego. Widzisz, kiedy po mnie sięgnął, wydaje mi się, że jego dwa palce, wyciągnięte o tak, chybiły celu i zagłębiły się w moim oczodole. On po prostu chciał mnie złapać za włosy. Ale kiedy jego palce zanurzyły się w moim oczodole, gwałtownie i rozpaczliwie spróbował je wyjąć, i niejako przy okazji wyłupił mi oko. Gdy je wyjął i gdy spłynęło po mojej twarzy, był naprawdę wstrząśnięty i przerażony!

— Kochasz go — rzekł półgłosem Armand.

— Tak, kocham go. Myślę, że ma rację we wszystkim. Ale nie wierzę w nic.

— Czemu się z tym nie pogodziłeś? — zapytał Armand. — Dlaczego nie oddałeś mu duszy?

Och, jakże niewinnie zabrzmiały jego słowa, płynące prosto z serca, mówił jak mędrzec i dziecko zarazem, otworzył przede mną swe serce, nadnaturalne serce, tak potężne, że potrzebowało kilku stuleci, aby mogło bezpiecznie znów zacząć bić w towarzystwie serc śmiertelników!

Ach, Armand, ten mały czart!

— Czemu się nie zgodziłeś? — zapytał.

— Pozwolili ci uciec i mieli w tym swój cel — wtrącił David. — Tak jak z tą wizją, której doświadczyłem w kafejce.

— Owszem, mieli swój cel — odparłem. — Ale czyż go nie zniweczyłem? — Spojrzałem na niego, poszukując odpowiedzi, bo przecież mimo młodego wyglądu miał umysł czcigodnego mędrca. — Czy zniweczyłem ich plany, przeistaczając cię, Davidzie? Czy pokonałem ich w jakiś inny sposób? Och, gdybym tylko mógł sobie przypomnieć ich głosy, to, co mówili na początku.

Zemsta. Ktoś powiedział, że nie chodzi o zwykłą zemstę. Ale to były tylko fragmenty. Nic już z tego nie pamiętam. Co się stało?! Czy wrócą po mnie?

Znów się rozplakałem. Głupiec. Zacząłem raz jeszcze opisywać Memnocha we wszystkich jego postaciach jako zwyczajnego mężczyznę; jego niezwykle propozycje, niepokojący odgłos kroków, skrzydła, chwałę niebieską, śpiew aniołów. — Szafirowy... — wyszeptałem. —

Wszystkie te powierzchnie, rzeczy, które widzieli prorocy, zdają się lśnić w tych kręgach niczym drogie kamienie, topazy, beryle, ogień, złoto, lód i śnieg... było tam wszystko... dosłownie wszystko... a On powiedział: „Napij się mojej krwi”, więc to zrobiłem!

Zbliżyli się do mnie. Przerazałem ich. Byłem zbyt hałaśliwy, zbyt szalony, opętany. Stanęli wokół mnie, opasując mnie ramionami; ogniste, białe ramiona Dory były najgorętsze i najśodsze z nich wszystkich, czoło Davida dotykało mojej twarzy.

— Gdybyś pozwolił mi — rzekł Armand, dotykając palcami mego kołnierzyka — gdybyś pozwolił mi się napić, dowiedziałbym się.

— Nie, dowiesz się tylko tego, co ci opowiem, tego, w co wierzę, że widziałem. To wszystko!

— rzuciłem ostro.

— Nie — pokręcił głową. — Poznam krew Chrystusa, jeżeli jej skosztuję.

Teraz ja pokręciłem głową.

— Odejdź ode mnie. Nie wiem nawet, jak będzie wyglądać ta chusta. Czy będzie wyglądać jak coś, czym wytarłem mój krwawy pot, gdy śniłem wyjątkowo wyrazisty sen? Odstąpcie.

Usłuchali. Utworzyli wokół mnie trójkąt. Cofnąłem się pod ścianę, aby móc ujrzeć padający śnieg, choć by tego dokonać, musiałem odwrócić głowę w lewo. Spojrzałem na nich. Sięgnąłem prawą ręką

za pazuchę i poczułem tam coś niewielkiego i osobliwego, czego nie potrafiłem im wyjaśnić ani samemu ująć w słowa, wyczułem miękkość tkaniny, prastarej, delikatnej tkaniny!

Wyjąłem chustę i uniosłem w dłoniach, tak jak to zrobiła Weronika.

W pokoju zapanowała cisza. I bezruch.

W chwilę potem Armand osunął się na kolana. Dora wydała z siebie długi, zawodzący krzyk.

— Dobry Boże — rzekł David.

Rozdygotany opuściłem chustę, wciąż trzymając ją szeroko w obu rękach, i odwróciłem się, abym mógł ujrzeć odbicie chusty w ciemnym zwierciadle szyby, jakbym miał do czynienia z Gorgoną, której spojrzenie mogło obrócić mnie w kamień.

Jego Twarz! Jego Oblicze odbite na płótnie! Spojrzałem na chustę. Bóg Wcielony zdawał się patrzeć na mnie, odwzorowany w najdrobniejszych szczegółach, Jego odbicie było wręcz wypalone w materiale, nie namalowane, wytrawione, wyszyte ani narysowane, lecz właśnie wypalone w delikatnych włóknach. Oblicze Boga ociekające krwią z ran od korony cierniowej.

— Tak — wyszeptałem. — Tak, tak. — Upadłem na kolana. — O tak, jest idealne w najdrobniejszych szczegółach.

Poczułem, że wyjmuję chustę z moich dłoni. Wyrwałbym ją, gdyby to któryś z nich chciał

mija odebrać. Nie broniłem się jednak, gdy jej drobne dłonie wyłuskały materiał spomiędzy moich palców, ona zaś zaczęła obracać chustę wkoło, abyśmy wszyscy mogli ujrzeć Jego ciemne oczy patrzące z wizerunku na płótnie!

— To Bóg! — krzyknęła. — To chusta Weroniki! — Jej krzyk stał się triumfalny i przepiękny radością. — Ojcze, dokonałeś tego! Dałeś mi chustę! — Zaczęła się śmiać jak ktoś, kto doświadczył wszystkich wizji, jakie były mu dane, płaśała tanecznym krokiem, trzymając chustę w górze i powtarzając te słowa raz po raz, sylaba po sylabie!

Armand był zdruzgotany, przybity, klęczał z nisko spuszczoną głową, a krwawe łyzy spływające po policzkach tworzyły upiorne, szkarłatne strużki na jego białym ciele.

David tylko patrzył, w pokorze i zdumieniu. Obserwował chustę falującą w powietrzu, trzymaną obiema rękami przez Dorę. I raz po raz popatrywał na mnie. Przyglądał się skulonemu, klęczącemu, szlochającemu w rozpacz Armandowi, zagubionemu dziecku w aksamitach i koronkach, które pokryły ślady krwawych łez.

— Lestacie — zawołała Dora ze łzami w oczach — przyniosłeś mi Boże oblicze! Przyniosłeś je nam wszystkim! Nie rozumiesz? Memnoch przegrał! Został pokonany! Bóg zwyciężył! Bóg wykorzystał Memnocha do swoich celów i poprowadził go w głąb labiryntu, który on sam stworzył. Bóg ostatecznie zatriumfował!

— Nie, Doro, nie! Nie wolno ci w to wierzyć! — zawołałem. — A jeżeli prawda jest inna?

Jeżeli to tylko sprytne sztuczki? Doro!

Wyminęła mnie i wybiegła z pokoju. Ja, Armand i David kompletnie osłupieliliśmy.

Usłyszeliśmy odgłos windy zjeżdżającej na dół. Dora zabrała chustę!

— Co ona chce zrobić, Davidzie? Pomóż mi, Davidzie.

— Kto może nam teraz pomóc? — zapytał David bez większego przekonania, lecz z wyraźną zadumą.
— Armandzie, weź się w garść. Nie możesz się temu poddawać — powiedział. W jego głosie pobrzmiwał smutek.

Armand był już stracony.

— Dlaczego? — zapytał. Wyglądał i zachowywał się jak dziecko. — Dlaczego?

Tak samo musiał wyglądać stulecia temu, kiedy Marius przybył, aby uwolnić go z rąk weneckich porywaczy, jak chłopiec służący do spełniania lubieżnych zachcianek, chłopiec sprowadzony do pałacu nieumarłego.

— Czemu nie mogę w to uwierzyć? O Boże, ja w to wierzę! To jest oblicze Chrystusa!

Podniósł się chwiejnie, po czym wolno, noga za nogą, ruszył w ślad za Dorą. Zanim dotarł na ulicę, Dora stała już przed drzwiami katedry i krzyczała.

— Otwórzcie drzwi! Otwórzcie kościół. Mam chustę. — Prawą stopą zaczęła kopać w odrzwia. Wokół niej gromadzili się śmiertelnicy, mamroczący między sobą.

Niebo pojaśniało, zbliżał się wschód słońca i choć była zima, świt nadchodził nieubłaganie, a wraz z nim zabójcze światło, które dosięgnie nas, jeśli nie ukryjemy się w porę.

— Otwórzcie drzwi! — wrzasnęła.

Ze wszystkich stron schodzili się ludzie, na widok chusty jeden po drugim padali na kolana i zaczęli się modlić.

— Chodźcie — rzekł Armand — pora, byście znaleźli dla siebie odpowiednią kryjówkę, zanim będzie za późno. Davidzie, zabierz go i idźcie.

— A ty co zamierzasz? — spytałem.

— Dam świadectwo. Będę tu stał z rozłożonymi rękami — zawołał — a gdy nastanie świt, moja śmierć potwierdzi prawdziwość cudu.

Wielkie odrzwia wreszcie zostały otwarte. Ciemno odziane postacie cofały się w wyrazie zachwytu i

zdumienia. Pierwszy promyk srebrzystego blasku rozjaśnił chustę, później zaś pojawiło się cieplejsze, żółte, elektryczne światło płynące z wnętrza katedry oraz poświata świec i szum ogrzewanego powietrza.

— Oblicze Chrystusa! — zawołała.

Kapłan upadł na kolana. Starszy mężczyzna w czerni — brat, kapłan, kimkolwiek był — stał z rozdziawionymi ustami, wpatrując się w płótno.

— Chryste Panie, Chryste Panie — powiedział, czyniąc znak krzyża. — Kto by pomyślał, że za mojego życia, Boże... to chusta Weroniki!

Ludzie mijali nas, biegnąc, potykając się i przepychając, aby znaleźć się wewnątrz katedry.

Usłyszałem echo ich kroków rozbrzmiewające w głównej nawie.

— Nie mamy już czasu — szepnął mi David do ucha. Dźwignął mnie, silny jak Memnoch, ale nie towarzyszyło temu pojawienie się szaleńczego wiru, a jedynie szum wiatru oraz krzyki i głośne wołanie mężczyzn i kobiet schodzących się tłumnie do katedry. Niedługo potem rozległo się bicie dzwonów.

— Szybko, Lestacie, pomóż mi!

Pobiegliśmy razem, oślepieni coraz silniejszym światłem, a za mną rozległ się górujący pośród gwaru tłumu głos Armanda:

— Patrzcie z uwagą, oto bowiem grzesznik umiera za Niego!

Zaraz potem nastąpiła potężna eksplozja i w powietrzu rozeszła się woń spalenizny! Ujrzałem płomienie liżące przeszklone ściany apartamentu, a po chwili już nas tam nie było.

Usłyszałem przeraźliwe krzyki.

— Armandzie! — zawołałem.

David pociągnął mnie za sobą, po metalowych stopniach, echo naszych kroków stapało się w jedno z melodyjnym, dźwięcznym biciem kościelnych dzwonów.

Zakręciło mi się w głowie; poddałem mu się. Spróbowałem przekazać mu całą moją siłę woli.

— Armandzie, Armandzie! — wołałem ogarnięty rozpaczą.

Powoli w ciemnościach odnalazłem postać Davida. Znajdowaliśmy się w wilgotnym, chłodnym miejscu, piwnicy pod piwnicami, głęboko pod fundamentem starego, opuszczonego budynku, w którego zapomnianych, ponurych pomieszczeniach hulał wiatr. Kopał w zmarzniętej ziemi.

— Pomóż mi — zawołał. — Tracę czucie, słońce jest coraz wyżej, gdy nadejdzie świt, odnajdą nas.

— Nie odnajdą.

Gołymi rękami wykopałem grób, na tyle głęboki, abyśmy zmieścili się w nim obaj, zaniósłem go i ułożyłem na dnie, po czym starannie przysypałem nasze ciała ziemią. Nawet odgłosy miasta nie były w stanie przeniknąć tej ciemności. Ani dźwięk kościelnych dzwonów. Czy dla Armanda otworzył się tunel? Czyjego dusza powędrowała do nieba? A może przeszedł przez bramę piekieł.

— Armandzie — wyszeptałem. Gdy zamknąłem oczy, ujrzałem skonsternowane oblicze Memnocha:

— Pomóż mi, Lestacie!

Ostatkiem sił sięgnąłem ręką, aby upewnić się, że mam przy sobie chustę. Nie, nie było jej tam. Przecież oddałem chustę Dorze. Dora miała chustę i zaniósła ją do katedry.

„Nigdy nie mógłbyś zostać moim adwersarzem!”

24

Siedzieliśmy razem na niskim murku przy Piątej Alei, na skraju Central Parku. Tak minęły trzy noce. Obserwowaliśmy.

Jak okiem sięgnąć w stronę północnej części miasta ciągnął się sznur ludzi, mężczyzn, kobiet i dzieci, tupiących nogami w ziemię, aby się ogrzać, księża i zakonnice uwijali się między nimi, roznosząc zmarzniętym gorącą czekoladę i herbatę. Co kilka stóp na ulicach w wielkich beczkach rozpalono ogień. Nie było widać końca tej kolejki.

Ciągnęła się aż do śródmieścia, obok migoczących okien wystawowych Bergdorfa Goodmana i Henri Bendela, sklepów futrzarskich, salonów z biżuterią i księgarni, aż wreszcie znikwała wewnątrz katedry.

David stał z rękoma splecionymi na piersi, opierając się o ścianę. Ja siedziałem jak dzieciak, z kolanami podciągniętymi do piersi, uniesioną do góry głową, podbródkiem opartym na zaciśniętej pięści i łokciem złożonym na kolanie; przypatrując się moim jedynym okiem, nasłuchiwałem z uwagą.

Z oddali dobiegały krzyki i wrzaski. Bez wątpienia ktoś jeszcze przyłożył czysty kawałek płótna do chusty i wizerunek w okamgnieniu został nań przeniesiony! To samo wydarzy się kolejnej nocy i może następnej również, nikt nie wie, ile razy, wiadomo jedynie, że na każdym czystym materiale, który do niej przykładano, pojawiała się wierne odbicie Wizerunku, Oblicze przenosiło się z płótna na płótno niczym płomyk z jednej świecy do drugiej.

— Chodź — rzekł David. — Robi się chłodno. Przejdźmy się. Ruszyliśmy.

— Po co? — spytałem. — Znowu tam, aby zobaczyć to samo co ubiegłej nocy i dwie noce temu? Abym znów próbował się do niej przedostać, wiedząc, że wszelkie próby użycia siły czy nadnaturalnych mocy potwierdzą jedynie cały ten cud! Ona znów nie będzie chciała mnie słuchać. Wiesz, że tak będzie. A kto zbierze się dziś u wejścia, by z nastaniem świtu spłonąć, by dać świadectwo cudu?

— Mael tam jest.

— Ach, tak, ten druid. Kto raz był kapłanem, pozostanie nim na zawsze. A zatem to on następny szczególnie w płomieniach, jak upadający Lucyfer.

Ubiegłej nocy samobójczego aktu dokonał jakiś obszarpany włóczęga — krwio pijca, pochodzący Bóg wie skąd, nie znaleźliśmy go, ale o brzasku zmienił się w nadnaturalną żywą pochodnię, na oczach całego mnóstwa kamer telewizyjnych i dziennikarzy uzbrojonych w aparaty fotograficzne. W gazetach pojawiły się zdjęcia płonącego włóczęgi. A także fotografie samej chusty.

— Zaczekaj — rzuciłem.

Dotarliśmy do Central Park South. Zebrany tutaj tłum śpiewał stary hymn religijny: *Boże w niebiesiech imię Twe chwalimy*

Przed Twoim Tronem głowy pokłonimy!

Stałem, patrząc na nich w oszołomieniu. Ból w lewym oczodole przybrał na sile, ale nic się tam przecież nie mogło zmienić, co najwyżej z każdą godziną coraz bardziej odczuwałem brak gałki ocznej i dojmującą pustkę.

— Wszyscy jesteście głupcami! — zawołałem. — Chrześcijaństwo to najbardziej krwawa religia, jaka kiedykolwiek powstała. Mogę to poświadczyć!

— Zamilcz już i rób, co ci powiem — rzekł David, pociągając mnie za sobą. Już po chwili, zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, zniknęliśmy wśród tłumów zgromadzonych na ulicy.

Wciąż musiał mnie tak hamować. Miał już tego dość. Wcale mu się nie dziwiłem.

Za którymś razem złapali mnie gliniarze. Pochwycili mnie i próbowali wyprowadzić z katedry, a ja starałem się przemówić do niej, kiedy zaś wywlekli mnie na zewnątrz, po prostu powoli się wycofali. Wyczuli, że nie jestem żywą istotą, śmiertelnicy umieją to wychwycić.

Wyczuli to, zaczęli mamrotać między sobą o chuście i cudach, a ja stałem kompletnie bezradny, nie mogąc nic uczynić.

Wszędzie roiło się od policji. Gliniarze czuwali nad tłumem, pomagali ludziom, roznosili gorącą herbatę i ogrzewali zgrabiące dłonie nad ogniem płonąącym w blaszanych beczkach.

Nikt nie zwracał na nas uwagi. Bo niby dlaczego? Byliśmy dwoma mężczyznami wtapiającymi się w tłum, nasza błyszcząca skóra nie wyróżniała się pośród oślepiającej bieli śniegu i ogarniętych ekstazą pielgrzymów, przechodzących gładko od jednej pieśni do drugiej.

Na wystawach księgarni stały egzemplarze Biblii i dzieła z zakresu religioznawstwa. Ułożono też istną piramidę z egzemplarzy książki zatytułowanej *Weronika i jej chusta*, pióra Ewy Kuryluk, oraz drugą z *Świętych Twarzy, sekretnych miejsc* lana Wilsona.

Ludzie na ulicach sprzedawali albo rozdawali za darmo różne broszury. Słyszałem akcenty z różnych zakątków kraju — Teksasu, Florydy, Georgii i Kalifornii. Egzemplarze Pisma Świętego także sprzedawano bądź rozdawano za darmo.

Grupka zakonnice rozdawała obrazki ze świętą Weroniką. Największym powodzeniem cieszyły się jednak kolorowe zdjęcia samej chusty, zrobione w katedrze przez fotografów i powielone w tysiącach sztuk.

— Ciebie, Boga, wychwalamy... — zaintonowała zebrana opodal grupa, kołysząc się miękko w rytm melodii.

— *Gloria in excelsis deo!* — zagrział brodaty mężczyzna, rozkładając szeroko ręce.

Gdy zbliżaliśmy się do kościoła, dostrzegliśmy większe i mniejsze grupki ludzi prowadzących zażarte dyskusje i polemiki. Pośród nich młody mężczyzna z niezłomną szczerością perorował:

— W czternastym wieku Weronikę oficjalnie uznano za świętą i wierzono, że chusta zaginęła podczas czwartej krucjaty, kiedy Wenecjanie przypuścili szturm na Hagia Sophia. Przerwał, by poprawić okulary. — Rzecz jasna, Watykan jak zawsze nie będzie się spieszył w wystosowaniu oficjalnego stanowiska w tej sprawie, ale wiadomo, że dotychczas z oryginału uzyskano siedemdziesiąt trzy identyczne kopie i że dokonało się to na oczach niezliczonych świadków, którzy gotowi są złożyć w związku z tym zeznania przed Stolicą Apostolską.

Opodal zebrało się kilku czarno odzianych mężczyzn, być może księży, nie potrafiłem tego stwierdzić, otoczonych wianuszkami słuchaczy wlepiających wzrok w roziskrzony śnieg.

— Nie twierdzą, że jezuci nie mogą tu przybyć — rzekł jeden z mężczyzn. — Powiedziałem jedynie, że nie przyjdą tu i nie zaczną się szarogęsić. Dora poprosiła, aby to franciszkanie zostali opiekunami chusty, jeśli kiedykolwiek miałyby ona opuścić tę katedrę.

Za nami dwie kobiety potwierdziły, że przeprowadzono już odpowiednie badania i wiek płótna jak najbardziej się zgadza.

— Na całym świecie nie uprawia się już tego gatunku lnu; nie ma mowy, aby można gdzieś było znaleźć choć kawałek takiego płótna; sam fakt, że chusta jest tak czysta i nienaruszona, to prawdziwy cud.

— ...wszystkie płyny ustrojowe, które spowodowały powstanie wizerunku na materiale, pochodzą z ciała ludzkiego. Nie musieli nawet niszczyć chusty, aby to stwierdzić! To jest... to...

— ...działanie enzymów. Ale wiesz, że te rzeczy są bardzo skomplikowane. O pomyłkę nietrudno.

— Nie dla „New York Timesa”. Napisano tam, że zgodnie z orzeczeniem trzech archeologów chusta jest autentyczna.

— Nie, że jest autentyczna, przyjaciele, tylko że jest fenomenem Wymykającym się naukowym wyjaśnieniom.

— Bóg i diabeł to durnie! — rzuciłem.

Grupka kobiet odwróciła się, by na mnie spojrzeć.

— Przyjmij Jezusa jako swego Zbawcę, synu — rzekła jedna z nich. — Idź, sam spójrz na chustę. On umarł za nasze grzechy.

David odciągnął mnie na bok. Nikt się tym nie przejął. Jak okiem sięgnąć, w większych i mniejszych podgrupach trwały zażarte dysputy, filozofowie przedstawili swoje teorie, wierni dawali świadectwo, nie brakowało też takich, którzy ze łzami w oczach czekali niecierpliwie na właściwy moment, by zejść chwiejnie po schodach katedry, ale byli zbyt oszołomieni, aby tego dokonać.

— Widziałem, widziałem, to Twarz Chrystusa.

Przy wejściu dostrzegłem przypominającego czarny, pajęczy cień wampira Maela, dla reszty był prawie niedostrzegalny, kiedy tak czekał, by wyjść na wschodzące słońce z rozłożonymi szeroko ramionami. Spojrzał na nas swymi chytrymi oczkami.

— Wy też tutaj! — rzekł zdyszczanym głosem, tak cicho, by nie usłyszeli go śmiertelnicy. —

Pójdźcie, powitajcie wschód słońca z rozłożonymi rękami! Lestacie, Bóg wybrał cię na swego posłańca!

— Chodź — rzekł David. — Widzieliśmy już dość, by wystarczyć nam na tę noc i na wiele następnych.

— Dokąd mielibyśmy pójść? — spytałem. — Przestań mnie ciągnąć za rękę, Davidzie.

Słyszysz, co mówię?

— Przecież się zatrzymałem — rzekł z pokorą w głosie, zniżając głos, jakby dawał mi do zrozumienia, że powinienem uczynić to samo.

Padał śnieg. W blaszanej beczce opodal wesoło trzaskały płomienie.

— Księgi, co się z nimi stało? Jak mogłem o nich zapomnieć, na Boga.

— Jakie księgi? — zapytał. I odciągnął mnie na bok, by nie zderzył się ze mną jakiś przechodzień. Stanęliśmy przy oknie wystawowym. W sklepie było sporo ludzi, stali w cieple i patrzyli na katedrę.

— Księgi Wynkena de Wilde. Dwanaście ksiąg Rogera! Co się z nimi stało?

— Są tam — powiedział. — Na górze. Zostawiła je dla ciebie. Lestacie, już ci o tym mówiłem. Ubiegłej nocy rozmawiała z tobą.

— W obecności innych nie sposób mówić całej prawdy.

— Powiedziała ci, że te skarby należą teraz do ciebie.

— Musimy je zabrać! — rzekłem. Och, jakim byłem głupcem, że zapomniałem o tych pięknych księgach.

— Uspokój się, Lestacie, ucisz się. Przestań zwracać na siebie uwagę. Tak samo jest z mieszkaniem. Już ci o tym mówiłem. Nikomu o nim nie powiedziała. Przekazała je nam. Nie powie im, że kiedykolwiek tam byliśmy. Obiecała mi osobiście. Przekazała ci akt własności sierocińca, Lestacie, nie rozumiesz, co to oznacza? Zerwała z całym swoim dotychczasowym życiem. Jej dawna religia umarła, popadła w zapomnienie. A ona odrodziła się jako Strażniczka Chusty.

— Ale przecież nie wiemy! — ryknąłem. — Nigdy się nie dowiemy. Jak ona może to akceptować, skoro przecież nie wiemy i nigdy nie będziemy wiedzieć! — (Popchnął mnie pod ścianę.) — Chcę tam wrócić i zabrać księgi — powiedziałem.

— Oczywiście, zrobimy to, jeśli zechcesz.

Ależ byłem zmęczony. Na ulicy ludzie śpiewali. „Pan jest moim Pasterzem i nie brak mi niczego...”

W apartamencie nic się nie zmieniło.

Na ile mogłem to stwierdzić, już tu nie wróciła. Podobnie jak nikt z nas. David musiał tu zajrzeć, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku, i powiedział prawdę. Było tu wszystko. I wszystko wyglądało tak jak poprzednio. Nic się nie zmieniło.

Tyle że w małym pokoiku, gdzie spałem, stała tylko skrzynia. Moje ubranie i koc, na którym leżało pokryte grudkami ziemi i sosnowych igieł z pradawnego, leśnego poszycia, zniknęły.

— Tyje zabrałeś?

— Nie — odparł. — Chyba ona. To podarte na strzępy relikwie anielskiego posłańca. O ile wiem, są w posiadaniu oficjeli z Watykanu.

Zaśmiałem się.

— Zbadają wszystkie te materiały, w tym drobiny materii organicznej z leśnego poszycia.

— Odzienie Bożego Posłańca, pisano już o tym w prasie — odrzekł. — Lestacie, musisz odzyskać rozsądek. Nie możesz tak błąkać się bez celu w świecie śmiertelników. Stanowisz zagrożenie dla siebie i innych. Stanowisz zagrożenie dla całej reszty. Musisz pohamować swoją moc. Wziąć ją w garść.

— Zagrożenie? Po tym wszystkim, co uczyniłem, dokonując cudu dodania świeżej krwi religii znienawidzonej przez Memnocha. O Boże!

— Ciii. Nic nie mów — szepnął. — Ta skrzynia. Księgi są w skrzyni.

Ach, księgi były w tym małym pokoju, w którym spałem. To mnie ucieszyło. Nawet bardzo.

Siedziałem z nogami skrzyżowanymi w kostkach i kołysząc się w przód i w tył, płakałem. Och, jakie to dziwne, płakać jednym okiem! Boże, czy z lewego oczodołu też płyną łzy? Nie sądzę.

Chyba uszkodził mi kanaliki łzowe.

David stanął w holu. Światło wpadające przez przeszkloną ścianę przydawało jego profilowi niezmaconego spokoju. Otworzyłem wieko skrzyni. To była chińska skrzynia z drewna, ozdobiona cyzelowanymi płaskorzeźbami przedstawiającymi różne postacie. Wewnątrz spoczywało dwanaście ksiąg, każda opakowana starannie i z osobna, tak jak je pozostawiłem, wszystkie bezpieczne, suche i nietknięte. Nie musiałem ich oglądać, aby to wiedzieć.

— Chcę, żebyśmy teraz stąd wyszli — rzekł David. — Jeżeli znów zaczniesz płakać, jeżeli znów spróbujesz tłumaczyć ludziom...

— Och, wiem doskonale, jaki jesteś zmęczony, przyjacielu — powiedziałem. — Wybacz. Tak mi przykro.

Znów pomyślałem o tych policjantach. Nawet nie próbowałem stawiać im oporu. Pomyślałem o tym, jak się cofali, po kolei, jakby ich ciała rozpoznały coś nadnaturalnego i tak plugawego, że nie były w stanie tego znieść. Rejterowali jeden po drugim.

A ona mówiła o Bożym Posłańcu. Była o tym przekonana.

— Musimy już iść — rzekł. — Wystarczy. Nadchodzą inni. Nie chcę spotykać się z innymi.

Ty chcesz? Chcesz odpowiadać na pytania Santina, Pandory, Jesse czy kogokolwiek innego? Co jeszcze możemy zrobić? Chcę już stąd pójść.

— Wierzysz, że byłem jego głupcem, prawda? — zapytałem, spoglądając na niego.

— Czyim głupcem? Boga czy diabła?

— No właśnie — mruknąłem. — Sam nie wiem. Powiedz mi, w co wierzysz.

— Chcę stąd iść — odrzekł — bo jeśli nie zrobię tego teraz, dołączę do nich o świcie na schodach tej katedry — do Maela i do wszystkich, którzy się tam wówczas znajdują. A inni właśnie nadchodzą. Wiem o tym. Znam ich. Widzę ich.

— Nie możesz tego zrobić! A jeśli to wszystko było jednym wielkim kłamstwem? Co, jeżeli Memnoch nie był diabłem, Bóg Bogiem, a to wszystko to jedynie gigantyczne oszustwo, zmontowane na nasz użytek przez potwory niewiele od nas lepsze? Nawet niech ci nie przejdzie przez myśl, aby dołączyć do nich na schodach katedry! Ziemia jest wszystkim, co mamy!

Trzymaj się jej! Nie znasz prawdy. Jedynie On zna reguły. Jedynie On powinien mówić prawdę!

A Memnoch opisywał Go jako kompletnego szaleńca, moralnego idiotę.

Odwrócił się powoli, światłocienie pląsały po jego twarzy.

— Jego krew, Lestacie, czy to prawda, że masz ją w sobie? — zapytał łagodnie.

— Nie zaczynaj w to wierzyć! — warknąłem. — Nie ty! Nie. Nie wierz w to. Odmawiam udziału w dalszej grze. Odmawiam opowiedzenia się po którejkolwiek ze stron! Sprowadziłem chustę, abyście ty i ona uwierzyli w moje słowa, to wszystko, nie uczyniłem nic więcej, a w efekcie rozpętało się całe to szaleństwo!

Zakręciło mi się w głowie. Przez moment widziałem światłość niebieską, a przynajmniej takie odniosłem wrażenie. Zobaczyłem Go, stojącego przy balustradzie. Poczulem ten porażający, upiorny odór, który tak często unosił się z ziemi, z pól bitewnych albo czeluści piekieł.

David ukląkł obok mnie, trzymając mnie za rękę.

— Spójrz na mnie, nie mdlej! — zawołał. — Chcę, żebyśmy stąd odeszli, i musimy to zrobić już teraz. Rozumiesz? Wrócimy do domu, a potem raz jeszcze opowiesz mi całą tę historię, powtórzysz ją dla mnie, a ja ją spiszę zdanie po zdaniu, każde słowo.

— Po co?

— W słowach odnajdziemy prawdę, w szczegółach i ogólnym planie. Dzięki nim odkryjemy, kto to wszystko przygotował i dla kogo. Czy to Bóg cię wykorzystał, czy może Memnoch! Czy Memnoch przez cały czas kłamał! Czy Bóg...

— Ach, od tego wszystkiego aż rozbolała cię głowa, prawda? Nie chcę, abyś ty spisywał tę historię. Gdybyś to uczynił, byłaby to po prostu twoja wersja, jedna z wielu, obok choćby tej, którą ona przedstawiła, opowiadając o nocnych gościach, którzy przynieśli jej chustę, o łagodnych, dobrotliwych demonach. W dodatku zabrali moje rzeczy! A jeśli na ubraniu pozostały jakieś moje tkanki?

— Chodź już, zabierz księgi, masz, pomogę ci, są tu trzy worki, ale my potrzebujemy tylko dwóch, wrzuc to zawiniątko do swojego, ja wezmę drugi.

Wypełniłem jego polecenia. Mieliśmy wszystkie księgi w dwóch workach. Mogliśmy już iść.

— Czemu zostawiłeś je tutaj, skoro odesłałeś stąd wszystkie inne rzeczy?

— Ona chciała, abyś je zatrzymał — odparł. — Już ci mówiłem. Chciała, abym dopilnował, by trafiły w twoje ręce. I oddała ci całą resztę. Przecięła wszystkie nici łączące ją z przeszłością.

To ruch, który przyciąga fundamentalistów i fanatyków, chrześcijan ze Wschodu i Zachodu.

— Muszę spróbować raz jeszcze się do niej zbliżyć.

— Nie. To niemożliwe. Chodź. Tutaj. Masz ciepły płaszcz. Musisz go włożyć.

— Zamierzasz już zawsze się o mnie troszczyć? — spytałem.

— Być może.

— Czemu nie miałbym podejść do niej teraz, gdy jest w katedrze, i spalić chusty? Mógłbym to zrobić. Mógłbym tego dokonać mocą mojego umysłu, wystarczyłoby, żebym się odpowiednio skoncentrował, a chusta stanęłaby w ogniu i spłonęła na popiół.

— Czemu więc tego nie zrobisz? Zadrzałem.

— Ja... ja...

— No, dalej. Nie musisz nawet wchodzić do świątyni. Twoje moce działają na odległość.

Może faktycznie mógłbyś spalić chustę. Mówię — może. To byłoby ciekawe, gdyby okazało się, że nie jesteś w stanie jej spalić, prawda? Ale gdyby nawet to ci się udało, przypuśćmy, że za sprawą twojej niszczycielskiej myśli szerniałaby i spłonęła, jak polano w kominku... Co wtedy?

Co dalej?

Rozpłakałem się. Nie mogłem tego uczynić. Nie mogłem spalić chusty. Nie wiedziałem wszystkiego. Nie miałem całkowitej pewności. Po prostu nie wiedziałem. A jeżeli byłem Bożym głupcem, tak jak przypuszczałem, to jakie Bóg mógł mieć plany w związku z nami wszystkimi?

— Lestacie! — Dawid spiorunował mnie wzrokiem. — Mówię do ciebie, a ty choć raz mnie usłuchaj! Nie zbliżaj się do nich więcej. Nie czyń kolejnych cudów. Nic więcej nie możesz uczynić. Niech ona opowiada wszystkim swoją wersję o anielskim posłańcu. Zresztą ta wersja i tak przeszła już do historii.

— Chcę jeszcze raz porozmawiać z dziennikarzami i reporterami.

— Nie!

— Tym razem będę mówił cichym i łagodnym tonem, obiecuję, że nikogo już nie wystraszę.

Przysięgam, że tego nie zrobię, Davidzie.

— W swoim czasie, Lestacie, jeżeli wciąż będziesz tego pragnął... w swoim czasie. —

Pochylił się i pogładził mnie po włosach. — Teraz chodź ze mną. Pora iść.

25

W sierocińcu było zimno. Grube, ceglane, nieocieplone mury utrzymywały chłód i sprawiały, że w środku było jeszcze zimniej niż na zewnątrz.

Pamiętałem to z naszego wcześniejszego spotkania. Czemu mi to dała? Dlaczego? Przekazała mi akt własności i wszystkie skarby. Co to oznaczało? Tylko to, że zamierzała zniknąć, jak kometa przemykająca po niebie.

Czy w jakimś kraju na ziemi prasa i telewizja nie pokazywała jej twarzy, nie prezentowano z nią wywiadów, nie znano jej historii oraz historii chusty?

Byliśmy w domu, to było nasze miasto, Nowy Orlean, nasza mała enklawa, nie padał tu śnieg.

Czuć było jedynie łagodny aromat słodkich, oliwnych drzewek i tracących różowe płatki magnolii rosnących w starym, klasztornym, zaniedbanym ogrodzie. Zobacz, spójrz na te różowe płatki leżące na ziemi.

Tak tu cicho. Nikt nie wiedział o tym miejscu. Tak więc teraz Bestia mogła przejąć ten pałac, wspominać Piękną i zastanawiać się, czy Memnoch szlochał w piekle, a może oni obaj —

Synowie Boży — śmiali się teraz w niebie!

Wszedłem do kaplicy.

Spodziewałem się znaleźć tam sterty różnych rzeczy, ksiąg, pudeł i skrzyni. Lecz to sanktuarium wyglądało na uporządkowane. Wszystko postawiono jak należy, wyjęto z opakowań, odkurzono i umieszczono w spowitym półmrokiem pomieszczeniu. Posągi świętego Antoniego, świętej Łucji z oczami na tacy, Dzieciątko z Pragi w istic hiszpańskim przepychu, ikony wiszące na ścianie pomiędzy oknami rozmieszczone równo i precyzyjnie.

— Kto to zrobił?

David zniknął. Dokąd się udał? Nieważne. Wróci.

Miałem wszystkie dwanaście ksiąg. Potrzebowałem ciepłego miejsca, aby usiąść w nim, może na schodach przed ołtarzem, przydałoby mi się też więcej światła. Mając teraz jedno oko, potrzebowałem więcej niż tylko nocnego światła przesączającego się przez witrażowe okna.

W przedsionku ktoś stał. Pozbawiony zapachu. Wampir. Moje piskłę. Z pewnością. Młody.

Louis. Mogłem się domyślić.

— To twoja robota? — spytałem. — Ty tak pięknie poukładałeś te wszystkie rzeczy?

— Uznałem, że tak trzeba — odparł. Podszedł do mnie. Widziałem go wyraźnie, choć musiałem się odwrócić, aby skupić na nim wzrok i zaprzestać prób otwarcia oka, którego już nie miałem.

Wysoki, blady, trochę wygłodniały. Krótkie, czarne włosy. Zielone, bardzo łagodne oczy.

Pełen gracji chód istoty poruszającej się bezgłośnie i tak miękko, że była wręcz niedostrzegalna.

Prosty, czarny ubiór. Wyglądał jak jeden z nowojorskich Żydów, którzy zebrali się przed katedrą, obserwując cały spektakl, albo jak amisy, którzy przyjechali pociągiem, prości i otwarci, niczym wyraz jego twarzy.

— Wróc ze mną do domu — powiedział. Miał taki ludzki głos. Taki łagodny. — Będzie czas, aby wrócić tu i pomedytować. Nie wolałbyś znaleźć się w naszej dzielnicy, w domu, pośród naszych rzeczy?

Jeżeli cokolwiek mogło przynieść mi teraz prawdziwe ukojenie, to właśnie on, z tym spokojem na twarzy, lekko spuszczoną głową i spojrzeniem, którym mnie obdarzał, dając do zrozumienia, że pragnie ochronić nie tylko mnie, lecz także siebie i być może nas wszystkich.

Mój dobry znajomy, stary druh, dżentelmen, mój czuły i wy — trwały uczeń, znający sekrety wiktoriańskiej etykiety tak, jak ja znałem zachowanie potworów. A gdyby Memnoch to jego odwiedził? Czemu tego nie zrobił?

— Co ja uczyniłem? — spytałem. — Czy taka była wola Boża?

— Nie wiem — odparł. Położył swą miękką dłoń na mojej. Jego głos był niczym balsam kojący moje nerwy. — Wróc do domu. Godzinami słuchałem w radiu i w telewizji opowieści o aniele nocy, który przyniósł chustę. To, co zostało z odzienia anioła, trafiło w ręce kapłanów i uczonych. Dora nakłada ręce. Chusta powoduje cudowne uzdrowienia. Do Nowego Jorku ściągają ludzie z całego świata. Cieszę się, że wróciłeś. Chcę mieć cię tutaj.

— Czy służyłem Bogu? Czy to możliwe? Bogu, którego wciąż nienawidzę?

— Nie znam twojej opowieści — odparł. — Podzielisz się nią ze mną? — Tak zwyczajnie, bezpośrednio, beznamiętnie. — A może byłoby to dla ciebie nazbyt bolesne?

— Niech David ją spisze — rzekłem. — Z pamięci. — Postukałem się palcem w skroń. —

Mamy wyśmienitą pamięć. Sądzę, że są tacy, co pamiętają rzeczy, które nigdy się nie wydarzyły.

— Rozejrzałem się wokół. — Gdzie my jesteśmy? O, Boże, zapomniałem. Jesteśmy w kaplicy.

Tu jest anioł z chrzcielnicą, a ten krucyfiks był tam już wcześniej. — Jakże wydawał się sztywny i bez życia, jakże różny od świetlistej chusty. — Czy pokazali chustę w wieczornych wiadomościach?

— Cały czas ją pokazują. — Uśmiechnął się. Bez cienia ironii. Tylko z miłością.

— O czym pomyślałeś, Louisie, kiedy ujrzałeś chustę?

— Że to Chrystus, w którego kiedyś wierzyłem. Ze to Syn Boży, którego znałem, będąc chłopcem. — W jego głosie brzmiała nuta cierpliwości. — Wróc do domu. Chodźmy stąd. Tu są... jakieś istoty.

— Naprawdę?

— Duchy? Zjawy? — Nie wyglądał na przerażonego. — Są mało znaczące, ale wyczuwam je, a jak wiesz, Lestacie, nie posiadam takich mocy jak ty. — Znów się uśmiechnął. — Wobec tego musisz o nich wiedzieć. Nie wyczuwasz ich?

Zamknąłem oczy. A raczej jedno oko. Usłyszałem dziwny dźwięk, jakby całe mnóstwo dzieci maszerowało gęsiego.

— Chyba wyśpiewują tabliczkę mnożenia.

— Tabliczkę mnożenia? — powtórzył Louis. Ścisnął mnie za rękę i nachylił się w moją stronę. — Jak to?

— No, wiesz, kiedyś w szkołach uczono dzieci tabliczki mnożenia śpiewająco, na zasadzie rymowanek. I właśnie tak one ją teraz śpiewają.

Przerwałem. Ktoś był w przedsionku pomiędzy drzwiami na korytarzu a wejściem do kaplicy, gdzie ukrywałem się przed Dorą. To był jeden z nas. Musiał być. I był stary, bardzo stary.

Poczułem emanację mocy. Był tak stary, że tylko Memnoch i Bóg Wcielony mogliby go zrozumieć, albo... może Louis, jeśli wierzył w swoje wspomnienia, w te krótkie przebliski i krótkie rozdzierające doświadczenia z przedwiecznymi...

Mimo to nie bał się. Był czujny, obserwował mnie, lecz nie okazywał lęku.

— Chodź, nie zamierzam tu stać i dygotać z trwogą! — rzuciłem.

Ruszyłem w stronę wyjścia. Przez prawe ramię przerzuciłem worek z książkami, trzymając go przy piersi lewą ręką. Dzięki temu prawą rękę miałem wolną. I prawe oko. Wciąż je miałem.

Kim był ten tajemniczy gość?

— To David — rzekł Louis uspokajającym tonem, jakby stwierdzał: Widzisz, nie ma się czym przejmować.

— Nie. Obok niego. Wejrzyj głębiej w mrok. Widzisz, tam, kobieca postać, tak biała i twarda, że wygląda jak posąg? Maharet! — powiedziałem.

— Oto jestem, Lestacie — odparła. Zaśmiałem się.

— Czy nie tak brzmiała odpowiedź Izajasza, kiedy wezwał go Pan: „Oto jestem, Panie?”

— Tak — rzekła. Jej głos był ledwie słyszalny, ale wyraźny i oczyszczony przez czas, akcent typowy dla istot z krwi i kości został ostatecznie odrzucony.

Podszedłem bliżej. David stanął obok niej niczym powiernik. Wyglądał jak oddany sługa gotowy wypełnić każde jej życzenie i każdy rozkaz. Ona zaś, najstarsza, no, prawie najstarsza spośród nas, nasza Ewa, matka nas wszystkich, albo raczej jedyna, jaka jeszcze pozostała; teraz, gdy na nią

patrzyłem, znów przypomniałem sobie tę okrutną prawdę na temat jej oczu: że kiedy była jeszcze człowiekiem, została oślepiąca i oczy, którymi teraz na nas patrzyła, były jak zawsze zapożyczone, ludzkie. Wiecznie krwawiące, ludzkie oczy, pobrane od kogoś żyjącego lub martwego — nie wiedziałem — i umieszczone w jej oczodołach, by pracowały tak długo, jak pozwoli im jej wampirza krew. Jakże zniszczone wydawały się w porównaniu z resztą jej pięknej twarzy.

Jak brzmiały słowa Jesse? Ona jest jak wykuta z alabastru. A alabaster to kamień, przez który przenika światło.

— Nie przyjmę ludzkiego oka — wykrztusiłem pod nosem. Nie odpowiedziała. Nie przyszła tu, by osądzać ani doradzać.

Po co się zjawiała? Czego chciała?

— Ty też chcesz usłyszeć tę historię?

— Twój łagodny angielski przyjaciel powiedział, że wszystko przebiegło tak, jak to opisał.

Twierdzi, że pieśni, które puszcza w telewizji, są prawdziwe, że jesteś aniołem nocy, że przyniosłeś jej chustę i że on tam był i słyszał, co powiedziałeś.

— Nie jestem aniołem! Nie zamierzałem oddawać jej chusty! Wziąłem ją jako dowód.

Wziąłem ją, bo... — Głos zaczął mi się łamać.

— Bo co? — spytała.

— Bo dał mi ją Chrystus! — wyszeptałem. — Powiedział: „Weź ją”, to wziąłem.

Zapłakałem. A ona czekała. Spokojna, cierpliwa, niewzruszona. Louis też czekał. I David.

Wreszcie się uspokoilem.

— Zapisuj każde słowo, Davidzie, nie pomiń żadnego słowa, słyszysz? Ja tego nie zrobię. Nie chcę. Choć, może... jeżeli nie zrobisz tego dostatecznie wiernie, sam spiszę wszystko. Czego właściwie chcesz? Po co przyszłaś? Nie, nie zapiszę tego. Po co tu przybyłaś, Maharet, czemu mi się ukazałaś? Po co zjawiasz się w nowym zamczysku Bestii! Odpowiedz.

Milczała. Rude włosy sięgały jej do talii. Nosiła prosty strój, na który w wielu krajach nikt nie zwróciłby uwagi, długi, luźny płaszcz, opięty w talii paskiem, i sukienkę sięgającą aż po cholewy butów. Woń krwi z jej ludzkich oczu była bardzo silna. A te martwe gałki oczne gorejące w jej obliczu wyglądały w moim odczuciu upiornie.

— Nie przyjmę ludzkiego oka! — rzuciłem ostro. Ale już to wcześniej mówiłem. Czy to przejaw arogancji, czy buńczuczności?

Była taka silna. Taka potężna.

— Nie odbiorę ludzkiego ż y c i a — rzekłem. Bo oto mi właśnie chodziło. — Nigdy, przenigdy, jak długo przyjdzie mi istnieć i cierpieć, głodować i odczuwać pragnienie, nie odbiorę życia człowiekowi ani nie podniosę ręki przeciw memu bliźniemu, czy to człowiekowi, czy jednemu z nas, nieważne, nie zrobię tego, nie chcę, bo ja... już... ja... dopóki sił mi starczy...

ja...

— Zatrzymam cię tutaj — powiedziała. — Będziesz moim więźniem. Przez pewien czas.

Dopóki się nie uspokoisz.

— Oszalałaś. Nie zatrzymasz mnie tu.

— Mam dla ciebie specjalnie przygotowane łańcuchy. Davidzie, Louisie... pomóżcie mi.

— Co to ma znaczyć? Wy obaj, jak śmiecie? Łańcuchy, mówimy o łańcuchach? Kim ja jestem, Azazelem wtrąconym w otchłań? Memnoch nieźle by się uśmieł, gdyby nie to, że na zawsze się ode mnie odwrócił!

Żadne z nich nawet nie drgnęło. Stali w bezruchu, szczupła biała sylwetka skutecznie maskowała niespożyte zapasy energii zgromadzone w tym drobnym ciele. Oni cierpieli, och, jakże wyraźnie czułem ich cierpienie.

— Przyniosłam to dla ciebie — oznajmiła. Wyciągnęła rękę. — A kiedy to przeczytasz, będziesz szlochał i wył, a my zatrzymamy cię tu, bezpiecznie unieruchomionego, spętanego, aż w końcu zamilkiesz, przestaniesz krzyczeć i uspokoisz się. To wszystko. Od tej pory jesteś pod moją ochroną. Tu, w tym miejscu. Będziesz moim więźniem.

— Co to? Co to jest? — spytałem z przejęciem. Była to pomięta pergaminowa koperta.

— Co to jest, u licha? — warknąłem. — Kto ci to dał? — Nie chciałem tego dotknąć.

Wzięła mnie bezceremonialnie za lewą rękę, nic na to nie mogłem poradzić, była ode mnie silniejsza, zmusiła, abym upuścił worek z książkami, po czym wcisnęła mi do ręki zmiętą pergaminową kopertę.

— Dano mi to, abym przekazała tobie — wyjaśniła.

— Kto ci to dał?

— Ten, kto napisał ten liścik. Znajdziesz tam jego podpis. Przeczytaj.

— Co, u licha! — zakląłem. Palcami prawej dłoni rozerwałem kopertę. Moje oko. Na kartce z liścikiem leżało moje oko. Ta przesyłka zawierała moje oko, owinięte w list. Moje niebieskie oko, całe i żywe.

Dyszając ciężko, sięgnąłem po nie i umieściłem w obolałym oczodole, by poczuć, jak nitki nerwów rozciągają się gwałtownie niczym macki, by wczepić się na powrót w mój mózg.

Odzyskałem w pełni zdolność widzenia.

Ona wciąż na mnie patrzyła.

— Mam zacząć krzyczeć? — zawołałem. — Niby dlaczego? Co twoim zdaniem ujrzałem?

Tylko to, co widziałem już wcześniej! — ryknąłem.

Powiodłem wzrokiem z prawa na lewo, ten okropny splachetek czerni zniknął. Świat był znowu jedną całością, postacie na witrażach i nieruchome twarze wciąż mnie obserwowały.

— Och, dzięki Ci, Boże! — wyszeptałem. Ale co to oznaczało? Czy był to zwykły okrzyk, czy może modlitwa dziękczynna?

— Przeczytaj list — rzekła.

Archaiczne pismo. Co to mogło być? Iluzja! Słowa w języku, który tak naprawdę wcale nie był językiem, lecz tak jasne i wyraziste, że pojąłem bez trudu ich znaczenie, zapisane krwią, inkaustem i sadzą:

Dla Mego Księcia

Dziękuję ci za wspaniałe

wykonaną

pracę.

Z wyrazami miłości,

Memnoch Diabeł

— Kłamstwa, kłamstwa, kłamstwa! — zakrzyknąłem. Usłyszałem brzęk okowów. — Jak ci się zdaje, jaki metal może mnie spętać i unieruchomić? Bądź przeklęta! To kłamstwa! Wcale go nie widziałaś. Nie dostałaś tego listu od niego!

David, Louis i ona sama, niewiarygodnie silna, przepotężna od niepamiętnych czasów, gromadząca siły od dni, zanim jeszcze w Jerychu powstały pierwsze gliniane tabliczki —

otoczyli mnie, osaczyli. Bardziej ona niż oni; byłem jej dzieckiem, miotałem się i to właśnie ją przy tym przeklinałem.

Powlekli mnie przez ciemność, echo mego skowytu odbijało się od ścian, aż dotarliśmy do celi, którą dla mnie wybrali: izby z zamurowanymi oknami, ciemnej i ciasnej, istnego lochu, łańcuchy opasywały mnie od stóp do głów, a ja szamotałem się i wilem jak szalony.

— To wszystko kłamstwa! Obrzydliwe, wstrętne kłamstwa! Nie wierzę w to! Jeżeli nawet zostałem oszukany, to tylko przez Boga — ryczałem bez końca. — To Jego sprawka. Jeżeli to prawda, to On za tym stoi, On, Bóg Wcielony. Nie Memnoch. Nie, nigdy, przenigdy! To kłamstwo! — W końcu padłem nieruchomo, ciężki i bezradny. O nic już nie dbałem. To, że zostałem spętany, miało swoje dobre strony — nie mogłem na przykład tłuc pięściami w ściany, aż porozbijałbym sobie ręce na miazgę, ani walić głową w mur. — Kłamstwa, kłamstwa, nic, tylko kłamstwa! To wszystko, co widziałem. Jeden wielki kalejdoskop kłamstw!

— Nie wszystko jest kłamstwem — rzekła. — Nie wszystko. To odwieczny dylemat.

Zamilkłem. Czuję, jak moje lewe oko zapuszcza korzenie coraz dalej w głęb mózgu.

Odzyskałem je. Odzyskałem oko. I pomyślałem o jego twarzy, o zgrozie, jaka się na niej odmalowała, gdy spojrział na moje oko, a potem o historii z okiem wujka Mickeya. Nie potrafiłem tego ogarnąć. Znow zacząłem wyc.

Jak przez mgłę słyszałem łagodny głos Louisa błagającego, protestującego, usiłującego przemówić komuś do rozsądku. Usłyszałem szcęk zamków i skrzypienie gwoździ wbijanych w drewno. Usłyszałem błaganie Louisa.

— Tylko na pewien czas, na krótko... — powiedziała. — Jest dla nas zbyt silny, nie możemy uczynić nic innego. Albo to, albo trzeba będzie z nim skończyć.

— Nie! — zawołał Louis.

Usłyszałem, jak David protestuje, że nie wolno jej tego robić.

— Nie unicestwię go — odparła ze spokojem. — Ale będzie musiał pozostać tu, dopóki nie uznam, że można go wypuścić.

I odeszli.

— Śpiewajcie — wyszeptałem. Zwracałem się do duchów dzieci. Śpiewajcie...

Klasztor był pusty. Wszystkie duszki uciekły. Klasztor należał do mnie. Do sługi Memnocha, do jego księcia.

Byłem tam, w moim więzieniu.

26

Dwie noce, trzy noce. Na zewnątrz, w mieście współczesnego świata życie biegło swoim torem. Po ulicach sunęły sznury aut, pary spacerowały, szepcząc w wieczornym półmroku.

Rozległo się wycie psa.

Cztery noce, pięć nocy?

David siedział przy mnie, czytając mi rękopis mojej opowieści, słowo po słowie, wszystko, co powiedziałem, tak jak to zapamiętał. Przerywał raz po raz, by zapytać, czy wszystko się zgadza, czy właśnie tak się wyraziłem, czy wszystko w porządku z opisem wyglądu. A ona ze swego miejsca w rogu mówiła:

— Tak, to właśnie ujrzał, to właśnie powiedział. To zobaczyłam w jego umyśle. To jego słowa. To poczuł.

Wreszcie mniej więcej po tygodniu stanęła nade mną i zapytała, czy łaknę krwi.

— Nigdy już jej nie wypiję — odparłem. — Wysznę na wiór, a raczej zmienię się w istotę jak wykutą z wapienia. Wrzucą mnie do pieca do wypalania wapna.

Którejś nocy zjawił się Louis, rozluźniony i spokojny, jak kapłan przychodzący do więzienia, nie zważający na obowiązujące zasady, ale też nie przedstawiający dla nich zagrożenia. Powoli usiadł obok mnie i założył nogę na nogę, po czym odwrócił wzrok, jakby kurtuazja nie pozwalała mu spojrzeć na mnie, więźnia spętanego okowami i otulonego kokonem wściekłości.

Dotknął palcami mego ramienia. Włosy miał starannie ułożone i zadbane, modnie obcięte, uczesane, bez odrobiny kurzu. Miał na sobie czyste, nowe ubranie, jakby włożył je specjalnie dla mnie. Uśmiechnąłem się na tę myśl, że tak się dla mnie wystroił. Kiedy jeszcze zauważyłem starodawne guziki ze złota i macicy perłowej, zrozumiałem, że się nie pomyliłem, i zaakceptowałem to, tak jak chory zgadza się, by przyłożono mu na czoło zimny okład.

Jego palce ścisnęły mnie mocniej i to też mi się spodobało. Nie powiedziałem jednak tego na głos.

— Przeczytałem księgi Wynkena — powiedział. — Wiesz, zabrałem je. Wróciłem po nie.

Zostawiliśmy je w kaplicy. — Teraz patrzył na mnie z szacunkiem.

— Dziękuję ci za to — odrzekłem. — Upuściłem te księgi w ciemnościach. Upuściłem je, kiedy sięgałem po oko, a może to ona złapała mnie za rękę. Tak czy owak, upuściłem księgi. Nie mogę zerwać tych łańcuchów. Nie mogę się ruszyć.

— Zabrałem księgi do naszego domu na rue Royale. Są tam, jak mnóstwo innych cennych rzeczy, którymi lubimy cieszyć oczy.

— Tak. Czy przyjrzałeś się tym małym ilustracjom — mam na myśli, czy zrobiłeś to dokładnie? — spytałem. — Ja nie miałem okazji. Wszystko... stało się tak szybko, nawet nie zdążyłem do nich zajrzeć. Gdybyś jednak zobaczył ducha Rogera w barze i usłyszał, jak je opisywał...

— Są cudowne. Naprawdę wspaniałe. Spodobają ci się. Czeka cię z nimi wiele lat przyjemności, przy silnym świetle oczywiście. Ja dopiero zacząłem je przeglądać, za pomocą szkła powiększającego. Ale tobie szkło nie będzie potrzebne. Masz lepszy wzrok ode mnie.

— Może moglibyśmy... poczytać je wspólnie... ty i ja.

— Tak... wszystkie dwanaście ksiąg — powiedział. Półgłosem mówił o cudnych sylwetkach, maleńkich wizerunkach ludzi, zwierząt, kwiatów i lwie leżącym u boku owieczki.

Zamknąłem oczy. Przepęłniała mnie wdzięczność. Byłem zadowolony. Wiedział, że nie chcę już dłużej rozmawiać.

— Będę czekał w naszym domu — powiedział. — Nie mogą trzymać cię tu dłużej.

Co to znaczy dłużej?

Chyba się ociepliło.

David mógłby tu przyjść.

Czasami zamykałem oczy i odcinałem się od wszystkiego, nie dopuszczając do siebie żadnych dźwięków, jakie celowo do mnie kierowano. Słyszałem śpiew cykad, kiedy niebo wciąż jeszcze czerwieniło się od słońca, a inne wampiry spały. Usłyszałem dzieci!

Pojawiły się dzieci. Śpiewały. Niekiedy jedno lub dwoje mówiło gorączkowym szeptem, jakby ukryte pod prześcieradłem zwierzało się drugiemu z jakichś sekretów. Odgłos kroków na schodach. A potem, zza ścian, gromkie, wzmocnione hałasy elektrycznej nocy.

Któregoś wieczoru otworzyłem oczy i stwierdziłem, że łańcuchy zniknęły.

Byłem sam, a drzwi stały otworem.

Ubranie miałem w strzępach, ale nie dbałem o to. Wstałem z pewnym trudem, zbolały, i po raz pierwszy od dobrych dwóch tygodni sięgnąłem dłonią do oka, by poczuć, że tkwi w oczodole, choć rzecz jasna cały czas nim patrzyłem. I przestałem o tym myśleć już dawno temu.

Wyszedłem z klasztoru, przeczłapałem przez stary dziedziniec. Przez chwilę wydawało mi się, że dostrzegam żelazne huštawki, takie jakie stały niegdyś na starych placach zabaw. Dostrzegłem ich mocowania, wsporniki w kształcie trójkąta połączone u góry poprzeczką i zwieszające się z nich siedzenia huštawek, a także kołyszące się dzieci, dziewczynki z rozwianymi włosami; usłyszałem też ich śmiech. Uniosłem wzrok zdezorientowany i popatrzyłem na witrażowe okna kaplicy.

Dzieci zniknęły. Plac był pusty. Teraz to był mój pałac. Przecięła wszystkie więzi. I odeszła, by napawać się swym największym zwycięstwem.

Długo, bardzo długo spacerowałem po St. Charles Avenue. Wędrowałem w cieniu znanych mi dębów, po starych chodnikach z cegieł i betonowych płyt, mijając stare i nowe domy, później zaś skręciłem w Jackson Avenue, na której roilo się od barwnych neonów, knajpek, starych ruder i fantastycznych sklepików; ta niezwykła ulica krzykliwych ruin ciągnęła się aż do centrum.

Dotarłem do pustego budynku, gdzie mieścił się kiedyś ekskluzywny salon samochodowy.

Przez pięćdziesiąt lat w tym właśnie miejscu sprzedawano najdroższe wozy, a teraz była tu już tylko

pusta skorupa z przeszkloną witryną. Dostrzegłem w szybie własne odbicie. Znow wyglądałem jak istota nadnaturalna, bez skazy, z parą niebieskich oczu.

I zobaczyłem siebie.

Chcę, żebyś ujrzał mnie, właśnie teraz. Chcę, żebyś spojrzął na mnie. Pozwól, że raz jeszcze się przedstawię, z całego serca przysięgając i potwierdzając prawdziwość każdego słowa niniejszej opowieści.

Jam jest wampir Lestat. Oto, co ujrzałem. Oto, co usłyszałem. Oto, co wiem. I to wszystko, co wiem.

Uwierz we mnie, w moje słowa, w to, co powiedziałem i co zostało zapisane.

Wciąż tutaj jestem, ja, bohater moich własnych marzeń i snów, i pozwól mi, proszę, bym znalazł dla siebie miejsce w twoich snach.

Jam jest wampir Lestat.

A teraz pozwól mi przejść z opowieści do legendy.

9.43, 28 lutego 1994

Adieu, mon amour

Spis treści

